PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 113.

ROK DZIEWIĄTY. — TOM XXXV.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1892.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1892.

Errata.

Str. 293,	w. 17 z góry,	zamiast:	Milechäuerberg,	czytaj:	Mileschauerberg.
—	w. 5 z dołu,	„	miasto zwane *Deutsch-Böhmen,*	czytaj:	miasto w tak zwanem *Deutsch-Böhmen.*
—	w. 16 z dołu,	„	Lonosicami,	czytaj:	Lovosicami.
Str. 294,	w. 7 z góry,	„	Ledebuz'a,	„	Ledebur'a.

DZIEWICE BOGU POŚWIĘCONE

W PIERWSZYCH WIEKACH KOŚCIOŁA.

Dziewicom powierzono w Rzymie pieczę ognia świętego, od którego, wedle mniemania, zależały losy i szczęście państwa. Nazywano je *virgines sanctae*, *venerabiles* — święte, czcigodne. Nie szczędzono im czci i uznania, bo nawet konsul schodził im z drogi, a jego słudzy pochylali przed niemi znaki urzędu. W teatrze miały miejsce honorowe, a jeśli spotkały zbrodniarza, wiedzionego na stracenie, to skazaniec tem samem odzyskiwał wolność. Po 30 latach urzędowania, mogły nawet wyjść zamąż. Nie było ich też wiele: sześć czy siedm na całe rozległe państwo Rzymskie. A jednak i tych kilka znaleść było trudno, i gdyby prawo nie było przyznało najwyższemu kapłanowi mocy wybierania ich gwałtem, to dziewicza Westa nie byłaby miała kapłanek. Już termin techniczny [1], którym wyrażano akt przydzielenia dziewczyny do pocztu Westalek, wskazuje, że był to raczej łup wzięty przemocą, niż dobrowolna ofiara. A gdzie niema wyboru tam niema i cnoty.

Obok tak instytucyi Westy, stanęła w Rzymie instytucya chrześcijańskich dziewic Bogu poświęconych. Jedna niby podo-

[1] Capere, legere, αἱρεῖσθαι, ἀποδείκνυσθαι. *Capi autem* — powiada jeden z autorów klasycznych — *virgo propterea dici videtur, quia pontificis maximi manu prehensa, ab eo parente in cuius manu est veluti bello capta abducitur.*

bna do drugiej, a jednak o całe niebo różna. Westalki ofiara była wymuszona — chrześcijanki, dobrowolna. Od tamtej nikt nie żądał czystości myśli i duszy, podczas gdy czystość dziewic chrześcijańskich Bogu poświęconych jest cnotą obejmującą całą istotę człowieka. Do jej urzeczywistnienia dostraja się ciało i dusza, myśl i wola, serce i wyobraźnia, czucie, oko i wszystkie zmysły ciała — jak opisują Ojcowie Kościoła, szczególnie św. Ambroży: *de Virginibus*, św. Hieronim w listach do Eustochium i t. d. Wreszcie poświęcenie Westalki, nie będąc dożywotniem ale ograniczonem do pewnego wieku, już tem samem istotę dziewictwa znosiło, jak dowodzi św. Ambroży [1]; — gdy tymczasem dziewictwo Chrystusowi poświęcone było koniecznie wieczystem i nieodzownem. „Dziewicą Bogu poświęconą tę nazywamy, powiada św. Bazyli, która dobrowolnie złożyła się Panu na ofiarę, wyrzekła się małżeństwa, a w zamian za to obrała stan życia dążącego do doskonałości“ [2]. „Częścią istotną i główną cnoty dziewictwa i jakby jej formą, pisze św. Tomasz, jest postanowienie, umocnione ślubem, wystrzegania się na zawsze wszelkich cielesnych uciech“ [3].

Jaki był rodowód i początek tej instytucyi chrześcijańskich dziewic Bogu poświęconych, jakie jej znaczenie w pierwszych wiekach Kościoła, jaki ceremoniał profesyi i obłóczyn i jaki sposób życia tych dziewic, zanim w wieku IV. i V. zamknęły się

---

[1] „Quis mihi praetendit Vestae virgines?... Qualis ista est non morum pudicitia, sed annorum: quae non perpetuitate, sed aetate praescribitur! Petulantior est talis integritas, cuius corruptela seniori servatur aetati. Ipsi docent virgines suas non debere perseverare, nec posse, qui virginitati finem dederunt... Non habent igitur sacram virginem“. Ambrosius, *De Virginibus* lib. I, c. IV, ed. Migne, pag. 193, n. 15.

[2] Basilius, *Ep.* 199, ed. Migne, Patr. graec. XXXII, p. 720.

[3] *Sum. Theol.*, 2. 2, q. CLII, a. 3. „In virginitate est sicut formale et completivum propositum perpetuo abstinendi a delectatione venerea“. Zob. też św. Augustyn, *De Sancta Virginitate*, cap. VIII. Virginitas inde honorata, quia Deo dicata. „Neque enim et ipsa quia virginitas est, sed quia Deo dicata est honoratur, quia licet in carne servetur, spiritus tamen religione ac devotione servatur. Sicut enim nemo impudice utitur corpore, nisi spiritu prius concepta nequitia; ita nemo pudicitiam servat in corpore, nisi spiritu prius insita castitate“.

w klasztorach? Od dawna już chciałem omówić te kwestye i zebrałem jeszcze przed laty trochę materyału z dzieł Ojców i starych pomników chrześcijańskich [1]. Kiedy jednak tą samą pracą zajął się znany już czytelnikom niestrudzony badacz starożytności chrześcijańskich, ksiądz Wilpert, zostawiłem rzecz całą Jemu, wiedząc, że lepiej ode mnie wywiąże się z zadania. Dziś wracam do tej kwestyi właśnie z okazyi ukazania się jego dzieła: „O poświęconych Bogu dziewicach“ [2], aby głównie na podstawie jego pracy odpowiedzieć na postawione sobie powyżej pytania.

Dlaczego Westa nie mogła znaleść kapłanek, któreby dobrowolnie, z radością i ochotą w sercu, obsługiwały jej ołtarz? Dlatego, że w istnienie Westy za czasów cesarstwa nikt już prawie nie wierzył. Żadnej też religia rzymska nie mogła Westalce obiecać szczególniejszej nagrody, kiedy nawet nie dawała pewności życia pozagrobowego. A dla szczęścia państwa prędzej

---

[1] Zob. „Archeologię chrześcijańską“, str. 268 i nast. — Z Ojców pisali o dziewicach Bogu poświęconych: św. Cypryan we wspaniałej rozprawie: *Liber de habitu virginum;* św. Ambroży w księgach: *De virginibus ad Marcellinam sororem, libri tres, De virginitate, Exhortatio virginitatis, De lapsu virginis consecratae, De institutione virginis;* św. Hieronim w listach 22, 44, 39, 66, 107, 108, 130, 147; św. Augustyn, *De Sancta virginitate liber unus.* Ciekawe szczegóły zawiera Tertulliana: *Liber de velandis virginibus.* Z Ojców greckich pisali w tej materyi: św Atanazy, *De virginitate;* św. Bazyli, *De virginitate:* św. Cyryl Jerozol. (Migne, Patr. graec., t. XXXIII); św. Jan Chryzostom, *De virginitate.* — Dalej pisali o dziewicach: Bingham, w swych: *Origines sive Antiquitates Ecclesiasticae,* Halae 1727, vol. III, str. 96 i nast.; Pellicia, *De christianae Ecclesiae Politia,* Coloniae ad Rhenum, 1829, str. 91 i nast. — Z nowszych protestantów poświęca Roller dziewicom rozdział w swem dziele: *Les Catacombes de Rome,* t. II. Jakby nigdy nie był czytał listów św. Pawła, głosi, że stan dziewictwa jest objawem chorobliwego ascetyzmu głów egzaltowanych, który początek swój i rozwój zawdzięcza głównie literaturze apokryficznej, jak: Klementynom, Aktom Tomasza i Tekli. Najlepiej ujawnił on się w Montanizmie, a z czasem herezyę ogłoszono nauką prawowierną, mimo wysiłku kilku głów roztropniejszych i wbrew orzeczeniom kilku soborów. (Zob. str. 141).

[2] *Die Gottgeweihten Jungfrauen in den ersten Jahrhunderten der Kirche.* Mit 5 Doppeltafeln und 3 Abbildungen im Text. Freib. i. Br. Herder. 1892, fol. Zob. co pisałem o tem dziele w czerwcowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego.*

rzuci się ktoś w przepaść ze skały Tarpejskiej, niż żeby miał skazać się na długie całopalenie dziewictwa. Tem trudniej jeszcze wybierze to ostatnie, jeśli sami bogowie własnym przykładem zachęcają do rozpusty. To też trzeba było wprzódy poświęcenia się Boga dla ludzkości i przykładu doskonałej czystości i pochwały tej cnoty z ust samego Boga, wreszcie poręczenia osobnej, wielkiej za nią nagrody, aby dobrowolne i wieczyste dziewictwo przyjąć się na ziemi mogło, i co więcej, w potężną rozróść się instytucyę. „Są dziewice, powiedział Chrystus, które dobrowolnie obrały życie dziewicze dla królestwa niebieskiego. Kto może pojąć, niechaj pojmuje“ [1]. Na temat tych słów napisał Apostoł wspaniały panegiryk o dziewictwie: „O pannach, „odzywa on się w liście do Koryntyan, nie mam rozkazania „Pańskiego, ale radę daję... Kto bez żony jest, stara się o to, „co Pańskiego jest, jakoby się podobał Bogu. A który z żoną „jest, stara się o to, co światu należy, jakoby się podobał żonie: „i rozdzielon jest. I białogłowa niemężata i panna myśli o tem, „co Pańskiego jest, aby była święta ciałem i duchem. A która „szła za mąż, myśli co światu należy, jakoby się podobała mę„żowi. A toć mówię ku pożytkowi waszemu, nie abym na was „sidło zarzucił, ale ku temu, co jest poczciwego i coby was spo„sobiło do modlenia się Panu bez przeszkody. A jeśli sobie kto „za sromotę ma ze strony panny swojej, iż lata przeszła, a tak „musi być: co chce niech czyni: nie grzeszy, jeśli pójdzie za„mąż. Bo kto postanowił mocnie w sercu swem, potrzeby nie „mając, a mając w mocy swą własną wolę, i to postanowił „w sercu swem, aby zachował pannę swą, dobrze czyni. A tak „i który daje w małżeństwo pannę swoją, dobrze czyni: i który „nie daje, lepiej czyni“ [2].

Słowo Chrystusa: „Kto może pojąć, niechaj pojmuje“, od razu znalazło oddźwięk w duszach, i choć nie wszyscy obrali stan dziewiczy, to jednak wszyscy zrozumieli, że dziewictwo jest jakby doskonalszym w zakonie Chrystusowym zakonem, a stąd

---

[1] Ew. św. Mat. r. XIX., w. 12.

[2] I. List do Korynt. r. VII., w. 25—38.

szczególniejszą czcią otoczyli Bogu poświęcone dziewice. „Z podziwem poganin spogląda na dziewice, jako na świątynie Słowa Odwiecznego — pisze św. Atanazy w swej Apologii do cesarza Konstancyusza. — Niema bowiem tego świętego, niebieskiego powołania w żadnej innej religii, jak tylko u chrześcijan. Zaiste, niemały to dowód prawdziwości naszej wiary. Stąd także wysoko cenił dziewice bogobojny ojciec twój, ś. p. cesarz Konstantyn, że już nie wspomnę o innych. I ty, pobożny cesarzu, nazwałeś je niejednokrotnie w swych listach czcigodnemi i świętemi“ [1]. Od historyka Sokratesa dowiadujemy się, że cesarzowa Helena zapraszała je często do siebie i usługiwała im do stołu[2]. Św. Hieronim tytułuje je w swych listach niejednokrotnie nazwą Pani — *Domina* — i uzasadniając ten tytuł, mówi: „Przystoi, abym Panią nazywał tę, która jest oblubienicą Pana mojego“ [3]. Dziewictwo, zdaniem tegoż Ojca, pochodzi z nieba: tu na ziemi jest ono tylko w gościnie. „Kiedy Chrystus zstąpił na świat, założył nową familię, aby On, przed którym w niebie padają aniołowie na oblicza, miał i na ziemi swoich aniołów“ [4]. „Dziewice Bogu poświęcone są chlubą i ozdobą rodziców i ofiarą przebłagalną za ich winy“ [5]. Jeszcze wspanialsze daje im imiona św. Cypryan, zwąc je: „najpiękniejszym kwiatem na roli Kościoła, ozdobą i krasą życia duchownego, przedniejszą cząstką owczarni Chrystusowej“ [6]. Zdaniem Ojców, nie masz nic większego w Kościele nad dziewicę, która równocześnie jest męczennicą. Palma męczeńska, opleciona wieńcem dziewictwa, to szczyt i pełnia chwały niebieskiej; ale i dziewicy, która nie przelała krwi za Chrystusa, należy się cześć wielka i chwała, albowiem heroizm, z jakim bierze na się dobrowolnie najtwardsze obowiązki, stawia ją tuż obok męczenników. „Nie dlatego wychwalam dziewictwo, pisze św. Am-

---

[1] *Apologia ad Constantium* § 33.

[2] Socrates, *Historia eccles.*, l. I, c. XVII. Migne, Patr. gr., t. LXVII., pag. 121.

[3] *Epist.* 22, Migne, pag. 395.

[4] Hieron. tamże, str. 408.

[5] Ambrosius, *De virginibus* lib. c. VII, pag. 198.

[6] „Flos est ille ecclesiastici germinis, decus atque ornamentum gratiae spiritalis... illustrior portio gregis Christi“. *De habitu virg.*, cap. III, pag. 443.

broży, że je męczennicy posiadają, ale że ono samo czyni męczennikiem“ [1]. W temże znaczeniu św. Hieronim zowie dziewictwo „codziennem męczeństwem“ [2].

Dowodem tej czci, jaką je otaczano w pierwszych wiekach Kościoła, są imiona: *virgines sacrae, sanctae, venerabiles* — dziewice święte, czcigodne; *virgines Dei, Christi, sponsae Christi* — dziewice Boże, oblubienice Chrystusa; *ancillae Dei, Domini, Christi, famulae Dei, Christi* — sługi Boże, Chrystusa; *sacrae Christi, templum Dei* — poświęcone Chrystusowi, świątynie Boga. Podobne imiona mają u Ojców greckich [3]. Prawie wszystkie te nazwy znajdujemy także na ich kamieniach grobowych. Tak czytamy np. na napisie z katakumb św. Cyryaki, pochodzącym z wieku IV.:

A ☩ Ω (Gołąb z gałązką oliwną)
NIGELLA VIRGO DEI OVE VI
XIT ANNOS PM XXXV DE
POSITA XV KAL MAIAS BENE
MERENTI IN PACE

Tu spoczywa Nigella, dziewica Bogu poświęcona, która żyła mniej więcej lat 35 i została pochowana 17 kwietnia. Pełnej zasług odpoczynek w pokoju!

Na innym napisie z tych samych katakumb widzimy obraz zmarłej; jest ubrana w tunikę, o długich wązkich rękawach, i w dalmatykę z bogatym szlakiem. Stoi z głową niezakrytą welonem, i rękami wzniesionemi w niebo. Po obu stronach figury wyryty jest napis:

BELLICIA
FEDELISSIMA (postać Orantki) QUE VIXIT
VIRGO ANNOS
IN PACE XVIII
IIIIX
CALENDAS
BENTURAS
SEPTEM
BRES

Tu spoczywa w pokoju Bellicya, najwierniejsza dziewica. Zostaje pochowana przyszłego 19 sierpnia. Żyła lat 18.

---

[1] *De virg.* lib. I, c. III, pag. 191. [2] *Epist.* 109, pag. 905.
[3] Zob. u Wilperta, str. 4.

Następny nagrobek jest dlatego ciekawy, że już imię zmarłej oznacza jej stan Bogu poświęcony:

HIC THEODULE IACET ☧
VIRGO ANNORUM XVII
PUELLA DEP VI IDUS IANUARIAS

Tu spoczywa Theodule (Θεοῦ δούλη — sługa Boża), dziewica Chrystusa (☧), mająca lat 17. Została pochowana 8 stycznia.

Z katakumb św. Hipolita, sąsiadujących z cmentarzem św. Cyryaki, pochodzi kamień, na którym strapieni rodzice z boleścią zaznaczają, że zmarła dziewica Lucylla była jedynaczką:

BENEMERENTI LUCILLAe virgi
NI DEI QUAE FUIT IN CORPore
ANN · XXXVII UNICA PARento
RUM ET
☧

Na sarkofagu, znalezionym w katakumbach św. Agnieszki, zmarła zwie się: *Ancilla Dei* — Sługa Boża, który to tytuł mają wyłącznie dziewice i wdowy Bogu poświęcone:

AUR · AGAPETILLA
ANCILLA DEI QUE
DORMIT IN PACE
VIXIT ANNIS XXI
MENSES III DIES IIII
PATER FECIT

Tu śpi w pokoju Aurelia Agapetylla, sługa Boża. Żyła lat 21, 3 miesiące i dni 4. Nagrobek położył ojciec.

Oryginalny kamień grobowy św. Agnieszki, który dziś znajduje się w muzeum Neapolitańskiem, głosi lakonicznie:

AGNE · SANC ·
TISSIMA

Agnieszka najświętsza.

Prześliczny jest napis niejakiej Sekundy, z r. 362, pochodzący z cmentarza św. Kaliksta:

MIRAE BONITATIS SECUNDE
QUE VIXIT PURA FIDE ANNOS
VIGINTI PUDICA CESSAVIT
IN PACE ID VIRGO FIDELIS
BENEMERENTI QUIESCET ID IUL
PALUMBO SINE FELLE M ET N

Miejsce spoczynku Sekundy, która odznaczała się dziwną dobrocią. Żyła w czystej wierze i nienaruszonej czystości lat 20 i zasnęła w pokoju, jako wierna, pełna zasług dziewica, 15 lipca, za konsulatu Mamertyna i Newity. Gołębica bez żółci.

Sekunda dożyła jeszcze prześladowania Juliana Apostaty, w którem wielu chrześcijan wyrzekło się prawdziwego Boga. Nasza dziewica wytrwała widocznie w czystej wierze *(pura fide)* i umarła w Chrystusie.

Z katakumb św. Pryscylli mamy ułamek napisu, który brzmiał najprawdopodobniej:

BEATISSIMAE · atque dulcissimae
DOMINE THEODORA INNOCentissime puelle
Q · VIXIT · AN · X · XII · M · III BURGO ☧ in pace
ALEXANDER · FR · Posuit

Błogosławionej i zasłużonej Pani Teodorze, dziewczynie niewinnej, która żyła jako dziewica Chrystusa lat 22, miesięcy 3. Położył ten napis brat Aleksander. Niech odpoczywa w pokoju.

Tytuł *Domina* spotykamy jeszcze na trzech innych napisach dziewic, i jest widocznie oznaką czci.

Piękny jest także napis, znaleziony w Hiszpanii:

FLORENTIA VIRGO XPI OBDORMI
VIT · IN PACE IESU · QUEM DILE
XIT···

Florencya, dziewica Chrystusa, zasnęła w pokoju Jezusa, którego ukochała.

Dziewice Bogu poświęcone zwały się urzędownie w języku kościelnym „Oblubienicami Chrystusa". Wypowiada to między

innymi jeden z najpiękniejszych napisów, znalezionych w katakumbach św. Cyryaki:

ADEODATE	ET QUIESCIT
DIGNAE ET	HIC IN PACE
MERITAE	IUBENTE
VIRGINI	$\overline{\text{XPO}}$ EIUS [1]

Grób godnej i dobrze zasłużonej dziewicy Adeodaty. Śpi tu w pokoju, wezwana przez Chrystusa, swego Oblubieńca.

Napis ten jest z IV. wieku.

Na gallickich napisach z wieku V., znajdujemy nazwy: *Deo sacrata puella; Puella Deo placita* — Dziewczyna Bogu poświęcona, dziewczyna Bogu miła. Na napisach trewirskich zwą się: *Puella Dei, Puella sanctimonialis* — Dziewczyna Boża, oddana życiu świętemu [2]. W pierwszej połowie VI. wieku, otrzymują nazwę „*Religiosa* — zakonnica“ [3].

Bogu poświęcone dziewice tworzyły, jak powiedzieliśmy, „nową przez Chrystusa założoną familię“. Chcąc zostać członkiem tej rodziny, i odróżnić się od dziewic żyjących na świecie, musiały złożyć ślub [4], przez który wyrzekały się na zawsze małżeństwa ziemskiego, a wchodziły w mistyczne związki z Chrystusem, Oblubieńcem niebieskim. „Precz z oczu moich, stworze-

[1] Adeodatae, dignae et meritae Virgini. Et quiescit hic in pace, iubente Christo eius sponso.

[2] Zob. Le Blant, *Inscriptions chrétiennes de la Gaule,* t. I., n. 44, 388, 258, 259.

[3] Zob. tamże, t. II., n. 435.

[4] Uczony biskup anglikański, Bingham, utrzymuje, że nie był to ślub, ale raczej postanowienie i publiczne przyrzeczenie życia dziewiczego. „Si quaeras, quomodo hae virgines ab aliis mere saecularibus virginibus distinctae fuerint, ego quidem aliqua propositi sui in hoc statu per omnem vitam perseverandi professione id factum esse, arbitror. Utrum vero hoc solemne aliquod votum, an simplex quaedam professio fuerit, de eo inter eruditos non convenit“. *Antiquit. eccl.,* t. III, str. 98. Za tem, że były to prawdziwe śluby, przemawia uroczysty ceremoniał, wśród jakiego robiono przyrzeczenie, a który jest zupełnie niepotrzebny i niezrozumiały, jeśli się przyjmie, że profeska składała tylko prostą obietnicę, którą prędzej czy później mogła zmienić. Przeciw zdaniu Binghama świadczą także nazwy: *sacra professio, se Christo vovere, membra Christo dicata et in aeternum continentiae honore pudica virtute devota* (u św. Cypr.).

nie na pastwę śmierci skazane — odzywa się z oburzeniem św. Agnieszka do Fulwiusza, kiedy ten prosi o jej rękę — bo już inny Oblubieniec pozyskał serce moje. Jemu jedynie wiary dochowam, Jemu się oddaję z miłością bez granic. Jego miłość czysta i pieszczota święta, oblubienice Jego nigdy nie zdejmują dziewiczych wieńców". Zaślubiny te określają Ojcowie słowy: *Christo se dicare, tam carne quam mente Deo se vovere, in aeternum continentiae se devovere; Deo, Christo nubere, virginitatem profiteri, Deo offerre, se Christo spondere* — ciałem i duszą ofiarować się Bogu, na wieki zaślubić Chrystusa i t. d. [1]. Na nagrobkach mamy zwyczajnie formuły: *se devovere, se dicare;* raz czytamy: *per sacra vela Deo nubere* — zaślubić się Bogu przez przyjęcie świętego welonu.

Pierwszą wzmiankę o ślubach znajdujemy u Tertulliana: jasna jednak rzecz, że nie za jego dopiero czasów powstały, ale jeszcze epoki apostolskiej sięgają. Bo, jakeśmy już widzieli, leżało to w samem pojęciu chrześcijan o dziewictwie, przez Apostoła zaleconem, żeby było s t a n e m dozgonnie obranym i Chrystusowi poślubionym. Z natury rzeczy też wynika, że już wcześnie wyrobić się musiała pewna formuła takiego ślubu. Brzmienie jej mogło być różne, w różnych miejscach i czasach, treść była jednak zawsze ta sama, bo jednaka była zawsze istota ślubu. Zawierała ona niejako, jak zauważa Wilpert, czynnik podwójny: negatywny i pozytywny, bo dziewica wyrzekała się małżeństwa i świata z jego uciechami, a natomiast ślubowała swe dziewictwo Chrystusowi. Urywek ślubu z częścią negatywną przekazał nam św. Hieronim. „Teraz kiedy świat opuściłaś, pisze on do dziewicy Demetryady, i po chrzcie św. po raz drugi zerwałaś wszelkie związki z szatanem, mówiąc: W y r z e k a m s i ę c i e b i e s z a t a n i e i t w e g o ś w i a t a, t w o j e j p o m p y i t w o i c h s p r a w, — teraz musisz chować, coś przyrzekła i ślubowała, i musisz według tego całe życie urządzić" [2]. Już za Tertulliana

---

[1] Zob. więcej formuł u Wilperta: *Die Gottgeweihten Jungfr.*, str. 7.

[2] „Nunc autem quia saeculum reliquisti, et secundo post baptismum gradu, inisti pactum cum adversario tuo, dicens ei: Renuntio tibi, diabole,

składały dziewice swe śluby publicznie w kościele, wobec zgromadzonych wiernych [1].

Od tego samego pisarza dowiadujemy się dalej o istnieniu ślubów prywatnych, które poprzedzały publiczne. Tertullian ceni nawet wyżej śluby tajemne od tych ostatnich i wyraża życzenie, aby dziewica tem się zadowolniła, że Bogu samemu wiadome jest jej przedsięwzięcie [2]. Prawdopodobnie oba rodzaje ślubów ma na myśli św. Ambroży, kiedy w modlitwie nad profeską powiada: „już od dawna w duchu Tobie poślubiona, Boże, stała się teraz Twoją oblubienicą także na mocy profesyi“ [3]. Z pewnością wymienia je napis grobowy jakiejś Juliany z IV. albo V. wieku, który głosi, że zmarła już od dawna zaręczona Chrystusowi, zaślubiła Go przy śmierci przez przyjęcie welonu [4]:

HANC DUM CORPOREI PREMERENT VICINIA LETI
SPONSA DIU NUBIT PER SACRA VELA DEO

Na nagrobku trewirskim osoba, która położyła napis, imieniem Hilaritas, zwie się dziewicą Bogu poświęconą — DEVOTAS DO (devotans Deo) PVELLA. Na swym własnym zaś kamieniu grobowym ta sama osoba ma już tytuł: PVELLA SANCTIMONIALIS. Kiedy ów pierwszy kładła napis, była może kandydatką do zakonu i zrobiła dopiero ślub prywatny; później złożyła także uroczystą profesyę, o której wspomina jej własny nagrobek [5].

Jaśniej jeszcze rozróżnia oba rodzaje ślubów synod rzymski z czasów Innocentego I. [6] W pierwszym kanonie jest tam mowa

---

et saeculo tuo, et pompae tuae, et operibus tuis, serva foedus quod pepigisti, et esto consentiens, pactumque custodiens cum adversario tuo, dum es in vita huius saeculi“... *Hier. epist.* 130, ed. Migne, pag. 1113.

[1] „Prolatae enim... (virgines) in medium et publicato bono suo elatae et a fratribus omni honore et caritatis operatione cumulatae“... Tertull., *De velan. virg.*, c. XIV, Migne, pag. 908 sq.

[2] „Virgo sanctior gaudebit sibi soli et Deo nota“, l. c.

[3] „Dudum spiritu devota (tibi o Deus), nunc etiam professione“. *De institut. virg.*, cap. XVII, ed. Migne, str. 334.

[4] Zob. De Rossi, *Inscriptiones christianae,* t. II., cz. I., str. 63, 92.

[5] Zob. Le Blant, *Inscriptions chrétiennes de la Gaule,* t. I., str. 366.

[6] Inni sądzą, że synod ten odbył się nie w r. 402, ale za pontyf. Syrycyusza.

o dziewicy, która przyjęła już welon, a potem łamie ślub i związki małżeńskie zawiera: za to przewinienie winna czynić pokutę przez długie lata. Drugi kanon traktuje o dziewicy, która welonu jeszcze nie otrzymała i łamie ślub przez małżeństwo: i tej należy surową wyznaczyć pokutę, choć mniejszą niż pierwszej [1]. Decyzye synodu rzymskiego z r. 402 komunikuje Innocenty I. w r. 404 biskupowi Wiktrycyuszowi z Rouen. I on rozróżnia między dziewicą, która przyjęła welon, i taką, która go nie przyjęła — *virgi velata et non velata*, i pisze w rozdz. XII., że takiej, która po przyjęciu welonu wyszła zamąż, nie wolno przypuścić do czynienia pokuty za życia człowieka, z którym zawarła związek. Nie może także ujść bezkarnie dziewica, która welonu nie przyjęła, choć jej wina jest mniejsza [2]. Wogóle karano złamanie ślubu dziewictwa bardzo surowo. Synod elwirski z r. 406 wyklucza taką na zawsze ze społeczności wiernych; jeśli jednak czyni pokutę, to może przy śmierci napowrót być przyjętą do

---

[1] Ważne te i ciekawe rozporządzenia przytaczamy dosłownie: „Quaeritur de *virginibus velatis et mutato proposito*, quid exinde iudicatum sit. Si virgo velata iam Christo, quae integritatem publico testimonio professa a sacerdote prece effusa benedictionis velamen accepit, sive incestum commiserit furtim, seu volens crimen protegere, adultero nomen mariti imposuit, tollens membra Christi faciens membra meretricis, ut quae sponsa Christi fuerat, coniux hominis diceretur. Quali hic et quanta satisfactione opus est? Unde annis quam plurimis deflendum ei peccatum est, quo dignae fructu poenitentiae facto possit aliquando ad veniam pervenire, si tamen poenitens poenitenda faciat".

„Puella, quae nondum velata est, sed proposuerat sic permanere, licet non sit in Christo velata, tamen quia proposuit et in coniugio velata non est, furtivae nuptiae appellantur ex eo, quod matrimonii coelestis praeceptum non servaverit, amore properante ad libidinis caecitatem. Et his poenitentiae agendae tempus constituendum est. Habent tamen poenitentiae agendae locum, sed cito non habent veniam".

[2] „Item quae Christo spiritualiter nupserunt et velari a sacerdote meruerunt, si postea vel publice nupserint vel se clanculo corruperint, non eas admittendas esse ad agendam poenitentiam, nisi is, cui se iunxerant, de saeculo recesserit... Hae vero, quae necdum sacro velamine tectae, tamen in proposito virginali se promiserant permanere, licet velatae non sint, si forte nupserint, his agenda aliquanto tempore poenitentia est; quia sponsio eius a Deo tenebatur". *Epist. ad Victricium*, Migne, Patr. dat., t. XX., pag. 478 sq.

Kościoła. Synod w Ancyrze (r. 314) jest łagodniejszy i wyznacza tylko karę, jaką karcono bigamię. Jeszcze surowsze było dla takich prawo rzymskie. Jowian postanowił karę śmierci na tego, który zawarł związki małżeńskie z dziewicą albo wdową Bogu poświęconą [1]. Karał zaś Kościół tak surowo upadki, a zwłaszcza związki małżeńskie dziewic Bogu poświęconych, dlatego, że profeska nie była już wolną, ale zaślubioną Chrystusowi. Ojcowie przeciwstawiają często te duchowne zaślubiny małżeństwom świeckim. W jednych i drugich ma być dochowana wiara — *fides matrimonialis:* tam Chrystusowi, tu człowiekowi; a stąd traktują związki następne albo też upadki cielesne *(fornicatio)* jako bigamię i cudzołostwo *(adulterium).* Stąd także już wcześnie ustaliła się przeszkoda małżeństwa ze względu na ślub czystości, lubo nie od razu jako unieważniająca [2].

Profesya, czyli uroczyste publiczne złożenie ślubu, odbywała się przy ołtarzu podczas służby Bożej. Biskup kładł przy-

[1] Zob. Freisen, *Geschichte des Canon. Eherechts.* Tübingen 1888, str. 678.

[2] Wprawdzie w pierwszych wiekach nie spotykamy terminów technicznych: śluby uroczyste i proste, *votum sollemne, simplex,* niemniej jednak już w owych czasach istniała co do istoty różnica między jednym a drugim ślubem. Solenność pierwszych na tem zależała, że dziewica, która się Chrystusowi poświęcała, wedle słów papieża Syrycyusza: *integritatem publico... testimonio professa a sacerdote prece fusa velamen benedictionis accepit,* przez co stawała się *virgo velata, consecrata.* Do drugiej klasy należały *virgines sacrae nondum velatae.* Te ostatnie złożyły ślub prywatnie tylko wobec Boga i były wprawdzie znane i zapisane w katalogach parafialnych jako dziewice ślubne, ale profesyi w ręce Kościoła nie uczyniły i błogosławieństwa jego nie otrzymały.

Mamy także orzeczenia Ojców, z których można wysnuć wniosek, iż śluby uroczyste tworzyły już w IV. w. *impedimentum invalidans matrimonium.* Św. Ambroży pisze np. z okazyi słów Apostoła: *melius est nubere, quam uri:* „Słowa te są powiedziane do takiej, która jeszcze nie złożyła ślubów i nie otrzymała welonu. Jeśli jednak któraś zaślubiła się już Chrystusowi i otrzymała welon, to jest już zamężna, a mianowicie sam Nieśmiertelny jest jej małżonkiem. Jeśli teraz chce zawrzeć jeszcze związki ludzkie, to łamie wiarę małżeńską". Niemniej dosadnie wypowiada to samo św. Augustyn: „Jeśli zawiera związki małżeńskie dziewica, nie grzeszy; jeśli jednak bierze męża zakonnica *(sanctimonialis),* to należy krok ten uważać za cudzołóztwo przeciw Chrystusowi". Zob. więcej w *Zeitschrift für kathol. Theologie,* Innsbruck, II. Quartalheft, 1889, artykuł Wilperta: *Die Gottgeweihten Jungfrauen,* str. 314.

tem kandydatce prawą rękę na głowę i odmawiał nad nią przepisaną modlitwę. Dowiadujemy się o tych ceremoniach od św. Ambrożego, który opowiada o pewnej dziewicy szlachetnego rodu, iż schroniła się do ołtarza, aby ujść napieraniu rodziny, chcącej ją do małżeństwa przymusić. „Gdzież lepiej mogła się schronić dziewica, pyta on, jak w miejsce gdzie składa się ofiara dziewicza? Ale nie tu koniec jej męztwa: już chwilę stała dziewica, prześladowana za swą cnotę, przy ołtarzu, gdy nagle ujęła prawicę kapłana i położyła sobie na głowie, domagając się, aby odmówił nad nią błogosławieństwo. A kiedy tenże się ociągał, włożyła zniecierpliwiona głowę pod krawędź ołtarza, mówiąc: miałażby chusta lepiej mię zasłonić niż ołtarz, który sam uświęca welony? Owszem, więcej znaczy ten ślubny welon, na którym Chrystus, Głowa wszystkich, codziennie bywa Bogu ofiarowany! Czegóż jeszcze chcecie ode mnie, krewni? Czy jeszcze dłużej zmuszać mię chcecie do małżeństwa? Ja już dawno się o małżeństwo postarałam. Oblubieńca mi ofiarujecie? Ja już lepszego znalazłam“ [1].

Profesyę poprzedzała mowa biskupa, który sam wyłącznie miał prawo odbierania ślubów [2]. „Czy nie wspomniałaś na owe słowa, pyta św. Ambroży upadłą dziewicę Zuzannę, jakie ci w owym dniu rzeczono: *Słuchaj córko a patrz, i nakłoń ucha twego: a zapomnij narodu twego i domu ojca twego. I będzie pożądał Król śliczności twojej, albowiem On jest Pan Bóg twój, i będą się Mu kłaniać*“. Słowa te wyjęte są z psalmu 44, który cały jest jakby umyślnie stworzony dla profesyi dziewictwa, bo opiewa zaślubiny niebieskiego Oblubieńca, Jego boskie przymioty, oraz godność i obowiązki duchownej oblubienicy. Tak go też Ojcowie tłumaczyli, jako hymn dziewictwa *per excellentiam*. Profeska występuje tu jako królowa: *Stanęła Królowa po prawicy Twojej w ubiorze złotym, obtoczona rozmaitością.* Słowa te zwie św. Hieronim mową proroczą — *sermo propheticus*. A św. Ambroży objaśnia je w pierwszej księdze *De Virginibus:* „Rozważ dobrze, dziewico,

---

[1] Ambrosius, *De virginibus* l. I, c. XI, pag. 206 sq.
[2] Zob. Freisen, l. c., str. 678.

jakiemi hojnymi skarbami wyposażył cię Duch Św. wedle świadectwa Pisma św.: godnością królowej, złotem i pięknością! Dał ci panowanie, ponieważ jesteś oblubienicą wiecznego Króla, lub też dlatego, że ujarzmiwszy pokusy ciała, panujesz nad sobą jak królowa niezwyciężona. Dał ci złoto, bo jak ten kruszec po przetopieniu w ogniu staje się kosztowniejszy, tak i twoje ciało poświęcone Duchowi Św. wzrosło w wewnętrznej wartości. A cóż powiem dopiero o piękności, jaką cię Bóg obdarzył! Gdzie znaleść można większy wdzięk, jak u tej, którą Sędzia wieczny uznał godną Siebie, którą Król kocha, która Panu się oddała w ofierze i Bogu się poświęciła: wiecznie oblubienica i wiecznie dziewica, by ani miłość nigdy się nie skończyła, ani czystość się nie umniejszyła!“ [1] Słowa tego psalmu służyły zwykle biskupom za punkt wyjścia do przemowy. Nieraz znowu mówili na tle Pieśni nad pieśniami, lub słów Apostoła: *Poślubiłem was czystą pannę stawić jednemu mężowi Chrystusowi* [2]. Fragmenty takich przemów rozrzucone są po pismach św. Ambrożego. W nich wysławia mąż święty wielkość i piękność Boskiego Oblubieńca i szczęście dziewicy, która Go poślubiła. Jako wzór do naśladowania podaje jej św. Ambroży Najświętszą Pannę, Królowę dziewic i Mistrzynię panieństwa. Ona jest „zwierciadłem dziewictwa“; „jej życie szkołą dla wszystkich dziewic“ [3].

Po przemowie następowało złożenie ślubów. „Daremnie tłumaczyłem ci hymn dziewictwa, ubolewa św. Ambroży nad upadłą Zuzanną, poczem mówiłaś formułę poświęcenia się i przyrzekłaś święcie chować ślub uczyniony. A wszyscy obecni podpisali ten akt uroczysty nie atramentem, ale w duszy — słowem: Amen“ [4]. Aby profesyę uczynić jeszcze uroczystszą, odprawiano ją zwykle w wielkie święta, w które lud gromadził się tłumnie na nabożeństwo do kościoła. „Nadeszło święto Zmartwychwstania Pańskiego, mówi znów św. Ambroży, a na całym świecie udziela

[1] *De virginibus* lib. I, c. VII, Migne, pag. 199.

[2] II. list do Koryntów, r. XI., w. 2. *Despondi enim vos uni viro virginem castam exhibere Christo.*

[3] *De virgin.* l. II, c. II, p. 208.

[4] *De lapsu virg.* c. V, i VII.

Kościół św. Sakramentu chrztu, a dziewicom welonu“ [1]. „Najpiękniejsze gody obrałaś — przemówił papież Liberyusz w bazylice św. Piotra przy obłóczynach św. Marceliny, siostry św. Ambrożego. — Widzisz, ile ludzi zebrało się, aby święcić u r o d z i n y twego Oblubieńca... On niegdyś 4000 ludzi nakarmił pięciorgiem chleba i dwoma rybkami; więcej gości zaprosił na twe gody, aby ich nakarmić już nie chlebem jęczmiennym, ale chlebem niebieskim, ciałem swojem“ [2]. W dekretałach papieża Gelazego mamy spis tych uroczystości, które były przeznaczone na obłóczyny dziewic. Są to święta Trzech Króli, Wielkiejnocy i śś. Apost. Piotra i Pawła. W innych czasach tylko ciężko chore otrzymać mogły welon, „aby bez tej łaski nie zeszły ze świata“.

Po złożeniu ślubu, następowały obłóczyny, który to akt wyrażano słowy: *velare, velamine tegere, velamen accipere, tegere, claudere, operire, abscondere (faciem velo),* μαφορίζεσθαι — przyjąć welon. Od św. Hieronima dowiadujemy się, że dziewica otrzymywała przy obłóczynach nietylko welon, ale cały strój zakonny, i że to już znaczyło w połowie IV. wieku wyrażenie „otrzymać welon“. Chwali on bowiem w liście do Marcelli [3] dziewicę Bogu poświęconą, imieniem Azellę, za to, iż sprzedała swe klejnoty, aby za pieniądz nabyty kupić sobie tunikę brunatną *(tunica fuscior),* której w żaden sposób od matki dostać nie mogła. Jaśniej jeszcze mówi św. Ambroży o tej zamianie stroju świeckiego na zakonny, tłumacząc równocześnie jej znaczenie. „Weźmij tę suknię, mówi on do kandydatki, abyś się w Chrystusa oblekła“. A przy końcu tejże księgi: *De institutione virginis,* modli się: „Oblecz, o Boże, Ojcze Wszechmogący, twoją sługę w te szaty, i spraw aby zawsze zostały czyste“ [4].

Strój święty, *habitus Deo dicatus,* τὸ σχῆμα τῆς παρθενίας, składał się z welonu i sukni wierzchniej, zwanej *stola* albo *tunica,* którą św. Hieronim charakteryzuje jako: *pulla, furva, fusca, fuscior, vilis* — wszystko synonimy, mówiące iż suknia ta była uboga,

[1] Ambros., *Exhortatio virg.* c. VII, pag. 348.
[2] Ambros., *De virgin.* l. III, c. I, pag. 219.
[3] List 24.
[4] *De institut. virgin.* r. XVI.

skromna tak pod względem materyi jak i farby, w przeciwstawieniu do jedwabnych, purpurowych i złotem tkanych sukien ówczesnych pań świeckich. Ciekawy jest ustęp św. Chryzostoma, w którym mówi najpierw wogóle o przesadnem strojeniu się kobiet, a potem zwraca się do dziewic słowy: „Wiedz, iż nieraz więcej możesz dogadzać próżności w stroju prostym, niż w sukni tkanej złotem. Jak np. kiedy suknia jest farbowana pięknie na kolor niebieski i koło piersi ułożona najstaranniej na wzór tanecznic cyrkowych, i ściągnięta pasem, by nie była ani za wolna ani zbyt obcisła i w jak najliczniejsze układała się fałdy. Czy taka suknia nie podnieca bardziej zmysłowości, niż jedwabna? A cóż dopiero, kiedy ustroisz się jeszcze w czarne obuwie, błyszczące jak lustro i zakończone spiczasto i niczem nie ustępujące różnobarwnym! Wprawdzie oblicza nie farbujesz, ale za to więcej tracisz czasu na mycie niż przystoi, welon bielszy od twarzy zapuszczasz głęboko na czoło i zarzucasz ciemny płaszcz, by śnieżno-biała zasłona jeszcze lepiej odbijała. Czy to wszystko nie zwiększa raczej grzesznego wrażenia?“[1] Autor księgi „O Dziewictwie“ daje jakiejś pannie następujące wskazówki: „Materya twoich sukien niech nie będzie bogata. Suknia wierzchnia niech będzie ciemna, nie krzycząca, koloru naturalnego, albo żółto-biała. Welon niech będzie bez frendzli i tegoż samego koloru“[2].

Welon nazywano: *velum, velamen, maforte, flammeus, flammeus virginalis, flammeus Christi*, κάλυμμα, μαφόριον; często ma przydomek *sanctum, sacrum* — święty. Biskup podawał go ze słowy: „Weźmij, dziewico, święty welon i noś go nieskalanym aż do chwili, kiedy staniesz przed trybunałem Pana naszego Jezusa Chrystusa, przed którym uginają się kolana tych, którzy są w niebie, na ziemi i pod ziemią, po wszystkie wieki, Amen“. Formuła ta znajduje się prawie bez zmiany w najrozmaitszych liturgiach i sięga najodleglejszych czasów. Od Tertulliana dowiadujemy się, że za jego czasów welon dziewic Bogu poświęco-

[1] *Homil.* 8 in 1 Tim.

[2] *De virginitate.* Inter opp. Athan. ed. Migne, Patr. gr., t. XXVIII., str. 264.

nych niczem się nie różnił od welonu kobiet zamężnych. Gniewa on się na dziewice, które miasto właściwego welonu nosiły na czole wełnianą przepaskę, albo lada szmatą nakrywszy głowę, już chciały uchodzić za zawelonowane. Welon, jego zdaniem, powinien przynajmniej tak być duży, aby zakrył włosy rozpuszczone [1]. Ponieważ tworzył on część integralną stroju zakonnego, więc nic dziwnego, że wspominają o nim także nagrobki dziewic. Tak czytamy np. na kamieniu medyolańskim:

B M
PRENCEPIA QUE FUIT IN
CORPORE ANNOS PLUS M
ENUS XIIII ET MENSES IIII VER
GO ET NEOFETA IN CRISTO
HIC IACIACET DEUTERIA
CUM CAPETE VELATO QUE
FUIT IN CORPORE ANNOS
PLUS MENUS XXI ET MENSE
UNU POST CONSULATU BASSI
III IDUS OCCOB

Tu spoczywa błogosławionej pamięci Pryncypia, dziewica i neofitka w Chrystusie, która żyła koło lat 14 i miesięcy 4. — Tu spoczywa z welonem na głowie Deuterya, która żyła mniej więcej lat 21 i 1 miesiąc. Pochowana 13 oktobra, w rok po konsulacie Bassusa (409).

O czterech siostrach, dziewicach Bogu poświęconych, z Wercelli, głosi ich epigram metryczny, że weszły do nieba z świętym welonem na głowie:

INSIGNEIS ANIMO CASTAE VELAMINE SANCTO
CRINIBUS IMPOSITO COELUM PETIERE SORORES

Scenę uroczystych obłóczyn wziął za temat do prześlicznej kompozycyi artysta z czasów Tertulliana lub najpóźniej z połowy III. wieku. Mamy tu na myśli fresk z katakumb św. Pryscylli, należący niewątpliwie tak z układu poszczególnych grup, jak i z wykonania pojedyńczych figur, do najlepszych utworów

[1] *De vel. virg.* r. XVII., str. 911 i nast.

starokościelnej sztuki. Nie powiadamy, aby rysunek był wszędzie bez zarzutu [1], niemniej wyrywa się na jego widok okrzyk podziwu z piersi. Wspomnieliśmy już o nim na różnych miejscach; tu opiszemy go dokładniej. Ponieważ dotychczas nie mieliśmy wiernej jego kopii, więc podsuwano mu aż do ostatnich czasów najrozmaitsze znaczenia. Wilpert zrobił nową fotografię, a według niej sporządził kopię kolorowaną, która tak dobrze się udała, że Rossi, Marucchi i inni znawcy uznali ją jednogłośnie za najlepszą z wszystkich dotychczasowych reprodukcyj malowideł katakumbowych [2]. Kompozycya cała składa się z trzech części. Grupa pierwsza, po lewej stronie, przedstawia starca, siedzącego na katedrze, w białej, nieprzepasanej tunice, której długie rękawy i część przednia ozdobione są szlakiem purpurowym. Na tunice nosi płaszcz koloru żółtego, opatrzony kapturem. Przed nim stoi młoda niewiasta bez zasłony, w dalmatyce także koloru żółtawego, a za nią młodzieniec w stroju zielonawym, trzymający przygotowaną tunikę. Niewiasta ma w ręku biały przedmiot, podobny do złożonego welonu. Starzec wyciąga prawicę i wskazuje palcem na niewiastę, która siedzi naprzeciw niego na katedrze i przyciska do piersi nagie dziecko. W środku między temi dwoma grupami stoi Orantka w bardzo bogatym stroju. Szeroka jej dalmatyka jest cała purpurowa. Na tunice spodniej widać trzy purpurowe szlaki, a dwa szerokie pasy tego samego koloru i długie frendzle zdobią welon, którego oba końce spadają na piersi.

Bozyusz widział w pierwszej scenie obłóczyny dziewicy. Zdanie jego przyjęli prawie wszyscy archeologowie, i dopiero w nowszych czasach porzucili je trzej uczeni: Schultze i Roller protestanci, i ksiądz Davin. Roller przyznaje, że dziewica trzyma welon w ręce, ale twierdzi, że to raczej welon ślubny *(flammeus nuptialis)*, niż welon dziewic Bogu poświęconych. Jego zdaniem, przedstawia pierwsza scena prawdopodobnie zaślubiny Maryi

[1] U Orantki prawa ręka jest większa od lewej. Dyakon stoi tylko na jednej nodze. Możnaby jeszcze kilka innych wyliczyć błędów.

[2] Zob. *Die Gottgeweihten Jungfr.*, tabl. I, II.

Panny z św. Józefem wobec Arcykapłana[1]. Tłumaczy on tę grupę zupełnie niezależnie od dwóch drugich, nie uwzględniając wcale tej okoliczności, że giest ręki i spojrzenie starca łączą tę scenę z ostatnią, i że trudno tu znaleść welon ślubny. Zresztą sceny zaślubin zupełnie inaczej przedstawione bywają na monumentach: wszędzie oblubieniec podaje oblubienicy zawelonowanej prawicę, a nie kryje się za nią, jak to widzimy na naszym obrazie. Posłuchajmy Schultzego[2]. Ponieważ fresk ten, powiada on, wykonany doskonale, pochodzi bezsprzecznie z II. wieku, więc już z góry wykluczyć należy, aby mógł przedstawiać akt liturgiczny, który powstał w Kościele daleko później. Cóż on tedy wyobraża? Jakąś scenę familijną. Prawdopodobnie pierwsza scena po lewej ręce przedstawia „ojca z dwojgiem dzieci, zatopionych w czytaniu jakiegoś ustępu Pisma św., będącego w związku z historyą osoby przedstawionej na fresku środkowym, która zapewne jest zmarłą matką rodziny a żoną starca, siedzącego na katedrze. Niewiasta zaś z dzieckiem, na fresku ostatnim, jest zapewne starszą córką zmarłej matrony. Że nie jest Matką Bożą, dowodzi to, że ma włos krótko strzyżony, czego nigdy nie widzimy na obrazach Madonny". Otóż, pomijając już inne okoliczności, które kłam zadają tłumaczeniu Schultzego, zaznaczamy, że niewiasta ma włos krótki tylko na kilku złych kopiach, na których oparł widocznie tłumaczenie swoje Schultze, ale nie na oryginale.

Najmniejszej niema podstawy i wprost już śmieszne jest tłumaczenie ks. Davina, oparte także na lichej reprodukcyi. Chce on gwałtem z całej kompozycyi zrobić historyę Zuzanny. Starzec na katedrze ma być Helcyaszem; dziewica, jego córką Zuzanną, słuchającą wykładu prawa Mojżeszowego; młodzieniec jest albo Joachimem, który ją sobie zaślubia, albo prorokiem Jeremiaszem. Niewiasta z dzieckiem przedstawia tę samą Zuzannę, oczekującą wyroku śmierci za domniemane cudzołostwo. Ale Bóg nad nią się lituje — Chrystus ją wybawia — i oto zja-

---

[1] Roller, *Les Catacombes de Rome*, t. II., str. 154.

[2] *Archäologische Studien*, str. 182.

wia się raz jeszcze ta sama Zuzanna w środku obrazu, nienaturalnie wielka, śpiewając z rozłożonemi rękami hymn wybawienia. Słusznie zwie Wilpert to tłumaczenie wybrykiem fantazyi. Kiedy się je czyta, zdaje się, że archeologia kościelna jest jeszcze w pieluchach [1].

Po uporaniu się z temi tłumaczeniami, które wywołała jużto chęć oryginalności, jużteż uprzedzenia względem katolicyzmu, Wilpert daje swoje własne objaśnienia, w głównych zarysach już od dawna znane w Kościele. Za punkt wyjścia przy objaśnieniu większych kompozycyj wziąć należy zawsze te figury, których znaczenie jest całkiem pewne. W naszym wypadku, takiemi są: niewiasta siedząca po prawej stronie i Orantka w środku. Niewiasta z dzieckiem na katedrze, niezawelonowana, jest to Najśw. Marya Panna z Dzieciątkiem Jezus. Prawie taką samą widzimy ją na obrazie w katakumbach św. Piotra i Marcellina, gdzie przyjmuje dary od mędrców. Zaś Orantka symbolizuje zmarłą, znajdującą się już w niebie i modlącą się za pozostałych żywych, aby i oni do tegoż doszli celu. Jako centrum kompozycyi musi ona być w ścisłym logicznym związku z grupami bocznemi, a stąd nie wolno jej tłumaczyć w oderwaniu od tychże. Może ona przedstawia właśnie jednę z owych dziewic Bogu poświęconych, na których cześć w tym samym czasie, kiedy nasz obraz mógł powstać, tak natchnione mówił kazania św. Cypryan! Wszystko zależy od sceny po lewej stronie. Tu, jak już powiedzieliśmy, siedzi na katedrze starzec, a obok niego stoi młoda dziewczyna trzymająca w ręce przedmiot podobny do welonu; za nią, a więc osobą podrzędną, jest młodzieniec, który ma w ręce tunikę. Otóż to są właśnie główne osoby czynne przy obłóczynach dziewicy. Biskup, dziewica jeszcze bez zasłony, z welonem w ręku, i dyakon, który trzyma w pogotowiu habit, czyli tunikę dla profeski przeznaczoną. Podczas gdy dyakon jako posługujący stoi, biskup siedzi na katedrze, bo w rzeczy samej, siedząc spełniali biskupi funkcye religijne. Giest jego ręki i wzrok, skierowany ku stronie, gdzie jest Najświętsza

[1] *Die Gottgeweihten Jungfr.*, str. 58—60.

Panna z Boskiem Dzieciątkiem, zdają się mówić do kandydatki: *Hanc imitare, filia* — Tę weźmij sobie za wzór, córko! W środku wreszcie stoi *Orans*, obraz dziewicy zakonnicy, która — aby użyć słów znanego nam już napisu medyolańskiego — „z welonem na głowie“ spoczywała w grobie, wykutym w ścianie tejże kaplicy. Trafnie wymalowana została na jej grobie ta scena, która była rozstrzygającą w jej życiu. Gdyby nawet przedmiot, który dziewica niezawelonowana trzyma w ręce, był zwojem Pisma św., jak chcą niektórzy, to i wtedy znaczenie kompozycyi jest to samo. Wiemy już, że ślub dziewictwa ujęty był w pewną stałą formułę: może właśnie ta formuła była na zwoju wypisana. W tym wypadku byłby artysta wymalował tylko jednę część stroju świętego, podawanego przy obłóczynach, tj. tunikę, czyli suknię wierzchnią. Czytelnik może wybrać zdanie, które trafia mu więcej do przekonania; Wilpert uważa pierwsze za prawdopodobniejsze.

Mamy tedy przed sobą obraz liturgiczny, i w tem leży główna jego wartość [1]. Pokazuje on nam w sposób prosty ceremoniał obłóczyn dziewicy w wieku III. Sam tylko biskup miał prawo spełniać tę funkcyę: tu jest nim biskup rzymski. Według Bozyusza, jest to portret papieża Piusa, który poświęca jednę z córek św. Pryscylli, założycielki tego cmentarza. Garrucci widzi w nim papieża św. Klemensa, a dziewicę uważa za św. Domityllę. Oba przypuszczenia mają coś za sobą. W każdym razie ta kaplica powstała dopiero w wieku III. Dokładniejsze objaśnienie mógłby nam dać jedynie napis, który zamykał grób, wykuty poniżej naszego fresku, ale ten nie istniał już za czasów Bozyusza [2].

---

[1] Zob. co o tej wspaniałej trylogii powiedzieliśmy przed dwoma laty w „Archeologii chrześcijańskiej“, str. 175, 176.

[2] „Jeśli Orantka — zarzucili Wilpertowi niektórzy przyjaciele — ma być dziewicą Bogu poświęconą, to czemuż artysta wymalował ją w bogatej, purpurowej dalmatyce, nie zaś w stroju, jaki otrzymała przy obłóczynach?“ Na to zauważa Wilpert, że Orantka jest postacią idealną, obrazem zbawionej, która po zwycięstwie nad światem i ciałem została przyjęta do wiecznej chwały. Dla takiej postaci duszy tryumfującej w niebie, nie był odpowiedni ubogi i prosty strój profeski, a za to jest najstosowniejsza

Nie bez znaczenia także dla odtworzenia stroju dziewic z w. IV. są złote szkła, przedstawiające św. Agnieszkę. Na jednem nosi ona na długiej tunice krótką suknię wierzchnią, przepasaną niżej piersi, a na głowie ma bardzo długi welon.

Całą ceremonię, obejmującą profesyę i obłóczyny, określano słowy: *sacrare*, *consecrare virgines*, *consecratio virginis*, *consecratio virginitatis*. Prześliczne są modlitwy, któremi biskup polecał profeskę Bogu. Podajemy urywek takiej modlitwy, którą wygłosił św. Ambroży nad imienniczką swoją, dziewicą Ambrozyą. „Teraz, Ojcze, dawco łaski, zwraca się moje serce ku Tobie, aby Ci złożyć nieskończone dzięki za to, iż dałeś nam tu na ziemi oglądać w Twoich, Tobie poświęconych dziewicach życie aniołów, któreśmy niegdyś w raju utracili. Cóż bardziej mogło nas zachęcić do życia dziewiczego i pokochania cnoty i głoszenia chwały dziewictwa, jak to, że sam Bóg z dziewicy się narodził?... Błagam Cię, strzeż tej sługi Twojej, która pragnienia dziewiczej duszy swojej poświęca Twej służbie. Jako kapłan niosę Ci ją w ofierze, jako ojciec ją Tobie polecam. Niech dobroć i moc Twoja udzieli jej łaski, aby doszła do przybytków Oblubieńca i mogła Go oglądać i usłyszeć Jego wezwanie: *Pójdźże z Libanu oblubienico moja, pójdź z Libanu, pójdź: będziesz koronowana*[1]. Przykładem Tej, która Dziewicą, Boga samego nosiła w swem łonie, zagrzana do naśladowania tejże cnoty, stanęła przed ołtarzem Twoim nie w tym celu, aby wszyscy podziwiali jej jasne włosy, błyszczące pod welonem od drogich kamieni, ale aby pod tą dziewiczą zasłoną złożyć Ci w ofierze te włosy, na to samo przeznaczone, co włosy Magdaleny, tj. aby pokornie ocierały nogi Jezusa i cały dom napełniały wonnością olejków swoich... Daj jej sercu prostotę, jej ustom mądrość... daj jej miłosierdzie ku biednym i cierpiącym... Uświęć ją w prawdzie, utwierdź ją w cnocie, umocnij jej miłość i wprowadź ją kiedyś do wiecznej chwały, którą obiecałeś jako nagrodę nieskalanej czystości, aby

---

bogata purpurowa dalmatyka, która w czasie wykonania naszego obrazu była uprzywilejowanym strojem osób z panującej rodziny cesarskiej. *Die Gottgeweihten Jungfr.*, str. 64.

[1] Pieśń nad pieśn., r. IV., w. 8.

tam szła za Barankiem... zaliczona między dziewice mądre... A teraz przyjdź i Ty, Panie Jezu, pokaż się w dniu Twego wesela i przyjmij tę dziewicę: wszak ona już od dawna do Ciebie należy przez swą tęsknotę, a teraz ma się stać jeszcze Twoją przez profesyę. Daj jej poznać Twą wolę... aby mogła powiedzieć z psalmistą: *Ująłeś mię za prawą rękę moją, a według woli Twojej prowadziłeś mię, i przyjąłeś mię z chwałą.* Otwórz rękę Twoję i napełnij jej duszę błogosławieństwem... błagam Cię przez ten wieczny krzyż, przez chwałę Trójcy Św., której niech będzie cześć, sława, wieczność, Bogu Ojcu, Synowi i Duchowi Św., od wieków i teraz i zawsze i po wszystkie wieki, Amen" [1].

Pytanie, w jakim wieku mogło być publicznie panieństwo ślubowane? Otóż z końcem IV. wieku jeszcze w tym względzie nie było stałych i ogólnych przepisów. Rozstrzygała tu głównie wola biskupa i zwyczaje miejscowe. Zwyczajnie przypuszczał Kościół do uroczystych ślubów dopiero w dojrzalszym wieku. Św. Bazyli żąda ukończonego przynajmniej 16 roku. Synod w Hipponie postanawia, by nie dawano welonu przed rokiem 25. Jednak trafiało się, że Kościół, dla pewnych przyczyn, których sam był sędzią, pozwalał na przyspieszenie ślubów. Niejaka Azella w chwili obłóczyn ukończyła zaledwie rok 10. Niewiele starszą była św. Agnieszka, również Soteris, krewna św. Ambrożego, św. Irena, siostra papieża Damazego, Eustochium i Demetryas, które kierował św. Hieronim. Na nagrobku dziewicy poświęconej Bogu, która spoczywała w katakumbach św. Kaliksta, niedaleko grobu papieża i męczennika Korneliusza, czytamy:

PRIE IUN PAUSA
BET PRAETIOSA
ANNORUM PULLA
VIRGO XII TANTUM
ANCILLA DEI ET $\overline{\text{XPI}}$
FL · VINCENTIO ET
FRAVITO $\overline{\text{VC}}$ · $\overline{\text{COSS}}$ (r. 401).

Dnia 31 maja zmarła dziewica Precyoza, sługa Boża i Chrystusowa, licząca zaledwie lat 12, za konsulatu Fl. Wincencyusza i Frawita.

[1] *De institutione Virginis*, cap. XVII, ed. Migne, pag. 330—334.

Drugi kamień, znajdujący się w muzeum Lateraneńskiem, głosi:

BICTORIA FIDELIS BIRGO
QVE VIXIT ANNIS XVII
MENSIS VIIII DIES V IN PACE
DEFUCT V IDUS SEPTEMB

Wiktorya, wierna dziewica, która żyła lat 17, miesięcy 9, dni 5. Zasnęła w pokoju 9 września.

W cmentarzu św. Cyryaki spoczywała „Dziewica Chrystusowa", mająca lat 16. Metryczny napis z Wercelli, pochodzący z V. w., wspomina o dziewicy szlachetnego rodu, która umarła jako zakonnica, mając lat 13. Powyżej poznaliśmy napis medyolański, gdzie zmarła liczy lat 14. Inny nagrobek z Włoch północnych powiada, że FAMULA CHRISTI RUSTICULA VIRGO DEVOTA DEO żyła również koło lat 14. Na napisie gallickim z VI. w. czytamy obok lat przeżytych w zakonie, liczbę lat przebytych na świecie:

Euzebia żyła od dzieciństwa na świecie lat 14. Kiedy ją Bóg powołał do klasztoru św. Kuryka, służyła lat 50.

Tym, którzy gorszyli się tak wczesnemi obłóczynami, odpowiada św. Ambroży [1]: „I ja także jestem zdania, że kapłan musi tu bardzo być ostrożnym, aby nie dać welonu nierozważnie. Nie ulega wątpliwości, że dobrze powinien zbadać, czy dziewica ma wiek potrzebny, ale nie chodzi tu tyle o lata, ile raczej o dojrzałość w wierze i cnocie... Albowiem dla Boga każdy wiek wystarcza i każdy przyjmuje mile Chrystus. Wszak wiemy, że nie cnota jest przydatkiem wieku, ale raczej wiek przydatkiem cnoty. Nie trzeba tedy gorszyć się wczesnemi obłóczynami, bo czytamy, że nawet dzieci ponosiły męczeństwo za wiarę, i Pismo św. powiada: *Z ust niemowlątek i ssących uczyniłeś doskonałą chwałę* [2]. I na innem miejscu powiada Pan o dzieciach, co pobiegły za Nim na puszczę: ‚Nie zabraniajcie im przychodzić do mnie: albowiem takowych jest królestwo niebieskie' [3]. Nie wolno

[1] *De virginitate,* c. VII, pag. 276, n. 39.
[2] Psal. 8, 3. [3] Mat. 19, 14.

tedy odrywać od Chrystusa dziewic, bo o nich jeszcze napisano: ‚Olejek wylany imię twoje: dlatego panienki umiłowały cię'" [1].

Ponieważ śluby nakładały niemałe ofiary, więc Kościół baczył zawsze pilnie na to, aby wybór stanu był najzupełniej wolny, i karcił surowo rodziców, którzy gwałtem pchali do klasztoru córki brzydkie i ułomne, nie dając im nawet posagu, aby tem lepiej za to wyposażyć dzieci, na świecie zostające. Częściej zdarzało się, że rodzina stawiała córce wielkie przeszkody i nie chciała pozwolić na złożenie ślubów uroczystych. „Jeśli córki wasze, woła do takich matek św. Ambroży, chcą pokochać człowieka, to mogą wedle prawa obrać kogo zechcą; a komu wolno wybrać człowieka, temu nie byłoby wolno obrać Boga?" [2] Z drugiej strony, dziewicom, które miały do walczenia z takim oporem rodziny, tłumaczy to tenże Ojciec na dobre: „Rodzice sprzeciwiają się, ale chcą być zwyciężeni... Grożą wydziedziczeniem, aby się przekonać, czy twoje serce potrafi się oderwać od dóbr ziemskich; podsuwają różne ponęty, aby się dowiedzieć, czy doprawdy uciechy ziemskie nie mają w twoich oczach wartości... Zwycięż, dziewico, najpierw przywiązanie do rodziny, bo gdy tego dokażesz, to jużeś zwyciężyła świat cały" [3].

Kiedy rodzice nietylko grozili, ale wydziedziczali rzeczywiście swoje córki, pociesza je św. Ambroży, wskazując nagrodę, jaką w zamian za mienie ziemskie otrzymają od Boga. „Jeśli ci rodzice nie chcą dać posagu, to wiedz, że masz bogatego Oblubieńca, którego skarby hojnie ci nagrodzą rodzicielski majątek". O takiej walce, jaką dziewica staczać musiała w domu rodzicielskim, wspomina także napis gallicki:

HOC IACET IN TUMULO SACRATA
GEORGIA CHRISTI ET DIVOTA
BONIS MENTE FIDE MERITO
OB QUAM MAGNA PATREM
PREMERET CUM TURBA
PROCORUM ILLA DEUM
LEGIT FELICIORE TORO

[1] Pieśń nad pieśn., I, 2.
[2] Ambros., *De virginibus*, l. I, c. X, pag. 205, n. 58.
[3] Tamże, r. XI., str. 206, n. 63.

W tym grobie spoczywa Georgia. Bogu poświęcona, oblubienica Chrystusa, znakomita majątkiem, talentami, wiarą, zasługami. Wielu ludzi znamienitych nachodziło ojca o jej rękę, ale ona lepszy uczyniła wybór, zaślubiając się Bogu.

Już w pierwszych wiekach Kościoła istniał zwyczaj, że rodzice sami ofiarowali swe dziecko jeszcze niemowlęciem, na wzór matki Samuela, na służbę Bożą. O tej praktyce nietylko Ojcowie św., ale i nagrobki wspominają. Tak np. na napisie z roku 488, zmarła, licząca dopiero lat 3, zwie się: HOSTIA DECATA CHRISTO — Ofiara poświęcona Chrystusowi. A żyła dziecina, jak powiada epitaf, dlatego tylko tak krótko, aby tem świętsza mogła była pójść do Boga.

ADEO B(re)
VIUS VIXIT IN ISECOLO UT SANCTIOR MIGRARET AD (dm)

Sposób życia co do istoty był u wszystkich dziewic jednaki. Zajęcie ich da się streścić w słowach: modlitwa i praca. „Musimy często się modlić, pisze św. Ambroży do swej siostry; bo jeśli psalmista, zajęty sprawami państwa, mógł o sobie powiedzieć: *Siedmkroć przez dzień chwałęm Tobie dawał* — to cóż my powiemy, do których odnoszą się słowa: *Módlcie się a czuwajcie, abyście nie weszli w pokusę*[1]. Co najmniej zaś mamy się modlić rano, zaraz po wstaniu, kiedy wychodzimy z domu, przed i po jedzeniu, wieczorem i przed spoczynkiem. Pracę dzienną dobrze jest rozpocząć od psalmu ósmego: *Panie, Panie nasz, jakoż dziwne jest imię Twoje po wszystkiej ziemi*". Między różnemi modlitwami, poleca mąż święty siostrze, obok psalmów i modlitwy Pańskiej, szczególnie Skład Apostolski, który dla wiernego ma to samo znaczenie, co hasło dla żołnierza[2]. „Pragnę, pisze znowu św. Hieronim do Eustochium, abyś nawet w nocy na swem łożu, zanim zaśniesz albo kiedy się przebudzisz, mówiła naprzemian psalmy i Ojcze nasz". Ten sam Ojciec powiada także, iż niezbędną jest rzeczą, aby dziewica miała na modlitwę stałe godziny[3]. Z mo-

[1] Ambros., *De virg.* l. III, c. IV, pag. 225. [2] Tamże.

[3] „Post haec quanquam Apostolus orare nos semper iubeat, et Sanctis etiam ipse somnus sit oratio, sic tamen divisas orandi horas debemus ha-

dlitwą należy łączyć post codzienny [1], jako najskuteczniejszy środek ujarzmienia namiętności. Wina unikać trzeba jak trucizny, bo wino i młodość, to dwie najsilniejsze podniety zmysłowości. Na co do płomienia dodawać jeszcze ognia? Jeden chyba tylko jest wyjątek w czasie choroby. *Wody jeszcze nie pij,* pisze św. Paweł do Tymoteusza, *ale używaj potroszę wina dla żołądka twego i częstych chorób twoich.* W tym wypadku wolno także dziewicy używać wina, i to jeszcze niewiele [2].

Równie usilnie, jak do modlitwy, nawołują Ojcowie do pracy duchownej i fizycznej, a że te nawoływania nie były bezskuteczne, dowodem stopień wykształcenia owych niewiast, z któremi korespondował św. Hieronim. O Blezylli pisze np.: „Kiedy mówi po grecku, myślałbyś, że chyba nie rozumie po łacinie, a gdy znowu odezwie się językiem łacińskim, to widzisz, że włada nim doskonale. Co niegdyś cała Grecya podziwiała w Oryginesie, to się i u niej trafiło: bo nie tyle w kilku miesiącach, ile raczej w niewielu dniach tak pokonała trudności języka hebrajskiego, iż dorównywała matce w uczeniu się i śpiewaniu psalmów“ [3]. Największą wagę kładą Ojcowie na studyum Pisma św., a odradzają dziewicom czytanie dzieł świeckich. „Nie chciej uchodzić za bardzo wymowną, odzywa się św. Hieronim do Eustochium, ani też czasu nie trać na robienie wierszy... Bo jakież jest pokrewieństwo między Horacym a psałterzem? Co ma wspólnego Maro z Ewangelią, albo Cycero z Apostołem?“ [4]

Nad wykształceniem i wyrobieniem duchownem dziewic pracowali najznakomitsi nauczyciele Kościoła. W Rzymie miewał dla nich sam św. Hieronim prawie przez trzy lata wykłady o Piśmie św.; w Medyolanie czynił to samo św. Ambroży. Obok modlitwy, oddawały się dziewice różnego stanu i pochodzenia

---

bere, ut si forte aliquo fuerimus opere detenti, ipsum nos ad officium tempus moneat. Horam tertiam, sextam, nonam, diluculum quoque et vesperam, nemo est qui nesciat“. *Epist.* XXII, ed. Migne, pag. 421, n. 37.

[1] Św. Hieronim, l. c., str. 404. „Sint tibi quotidiana ieiunia, et refectio satietatem fugiens. Sit tibi moderatus cibus, et numquam venter expletus“.

[2] Ambros., *De virg.* l. III, c. II, pag. 221.

[3] Hieron., *Ep.* XXXIX, p. 465. [4] Tamże, XXII, p. 415.

pracy ręcznej. Ubogie zarabiały w ten sposób na życie; wszystkie zaś zyskiwały przez to środki do dzieł miłosierdzia. „Dziewczęta niżej lat dwudziestu, pisze św. Jan Złotousty, wychowane w zbytkach i zajęte w swych komnatach tylko strojami i upiększaniem ciała, porwane nagle miłością ku Chrystusowi, zapominają o młodości i wygodach i, na wzór dzielnych wojowników, w sam wir boju się rzucają. Nieprawdopodobnem wyda się może, co powiem, niemniej jednak jest prawdziwem. O tych dziewczętach słyszałem, że na gołem ciele noszą najgrubsze włósienice, chodzą boso i śpią na sitowiu, a raczej czuwają noc całą... Jedzą tylko wieczorem, i to nawet nie jarzyny ani chleb, ale fasole, groch, oliwki i figi. Ciągle zajęte są przędzeniem wełny i praca ich daleko jest cięższa aniżeli sług: bo poświęciły się na usługi chorych, ścielą im łoża, myją nogi, a niektóre nawet dla nich gotują. Tak wiele potrafi dokazać miłość Chrystusa!“ [1] Św. Hieronim żąda od Lety [2], aby jej córeczka Paula, Bogu poświęcona, nauczyła się wcześnie przędzenia, tkactwa, szycia sukien i podobnych robót.

Wielką wagę kładą dalej starzy przewodnicy duchowni na milczenie. Wolę, powiada papież Liberyusz do Marceliny, jeśli dziewice mówią raczej za mało, niż za wiele. Bardzo powinny także unikać wizyt i towarzystwa osób światowych i pobożnych próżniaczek, tak zamężnych jakoteż i wdów, które wdowami są raczej z konieczności niż z przekonania [3]. Na ulicy mają się jak najmniej pokazywać, a jeśli wyjść muszą, to całe ich zachowanie powinno być skromne i budujące. Nie przystoi im także uczęszczać na uczty weselne i do łaźni publicznej, ubierać się w jedwabie i purpury, bo które tak czynią, te już w Chrystusa oblec się nie mogą. „Mienia twego, radzi św. Cypryan, używaj zbawiennie. Jedynie biedni niech wiedzą o tem, żeś bogata. Ojcowiznę twą daj Bogu na lichwę, karmij nią Chrystusa!“ [4] Go-

[1] Homil. XIII. *in Epist. ad Ephes.* [2] Hieron., *Epist.* 108, pag. 875.

[3] Hieron., *Epist.* XXII, pag. 403. Zob. także *Epist.* 130, pag. 1121. Ambroży, *Exhort. virginit.* c. X, p. 375.

[4] Cypr., *De habitu virginum*, edit. Caillau, pag. 352. „Locupletem te dicis et divitem, et utendum putas iis, quae possidere te Deus voluit. Utere,

rąco zaleca św. Augustyn dziewicy cnotę pokory. „Na co się zda czystość ciała, jeśli duch jest zepsuty? Lepsza jest pokorna małżonka, niźli pyszna dziewica“ [1]. Co zresztą może w dziewicy wzbudzić pychę? Wszak więcej otrzymała, kiedy poślubiła Chrystusa, niż złożyła w ofierze. „Bądź pokorna, jeśli nie chcesz upaść“, odzywa się do Eustochium św. Hieronim. Wzorem najpiękniejszym życia cichego, czystego, pokornego, jest Najświętsza Panna. Pokarmu używała Ona nie dla przyjemności, ale by się od śmierci uchować. Do snu pchała Ją konieczność, a nie przyjemność, i jeszcze podczas spania umysł jej czuwał i przeżuwał, co przez dzień czytała [2]. „Żądania te, dodaje św. Hieronim, wydadzą się może za trudne tym, co nie kochają Chrystusa... duszy prawdziwie kochającej nic nie jest za twarde“ [3].

Takie wymagania i życzenia wyrażają Ojcowie. W praktyce oczywiście nie wszystko temu ideałowi odpowiadało. Były i będą zawsze w każdym stanie dusze wielkie i małe. Już Tertullian zna dziewice takie, które tylko ze względów materyalnych przyjmowały welon, aby od Kościoła otrzymywać wsparcie i przejść wygodniej przez to życie [4]. Inne pchała do tego stanu pycha. Były i takie, które w połowie III. w. odwiedzały łaźnie publiczne, uczęszczały na bankiety, stroiły się zbytkownie i malowały twarz i włosy [5]. „Nie boisz się, woła św. Cypryan, że cię Bóg w dzień sądu nie pozna i wykluczy z nieba, mówiąc: to nie jest mojem dziełem, ani obrazem moim. Skórę zanieczyściłaś fałszywemi lekami, barwę włosów zmieniłaś kłamliwą jakąś farbą... cała twarz twoja jest obca. Nie możesz oglądać Boga, kiedy

---

sed ad res salutares; utere, sed ad bonas artes; utere, sed ad illa quae Deus praecepit, quae Dominus ostendit. Divitem te sentiant pauperes, locupletem te sentiant indigentes. Patrimonium tuum Deo foenera, Christum ciba“.

[1] *Enarrat.* in psalm. 99.

[2] Ambros., *De virgin.* l. II, cap. II, pag. 209.

[3] Hieron., *Ep.* XXII, n. 39. „Haec omnia quae digessimus, dura videbuntur ei, quae non amat Christum... n. 40. Nihil amantibus durum est, nullus difficilis cupienti labor est“.

[4] Tertull., *De vel. virg.*, c. XIV, pag. 908.

[5] Tamże.

oczy twoje malowane nie są temi, jakie Bóg stworzył, ale jakie szatan zeszpecił... Zostań raczej taką, jaką cię Bóg stworzył. Nie poprawiaj Boga. Nie przekłuwaj uszu, nie obwieszaj szyi i ramion kosztownemi łańcuchami, nóg nie ubieraj w złote sandały. Nie bądź niewolnicą stroju, ty, co dziewicą jesteś; zwyciężyłaś ciało, zwyciężż także złoto“ [1].

Napisy grobowe, jak łatwo się domyśleć, niewiele zawierają szczegółów o życiu codziennem dziewic. Na monumentach z czasów przedkonstantyńskich czytamy zwykle tylko nazwy, określające stan zmarłej. Obszerniejsze są już napisy z drugiej połowy IV. w. i czasów następnych. Przytoczymy kilka ciekawszych. Metryczny nagrobek z Medyolanu opiewa:

Czytelniku, warto się dowiedzieć, czyje kości spoczywają w tym grobie przed konfesyą męczennika. Jest to Manlia Dedalia, dziewica poświęcona Bogu, bardzo majętna i matka ubogich. Żyjąc na świecie, nie żyła jednak wedle świata, kochając jedynie drogę, wiodącą do nieba. Mając lat blizko 60, skierowała swe kroki ku niebu, do Chrystusa. Ten napis, siostro, położył ci twój brat i spadkobierca Teodor, aby go przyszłe czytały pokolenia [2].

Ciekawy jest napis gallicki z r. 431, który powiada, że dziewica żyła jak śluby każą [3]:

IN HUC LOCU REQUIEVIT LEUCADIA
DEO SACRATA PUELLA QUI VITAM
SUAM PROUT PROPOSUERAT
GESSIT QUI VIXIT ANNOS XVI TANTUM
BEATIOR IN $\overline{\text{DNO}}$ CONDEDIT MENTEM
PTS $\overline{\text{CŌ}}$NSV THEUDOSI XI · II

W tym grobie spoczywa Leokadya, dziewica Bogu poświęcona, która żyła tak, jak przyobiecała przy ślubach. Żyła tylko lat 16. Myśl całą skierowała ku Bogu...

Na nagrobku z Narbony czytamy, że zmarła odznaczała się „miłością ku ubogim, wielką czcią ku Świętym i ścisłem przestrzeganiem reguły zakonnej“ [4]:

---

[1] Cypr., *De hab. virg.*, str. 354—358.
[2] Zob. Wilpert, *Die Gottgeweihten Jungfr.*, tabl. III., n. 7.
[3] Zob. l. c., tabl. v., n. 13.
[4] Zob. Wilpert l. c., str. 39.

.... IN ELEMOSINIS OMNINO
PRUMTA MEMORIIS ET ORATIONIBUS
SCRM VALDE DEVOTA REGOLAS MONAS
TIRII INSTANTISSIME OBSERVANS

Dziwną może się wydać rada św. Ambrożego, żeby dziewice nie chodziły do kościoła częściej, niż w niedziele [1]. Jeśli jednak zważymy, że częste wychodzenie z domu, zwłaszcza w wielkich miastach, było połączone dla dziewic z niemałemi niebezpieczeństwami, a nadto, że wierni mogli jeszcze w owych czasach przechowywać Eucharystyę w mieszkaniach prywatnych i przyjmować Komunię w domu, to przestroga świętego męża nie będzie nas więcej dziwiła. W kościele dziewice miały dla siebie miejsce odgrodzone balustradą, gdzie na ścianie znajdowały się odpowiednie ustępy z Pisma św., jak np.: *I białogłowa niemężata i panna myśli o tem co Pańskiego jest, aby była święta ciałem i duchem* [2]. Wykopaliska w Algierze dostarczyły odłamu takiej balustrady, na której jest napis: VIRGINUM CANC(ellus).

Na zakończenie należy powiedzieć jeszcze słów kilka o początkach życia klasztornego. W epoce krwawych prześladowań żyły Bogu poświęcone dziewice w domu rodzicielskim, zostając niemniej w ścisłej z sobą łączności. Na ich czele były profeski starsze i wypróbowanej cnoty, a jedne drugim służyć miały za wzór i pobudkę do doskonałości [3]. Jeżeli dziewice nie miały ojcowizny, wówczas Kościół starał się o utrzymanie, o ile zapisane były w metrykach parafialnych *(canonicae*, κανονικαὶ, κεκανονισμέναι, ἐκκλησιαστικαί). Nad takiemi powinien był biskup, zdaniem św. Cypryana, troskliwie czuwać, i baczyć przedewszystkiem na to, aby mieszkały z dala od mężczyzn [4]. Pierwsze dokładniejsze

[1] Ambros., *Exhort. virg.*, c. x, pag. 357. Cfr. Hieron., *Epist.* 22, p. 404; *ep.* 108, pag. 896.

[2] 1. Cor. 7, 34.

[3] „Provectae aetatis, iunioribus facite magisterium. Minores natu praebete comparibus incitamentum. Hortamentis vos mutuis excitate, aemulis de virtute documentis ad gloriam provocate". Cypr. *De hab. virg.* ad finem.

[4] „Liberanda est vigilanter de periculosis locis navis, ne inter scopulos et saxa frangatur". *Epist.* 62.

wiadomości o takiem wspólnem życiu dziewic na Zachodzie podaje nam dopiero św. Ambroży, który wspólne ich domy nazywa *sacraria virginitatis, tabernacula Christi,* a raz: *monasterium virginale,* panieński klasztor. On też jeśli nie jest twórcą klasztorów żeńskich w Italii, to przynajmniej jest ich organizatorem i najgorętszym krzewicielem życia wspólnego. W domu medyolańskim, którym kierował sam mąż święty, była liczba profesek bardzo wielka. Nie brakowało tam i cudzoziemek, a nawet z dalekiej Maurytanii przybyły dziewice, aby tylko w ręce samego Ambrożego módz złożyć śluby. Inny klasztor był w Bononii i liczył głów dwadzieścia.

W Rzymie koło r. 340 szerzył zamiłowanie do życia zakonnego św. Atanazy, który schronił się tam przed prześladowaniem Aryanów, przypatrzywszy się wprzód życiu wspólnemu ascetów i dziewic na puszczy Tebajdy. Pierwszy klasztor w stolicy wybudowała w połowie IV. w., wedle opowiadania św. Hieronima, słynna Marcella, niewiasta, która w swym rodzie liczyła konsulów. Po siedmiu miesiącach pożycia, straciła męża, a że była nietylko młoda i bogata ale i piękna, więc wielu starało się o jej rękę, a między innymi konsul Cerealis. Ale Marcella wyrzekła się powtórnego małżeństwa; mimo próśb matki Albiny, złożyła ślub czystości, i swój pałac na Awentynie zamieniła na klasztor. Za jej przykładem poszło wnet tyle dziewic, że Rzym dorównywał niemal liczbą klasztorów Jerozolimie. „W Rzymie odtworzono cuda Tebajdy, powiada pięknie Montalembert. Mieszkania senatorów, następców Grachów, Marcellusa, Kamillusa, Anicyusza, zamieniono w klasztory, a jeśli nie zawsze ich mieszkańcy przywdziewali habit zakonny, to wiedli jednak żywot twardy, surowy, umartwiony. Imiona znakomite, które zniknęły z historyi w kloace cesarstwa, wypłynęły teraz na nowo, aby świetniejszym jeszcze zajaśnieć blaskiem“ [1]. Inny klasztor stał niedaleko bazyliki św. Wawrzyńca, na *Agro Verano*, jak tego dowodzą znalezione tu w większej liczbie napisy i sarkofagi dziewic Bogu poświęconych.

[1] *Les Moines d'Occident.* Paris 1860. T. I., str. 146.

Najstarszy z napisów datowanych pochodzi z r. 381. Jest pełen błędów i opiewa:

INFANTI AETAS VIRGINITATIS INTEGRITAS MORUM GRABTAS
FIDEI ET REVERENTIAE DISCIPLA IC SITA RUFINA IACET QUE
[VIXIT · ANIS · XXI
DEPOSITA IIII · NONS · AUG · FL SAGRIO ET EUCERIO · CC · SS A☧Ω[1]

Tu spoczywa Rufina, która żyła 21 lat i została pochowana 2 sierpnia za konsulatu Fl. Syagryusza i Euceryusza. Wiekiem dziecko, odznaczała się nieskalanem dziewictwem, surowemi obyczajami i ścisłem przestrzeganiem przepisów wiary i obowiązków stanu.

Ciekawe są jeszcze dwa napisy, z których jeden wymienia dziewicę Pretekstatę, zmarłą w r. 464, a drugi Klaudyę:

QUIESCIT IN PACE PRAETEXTATA
VIRGO SACRA DEPOSITA D · VII
ID · AUG · CONS · RUSTICI ET OLYBRI (r. 464).

Tu spoczywa w pokoju Pretekstata, dziewica Bogu poświęcona, która została pochowana 7 sierpnia za konsulatu Rustyka i Olybrysza.

De Rossi domyśla się nie bez podstawy, że Pretekstata pochodziła ze słynnego rodu Pretekstatów, który czynił wszelkie wysiłki, aby ratować upadające pogaństwo, aż sam wreszcie ugiął kark pod jarzmo Chrystusa. Klaudya znowu może być łatwo jedną i tą samą osobą z Westalką tegoż imienia, która porzuciła, wedle opowiadania Prudencyusza, świątynię Westy, przyjęła chrześcijaństwo i miała szczególniejsze nabożeństwo do grobu św. Wawrzyńca:

AEDEMQUE, LAURENTI TUAM
VESTALIS INTRAT CLAUDIA[2]

Już ze słów poety możnaby wnosić, że Klaudya wstąpiła po swem nawróceniu do klasztoru, położonego w sąsiedztwie św. Wawrzyńca, i tu zakończyła życie jako zakonnica. Więcej jeszcze prawdopodobieństwa nadaje całej rzeczy znaleziony w r. 1882 w domu Westalek na forum napis na marmurowym postu-

[1] Infantiae aetas, virginitatis integritas, morum gravitas, fidei et reverentiae disciplina: hic sita Rufina iacet, quae vixit annis XXI; deposita (est) IIII nonas Augustas, Flavio Siagrio et Eucerio consulibus. — De Rossi, *Inscript. christ.* T. I., n. 304.

[2] Prudentius, *Peristephanon*, hymn II., v. 527 sq.

mencie, położony w r. 364 za pontyfikatu Makrynusa Sossyanusa, przez kolegium kapłanów, na uczczenie przełożonej dziewic, Westy. Z imienia dziewicy została tylko pierwsza litera C, resztę wyskrobano starannie jeszcze w starożytności. Zachodzi tu wypadek zagłady pamięci *(damnatio memoriae)*, jedyna kara, jaką jeszcze w owym czasie kolegium kapłańskie mogło ukarać niewierną Westalkę. Jeśli zważymy, że w tym czasie wiele rodzin arystokratycznych opuszczało stare bogi i że imię dziewicy zaczyna się właśnie od litery C, podobnie jak na nagrobku z cmentarza św. Cyryaki, to przypuszczenie Rossi'ego staje się istotnie prawdopodobnem.

Na Wschodzie życie zakonne było już w tych latach w pełnym rozkwicie. Ciekawe szczegóły o urządzeniu klasztorów, założonych przez św. Paulę w Betleem, znajdujemy u św. Hieronima. Paula była *vidua professa*, tj. wdową, która zobowiązała się ślubem do chowania czystości dozgonnej [1]. Razem z córką Eustochium i kilku innemi dziewicami opuściła ona ojczyznę i udała się do Palestyny, aby tam zwiedzić miejsca, uświęcone życiem i męką Zbawiciela, a wreszcie osiadła w Betleem i założyła tam kilka klasztorów, które wnet zapełniły się dziewicami wszystkich stanów. Mieszkały one w trzech domach, z których każdy miał swą przełożoną czyli matkę, i schodziły się tylko na wspólne modlitwy i śpiewanie psalmów, a mianowicie rano, na tercyę, sekstę, nonę, nieszpory i o północy. Psalmy musiała każda umieć na pamięć. Do kościoła szły tylko w niedzielę, ubierały się jednako, nie miały osobistego majątku, żyły ubogo, zajmując się, obok modlitwy, uczynkami miłosiernemi. Matka i córka dawały podwładnym najlepszy przykład. Nosiły suknie grube i spełniały najniższe posługi, gotując strawę, usługując przy stole, zamiatając cele, i t. p.[2] Klauzury przestrzegano ściśle, a nawet znajdujemy już w tym czasie w klasztorach Syryi i Egiptu zwyczaj obcinania włosów, nie przyjęty jeszcze na Zachodzie, gdzie

[1] Paula należała także do najznakomitszych rodzin rzymskich. Matka jej wywodziła ród swój w prostej linii od Pawła Emiliana i młodszego Scypiona, ojciec od Agamemnona, a mąż pochodził z rodu Juliuszów.

[2] Zob. św. Hieronima list 108 i 66.

św. Ambroży tylko za karę i dla upokorzenia kazał obciąć włosy upadłej dziewicy Zuzannie.

Twierdzą niektórzy nowsi historycy protestanccy, że życie zakonne chrześcijańskie jest tylko naśladowaniem wspólnego życia kapłanów Serapisa w starym Egipcie. Inni wywodzą je z Budyzmu, a jeszcze inni utrzymują, że rozwinęło się z Neoplatonizmu. Wystarcza tym pisarzom pewne zewnętrzne podobieństwo między ascezą pogańską a chrześcijańską, aby zaraz wyciągnąć wniosek, że nic nowego pod słońcem, ale jak chrystyanizm jest tylko dalszym rozwojem ducha starożytnego, tak i instytucye chrześcijańskie naśladownictwem różnych urządzeń pogańskich. Otóż za odpowiedź starczy to, cośmy powiedzieli o dziewicach Bogu poświęconych. Jak nie od Westalek nauczyło się chrześcijaństwo cnoty wiecznego dziewictwa, tak i życie zakonne tychże dziewic nie jest naśladowaniem jakiejś instytucyi pogańskiej, ale tylko ostatecznem przyobleczeniem w ciało i urzeczywistnieniem słów Chrystusa, który sam nakreślił plan przyszłych klasztorów chrześcijańskich, stawiając jako szczyt doskonałości życie dziewicze [1], połączone z ubóstwem [2] i usunięciem się od świata [3]. Jeśli Pytagoras żył tak ascetycznie ze swymi uczniami, że zasłużył sobie u Ojców Kościoła na imię księcia mnichów, jeśli Judea miała swych Terapeutów i Esseńczyków, Indye swoich fakirów, którzy umartwienie posuwają aż do szaleństwa: to wszystko tego tylko jednego dowodzi, że życie zakonne, któremu Chrystus Pan dał nadprzyrodzony charakter, ma swą podstawę już w samej naturze ludzkiej.

Że chrześcijańskie zakony nie ukształtowały się zaraz w II. wieku i w pierwszej połowie III., to dlatego, że warunki nie były po temu. Ale zaledwo Kościół uzyskał wolność, a już owi samotnicy, którzy za przykładem św. Antoniego i Pawła u schyłku

---

[1] Ew. św. Mat. r. XIX., w. 12.

[2] Łuk. r. XVIII., w. 22.

[3] Łuk. r. XVIII., w. 29, 30. „Zaprawdę wam powiadam: iż niemasz żadnego, który opuścił dom, albo rodzice, albo bracią, albo żonę, albo dzieci, dla królestwa Bożego, a nie miałby wziąć daleko więcej w tym czasie a w przyszłym wieku żywot wieczny".

III. wieku zaludnili puszczę Tebajdy, wyspy Nilu, brzegi morza Czerwonego, góry Nitryi i Synaj, zszeregowali się i związali w potężną armię.

Skończyli swą misyę męczennicy i ustąpili z widowni — powiedzmy, jako instytucya — a zjawili się zaraz zakonnicy, aby zająć ich miejsce. Tamci budowali fundamenta Kościoła krwią własną; tych zadaniem będzie modlić się za tych, co się nie modlą, umartwiać się za tych, co we wszystkiem sobie dogadzają, i odpierać aż do końca wieków od warowni Chrystusowej napaści heretyków.

Ks. Józef Bilczewski.

KS. STANISŁAW SOKOŁOWSKI.

Studyum do dziejów kaznodziejstwa XVI. wieku.

(Ciąg dalszy).

Protestanci już od dawna szukali przyjaciół i sprzymierzeńców na Wschodzie. W r. 1559 nawiązał Melanchton stosunki z patryarchą Jozafatem II., i ucieszył się, „że Bóg na Wschodzie wśród największych nieprzyjaciół chrześcijaństwa Kościół zachował“ — ale Patryarcha, który się spostrzegł i na twierdzenia Melanchtona zgodzić się nie chciał, pogardliwem milczeniem odepchnął jego zaloty. Miłość jednak do schyzmy w sercu protestantyzmu nie wygasła i oświadczyli się znów z nią po 14 latach dwaj wielcy apostołowie protestanccy: Marcin Crusius, profesor literatury klasycznej na uniwersytecie w Tubindze, i Jakub Andreae, kanclerz tegoż uniwersytetu, zwany drugim Lutrem. Właśnie wyjeżdżał uczeń Crusius'a, Gerlach, na stanowisko predykanta przy Ambasadzie Niemieckiej w Konstantynopolu; jego więc postanowiono użyć za dziewosłęba. Rzeczywiście Crusius wręczył Gerlachowi list zawierający wyrazy gorących uczuć względem Patryarchy, kanclerz zaś napisał list polecający dla oddawcy. W tych pismach tłumaczyli, że nic nie stoi na przeszkodzie, by schyzma podała rękę protestantyzmowi, bo przecież nie potrzebuje go się bać i żyć z nim w niezgodzie; jedność wewnętrzna w nauce jest u nich jak największa. Patryarchą w Konstantynopolu od r. 1572 był Jeremiasz II. Piętnastego paździer-

nika spełnił Gerlach polecenie Crusius'a. Schyzmie podobała się zrazu ta propozycya; Patryarcha przyjął oświadczenie uprzejmie i obiecał, że odpisze, ale z odpowiedzią się nie spieszył. Paliło to protestantów tak bardzo, że trzy razy piszą, siląc się na nowe wynurzenia, coraz to czulsze; posyłają Patryarsze egzemplarz greckiego przekładu Augsburskiego wyznania wiary, dokonany niegdyś dla Melanchtona przez Pawła Dolscius'a — aż wreszcie schyzma, która po pierwszych miłosnych uczuciach niedowierzać zaczęła, dała wkońcu odpowiedź.

W odpowiedzi tej, pod koniec 1574 r. wydanej, wyczytali owi gorliwi apostołowie protestantyzmu wyrazy grzeczności, ale zarazem siostrzeńską radę, by nie odrzucali tradycyi. Tradycya, to szkopuł, o który musiało się wszystko rozbić. Rozkochani jednak w schyzmie protestanci niezmordowani byli w swem apostolstwie. Oświadczyli 20 marca 1575 r., że trzymają się ściśle zasad, których nauczali Prorocy, Apostołowie i „siedem soborów opartych na Piśmie św.". Po długiej odwłoce, dał im Patryarcha stanowczą odprawę w swej odpowiedzi na wyznanie Augsburskie, którą im przesłał pod dniem 15 maja 1576. Odpowiedź ta była rekuzą nie bardzo przyjemną dla zalotników, i radziby byli ją schować bardzo głęboko *ad acta;* a tymczasem, jak na złość, dostała się ona zaciętemu ich wrogowi — ks. Sokołowskiemu, który oczywista, dla ich zawstydzenia, nie zamilczy o tych umizgach, i ogłaszając tę odprawę, obleje ich zimną wodą. Nie zaraz jednak wystąpił Sokołowski do walki; długo się przygotowywał, ażeby razy były tem skuteczniejsze. Protestanci nie ustawali w swych usiłowaniach coraz gwałtowniejszych, nie zrażając się stanowczą odmową Patryarchy.

Dzieło, którem ks. Sokołowski tak bardzo zawstydził protestantów, wyszło z druku 1581 r., p. t. *Censura orientalis Ecclesiae.* Jest to owa rekuza, którą otrzymali luteranie w r. 1576, przetłumaczona z greckiego na język łaciński [1]. Przysłał mu tę

[1] Błędnie więc całkiem podaje Wiszniewski („Historya literatury polskiej", VI, str. 213, przyp.), jakoby to było tłumaczeniem wspomnianych pism teologów protestanckich.

odpowiedź Patryarchy archimandryta Theoleptus. Od niego to bowiem dowiedział się Sokołowski o tych zabiegach protestantów i odpowiedzi Patryarchy, podczas swego pobytu we Lwowie r. 1578. Theoleptus wybierał się właśnie podówczas do Konstantynopola; prosił go więc Sokołowski o przysłanie odpowiedzi Patryarchy i innych w tym przedmiocie dokumentów. Dotrzymał obietnicy Theoleptus, i przysłał odpowiedź wraz z listem, który Sokołowski umieścił na końcu swego tłumaczenia. Przychwyciwszy takiego zbiega do obozu przeciwników, jak mówi, uważał za obowiązek zaprowadzić go do swego wodza, do papieża. Miało to posłużyć zarazem jako dowód, że i schyzma potępia błędy protestantów; w tej odpowiedzi bowiem Patryarcha obstaje za koniecznością dobrych uczynków, a mianowicie: postu, dziewictwa, życia zakonnego i t. d. Twierdzi, że w prawdziwym Kościele musi być 7 Sakramentów, przyjmuje transsubstancyacyę, Sakrament kapłaństwa objaśnia według nauki katolickiej, oświadcza się za czcią Świętych i t. d. Tłumacząc tę odpowiedź Sokołowski, dodaje swoje uwagi w przypiskach, i zaopatrzywszy w piękną przedmowę dedykacyjną do Grzegorza XIII., wydaje, wypisawszy na czele: *Vos misistis ad Ioannem, et testimonium perhibuit veritati*[1]. W 21 rozdziałach rozbiera tu Jeremiasz dwa punkta wiary, które zaprzeczali protestanci a wyznawał Kościół wschodni. Każdy rozdział poświęcony innemu przedmiotowi. Pierwszy np. o pochodzeniu Ducha Św., inne o grzechu, chrzcie św., bierzmowaniu, spowiedzi, dobrych uczynkach i t. d. Gdzie tylko przy tłumaczeniu nastręcza się sposobność, Sokołowski umieszcza przypiski niepospolitej wartości, nieraz bardzo długie. Kiedy np. Patryarcha w przedmowie powiada, że będzie popierał swoje twierdzenia powagą siedmiu soborów powszechnych, które i oni uznają, robi Sokołowski uwagę, że gdyby się byli trzymali logicznie i rzeczywiście nauki choć tylko tych siedmiu soborów, nie byłoby u jednych przyszło do schyzmy, u drugich do herezyi. Pyta się więc, jak i dlaczego wynikła nieszczęsna schyzma — i odpowiada na to krótko a głęboko i z wielką

[1] Ioann. v. 33.

znajomością historyi kościelnej. Kiedy zaś Patryarcha z nauki soboru Nicejskiego usiłuje dowieść fałszywości dogmatu, że Duch Św. pochodzi także od Syna Bożego, ks. Sokołowski w obszernym dopisku, pełnym nauki, znajomości Ojców Kościoła i historyi, zwycięsko odpiera wszystkie zarzuty.

Ta *Censura* narobiła w całej Europie wrzawy, a ks. Sokołowskiemu zjednała wielkie imię. Grzegorz XIII. pisze 12 maja 1584 r. do Sokołowskiego, już naonczas kanonika: „Otrzymaliśmy książki Twoje, pełne pobożności i nauki o znamionach prawdziwego Kościoła, i dowiedzieliśmy się, że nietylko piórem, lecz i kazaniem przyczyniasz się do pomnożenia chwały Bożej i religii katolickiej. Dlatego miłujemy Cię i jak najwyżej cenimy Twoją wierność, i nie wątpimy, że zawsze wytrwasz w tem dziele, jak największej pochwały godnem i najużyteczniejszem, a dobroci Boskiej najprzyjemniejszem. Nie mamy więc powodu zachęcać Cię, wiele zaś mamy powodów, by podziękować Bogu i powinszować Ci Twego męstwa". Jak wielkiem uznaniem zasług, a zarazem nagrodą dla Sokołowskiego, był taki list Głowy Kościoła, łatwo się domyślić. Kardynał Bolognetti, nuncyusz naówczas w Polsce, dziękuje mu za „Cenzurę" i obsypuje go pochwałami. Nuncyusz z Wiednia pisze do niego dnia 13 października 1583 r. list pełen pochwał, i donosi, że heretycy starają się okazać, że to tłumaczenie nieprawdziwe: „chcą wyciągnąć, mówi, strzałę z wnętrzności swoich, która ich już powaliła".

Wilhelm, książę bawarski, pisze do Possewina między innemi i to, że *Censura* Sokołowskiego przetłumaczona już jest na niemieckie przez Ficklera, a teologowie Wirtemberscy zaczepiają ją gwałtownie. Do Sokołowskiego zaś pisze list, w którym się nie kryje z wielkiem dla autora uwielbieniem i szacunkiem — prosi go, aby mu przysłał tekst grecki, by heretycy o prawdziwości tłumaczenia nie mogli powątpiewać. Oliverius Manareus Jezuita oznajmia Sokołowskiemu 23 czerwca 1583 r., że Książę bawarski cieszy się i winszuje sobie, że od samego autora dostał egzemplarz „Cenzury". Marcin, biskup wrocławski, dziękuje w marcu 1582 za przysłane sobie książki i posyła mu swój portret. Piotr Wolski zaś, bisk. płocki, bawiący naówczas w Rzymie,

otrzymał od autora dwa egzemplarze „Cenzury", ale tak chciwie mu je wyrywają dostojnicy Kościoła, że nie może ich dla siebie zatrzymać; zapowiada więc autorowi 4 maja 1582 r., że będzie go musiał prosić o trzeci egzemplarz. Wogóle, wszędzie cieszono się i winszowano ks. Sokołowskiemu, że zawstydzeniem heretyków tak się przysłużył sprawie Kościoła. Kardynałowie z chciwością czytają i tekst i przypiski i prześcigają się w wyrażeniu czci i wdzięczności dla autora, a dzieło rozchodzi się wkrótce w wielu wydaniach [1].

Cóż tymczasem robią w marzeniach swych zawiedzeni apostołowie Tubingscy?

Crusius w dziele wydanem r. 1584, p. t. *Turco-Graecia libri octo,* sili się na dowody, a powiedziawszy prawdę, raczej na wykręty, że oni nie chcieli połączenia ze schyzmą — ale mając w tekscie greckim wyznanie Augsburskie, przesłali je Patryarsze, nie chcąc wcale robić z tego tajemnicy — i byliby nawet tę odpowiedź Patryarchy ogłosili, tylko nie chcieli Patryarsze przysparzać kłopotów, których już miał dosyć, kiedy go ze stolicy zrzucono. Zmienia jednak pomału Crusius ton pozornego spokoju i wybucha najzjadliwszemi wyzwiskami przeciw Sokołowskiemu, Papieżowi i Kościołowi katolickiemu. Sokołowski jest tam bezwstydnym sykofantą, który ukradł egzemplarz odpowiedzi Patryarchy (zapomniał Crusius, że to miało być podrobienie), i bez żadnego fundamentu rozszerza fałszywe wieści. Nie wie już ten protestancki apostoł, czemu się ma więcej dziwić w tym pasorzytnym pochlebcy *(Parasitus)*, który swoim sprzedajnym językiem tak podle się wysługuje Papieżowi Rzymskiemu: czy jego nieznajomości rzeczy świętych, czy też jego lekkomyślności. Papież dostaje przydomek Antychrysta (zwykłe to miano, którem protestanci szafowali), Bestyi i t. d. Kościół katolicki jest zbiorem wszystkich herezyj, fałszerzem wiary i t. d.

Ks. Sokołowski chciał zrazu milczeniem pominąć te zjadliwe kąsania. Zachęcają go jednak zewsząd, by krótko na to

---

[1] W r. 1581 i 82 wychodzi w Krakowie osobno, a w r. 1591 wraz ze wszystkiemi dziełami; w r. 1582, w Kolonii.

odpowiedział. Biskup Werceleński, nuncyusz na dworze Austryackim, z Pragi pisze do niego, aby im „podziękował za tak grzeczne i zaszczytne pozdrowienie“ — sądzi, że nie potrzeba odpowiedzi dłuższej, ale warto, by im dał krótką odprawę. Postanowił więc odpowiedzieć — a sposób, w jaki to zrobił, jest prawdziwie podziwienia godny. Wydał te ich wyzwiska i niby dowody, a obok zaraz, w drugiej kolumnie, swoje adnotacye w formie uwag i odpowiedzi na niektóre ustępy. I nie można było lepiej zrobić. Te spokojne, nacechowane godnością, a nieraz pełne dowcipu uwagi, w przeciwstawieniu do tej prawdziwie karczemnej szermierki języka jego przeciwników, najlepiej dają poznać charakter stron obudwu, jakoteż sprawę, za którą walczą. Nie możemy nie zacytować tu niektórych jego uwag.

Kiedy np. na samym początku pisze Crusius, że St. Sokołowski, kaznodzieja Stefana Batorego, wydał niedawno odpowiedź Patryarchy na wyznanie Augsburskie, którą po złodziejsku nabył, dopowiada mu ks. Sokołowski: „i to wbrew waszej woli i chęci, którzyście jak ów sługa niegodziwy taki talent w ziemi zakopali. Należało go więc niegodziwym posiadaczom odebrać. Grecy jednak, pozwalając nam jakby światło zapalić od tego światła, ze względu na swoich braci, których tu pełne prowincye, a których straszliwie psują wasze nauki, dostarczyli nam tej odpowiedzi bardzo chętnie. Lecz proszę was, skąd wiecie, żem po złodziejsku to nabył? Czy na prawdęście zakazali, by nikt tego nie widział, aby nie wiedziano o waszych zamiarach?“

Na błahe zarzuty, jak np. ten, że jest zaprzedany papieżowi, a jako jego pasorzyt, wysługuje mu się, odpowiada, że przecie tłumaczył to w obozie na wojnie moskiewskiej, nie mógł więc jeść i pić u papieża; ale protestanci, to prawdziwe pasorzyty, bo się bogacą z dóbr Kościoła, które pobożni fundatorowie papieżowi dali w zarząd. Co się tyczy tego, że papież ma być antychrystem, toć Pismo św., które oni za jedyne źródło objawienia podają, świadczy inaczej. Wedle Pisma św., jeden ma być antychryst, a papieży dotychczas było trzystu. Dowodzi, że nie w Kościele katolickim, ale w ich kościele są powtórzone i zebrane błędy heretyków, ilu ich dotychczas było. Bierze po kolei twier-

dzenia protestantów i zestawia z odpowiedniemi błędami dawnych kacerzy i przypomina sobory, które już te błędy potępiły. Zachęca ich wkońcu, by wrócili do jedności z Kościołem; lecz najpierw niech złożą pychę z serca i to przekonanie, jakoby oni tylko coś wiedzieli, ale niech też posłuchają, co mówią inni.

A trzeba wiedzieć, że pisał to Sokołowski chory, trapiony ciężkim bólem głowy, skąd tem lepiej się pokazuje niepospolity talent szermierki tego słynnego w swoim czasie nieprzyjaciela heretyków [1].

Rósł on też coraz więcej w łasce u króla, u dostojników świeckich i duchownych w Rzymie, w całej Polsce i za granicą. Postępował w godnościach; ale bo też na to zasłużył, bo praca i działalność jego była wszechstronna. Po przerwie od r. 1575 znajdujemy w *Liber diligentiarum* w r. 1578 w półroczu letniem znów zapisane jego wykłady na uniwersytecie: *Stan. Socolovius: De Oratore Ciceronis continuabat;* a potem już niema o nim żadnej wzmianki. Jeżeli *continuabat*, to kiedyż zaczął? nic nie wiemy i niepodobna się dowiedzieć. Zapiska ta wskazuje, że chociaż on od r. 1571 zszedł z katedry (wykładał odtąd tylko *per alium*), nie porzucił jednak studyów nad Cyceronem. To też znalazłszy w r. 1578 chwilę wolną, chciał jeszcze w młodzieży budzić zapał do wymowy. Tymczasem obowiązki przy królu, którego był nieodstępnym towarzyszem, walka z heretykami, którą już w tym roku gorliwie zaczął przygotowywać, myśląc o niej nawet w obozie podczas wypraw moskiewskich, to wszystko nie pozwoliło mu oddawać się zajęciom profesorskim.

W tymże roku 1578, został proboszczem przy kościele św. Floryana na Kleparzu. Liczą go jako pierwszego proboszcza św. Floryana, prezentowanego przez Akademię [2]. Zdaje mi się jednak, że raczej należy go uważać za ostatniego proboszcza prezentowanego przez króla. Dotychczas bowiem miał prawo patronatu tego kościoła król, a w r. 1578 zrzeka się go na rzecz Aka-

[1] Zaraz w roku 1584 wyszła ta odpowiedź drukiem trzy razy: dwa razy w Krakowie, raz w Ingolsztadzie; w roku 1586 wyszła w Trewirze; w r. 1591 razem z wszystkiemi dziełami Sokołowskiego.

[2] To mówi i napis na portrecie.

demii, a jak mówi Niesiecki [1], wyjednał to u króla ks. Sokołowski. Birkowski w swem kazaniu *in Anniversario St. Socolovii* powiada, że wielu ubiegało się u króla o to probostwo; Sokołowski zaś o nie całkiem się nie starał. Na prośby tedy licznych kandydatów odpowiedział król: „jesteście wszyscy godni, aby wam dać to probostwo na wasze prośby, ale sam tylko Sokołowski zasłużył, bym mu je dał, choć o nie nie prosi". A mówi to kazanie Birkowski w rok po śmierci Sokołowskiego, wobec profesorów Akademii; niepodobna więc, żeby tak gruby błąd miał popełnić, bez żadnej protestacyi z ich strony. Od króla więc dostał to probostwo, a potem wyjednał u niego, że się zrzekł tego prawa patronatu na korzyść biednej Akademii. By zaś tę darowiznę ubezpieczyć, starał się, jak mówi Niesiecki [2], o zatwierdzenie tego ustawami koronnemi, co miało nastąpić w r. 1590. Było to już zaszczytnym dowodem uznania dla Sokołowskiego, że oddano mu probostwo, które było dawane takim jego poprzednikom, jak Bodzanta, Mikołaj z Kurowa, jak późniejsi arcybiskupi gnieźnieńscy: Mikołaj Trąba, Zbigniew Oleśnicki, Andrzej Krzycki, Piotr Gamrat i t. d.

To też szczerze winszowano mu tej godności. Kromer w liście z dnia 26 października r. 1579 cieszy się z tego i życzy mu, by św. Floryan nie gasił ognia łaski królewskiej dla niego, lecz by go jeszcze rozdmuchiwał. Tymczasem szukają już dla niego miejsca w stallach katedralnych. Nuncyusz Calligari 4 października 1579 r. pisze do niego, że dostał już z Rzymu pozwolenie dać mu pierwszą kanonię, która zawakuje w miesiącu rezerwowanym papieżowi; niech więc czuwa, iżby mu zaraz dał znać, jeśli która zawakuje. Stara się nawet o biskupstwo dla niego; pisze do Rzymu, że król mu już przyrzekł mianować przy najbliższej sposobności Sokołowskiego na jedno z biskupstw mniejszych, ażeby mieć głos jego w senacie i nie utracić kazań, które są uczone i święte [3]. Nie trudno zrozumieć, dlaczego Nuncyusz od początku swej działalności w Polsce tak gorąco popierał Sokołowskiego.

---

[1] „Herbarz Polski", VIII, 448. [2] Tamże. [3] Theiner, *Annales* III. 706.

Calligari był jednym z najgłówniejszych przeciwników herezyi w Polsce; nie liczył się do tych, co to tylko chcieli odjąć wilgoć chwastowi, by tak usechł, ale był przekonany, że bezpieczniej wyrwać chwast z korzeniem. Zachęcał więc króla do stanowczego wystąpienia przeciw protestantyzmowi, tak dalece, że kiedy król z nagromadzonem wojskiem w r. 1579 wyruszał na Moskwę, on radził nawet, żeby to wojsko zwrócić wprzód przeciw heretykom, i wystawiał wielką doniosłość tego kroku dla wewnętrznego spokoju Polski [1].

Podobnie usposobiony względem herezyi był i ks. Sokołowski, choć nie podawał tak śmiałych planów. Niema kazania, w któremby nie potępiał przyjaźni z heretykami i osłony, jaką im dawały prawa. Taki człowiek, a przytem potężny słowem kaznodzieja, potrzebny był Nuncyuszowi, należało go więc zjednać sobie od razu. Wystarczała już na to gorliwość o chwałę Bożą i nienawiść herezyi, jaką obaj byli ożywieni; ale im więcej związków, tem łączność pewniejsza. „Mąż ten, pisze Calligari do Rzymu 30 marca 1581, zasługuje prawdziwie na wszelkie wynagrodzenie z naszej strony; zawsze się łączy razem ze mną przeciwko wszelkim występkom i nadużyciom; dla prawdy i szczerości swego sumienia nie boi się niczyjej nienawiści; każe przekonywająco o władzy papieskiej i mówi cudnie o Stolicy ap.; dlatego też heretycy, chociaż ścigani ustawicznie przez niego, nie mogą jednak opuścić jego kazań — tak są uczone, genialne, łatwe i wykwintne“ [2].

Atoli mimo najlepszych chęci nie udało się Calligari'emu wyjednać dla Sokołowskiego nietylko biskupstwa, ale nawet kanonii. Następca jednak Calligari'ego, Bolognetti, podjął na nowo tę sprawę. Z Warszawy 1582 roku pisze on do Sokołowskiego, że chętnie, o ile to od niego zależy, da mu beneficyum, o które się stara. Jakie to beneficyum, trudno się dowiedzieć; zapewne jakaś kanonia. W roku następnym pisze do niego król, że pierwsza wa-

[1] Julian Bartoszewicz w „Encyklopedyi“ Orgelbranda, w artykule o Calligarim.

[2] Theiner, *Annales* III. 705.

kującą kanonia lub inne równoznaczne beneficyum jemu się dostanie. Aż wreszcie na początku roku 1584 zasiadł w tych stallach, w których mu od dawna miejsce przygotowywano. Dwudziestego lutego 1584 donosi mu biskup Myszkowski, że zawakowała kanonia po Drozdowskim, na którą posunął Kazaniewskiego, a miejsce przezeń opróżnione obejmie Sokołowski [1]. Dziewiątego zaś marca 1584 pisze do niego tenże, iż spodziewa się, że już otrzymał prowizyę na kanonię, co się wskutek intryg dotąd odwlekło; winszuje mu tej godności i życzy szczęścia.

Umiano więc, jak widzimy, cenić jego zasługi i nie szczędzono mu dowodów czci i uznania. Z żalem też przyszło królowi puścić od siebie powiernika i przewodnika swojej duszy. Choroba nieuleczalna zaczęła trapić gorliwego kaznodzieję i pogromiciela herezyi. Nieustanny ból głowy, rwanie i kłucie, jakieś słabości, które mu ani spocząć nie pozwalały, trapiły go od r. 1580 aż do końca życia. Już w r. 1580, jak widzieliśmy, z wielkim króla żalem nie mógł mu towarzyszyć na wojnę dla tej właśnie choroby. Pisze w tym czasie do króla, że chciałby wyjechać do Włoch i prosi go zarazem o zapomogę na tę podróż. Król odpisuje na to z Wilna 2 marca 1582, że wsparcia chętnie mu udzieli, ale niech rozważy, czy ta podróż mu nie zaszkodzi, i niech jej nie przedsiębierze bez namysłu. I rzeczywiście, po namyśle odstąpił od zamiaru, jak to królowi w liście oznajmia, dziękując przytem za otrzymaną zapomogę.

23 czerwca 1582 pisze do niego król z Grodna. W liście tym proponuje mu, aby przyjechał do Warszawy, gdzie ze sobą pomówią o stanie zdrowia i przyszłości Sokołowskiego. Czy Sokołowski do Warszawy pojechał, nie wiadomo. To jednak pewna, że zobaczywszy się z królem, prosił go o uwolnienie od obowiązków kaznodziei.

Przed ustąpieniem jednak swojem, streścił niejako nauki i upomnienia, które dawał przez te sześć lat królowi, w przedmowie do dzieła, które obecnie ukończył, a o które się król ciągle dopominał. Jest to książka: *De verae et falsae ecclesiae discri-*

[1] Lętowski nic o żadnym Kazaniewskim nie wspomina.

mine. Libri tres. Przedmowa napisana 15 lutego 1582, ale dzieło jeszcze nie zaraz wyszło. Niecierpliwiło to króla, bo chciwie tej książki o Kościele oczekiwał, nie wiedząc jeszcze dobrze, czy będzie ona w formie kazania, czy traktatu. Już w owym liście, z pod Wielkich Łuków pisanym jeszcze r. 1580, dopomina się król, by przy najbliższej sposobności dał mu Sokołowski swe „kazania *de Ecclesia*". To samo przypomina mu Batory w liście z 2 marca 1582 r., prosząc, by mu te kazania uporządkowane przysłał, a on sam postara się o ich wydanie.

Wreszcie wyszła ta upragniona książka roku 1583. Król pisze 9 marca 1583, uradowany, że ją odebrał. „Poślę, mówi, kilka egzemplarzy do Siedmiogrodu, a niejeden się nawróci".

W dziele tem uderza nas najprzód prawdziwie wzniosła przedmowa. Winszuje królowi w słowach tryumfalnych zawartego z Moskwą pokoju po tak świetnych zwycięstwach. Z rozkoszą widzi Sokołowski, że wróg się korzy przed jego królem i prosi o warunki pokoju. Tryumfuje, że cała Europa patrzy z podziwem na wielkiego króla Polski, że miecz polski od dawna stępiały i zardzewiały tak wspaniale zabłysnął. Polska zbogacona tylu twierdzami i krajami; sąsiednie narody z drżeniem patrzą na Polskę potężną, wszyscy królowie na wzór sobie biorą króla zwycięzcę.

Nietylko się w nim cieszy Polak i przyjaciel, ale wszystko gra na ton tryumfalny w tym gorliwym kapłanie i niezmordowanym obrońcy chwały Bożej. W ilużto kościołach odartych przez wroga zabrzmi znów chwała Boża; ołtarze przyozdobione z hojności królewskiej błyszczą i wszystko wielbi Boga w tej ziemi, tak przedtem uciśnionej przez nieprzyjaciela. „Rozległ się znów dźwięk lutni i głos trąby w ziemi naszej po długim smutku i żałości, głos tryumfu i radości, powrócił wszystek Israel, a na czele jego król Jozafat do Jeruzalem w tryumfie wielkim, bo dał mu Bóg wesele nad nieprzyjacielem jego. I weszli do Jeruzalem przy odgłosie hymnów i cytry i głosie trąb do domu pańskiego". Tak tryumfalnie mówił często Skarga, a nieraz Birkowski.

W dalszym ciągu przypomina autor, że nie napróżno dał

Bóg królowi to zwycięstwo, ale na to, aby teraz, mając spokój na zewnątrz, wystąpił do walki z nieprzyjacielem domowym.

„Nie mogę więc winszować Ci królu tego zwycięstwa, mówi, by zarazem nie prosić Boga, abyś z tem samem szczęściem i powodzeniem zwalczył zarazę wewnętrzną. Gdy mówię o zarazie, nie myślę o ludziach, ale o występkach ludzkich". Zniewaga św. Sakramentów, obrzędów kościelnych, łupienie kościołów, rozdzieranie dóbr kościelnych, zdzierstwa, symonia, chciwość, pogarda praw publicznych, lekceważenie urzędów, bójki i zamieszki domowe: to owa zaraza, która niszczy Rzpltą, a którą zgnębić trzeba. A tem bardziej trzeba o tem pamiętać, że teraz pokój, a w pokoju i bezczynności wzrastają występki.

Nie zapomina i o środkach do tego. A więc należy znieść uchwałą całej Rzpltej prawa, które się sprzeciwiają prawom natury i prawom każdego uczciwego człowieka; swawoli należy wędzidło nałożyć, z mętów cudzoziemskich Rzpltę oczyścić, ludzi zasłużonych posuwać na godności, a demagogów krzykliwych usuwać, Kościołowi dawać biskupów nieskazitelnego życia i pełnych nauki, dwór i żołnierzy należy trzymać w karności i porządku. „Ty królu pokochaj sercem całem ten Kościół św.; nie sądź, by wyszło cokolwiek na korzyść interesom publicznym, czy prywatnym, co się łączy ze szkodą Kościoła. Błądzą ci książęta chrześcijańscy, którzy sądzą, że ranami Kościoła zleczą rany swego królestwa, że mącąc pokój Kościoła, zabezpieczą pokój w swem państwie, że jego ubóstwem sami się wzbogacą. Nie może być szczęśliwe państwo chrześcijańskie, kiedy niepomyślny jest stan Kościoła, bo sprawy ludzkie zależne są od boskich; runą tamte, jeśli te osłabimy. Popatrzmy wokoło, a jasne zobaczymy tego dowody".

Jest to przypomnienie głównych występków, które w kazaniach swoich wskazywał królowi Sokołowski. Przypomnienie zaś to zawarł w tej dedykacyi dzieła, którego król z takiem upragnieniem oczekiwał.

Samo dzieło składa się z trzech ksiąg. W pierwszej dowodzi, że znamiona prawdziwego Kościoła, jakie podają heretycy, są fałszywe; w drugiej i trzeciej mówi o prawdziwych znamio-

nach Kościoła. W zakończeniu dzieła jest gorąca zachęta do trzymania się wiernie tego Kościoła, który poznać nie trudno, bo tak widoczne są jego cechy. Jest to więc traktat treści apologetyczno-dogmatycznej, w którym jednak Sokołowski umiał połączyć głęboką naukę z gorącą wymową. Bardzo też stosownie dodano na końcu tego dzieła czterowiersz Kochanowskiego, świadczący jak wysoko cenił poeta królewskiego kaznodzieję:

Corpore non magno est Socolovius, at loquitur sic,
Ut Laertiadem, Nestoraque aequiparet.
Felix, qui praesentem audit, felix quoque et ille est,
Qui legit eximii scripta diserta viri.

Książęta duchowni przyjęli znów to dzieło Sokołowskiego z wielkiem zadowoleniem. Książę bawarski, ucieszony, że dostał od autora egzemplarz, zwierza się w liście do Possewina, że obmyślił dla Sokołowskiego drogocenny podarek, w dowód wdzięczności [1].

Po sześciu latach zaszczytnego stanowiska przy królu, zdobywszy sobie sławę i poważanie, ustępuje z dworu Sokołowski, nie tracąc tytułu kaznodziei królewskiego; ale nie zrzeka się pracy, a z królem pozostaje i nadal w tych samych stosunkach. Zaraz 9 marca 1583 pisze do niego Batory z Niepołomic, aby się nie bał o odpowiednie zaopatrzenie. O druk jego dzieł będzie się sam starał. Później znów pisze do Sokołowskiego Mikołaj Firlej (nie wiadomo kiedy i skąd), że był u króla, który wspomina o Sokołowskim łaskawie. „W. K. M. przez mnie *ad curandam valetudinem et ad repetendam stationem suam hortatur*, a *conciones* od W. M. *avide exspectat*".

Taka przyjaźń łaskawa króla niemałą dlań była pociechą. Nie brakło mu dowodów życzliwości i współubolewania z innych także stron.

„Ponieważ ci trudno mówić, pisz przynajmniej, żebyśmy czuli, że żyjesz", mówi do niego w liście Andrzej Patrycy Nidecki, ubolewając nad jego chorobą. Marcin, biskup wrocławski,

[1] Wiele też było wydań tej książki. W r. 1583 wyszła w Krakowie, w r. 1584 i 86 w Kolonii, i nadto w ogólnym zbiorze.

bada lekarzy, czyby mu kąpiele w Landek[1] nie pomogły? Karol Sygoniusz w Bononii radzi się najsłynniejszych lekarzy co do jego zdrowia, i przysyła mu ich rady i uwagi. Biskup Solikowski wyraża mu swoje wielkie zakłopotanie o jego zdrowie i kończy list gorącem życzeniem: *Servet te nobis Deus, mi Socolorii et optime et doctissime, cui certe plurimum debemus omnes, cum Rege et Republica tota.*

Towarzyszyła mu więc szczera przyjaźń, kiedy usunąwszy się od dworu, zamieszkał na swojem probostwie, oddając się dalszej pracy umysłowej. Materyalnie był dobrze zaopatrzony, więc pod tym względem nie doznawał trosk żadnych. Oprócz dobrego beneficyum, miał kamienicę w Warszawie, ale trudno wyśledzić z jakiego tytułu. To pewna, że ją miał, bo pisze do niego Zamojski dnia 20 września 1584 z Zamościa, prosząc, by mu przez czas sejmu pozwolił zamieszkać w swoim domu w Warszawie. W tej samej sprawie pisze i Piotr Mieszkowski, popierając prośbę Gomolińskiego, scholastyka płockiego, który także w Warszawie chciałby przez czas sejmu zamieszkać w jego domu. Zaręcza zarazem, że to człowiek spokojny: *qui tibi omnia sarta tecta reddet, et quem tibi hoc beneficio multum obstrinxeris.* Nie mógł się więc skarżyć na niełaskę fortuny, na którą był może zbyt czuły, ale też umiał dochodów używać na cele szlachetne.

Wiedział, jak wielkiem jest dobrodziejstwem pomoc podana młodemu akademikowi, który mając zapał do nauki, znajduje przeszkodę w materyalnych środkach, by się tej nauce gorliwie poświęcić. Wiedział o tem, i dlatego głęboką wdzięczność chował dla swego dobroczyńcy Bielińskiego, i dlatego nie skąpił pomocy młodzieży chciwej nauki.

Szczególnym jednak jego wychowańcem był Andrzej Schoneus, ozdoba Akademii Krakowskiej, rodem Szlązak, słuchacz Sokołowskiego, kiedy ten wykładał z katedry teoryę wymowy. Gorliwy słuchacz zwrócił swemi zdolnościami na siebie uwagę nauczyciela i skuteczną w nim znalazł pomoc. Sokołowski przyjął go do swego domu i prawdziwie ojcowską otoczył opieką,

[1] Miejsce kąpielowe na Szląsku.

pokochawszy go jak syna, wedle słów Starowolskiego. Tu wydał Schoneus pierwsze płody swego poetyckiego talentu, gorącej doznając zachęty od swego opiekuna. Już jako doktor filozofii jedzie nakładem Sokołowskiego do Włoch, dwa lata, jak mówi Sołtykowicz, przebywa w Padwie i otrzymuje w Rzymie doktorat teologii. W tym też czasie zostaje Schoneus księdzem. Widać w tem wszystkiem rady i kierunek Sokołowskiego, bo koleje wychowańca bardzo podobne do torów opiekuna. Kiedy Schoneus wrócił do kraju, jeszcze go Sokołowski otacza opieką i wyjednywa mu katedrę na Uniwersytecie Krakowskim 1588. Niemały on przyniósł zaszczyt tej Akademii, a opiekunowi swemu pociechę. Doktor obojga prawa i teologii, filozof i matematyk niepospolity, poeta uwieńczony, dziewięć razy dzierżył berło rektorskie. Gorące też przywiązanie i głęboką wdzięczność żywił dla swego profesora i opiekuna, jak to widać z rzewnej modlitwy do Matki Boskiej za swym dobroczyńcą, przyciśniętym chorobą:

Sokołowskiego też, co bardzo chory,
A chociaż słaby, więcej niźli zdrowy
Do boju gotów i do razów skory,
I w tej świątyni złożył utwór nowy,
Dotknij się jego, ach! dotknij się głowy,
I ból uparty, ból niepokonany
Zmniejsz albo usuń z łaski nieprzebranej [1].

Oprócz starania o swego wychowańca, zajmowały Sokołowskiego prace naukowe. Poprawiał i wydawał to, co już miał, pisał rzeczy nowe, a nie spuszczał z oka biegu spraw politycznych. Chętnie się zgodzimy z tem, co wtedy pisał do Sokołowskiego kardynał Bolognetti: „Co zwykłem powtarzać, że Soko-

[1] Oda, umieszczona po *Nuntius Salutis*. Tłumaczenie Węclewskiego. *Nikes Paean* (Cracoviae 1595, in 4°), napisane przez Schoneusa, to podobno cały szereg pochwał Sokołowskiego, ale niestety niepodobna tego dzieła dostać, by się coś z niego dowiedzieć. Węclewski w swem studyum o Schoneusie również mówi, że dostać tego dzieła nie mógł; rozbiera tylko trzy ody, napisane na pochwałę Sokołowskiego *(Odae tres funebres de laudibus St. Socolovii.* Cracoviae, Łaz. 1595).

łowski w swem *otium* więcej jest Kościołowi pożyteczny, aniżeli inni swą wielką pracą, to jeszcze więcej powtarzam teraz". I rzeczywiście, dziwnem się zdaje, jak człowiek chorobą dolegliwie trapiony, tak myślić może o wszystkiem i tak się wszystkiem zajmować. Słusznie więc pisze ktoś do niego: „Zdaje się, iż dobrze pojąłeś i doświadczyłeś prawdziwości słów Apostoła: *virtus in infirmitate perficitur* i *cum infirmor, tunc potens sum*".

Ważną była podówczas sprawa dziesięcin, o którą toczył się spór między stanem świeckim a duchownym. Mimo usiłowań, do zgody przyjść było trudno. Zbiera się sejm i powtarza usiłowania, które już tyle razy spełzły na niczem; Sokołowski nie może być na to obojętnym; ponieważ zaś nie jest już w stanie z ambony nawoływać i upominać się o prawa Kościoła, więc pisze kazanie: *Pro dote Ecclesiae et haereditate Christi.* Lecz o tem pomówimy niżej.

W r. 1586 wyszło dziełko Sokołowskiego: *Iustus Ioseph — sive in Iesu Christi Domini Nostri mortem et passionem Meditationes, in quibus non magis Iudaica perfidia quam Ariana refutatur impietas* — z przedmową do Hier. Rozdrażewskiego, a przeznaczone dla Stefana Batorego.

Jest tu pięć medytacyj o Męce Pańskiej i *Epinicion* na Zmartwychwstanie Pańskie (przeszło 100 stron *in folio*). Jedna medytacya zawiera mniej więcej 20 str. *in folio.* Widocznie więc było zamiarem autora dać królowi raczej dzieło duchowne do czytania, niż do rzeczywistej kontemplacyi. Jest to bowiem pięć długich traktatów o Męce Pańskiej. Tytuł zaś *Iustus Ioseph* pochodzi stąd, że autor w książce tej wykazuje, jak wyraźną figurą Zbawiciela był w Starym Zakonie Józef Patryarcha. — Budowa tych medytacyj jest taka. Przed każdą na początku umieszczony tekst Starego Testamentu, odnoszący się do jakiegoś wypadku z życia Józefa Patryarchy, a po nim odpowiednia cytata o Męce Pańskiej. Tendencya medytacyj jest podobna, jak w kazaniach. Dla ilustracyi podajemy przykład. Kiedy w jednem z rozmyślań mówi o słowach Kajfasza: „Zbluźnił" (że się Synem Boga czynił), zwraca uwagę króla na to, że i on ma w swojem królestwie (w Krakowie, Lublinie i innych miastach) takich Kajfaszów, któ-

rzy podobnie bluźnią Jezusowi. A znowu zdrada Judasza nastręcza mu sposobność do wycieczek przeciw symonii, i t. p. [1]

Oprócz kazań — nad któremi nie zatrzymaliśmy się dotąd dłużej — jest to ostatnie dzieło, jakie wydał Sokołowski za życia Batorego. Śmierć króla, która zasmuciła naród, boleśnie też dotknęła Sokołowskiego, tem bardziej, że znaleźli się niektórzy oszczercy, co znieważali pamięć wielkiego Stefana. Jako odpowiedź wydaje Sokołowski obronę zmarłego p. t.: *Peregrinus sive laesae virtutis querela.* Myszkowski, w liście do Sokołowskiego z d. 24 marca 1587, tak się o tem piśmie wyraża: „Z wielką rozkoszą czytamy napisaną pochwałę naszego zmarłego króla; czytałem tę skargę znieważonej cnoty... Niemała to chwała bronić najlepszego króla przed oszczercami, którzy pustym krzykiem chcą albo zmniejszyć jego cnoty, albo przyćmić jego niedościgłą chwałę... Nie wątpię przeto, że już z tego samego tytułu wielką sławę sobie zyskasz u potomności".

Peregrinus jest to dyalog między Polakiem *(civis)*, a cudzoziemcem *(peregrinus)*, w którym Sokołowski podnosi cnoty i zasługi Batorego. Cudzoziemiec dziwi się, że podczas kiedy za granicą wszyscy wielbią cnoty i zalety zmarłego króla, kiedy nawet Moskwa żywi cześć i szacunek dla swego pogromcy, w samej tylko Polsce pamięć jego poniewierają. Prosi Polaka o wytłumaczenie tego dziwnego objawu. Przechodzą po kolei wszystkie możliwe winy Stefana, i Polak ostatecznie przyznać musi, że król był bez winy, że był pełen cnót, męstwa, że kochał swój naród. Oburzony cudzoziemiec grozi Polakom karą Bożą, iż czcić nie umieją monarchy, któremu cnót wszelkich zaprzeczyć nie mogą, i przywodzi słowa Proroków, w których Bóg narodowi niewdzięcznemu grozi niewolą. Polak odpowiada na to charakterystycznie: „Idź sobie precz cudzoziemcze, boś zanadto troskliwy o to, co się dzieje w obcej Rzpltej, a to ci nie przystoi". Ciekawe są ustępy, w których niechętny nawet

[1] *Iustus Ioseph* wydany w Krakowie 1586, i w *Opera omnia* 1591. Na polski język tłumaczony przez ks. Jana Bogusławskiego, p. t.: „Sprawiedliwy Józef, albo o Męce Pana naszego J. Chr."; wyszedł w Krakowie 1594 i drugi raz 1596.

gieric kreśli wielką pobożność i męstwo Batorego, i tryumfy jego odniesione nad Moskwą, mimo tak skąpej pomocy sejmów. Ciekawsze jeszcze, kiedy *peregrinus* pyta, jak to możliwe, żeby król co zwyciężył Moskwę, zwojował Scytów i t. d., nie mógł poskromić burzliwej i niesfornej szlachty; a Polak odpowiada, że łatwiej uleczyć chorobę zewnętrzną, niźli niemoc co trawi wnętrzności [1].

(C. d. n.).

Ks. Kasper Słomiński.

[1] W r. 1759 *Peregrinus* wydany został, z manuskryptu, w Warszawie przez Chr. Teof. Friesiusza (in 4⁰ str. 51). Wydawca poprzedza go biografią Sokołowskiego i wiadomością o jego dziełach; spotykamy tam to samo prawie co w Starowolskim.

W CZERNIOWCACH.

WRAŻENIA Z KILKUDNIOWEJ WYCIECZKI.

W ostatnich dniach marca, a może i wcześniej trochę — za datę nie ręczę — zgadało się z którymś ze znajomych, że wyjeżdżam do Czerniowiec. Znajomy mój szkoły skończył, co prawda, nie w Galicyi; z niejednego pieca chleba kosztował, nawet czasem piórem trochę się bawił; ale pomimo tego wszystkiego, można było od razu z miny odczytać, z najbliższego dyplomatycznie ułożonego frazesu bez trudu wyrozumieć, że wyraz „Czerniowce“ przedstawia dlań bardzo mgliste pojęcie, podobne np. do tego, jakie w 99 na 100 wykształconych Europejczyków obudziłoby się, gdyby im przyjaciel powiedział: „Jadę do Czing-tu-fu“. Oczywiście, Czing-tu-fu leży w Azyi, prawdopodobnie w Chinach; Czerniowce, w Europie, w Austryi, a w każdym razie gdzieś blizko Austryi; o bliższe i dokładniejsze szczegóły niekoniecznie grzecznie byłoby się wypytywać. Zresztą nieświadomość ta nie przynosi nawet memu znajomemu najmniejszego wstydu; mógł Kraszewski na niewiele lat przed śmiercią pisać i drukować spokojnie o Czerniowcach, jako o obwodowem mieście galicyjskiem: skądże zwykły śmiertelnik do tego przychodzi, aby na zawołanie przypomnieć sobie o zapadłej, na krańcu gdzieś świata rozciągającej się Bukowinie, o jej niedawno ze ziemi wyrosłej stolicy?

Swoją drogą, ta właśnie zasłona, za którą ukrywa się bukowińska stolica, dodaje wycieczce do Czerniowiec pewnego,

odrębnego mroku. Zasłyszane kiedyś wykrzyki podziwu nad metropolitalną „rezydencyą“ — cudem, wyjętym z Tysiąca i jednej nocy — przypominają się pamięci i mieszają w chaotyczny obraz z wyczytanemi w dziennikarskich kronikach opowiadaniami o pół-dzikich zwyczajach i obyczajach po zapomnianych od świata bukowińskich wsiach i wioskach. Za Kołomyją migają już przez wagonowe okna oryginalne stroje wieśniaków i wieśniaczek: żółte buty, białe chusty na głowie, krótkie, gęsto wyszywane kożuszki; w wagonie drugiej klasy niemiecki język z każdym nowym podróżnym na sile i znaczeniu zyskuje; w trzeciej, ruskie rozhowory się toczą; rumuńskiego jeszcze jakoś nie słychać, dopiero podobno za Czerniowcami, wespół z wołoska brzmiącemi nazwiskami stacyj: Kuczurmare, Hadikfalva, Karapczu, i wołoskie dźwięki częściej i gęściej z niemieckiemi i ruskiemi idą w zawody.

Ulice, któremi jadę z kolejowego dworca, puste jak wymiótł, choć to około czwartej po południu, najodpowiedniejsza pora do spacerów i interesów. „Co to dziś u was takiego?“ — pytam doróżkarza po niemiecku, i otrzymuję w odpowiedzi parę lakonicznych, a co gorsza, niezrozumiałych chrząknięć. Widać trzeba to samo zapytanie po rumuńsku sformułować — ale jak? — ważę w duchu i przemyśliwam nad koniecznością wynalezienia i wprowadzenia w życie najnowszego jakiego i najpraktyczniejszego „volapückowego“ systemu; gdy wtem przesuwa mi się przez głowę Kolumbowa prawdziwie myśl: „A gdyby tak po polsku spróbować?“ Prosta myśl, a jaka praktyczna! — w jednej chwili znika groźny mars z oblicza czerniowieckiego woźnicy, przyjaźnie na koźle się obraca i wyjaśnia najczystszą polszczyzną:

— Przecież dzisiaj u nas wybory!

Prawda! jakże zapomnieć mogłem, że w czwartek, 7 kwietnia, odbyć się miały w Czerniowcach wybory do sejmu, niedawno temu przez rząd rozwiązanego! Kto mi łuski na oczy zaciągnął, że nie spostrzegłem dotychczas tych długich, niekończących się szeregów plakatów, które z każdego rogu ulicy, z każdej kamienicy niemal, wzywają „wszystkich dobrze myślących“, aby dnia 7 kwietnia nie zaspali sprawy i głosowali nie

za kim innym, ale tylko i wyłącznie za tymi kandydatami, których nazwiska wypisane olbrzymiemi literami, nie — broń Boże! — na innych, lecz na tym właśnie arkuszu papieru. Obok polskiego manifestu: „Do wyborców Polaków w Czerniowcach“, rozłożyły się po obu stronach niemieckie; z góry, czasem i z dołu, ruskie, i zaklinają w gorących słowach: „Głosujcie jak jeden mąż na Antoniego Kochanowskiego, prezydenta miasta, i d-ra Józefa Rotta, adwokata krajowego!“ Do tego chóru przyłączają się, zwłaszcza w odleglejszych dzielnicach, niemiecko-żydowskie, biblijnym stylem skreślone proklamacye; Rumunów piętnują one bez ogródek słowami psalmu: „Gładsze są mowy ich nad oliwę, a one są strzały!“ (Ps. LIV. 22). Niemniej żarliwie zachęcają i proszą rumuńskie odezwy wszystkich *Concetăteni:* „Zbałamucić się nie dajcie, nie głosujcie na wybrańców żydowskich, ale na prawdziwych synów tej ziemi: barona Mustatzę i Fryderyka Vormunda!“ Partya środkowa wywiesiła afisze, zachęcające do oboru przewódców obu stronnictw: Kochanowskiego i Mustatzę; niewielu widocznie należy do owego pojednawczego, środkowego stronnictwa: walka za ostra, za długo i za zacięcie się toczy, aby takie kombinacye mieć mogły choćby słabe widoki powodzenia.

Dotąd pustki jak po zarazie; na rynku za to, przed ratuszem, tak pełno, że dość żwawe dorożkarskie koniki ledwie krok za krokiem przez tłumy mogą sobie drogę utorować.

Na ratuszowych schodach, wyciągnięty w dwa szeregi oddział żandarmeryi; w koszarach stoją podobno w pogotowiu na wszelki wypadek dwa plutony wojska; tłum faluje w tę i w tamtą stronę, lecz spokojne, nieco nawet ociężałe to falowanie, a znawcy miejscowych stosunków i ludowych ruchawek zaręczają, że nie przyjdzie do burdy na większą przynajmniej skalę. Agitatorzy chodzą od grupy do grupy, tłumaczą, gniewają się, perswadują; wszędzie żywa rozmowa, często żywszemi jeszcze giestami ilustrowana, — a temat wszystkich rozmów, jedyny temat, o którym dziś w Czerniowcach rozmawiać można, to pytanie, kto zwycięży: Rumuni, czy połączone siły wszystkich innych narodowości? Dziś pytanie to już się nie rozstrzygnie, bo samo gło-

sowanie przeciągnie się do późna w noc, do jedenastej, może i do dwunastej; natomiast jutro rano spotkają cię, gdzie się obrócisz, rozradowane oblicza Niemców, Polaków, z których łatwo wyczytać wesoły biuletyn odniesionego stanowczego zwycięstwa.

— Górą nasi! Kochanowski otrzymał 1324 głosów na 1772 wyborców; Rott 1190. Z przeciwnego stronnictwa, Mustatza 559 głosów; Vormund tylko 441. Górą nasi!

Wybory zakończone! Wysoko, pod niebiosa w ostatnich dniach strzelający płomień rasowych niechęci, narodowych, w części i wyznaniowych waśni, obniżył się, uspokoił niejako; ale jeżeli pod niebiosa już nie sięga, to i powiedzieć o nim nie można, jakoby jedynie pod popiołem tlił. Dawna choroba nie ustąpiła, tylko z ostrego, przeszła w zwykły stan chroniczny. Bukowina, niewielki to kraj, obejmuje zaledwie około 10.000 kwadr. kilometrów, a ludności liczy mniej, niż którabądź z większych europejskich stolic, bo około 600.000; za to ze względu na różność narodowości, ras, wyznań, nie potrzebuje się obawiać rywalizacyi, już nietylko z innemi jakiemiś państwami, ale nawet z żadnym z austryackich krajów koronnych. Dwa najliczniejsze szczepy, z których każdy uważa się za prawowitego pana, za autochtonów Bukowiny, to: Rusini i Rumuni; pierwsi liczą obecnie około 270.000, drudzy przeszło 200.000. Resztę mieszkańców, „napływowy element“, stanowią: Żydzi, Niemcy, Polacy, drobna garstka Węgrów i Czechów. Rusini zajmują głównie północną, graniczącą z Galicyą, Rumuni południową, przytykającą do rumuńskiego królestwa, część Bukowiny; „napływowy element“ rozgościł się w miastach i miasteczkach, na pierwszem miejscu w samychże Czerniowcach. Wedle urzędowego spisu z roku zeszłego, na ogólną cyfrę 54.171 mieszkańców bukowińskiej stolicy, przypadało 27.256 Niemców wespół z Żydami, 10.384 Rusinów, 7624 Rumunów, 7610 Polaków, 169 Czechów, 27 Węgrów i 2 Słowaków[1]. Tu więc stronnictwo niemiecko-polsko-ruskie stanowczo przeważa; inne stosunki panują w miasteczkach dalej na południe wysuniętych: w Radowcach,

[1] Przy spisie 1099 osób, nie uwzględniono ich narodowości.

Wikowie, Suczawie. Nieszczęściem — jak tu, tak tam, z północy, jak z południa; z osad, miasteczek, ruską, rumuńską, czy niemiecką nazwą opatrzonych — odzywają się i zbyt często i zbyt głośno wojenne okrzyki: Hejże na Rumunów! Hejże na Rusinów! Hejże na obcych przybyszów: na Żydów, Niemców, Polaków!...

— Kto dłużej między nami nie mieszkał — zaręcza mi to jednogłośnie kilku wybornie ze stosunkami swego kraju obeznanych, o szczególne jakieś sympatye dla Rusinów nie podejrzanych Bukowińczyków, — kto bliżej i dłużej stosunkom się u nas nie przyjrzał, ten nie może mieć wyobrażenia, jak na Bukowinie wzajemnie zaostrzone stosunki, jak zwłaszcza Rumuni Rusinów gniotą i na gwałt ich rumunizują, a przynajmniej rumunizować próbują. Chcesz szczegółów, dowodów? Na byczej skórze wszystkichby nie spisać!

I tu wartkim potokiem płynąć zaczynają jedne po drugich charakterystyczne opowiadania, zwierzenia, anegdoty, charakterystyczniejszemi jeszcze cyframi, dokładnemi nazwiskami ludzi i miejscowości poparte. Najważniejsze z tych opowiadań, cyfr i nazwisk, zebrane są, często są po prostu zapamiętane i wyjęte z bardzo ciekawej broszury: „O położeniu grecko-prawosławnych Rusinów w Bukowińskiej archidyecezyi“, którą prawosławni bukowińscy Rusini odpowiedzieli roku zeszłego na słynne „Apologie“ swego metropolity, żarliwego rumunizatora: Sylwestra Morariu-Andriewicza [1]. Będąc w Czerniowcach, musisz

[1] Pierwsza, *Apologie der orthodoxen griechisch-orientalischen Kirche der Bukowina,* nosi datę 20 czerwca (2 lipca) 1885, i podpisana jest przez Metropolitę i sześciu Archimandrytów i konsystoryalnych Radców; na drugiej, ogłoszonej 10 (22) września 1889, figuruje podpis samego tylko Metropolity. Odpowiedź polska wyszła p. t.: „W obronie prawdy. Odpowiedź na broszurę grecko-oryentalnego metrop. konsystorza w Czerniowcach p. t.: *Apologie der orthodoxen gr.-or. Kirche der Bukowina,* napisał Klemens Kołakowski. Czerniowce 1886“. Odpowiedź ruska: *Die Lage der gr.-or. Ruthenen in der Bukowinaer Erzdioecese. Zugleich Antwort auf die Apologien des Bukowinaer gr.-or. Metropoliten Silvester Morariu-Andriewicz. Im Auftrage der weltlichen gr.-or. Mitglieder der Czernowitzer ruthenischen Vereine, verfasst von Silvester Daszkiewicz. Czernowitz 1891.* — Do polemiki tej, interesującej najży-

rad nie rad z temi „Apologiami“ się zapoznać, bo ciągle, na każdym kroku o nich słyszysz, bo są one niejako wojennym manifestem i urzędowym programem Rumunów; musisz oczywiście odczytać i polską odpowiedź i ruską, jeśli chcesz się jakkolwiek rozpoznać w miejscowych stosunkach, nie ograniczać się na uśmiechaniu się i kiwaniu głową na prawo i na lewo przy każdej poważniejszej rozmowie zawiązanej na tle tych stosunków. Zawsze to i wszędzie nie do pozazdroszczenia rola; tu tem prędzej, z tem większą energią otrząść się z niej trzeba, że miejscowe owe stosunki istotnie bardzo oryginalne, dla polskiego gościa z wielu a z wielu powodów szczególnie interesujące.

Długie lata żyli ze sobą Rumuni i Rusini bukowińscy w rozumnej zgodzie, tem naturalniejszej i łatwiejszej, że wyznawali — wogóle mówiąc — tę samą prawosławną wiarę, zależeli od jednego wspólnego biskupa, wspólne mieli praktyczne interesa; wspólne, co prawda, wyłącznie niemal na ściśle praktycznem polu obracające się aspiracye. Dopiero za biskupa Hakmana, który od r. 1835 aż do 1873 rządził bukowińską cerkwią, zaczęły kiełkować, a wnet i potężnie rozrastać się, narodowościowe spory. Rumuni zarzucają Hakmanowi, że sam będąc Rusinem, starał się Bukowinę zrusinić; Rusini gniewają się znów na niego, że zbyt mało zajmował się rozwojem swej narodowości, za chętnie nadstawiał ucha rumuńskim doradcom, i niejednokrotnie szedł na ślepo za ich podszeptami. Tak np. Hakmanowi mają Rusini do zawdzięczenia, że wyrzuciwszy z prawosławnego seminaryum wykładowy język łaciński, zaprowadził nie ruski i rumuński, ale wyłącznie rumuński; że równie zrumunizował kościelną szkołę śpiewu; w wystawionych przez siebie katedrze i arcybiskupiej rezydencyi, poumieszczał napisy, pamiątkowe tablice i t. d. jedynie po rumuńsku; jawnie i otwarcie głosił zdanie i zapisał je w memoryale wysłanym do wiedeńskiego Ministeryum wyznań: „narodowym językiem bukowińskim, jest język

wiej po dziś dzień całe Czerniowce, każdego, choćby nie płynnie umiejącego czytać Bukowińczyka — nieraz, z konieczności rzeczy, trzeba nam jeszcze będzie nawrócić.

rumuński". Czegóż więcej żądać można było od najgorliwszego Rumuna? A przecież wszystko to nie wystarczało rumuńskiej partyi, na której czele stali radcy konsystorza, dzisiejszy metropolita, Morariu (Andriewicz), i Turcanů (Zurkanowicz): z dnia na dzień nowe wymyślali skargi, nowe rzucali skargi na „Rusina Hakmana", aż tenże wreszcie obu hersztów zasuspendował i w rozesłanym do swego kleru okólniku wystąpił przeciw nim w najostrzejszych wyrazach.

— Pod firmą: „narodowość, lud i Kościół", — pisał Hakman przeciw dzisiejszemu swemu następcy i jego sojusznikom — dążą niektórzy kapłani do nasycenia nędznych swych namiętności: ambicyi, próżności, pychy, chciwości i skąpstwa; chcieliby wszystkiemi siłami, za każdą cenę, ważniejszą jakąś rolę w życiu odegrać. Wie o tem i czuje to każdy uczciwy człowiek, wie zwłaszcza lud, który nie bez przyczyny tego rodzaju komedyantów bardzo nizko sobie ceni. Któż z nas nie zna między klerem tych agitatorów, tych komedyantów, którzy kryjąc się poza kulisami, podjudzają świeckich ludzi, podniecają do buntu niezadowolonych, na karę zasługujących kapłanów? Któż nie zna nazwisk tych denuncyantów, gazeciarskich pisarków, współpracowników dziennika *Albina*... którym za złe dobrem oddaliśmy, obsypaliśmy dobrodziejstwami, owszem poruczyliśmy im wysokie urzędy... Zaprawdę, do tego doszło, że wstydzić się musimy za nasze duchowieństwo, a świat śmieje się z nas!...

Nie upłynęło sześciu lat od piorunującego tego oskarżenia, od rzuconej na Andriewicza suspensy, a na tronie, przemienionym tymczasem z biskupiego w metropolitalny, zasiadło dwóch żarliwych rumunizatorów: Teofil Bendella i Teoktyst Blażewicz. Rządy ich nie trwały długo; zresztą od śmierci Hakmana w 1873, był już Andriewicz właściwym rządcą w metropolitalnej „Rezydencyi", tak, że gdy wreszcie w 1880, do dawniejszej władzy otrzymał i tytuł Metropolity, nic w gruncie się nie zmieniło, a tylko od dawna płynąca fala mogła teraz szybciej i bezwzględniej naprzód popędzić. „Kto należy do prawosławnej cerkwi bukowińskiej, — oto bez ogródek przez nowego Metropolitę postawiona zasada — ten tem samem należy do narodowości

rumuńskiej, a jeśli za Rusina się uznaje, to dlatego, że w czasie złączenia Bukowiny z Galicyą, w czasie rządów Hakmana, zostali z rumuńskiego do ruskiego obozu przeciągnięci; biedni uwiedzeni! dziś z niewoli trzeba ich odbić, trzeba, chcą czy nie chcą, w Rumunów ich przekształcić!“ Stosownie do tej zasady, postanowił Andriewicz wyrzucić z seminaryum, z prawosławnych szkół i czytelni, wszystko co nie-rumuńskie, a zatem nie czysto-prawosławne.

Przedewszystkiem utrudniono Rusinom wstęp do seminaryum; na 10—15 Rumunów, uprosić tu sobie mogło wstęp i miejsce zaledwie dwóch Rusinów. Ale i tych dwóch nie powinno Rusinami zostać: należeć muszą do rumuńskiego stowarzyszenia: *Academia orthodoxa*, karmić się mają wyłącznie rumuńskiemi dziennikami, broszurami, książkami; mówić tylko po rumuńsku; znosić cierpliwie wszelkie obelgi, przezwiska, podobno że i razy, które hojnie na nich ściąga z ust i z rąk szowinistycznie nastrojonych kolegów, nie-rumuńskie ich pochodzenie. P. Daszkiewicz przytacza w tym względzie w swej książce równie oburzające, jak zadziwiające fakty; cytuje imiona, i jeśli nie zawsze całe nazwiska, to przynajmniej ich inicyały, czas, okoliczności; chciałoby się nie wierzyć, a dowodowy materyał do wiary przymusza. Ostatecznie ten rumuńsko-seminaryjski „kulturkampf“ doprowadza słabszych, ambitniejszych, którzy na całe życie w niedostępnej jakiej wiosce nie chcą się pogrzebać, lub za karyerą się oglądają, do ostentacyjnego wyrzeczenia się ruskiej narodowości, a przybrania nazwiska, zwyczajów, języka swych potężnych władców. Andriewicz przemetamorfozował się w swym czasie w *Morariu*, Jeremiewicz w *Berariu*, Kalinowski w *Calinescu;* — czemuż i inni za tak pięknym przykładem iśćby nie mieli, czemuż Lewicki nazywaćby się nie mógł *Levescu*, Prokopowicz: *Procopeanu*, Stefaniuk: *Stefanelli*, Zaharowski: *Zaharescu*, Zurkanowicz: *Turcanu*, a Gołembiowski: *Polumbescu?* Nie na próżno i nie bez racyi oryginalne bukowińskie przysłowie głosi: *Tata Rus, mama Rus, dar' Ivan Moldovan*[1]; skuteczną i bogatą w środki

[1] Tata Rusin, mama Rusinka, a Iwan Mołdawianin.

i nadzieje musi być rumuńska propaganda w seminaryjskich gmachach, kiedy do takich rezultatów doprowadza.

Rumuński lub przerumunizowany pop żegna się z rumuńskiemi kursami i otrzymuje — bo z konieczności rzeczy otrzymać musi — często mieszaną, równie często, jeśli nie częściej, zupełnie ruską parafię. W teoryi mieliby kandydaci na taką parafię zdać wprzód egzamin, czy i o ile władają językiem swych owieczek; w praktyce nikt o tem nie myśli, a gdyby kto i pomyślał, egzamin ten spaśćby musiał do rzędu zabawnej, formalistycznej komedyjki. Następstwem tego systemu, że np. w Czerniowcach, gdzie liczba prawosławnych Rusinów przeważa nad Rumunami, nie było przez pewien szereg lat ani jednego zarządcy parafii, któryby istotnie umiał po rusku; w czterech północnych protoprezbiteryatach, w których na 138.991 Rusinów żyje tylko 853 Rumunów, znajdowało się 64 ruskich, a obok nich 42 rumuńskich popów; natomiast w sześciu południowych protoprezbiteryatach, nie znalazło się dla przeszło 33.000 Rusinów ani jednego ruskiego popa. Niełatwa to przecież pozycya Rumuna, co obejmuje czysto ruską parafię. Trzeba po rusku mówić, po rusku kazania prawić, bo któżby inaczej i cóżby zrozumiał? — a jakże mówić i kazania prawić, kiedy dotąd ruski język zwało się z lekceważeniem „chińskim“, kiedy przez lat tyle należało poniekąd do dobrego tonu, aby jego istnienie ignorować? Wyrastają stąd z jednej strony językowe dziwolągi, które nieco oświeceńszych Rusinów rażą, i po cerkwiach równie pobudzają do śmiechu, jak do gniewu; z drugiej, aż zbyt naturalna dążność, aby o ile to tylko w granicach możliwości, posługiwać się w domu i cerkwi językiem rumuńskim, prowadzić wszystkie rejestra, metryki, urzędowe papiery po rumuńsku; nie darowywać nawet starodawnym parafialnym pieczęciom i w rumuńskie je przekuwać. Płyną wskutek tego do konsystorza liczne a ciężkie zażalenia od ruskich parafij; skarżą się parafianie, że ze swymi pasterzami nie mogą się rozmówić, nie mogą słowa Bożego z ich ust się doczekać; czasami, wyczerpawszy napróżno duży zasób cierpliwości, przesyłają swe skargi do biur rządowych; grożą, że gdzieindziej, w unickiej cerkwi,

szukać będą zmuszeni sprawiedliwszego losu. Słynne, całą masą uskutecznione przejście do unii w Rarańczy, okazało, że nie zawsze próżne to groźby, nie zawsze — strachy na Lachy. Tylko, — występuje Daszkiewicz, sam żarliwy prawosławny, z charakterystycznem pytaniem, które więcej od długich rozpraw powiada — tylko, czy przejście na unię inteligencyi ruskiej nie leży w najgorętszych zamiarach czerniowieckich rumunizatorów: czy nie zaśpiewaliby oni pieśni dziękczynnych w dniu, w którym pozbywszy się ze swego obozu ruskich przewódców, mogliby już bez przeszkody robić z ludem, coby im się podobało? Charakterystyczne pytanie, niemniej charakterystyczna odpowiedź: „Wątpliwości niema, rzeczą powszechnie jest znaną, że dla Autora Apologii i jego sojuszników, nie mogłoby być żadnej milszej nad tę, bardziej pożądanej wieści".

Walka nie zatrzymuje się w seminaryum, cerkwiach, parafiach; przechodzi do szkoły. Za czasów administracyjnego złączenia z Galicyą, skarżą się Rusini, brali już nas Rumuni w szkole za włosy; później brali bardziej jeszcze, ale od 1875, kiedy naczelnikiem kraju został oddany zupełnie rumuńskiej partyi br. Alesani, przeszli w rumunizowaniu w szkole i przez szkołę wszelkie możliwe i niemożliwe granice. W czysto, lub przeważnie ruskich gminach, jak Czornawka, Czahor, Horecza, wprowadzono w szkole wykładowy język rumuński. Katecheci, nie umiejąc sami po rusku, uczyli katechizmu po rumuńsku; a ponieważ dzieci znowu akuratnie tyle rozumiały po rumuńsku, ile profesorowie ich po rusku, wystawić sobie łatwo, jaki był i jest ostateczny rezultat tej gry w ciuciubabkę. W gimnazyum czerniowieckiem osobny jest prawosławny katecheta ruski, osobny rumuński; we wszystkich innych bukowińskich szkołach średnich nauka religii prawosławnej wykładaną jest faktycznie tylko w języku rumuńskim, chociaż np. w r. 1890/91 zapisało się do nauczycielskiego seminaryum w Czerniowcach 92 Rusinów, a tylko 70 Rumunów. Metropolita i konsystorz czerniowiecki uważa widocznie ten stan rzeczy za zupełnie prawidłowy i naturalny, że nieraz czynił już kroki w ministeryum, aby znieść „niepotrzebną" ruską katecheturę w czerniowieckiem gimnazyum. Istotnie,

przeglądając statystyczne daty i cyfry, przyjść trzeba do przekonania, że z dnia na dzień mniej ona potrzebną; inna rzecz, gdy kto zapyta, dlaczego i w jaki sposób daty te i cyfry tak właśnie się układają? Długoletni ruski katecheta, Emanuel Eliasz Czantulak, to nowożytny rumuński Wallenrod, który jeśli wierzyć, a wobec krzyczących faktów, trudno nie wierzyć ruskim pisarzom, robił co mógł, aby własną swą szkołę opustoszyć, a rumuńską zapełnić. W każdym razie, skutek odpowiedział dobrowolnym tym, czy niedobrowolnym usiłowaniom; chorobliwej apatyi czy wallenrodowskiemu wyrachowaniu: minęło ledwie lat parę, a liczba uczniów uczęszczających na ruski katechizm stopniała z 86 na 46, a zatem prawie o 50%. W nagrodę za dziesięcioletnie zasługi swe i prace, otrzymał Eliasz *Ciuntulécu (sic!)* tłustą synekurę w Suczawie, z tytułem przełożonego tamtejszego klasztoru, z odznakami archimandryckiej godności.

Seminaryum, szkoły, pracują głównie dla przyszłości, w głąb niejako posuwają dzieło rumunizacyi; dla teraźniejszości, na otwartem polu, z podniesioną zupełnie przyłbicą, walczą, i na prawo, na lewo szerzą zaborcze swe znaki, przeróżne pod różnemi imionami i hasłami do tego samego celu dążące stowarzyszenia, czytelnie, związki. *Scola Română, Societatea pentru cultură si literatură Română,* uniwersyteckie związki: *Junimea, Academia orthodoxa*, głoszą wszędzie i na wszystkie tony: Bukowina to rumuński kraj, do Rumunów należy; inne „napływowe żywioły“: Niemcy, Rusini, czy Polacy, winny się i muszą z rdzennie miejscowym, rumuńskim, zaasymilować. Przeciw związkom tym stoi w ruskim obozie, założona w 1869, literacka *Ruska Besida,* stoi polityczna *Ruska Rada.* Nieszczęściem, zostawały ruskie stowarzyszenia dłuższy czas pod wpływem panrosyjskich ideałów, zniechęcając tak do siebie już nietylko polskich, niemieckich „Bukowińczyków“, ale i bardzo wielu i właśnie najlepszych Rusinów; lejąc same wodę na młyn rumuńskich insynuacyj i oskarżeń w Czerniowcach i w Wiedniu. A prócz tego nieszczęścia, drugie, mniejsze zapewne, ale bądź co bądź ciężko na szali ważące: ruskie związki skazane są na własne swe siły i zasoby, na mozolnie zbierane składki swych członków; rumuńskie czer-

pią hojną dłonią z bogatego, metropolitalnego worka, z głębokiej szkatuły prawosławnego funduszu religijnego. Nietylko za czasów Filipa Macedońskiego osioł złotem obładowany brał szturmem fortece; nietylko w krwawych walkach złoto tak ważnym żywiołem: gra ono niemałą rolę i w narodowościowych zapasach; kto ciekawy, jak wielką czasami i namacalną, niech do Czerniowiec się pofatyguje.

Studyując bukowińską mapę, przeglądając bukowińskie tablice statystyczne, raz po raz nasuwa się natrętne pytanie: „Skąd właściwie pochodzi, że mniej liczni Rumuni wzięli tu tak stanowczo górę?“ Bez wątpienia niejedna przyczyna na to wpłynęła: wyższy cywilizacyjny poziom, prędsze przebudzenie się do narodowego życia, słońce wiedeńskiej łaski, szlącej w tę stronę gorętsze promienie. Ale obok i wespół z temi przyczynami, jest inna — prawdziwa ich królowa: bogactwo prawosławnej cerkwi, zaprzągnięte dzisiaj — o ile tylko Wiedeń zaprządz je dozwolił — w służbę rumuńskiej cerkwi, rumuńskiej idei.

W chwili zagarnięcia Bukowiny przez Józefa II. znajdowało się w niej 36 monasterów i monasterków bogato w ziemię uposażonych. Cesarz zniósł bez pytania wszystkie te monastery, wyjąwszy trzech, ale nie chcąc zbyt drażnić świeżo do Austryi przyłączonej ludności, nie skonfiskował swym zwyczajem ich majątków, tylko przyłączywszy jeszcze do nich „ofiarowane sobie“ dobra biskupie, utworzył osobny prawosławny fundusz religijny i oddał go w administracyę rządową. Nienaturalny ten stosunek, dający powód do mnóstwa zatargów i wzajemnych skarg, trwa po dziś dzień. Ministerstwo rolnictwa administruje olbrzymiemi przestrzeniami, zajmującemi niemal że połowę Bukowiny: konsystorz czerniowiecki, właściwy pan tych przestrzeni, spogląda krzywem okiem na całą administracyę, radby jak najprędzej z nieproszonej opieki się wyzwolić, a tymczasem usiłuje przynajmniej uzyskać większy jakiś wpływ na zarząd majątków, większą swobodę w użyciu uzyskanych funduszów. Podobno — jak twierdzą ludzie fachowi i ze stosunkami obeznani — możnaby dochody coroczne znacznie pomnożyć, rozwijając przemysł, zaprowadzając racyonalniejszą gospodarkę; lecz pocóż po-

cić się nad zwiększeniem dochodów, kiedy już dzisiaj rząd nie bardzo wie, co robić z pieniędzmi uzyskanemi za samą tylko sprzedaż drzewa z niekończących się lasów; komu jeszcze, na co i za co je płacić, bo dla siebie przecież nie swojej własności zatrzymywać nie można! Rzecz jak z bajki wycięta, a jednak prawdziwa: nie amerykański, nie jakiś australski, ale austryacki rząd kłopocze się, nie skąd pieniędzy wydostać, lecz co z niemi zrobić?

Dowodów na ten oczywisty, przysięgaćby się chciało, paradoks — dowodów, że wschodnia Cerkiew bukowińska prawdziwie po wschodniemu w złoto opływa, nie trzeba długo i daleko szukać. Najoczywistszy, a w ścisłem słowa znaczeniu, w oczy bijący argument, mieści się w pytaniu, które przybysza prześladuje tutaj formalnie od pierwszej do ostatniej godziny pobytu, od świtu do zmroku:

— Widziałeś, zwiedziłeś już „rezydencyę“?

Kto parę godzin w Czerniowcach pobył, ten nie pyta naiwnie: Co za „rezydencyę“? Wie, że kiedy o „rezydencyi“ mowa, to o — metropolitalnej, o największej ozdobie i ciekawości czerniowieckiej, o której głuche jakieś wieści czasem nawet do sąsiadującej o miedzę Galicyi dochodzą; wie, bo nie raz i nie dwa wysłuchał najautentyczniejszego zresztą w świecie opowiadania, jak to rząd, nie wiedząc gdzie podziać gromadzące się pieniądze, umyślił Metropolicie wystawić pałac nad pałace, i tak przy dobrej woli, przy wytrwałem współpracownictwie wszystkich ku temu powołanych czynników, potrafił trochę milionów się pozbyć. Być w Czerniowcach, a „rezydencyi“ nie oglądać, to być w Rzymie, a nie widzieć Papieża; tu Metropolity nikt tak bardzo widzieć nie pożąda, ale pokoje jego „milionami utapetowane“ — jak ktoś, nie wiem złośliwie, czy tylko prawdziwie się wyraża — zobaczyć trzeba koniecznie!

— Tylko czy cię puszczą? Takiego kroju i koloru sutanna nie najlepszym paszportem. Kto wie, czy na specyalną jej intencyę nie wymyślą w rezydencyi szczególnych jakich porządków, nowych jakich, dziś właśnie wyszłych i na dziś obowiązujących przepisów?

— Strachy na Lachy! — tłumaczę nad wyraz uprzejmym

znajomym i opiekunom. — Przecież nie wyglądam na paryskiego anarchistę: jeśli zechcą, dam się zrewidować, czy nie niosę ze sobą dynamitu.

Znajomi się śmieją; lecz żarty te, śmiechy, oczywiście ich nie przekonywają. Jeden z najpoważniejszych, a na mnie najłaskawszych, dobrze, choćby dla zajmowanego przez siebie stanowiska, Metropolicie znajomy, gwałtem niemal ofiarowuje się za przewodnika; a choć proszę, aby na taki upał się nie trudził, perswaduję, że „rezydencya“ nie w Afryce, i sam dam sobie radę, uśmiecha się na perswazye, ale jednocześnie laskę bierze do ręki i kapelusz nakłada. Jak na Czerniowce, mamy jeszcze z rynku spory kawał drogi. Na lewo zostawiamy w czerwone wieże i wieżyczki strojną żydowsko-postępową bóżnicę; mijamy niczem szczególnem nie odznaczający się gmach uniwersytecki, i otóż, dyplomatycznym językiem wyrażając się, jesteśmy już w sferze interesów metropolitalnego państwa. Prawdziwe to państewko, stolica, słowem „rezydencya“! Prowadzi do niej ulica „Rezydencyjna“; okala ją zaś ulica „Księża“ i „Seminaryjska“; i nie próżne to nazwy: raz po raz z głównej bramy wysuwają się czarne stroje, poważne, siwe brody archimandrytów; to znowu czarne, krótkie jeszcze bródki i wąsy młodych seminarzystów: pierwsi, nie przestraszeni widokiem łacińskich sutan, kłaniają się nieraz uprzejmie; drudzy spoglądają z pod oka i szybko wzrok spuszczają: niby obcych przechodniów nie widzą!

Tymczasem przed okiem rysują się coraz wspanialej rezydencyjne gmachy. Z daleka robiły wrażenie jakiejś olbrzymiej, czerwonej plamy; teraz odrzynają się od siebie wyraźnie trzy odrębne budowy: po prawej stronie dom dla konsystorskich dygnitarzów; po lewej, szerokim dziedzińcem od poprzedniego oddzielone, seminaryum z cerkwią; w głębi, przez całą długość dziedzińca, który w niejednem mieście mógłby wybornie zastępować rynek, rozciąga się imponujący, tak ozdobiony, bogaty — że aż nieładnie pałac arcybiskupi. Jaki jego styl? Pytam napróżno, nadaremnie nawet do książek zaglądam; jedna o arabskim wspomina, inna o bizantyjskim; pewnie i jedna i druga ma racyę, a nie wiedzieć, czy możnaby słusznie tym racyi odmówić, któ-

rzy półgębkiem wspominają coś o stylu „bahnhofowym“! Bądź co bądź, taki czy inny, uderza rozmiarami; olśniewa czerwienią ścian, w tęczowe kolory mieniącemi się dachami, wieżami, wieżyczkami wszelkich barw i wielkości; zmusza do okrzyku: „Ależ tu pieniędzy nie żałowano!“

Do wielkiego, wspaniałego *atrium*, którego niejedna królewska czy cesarska rezydencya z wszelkiem prawem mogłaby pozazdrościć, dostajemy się bez przeszkody; nie pytani też przez nikogo i nie molestowani, zwiedzamy rozciągający się poza pałacem ogród. Przy wiejskim dworze, przy miejskiej willi, wyglądałby zupełnie przyzwoicie, nawet ładnie; przy tych gmachach, stosunkowo i za mały i za skromny. Rozpoczęte niegdyś, od wielu lat dla braku chęci czy pieniędzy przerwane roboty koło mających go upiększyć grot, skał, czy kiosków, rzucają na te ścieżki i gazony, na przytykające do nich pałacowe mury, melancholijne jakieś cienie, po myśli błąka się dawno w pismach francuskiego poety wyczytane pytanie:

Cóż, więc ty mniemasz, żem taki szalony,
Iż w wieczność róży uwierzę?

Wejdźmy do środka, jeśli *notabene* paszportu do wejścia użyczą. Starania o ten paszport wcale niełatwe; odsyłają od Annasza do Kajfasza, a co gorsza, Kajfasza odnaleść nie można; wreszcie od jakiegoś Piłata nadchodzi niewesoła decyzya: „Dzisiaj pałacu zwiedzać nie można, bo robią się ogólne porządki przed świętami“. Podejrzane mi te porządki, tem bardziej, że nie dalej jak wczoraj ostrzegano mię przed zdradziecką „porządkową formułką“ — ale cóż robić: głową muru nie przebije! Nieprawda! pokazało się, że byle mieć głowę nie do pozłoty, można nią czasem i mury przebijać; gdybym był sam, musiałbym się był sromotnie, nic nie wskórawszy, cofnąć; na szczęście sam nie byłem! Przewodnik mój, wychodząc z zasady, że najlepiej zawsze z samym panem gadać, napisał po niemiecku krótki bilecik do Metropolity, a bilecik ten wywarł wpływ prawdziwie magiczny: nietylko wszystkie drzwi i bramy na oścież się przed nami otwarły, lecz co dziwniejsza, znikły od razu — z grzeczności prawdopodobnie i aby wrażenia nam nie psuć — wszel-

kie najdrobniejsze nawet ślady „generalnego przedświątecznego porządkowania". W jednej tylko sali dwóch drabów krzątało się i poprawiało coś energicznie koło dywanów, które leżąc w idealnym porządku, niemało musiały dziwić się i pytać: Czego właściwie sobie życzą i czego szukają ci dwaj świeżo a nagle przykomenderowani tu do nas panowie?

Sale wspaniałe, olśniewające i wielkością i przepychem. Kongresowa i jadalna sala wyglądają jak wielkie, a bardzo bogate świątynie. Pierwsza zwłaszcza, przez dwa piętra idąca, wyłożona wokoło alabastrem, zasiana czarnym lasem alabastrowych kolumn i łuków, odbijających się jak w kryształe, w marmurowej posadzce; uwieńczona nadzwyczaj oryginalnym a prześlicznym sufitem z harmonijnie ze sobą łączących się setek łuków, kopuł, kopułek — musi długo w pamięci zostać i pobudzić do okrzyku, powtarzanego niejednokrotnie już tutaj przez znawców, artystów i prostych turystów: „Dla tej jednej sali warto do Czerniowiec przyjechać!" Dalej szereg apartamentów recepcyjnych, umeblowanych i wymalowanych bardzo poważnie; oglądane przed salą kongresową, robią imponujące wrażenie, po niej maleją i blednieją. Metropolita był do tego stopnia uprzejmym, że kazał nas zaprowadzić nawet do prywatnego swego gabinetu, gdzie wisi parę dość ładnych obrazów; sam gabinet był pusty, jak puste, ciche całe pierwsze piętro, przypominające raczej muzealne jakieś zbiory, jakieś odrębnego rodzaju Podhorce, niż dom, w którym ludzie mieszkają; — ale otwarte książki, nie zaschnięty na piórze atrament, zdradzały oczywiście niedawną bytność gospodarza, wypędzonego dopiero co odgłosem zbliżających się kroków; czekającego zapewne w poblizkim pokoiku kiedy odezwie się ich echo w odwrotnym kierunku.

Obok złotem kapiących, marmurami, alabastrem, i czem dusza zapragnie, przepełnionych sal, salonów, krużganków, znajdują się w obrębie rezydencyjnych murów dwie kaplice, a mówiąc dokładniej: prywatna kaplica Metropolity i seminaryjska cerkiew. Pierwsza, umieszczona w górującej nad rezydencyą wieżyczce, wygląda jak wysoka, złotem poobwieszana, w różnorodne kolory przybrana topola; druga, nie wielka, dość bogata,

nie odznacza się niczem szczególnem. Weszliśmy tu w czasie jakiegoś seminaryjskiego nabożeństwa; liczni brodaci i wąsaci klerycy śpiewali, bili gęste pokłony i — trudno było przynajmniej widzowi na twarze i postawy ich patrząc, od tego wniosku się obronić — na zabój się nudzili. Prócz seminarzystów, nie było w cerkwi żywej duszy; nie wiele więcej w dzień powszedni znalazłem pobożnych w prawosławnej katedrze — brzydkiej, zwłaszcza w porównaniu do „Rezydencyi", i ubogiej, że aż wstyd. W niedzielę za to rano, katedra i cały plac przed nią przepełniony wyszywanemi w różne wzory kożuszkami okolicznych Wołochów; białemi spodnicami i zawojami, żółtemi butami, haftowanemi pantoflami Wołoszek; obsaczony długiemi szeregami wszelkiego rodzaju i kalibru żebraczego wojska. Czy w niedzielę, w święto, i do seminaryjskiej cerkwi kto pobożny zaglądnie? Nie widziałem sam, spytać się zapomniałem, więc ani twierdzić, ani przeczyć stanowczo nie śmiem, choć na racyach do zaprzeczenia możeby nie zbywało.

Wychodząc, raz jeszcze przed wielką bramą zwrócić się trzeba, całość okiem objąć i zapytać: w czyjej głowie zrodziły się plany tych gmachów, nie zawsze bez wątpienia, nie w każdym szczególe genialne, nie zawsze piękne nawet, lecz bądź co bądź oryginalne, śmiałe? W głowie Polaka: Księżarskiego. A kto zbudował żydowski *Tempel?* Julian Zacharjewicz. Kto od wielu lat Czerniowcami rządzi, umie sobie zjednać wszystkich sympatye, za kogo i głównie dzięki komu miasto z roku na rok ciągle, namacalnie się rozwija? Dzięki długoletniemu swemu, na kilka już nawrotów wybieranemu prezesowi: Antoniemu Kochanowskiemu. Nie przyzwyczajony Polak do oglądania nazwisk swych współziomków, poza granicami polskiego kraju, w takiej i tak zasłużonej czci; przyzwyczajony raczej do tego, że uważają go za niższego kulturą, za obywatela, czasem wręcz za człowieka drugiego rzędu; rzecz prosta, że aż mu trochę dziwno i oswajać się dopiero powoli musi z tem uznaniem i stanowiskiem, jakie polska praca i polski talent umiały sobie na mołdawskich tych kresach wywalczyć. Polacy reprezentują wogóle na Bukowinie, a specyalnie w Czerniowcach, żywioł wyższy cywiliza-

cyjny: z nich rekrutuje się w znacznej części stan średni: urzędnicy, księża, kupcy, rzemieślnicy; słowem, *mutatis mutandis;* powiedzieć by można, że odgrywają oni mniej więcej tę samą rolę, jaką element niemiecki, abstrahując od dzisiejszych stosunków, odgrywał w każdym razie do bardzo niedawnych czasów na Górnym Szląsku. Jeśli potrzebaby jeszcze dowodów, jakie było posłannictwo Polski, w jakim kierunku zwrócić się była winna, w jakim po części i dziś jeszcze może spełniać cywilizacyjną misyę, a zarazem i zabezpieczać głodnym swym synom kawałek codziennego chleba — to bardzo przekonywające argumenty i wskazówki w tej mierze znaleść można bez trudu w Czerniowcach: bo biją one same w oczy w przechylającej się o wiele już silniej w stronę Wschodu, niż Zachodu, Bukowinie.

Pierwsze kolonie polskie zawitały w te strony po mołdawskiej wyprawie Sobieskiego. Były to kolonie nieliczne, słabe; dopiero od chwili wcielenia Bukowiny do Galicyi odręcznym biletem cesarskim z 6 sierpnia 1786, zaczęły się one naturalną rzeczy koleją wzmacniać i rozszerzać. Po założeniu lwowskiego Uniwersytetu w r. 1817, wielu z młodzieży bukowińskiej ciągnęło do niedawno kreowanej galicyjsko-bukowińskiej stolicy i oczywiście bratało się z polskimi kolegami, przyjmowało ich język, nieraz przejmowało się ich ideami i ideałami. Dekret rządowy z 10 maja 1854 odłączył znowu Bukowinę od Galicyi i utworzył z niej osobną prowincyę, zależną bezpośrednio już nie od Lwowa, ale od Wiednia. Fundamentalna ta przemiana stosunków nie mogła bez wpływu pozostać na rozwój polskich kolonij i polskiego żywiołu: Polacy znaleźli się nagle w obcym dla siebie kraju; uczuć musieli podwójnie, choćby im tego raz po raz nie przypominano: Jesteście tu przybyszami, cudzoziemcami. Miało to swoje mniej pomyślne, miało i pomyślne strony. Polscy koloniści, czując, że im grunt z pod nóg się usuwa, otrzeźwili się z pewnej dotychczasowej apatyi, zaczęli się skupiać, jednoczyć, myśleć na seryo o zabezpieczeniu swego języka, narodowości, od utonięcia w nowo uformowanem z trzech, w różnych kierunkach płynących rzek: rumuńskiej, ruskiej, niemieckiej — „bukowińskiem“ morzu; zaczęli dopominać się o słuszne swe

prawa; żądać, aby się z nimi liczono, i co ważniejsza, przeprowadzać wytrwałością swą i energią uznanie słuszności tych żądań. W ciągłych walkach i zapasach, gdy ruski i rumuński oboz zaczęły się od siebie coraz wyraźniej i ostrzej odgraniczać; gdy z drugiej strony Niemcy nie taili się także z chęcią osiągnięcia w Bukowinie hegemonii: musiało koniecznie 20 do 30 tysięcy po całej prowincyi rozproszonych Polaków, pod groźbą zagłady, broń w rękę chwycić, strzedz swych granic od napaści, a zatem i przedewszystkiem starać się o obudzenie w sobie narodowej świadomości. Najnowsze statystyczne wykazy dowodzą, że starania te nie były bezowocne. W przeciągu ostatnich lat dziesięciu, żywioł polski na Bukowinie wzrósł o 29%, a wzrost ten zawdzięcza głównie temu, że wielu dawniejszych eks-Galicyan, późniejszych „Bukowińczyków", wielu z tych, co dawniej mówili po polsku i niemiecku, ale prędzej już — jeśliby koniecznie wybierać trzeba — Niemcami, niż Polakami czuli się i nazywali: teraz bez ogródek i bez namysłu wpisali swe nazwiska pod rubryką: „Polak".

Jadąc do Czerniowiec, starałem się o nich tu i ówdzie języka zasięgnąć; a pomimo tego — wyznaję ze wstydem, który do dziś dnia ceglaste rumieńce na twarzy mi wyciska — wyjść mi jakoś z głowy nie chciało, aby można się tam było inaczej rozmówić, jak w języku Getów i Szylerów. Na samym co prawda wstępie, na dworcu kolejowym, doróżkarz z biedą, i więcej widocznie instynktem niż słuchem się kierując, zrozumiał mą przemowę — ale moja to wina, święcie byłem przekonany, moja oczywista wina, wina fatalnego akcentu, który, gdybym sam Niemcem się urodził, zadawałby mym uszom nie do zniesienia tortury. Przejeżdżając rynkiem, zdawało mi się znowu, że polskie słowa o uszy mi się obijają — ot! złudzenie akustyczne!... Doróżka staje, wysiadam; bramę otwiera jakiś Niemczyk, jak z obrazka zdjęty; istotnie Niemczyk — przyznał mi się nazajutrz — z dziada, pradziada; kłania się grzecznie i przemawia — po polsku... Czy to czary, czy Czerniowce polskiem miastem, czy dziwnym przypadkiem przywitało mię właśnie tych kilku po polsku mówiących?... Pewnie przypadek, mówię sobie, wchodząc do księgarni, i znowu ani się spostrzegłem, jak niemieckie

dźwięki przez usta się wymykają. Księgarz, czy pomocnik księgarski, odpowiada po niemiecku, a jednocześnie zwraca się do chłopca, i woła: „Józek! podajno stołka!“ Nie! stanowczo: dosyć już tego dobrego, a właściwiej niedobrego! za czyjeż pieniądze mam urządzać obławy za uciekającemi i ukrywającemi się gdzieś w pamięciowych matecznikach niemieckiemi wyrazami, kiedy tu wszędzie i niemal że ze wszystkimi po polsku można się porozumieć. W Wydziale krajowym, w ratuszu, w Namiestnictwie, ba! w metropolitalnym pałacu, mimo, że w murach jego urzędowo tylko rumuński i niemiecki język mają prawo obywatelstwa, i z polskim samym nie zginiesz; służący wybornie cię zrozumie, a zawsze jeszcze znajdzie się jakiś grzeczny i uczynny pan Radca, pan Sekretarz, co nietylko odpowie, lecz sam pierwszy po polsku zagada. Co tu zresztą mówić o sklepach, o księgarniach, o ratuszu, kiedy wszedłszy do redakcyi urzędowej *Czernowitzer Zeitung,* pomówiwszy chwilę z naczelnym jej redaktorem, z osłupieniem przekonywasz się, że mógłbyś chodzić niemal do niego na lekcye polskiego języka, i dopytywać się później musisz znajomych: „Czy tylko on naprawdę Niemcem?“ Miła to, wszystko razem wziąwszy, tem milsza, że tak rzadka niespodzianka!

Dzielę się wesołem tem wrażeniem z redaktorem wychodzącej w Czerniowcach *Gazety Polskiej,* p. Klemensem Kołakowskim. Gorący to patryota; ruchliwy, pracowity: redaktor, okolicznościowy poeta, reżyser amatorskich teatrów, członek dyrekcyi „Towarzystwa polskiego bratniej pomocy“, słowem — *si licet parva componere magnis,* minister spraw zagranicznych, wojny, szef biura prasowego; i jeśli już nie minister, to pierwszy sekretarz ministra spraw wewnętrznych i oświaty w polskiej kolonii czerniowieckiej. Uśmiecha się z zadowoleniem, kiedy mu opowiadam, jak ucieszyło mię, jak zdziwiło tak żywo bijące życie polskie na dalekich tych kresach; kiedy powtarzam usłyszane przed kilku godzinami z ust prezydenta krajowego, hrabiego Pace, pochwały o wyrobionym politycznym zmyśle między bukowińskimi Polakami, o polskiej solidarności w czasie ostatnich wyborów.

— Tak, tak, — przytakuje — jesteśmy tu, dzięki Bogu, dość

zjednoczeni, solidarni, i w tem cała nasza siła i znaczenie. Pace był, zdaje się, na początku swego urzędowania nieco do nas uprzedzony; później przekonał się, że może na nas liczyć; tem też większa szkoda, że dni jego pobytu tutaj już policzone. Chciał dobrze, ale za nerwowo wziął się do pewnych reform; nie zrozumiał od razu sytuacyi i ani się spostrzegł, jak wszedł w sieci zręcznie zastawione przez Rumunów — a to dyplomaci, wyborni dyplomaci! Tłumaczyli, tłumaczyli w Wiedniu, że oni tu właściwie są wszystkiem, że od nich deszcz i pogoda zawisła; aż wreszcie i znaleźli takich poczciwców, którzy na słowo im uwierzyli. Czerniowce dla wielu z wiedeńskich panów, to kraniec świata; uwierzyć trudno, jakie często o nas w Wiedniu — no! Bogiem a prawdą, i w Galicyi także — szerzą się błędne wyobrażenia. Zresztą, jak na Wiedeń, na Galicyę się skarżyć, kiedy tu, w Czerniowcach, niektórzy boją się nas Polaków i podejrzywają, że myślimy o powrocie do dawnych stosunków, o przyłączeniu Bukowiny do Galicyi. A nam co po wzmocnieniu w Galicyi, i to tak potężnem wzmocnieniu, żywiołu niemieckiego; a nam na co wprowadzać do Galicyi, obok istniejącej już ruskiej, jeszcze rumuńską, a kto wie, czy nie i niemiecką kwestyę? Nie! coś podobnego nawet przez sen na myśl nam nie przychodzi.

Rozmowa zeszła niebawem na „Towarzystwo bratniej pomocy“, na „Czytelnię polską“. Wszystkiem tu ona dla nas, zaręcza łaskawy mój informator: ogniskiem, w którem kupi się i wzmacnia, aby później wokoło promieniować, polskie, narodowe życie. „Towarzystwo“ powołane zostało do życia z początkiem 1869 r., dzięki inicyatywie ks. Stefana Dembińskiego i gorliwemu poparciu paru polskich patryotów: br. Gostkowskiego, d-ra Kornickiego, a na pierwszem miejscu „patryarchy“, jak go tu nazywają, bukowińskich Polaków, Aleksandra Morgenbessera, znanego w szerokich kołach autora humorystycznych poematów: „Obrona Sokołowa“, „Myślący burmistrz“, „Palestra“. W kilka miesięcy później, bo już w jesieni tego samego roku, „Towarzystwo“ powiększyło znacznie swój zakres działania, tworząc polską „Czytelnię“. Dochody, w pierwszych zwłaszcza latach, dość hojnie płynęły; później rączy z początku strumień zwolnił

w biegu i znowu, dzięki zapałowi nowych członków, dzięki uroczyście obchodzonym narodowym rocznicom, nawoływaniom, zachętom, na sile się wzmagał; nigdy jednak płynąć nie przestał, nigdy nawet nie groziło w tej mierze na seryo niebezpieczeństwo. I Bogu dziękować, bo samo takie niebezpieczeństwo byłoby dla bukowińskich Polaków niemałą klęską. „Bratnia pomoc“, „Czytelnia“, skromne to nazwy; wniknąwszy dopiero w dawniejszą i dzisiejszą historyę tych instytucyj, dojść można i ocenić, co pod skromnemi temi nazwami się kryje; jaką niosą pomoc, jak rzeczywiście bratnią, zbyt często potrzebną, często skuteczną i dla ciał i dla dusz.

Urzędowe sprawozdanie za rok 1891, złożone na walnem zgromadzeniu dnia 31 stycznia b. r., świadczy o świetnym, o niebywałym, jak stwierdził prezes ks. Jan Fischer we wstępnej przemowie, rozwoju „Towarzystwa“ w ostatnich miesiącach. Członków honorowych liczyło Towarzystwo 10; czynnych 441; nadzwyczajnych wspierających 1; nadzwyczajnych, należących do akademickiego Towarzystwa polskiego: „Ognisko“, 12; w porównaniu do liczby członków z końcem r. 1890, więcej o 74. Obecny czysty majątek Towarzystwa wynosi 12.643 złr. 97 kr. Na materyalną pomoc: zakupienie ubógim dzieciom książek i szkolnych przyborów; gwiazdkę, która znowu biedne szkolne dzieci zaopatrzyła w niezbędną odzież i obuwie; trzy stypendya po 50 złr.; zapomogi dla polskich chorych i przejezdnych — wydało Towarzystwo razem wziąwszy 1331 złr. 75 kr. Moralna pomoc przez Towarzystwo użyczana, moralne rezultaty przez nie otrzymane, świetniej się jeszcze przedstawiają. Biblioteka wzrosła z 4093 dzieł w 6699 tomach, do 4568 dzieł w 7344 tomach, częścią drogą zakupna, częścią darów od osób prywatnych, redakcyj i publicznych instytucyj; wypożyczono z niej w ciągu minionego roku 7827 dzieł w 13.188 tomach. Założona przed kilku latami przez ks. Jana Siemieńskiego biblioteka popularna, przeznaczona głównie dla rzemieślniczej młodzieży, wzrosła do 428 dzieł w 445 tomach; korzystało z niej 34 czytających, którzy łącznie wypożyczyli 354 tomów. Popularnych odczytów odbyło się jedenaście, przy dość, niestety, słabym udziale słucha-

czów. Sekcya teatralna i świeżo, z okazyi rocznicy Trzeciego Maja, zawiązana „sekcya śpiewaków Lutnia“, mają na celu skupiać Polaków przy wspólnej zabawie, starać się o rozbudzenie i utrzymanie między nimi towarzyskiego życia. Pierwsza z tych sekcyj urządziła ośm amatorskich przedstawień, które przyniosły czystego dochodu 365 złr. 64 kr.; druga doprowadziła do skutku parę gromadnych, a bardzo podobno wesołych i uroczych „majówek“, parę „wieczornic“ i koncertów. Udział publiczności na tych zebraniach i zabawach tak liczny, że dzisiejsza sala, na nie przeznaczona, o wiele jest za szczupłą, i dlatego „Towarzystwo“ krzątać się już zaczęło około zbierania funduszów na zbudowanie nowej, obszerniejszej. Rezultaty to, cyfry zwłaszcza, przekonywające; trudno czoła przed niemi nie ugiąć i szczerze się nie cieszyć, że Bóg poczciwej, a w danych warunkach z pewnością niełatwej, pracy błogosławi.

Obok „Bratniej pomocy“ i ścisłemi węzłami połączonej z nią „Czytelni“, istnieją dwa jeszcze polskie stowarzyszenia: akademickie, wzmiankowane powyżej „Ognisko“, i polityczne „Koło polskie“. „Ognisko“ założone 1877 r., a zatem w dwa zaledwie lata po otwarciu czerniowieckiego Uniwersytetu, rozpłynęło się dla braku członków w r. 1882, i znowu w trzy lata później, wskrzeszone z popiołów żyje, i choć w drobnym hufcu, do przyszłych walk się musztruje. Zawiązane niedawno temu „Koło polskie“ ma za zadanie obronę polskich interesów na Bukowinie, kierowanie wyborami, utrzymywanie łączności między Polakami i prowadzenie wspólnej solidarnej akcyi równie w ratuszu, jak w gmachu sejmowym, w Czerniowcach jak w Wiedniu. Członkiem „Koła“ może być każdy pełnoletni Polak, posiadający obywatelstwo austryackie; roczna wkładka wynosi tylko jeden reński.

Z kolei opowiada mi p. Kołakowski i o redagowanej przez siebie *Gazecie*, a opowiada tak po prostu, bez politycznych omówień i dyplomatycznych przemilczań, jakby — redaktorem nie był. *Gazeta Polska*, choć dziesiąty rok już istnieje, o tem pisze i tam zagląda, na bukowińsko-mołdawskich przestrzeniach, gdzie nie dociera żadne inne polskie pismo; choć wpływ jej i zna-

czenie szeroko cenione, nie lekko, przez czerniowieckich niechętnych i nieprzyjaciół ważone; chwalone przez bukowińskich, galicyjskich, poznańskich przyjaciół; choć wszyscy jednogłośnie uznają, że istnieć powinna, a gdyby nie istniała, utworzyćby ją trzeba, — sama jednak o własnych siłach nie może się utrzymać, po dziś dzień potrzebuje subwencyi, i bodaj nie prędko będzie mogła się jej zrzec. Dobrze przynajmniej, że wytrwały redaktor nie zraża się ani moralnemi, ani materyalnemi trudnościami, i jak pierwszy właściwie i na seryo chwycił w rękę polsko-dziennikarską taczkę na Bukowinie, tak dalej energicznie ją ciągnie. Przed założeniem *Gazety* było wprawdzie parę prób, ale ani zręcznych, ani udanych. Humorystyczna *Osa* przeleciała i zniknęła bez śladu i bez żalu; literacki dwutygodnik *Przedświt* nie mógł przez sześć miesięcy z przedświtowych ciemności się wydobyć i wywędrował, nie żegnany, nie płakany, do Lwowa, gdzie niebawem stanowczo z marzeniami o dalszem istnieniu miał się pożegnać; dopiero dwa tygodniki: *Gazeta Polska* i *Przegląd Czerniowiecki*, podciągnięte wkrótce pod wspólny tytuł *Gazety*, potrafiły zdobyć sobie prawo do bytu, wpływ, stanowisko. Co pan Kołakowski wypowiedział raz w poetycznym toaście o „Czytelni polskiej“, to i do *Gazety* najsłuszniej daje się zastosować; może służyć — z drobną zmianą — za program jej i motto:

Jak ongi nasi rycerze starzy
W zbrojnych stanicach trzymali straż,
I my do dalszej wezwani straży,
Na kresach sztandar wznosimy nasz.
Broń nasza — księga, papier i pióro,
A teren boju — oświaty szlak;
Stanica nasza — skromna Gazeta,
Gdzie straży wodze, hasło i znak [1].
Niewielu nas tu kresowej braci,
Ale nam serca nie zlęknie wróg,
Bo tylko rozpacz narody traci,
A w nas jest wiara — i przy nas Bóg!

[1] Druga strofka w oryginalnym tekscie brzmi:
Broń nasza — księga, dłuto i kielnia,
A teren boju — oświaty szlak;
Stanica nasza — skromna Czytelnia,
Gdzie straży wodze, hasło i znak.

Czy jest istotnie szczera, polska wiara: czy idą bukowińscy Polacy, czy idą bukowińscy katolicy zawsze z Bogiem, nigdy bez Boga? Wogóle nie rozchodzą się w tym względzie o Bukowinie same najpochlebniejsze wieści. Od każdego prawie, kto pobył czas pewien, zwłaszcza w niektórych południowych jej powiatach, i miał sposobność dłużej a naocznie mieszkańcom się przypatrzeć, usłyszeć można dziwy o zwyczajach ich i obyczajach; szczegóły, które gdzieś w głąb Azyi przenoszą. Ani wyobrazić sobie ani uwierzyć niełatwo, co dziać się ma, co się dzieje na schyzmatyckich pogrzebach, na jarmarkach, w samychże cerkwiach nawet: jaka pijatyka, demoralizacya, bujnie, bez żadnej przeszkody, owszem czasami z czynnym współudziałem popów, rozrastająca się zabobonność![1] Z jednej strony prze wschodnie barbarzyństwo, z drugiej rozpiera się indyferentyzm żydowsko-niemiecki; a ostatecznie oba te prądy krańcowe równie i wspólnie godzą na katolicką, powiedzmy: na szczerze a prawdziwie chrześcijańską religię, na chrześcijańską moralność. Wspólnie godzą i bezsprzecznie na wielkie niebezpieczeństwa je narażają; narażałyby na niechybną zagubę, gdyby niebezpieczeństwo było już klęską, gdyby za każdym silnym atakiem szła ślad w ślad wygrana. Tak na szczęście nie jest — a że nie jest, w tem z jednej strony — przyznają to w innych oczywiście wyrazach i z różnego kąta widzenia, i przyjaciele i nieprzyjaciele — zasługa niemała samychże bukowińskich katolików, więc w pierwszej linii Polaków; z drugiej strony nadzieja na przyszłość prędszego i pomyślniejszego niż dotąd rozwoju, na podstawie zasad w całem tego słowa znaczeniu chrześcijańskich opartej moralności, a tem samem jednocześnie i rozwoju prawdziwej cywilizacyi.

Katolicyzm na bukowińskiej ziemi nie datuje dopiero, — jak pisarze konfiskujący ten kraj na wyłączną własność rumunizmu i prawosławia wmówić usiłują w swych czytelników — od czasu, w którym austryackie wojska sztandary swe na niej zatknęły. Już w XIII. wieku rezyduje w Serecie biskup łaciński;

---

[1] Por. wiązankę ciekawych, przerażających prawdziwie faktów, zebranych w broszurce p. Kołakowskiego: „W obronie prawdy“, str. 74 i nast.

r. 1370 za staraniem wojewody Laczki, przychodzi do skutku erekcya osobnego Sereckiego biskupstwa, przeniesionego w kilkadziesiąt lat później do Bakowa. Biskupstwo to przechodziło bardzo różne koleje, cały wiek XVI. stało opustoszone, aż znowu około r. 1600 otrzymało pasterza: Bernardyna Quirini. Katolików łacińskiego obrządku znajdowało się naówczas w nowej dyecezyi około 11.000; w samej Suczawie wznosiły się dwa katolickie kościoły; Franciszkanie, Jezuici zakładali na różnych punktach swe klasztorki i odbywali z nich krótsze i dłuższe misyjne wycieczki w okolicę [1]. W XVIII. wieku zmienił się, co prawda, stan rzeczy na gorsze; jak i dlaczego, za długoby było i nie tu miejsce się rozwodzić. Podczas dziesięcioletniej austryackiej administracyi wojskowej, od r. 1777 do 1787, założono na Bukowinie 12 łacińskich parafij i kościołów; w peryodzie złączenia Bukowiny z Galicyą, przybyło 9 nowych; dziś liczba wszystkich razem wynosi 25; ogólna cyfra katolików łacińskiego obrządku obraca się około 70.000; Unitów Rusinów około 16.000; Unitów Ormian do 800. Rusini i Ormianie, w porównaniu do dawniejszych spisów statystycznych, raczej topnieją niż rosną; u Łacinników jest do zaznaczenia pewien wzrost, choć w stosunku do ogólnego wzrostu ludności wcale nie nieproporcyonalny. Katolicy skupiają się bardziej może niż dawniej; lepiej niż dawniej, właśnie wskutek wymierzonych przeciw sobie napadów, rozumieją swą wiarę i więcej ją cenią — i za to Bogu dziękować! Natomiast narzekania prawosławnego Metropolity, którym w „Apologiach“ swych tak głośny dał wyraz, na rozwielmożniającą się łacińską propagandę, na szerzenie wszelkiemi drogami i środkami katolicyzmu, nie mają dziś ani podstawy, ani cienia podstawy. Zapewne, katolicy przekonani o prawdzie swej religii, pragnęliby wszystkich z nią zapoznać, w serca współobywateli swych ją przelać; niestety! na Bukowinie nie mają do tego

[1] Por. dwa artykuły umieszczone w *Misyach katolickich:* „Misya mołdawska za Zygmunta III.“ (Zeszyt lipcowy 1882 r.), i „Misyonarze polscy w Mołdawii w XVII. i XVIII. w.“ (Zeszyt listopadowy i grudniowy 1883). Oba te artykuły zawierają bardzo wiele ciekawych szczegółów, a oparte są przeważnie na rękopiśmiennych źródłach.

środków, nie mają możności: smutne cyfry stwierdzają, że daleko więcej katolików tonie we wschodniej Cerkwi, niż schyzmatyków powraca do Kościoła. Kto jakkolwiek poznał panujące tutaj stosunki, i słyszy później i czyta, jak bogaty, wpływowy Metropolita, jak bogaci jego doradcy skarżą się i lamentują na garstkę katolików, że im wodę mącą: temu trudno sobie nie przypomnieć, a jeśli dzieckiem na pamięć się wyuczył, po cichu sobie nie powtórzyć, bajeczki o prześladowanym wilku, i prześladującej, niegodziwej, nietoleranckiej owieczce.

Dużo o tem w Czerniowcach nasłuchać się możesz; dużo, gdy czasami myśl zmęczoną do weselszego jakiego przedmiotu radbyś nawrócić, nasłuchać się musisz. Stary Czerniowczanin, wybornie od wielu lat z miejskiemi, z bukowińskiemi sprawami i prądami obeznany, zaznajamia mię z niemi bliżej, oprowadzając po mieście, zwracając sumiennie uwagę na najdrobniejszy szczegół, który zobaczyć opłaci się.

— Prawosławnych Rumunów, liberalnych Żydów, kłuje po prostu w oczy, że u nas poczucie katolickie się wzmaga, życie katolickie się rozwija, a oni ze wszystkiemi swemi pieniędzmi i znaczeniem męczą się i męczą, gniewają i gniewają, a niczem podobnem, bodaj przynajmniej karykaturą czegoś podobnego, poszczycić się nie mogą. Stąd dawniejsza złość na Urszulanki i Jezuitów; dzisiejsza — gdy już Urszulanki ustąpić musiały — na Jezuitów, na arcybiskupa Felińskiego, na podsycaną przez nich, jak głoszą, *urbi et orbi* rzymską propagandę. A Felicyanki, tak poczciwie i pożytecznie tu pracujące, a założone przez ks. Felińskiego „Siostry imienia Maryi“, a budujący się obecnie wielki kościół Serca Jezusowego — myślisz, że na nerwy im nie dają? Ba! i jak jeszcze! Ale cóż robić; trudno żądać, abyśmy dla czyichś zbyt czułych nerwów nie mieli spełniać swych obowiązków; dla pociechy kochanych naszych kompatryotów spali sobie spokojnie, o nic się nie troszcząc, szczęśliwi, że spać nam wolno. Prawda, zyskalibyśmy sobie wtedy pochwały, jako ludzie rozumni, tolerantni; Metropolita prosiłby nas na obiady i recepcye, może i sam czasem swą wizytą zaszczycił; wróciłyby się tak wielbione i chwalone czasy wzajemnej tolerancyi, z której

Czerniowce były niegdyś głośne!... Chroń że nas Panie od takich honorów i takiej tolerancyi, taką ceną okupionej!

Wśród miłej pogawędki, czy — jeśli komu na dokładnem wyrażeniu zależy — monologu mego przewodnika, dochodzimy do wielkiego placu na krańcu miasta, obok wojskowych szpitalów, niedaleko od skromnej, w podziemiach kryjącej się, katakumbowej kapliczki jezuickiej. Dziś pusty to plac; widać tylko błogosławiącą rozpoczętemu dziełu figurę św. Jana; niebawem — kto żyw, w proroka się bawi — zaludni się on, zabuduje. Magnesem, co domy i ludzi tu ściągnie, będzie wspaniały kościół Serca Jezusowego, którego plan i rozmiary można już rozeznać z wyrastających nieco nad ziemię fundamentów. Zajmują one taką mniej więcej przestrzeń, jak np. kościół św. Anny w Krakowie; nadto do kościoła przylegać ma klasztorek dla kilku księży i paru zakonnych braci. Potrzebę katolickiego kościoła w tej dzielnicy, od *centrum* miasta, a zatem od łacińskiego kościoła Świętego Krzyża dość odległej; potrzebę zwłaszcza dla mieszkańców przedmieść: *Rosz, Manasteriska*, uznają wszyscy, co umieją nieco wyżej wzrok podnieść, ze stronniczych uprzedzeń się otrząsnąć, i wszyscy z rzadką jednomyślnością otaczają ważne to a śmiałe, niektórym zdawało się, że na dzisiejsze czasy, na czerniowieckie stosunki, za śmiałe przedsięwzięcie, nie idealną tylko, lecz w najściślejszem i zarazem najpiękniejszem tego słowa znaczeniu realną sympatyą i opieką.

Ogólna ta sympatya wystąpiła najświetniej na jaw, gdy w czerwcu minionego roku ks. arcybiskup Morawski kładł węgielny kamień pod budowę nowej świątyni. Pamiątka tej uroczystości, w której brały udział wszystkie władze, świeckiego przewódcy Rumunów br. Mustatzę nie wyjmując, wszystkie warstwy społeczne, krótko mówiąc, całe Czerniowce — żywo po dziś dzień w pamięciach pozostała, nieraz w najróżniejszych kołach wracają w rozmowie piękne z niej wspomnienia. Bo i jakże zresztą nie miały i nie mają całe Czerniowce nowym kościołem się interesować, kiedy uważać go muszą w pewnej mierze za własne swe dzieło; kiedy wznosić się on będzie na gruncie bezpłatnie przez Radę Miejską odstąpionym. Równie właściwy ini-

cyator budowy i przełożony jezuickiego klasztorku, znany dobrze jak niegdyś w Krakowie, tak później w Saksonii, na Szląsku, tak dziś na Bukowinie, ksiądz Eberhard; równie on, jak dopomagający mu w kweście na kościół braciszek klasztorny, nachwalić się nie mogą poczciwości i hojności czerniowieckich i panów i mieszczan.

— Śmiali się ze mnie, opowiadał i żartował sobie pierwszy, kiedym mówił: „Tu kościół musi stanąć, taki wielki, taki wysoki, taki wspaniały!“ Śmiali się i pytali: „A skąd pieniędzy weźmiesz, u nas bieda“. A ja na to: „Od dziecka słyszałem: ufaj synu Sercu Pana Jezusa i poczciwości dobrych ludzi i zaczynaj śmiało!“ I co, czy nie miałem racyi? Serce P. Jezusa pomaga, ludzie poczciwi; księża tutejsi zajęli się sprawą, jakby swą własną i najdroższą, i dużo, dużo już pieniędzy za ich pośrednictwem na kościół popłynęło; i biedni i bogaci chętnie z jałmużną spieszą, a natomiast w ich domach wiszą dziś wszędzie obrazki Serca P. Jezusa i przynoszą obiecane błogosławieństwo. Przed paru właśnie dniami przybiegły do nas dzieci Pace'go z ofiarą na kościół, z prośbą o obrazki... A ile ciągle nadchodzi listów z jałmużną ze wszystkich stron, i stamtąd gdzie są Polacy: z Ameryki, ze Szląska, z Westfalii; i stamtąd gdzie ich niema!... Taka ofiarność dla P. Boga musi do żywego poruszyć; bez nagrody, prędzej czy później, nie może pozostać... Na ten rok mam już kilkadziesiąt potrzebnych tysięcy; brakuje jeszcze paru, ale wiem, że i te się znajdą, i o przyszły rok się nie kłopoczę: opatrzył Pan Bóg na ten rok, opatrzy i na przyszły. Jak kościół stanie, to będzie można na nim napisać słusznie i prawdziwie: „Kościół ten powstał hojnością miasta Czerniowiec i jego mieszkańców; ofiarnością kapłanów wszystkich trzech katolickich obrządków; groszami Polaków po całym świecie rozproszonych!“

Z niemniejszym entuzyazmem wyraża się braciszek-kwestarz, opowiadając każdego wieczora żebraczą swą odyseę od domu do domu. Szczególniej gniewa się na tych, którzy mu kiedyś dawniej w Galicyi niedość pochlebnie o Czerniowcach mówili. „Oczernili Czerniowce! — woła z wymownym zapałem, o jaki nigdy byłbym go poprzednio nie podejrzywał; — oczer-

nili Czerniowce, a tu ludzie dobrzy, grzeczni i miłosierni! Do Pana Boga się garną, do kościoła chodzą, pracują poczciwie; czegóż więcej potrzeba?“

Poczciwy kwestarz, zjednany uprzejmością i hojnością wszystkich niemal, których progi przestąpił, za różowo bodaj na rzeczy i ludzi się patrzył; za łatwo może i za prędko do ogólnych wniosków z poszczególnych wypadków się posunął. Ale jak się dziwić, jak brać pedantycznie pod krytyczne szkiełko entuzyazmy obu mych interlokutorów, kiedy sam bronić się muszę wszelkiemi siłami, aby nie wypaść z roli krytycznego obserwatora i entuzyazmem się nie zarazić. Niełatwa to sprawa! Od pierwszej chwili wjazdu do bukowińskiej stolicy, spotykały mię, nie jak zbyt często podróżników zwykły spotykać, rozczarowania, ale, jeśli tak wyrazić się wolno, miłe nad wyraz oczarowania: w kościołach tłumy modlące się gorąco, pobożnie; na ulicach, w sklepach, w gmachach rządowych i nierządowych, polski język, życie i, nie zawsze niestety polską, nie zawsze między Polakami kwitnącą, solidarność; w domach prywatnych, najszczerszą polską gościnność... I brońże się tu potem, biedaku! od gorętszego słówka w obronie i na cześć „oczernionych Czerniowiec“!...

Ks. Jan Badeni.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Syam — dokończenie).

Bang-kok, 17 stycznia.

Pierwsze pytanie nasze za powrotem do Bang-koku, było: czy *Schwalbe*, parowiec półn.-niemieckiego Lloyda, już odszedł. Na moje szczęście, spóźniliśmy się o kilka godzin — *Schwalbe* już nie było; to mi pozwala jeszcze kilka dni w Bang-kok zabawić. Trzeba teraz na seryo pomyśleć o zakupnach. Niestety, jak z czajniczkami, tak samo i z przedmiotami wszelkiego rodzaju, wielkie są trudności — bo król i książęta krwi zbierają i skupują co mogą. Parę nieznanych rzeczy udaje nam się jeszcze złowić. Najciekawsze, to wyroby srebrne, przypominające znane u nas bardzo, tulskie i kaukazkie. Zachodzi tylko ta zmiana, że całość przedmiotu ze srebra, najpierw pokrywają cieniutką blachą złotą, a na tem tle złotem dopiero wyrabiają deseń czarną emalią. Minister, podczas gdy my skupujemy, odbywa pożegnalne wizyty. Do ministra spraw zagranicznych, księcia Devan'a, trudno się dostać, śpi bowiem zwykle dzień cały — dopiero po południu i to późno wstaje — audyencyi udziela o godzinie 8-mej wieczorem!

Zdaje mi się, że to ks. Devan opowiadał ministrowi między wielu mniej ciekawemi szczegółami, iż jest zamiarem króla połączyć północ kraju z południem, zapomocą kolei. Myśl arcy-rozumna z punktu widzenia ekonomicznego, a jeszcze bardziej

politycznego; czy jednak kolej taka dzisiaj, wobec tak jeszcze niesłychanie nizkiego rozwoju Syamu pod względem militarnym i administracyjnym, nie byłaby bronią w danym razie obosieczną — nie wiem. Bądź jak bądź, biorą się do niej arcy-powoli. Przygotowując budowę kolei, zarazem mają inżynierowie, którym rzecz tę powierzono, zmierzyć powierzchnię kraju, wytyczyć punkta trygonometryczne i tak dać możność zrobienia kiedyś dokładnej karty geograficznej. Kiedy to się stanie — *das wissen die Götter;* chyba aż klimat nieco ochłodnieje.

Nazajutrz po powrocie z Ajutii, poszedłem oddać wizytę pożegnalną tutejszemu Biskupowi katolickiemu. Poszedłem około $9^1/_2$ rano, by uniknąć skwaru, i zastałem tego wielce zacnego i czcigodnego Pasterza właśnie gdy opuszczał kancelaryę, gdzie od 6-tej czy 7-ej zrana zwykł pracować. W południe naturalnie, jak wszyscy tak i czcigodny Pasterz, odpoczywa, a raczej drzemie w najciemniejszym kącie domu, na najtwardszym meblu jaki posiada — Bogu dziękuje, że go przez chwilę przynajmniej nie tną moskity. Wyglądanie już samo ks. Biskupa mówi, jak strasznie cierpi od klimatu. Cera bladawa, niezdrowa, wszystkie zmarszczki skóry na twarzy i szyi od ciągłego pocenia się czerwone, zaognione, twarz nalana, oczy obrzękłe, krwią nabiegłe, rzęs już wcale nie ma — wypadły od ciągłego, chronicznego zapalenia oczu. Mój Boże, mnie się to prawie niepojętem wydaje, jak taki człowiek egzystować może, przy tym braku wygód i wszelkiego komfortu, choć może właśnie to go utrzymuje. Wszak Anglików szampan, Niemców piwo w tropikach zabija. Ale bo Biskup, tak jak każdy misyonarz, nietylko że egzystuje, lecz jest dobrej myśli, prawie wesół, Pana Boga chwali, do Europy za żadne pieniądzeby już nie wrócił; niezmiernie czynny, boć ma swoje, choć malutkie seminaryum, pisuje stosunkowo często do Rzymu, do swoich podwładnych, i to wszystko przy 31 stopniu wilgotnego gorąca rano, w cieniu, w najzimniejszym miesiącu w roku!

Rozpocząwszy od zwykłych tematów, około upału, febry i t. d. się obracających, przeszliśmy stopniowo do poważniejszych; czcigodny Prałat rozochocił się i znowu, jak zwykle, zaczął od

wielce pokornej i niezłośliwej, niemniej jednak wydatnej skargi na miejscowe, nader przykre stosunki. Trudno się dziwić, że taki biedny misyonarz, spotkawszy człowieka, na którego nosie współczucie w danych okolicznościach jest napisane, pragnie nieco z trosk, któremi ciężarne jest jego serce, się wywnętrzyć, podzielić się niemi.

Pierwszym i niezbędnym czynnikiem, zapomocą którego może misyonarz działać stale i ze skutkiem na już nawróconych, a zwłaszcza na dzieci, a przez dzieci na rodziców, tak tu jak wszędzie, jest szkoła. W Syamie szkoła elementarna najzupełniej wystarcza. Tu jednak na szalony napotykają misyonarze opór, i to opór bierny, tem straszniejszy, że ze strony samychże dzieci! Dziecko tak przychodzi z domu rozpuszczone, tak przyzwyczajone tylko i zawsze własnego kaprysu słuchać, że biedni Ojcowie rady sobie wcale dać nie mogą. O subordynacyi w Syamie mniej jeszcze mają pojęcia, niż o samymże katolicyzmie. Używanie surowych środków przeciw dzieciom, niemożliwe, bo smarkacze skarżą się rodzicom, rodzice interweniują, i w najlepszym razie kończy się na tem, że dzieci wcale nie przysyłają ani do kościoła ani do szkoły. (Przypominają mi się stosunki galicyjskie). Rząd syamski, chcąc mieć duchowieństwo narodowe (!), postanowił był założyć gimnazyum i seminaryum; poczęto budować ogromny budynek lat temu sześć, do dziś nie ukończono, a choć szumna nazwa: *Royal seminary* istnieje — szkoły nie masz. Straszną tę (prawie słowiańską) rozlazłość Syamczyków, przypisuje ks. Biskup nie tyle klimatycznym warunkom, jak głównie przeżyciu się rasy, a to podobno wskutek zbyt częstego żenienia się w rodzinie; królewskie np. siostry, zwykle bywają jego żonami.

Historyi Syamu naturalnie niema, są gdzieś jakieś kroniki i podania. Według tych ostatnich, wywodzą się Syamczycy z gór t. zw. Chińskich, położonych gdzieś na północy — więc jakoby z odnóg wschodnich Himalaju. Stamtąd to mieli oni zejść w VIII. wieku przed Chr. i zdobyć dzisiejsze swoje sadyby, podbiwszy istniejące tu już wówczas państwo Kremais (?). *Relata refero.*

Biskup, stojąc w ciągłych stosunkach z misyonarzami francuskimi w Kochinchinie i Anamie, wiele bardzo ciekawych szczegółów podaje mi o tamtejszych stosunkach. Mimowoli więc znowu przechodzimy na Chińczyków i ich wpływ na Syam; kiedyś już zanotowałem swoje o tym temacie uwagi, nie chcę ich powtarzać. Szczególnie nad położeniem i stosunkami w Anamie, a więc i Tonkinie, płacze ks. Biskup, jak płaczą wszyscy bezstronni Francuzi, znający je. Rząd francuski (dziś może nieco nabrał pod tym względem rozumu), ów rząd liberalno-żydowski, nie chciał uznać arcyważnej na Wschodzie zasady, zasady nieszczęsnej w swych skutkach dla katolicyzmu, ale zanadto zakorzenionej we wszystkich umysłach, by o jej usunięciu mówić można: tj. że narodowość i religia są jedno. Nie chcąc zidentyfikować się z katolicyzmem, rząd terytoryalny (zmuszony do tego z Paryża) nie przeszkodził zaraz w początkach rozruchom anty-katolickim, które później rozrosły się w rzezie i ruiny. A precedens taki fatalnym jest w tych krajach. Póki ludność, nie podjudzana przez emisaryuszów chińskich towarzystw tajnych, brała w prostocie ducha katolicyzm za to czem jest, i przyjmowała ze chrztem, do pewnego stopnia, i narodowość francuską — póty był czas wspomagać misyonarzy, i przyspieszonem tempem rozszerzać katolicyzm. Tego nie uczyniono, przyszli kontr-francuscy, więc kontr-katoliccy agitatorowie — ich dziełem były rzezie; a tych skutkiem dzisiaj, nienawiść zaciekła do wszystkiego co francuskie i katolickie. Tak maluje stan rzeczy ks. Biskup. Czy słusznie, sądzić nie mogę — wiem tylko, że później z rozmaitych ust podobny sąd słyszałem.

Wracając do Syamu, dodał Biskup: Jak w wielu, a może we wszystkich azyatyckich państwach, tak i tu na mocy tradycyi król jest wszystkiem, a wszystko, kraj i ludzie, są dla niego, i jego własnością. Królewska osoba jest centrem, jest słońcem, około którego wszystko się obraca. Król syamski nosi tytuł Syna aniołów, bo jest, według wyobrażeń ludu, pochodzenia nadludzkiego. Choć Syam jest jeszcze jednem z państw Azyi, najmniej dotkniętych wpływem XIX. stulecia, to jednak i tu urok władzy królewskiej osłabł już i słabnie z dniem każdym. Zwła-

szcza za panowania nieboszczyka króla, władza zdecentralizowała się znacznie, namiestnicy (Phya) oddalonych prowincyj ograniczyli stosunek swój względem władzy centralnej do wypełniania pewnych tylko formalności. Mianowicie odległe a niedawno dopiero zdobyte królestwo Lao, na północno-wschodzie, rządzone do niedawna przez krewniaka królewskiej rodziny, wyszło było prawie zupełnie z wszelkiego stosunku poddańczego do władzy Syamu. Ten stosunek zmienić stara się król wszelkiemi siłami. Czy mu się uda, przyszłość pokaże; a napotyka on w tym kierunku na wielkie trudności, bo nietylko bitny a butny lud Lao nie chce giąć karku przed zniewieściałym Syamem, ale i sąsiedzi, Chiny, Birmanowie, a dziś Anglicy, podobno bardzo radzi widzą coraz to nowe trudności, jakie rządowi w Bang-kok sprawiają Laoci.

Podróże króla, jak obecna, po kraju, mają przedewszystkiem za zadanie, zbliżyć się do owych dalekich prowincyj, nawiązać z poddanymi ściślejsze stosunki, przez osobiste zetknięcie, bo czuje on, że się całość zaczyna rozłazić. Haracz, który każdy Phya jest obowiązany posyłać co 3 lata królowi, polega między innemi głównie na naczyniach i drzewkach ze złota lub srebra. Dziwna rzecz, że nie jest, a przynajmniej nie było w zwyczaju przesyłać złota lub srebra w naturze, nie przerobionego, ale kuto z nich coś przypominającego jakby krzak lub drzewko. Samo przez się rozumie się, że taki pan namiestnik, istny prokonsul, wyjeżdżający na swą posadę zwykle z całą zgrają krewnych i przyjaciół, ciągnie i zdziera z poddanych, jak i co się tylko da. Podobnie jak w Chinach, tak i tu, każdy, a zwłaszcza wieśniak, ledwie dysząc pod pazurami owego Phyi, niczego tak nie unika, jak okazania na zewnątrz, że coś posiada, że się czegoś dorabia. Syamczyk stara się tylko o to, żeby jego dom biednie, a on sam obdarto wyglądał, pola uprawia tylko tyle ile musi, jeżeli coś więcej, to chyba pokryjomu. Że taki stan rzeczy ma fatalny wpływ na rozwój kraju, i dodawać nie warto. Ludność wzrasta ciągle i to w sposób bardzo znaczny. Każdy, mniej więcej średniej zasobności człowiek, miewa z reguły po dwie żony, a mimo to kraj upada, robić nikt nic nie chce, bo nie pracuje dla siebie, lecz dla innych. Na takim więc terenie i w ta-

kich stosunkach trudno, aby cywilizacya europejska się przyjąć mogła. I religia nasza tu nie wielkie czyni postępy, choć może religii nie tyle przeżycie, zgnilizna moralna, stają na przeszkodzie, ile, w daleko wyższym stopniu, ów straszny egoizm, będący podstawą, alfą i omegą każdej istoty, tak tu, jak w Chinach, jak w Japonii. Katolicyzm dla tych ludzi strasznie jest nieprzystępny, tak wręcz ich prastarym w krew i kości przeszłym nawyknieniom i wyobrażeniom przeciwny. Syamczyk nie chce, by go nudzono, by mu przeszkadzano w tej egzystencyi, którą z dziada pradziada prowadzi, egzystencyi kociej: jeść, żuć bettel, spać i używać. Król jest wyjątkiem, a choć król wiele może, to jednak przyzwyczaić Syamczyka do pewnego porządku w zajęciach, pewnego natężenia sił w pracy, zmusić np. żołnierza, by swój biały helmet i karabin wyczyścił codziennie, tego nawet Czulalonkorn nie potrafi. Zmuszanie tych leniwych poczciwców do jakiejś pracy, a zwłaszcza nadawanie im jakiegoś poloru europejsko-cywilizowanego, robi mi wrażenie nakładania rękawiczki na rękę trupa; rękawiczka ręki nie odżywi, nie powoła do życia, ale wraz z ręką zgnije. Tu trzeba nowej krwi, nowych, świeżych sił; dodadzą ich Chińczycy, ale i kraj opanują.

Tak długo, prawie bez końca, gaworzyliśmy z ks. Biskupem; już południe przeszło, przyszli go prosić na obiad, więc żegnać mi się trzeba było; Biskup nie prosił mnie, nie chcąc mi, jak mówił, zrobić przykrości zaprosinami na swój obiad, tak bywa lichy. Wiedzieliśmy obaj, że się w tem życiu już więcej nie zobaczymy, więc pożegnanie było takie, jakie zapewne bywa między dwoma ludźmi idącymi na śmierć; odprowadziwszy mnie do schodów, zawołał: *au revoir au ciel,* i rozstaliśmy się.

Tego samego popołudnia jeszcze zwiedzamy po raz już drugi jednę z najpiękniejszych, może najpiękniejszą rzecz w Bangkok, tj. świątynię Wat-Czang. Niestety niemożliwem było dostać porządnej fotografii, dającej dokładne wyobrażenie o całości i szczegółach tego najstarszego ale i najwspanialszego pomnika architektury syamskiej — pomnika jedynego istotnie w swoim

rodzaju, bo nawet w zarysie ogólnym, nietylko w szczegółach, tak od innych różnego.

Był swojego czasu w Syamie — na szczęście nie równocześnie z nami — niejaki pan Bock, dziś podobno konsul *ad honores* szwedzki czy duński w Szangai, wówczas, tj. podczas swego tu pobytu, jak zwłaszcza przy końcu jego bytności się przekonano, po prostu *ein Industrie-Ritter*, czyli rycerz kieszonkowy! Przepraszam, ale inaczej trudno go skwalifikować. Otóż ten pan Bock sfabrykował między innemi książkę pod wielce szumnym tytułem: *das Land des weissen Elephanten*, a kazał ją wydawcy jeszcze szumniej i bijąco w oczy oprawić, bo na okładce istotnie ślicznie wykonany na czerwonem tle biały słoń z daleka oko na siebie zwracał. Dawno przed moją podróżą, z zazdrością na te okładki patrzałem — sam ten rysunek na okładce, ten słoń biały, ten tytuł, wieleż on czarów nieznanych, tajemnych, dalekich, niedoścignionych dla mnie oznaczał. Z westchnieniem tęsknoty i tem uczuciem tak srogiem, że „nie dla psa kiełbasa“ — nie kusząc się nawet o kupno tej ślicznej książki, bo po cóż daremnie sobie apetyt budzić, kiedy przekonany byłem, że nigdy ni kraju tego ni ludzi nie zobaczę, odchodziłem od okna księgarni — a biały słoń i pan Bock dalej innych w ten sam sposób co mnie nęcili i w zachwyt a zadumę wprawiali. Losy inaczej Bogu dzięki rozrządziły — jestem w Syamie i mam książkę pana Bocka w ręku. Czytam ją i porównywam. Wiele ten autor ma zalet, a jego książka wiele rzeczy wcale nie złych, ale wszystko inne niknie wobec opisu tej właśnie świątyni Wat-Czang'u, przed którą stoimy. Z trójnogu swej wielkości p. Bock orzekł, że budowa, sklejona z błota a pokryta od dołu do góry samemi czerepkami, denkami i spodkami filiżanek i t. d., nie zasługuje na uznanie, piękną być nie może, i z oburzeniem odwraca się od niej. Ja inaczej pozwoliłem sobie o tej świątyni sądzić — ale nim spróbuję nieudolnem tem a znoju pełnem piórem odtworzyć choć częściowo to co widziałem, dodać mi wypada, co tu z p. Bockiem się stało. Przyjechawszy do Bang-koku, wyperswadował on kilku osobom z otoczenia królewskiego, że jest archeologiem i geologiem i czemś jeszcze innem, i że byle mu

pozwolono jeździć po kraju i poszukiwania prowadzić, on zestawi całe muzeum królowi i opisze je potem w kilku europejskich językach. Król zezwolił — Bock zaczął szperać po Bangkoku i prowincyi, dotarł nawet dość daleko w górę Menamu, nazbierał istotnie bardzo wiele rzeczy; ale pokazało się, że zebrane przedmioty, zabrane często ze świątyń prześliczne podobno brązowe statuy Buddy, zamiast oddawać do muzeum narodowego, on się starał wywozić za granicę kraju... celem sprzedaży. Więc też jednego pięknego poranku przycapnięto pana Bocka hen daleko na Północy i odwieziono do Singapore, dziękując za usługi i prosząc, by gdzieindziej swe poszukiwania prowadził. W chwili wywiezienia swego, podobno właśnie wywoził z wielkim trudem kolosalnych rozmiarów brązowe figury rozmaitych bożków z jakiejś świątyni; ale ponieważ mu przeszkodzono, więc figury owe czekają zmiłowania boskiego gdzieś pod gołem niebem.

Ale Wat-Czang ciekawszy; prawie dosłownie cytuję co pan Bock o nim powiedział: „Istotnie, mówi, trzeba wiele odwagi, by mając do dyspozycyi tylko tak lichy materyał, porywać się na budowę takiego budynku, by mieć śmiałość wywoływać na widzu tak nieopisane wrażenie bogactwa rysunku w ornamentacyi i bogactwa użytego materyału — potłuczonemi talerzami i miskami, używając tychże zamiast złota i marmuru, które każdy, patrząc na świątynię, myśli, że ma przed sobą". Mojem zdaniem, większej pochwały nie mógł oddać architektowi, który to dzieło stworzył. Między całą osadą mniejszych i większych wat'ów, praczedyj, wież, pagód i wieżyczek, w czworobocznem, bardzo obszernem, płytami kamiennemi wyłożonem podwórzu, okolonem krytą galeryą (czyste *Campo Santo* włoskich niektórych kościołów), stoi główna praczedya, gdzie są złożone relikwie Buddy. Jest to kolumna z cegły, o trzech jakby piętrach, połączonych ze sobą coraz to spadzistszemi schodami, tak przylepionemi do kolumny, a raczej tak płytko w niej wyżłobionemi, że ich prawie nie widać — tworzą jakby jedną płaszczyznę. U dołu na straży posadzono smoki, smoki nie wielkie, ale o wielkich strasznie wytrzeszczonych oczach, z tą stereotypową gałką mię-

dzy zębami, którą doprawdy trudno pojąć, jak tam wprowadzić można było, bo jest z innego niż całość materyału, a wyjąć się w żaden sposób nie da. Wieża ta, u dołu czworograuna, w linii nader często a ładnie łamanej, wydłuża się w coraz cieńszy, węższy, wieloboczny ostrosłup; koniec jak strzała tryska w górę. U samego szczytu umieszczono żelazną złoconą ozdobę, w formie t. zw. drzewa Buddy, którego wszystkie, choć nieliczne, gałęzie w górę zagięte, raczej na groty od lanc wyglądają. Całość nieco może wieżę Eiffel przypomina, rysunek bardzo prosty, wszystko lekkie, strzeliste, ku górze porwane. — A ornamentacya, to istotnie dziw nad dziwy. Ten, co budował tę wieżę, jak zresztą całą świątynię, musiał albo mieć bardzo mało pieniędzy, albo nader mało czasu, bo używał istotnie do ubrania swojego dzieła co mu wpadło pod rękę. Nie lubię przypuszczeń i hipotez, ale nie mogąc nigdzie niczego się dopytać, muszę na własnym koncepcie poprzestać, i twierdzę, że ponieważ Wat-Czang budowano zaraz w pierwszych latach po przeniesieniu stolicy do Bang-koku, ponieważ chodziło zapewne, by jak najprędzej była gotowa choć jedna świątynia, więc spieszono się, „urgowano“ tego biednego architekta; a on, nie mając czasu na sporządzenie bardzo pięknych majolik, chodził na śmieciska, i tam, wiedziony nową, nader oryginalną, a mojem zdaniem genialną myślą, zbierał czerepy. I z tych czerepów uwił bukiety jakichś niebiańskich kwiatów, girlandy ślicznych leciuchnych gzymsów, gzymsików i arabesków, i rozrzucił je, przykrył niemi swą wieżę. Najczęściej powtarzający się, to jakiś kwiat nieznany chyba na świecie: liście spodnie, to potłuczone odpowiednio i odpowiednio ułożone talerze, w delikatniutki niebieski lub różowy desenik; jądro kwiatu, biała czarka o deseniu matowo niebieskim, obrócona do góry denkiem. Czarek takich do dziś dnia biedni do picia herbaty używają. Jedyna to ale prawdziwa mozaika, obraz malowany według najnowszej szkoły impresyonistów, przed którym trzeba stanąć o sto kroków, by coś zobaczyć, z blizka widać tylko czerepy i denka. W oddaleniu za to, niepospolite wrażenie robi ta wieżyca czerepiana. Do słońca w południe lśni cała jak złota; wieczorem jak z najpyszniejszego złoto-zie-

lonego marmuru wykuta, pełna jakichś dziwnych, nieporównanych, zawsze delikatnych, powiedziałbym: połowicznych odbłysków; bo żaden kolor tu nie jest zdecydowany, żadnego odbłysku ani takim ani owakim nazwać nie można, gdyż jak tęcza, łączy zawsze po kilka kolorów. Boję się, że nikt nie zrozumie co chciałem powiedzieć, ale mnie to pociesza, że przynajmniej ten co po moim opisie zobaczy tę jedyną prawdziwie śliczną rzecz w Bang-koku, przyzna, żem zrobił com mógł, by oddać choć w przybliżeniu te niewidziane gry kolorów, które się na tej wieży widuje.

A cóż powiedzieć o widoku, jaki się przedstawia z wierzchołka tej wieży! Choć daleko jeszcze, przeszło godzina, do zachodu słońca, tarcza jego, zanurzając się w mgły i opary wiecznie nad tym krajem wiszące, krwista, purpurowa, a tak blasku pozbawiona, że w nią bez obrazy patrzeć można. Całe miasto pod nami fioletowe z różowemi odcieniami; w dali, hen gdzieś na widnokręgu, sinieje morze; strop niebieski, ciemno-lazurowy. Tu po raz pierwszy przypomniał mi się ów obrazek Hildebrandta, „motyw syamski“: Widać na nim bagna, z dala siny bór widnokrąg zamyka, za nim takie właśnie czerwone słońce zachodzi, a na tarczy słonecznej rysuje się cień olbrzyma słonia, który czemś przerażony czy rozgniewany, zadarł straszliwie trąbę i ryczy!

Takie to wszystko wspaniałe, że mimo, iż z czoła pot się leje, dreszcz podziwu człowieka przechodzi. Ale zejść trzeba z tej cudnej praczedyi. Krużganek ów kryty, biegnący wokoło dziedzińca, przypomina mi świątynię w Candy, na Cejlonie. Przeciwległa murowi ściana, zamknięta kratą drewnianą, dość bogatą, by rzucić całość w półcień miejscu tak świętemu odpowiedni, sprawiający, że figury apostołów Buddy tu rzędem rozstawione, wspanialej, a cały poczet obrazów *al fresco* piekło przedstawiających, jeszcze straszniej, wyglądają. Bardzo ciekawa jest ta część piekła, gdzie Budda sam nadzoruje, by dokładnie męczono potępieńców; ze zwykłym sobie spokojem twarzy i postawy, z rękoma złożonemi, patrzy jak djabli jednego na pal wbijają, drugiego ze skóry obdzierają, innemu nacinają najprzód w równych odstępach skórę i ciało, by

potem temi otworami muszkuły, żyły i wnętrzności na wierzch wyciągać. Różnica między owem piekłem w Candy a tutaj jest ta przedewszystkiem, że tam ogień wieczysty smażył ludzi, tu go torturami zastąpiono.

Z żalem rozstajemy się z tą śliczną świątynią, która jedyna z widzianych w Bang-koku niezatarte zostawia wspomnienie. Niech więc się nikt nie dziwi, że mnie p. Bock swoim opisem do żywego oburzył.

Na drugi dzień zjawia się nareszcie u nas dawno oczekiwany tatuownik. Stary, suchy, o małych sprytnych oczkach, typ indyjski, pochodzi gdzieś aż z północnej Birmy. Pomocnik jego, jakieś młode chłopię, służy do noszenia dwóch zawiniątek, w których schowane są narzędzia, farba czerwona i niebieska. Wszedłszy do pokoju, obaj robią *koto,* pokłon nam należny, przykucają w kącie tuż obok drzwi, i tak dalszych rozkazów czekają. Na znak dany, że operacya ma się rozpocząć, pomocnik roztacza na ziemi swoje zawiniątka, stary dobiera sobie farbę, z zanadrza wyciąga swój przyrząd i znowu kucnąwszy, czeka. Syamczycy nawet do tatuowania za leniwi, dlatego Indyanie to robią za nich. Minister nie chce, więc my z Samsonem poddajemy się operacyi; wyznaję, żem nie był bez strachu, bo mi przed rozpoczęciem tej historyi tłumaczy kamerdyner Anglik, nasz kochany Harrisson, że to się nie godzi, zwłaszcza przez takiego pogańskiego wagabundę, dać sobie znaki jakieś, może djabelskie, po ciele rysować, i to tak, że tego żadne mydło potem nie może wywabić; ale dobry przykład przemaga nad obawą: siadam, ramię obnażam i po mniej więcej dziesięciu minutach niezbyt miłego ale nie bolesnego dzióbania po skórze długiem, ostrem a spiczastem narzędziem, jakby ogromną igłą, mam wspaniałego Radżasa z ogonem do góry zadartym a paszczą rozdziawioną, na niebiesko wybitego. Dopiero drugiego dnia wolno go było umyć mydłem. Skóra nieco napuchła i zaogniła się, i na tem był koniec. Ale moje ubieranie się przez następnych wiele dni trwało zwykle co najmniej o kwadrans dłużej, bo nacieszyć się nie mogłem tym portretem na własnej skórze; co też to w domu powiedzą?!

Po południu dnia tego zwiedzamy cmentarzysko jednej z bogatszych części miasta. Syamczycy jako Buddyści, dziwnem pomieszaniem pojęć połączyli obyczaj Brahminów palenia trupów, z obyczajem Parsich rzucania trupów na pastwę sępom. Bogaci się każą palić. Królów i książąt królewskich palą na stosach, które podtrzymują i otaczają formalne pagody umyślnie w tym celu budowane, przeznaczone na spalenie wraz z trupem. Niestety, takiego wspaniałego pogrzebu nie widzieliśmy, nie umarł żaden za nas. Za to przychodząc do ogólnego paleniska, gdzie smród istotnie okropny ma swoją stolicę, zastajemy dwa malutkie ognie, jak do pieczenia kartofli (koło jednego właśnie jakiś stary cerber coś poprawiał), w których dopalały się resztki nieboszczyków. To pierwsza kategorya, murem odgrodzona od reszty, to bogatsi nieco, którzy mają za co zapłacić sobie drzewo. Przechodzimy na drugą stronę muru. Boże, co za widok! Właśnie sępy z jakimś ohydnym czarnym kundlem prowadziły bój zacięty o nogę — jak nam powiedziano — jakiejś starej kobiety, która wczoraj umarła, a że nie miała zupełnie nic za coby można drzewa kupić, więc rzucono ją do t. zw. poczekalni, gdzie trupy ubogich czekają rzekomo chwili, aż przyjdzie transport drzewa, corocznie przez króla „biednym miasta“ ofiarowany, aby ich trupy palić. Sądząc po ilości palców, kości, kawałków nóg, (głów nie widziałem), ramion, rąk, któremi tu zawalony jest dziedziniec dość sporej wielkości, domyślam się, że bonzowie muszą w inny sposób używać drzewa z daru królewskiego, a poczciwe sępy i owe czarne psisko pasą się tymi biedakami. Prowadzą nas jeszcze do pieca, gdzie palą bogatszych kupców. Spalenie kosztuje tu stosunkowo dość drogo, bo dużo drzewa wychodzi. Piec ten na czerwono pomalowany, wysokości może $2^1/_2$ metrów; na wierzchu ruszt, na którym kładą nieboszczyka.

Napół żywi od fetoru i obrzydzenia, wychodzimy z tej trupiarni. Wszystkie papierosy razem nie starczą, by zatrzeć tę fatalną i zwłaszcza dla nosa przykrą wizytę.

Na pokładzie Hekaty, w drodze do Singapore, 19 stycznia.

Wszystko ma niestety swój koniec, więc i nasz pobyt w Syamie się kończy; nadszedł dzień wyjazdu. Od rana szalone uganianie po domu, Chińczyki się straszliwie zwijają; każdy z nas niesie po dwie czy trzy paki i paczki rzeczy kupionych; ja przytem mam przyjemność nieść kilkaset dolarów w srebrze, w worku płóciennym, jak mi je w banku wypłacono; sama ta moneta waży niesłychanie. Nasz stateczek przybija do parowca „Hekate", który ma nas zawieźć do Singapore. Hekate należy do kompanii dwóch oceanów O. and O. S. S. Co. Kompania amerykańska, statki liche wogóle; ten gorszy od innych; kapitan Niemiec. Po drabinie sznurowej wspinamy się na wierzch; pożegnanie nader czułe z naszym poczciwym Phya-Smuth, mniej czułe z konsulem honorowym, który przez czas naszego pobytu faktycznie schudł. W chwili, kiedy mamy odpływać, sygnał już dany do wyciągania kotwicy, przypomina sobie Phya, że jeszcze nasza prowizya lodu nie przyjechała. Krzyk, gwałt; stój! Czekamy dobrą chwilę; przyjeżdża lód, bez którego egzystencya niemożliwa. Z lodem przyjechała na nasze szczęście i baterya sodowej wody. Ruszamy; po raz ostatni: *good bay* Phyi, po raz ostatni pokłon ślicznej praczedyi świątyni Czang — i wszystko z oczu znika. Po paru godzinach jesteśmy na pełnem morzu. Tu dopiero, gdy miano podać obiad, przypomina sobie kapitan, że ma na statku całej parady jednę butelkę wina czerwonego, a mięsa prawie nic! Dlaczego taki brak prowizyi? — bo się nie spodziewał mieć pasażerów. Więc na środku morza stajemy; gdzieś tam hen w oddali, ma stać drugi statek, od niego weźmiemy mięsa i wina, jeżeli ma. Podróż do Singapore trwa 3—4 dni, jeżeli wszystko dobrze idzie, ładna więc perspektywa. Przez ten czas co kapitan wysyła za mięsem, my czółenkiem puszczamy się ku brzegowi, który ledwo widać; kapitan obiecuje wieczorem zbliżyć się do lądu. Skaczemy jak waryaty w tej malutkiej łupinie, ale że mamy majtków Malajczyków, więc niema obawy. Po zachodzie słońca wracamy na statek; mięso i wino jest —

Victoria! bo apetyty srogie. Morze coraz mniej spokojne, Hekata się kiwa nieprzyzwoicie; mnie razem ze stołkiem przewraca; musimy się na pokładzie przywięzywać, by módz spokojnie czytać. Przytem niebo czyste, gorąco okrutne. Noce cudowne. Sypiamy znowu na pokładzie, bo jedyną możliwą kabinę odstępujemy ministrowi. Dopiero po spożyciu możliwego obiadu, zaczynam sobie słodko rememorować wrażenia wczoraj odebrane w syamskim teatrze, które przecież warto opowiedzieć.

Teatr w życiu syamskiem bardzo ważną odgrywa rolę. Teatrów jest w Bang-koku kilka; wszystkie prywatne, przez możnych, zwłaszcza przez książąt krwi, utrzymywane, uważane jeszcze do dziś dnia za coś bogom miłego, prawie za rodzaj nabożeństwa. Kiedyś były, jak wiadomo, niczem innem jak częścią rytuału, kolebką ich świątyni; w Japonii zawsze jeszcze w święto jesienne odbywa się przedstawienie w świątyni. Przedstawienia odbywają się tylko w czasie między pierwszą a ostatnią kwadrą księżyca; mówią, że na nowiu byłoby niebezpiecznie dawać teatralne przedstawienia, boby zły duch mógł się wśród aktorów łatwo pokazać.

Siedliśmy tedy do naszego stateczku parowego, który nam służył za ekwipaż. Przedstawienie się właśnie było rozpoczęło gdyśmy zajechali. Budynek już trochę zeuropeizowany — bo są w nim aż trzy loże. My siedzimy w środkowej, bardzo obszernej, dworskiej loży, na krzesłach, które umyślnie dla nas przyniesiono, reszta widzów na ziemi po prostu usadowiona. Sala niezbyt wielka; scena zajmuje cały środek i jedną ze ścian węższych. Widzowie na dole siedzący, po większej części same kobiety z dziećmi, a tylko w głębi mężczyźni; obok patrzenia na przedstawienie, zajmują się tysiącznemi bagatelami: matki karmią dzieci, same jedzą; wszyscy żują bettel, wszyscy co chwila wstają, wychodzą, wracają, rozmawiają zupełnie głośno, tylko w najpatetyczniejszych miejscach robi się grobowa cisza. Antraktów wcale niema; przedstawienie trwa bez przerwy od godziny mniej więcej 7-mej, często aż do północy. Wybór sztuk podobno nader niewielki. Przez cały ciąg trwania reprezentacyj, więc blizko przez 2 tygodnie, grają jedną sztukę, o czem jednakowoż

tylko z treści podobno można się przekonać, bo akcya mniej więcej pozostaje ta sama, dekoracye i stroje, z wyjątkiem głównych aktorów, nader rzadko się zmieniają. My mamy szczęście, bo trafiamy właśnie na wielce tragiczne zawiązanie się fabuły. Ta część teatru, którąby według naszych pojęć nazwać trzeba sceną, w ścisłem tego słowa znaczeniu tylko od czasu do czasu jest widzialną. Są to trzy jakby arkady, wązkiemi słupami poprzedzielane, zawieszone szkarłatnemi kotarami. Środkowa arkada jest właściwą sceną; tu się odgrywają wszystkie dramaciki z życia domowego; u góry więc na zewnątrz, od sali, rozmaite napisy i emblemata określają bliżej znaczenie tego punktu w ogólnym rozkładzie sceny. Tylko w tej środkowej niszy są dekoracye i tylko te dekoracye się od czasu do czasu zmieniają, raz przedstawiając wnętrze pokoju, zwykle sypialnego, bo w tyle zawsze stoi rodzaj tapczanu — raz salę tronową, a wtedy stoi ten sam tapczan na tron zamieniony — raz znowu ogród, bo wtedy tapczan ów przykryto zielonym jakimś całunem, a po dwu jego bokach postawiono wazoniki ze złocistemi jakiemiś fantastycznemi roślinami, zgrabną ręką z papieru wyrobionemi. Dwie nisze boczne służą tylko jako wejścia na scenę dla aktorów. Znowu napisy, tą razą krótsze od poprzednich, oznajmiają co każde z tych wejść oznacza; jednem z nich wychodzą aktorowie grający rolę złych duchów ciemności, drugiem aktorowie anieli. Zwykli śmiertelnicy (o ile występują jako tacy w sztukach syamskich, co bardzo rzadko się zdarza), dalej wszelkiego gatunku zwierzęta (ludzie przebrani), zwłaszcza zaś radżasy, mityczne zwierzęta mające zawsze ważną rolę, wszystko to wsuwa się czwartym, zupełnie bocznym otworem na scenę. Tylko w razach, jeżeli np. radżas wyraźnie ma wystąpić w obronie i po stronie duchów dobrych, wtedy i on wchodzi ich wejściem. W chwilach, kiedy np. ma być przedstawioną walka, lub jakaś uroczysta procesya, kiedy więc do 50-ciu osób naraz na scenę wychodzi, wówczas zajmują aktorowie całą scenę, więc i jej część zajmującą środek sali pomiędzy widzami, lub aż pod naszą lożę, ku głównemu wejściu. Część ta sceny, jak wogóle cała scena, zupełnie nie podwyższona, odgraniczona jest od miejsc zajmowanych przez widzów

tylko 6-ciu wazonikami w różnych od siebie odstępach ustawionemi, z takiemiż znowu papierzanemi kwiatami; według tego, czy rzecz dzieje się w lesie lub ogrodzie, czy ogrodzie świątyni lub pałacu królewskiego, czy w państwie książęcia ciemności Hanumana, czy w państwie świetlanej bogini słońca i jasności: według tego przebrani za heroldów słudzy teatralni, albo aniołowie, albo znowuż niższej kategoryi hanumany, tj. pół-bożki — zmieniają owe kwiaty, które są raz całe złote, raz zielone, raz biało-srebrzyste. Nie rzadko się zdarza, iż po wielce zajmującej scenie, która częściowo lub zupełnie odgrywała się w owej środkowej niszy i w bezpośredniem tylko jej otoczeniu, publiczność parterowa z pierwszego rzędu, zapominając o rzeczywistości, w uniesieniu, by lepiej widzieć, zwłaszcza dzieci, przekracza granicę sceny. Po takiem najściu, anieli, lub straszliwe syny ciemności, muszą berbeciów i ich matki najpierw uprzątać ze sceny, nim się rozpocznie jakiś pochód święty, lub bój straszliwy. Takie drobiazgi, nam wszelką illuzyę odbierające, Syamczyków bynajmniej nie żenują. Przeciwnie niż w naszym teatrze, w syamskim, aktorowie tylko z jednej strony, tj. widzowi przeciwległej, wchodzą na scenę. Akcya raz rozpoczęta trwa bezustannie; antraktów w całem tego słowa znaczeniu, jak w chińskim lub japońskim teatrze, tak i tu niema. Kurtyna, zasłaniająca całą scenę od sali, nie byłaby możliwą i wcale nie jest znaną. Jednakże środkową niszę zasłania od czasu do czasu pąsowa kotara; wtedy to, podobnie jak podczas przemiany owych sztucznych kwiatów i krzewów na scenie, robi się pewien nader krótkotrwały antrakt. Muzyka nie przestaje jednak ani na chwilę grać, nawet podczas tych antraktów.

Słowo muzyka zupełnie do oznaczenia tego arcy-monotonnego akompaniamentu nie jest stosowne. Akompaniament akcyi, odgrywającej się na scenie, polega na chórze ukrytym, złożonym z kilku osób, który śpiewa, a raczej przeciągle, śpiewająco deklamuje, przy towarzyszeniu fujarki (piszczałki) i bardzo oryginalnych, miarowych uderzeń kawałków drzewa o siebie, co nadaje takt przy tańcu i miarę przy deklamacyi chóru i aktorów. Podczas pochodów, a zwłaszcza bitew na scenie, takt ów robi się szyb-

kim, gwałtownym, dziwnie uszy i nerwy drażniącym, ale nigdy z raz obranego tempa nie wypada. Trzebaby znać dokładnie teoryę generał-basu, taktu muzycznego i t. d., i zrobić prawdziwe studyum nad tym rodzajem muzyki wschodnio-azyatyckiej, jaką się tu po teatrach słyszy, żeby módz zdać sobie sprawę ze stosunku, jaki zachodzi między naszym taktem a taktem Azyatów i wogóle ludzi wschodnich. Kiedyś słyszałem od bardzo muzykalnego znawcy Wschodu, że np. już turecka, ba nawet bardzo z nią pokrewna południowo-słowiańska (hercegowińska zwłaszcza) muzyka, jest dlatego tak trudną do spamiętania lub odtworzenia dla nas, że oni znają i używają ćwierćtonów, że ich takt, ich rytm zupełnie i zasadniczo od naszego się różni. Czułem to zawsze, choć nie rozumiałem; wieleż to razy zrywałem się o 2-giej lub 3-ciej zrana w czasie Ramazanu, będąc w Mostarze, żeby słyszeć i zapamiętać pieśń na cześć Stwórcy i Jego proroka, którą muezzin śpiewa tuż przed pierwszym brzaskiem jutrzenki. Wszystko nadaremnie. Pieśń owa tak piękna, tak urocza, a taka niewypowiedzianie, nieskończenie smętna i smutna, tyle w niej żalu, tęsknoty, rozpaczy prawie, że dziś jeszcze na samo wspomnienie dreszcz po mnie przebiega — ale spamiętać jej ani możności. Tak i ten rytm syamski, wybijany raz cicho, spokojnie, raz gwałtownie, namiętnie — dziwne, z początku bolesne, potem choć niemiłe, ale zawsze arcy-ciekawe, robi na uchu naszem wrażenie. Syamczyków ten rytm wraz z owym chórem niewidzialnym delektuje i porywa.

Całą treść czyli fabułę sztuki opowiada chór. Aktorowie tylko bardzo rzadko pojedyńcze frazesy, krótkie monologi i dyalogi wygłaszają; wtedy chór na chwilę milknie, a aktor wpadając w rytm, który choć nie ustaje, ale cichnie nieco, wygłasza dziwnym jakimś, sztucznym głosem, to co ma do powiedzenia. Jak wszędzie na Wschodzie, tak i tutaj tylko mężczyźni grywają. Są jednak czasem w Chinach a zwłaszcza Japonii truppy aktorskie z samych kobiet złożone, a w takich truppach już mężczyzn zupełnie niema. — Podziwiać doprawdy można, do jakiej perfekcyi dochodzą mężczyźni w imitowaniu kobiet. Grający królewne, księżniczki, aniołów, panowie mają na scenie tak śliczną, bie-

luchną płeć, tak śliczną figurę, tak piękne białe ręce o wydłużonych szlachetnych palcach, że doprawdy zakochaćby się w niejednej z tych dam można. Tylko tańce, zwłaszcza tańce tak zwane święte, wykonywają prawdziwe kobiety (tak nam Phya-Smuth zaręczał). Tańce te trochę indyjskie przypominają. Polegają na nader zgrabnym, pełnym gracyi chodzie, przysiadaniu, wykręcaniu nóg, rąk i całej figury; przypominają nieco pokazujących się w naszych cyrkach od pewnego czasu t. zw. *Schlangenmänner*. Rzadko bardzo tańczy jedna osoba sama, zwykle trzy równocześnie. Taniec najpiękniejszy, jaki tu widziałem, był to taniec trzech aniołów ze zwierciadłem. Zapewne mieli oni przedstawiać trudność w docieczeniu prawdy, bo po niesłychanych, choć zawsze bardzo poważnych i spokojnych kontorsyach, zaglądali do zwierciadła; powtarzało się to z dziesięć razy, aż przy jedenastym razie nagle spojrzawszy w zwierciadło, z widocznem zadowoleniem cofnęli się za kulisy. My, wyznaję, byliśmy także dość kontenci, że się ta nieco monotonna operacya skończyła.

Czy przy tańcu, czy przy innych funkcyach na scenie, kobiety i aniołowie zasadzają swą gracyę głównie na wyginaniu ręki dłonią na zewnątrz, tak aby wyciągniętemi prosto palcami dotknąć aż ramienia. Palce okryte bywają pierścieniami, a paznogcie, naturalnie niesłychanie u dam długie, schowane w śliczne futerały ze srebra, które rękę jeszcze wydłużają. Kostiumy wspaniałe, po prostu kapiące od złota, srebra i drogich kamieni. Wszystkie rynsztunki, korony, skrzydła, które się widuje po świątyniach na wyobrażeniach bożków, pół-bożków, aniołów, hanumanów i t. d. — wszystko to tutaj z nadzwyczajną wiernością reprodukowane. Nie ręczę naturalnie, czy kruszce i kamienie, których tu taką profuzyę się widzi, są z papieru imitowane czy prawdziwe — mniejsza o to — wrażenie jest takie, jakby wszystko było szczere i prawdziwe. Nie można sobie wystawić nic oryginalniejszego, nic wspanialszego, jak np. taki święty pochód uroczysty, lub walkę, w której małpy, hanumany, radżasy, aniołowie i ludzie biorą udział. Mimowolnie człowiekowi się zdaje, że gdzieś o 1000 czy 10.000 lat w tył został przeniesiony; że nie widzi na jawie, ale śni. Stroje są tak wspaniałe a tak wierne, ruch każdy tak

absolutnie dokładnie zachowany, że patrząc na to, wydaje się, że to w którejś ze świątyń, na skinienie Buddy, ożyły nagle wszystkie te dziwadła. Z teatru znów poszedłszy do świątyni, zdawać się może, że jednę z tych scen teatralnych zaklęciem ktoś na płótno przeniósł i uwiecznił!

O sztuce, którąśmy podziwiali, trudno mi cośkolwiek powiedzieć, bo jej nie rozumiałem, mimo urywkowych tłumaczeń Phya-Smuth'a. Temat mniej więcej zawsze ten sam: walka dobrego ze złem, zwycięstwo naturalnie po stronie dobrego.

Po półczwarta-godzinnem posiedzeniu, mimo że przedstawienie jeszcze trwało, moi towarzysze już wytrzymać z gorąca nie mogli, wyszliśmy więc. Że tej nocy zasnąć nie mogłem aż gdzieś koło rana, nie dziwiło mnie bynajmniej ani martwiło, bo zgasiwszy światło, miałem ciągle przed oczami te śliczne, barwne, niepojęte, fantastyczne stroje, te walki, te tańce — a w uszach tę muzykę, którą my dziką nazywamy dlatego, że jej nie rozumiemy.

Zbliżamy się do Singapore. Z bijącem sercem oczekuję wylądowania: tu mnie mają czekać dawno upragnione wiadomości z domu, pieniądze; wiadomości z Petersburga się spodziewam, czy Schönburg zrobił o co go prosiłem w sprawie projektu podróży mojej przez Sybir?[1]

Paweł Sapieha.

---

[1] Z tym listem kończy się część pierwsza tej podróży po Azyi. Wkrótce rozpoczniemy druk drugiej części: o Chinach i Japonii, poczem przyjdzie trzecia o Korei i Syberyi. *(Przypisek Redakcyi).*

SEKCIARSTWO W ROSYI[1].

Sekta hr. L. Tołstoja.

Hr. Lew Tołstoj, znany dziś w całym świecie cywilizowanym powieściopisarz rosyjski, autor głośnych powieści: „Mir i wojna“ i „Anny Karenin“, ze sceptyka i niedowiarka stał się w latach 1877 i 1878 gorliwym wyznawcą prawosławia. Fazę tę w duchowym rozwoju głośnego autora zwą jego biografowie: „peryod prawosławia“. Bawiąc wówczas stale w swej wsi dziedzicznej, Jasnej Polanie, w gubernii Tulskiej, wychodził często na drogę, wiodącą z Kurska do Kijowa, zatrzymywał pielgrzymów, wdawał się z nimi w rozmowę i usiłował wierzyć tak, jak oni wierzą. Zwiedzał cerkwie, żegnał się, bił pokłony, pościł, odbywał pielgrzymki do miejsc i obrazów cudownych, a między innemi do monasteru w Optinie. Odwiedzał i skity czyli monastery sekciarzy, jak np. prześladowanych przez rząd *wozdychańców*, wzdychających nieustannie w czasie modlitwy i oddających cześć Matce Boskiej w postaci żyjącej kobiety. W sektach rosyjskich widział hr. Tołstoj, nawet w swym „okresie prawosławia“, samoistne poszukiwanie najprostszej drogi do Chrystusa, wskutek czego był zawsze stanowczym przeciwnikiem prześladowania sekciarzy.

Niedługo jednak trwał u niego okres ortodoksyi urzędowej. Po paru latach odżył dawny sceptycyzm z nową siłą i uczynił zeń

[1] Zob. artykuł poprzedni: „Sekciarstwo w Rosyi. Sztunda i jej rozgałęzienia“, zeszyt styczniowy 1892, str. 45.

reformatora religijno-moralnego swego społeczeństwa, a wkrótce potem — twórcę nowej sekty. Przemiana ta dokonała się w chwili wybuchu wojny rosyjsko-tureckiej, gdy z milionami swych współziomków błagał Boga o zwycięstwo nad wrogami Rosyi. Wówczas przyszło mu na myśl, iż w tymże czasie i Turcy modlą się po swych meczetach i proszą Boga również o zwycięstwo nad wrogami. Okoliczność ta obudziła w jego umyśle tysiące zwątpień, snujących się jedno z drugiego. Śmierć gwałtowna Aleksandra II., wyroki śmierci wykonane na carobójcach, stały się ostatecznym powodem odpadnięcia hr. L. Tołstoja od Cerkwi, popierającej system rządowy obecnie panującego monarchy. Z całej ortodoksyi pozostało mu tylko — przywiązanie do zasad Nowego Testamentu. Jest on dla niego „księgą ksiąg", w której cała mądrość świata znalazła swój najszczytniejszy wyraz. Nikt piękniej od niego i w sposób bardziej przekonywający nie mówi o znaczeniu chrześcijaństwa i jego zbawiennym wpływie na jednostki i całe społeczeństwa, lecz widzi w niem tylko stronę etyczną, a odrzuca dogmatyczną. Również i poglądy swe o potrzebie pracy fizycznej na roli, której od lat wielu sam systematycznie się oddaje, wysnuwa z Ewangelii.

Wielu sekciarzy rosyjskich zwraca się obecnie do hr. L. Tołstoja z pytaniami i prośbami o rozwiązanie rozmaitych wątpliwości religijnych. Powiadają nawet, że razkolnik Siutajew i sędziwy wieśniak Bondarew, mieszkający w Syberyi, mieli wywrzeć wpływ potężny na przekonania religijne tego znakomitego autora rosyjskiego. Dr. R. Loevenfeld (*Gespräche über und mit Tołstoj*. Berlin 1891) oglądał w Jasnej Polanie list jakiegoś mołokanina, pisany do hr. L. Tołstoja, a traktujący obszernie o chrzcie i św. Sakramentach.

Wielki wpływ na pojęcia i przekonania religijne uczniów Tołstoja wywierają nie tyle jego pisma, których obecnie w Rosyi drukować nie wolno, jak listy do różnych uczniów i przyjaciół, pisane zwykle w stylu biblijnym. Są osoby, które w uwielbieniu dla mistrza z Jasnej Polany życie swe poświęciły przepisywaniu jego pism treści religijno-moralnej. Opowiadają o pewnej nauczycielce, która rozczytawszy się w pismach refor-

matora współczesnej Rosyi, przestała najpierw używać znaku Krzyża św. Oddalona za to z posady nauczycielki, zajmowanej przy jakimś pensyonacie, udała się wraz ze swą siostrą w okolice Poti, nad brzegi morza Czarnego, gdzie zamieszkała w chacie wieśniaczej i poświęciła się wyłącznie przepisywaniu pism hr. L. Tołstoja.

Znakomity powieściopisarz rosyjski jest od lat kilkunastu ascetą moralnym, głoszącym, wobec zła panującego na świecie, potrzebę rezygnacyi i cierpliwości. Ta ostatnia okoliczność tłumaczy nam dostatecznie, dlaczego rząd pozostawia w spokoju twórcę nowej sekty w zakresie pojęć religijno-moralnych, a reformatora stosunków polityczno-społecznych o tendencyi socyalistycznej, poprzestając li tylko na zakazie drukowania niektórych pism jego. Nawet ostatni list hr. L. Tołstoja, przesłany redakcyi *Daily Telegraph*, a rzucający tak niekorzystne światło na stan urzędniczy i na zamożniejsze warstwy społeczeństwa rosyjskiego, chociaż wywołał gwałtowne napaści ze strony *Moskow. Wiedomosti* i innych organów tejże barwy polityczno-narodowej, nie pociągnął dlań przecież żadnych przykrych następstw.

Nie tutaj miejsce zajmować się poglądami filozoficzno-teologicznemi lub etycznemi hr. Lwa Tołstoja. Pisma jego w tym kierunku obejmują już dziesiątki rozpraw, wymagających osobnych studyów. Ponieważ zadaniem niniejszego artykułu jest przedstawienie historyi rozwoju sekciarstwa rosyjskiego najnowszej formacyi, przeto wystarcza dla naszego zadania podnieść tylko niektóre rysy i zaznaczyć pewne właściwości jego doktryn, na podstawie których mogła powstać i rozwinąć się nowa sekta, nosząca nazwisko hr. L. Tołstoja.

Hr. L. Tołstoj, potomek starożytnej rodziny szlacheckiej, stanął w przeciwieństwie jaskrawem z całym współczesnym ustrojem polityczno-społecznym dzisiejszej Rosyi, o ile takowy opiera się na rozwoju kultury. W swych utworach mistyczno-filozoficznych, wydanych od czasu n a w r ó c e n i a s i ę, występuje jako komentator św. Ewangelii, a mniema, iż wbrew wszystkim dotychczasowym wyjaśnieniom udało mu się pojąć treść istotną, prawdziwą chrześcijaństwa, zawartą głównie w kazaniu Chrystu-

sowem na górze. Gdyby ogół społeczeństwa rosyjskiego przejął się zasadami Tołstoja, runąłby cały dzisiejszy porządek socyalny, a na jego gruzach powstałaby *tabula rasa* dla zrealizowania najśmielszych utopij socyalistycznych. Wczytawszy się uważniej w niektóre jego pisma, przychodzi się do przekonania, że Tołstoj radby, na miejscu dzisiejszego państwa, widzieć państwo bez wiary, bez cerkwi, bez władzy i administracyi państwowej, bez miast i szkół, bez handlu i przemysłu, bez pieniędzy i banków, bez wojska i praw, bez pracy umysłowej i ulepszeń technicznych, bez sztucznych komunikacyj, bez własności osobistej, jednem słowem — państwo bez państwa. Rzeczą godną podziwu, dającą się chyba wytłumaczyć poszanowaniem dla tradycyj i sympatyj ludowych lub względami oportunistycznemi, że w państwie przyszłości, według modły Tołstoja, znalazło się miejsce i dla cara, który jednak nie ma w niem ani znaczenia, ani władzy nad swymi poddanymi.

Chrześcijanie hr. Tołstoja — jak o tem przekonać się można z jego powieści „Pamfil i Juliusz", odtwarzającej czasy pierwotne chrześcijaństwa — nie mają nic wspólnego z prawdziwymi wyznawcami zasad naszego Boskiego Nauczyciela. Są oni inkarnacyą aforyzmów z pism ostatniego okresu samegoż autora, ale nie ludźmi żywymi. Chrześcijanie ci nie modlą się, nie myślą ani o strasznym sądzie, ani o życiu przyszłem, nie wspominają o Chrystusie Panu rozpiętym na krzyżu, ponieważ wszystkie te wierzenia nie godzą się z zasadami Tołstoja. Cnotliwy Pamfil i starzec pracujący w winnicy mówią tylko o tem, jakby zachować spokój duchowy i jakby najlepiej urządzić się tutaj na ziemi. Niebo dla nich nie istnieje. Wszystkie ich projekta i pomysły mają na celu tylko doczesność. Nazwać ich można epikurejczykami o niezbyt głębokich zasadach moralności, pomimo, iż mówią bardzo wiele o miłości bliźniego; pojęciami zaś społecznemi zbliżeni są do socyalistów. Weźmy np. sam koniec opowiadania. Juliusz, zamordowawszy swego syna, staje się chrześcijaninem. Nawrócenie się jego objawia się w ten sposób, iż porzuca pogański, próżniaczy sposób życia, a bierze się do pracy fizycznej, do zbierania winogron. Nie opłakuje zaś śmierci swego

syna, ani nie odczuwa wyrzutów sumienia. „Uczuwszy skruchę — powiada mu stary ‚chrześcijanin' — tyś wszedł na drogę prawą... Nie myśl więcej o przeszłości". I Juliusz tej rady zimnej, trzeźwej, praktycznej usłuchał, a o swej strasznej zbrodni więcej nie myślał. A żył jeszcze szczęśliwie przez lat dwadzieścia...

Z powyższego opowiadania widzimy, jak wielkie znaczenie mistrz nowej sekty przywiązuje do pracy fizycznej. Ona w stanie jest odrodzić moralnie człowieka upadłego, podnieść do godności człowieczeństwa nawet mordercę własnego syna, a z poganina uczynić wierzącego chrześcijanina w duchu pierwszych wyznawców nauki Chrystusowej, oczywiście według szablonu hr. Tołstoja. Na pracy fizycznej w polu lub domu, przeciętnie po ośm godzin dziennie, polega zewnętrzny wyraz „nawrócenia się" samegoż twórcy sekty. Ona to stała się główną podstawą organizacyi *christijanskich* albo *inteligentnych obszczin*, to jest gmin, utworzonych przez wyznawców jego nauki. Z tego powodu wypada nam obznajomić się z poglądami hr. L. Tołstoja na potrzebę i wpływ pracy fizycznej na stronę duchowo-moralną jednostki i całego społeczeństwa.

W rozprawie swej, noszącej tytuł: „Myśli wywołane spisem ludności" (*Mysli, wyzwannyje pierepisiu*, od str. 179—375. *Soczinienia grafa L. N. Tołstoja. Izdanie II.* Część 12. Moskwa 1886), powiada na str. 335—336, co następuje. W czemkolwiekby człowiek nie upatrywał swego powołania: czy w tem, aby rządzić innymi ludźmi; czy w tem, aby bronić swych współziomków, odprawiać nabożeństwa, uczyć innych, obmyślać środki pomnażania przyjemności życia, odkrywać prawa świata, wcielać prawdy wieczne w formy artystyczne — zawsze będzie najpierwszym i najważniejszym obowiązkiem człowieka rozumnego brać żywy udział w walce z przyrodą, celem podtrzymania życia własnego i życia innych ludzi.

Obowiązek ten będzie najpierwszym chociażby tylko dlatego, że ludziom przedewszystkiem potrzebne jest życie; a również i dlatego, że chcąc ich bronić, nauczać lub życie im uprzyjemniać, potrzeba zachować życie samo; tymczasem nieuczestniczenie w walce z przyrodą, asymilacya cudzej pracy jest właśnie

niweczeniem cudzego życia. I dlatego nie jest mądrem twierdzenie, iż służy się ludziom i podtrzymuje się ich życie, skoro w gruncie rzeczy szkodzi się im tylko i gubi się ich życie. Obowiązek ten będzie najważniejszym ze wszystkich obowiązków, ponieważ jest on prawem życia, od którego odstępstwo karze się natychmiast zatratą bądź cielesnego, bądź rozumnego życia człowieka. Jeżeli człowiek, żyjąc w osamotnieniu, uchyli się od walki z przyrodą, doświadczy szkody na swem cielę; jeżeli obowiązek ten zwali na kogo innego, dozna kary w utracie życia rozumnego, tj. mającego treść rozumną.

W innej zaś rozprawie: *W czem szczastie?* („Na czem polega szczęście?“) stara się określić różnicę w poglądach na pracę pomiędzy naszym światem a nauką Chrystusową. „Według nauki świata — pisze na str. 391 *(Soczinienia.* Część 12. Wydanie II.) — praca jest szczególniejszą zasługą człowieka, za którą on żąda obrachunku z innymi ludźmi i mniema, iż ma prawo do lepszego żywienia o tyle, o ile większą była jego praca; według zaś nauki Chrystusa Pana, praca jest niezbędnym warunkiem życia człowieka, a żywienie — nieuniknionem jej następstwem. Praca wytwarza pokarm, pokarm zaś umożebnia pracę — to wieczne koło, gdzie jedno skutkiem i przyczyną drugiego“.

Dla tych zaś, co po przeczytaniu jego rozprawek treści religijno-moralnej zadaliby sobie pytanie: co mamy robić? daje następujące wskazówki *(Mysli, wyzwannyje pierepisiu,* str. 351):

1) nie kłamać przed sobą samym, chociażby droga życia mego najbardziej oddalała się od drogi, jaką mi rozum wskazuje;

2) zrzec się przeświadczenia o swej prawości, swych prerogatywach, swych przymiotach, wyróżniających nas od innych ludzi, a uznać się za winowajców;

3) pracą całej swej istoty czynić zadosyć niezmiennemu prawu człowieka; nie wstydząc się żadnej z prac, walczyć z przyrodą dla podtrzymania i swej własnej i egzystencyi innych ludzi.

Od lat kilkunastu istnieją w Rosyi „gminy chrześcijańskie“ *(christijanskije obszczyny)* albo „kolonie inteligentne“, założone przez uczniów i adherentów Tołstoja. Ich komunistyczne formy

bytu nie są bynajmniej obcemi duchowi narodowemu rosyjskiemu. Zasady te tkwiły już w wielu sektach rosyjskich, a hr. Tołstoj dał im tylko podstawę teoretyczną.

W gminie chrześcijańskiej łączy się pewna ilość osób, mężczyzn i kobiet, ku wspólnej pracy, celem wspólnego, skromnego sposobu życia. Małżeństwo nie jest w niej wykluczone, a stosunki pomiędzy osobami różnej płci odznaczają się niezwykłą w Rosyi czystością. Pieniędzy w stosunkach wewnętrznych gminy nie używa się, ale na zewnątrz bez ich posiadania obejść się nie można. Za pieniądze nabywa się wszystko, czego sama gmina produkować nie jest w stanie, jak cukier, herbata, narzędzia i machiny rolnicze i t. p. Do zarobków mają członkowie gmin chrześcijańskich jednakowe prawa, z wykluczeniem jednak prawa osobistej własności. Każdy przybysz znajduje w gminie chętne przyjęcie. Jest to jakby jeden z objawów znanej powszechnie rosyjskiej gościnności. Przybysze nic najczęściej ze sobą nie przynoszą, oprócz ochoty do pracy i zgodliwego wspólnego pożycia. Członkowie tych gmin przenoszą się z jednej do drugiej i w każdej z nich żądają przyjęcia, jako swego naturalnego prawa.

Najdawniejsza gmina chrześcijańska, utworzona na podstawie doktryn hr. L. Tołstoja, jest we wsi Alochinie, w gubernii Smoleńskiej. Liczy ona już pięć lat istnienia, a posiada 120 do 130 dziesięcin ziemi. Jeden z członków tej gminy założył wraz z kilku towarzyszami kolonię tejże w pobliżu Charkowa. Założycielem drugiej takiejże gminy w gubernii Charkowskiej był kniaź Chiłkow, który swą milionową fortunę poświęcił dla dobra publicznego. O parę mil od Jasnej Polany (gubernia Tulska), zwykłego miejsca pobytu hr. L. Tołstoja, jest gmina chrześcijańska fundacyi Bułygina. Niejaki Sibirjaków był założycielem podobnejże gminy w gubernii Samarskiej, a Jeropkin — na wschodnim brzegu morza Czarnego. Z gminami chrześcijańskiemi spotykamy się i w gubernii Saratowskiej. W gubernii Twerskiej, w pobliżu Wysznie-Wołoczka, założycielem gminy chrześcijańskiej, różniącej się nieco w swej organizacyi od innych podobnychże gmin, był filolog Nowosiołow, dawniej profesor gimna-

zyum żeńskiego. Nazywają ich tam — jak donosi korespondent *Petersburgskawo Listka* — *Perchowcami*, od nazwy wsi, której właścicielem jest sam organizator gminy. Należy on do ludzi inteligentnych, a pochodzi z rodziny popowskiej. Członkowie tej sekciarskiej komuny, pochodzący z różnych stron Rosyi, należą również do wyższej inteligencyi. Mieszkają oni we wsi p. Nowosiołowa wspólnie: mężczyźni w jednym, a kobiety w drugim budynku. Ubranie noszą proste włościańskie. Mężczyźni zajmują się rolnictwem: orzą pole, wożą nawóz, koszą, sieją i t. p. Narzędzia rolnicze i machiny mają najnowszej konstrukcyi. Panny zaś pasą bydło i zajmują się gospodarstwem domowem. W czasie wolnym od pracy u siebie w gminie, sekciarze idą na robotę do okolicznych włościan, ale wynagrodzenia za swą pracę od nich nie biorą, a stawiają tylko warunek, aby włościanie tyleż dni później u nich pracowali. Ani małżeństw, ani wspólnego pożycia osób płci różnej sekciarze nie uznają: według ich przekonania, ludzkość powinna zaginąć pierwej lub później, a im prędzej to się stanie, tem lepiej; dla zniszczenia zaś rodu ludzkiego najlepszym środkiem jest celibat osób świeckich i życie zakonne. Wieczorami i w dni świąteczne sekciarze odczytują i komentują po swojemu Pismo św., przyczem mogą być obecni nietylko członkowie gminy, ale i osoby obce. Po tej bogobojnej lekturze odbywają się dysputy naukowe, ale forma i język dysput są popularne, dostępne dla przysłuchujących się prostaczków.

Niejaki Feinermann, wespół ze swym przyjacielem Butkiewiczem, utworzył, na wzór gmin chrześcijańskich, gminę żydowsko-komunistyczną w Elizabetgradzie, w gubernii Chersońskiej. Nosi ona nazwę „Związku biblijnego“, a składa się przeważnie z Żydów. Panuje tam całkowita wolność religijna. Jedni z członków gminy trzymają się nauki Mojżeszowej, a drudzy — doktryn komunistycznych hr. L. Tołstoja. Gminie tej nie wróżą jednak trwałości, albowiem judaizmu i komunizmu niepodobna silnie zespolić w jednej organizacyi społecznej.

Do najgorliwszych uczniów Tołstoja należą: Biriukow i Czertków, założyciele gmin chrześcijańskich: pierwszy w po-

bliżu Kostromy, a drugi w gubernii Woroneżskiej. Biriukow jest zarazem autorem, nawskróś przejętym ideami swego gorąco umiłowanego mistrza. W chwili obecnej pracuje on nad obszernem dziełem pod tytułem: „Wiosna ludzkości albo nowe życie“ *(Wiesna czełowiecziestwa ili nowaja żiżń)* [1]. Pierwsze czasy życia ludzkości nazywa Biriukow w swej pracy „okresem przemocy“. Nie było wówczas ani praw, ani zasad moralnych. Potem nastąpił „okres sprawiedliwości“, którego najjaskrawszym wyrazem jest prawodawstwo Mojżeszowe. Ząb za ząb, a oko za oko — oto formułka, streszczająca wymagania tej skrajnej sprawiedliwości. Po okresie sprawiedliwości nastąpił „okres miłości“, głoszonej przez Chrystusa Pana w „jesieni ludzkości“. Wkrótce potem powstały śnieżne zawieje i nagromadziły się czarne chmury, a ziarno miłości nie zeszło. Powoli jednak zaczęły drżące promienie słoneczne przebijać się przez obłoki, a ziarna miłości Chrystusowej ukazywać się z ziemi. Temi promieniami, według Biriukowa, byli: bogumiłowie bułgarscy, waldensi, Wiklef i Luter. Oni zarodki te ogrzali swem ciepłem. Tym zaś, który doprowadził je do „okresu kwitnienia“ czyli „wiosny ludzkości“, jest oczywiście — hr. Lew Tołstoj!

Drugi żarliwy stronnik Tołstoja, Czertkow, stał się główną sprężyną działalności towarzystwa wydawniczego pod nazwą „Pośrednik“, założonego w Petersburgu, w celu upowszechnienia dobrych książek ludowych [2]. Większa część książek, wydanych nakładem tegoż towarzystwa, pochodzi z pod pióra hr. L. Tołstoja, chociaż i pióra innych literatów, jak: Niemirowicza-Danczeńki, Lieskowa, Ertla, Erlenweina, Gołołobowa i pani Chmielewej, są dlań czynne. Działalność literacka i redakcyjna firmy „Pośrednika“ koncentruje się w Petersburgu, a część księgarską załatwia księgarz Ssytin w Moskwie. „Pośrednik“ zrobił, po raz pierwszy w Rosyi, jak najszersze zastosowanie kolporteryi. Ssytin wysyła z Moskwy na wszystkie strony rozległego państwa kolporterów, którzy, mając zapewniony dobry

[1] *Gespräche über und mit Tołstoj.* D-ra R. Loewenfelda. Berlin 1891.
[2] Tamże.

procent, nie potrzebują wyzyskiwać kupujących. Uczciwość kolporterów Ssytina zdobyła już sobie na prowincyi powszechne uznanie. Nie trzeba chyba dodawać, że rząd, a zwłaszcza Cerkiew panująca, patrzą okiem niechętnem na rozwój działalności wydawniczej „Pośrednika“, a nie ulega wątpliwości, że przy pierwszej okazyi, przy najmniejszem przekroczeniu jakiegoś paragrafu, towarzystwo to będzie rozwiązane.

O tych „koloniach inteligentnych“ czyli „gminach chrześcijańskich“ spotkać się można z różnem zdaniem. Miesięcznik *Russkij Wiestnik*, redagowany przez epigonów smutnej sławy Katkowa, zamieścił (w zeszycie lutowym z r. 1891) artykuł, kreślący piórem niechętnem obrazki z życia wewnętrznego kolonij inteligentnych, siedziby tych „rycerzy pracy fizycznej“, jak ich tam nazwano. „Inteligentni rolnicy — czytamy tamże — robią wrażenie ludzi osieroconych i cierpiących z własnej woli. Słabo rozwinięte mięśnie, nędzne ubranie, brak przyzwyczajenia do pracy — oto ich charakterystyczne rysy. Pragną oni żyć z pracy rąk swoich, a nie są w stanie pracować. Zamiast pracy fizycznej, ciągła gadanina o zasadach, chwiejność myśli i woli, cierpienie wewnętrzne i całkowity brak podstaw moralnych i ekonomicznych. Panuje pomiędzy nimi silnie rozwinięta chętka do włóczęgi. Kwestya pożycia małżeńskiego wywołuje pomiędzy kolonistami nieustanne dyskusye i spory. W mieście Orle zaczęli coraz częściej pojawiać się ‚inteligentni rolnicy‘ czyli *Tołstowcy*, wracający z daleka w strony rodzinne. Wszyscy oni obdarci i prawie bosi. Nawet nasz miłosierny lud przyjmuje ich z drwinami i zniewagami. Niektórzy proszą o jałmużnę po restauracyach. Na stałe osiadają w koloniach ci tylko, którzy ‚bawią się w chłopów‘, mają byt zabezpieczony, a bez ‚pracy rąk własnych‘ mogą wybornie się obejść“.

W podobnym duchu pisze o koloniach inteligentnych *Smoleńskij Wiestnik*, jeden z najlepiej redagowanych dzienników prowincyonalnych rosyjskich, posiadający najlepsze o nich informacye, ponieważ w gubernii Smoleńskiej stosunkowo najwięcej kolonij inteligentnych i najpierwej tam one powstały. Każdy człowiek — czytamy w *Smoleń. Wiestniku* — powinien żyć z pracy

rąk swoich, uprawiając własny kawałek ziemi i nie wyzyskując swych bliźnich — oto jedno z najważniejszych przykazań hr. L. Tołstoja. Lecz oto młody kolonista zrobił jeden pokos na łące i siadł zadyszany; przeorał kilka bruzd pługiem, a pot rzęsisty wystąpił na jego czole. Stąd wynika, że łąkę swą kosić będzie do jesieni, a z zasiewami znacznie się opóźni. Nie ulega zatem wątpliwości, że żyć będzie musiał kosztem kolonistów, umiejących lepiej od niego pracować. Przekonanie to, iż żyje kosztem lepiej i wytrwalej pracującego fizycznie, pozbawi go wewnętrznego, moralnego zadowolenia. W koloniach tych znajdzie się zaledwie trzecia część mieszkańców jako tako oswojonych z pracą fizyczną. Trzeba, naprzykład, zbudować chatę lub stodołę, a tymczasem inteligentny rolnik nie jest w stanie koła zaostrzyć; powstaje zatem konieczność najęcia cieśli, a najem rąk roboczych nie licuje z zasadami kolonii; nie starczy na przednowku zboża, przychodzi go kupić, a pieniądz nie jest przecież pracą, tylko jednym ze sposobów „ujarzmiania bliźnich", jak twierdzą *Tołstowcy*.

Z temi pieniędzmi — ciągnie dalej *Smoleńskij Wiestnik* — zdarzają się sceny niekiedy zabawne.

— Chłopcy! — woła jeden z nich — ziemniaków wcale nie mamy. Co robić?...

Na to pytanie nastąpiło głuche milczenie w odpowiedzi. Milczano bowiem nie z tego powodu, aby pieniędzy nie było — pieniądze się znajdą; ale kupować niepodobna... jest to grzechem wobec zasad kardynalnych, na jakich spoczywa ustrój kolonii.

— Milczcie lub nie milczcie, — woła drugi — a ziemniaków kupić trzeba, jeżeli nie mamy poprzestać na samej tylko kapuście.

Nasuwa się przytem uwaga, że inteligentni rolnicy siedzieć na jednem miejscu nie lubią: popracuje młody człowiek w jednej kolonii przez parę miesięcy, patrz — drapnął już do drugiej piechotą.

— Dlaczegoście tak krótko tutaj (w kolonii Andrejewskiej) bawili? — pytam jednego z wybierających się na peregrynacyę.

— Nie podoba mi się tam wcale: niema równości; pan N. zanadto wywiera wpływ przeważny.

— Bez gospodarza niema gospodarstwa, — powiadam — a przecież człowiek to niezaprzeczenie gospodarny.

— Gdzie niema braterstwa i równości, tam nie masz i życia.

— Gdzież pan teraz podąża?

— Do gubernii Czernihowskiej.

— Przecież nie piechotą?

— A jakże inaczej!

Co się tyczy chodzenia pieszo, — robi uwagę autor tego opowiadania — to koloniści są wielkimi mistrzami: niektórzy odbywają podróże po czterysta i więcej wiorst.

Większą stałością, wytrwałością i przywiązaniem do miejsca, przynajmniej w kolonii Andrejewskiej (gub. Smoleńska), odznaczały się kobiety. Dzieci tam wcale nie było. Kwestya pożycia małżeńskiego dotąd wcale nierozwiązana; na ten temat toczą się żywe dyskusye, a w poglądach objawiają się wielkie różnice.

O stanie duchowo-moralnym kolonii inteligentnej wyraża się autor artykułu w *Smoleń. Wiestniku* w sposób następujący: „Nie da się zaprzeczyć, że koloniści ludzie uczciwi, a pomiędzy nimi znajdują się i tacy, którzy za złe gotowi odpłacić dobrem; lecz nie dostrzegłem wcale, aby u kolonistów było jedno serce i jedna dusza, aby przykazanie o miłości bliźniego wykonywało się u nich nie samemi tylko ustami. Koloniści przeważną część czasu spędzają przy pracy: orzą ziemię, zwożą nawóz, koszą łąki. Według mego zdania, mniemać, iż przeznaczeniem człowieka żywić się li tylko pracą rąk własnych — jest cnotą ujemną".

Nieco inaczej zapatruje się na zasady sekty hr. L. Tołstoja i na skutki ich propagandy, autor najnowszej pracy o tym przedmiocie, umieszczonej w *Russkiem Obozrenii* (zeszyt lutowy 1892, str. 897—904), czasopiśmie wychodzącem w Moskwie. „Jeżeliby propaganda hr. L. Tołstoja — czytamy w tym artykule — mogła wpływać na ludzi, którzy zachowali silną wiarę w nadprzyrodzone, mistyczne, boskie znaczenie prawd chrześcijańskich, możnaby ją uważać za szkodliwy obłęd, ponieważ ideał wyższy zamieniałaby na niższy; lecz nie przekonanych i wierzących chrześcijan propaganda ta ma na celu, ale chrześcijan tylko z imienia; oddziaływa ona na społeczeństwo, wśród którego nietylko pa-

muje całkowity indyferentyzm, lecz w którem wiara i jej objawy zewnętrzne są środkiem do osiągnięcia zupełnie poziomych celów. W porównaniu z tego rodzaju wiarą, błędy hr. Tołstoja są zaprawdę błędami podniosłemi. Z religijnego stanowiska nauka hr. L. Tołstoja jest wielkim fałszem; lecz z tego stanowiska sądzić jej nie można, ponieważ i punkt wyjścia i zadanie tejże są całkiem odmienne".

Od tego uznania względnej korzyści propagandy hr. L. Tołstoja, jako twórcy nowej sekty, przejdźmy do opinij znanego publicysty, Sergiusza Atawy, umieszczającego pod tym pseudonimem fejletony w *Nowoje Wremia,* najwpływowszym obecnie organie rosyjskiej opinii publicznej. Ten już wprost uznaje dobroczynny wpływ tworzenia się i rozwoju gmin chrześcijańskich, według modły mistrza z Jasnej Polany. „Wielki artysta (hr. L. Tołstoj) — powiada Sergiusz Atawa — napisał rzecz tak wyborną, jak dramat ‚Potęga ciemnoty' *(Właśt 'tmy),* jedyny u nas iście narodowy dramat, roztwierający przed nami obraz istotnego położenia narodu pod władzą ciemnoty. A oni, inteligentni koloniści, ujrzeli obraz ten w rzeczywistości i zrozumieli dobrze, że tutaj niema miejsca dla fantazyj; że z tą rzeczywistością nie tak łatwo dać sobie radę; że jej nie przekształcisz żadnemi artykułami, jak jej dotąd nie przekształcono żadnemi cyrkularzami. Pomimo tego nie stracili wiary w lepszą przyszłość narodu ani hr. L. Tołstoj, ani najprzedniejsi z pośród kolonistów. I on i oni tylko lepiej się obznajomili z narodem, ujrzeli własnemi oczami i pojęli to, co im robić należy, jeżeli pragną być użyteczni i sobie i narodowi w czynie, a nie w czczych słowach... Również — pisze dalej S. Atawa — pozbawionemi sensu są drwiny z hr. Tołstoja i z założycieli inteligentnych kolonij z tego głównie powodu, że ani sam mistrz, ani jego uczniowie nie są w stanie zapewnić sobie niezależnej egzystencyi li tylko pracą osobistą. Tutaj wcale nie chodzi o zyski, o lukratywną stronę czynnej propagandy, lecz o korzyści, jakie może odnieść człowiek wskutek blizkiego i gruntownego poznania ludu, którego dotąd nie znał".

A. Szarłowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Nauka wiary i obyczajów Kościoła katolickiego, wyłożona przez *d-ra Hermana Rolfusa*, plebana, i *F. L. Braendlego*, rektora. Drukiem i nakładem Karola Miarki w Mikołowie. 1892. W 4-ce, zeszyt zawiera 46 stron; całe dzieło ma obejmować zeszytów 25, chromolitografij 8, rycin 500. Cena zeszytu 30 centów.

Oto tytuł wielkiego dzieła religijnego, które przełożone z niemieckiego na język polski, rozpoczął wydawać p. Karol Miarka w Mikołowie na Górnym Szląsku. Przyznamy się, żeśmy z ciekawością a i pewnem niedowierzaniem wzięli pierwszy zeszyt do ręki. Przyjrzawszy się nieco bardzo udatnym, na okładce broszurowej umieszczonym, rycinom i przerzuciwszy skwapliwie i pospiesznie wszystkie stronnice zeszytu wraz z cennemi rycinami, powzięliśmy to przekonanie, że jeżeli tylko język polski dzieła odpowiadać będzie jego zewnętrznej i świetnej szacie, to sąd nasz o niem wypaść musi ku jak największej pochwale wydania.

Z prawdziwem zajęciem wzięliśmy się do czytania tej niezwykłej w dzisiejszych czasach polskiej produkcyi literackiej. Mówimy niezwykłej, bo jakiż dzisiaj wydawca i nakładca polski ośmieli się podjąć spolszczenia tak cenionego w świecie katolickim dzieła, jakiem jest praca dwóch wyżej wymienionych teologów niemieckich, a poleconego przez 20 książąt Kościoła katolickiego?

Odwaga wydawcy polskiego dzieła, powtarzamy raz jeszcze, jest obecnie niezwykła, a nawet budzi pewne zdumienie. Wydawcy i nakładcy dzisiejsi są, że się tak wyrazimy, niewolnikami czytającej i kupującej publiczności. Nakładca-księgarz nie kupi rękopisu, jeżeli treść jego nie będzie odpowiadała gustowi publiczności. A jakiż jest

ten gust dzisiejszych żyjących społeczeństw, nie wyjmując polskiego? W krótkiej tej notatce literackiej nie miejsce badać głęboko a obszernie prądy i kierunki, w jakich ogół społeczeński idąc, trwoni i marnotrawi czas na czytaniu książek, które zamiast budować, burzą ducha, zamiast uspokajać i koić, niepokoją i wreszcie niszczą.

Ale i z innego tytułu „Nauka wiary i obyczajów Kościoła katolickiego“ zasługuje na baczną uwagę. Literatura polska w tej właśnie dziedzinie jest ubogą. Tłumaczenia wszelkich katechizmów francuskich Gaume'a i Guillois, wydania warszawskiego, nie zalecają się dobrą, czystą, zrozumiałą polszczyzną, a i dziś nie widać ich na półkach księgarskich. Narodowi zaś polskiemu potrzebny jest przewodnik, któryby go w tym wielkim gmachu duchowym, gdzie tylu już się pobłąkało, umiejętną prowadził ręką po wszystkich jego dla wielu niebezpiecznych zaułkach. Autorowie dzieła niemieckiego uznani zostali za takich umiejętnych przewodników; polski tłumacz i przewodnik, nie wahamy się tego powiedzieć, tak odgadł intencyę ich, że praca jego stała się jakby oryginałem i jako taki przynależne zajmie miejsce pomiędzy wzorowemi płodami literatury polskiej. Nie dojrzysz w „Nauce wiary i obyczajów“ ni źdźbła germanizmów. Wieje z niej duch czysto polskiego języka. Stąd dzieło to we wszystkich stanach i zawodach społeczeństwa polskiego zdolnem jest utrzymać w sile i moralności duszę jego, a zarazem być wzorem dla tych, co pragną oczyścić swój język tylu naleciałościami nadpsuty.

W parze z temi zaletami idzie, jak już nadmieniliśmy, i zewnętrzna szata dzieła. Piękne i wyraziste ryciny ułatwiają i zachęcają do rozczytywania się w niem. Wydawca, mając mianowicie lud prosty na względzie, nie szczędził kosztów, a są one bardzo wielkie, żeby w sposób plastyczny, pod zmysły podpadający, uczynić dzieło swe przystępnem nietylko dla tych, co posiadają wykształceńszy umysł. Ryciny i obrazy kolorowe, dodane do dzieła, czynią je całkiem popularnem i dla uczeńszych i dla ludu. Druk wielki (mittel) na pięknym a trwałym papierze, to może ostatnia, a ważna zaleta ze względu na tych, których drobne czcionki przerażają i odwodzą od czytania.

O rozkładzie „Nauki wiary i obyczajów Kościoła katolickiego“ nic nie mówimy. Pod tym względem ocenili to dzieło w swych aprobatach, umieszczonych na wstępie zeszytu, rozliczni arcypasterze Kościoła; powiemy tylko jeszcze, że wydawca z wszelką samowiedzą przystępował do podjęcia tego pomnikowego dzieła, jak o tem przekonają się sami czytelnicy z dołączonego na okładce prospektu wydawcy. Wy-

dawca nie kierował się materyalnemi względami, bo tych nie mógł mieć na oku. Chodziło mu o to, żeby narodowi swemu podać do ręki broń, którą się zwycięża i pokonywa złe duchy. „Nieświadomość nauki wiary — pisze wydawca w prospekcie — jest w niemałej mierze powodem i tym gruntem, na którym krzewi się trujące i zgubne dla społeczeństwa zielsko socyalnej demokracyi".

Wkońcu jeszcze jedno. Dzisiejsi ludzie lubią wszystko tanio kupować, nawet płody ducha. Wydawca zastosował się do tego i nałożył na spory zeszyt 50 fenigów, a więc na całe dzieło 12 marek, czyli 6 złr. *K. R.*

Ołtarzyk codziennego i całorocznego nabożeństwa. Przez *ks. Jana Brzozowskiego, S. P.* Kraków. Nakładem Autora. 1892. (Str. 345).

Czcigodny autor nie po raz pierwszy karmi wiernych „duchownym obrokiem". Znane już są i z pożytkiem używane jego „Ciche westchnienia" i „Pokarm Anielski". „Ołtarzyk" treścią, duchem, układem i formą pokrewny tamtym książeczkom, w tem jednak od nich cenniejszy, że zawiera bardzo bogatą, a szczęśliwie ułożoną część liturgiczną. W skład tej części wchodzi najprzód polski mszalik z tekstem łacińskim zestawiony, w którym znajduje się cały tok czynności i modlitw kapłańskich przy św. Ofierze, oraz Msze św. i Nieszpory na wszystkie święta i uroczystości. Jest tu też zbiór lekcyj i ewangelij niedzielnych i świątecznych, co część tę i dla kapłanów czyni przydatną. Niemniej cennym i niezmiernie pożytecznym jest opis i wykład ważniejszych obrzędów roku kościelnego, jak umywania nóg, obmycia ołtarzy, święcenia popiołu, palm, paschału, ognia, wody i t. p. Głębsze poznanie liturgii katolickiej jest niezawodnie jednym z bardzo ważnych czynników w rozbudzeniu i pomnożeniu ducha prawdziwej pobożności. „Ołtarzyk" ks. Brzozowskiego, czyniąc zadość tej potrzebie i łącząc obok tego obfitość i dobór litanij, pieśni i modlitw odpowiednich wraz z czystością i prostotą stylu, oraz z kształtnym, a dogodnym formatem i ceną bardzo skromną, ze wszech miar zasługuje na rozpowszechnienie. *B. S.*

Parę książek dla młodzieży.

Nie masz może trudniejszego pola dla pisarza, jak pisać przystępnie i korzystnie dla młodzieży. Podawać jej tylko bajki, zastarzałe powieści o strachach, czarnoksiężnikach lub ukrytych skarbach, może to

zwabić skory do wrażeń umysł dziecięcy, ale nie pozostawi w nim pewno wpływu dobrego, tem mniej pouczy i zaprawi do wytrwałości i pracy. Bawić dzieci romansami, opowieściami, które przechodzą stadyum pojęć i wymagań młodzieży, jak to robi tyle (dodajmy bez potrzeby) zachwalany Andersen, będzie rzeczą co najmniej nieodpowiednią, jeżeli już nie złą. Dziecko nie powinno się bawić wyłącznie lekturą; czytanie, treść czerpana z książek, ma mu wdrażać tę potrzebę sposobienia się do pracy i wytrwałości w życiu, ma go na żywych wzorach pouczać, w czem i jak szukają ludzie pomocy w doli przykrej, jak dobijają się zasługi i nagrody.

Powiedzmy teraz na pochwałę naszej literatury, że kilka tego rodzaju, wszelkim słusznym wymaganiom odpowiadających dzieł, opuściło prasę w ostatnich czasach, i jako takie najgoręcej na poparcie i zalecenie zasługują.

1) **Powieści dla moich przyjaciół.** Przez *Z. Morawską.* Kraków 1892.

Poczynamy od oryginalnych. Autorka pomieściła w wymienionej w tytule książeczce dwie powiastki: „Ciężka dola“ i „Pamiątka“. W pierwszej, na tle bolesnej sercu polskiemu walki z germanizmem i w ślad za nią idącą banicyą rodaków naszych z Księstwa Poznańskiego, wyłania się przed nami umysł odważny i jak granit nieugięty, mężnej dziewczyny, którą niepowodzenia ani współzawodnictwo nie złamały, pokusy nie zawiodły do wyrzeczenia się narodowości, a która wytrwałością, zaparciem i pracą z pogromu wychodzi zwycięsko. Jedno mamy tylko do zarzucenia, jeżeli już co wogóle zarzucić wolno: oto, czy dla etycznej wartości powiastki dla młodzieży — z naciskiem przypominamy — pisząc, nie byłoby lepiej, by Niemiec Hans ustąpił raczej, a słuszność i prawo, więc Józia i ten stary Łubek, pozostali nie wyparci w swej siedzibie? czyż nasza dziatwa ma tylko takiem żywić się przekonaniem, iż nam już tylko ulegać wypada zawsze i ustępować przed mocniejszym?

W „Pamiątce“ maluje nam autorka chrześcijański wzór miłości nieprzyjaciół. Na tem tle snuje się wątek opowiadania, rozwijają się charaktery dwóch młodzieńców, a dom zacny, z pobożną córką, poważnym dziaduniem, wpływa korzystnie na Michasia, skrytego i zazdrosnego chłopaka, i tyle może urok szlachetnego czynu, że pod wpływem heroicznego zapomnienia krzywdy, dojrzewa Michaś na człowieka pożytecznego społeczeństwu i sobie. W obu tych powiastkach jest pe-

wien brak delikatnego wykończenia rysów poszczególnych charakterów, jest może za mało życia, ale drobne to bardzo usterki.

2) **Druga matka.** Powieść dla dorastającej młodzieży. Przez *Br. Porawską.* Kraków. Gebethner.

Tytuł sam uchyla zasłonę i pozwala nam odgadnąć, iż główną osobistością powieści będzie jakaś druga matka-macocha; zaletą prawdziwą, że ta macocha, to ideał matki i żony, iż jej charakter spokojny, wyrozumiały, pełen poświęcenia, łamie powoli lody uprzedzeń w przybranej córce, przemienia ją i zniewala uznać, choć w macosze, serce życzliwe i kochające. Więcej tu wykończenia i artyzmu, niż w poprzedniej powiastce, wiele życia, prawdy i tego trudnego do zrozumienia, dobrego i kapryśnego usposobienia naszych dzieci; całość przedstawia się wdzięcznie i nadaje się do czytania przedewszystkiem dla dorastających panienek.

3) **Ulicznik.** Powieść dla młodzieży. *A. Gennevraye.* Uwieńczona przez Akademię franc. Przekład z francuskiego. Warszawa. Gebethner. 1892.

Prawdziwa powieść dla dzieci, jakikolwiek w niej będzie bohater, z salonu czy z ulicy, troszczyć się musi najwięcej o dokładną analizę, i umiejętne a przecież zajmujące przedstawienie kształcenia i wyrabiania się charakteru w młodzieńcu, o podniesienie tych stron, które korzystnie na serce wpływają, o wykazanie środków skutecznych w prowadzeniu i umysłów i serc. A to wszystko musi być jednak tak usnute, by nie wyglądało na ciężki elaborat o edukacyi, ale na powieść. Temu trudnemu zadaniu sprostał autor „Ulicznika", a jego zasługi uznała Akademia francuska, uwieńczając to dzieło nagrodą. Tytuł niezbyt może ponętny, ale rzecz wyborna.

Sierżant Gaveau, ujęty obiecującą powierzchnością małego Izydora, porzuconego bez dachu, opieki, nawet bez nazwiska na ulicach Paryża, zajmuje się jego losem, bo chociaż inwalid, z piersią opancerzoną i sercem żołnierskiem, ma jednak uczucie ludzkie miłosierdzia. Tem uczuciem wiedziony, wyprasza Izydorowi służbę i miejsce w szkole, wspiera go zaoszczędzonym groszem, pokonywa dawne złe przyzwyczajenia chłopca i wyprowadza „na ludzi". Autor pięknie kreśli te chwile zapasów i walk z dawnemi nawyknieniami próżniactwa i używania, jakie się w nawróconym „uliczniku" odzywają, wykazuje ile wola i hart młodzieńczy mogą dokonać, ile zdziałać może rozumne prowadzenie dziecka, pełne miłości upomnienia, jednem słowem, oddaje wiernie to trudne do oddania wyrabianie się charakteru człowieka.

W całej aureoli doskonałości i zacności występuje Izydor w wojnie r. 1870. Jakaż to pociecha dla opiekuna-inwalida słyszeć o awansach swego wychowańca, o czynach odwagi i męstwa, których dokonywa Izydor, ulicznik. Znać przytem, że to pióro francuskie kreśliło te karty bolesnych wspomnień z pod Wissemburga, Woerth i Sedanu. Rezultatem były klęski, ale ileż tam bohaterskich czynów poświęcenia i odwagi. Po skończonej fatalnie wojnie, Izydor zasmakowawszy w służbie Marsa, przenosi się do Afryki, skąd wraca podporucznikiem żuawów. Oto w krótkości treść tej misternej tkaniny, prawdy i życia pełnej.

Oczywiście ani chcieliśmy, ani myśleliśmy wyczerpać tu całej nowszej literatury powieściowej dla młodzieży. Obszerna to literatura, której wartoby kiedyś prawdziwie wyczerpujące studyum poświęcić. Może ta krótka wzmianka o paru książkach, które z tego lub innego powodu szczególną uwagę naszą na siebie zwróciły, zachęcić potrafi kogoś kompetentnego do podjęcia tej pracy. Pięknaby to bądź co bądź była praca, nad wyraz pożyteczna i z pewnością pod każdym względem sowicieby się opłaciła.

Ks. A. B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Mémoires du Général baron du Marbot. Paris. Librairie Plon. 1891.

Biada pokoleniom, które czerpać muszą hart z książek, nie z życia, które wśród szarej powszedniości codziennych stosunków i wśród miękkości epoce właściwej, nie znajdują sposobności, ni pola do ćwiczenia się w trudzie, w zaparciu, w poświęceniu. Komfort rosnącej cywilizacyi gotówby w nas zagasić najpiękniejsze iskry zapału, gdyby nie przypomnienia i pamiątki tych, co inną od naszej mieli młodość i w innej chowali się szkole. Jakby kordyałem na zwątlenie i bezbarwność dzisiejszych ludzi i dzisiejszego okresu, sypią się, jak z rogu obfitości, echa butnej i bitnej przeszłości owej świetnej zorzy wieku, który zachodzi nie chwalebnie, pod grozą zrywającej się burzy socyalnej. Sprawozdanie nasze zakrawałoby na bibliograficzną nomenklaturę, gdybyśmy chcieli przypomnieć wszystkie pamiętnikowe wydawnictwa do epoki Napoleońskiej, które się świeżo we Francyi z kolei ukazały. Między dyplomatycznemi wspomnieniami ks. Broglie i Talley-

randa, znalazło się miejsce na pamiętnik hr. Rochechouarta, barona Barante'a, marszałka Macdonalda i tylu, tylu innych, z pośród których czytelnicy wszechświata wyróżnili żołnierskie zapiski jenerała Marbota, oceniając słusznie ich gromką prostotę, obozową szczerość i pewne zacięcie rycerskie, które rzadko w podobnem stopniu znaleść można u świadków i dziejopisów tych tytanicznych bojów.

Marbot nie próbuje bowiem laurami zwycięstwa przysłonić krwawego realizmu wojny, nie ubiera on nędzy i ran w kwiaty stylu, nie oszczędza nerwów czytelnika, lecz niemiłosiernie za nie targa, i to może tłumaczy w pewnej części niebywałe powodzenie jego pamiętników. Ludzie współcześni, jak dawni Rzymianie, potrzebują silnych wstrząśnień, rozkoszują się w obrazach mordu i pożogi, tęsknią za wszystkiem, co ich szarpie za wnętrzności, i w niedostatku igrzysk cyrkowych chętnie się nurzają w drastycznych opisach wojny. Samże Goya, ponury mistrz hiszpański, nie zaparłby się niektórych obrazów, przez Marbota z nieporównaną werwą i grozą uplastycznionych. Czy pod włoskiem niebem, czy na śnieżnych równinach Północy, czy wśród stromych gór Iberyjskiego półwyspu, wszędzie widzimy jawnie przed sobą krwawe pobojowiska, czujemy w powietrzu woń krwi, oddychamy dymem prochu, patrzymy na ruchy walczących, bodaj słyszymy huk dział, jęki rannych i urywanej komendy rozkazy. W takiej szkole ludzie przedwcześnie dojrzewali, a wyrabiali się inaczej. Marbot, pacholęciem do huzarów, walczących pod dowództwem Massèny, zaliczony, nie ma milszej igraszki nad dopędzanie konno szybko toczących się granatów, któremi Anglicy ostrzeliwali broniącą się do upadłego Genuę. Pogarda śmierci kształciła się w ustawicznych niebezpieczeństwach, życie staniało wobec ginących codziennie tysięcy, a tak było ono pełne i bujne, że piękna młodość śmiercią walecznych skrócona, starczyła za długie dni przeciągającego się w innych warunkach zawodu. Krzepkie to były pokolenia, do analizy nie skłonne, bo na to czasu nie stało, a grzmot dział nie pozwalał wsłuchiwać się w tętna własnego serca. Nie znając wczasu, ni wygód, żołnierze Napoleońscy rośli w siłę nietylko fizyczną, bo twarde życia warunki oblekały ich i w moc ducha niezwykłą, owoc karności i wyrzeczenia wojskowego rzemiosła.

Tytuł najlepszego może utworu prozą poety Alfreda de Vigny wciąż stawa w pamięci, gdy się czyta zapiski Marbota: *Grandeur et servitude militaire*, wielkość styka się wciąż z niewolą zawodu, doniosłość uczestnictwa w dziejowych wypadkach schodzi się z powsze-

dniością codziennego bólu i znużenia, lub głodu i chłodu. Tak już znamy na pamięć z pieśni i powieści, nietylko z roczników historyi, pamiętne dzieje Pierwszego Cesarstwa, iż nam Marbot więcej przyczynia kolorytu epoki, aniżeli nowych do niej szczegółów, chociaż i tych się raz po raz znajduje plon ciekawy, jak np. epizod z zajęcia Wiednia przed bitwą pod Wagram, gdy jadącego konno do Schoenbrunn Napoleona niesforny rumak zrzucił na gościniec tak gwałtownie, iż zrazu mniemano, że nie wstanie. Co jednak miało śmierci pozory, było tylko omdleniem, a zalecona tajemnica tak ściśle została ustrzeżoną, iż drżąca przed bohaterem Europa nie domyśliła się nawet, jak była blizką wyswobodzenia z zakusów nie zasypiającej nigdy ambicyi. Na innem miejscu usłyszeliśmy też po raz pierwszy, iż zmierzający wreszcie do rozniecania w sercach żądzy, sławy i chwały Napoleon, nosił się z myślą stworzenia orderu Trzech Run: burgundzkiego, hiszpańskiego i austryackiego, upokarzając przez to starożytną Złotego Runa instytucyę. Już statuta zostały wydane, kiedy wtem śluby cesarskie z arcyksiężniczką odwiodły go od targnięcia się na zabytek austryackiej korony. Do tej odznaki Trzech Run mieli być przypuszczeni ci tylko rycerze, którzy się sześciu bliznami, sześciu ranami pochlubić mogli. A Marbot ich miał trzynaście! to też tuszył sobie, iż go ta nagroda męstwa nie ominie, acz awans ciągłej doznawał zwłoki. Ślepe dla wodza uwielbienie nie dawało mu odczuwać słusznego przez to umartwienia i urazy. Wystarczało słowo zachęty, uśmiech lub spojrzenie Cesarza, aby rozniecać w sercach jego żołnierzy zapał szalony, aby starczyć za nagrodę życia, za myto krwi i opłatę sowitą ran odniesionych i trudów poniesionych.

Nie dobił się Marbot laski marszałkowskiej. W szesnastu latach służby, ¡ jakiej służby! zaledwie doszedł do rangi pułkownika, choć od Marengo do Waterloo, uczestniczył we wszystkich naczelnych bojach homerycznych tych zapasów. Prowadzi nas za sobą na różne pola chwały, nie bawiąc się w politykę, ani krytykę polityki cesarskiej, lecz opowiadając po prostu, co się działo pod Eylau, na co patrzał pod Moskwą, pod Lipskiem, malując własny udział w onych krwawych spotkaniach, własne czyny i wrażenia, własnej też waleczności cuda. Znalazło się miejsce i na wizerunki najprzedniejszych wodzów Napoleona. Co to były za czasy, w których syn balwierza jak Lannes, mydlarza jak Massèna, handlarza owocami jak Augereau, osobistem męstwem dochodzili do najpierwszych dostojeństw i zaszczytów. Wszystkie drogi były otwarte dla szlachetnych ambicyj, a jak słusznie przeszło w przysłowie, każdy żołnierz nosił w tornistrze bu-

ławę marszałka Francyi, tak nieprzewidziane losy kołysały przeznaczeniem pojedyńczych uczestników owych walk epicznych. Marbot z żołnierskim animuszem, złagodzonym wysoką cywilizacyą francuskiego szlachcica, kreśli osobiste wspomnienia i przygody, nie zapomina też wzmiankować, na jakim koniu tę lub ową kampanię odbył, i z rycerską dla swych rumaków czułością przypisuje im niemal część zasługi w dokonanych czynach waleczności, lub ocaleniu własnem. Głośna moskiewska wyprawa dopełniła się mnóstwem szczegółów, zwiększających jeszcze onej grozę. Zaiste, chciał Bóg upadku Dumnego, chciał zagłady Wielkiej Armii. Główna bowiem klęska nad Berezyną samowolnie została sprowadzona zwłoką w przejściu na drugą stronę rzeki. Po ustawieniu doraźnych mostów, przez całą dobę Francuzi bałamucili, ociągali się z przeprawą, aż doczekali nieprzyjaciela i pod jego strzałami porządna dotąd rejterada zamieniła się w popłoch i niebywałą katastrofę.

Oczywiście, wspominając owe czasy Marbot, musiał raz po raz i o Polskę potrącić i o Polakach mówić. Czyni to zawsze z przekąsem, z niechęcią i lekceważeniem, jak zresztą większość Francuzów z owej epoki, która do tyla spotęgowała nasze sympatye narodowe dla Francyi. Marbot powtarza utarte komunały o powszechnem wśród Polaków pijaństwie, o ich skłonności do rabowania i korzystania z nadających się ku temu sposobności. Wzajemne to oskarżenie, boć i u nas wojska francuskie nie inną zostawiły pamięć, a starsi ludzie utrwalili pośród nas wieści o grabieżach i łupieztwie wojsk Napoleońskich, o chciwości wodzów i bezkarności żołnierzy. Zaledwie Marbot raczy nam przyznać nie podawaną w wątpliwość waleczność; zresztą obdziera polskich sprzymierzeńców z wszelkich rycerskich przymiotów, posuwając swą czelność do twierdzenia, iż w pamiętnej rejteradzie udawali się za Kozaków, aby tem łacniej obdzierać szeregi, do których należeli. Oczywiście niepodobna zawierzyć podobnym szkalowaniom, odejmującym komentarzom żołnierza przynależną i pożądaną powagę i wiarogodność. W jednym tylko uczynionym nam zarzucie tkwić musiała pewna słuszność: Oto w powtarzającem się w pamiętnikach współczesnych świadectwie, iż mimo zapału dla osoby Cesarza, mimo zgotowanego szeregom francuskim powitania, ostatecznie bardzo leniwo powstawał kraj, bardzo miękkiego udzielał poparcia zamierzonemu czy nie zamierzonemu odbudowaniu Polski. W Litwie mianowicie nader słabo podawano rękę wyswobodzicielowi, własną obojętnością zamiary jego względem nas ostudzając.

Ale sprawozdanie nie kusi się o wyczerpanie treści, tem bardziej gdy jest ona tak obfitą — a dodajmy — i tak jędrną i użyteczną. Wielki mistrz wychowania za dni naszych, ks. Jan Koźmian, zalecał usilnie karmić młodych chłopców opisami uciążliwych podróży, niebezpiecznych wypraw, dalekich wędrówek, powtarzając, iż niema zdrowszej dla świeżych umysłów lektury nad odgłosy łamania się z trudnościami drogi i życia, nad echa z obcych, nieznanych krain, nad opisy innych ludzi, innych stosunków, innego nieba i przyrody. Podobną korzyść młodzież odnieść może z wertowania pamiętników Marbota, okrom nabytku historycznych wiadomości, spotykając się oko w oko z hartownym przykładem strawionego w obozach życia, patrząc na trudy i niedostatki, na rany i przykrości z dobrem znoszone sercem. A coraz i głębsza z tych zapisków wychyla się nauka. Jeśli fanatyczne dla osoby Cesarza uwielbienie budziło w duszach jego żołnierzy podobne zapały, taką gotowość do ofiar, takie zapamiętanie w poświęceniu, dlatego tylko, że on tego wymagał, on na to patrzał, on miał nagrodzić, narzuca się porównanie z leniwą i ospałą służbą ludzi wezwanych do podboju wieczności, pod znakami nie już ziemskiego wodza, lecz Stworzyciela i własnego Pana. Jeśli miłość i zapał dla człowieka za taką starczyła podnietę i do takich wiodła czynów, jakimżeby stokroć silniejszym bodźcem powinna być miłość Boga i ukochanie Jego rozkazów!

M.

Lebensblaetter. Erinnerungen aus der Schulwelt, von *Dr. L. Kellner*, Geh. Regierungs- und Schulrath a. D. Freiburg. Herder. 1891. (S. 588).

Kto chce się zapoznać z historyą szkoły ludowej w Prusiech w ostatnich kilkudziesięciu latach, a nie ma ani czasu, ani ochoty zagrzebać się w stosach ściśle fachowych dzieł i czasopism; a w dodatku i lęka się może, że w tym niekończącym się i nieprzejrzanym lesie drogę zagubi, zanudzi się na śmierć i co najgorsza niewiele czego się dowie; ten z niekłamaną radością powita świeżo wyszłe „Wspomnienia“ głośnego nie w samych tylko Niemczech pedagoga, d-ra Kellnera. Pod przejrzystą i przyjemną formą osobistych pamiętników przepływa przed umysłem czytającego ni mniej ni więcej, tylko cała historya szkoły w Prusiech w wieku bieżącym, przesuwają się sylwetki wszystkich znaczniejszych niemieckich pedagogów; zarysowują się jasno, zawsze zajmująco, wszystkie te tak różne prądy i fale, które w tym

czasie to regulowały, to znów groziły zniszczeniem i rozbiciem pruskiemu szkolnictwu.

Kellner nietylko jest pedagogiem, ale i chrześcijaninem wierzącym i rozumiejącym, jaki wpływ wiara na szkołę i w szkole wywierać powinna; nie dziw, że na każdej niemal kartce wraca ta najważniejsza ze wszystkich, najbardziej interesująca go kwestya. W szczególności uwydatnia się w „Pamiętnikach“ w najpiękniejszych barwach błoga, cicha a tak skuteczna działalność katolickiego kleru, katolickich zakonnic. Mają one poczucie swych obowiązków, mają serce, pisze nasz Autor, a serce odgrywa bądź co bądź w szkole znaczącą, przeważną rolę; zbyt często zapominamy, jaki wpływ wywiera usposobienie, życie, charakter nauczyciela — i dlatego może, że punkt ciężkości kładziemy na systematycznem objęciu przedmiotu, i mniejsza o to oschłym czy zaciekawiającym, byle dokładnym jego wykładzie, dlatego może właśnie szkoła nasza nie przynosi owoców, które skądinąd przynieśćby mogła. Podobnych głębszych uwag i spostrzeżeń, zaczerpniętych i popartych długoletniem doświadczeniem, mnogiemi faktami, nieraz ciekawemi anegdotami, w „Pamiętnikach“ nie brak. Jakże np. trafnie scharakteryzowany pedantyczny biurokratyzm profesorski: „wszechwładne rządy pióra i papieru“; z jaką słusznością i siłą potępiony coraz szerzej od r. 1848 rozpościerający się wpływ polityki na szkołę; jak pociągającemi farbami odmalowane powołanie nauczyciela, wzniosłość i piękność jego zadania. Czasami zapewne idealny nasz pedagog przedstawia sobie za idealnie szkolne stosunki; sam poetycznie nastrojony, wyżej myślą i sercem sięgający, dziwi się, że nie każdy wiejski nauczyciel chce i umie za nim na te wyżyny podążyć; stawia żądania, nie dające się w praktyce życia, chyba wyjątkowo, urzeczywistnić. Idealne marzenia to raczej, niż żądania; ale i one nowe a zawsze piękne światło rzucają na postać niezmordowanego pedagoga, opromieniają pewnym poetycznym blaskiem długoletnią jego, zmudną pracę. Słowem, wdzięczna to i pożyteczna książka dla każdego, kto kwestyą szkolną się zajmuje; podnosząca i nader ważna dla tych zwłaszcza, którzy wespół z Kellnerem poświęcili swe życie nietylko uczeniu, lecz i wychowywaniu młodzieży.

J.

Z pism czasowych.

Crvena Hrvatska u Dubrovniku 1891. Godina I.

Do wybitniejszych miast południowej Słowiańszczyzny należy pomiędzy innemi Dalmacki Dubrownik (Raguza). Starożytny ten gród stanowił w przeciągu kilku wieków niepodległą słowiańską rzeczpospolitę, a zarazem jedno z główniejszych ognisk ówczesnego chorwackiego piśmiennictwa. Imiona Gundulića, Palmotića, Nalješkovića, Bagliviego i wielu innych poetów lub uczonych urodzonych w jego murach, a wykształconych po większej części w znakomitem naówczas kolegium dubrownickiem OO. Jezuitów, opromieniają to miasto jakby nieśmiertelną aureolą. Później niestety, od początku XVIII. wieku, Dubrownik skutkiem rozmaitych wewnętrznych i zewnętrznych okoliczności zubożał materyalnie, a wraz z upadkiem handlu i dobrobytu mieszkańców nastąpił w tych „słowiańskich Atenach" zastój w umysłowej działalności. Dzisiaj dalmacki ruch piśmienniczy ogniskuje się przeważnie w Splecie i Zadarze, chociaż dotąd mniej stosunkowo jest ożywionym, niż w innych słowiańskich dzielnicach. Co do Dubrowniku, to w najnowszych dopiero czasach zaczął się on budzić znowu do pracy na literackim zagonie, jednym zaś z objawów tego ocknienia się z dwuwiekowego niemal letargu, jest rozpoczęte w roku ubiegłym wydawnictwo pierwszego w tem mieście czasopisma, którego tytuł wymieniliśmy powyżej.

Myliłby się, ktoby sądził, że nazwa *Crvena Hrvatska* (Czerwona Chorwacya) ma oznaczać jakiś skrajny, radykalny kierunek. Jest to miano ściśle historyczne, całą bowiem przestrzeń starożytnej Illyryi od rzek Kerki do Bojany, nazywali dawniej historycy Czerwoną Chorwacyą. Sztandar, jaki wywiesiło dubrownickie czasopismo, to nie jaskrawa, purpurowa flaga kosmopolitycznego rewolucyonisty, ale dwukolorowa chorągiew Chorwacyi; ci zaś co za nim kroczą, to nie burzyciele społecznego porządku, ale mężowie głęboko-religijni i gorący miłośnicy ojczyzny.

Głównem zadaniem, wytkniętem przez *Crvenę Hrvatskę*, jest zadzierzgnięcie jak najściślejszego węzła braterstwa pomiędzy Chorwatami osiadłymi tak w Chorwacyi właściwej, jak też w Dalmacyi, Bośni i Hercegowinie. Obok niego, przebija się też dążność do zneutralizowania wpływu tak nieprzyjaznego, rozkładowego czynnika, jakiego rolę wobec Chorwatów odgrywają Serbowie.

Tendencya powyższa odzwierciedla się przedewszystkiem w artykule pod tytułem: *Dubrovčani jesu li Hrvati?* (Czy Dubrowniczanie są Chorwatami?) Wymierzonym on jest przeciw dość licznemu stosunkowo gronu dubrownickiej młodzieży, które uległszy wpływowi serbskich szowinistów, zaczęło się zapierać chorwackiego swego pochodzenia i uważać rodzinne miasto za stary gród serbski. Autor obala twierdzenia przeciwników dowodami zaczerpniętemi z historyi, jak również z miejscowego piśmiennictwa, przytaczając zarazem całe wyjątki ze starych dubrownickich pisarzy, którzy wszyscy jednogłośnie za Chorwatów się uznawali. Ponieważ oponenci utrzymują, że Dubrownik zawdzięczał rozkwit swej literatury spokojowi i bezpieczeństwu, jakie mu zapewniła opieka monarchów serbskich, autor więc wykazuje czarno na białem, iż okres powstania dubrownickiego piśmiennictwa sięga dopiero drugiej połowy XV. wieku, gdy już Serbia po bitwie na Kosowem polu pod muzułmańskiem jęczała jarzmem. Do zenitu zaś swej świetności doszła literatura w słowiańskich Atenach dopiero w XVI. i na początku XVII. wieku pod opieką węgierskich królów. Następnie odpiera sofizmata serbskie, dotyczące najznakomitszego dubrownickiego poety Gundulicza, którego Serbowie przywłaszczają sobie na tej podstawie, iż w poemacie jego „Osman“ mieszczą się epizody z serbskich wyjęte dziejów. „W takim razie — odzywa się autor — Polacy mieliby daleko większe prawo poczytywać Gundulicza za swego poetę, ponieważ bohaterem tej epopei jest król ich Władysław Warneńczyk“. Wogóle wykazanie chorwackiego pochodzenia Dubrowniku i jego mieszkańców, niewiele autorowi przedstawiało trudności, ponieważ zarzuty przeciwników tak są bezzasadne, że same przez się upaść muszą. Jedną z głównych tego przyczyn jest fakt, że ani dawniej, ani też dzisiaj Dubrownik nie mieści wcale w swych murach wyznawców grecko-wschodniego obrządku, tamtejszym więc pseudo-Serbom braknie idei serbskiego prawosławia, z poza której, jak z poza płotu, lubią strzelać do swych przeciwników, nie zrażając się tem, że ich pociski nigdy nie dosięgają celu.

Wogóle, jak to widać z każdego numeru, a nawet każdego niemal wiersza *Crvenej Hrvatskej*, antagonizm pomiędzy Chorwatami a Serbami opiera się wyłącznie na *religijnym gruncie*. Gdyby nie różnica wyznania, jak również gdyby nie właściwy Serbom szowinizm, wówczas pomiędzy temi dwoma plemionami, tak blizko spokrewnionemi ze sobą pod względem pochodzenia i języka, wzorowa panowałaby zgoda. Wina nieporozumienia coraz bardziej się roznamiętniającego, leży po

stronie Serbów. Chorwaci, chociaż dalecy od wszelkich kompromisów z sumieniem, gotowi są jednak podać im dłoń bratnią, na podstawie wzajemnej religijnej tolerancyi. Niejednokrotnie nawet *Crvena Hrvatska* zachęca do zgody swych braci z nad Drawy, przedstawiając im dwie możliwe alternatywy, że gdzie dwóch walczy, tam albo jeden zwycięża a drugi ginie, co jest smutnem, albo też znajdzie się trzeci, obcy rozjemca, który sam tylko z walki odniesie korzyść, co jest jeszcze smutniejszem. Przeciwnie Serbowie zlewają tak ściśle narodowość swą z religią, że nawet tę ostatnią nazywają serbsko-prawosławną wiarą, jak gdyby zasady jej różniły się od religijnych zasad, wyznawanych przez prawosławnych Rosyan i Bułgarów. Względem Słowian innego wyznania okazują oni pogardę i lekceważenie, i stawiają ich niemal na równi z poganami, wychodząc z tej zasady, że *nema krsta bez tri prsta*[1]. Charakterystyczną jest nazwa *hrišćani*, przysługująca w Dalmacyi tylko prawosławnym Serbom, którzy uważając się za jedynych prawdziwych chrześcijan, zowią katolików *latynami*. Nic też dziwnego, że wobec takich stosunków w dziennikach serbskich można napotkać dość często wyrazy ubolewania nad Chorwatami, „tymi zbłąkanymi braćmi, których z łona wielkiej prawosławnej Serbii wydarły intrygi Rzymu i katolickiego duchowieństwa".

A *propos* duchowieństwa znajdujemy w *Crvenej Hrvatskej* bardzo piękny artykuł, malujący prześlicznie stosunek patryotów chorwackich do miejscowego kleru, a noszący tytuł: *Naše svećeństvo napram hrvatskoj stranci* (Nasze duchowieństwo wobec chorwackiego stronnictwa). Autor zaznacza w nim nieocenione zasługi chorwackiego kleru względem narodowej sprawy, twierdząc, że bez jego gorliwej pomocy naród chorwacki nie zdołałby się nigdy wyzwolić z pod obcego wpływu i o własnych stanąć siłach. „Nietylko towarzyszy duchowieństwo każdej zgoła jednostce chrześcijańskiej od urodzenia aż do grobu, mówi, ale także życiu każdego narodu od pierwszej do ostatniej jego chwili. Żyjąc w narodzie i dla niego, z nim też razem walczy, cierpi i ginie. Co się Dalmacyi tyczy — ciągnie dalej — to bez przesady powiedzieć możemy, że większa część zasług na narodowem polu przypada na kapłanów, którzy nietylko w sercach ludu budzą miłość ojczyzny, ale też w ciągłej z nim pozostając styczności, pielęgnują i utrzymują to, co już posianem zostało. Stronnictwo chorwackie w Dalmacyi przy-

[1] „Niema krzyża bez trzech palców" (tak je bowiem prawosławni składają gdy robią znak krzyża).

znaje wogóle ogromne znaczenie działalności kapłanów, szanując zarówno tak ich samych, jak też ich powołanie. Niepodobna jednak zaprzeczyć, że tu i ówdzie znajdują się tacy, którzy twierdzą, że stronnictwo narodowe powinno się oswobodzić z pod wpływu duchowieństwa, może bowiem bez jego współdziałania rozwijać się i czynić postępy. Fałszywa to zasada i nieszczęsny prąd! Dopóki będzie istniał chrystyanizm, dopóty będą i kapłani. Jak więc bardzo mylą się ci, co głoszą światu, że społeczeństwo ludzkie w dalekiej, nieokreślonej przyszłości, będzie mogło wyrzec się chrystyanizmu, tak też zgubnie działają tacy, którzy się starają odebrać kapłanowi wpływ na masy i udział w losach narodu... Postawmy się w położeniu duchowieństwa, a zobaczymy, jak wielką wyrządza mu się krzywdę, uważając je za odrębne stronnictwo, za pewnego rodzaju kastę, która zamiast pracować dla dobra całego narodu, walczy w obronie własnych interesów. Duchowieństwo, przedewszystkiem katolickie, nie stanowi wyłącznej kasty, główną bowiem cechą tej ostatniej jest dziedziczne przechodzenie z ojca na syna, gdy tymczasem każdy kapłan jest synem narodu, który go wydał z własnego łona jako obrońcę i strażnika wiary, ogrzewającej od wieków jego serce... W naszym narodzie — dodaje — nie utrzyma się ani liberalizm, ani klerykalizm. To co u nas istnieje, jest prawdziwym katolicyzmem. Klerykalizm i liberalizm są to wyrazy wynalezione przez nieprzyjaciół wiary, a tem zgubniejsze, że niweczą węzeł pomiędzy kapłanem a wiernymi". Wreszcie artykuł swój kończy autor odezwą do narodowego stronnictwa, mówiąc, że jeżeli chce przynieść prawdziwy pożytek ojczyźnie, powinno isć w tej mierze ręka w rękę z duchowieństwem i ukochać całem sercem to wszystko, co jest świętem dla Chorwata, a przedewszystkiem wiarę praojców. „W takim bowiem tylko razie — dodaje — duchowieństwo może nam ofiarować swą pomoc, jeżeli z góry będzie przekonanem, że działalność jego w tym kierunku nie przyniesie uszczerbku interesom Kościoła".

Oto *credo Crvenej Hrvatskej*, dające wybornie poznać, jakim duchem tchnie to czasopismo i pragnie natchnąć swoich czytelników. Dlatego też wszystkie religijne obchody w Dalmacyi znajdują w rubryce jego: *Domaće vijesti* (Wiadomości krajowe) sympatyczny odgłos i naczelne miejsce.

Praca pod tytułem: *Nješto o slobodnom zidarstvu* (Parę słów o wolnomularstwie), podaje trafną choć krótką charakterystykę masońskich stowarzyszeń. „Masonia — twierdzi — jest niczem więcej, jak bezwyznaniowo-politycznem stowarzyszeniem, którego celem jest zniweczyć

chrystyanizm, a wprowadzić kult szatana, czy to pod godłem rogatego Bahometa, czy też pod symbolem przewróconego trójkąta ze sławną literą *G* pośrodku. Dąży ono do rozpowszechnienia najwstrętniejszego komunizmu zapomocą jakichbądź środków, kradzieży, oszustwa, morderstwa, demoralizacyi młodzieży płci obojej, słowem najokropniejszemi występkami, jakie sobie człowiek wyobrazić może". Potem, dawszy poznać w kilku słowach charakter wolnomularskich obrzędów, opisuje rozpowszechnienie się masonii we Włoszech i innych krajach Europy. Chociaż w Austryi masonia jest wzbronioną, na Węgrzech jednak cieszy się zupełną swobodą, rozpościerając się skrycie i do innych dzielnic monarchii, a nawet w Wiedniu, zdaniem autora, utrzymuje kilka humanitarnych stowarzyszeń, nie noszących na sobie politycznego charakteru, ale pozostających w ścisłym choć potajemnym związku z węgierskiemi lożami.

„W Peszcie — czytamy tam dalej — istnieje wielka symboliczna loża, która stanowi punkt ciążenia dla wszystkich węgierskich masonów. Do roku 1887 naczelną w niej władzę piastował wielki komandor Jerzy Jowanowicz, któremu dopomagało 20 masońskich dygnitarzy. Teraz Wielkim mistrzem jest Franciszek Pulcsky, dyrektor narodowego węgierskiego Muzeum, otoczony gronem 13 pomocników. Śmiało też twierdzić można, że wielu ludzi stojących na Węgrzech u steru władzy, lub zajmujących wysokie cywilne albo wojskowe stanowiska, należy do członków tego tajnego sprzysiężenia. Nic też dziwnego, że biedna nasza Chorwacya musi niepomału się obawiać takiego sąsiedztwa. Prześladowanie katolickich nauczycieli, a popieranie tych, co głoszą jawnie antychrześcijańskie zasady, zniewagi wyrządzane wielkiemu naszemu Biskupowi (Strossmajerowi), oraz obelgi miotane nań przez węgierskie i niemieckie dzienniki, wszystko to są oznaki, iż masonia w jakikolwiek sposób stara się przedrzeć do Chorwacyi. *Nu mi držimo* — woła na zakończenie — *da će u Hrvatskoj susresti stari antemurale christianitatis, i da laskanja i licumjerna obećanja obožavatelja sotone neće naći odziva u zdravome umu i nepokvarenome srcu hrvatskog naroda*" [1]. Rękojmię tę daje autorowi przedewszystkiem znaczna ilość dobrych, poczciwych książek, wychodzących corocznie w jego ojczyźnie, a dzięki

[1] „Przekonani jednak jesteśmy, że napotka w Chorwacyi dawne przedmurze chrześcijaństwa, oraz że pochlebstwa i obłudne obietnice czcicieli szatana nie znajdą echa w zdrowym umyśle i nieskalanem sercu chorwackiego narodu".

którym ani masonia, ani też żadne inne niezdrowe prądy nie znajdą tam dla siebie właściwego gruntu i zakorzenić się nie zdołają.

Taki sam niemal nastrój, pomimo odrębnej treści, cechuje dość obszerny artykuł pod tytułem: *Savjeti Ženi* (Rady dla kobiet). Jest to treściwe zestawienie obowiązków żony i matki. Najpiękniejsze w niem ustępy dotyczą sposobu, w jaki matka ma wpoić dziecięciu miłość i cześć dla Stwórcy, oraz jak ma czuwać, aby do młodocianego serca żadne zgubne i przewrotne nie zakradło się ziarno. Zresztą praca ta jest bardziej kompilacyjną niż oryginalną, autor bowiem opiera się przeważnie na cytatach wyjętych z dzieł pisarzy włoskich i francuskich. Widać też, że język i literatura włoska najlepiej muszą mu być znane, bo nawet wyjątki z Miltona we włoskim przytacza przekładzie.

Bardzo też zajmującym wśród artykułów poważniejszej treści jest opis dalmackiej wysepki Lopud. Na wyspie tej uwagę turysty zwraca przedewszystkiem kościołek z prześlicznym ołtarzem, który zawiera nader cenną rzeźbę, przedstawiającą Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny. Podług miejscowego podania, ołtarz ten pochodzi z westminsterskiej kaplicy, skąd po odstępstwie Henryka VIII. został wyrzuconym. Ponieważ wówczas mnóstwo katolickich świątyń uległo zniszczeniu, ołtarze zaś, obrazy i inne ozdoby kościelne sprzedawano za bezcen, Chorwaci więc utrzymują, że jeden z zamożniejszych obywateli Lopudu, Miho Pracati, zwiedzając Anglię, nabył ten ołtarz, aby nim obdarzyć świątynię na rodzinnej wyspie.

Wreszcie wymienić możemy wcale ładną pracę pod tytułem: *Izlet u Zagreb* (Wycieczka do Zagrzebia). Są to reminiscencye wrażeń z podróży do stolicy Chorwacyi podczas zeszłorocznej wystawy. Niema tam wprawdzie szczegółów, posiadających poważną wartość naukową, styl jednak piękny i barwny sprawia, iż artykulik ten z przyjemnością daje się odczytać.

Nadto znajdujemy w *Crvenej Hrvatskej* kilka ładnych nowelek, skreślonych przez p. Nurego na tle bośniackiego i tureckiego życia, jak również parę utworów poetycznych, z których najpiękniejszym jest hymn Harambašića na cześć Apostołów Słowiańszczyzny śś. Metodego i Cyryla, noszący na sobie piętno wyższego, prawdziwie religijnego natchnienia.

Nader ciekawy dział stanowią korespondencye, przesyłane temu czasopismu z rozmaitych zakątków Dalmacyi, jak również z Bośni i Hercegowiny. Te ostatnie szczególniej zawierają mnóstwo rysów, odzwierciedlających wybornie miejscowe stosunki. Widać z nich, że lu-

ludność Bośni i Hercegowiny dzieli się obecnie na stronnictwo serbskie, złożone z prawosławnych, oraz chorwackie, rekrutujące się z katolików i mahometan. Muzułmanie bośniaccy, zniechęceni nietaktownem i obłudnem postępowaniem prawosławnych Serbów, przechylają się coraz bardziej na stronę katolików Chorwatów i posyłają chętnie swe dzieci do szkół katolickich. W ostatnich jednak czasach utworzyło się tam trzecie stronnictwo bośniackie, którego koryfeuszem jest czasopismo mahometańskie *Bośniak*. *Crvena Hrvatska* odmawia temu stronnictwu wszelkiej racyi bytu, twierdząc, że chociaż Bośnia stanowiła niegdyś odrębną polityczną całość, teraz jednak byłoby wcale nie na dobie rozdrabniać się na coraz mniejsze słowiańskie plemiona, zamiast się skupiać i łączyć ze sobą. Ciekawym wielce jest obraz rozmaitych intryg rozsiewanych w Bośni przez Serbów, a których głównemi narzędziami są prawosławni popi. Tak naprzykład korespondent z Trebini donosi, że gdy pewnego razu miejscowi Chorwaci urządzili sobie majówkę i zaczęli śpiewać narodowe pieśni, napadli na nich uzbrojeni Serbowie i omal do krwawej nie doszło walki. Podżegaczem do nieprzyjacielskich kroków względem katolików, był pop miejscowy. Inny znowu korespondent bośniacki przesyła streszczenie jednego z kazań, wygłoszonego przez tamtejszego popa w duchu serbskiej propagandy. „Czy zauważyliście bracia mili — odezwał się prawosławny mowca — że wyrazy Bóg i Srb składają się z jednakowej ilości głosek? Jest to, jak widzicie, wyraźnym dowodem wartości naszej serbskiej prawosławnej wiary, z łona której bracia nasi Chorwaci, dzięki intrygom Austryi i poduszczeniom Rzymu, oderwanymi zostali“. We wszystkich także szkółkach prawosławnych w Bośni, nauczyciele z zasady wpajają w uczniów przekonanie, że kraj ten wraz z Hercegowiną wydarty został podstępnie Serbii przez dygnitarzy austryackich, ulegających ślepo namowom „czarnego katolickiego duchowieństwa“. Dzięki też różnorodnym agitacyom, mającym w Serbii swe źródło, od chwili okupacyi austryackiej przeszło 100.000 Bośniaków opuściło kraj ojczysty, aby w Serbii, Turcyi, lub na wybrzeżach Małej Azyi szukać chleba i schronienia. Emigracya ta, jak łatwo się domyśleć, nie dała im nic, a pozbawiła wszystkiego.

Podług *Crvenej Hrvatskej*, twórcą serbskiego szowinizmu był Wuk Karadzicz, on bowiem pierwszy postawił niezbyt miłą dla innych południowych Słowian zasadę: *Srbi svi i svuda* (Serbowie wszyscy i wszędzie). Zasady tej, na którą ani Bułgarowie, ani Chorwaci nie myślą się zgodzić, trzymają się ściśle Serbowie bośniaccy i dalmaccy, dopusz-

czając się najrozmaitszych nadużyć względem katolickiej ludności i narzucając nauczycieli prawosławnych nawet szkołom, w których dzieci katolickie stanowią liczebną większość. Rzecz dziwna, że katolicy w tej mierze tak słaby stawiają opór, oraz, że władze miejscowe przez palce na to spoglądają. Nieraz wreszcie *Crvena Hrvatska* kruszy kopie z różnorodnemi serbskiemi dziennikami, propagującemi ideę wszechwładztwa serbsko-prawosławnego narodu nad całą południową Słowiańszczyzną, które daleko nawet rozleglejsze zakreśla sobie obszary niż dawne mocarstwo Duszana.

Dla nas Polaków *Crvena Hrvatska* nie wielką okazuje sympatyę, a nawet ostremi słowy piętnuje odosobnienie się Koła polskiego w Wiedniu od innych pobratymczych Słowian, ze szkodą dla tych ostatnich. Mówiąc dalej o Poznańczykach, odzywa się ten tygodnik, że wielu Polaków zapomniało już widać o krzywdach doznanych w Wielkopolsce i gotowi są stać się narzędziem germańskiego kulturkampfu. Zbyt to są może surowe i niezasłużone słowa, lecz czyż i my nie tak samo postępujemy względem Chorwatów, oskarżając ich niesłusznie o ciążenie ku Rosyi? Zarzut ten tymczasem bynajmniej nie daje się usprawiedliwić, jak o tem przekonywa sam nawet kierunek powyższego czasopisma, jednego z wybitniejszych organów prasy chorwackiej, któremu bądź co bądź szlachetnej, głęboko religijnej i patryotycznej tendencyi odmówić niepodobna.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Telegram kardynała Rampolli do kongresu katolików francuskich. — Rozwiązanie „Związku Francyi chrześcijańskiej". — Dodatnie następstwa akcyi papieskiej. — Kościelne walki we Węgrzech. — Wypadki w Ugandzie. — Interpelacye w Paryżu i Londynie. — List Prezesa rzeczypospolitej Liberya do Papieża.

TELEGRAM KARD. RAMPOLLI. Po encyklice z 16 lutego nie można było na seryo wątpić, czego Papież właściwie od katolików francuskich się domaga; po wyjaśniającym encyklikę liście do kardynałów francuskich, przestali o tem wątpić, a raczej może udawać że dotąd wątpili, i ci, którzy przez czas pewien próbowali różnemi dyplomatycznemi fortelami i frazesami akcyę papieską powstrzymać, w biegu ją zwolnić. Jak tu było wątpić, jak w fortele się bawić, kiedy każdy taki fortel ściągał tylko nową, a pewną klęskę: nową, jaśniejszą jeszcze, jeśli możliwa, i silniejszą odpowiedź papieską? Dalszym, przesądzać niepodobna, czy ostatnim etapem w tej kampanii, jest telegram przesłany przez kardynała Rampollę do obradującego w Paryżu kongresu katolików francuskich; telegram w krótkich zawarty słowach, ale właśnie dlatego o tyle znów kategoryczniejszy, wyraźniejszy, o ile list do kardynałów brzmiał wyraźniej i kategoryczniej od poprzedzającej go encykliki.

Ojciec święty — telegrafował Sekretarz stanu — przyjął z zadowoleniem zapewnienia bezwzględnej wierności katolików francuskich ściśle złączonych dla obrony wolności religii, a ufając silnie, że trzymać się będą w tym celu drogi wytkniętej w ostatnich jego pasterskich pismach i staną na gruncie konstytucyjnym, przesyła im z ojcowską miłością apostolskie swe błogosławieństwo.

ROZWIĄZANIE „ZWIĄZKU FRANCYI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ".

Bezpośredniem następstwem tego telegramu było rozwiązanie się „Związku Francyi chrześcijańskiej", założonego i opartego na podstawach monarchistycznych; tudzież zawieszenie paru gazet legitymistyczno-katolickich. Organ hr. Paryża: *la Correspondance nationale*, tłumaczy rozwiązanie „Związku" położeniem bez wyjścia, w którem znaleźli się jego założyciele i członkowie, nie mogący w inny sposób pogodzić osobistych swych przekonań z czcią dla rad pochodzących od Stolicy św. „Słowa te, odpowiada *le Temps* na tę notę, oznaczają wespół z aktem zejścia ‚Związku Francyi chrześcijańskiej' kres dwudziestoletniej epoki, w czasie której monarchiści wszelkie poruszyli sprężyny, aby w nierozerwalnej syntezie połączyć sprawę monarchii ze sprawą wiary, tron z ołtarzem. Dnia 24 maja, 16 maja, we wszystkich wyborach stawali zawsze przed krajem pod tą podwójną chorągwią. Polityka prowadzona przez Watykan z taką siłą i wytrwałością dążyła do przełamania tej syntezy, do uwolnienia Kościoła od trupa, do którego dał się przywiązać. Monarchiści zrozumieli, czem grozi im ten rozwód i nie zaniechali żadnego środka, aby mu zapobiedz, i rozwinęli cudowną prawdziwie znajomość dyplomacyi, strategii, dyalektyki, a ostatecznie i kazuistyki... Nic nie pomogło... Nagłym zatem zwrotem zmienili dotychczasową taktykę: o ile dawniej uciekali się do podstępów, starali się nie zrozumieć, wytłumaczyć na swą korzyść papieskie dokumenty; o tyle teraz całym pękiem promieni oświetlają silne swe postanowienie nieustąpienia Rzymowi; wczoraj jeszcze stronnictwo monarchistyczne uważało się za jedynie autentycznych obrońców religii; dziś — jak sama przecież *la Correspondance nationale* światu ogłasza — jest tylko partyą ‚polityczną'"...

DODATNIE NASTĘPSTWA AKCYI PAPIESKIEJ.

Innem, pod każdym względem dodatniem następstwem akcyi papieskiej, jest szczere stanięcie kilku najwybitniejszych katolików na konstytucyjnym gruncie. Dwie zwłaszcza mowy wypowiedziane w tym kierunku: hr. de Mun na zgromadzeniu młodzieży katolickiej w Lille, i Biskupa z Verdun przy przedstawieniu duchowieństwa swej dyecezyi Prezydentowi Rzeczypospolitej, zwracają na siebie powszechną a słuszną uwagę. Biskup z Verdun wyraził w jędrnych, z pewną żołnierską otwartością wypowiedzianych słowach, zupełne, szczere, lojalne uznanie formy rządu, którą Francya sama sobie nadała; zaręczył, że w chwili niebezpieczeństwa biskupi i kapłani staną obok żołnierzy i nie dadzą się im prześcignąć w odważnem spełnieniu swych obowiązków; natomiast zażądał tylko wrócenia katolikom „niezbędnej wolności". Hrabia de Mun nakreślił kilku śmiałemi rysami dzisiejszy stosunek Kościoła do demokracyi, w szczególności do kwestyi socyalnej, a następnie scharakteryzował akcyę papieską we Francyi, jako naturalny wniosek z zasad postawionych w poprzednich encyklikach i mowach „socyalnych":

Papież podał robotnikom rękę, tę samą rękę, którą stare przesądy usiłowały przedstawić, jako zawsze gotową do potępienia błędów warstw pracujących. Teraz dzieła swego dokończył, zalecajac katolikom francuskim zgodzić się szczerze i lojalnie na wybraną przez demokracyę formę polityczną. Ostatni ten akt papieskiej potęgi wywołał głębokie wzruszenie; a wzruszenie to trwa po dziś dzień. Nie daj Boże, abym miał się w czemkolwiek przyczynić do spotęgowania go. Rozumiem i czuję, ile cierpieć muszą wszyscy ci, którzy nie uważają dotąd za swój obowiązek zdobyć się na krok, na jaki ja sam już się zdobyłem. Rozumiem — jeśli użyć mi tu wolno wyrażenia p. Melchiora de Vogüé, — jak ciężko to rozstrzygnąć spór toczący się między jedną połową duszy, pozostającą jeszcze w przeszłości, a drugą, pociągniętą już ku snom przyszłości. Co się mnie tyczy, jestem żołnierzem w wojsku katolickiem, i jak to w Grenobli wypowiedziałem, dłużej wahać się nie myślę: wierny nauce papieskiej, staję i działać będę na gruncie konstytucyjnym. Więcej nic dodać nie potrzebuję; chyba słów parę, jak pojmuję tę nową politykę. Pojmuję ją, jako przymierze Kościoła z demokracyą. Wyobrażam sobie, jakoby watykański Starzec,

podtrzymywany siłą, energią duszy, zwracał się do ludu i mówił mu: Chciano cię ode mnie odłączyć; utrzymywano, że Kościół leży w łańcuchach przestarzałych form ekonomicznych i społecznych; powiedziałem ci już, że to fałsz. Dziś mówią ci: Kościół przykuty jest do dawnych form politycznych; powiadam ci obecnie: i to fałsz. Kościół zgodzić się może na wszystkie formy rządu. Na jedno tylko zgodzić się nie może, przeciw jednemu protestuje — a mianowicie, gdy kto rozdzielić chce Kościół Chrystusowy od ludu przezeń do wiary zrodzonego.

KOŚCIELNE WALKI WE WĘGRZECH.

Niełatwo — z niejednego punktu widzenia trudniej niż we Francyi — rozeznać się w chaosie wytworzonym świeżo i wciąż wytwarzanym i potęgowanym w węgierskich społeczno-kościelnych stosunkach. W nastrojonym ciągle na swarliwą, zawadyacką jakąś nutę, w ustawicznie kłócącym a nieraz i bijącym się parlamencie peszteńskim, sprawy kościelne zejść nie mogą z porządku dziennego. Minister Csaky wyznać musiał publicznie w klubie stronnictwa rządowego, że zbyt głośne i nieraz już na tem miejscu omawiane rozporządzenie w kwestyi przymusowego wydawania metryk, zrobiło kompletne *fiasco* i napotkało na trudny do przezwyciężenia opór duchowieństwa; ale wyznanie to nie przeszkodziło bynajmniej ani żadnemu coraz nowych reform Ministrowi wyznań, ani jego kolegom do dalszego kroczenia na raz przedsięwziętej drodze, do coraz nowych, coraz hazardowniejszych eksperymentów. Rząd węgierski radby z jednej strony skonfiskować wszystkie dawne przywileje katolickiego Kościoła; z drugiej strony nie rad i nie myśli wypuścić z ręki przywilejów, od Kościoła otrzymanych. Wygodny to zapewne system; inne pytanie — i nie dziw, że pytanie to głośnem echem po całych Węgrzech się rozlega — czy logiczny, czy uczciwy? „Jeżeli Żydzi — mówił słusznie członek skrajnej lewicy, Juliusz Györffy — sami się rządzą, to nie rozumiem, dlaczego katolicy nie mogliby się doczekać równouprawnienia z Żydami; dlaczego i jakiem prawem rząd mieszać się ma w kwestyę, w jakiej religii ojciec lub matka katoliczka chcą swe dziecko wychować?“ ... „Ciekawa rzecz — zauważył znowu profesor Juliusz Saghy — że prawo dozwala katolickim rodzicom

wychować swe dziecko np. w luteranizmie, lub kalwinizmie; a lutowe rozporządzenie Csaky'ego zakazuje katolickiemu ojcu wychować córkę po katolicku, dlatego, że matka jest kalwinką. Dopiero zatem, jeśli ojciec, chcąc koniecznie mieć córkę katoliczkę, sam kalwinem zostanie, wolno mu będzie sobie postąpić, jak sumienie mu nakazuje, wolno mu będzie córkę wychować w katolickiej religii?"... Zdawałoby się, że to dość przekonywające racye; na razie nie racye te, ale silne i wytrwałe stanowisko całego węgierskiego kleru tyle tylko zdołały dokazać, że rząd zapowiedział zaprowadzenie cywilnych, nie przez proboszczów prowadzonych metryk dla dzieci z małżeństw mieszanych. W zasadzie nic się nie zmienia; w praktyce zniknie jeden z najgłówniejszych powodów do ciągłych zatargów duchowieństwa z rządem; do rosnącego rozjątrzenia wśród katolickiej ludności; do procesów i kar, które dzięki lutowemu dekretowi gęstym deszczem spadały na węgierskich księży.

Csaky, broniąc w parlamencie zajętego przez siebie stanowiska, rzucał raz po raz mile dla liberalno-żydowskiej większości brzmiące i mające na celu ugłaskać i zjednać ją sobie frazesy o małżeństwie cywilnem, religijnej wolności i t. d. Opozycya, która dotąd szermierzyła temi frazesami i pochlebiała sobie, że posiada na nią wyłączny przywilej, przelękła się, i byle się nie dać rządowi ubiedz, nie stracić popłatnej aureoli obrońców prawdziwie liberalnych zasad, a tem samem nie stracić prawa do bytu, musiała się rada nie rada, posunąć znowu parę kroków naprzód. Apponyi i Iranyi — wrzekomo umiarkowana i z nazwy jak z istoty swej skrajna opozycya — podali sobie ręce i zażądali wprost ogłoszenia zupełnej religijnej wolności, zaprowadzenia *mutatis mutandis* stosunków, jakie panują w Ameryce. Zdawało się, że opozycya górą, że rząd podążyć za nią dość szybko nie zdoła; gdy wtem — w ciekawych tych wyścigach — powstał Csaky, i wśród ogólnego, łatwo zrozumiałego naprężenia, oświadczył: Ministeryum zgadza się w zasadzie na postawione wnioski i przedstawi w właściwym czasie odpowiednie w duchu wnioskodawców opracowane projekty. Być może, i nadzieję mieć należy, że ostatecznie cała ta kampania wyjdzie tylko na pożytek dla katoli-

cyzmu we Węgrzech; że Kościół, jak gdzieindziej, tak i tutaj otrząsnąwszy się z kajdan, mniejsza o to z jakiego kruszcu ulanych, odetchnie swobodniej i szerszy i głębszy będzie mógł wpływ rozwinąć; w każdym razie, ciekawą jest rzeczą, z jak lekkiem sercem, parlamentarnemi względami, interesami stronnictwa na pierwszem miejscu się kierując, przystępują Węgrzy do reform tak głęboko sięgających, przemieniających dawne Węgry św. Szczepana jakby w innego rodzaju państwo, a o których w dodatku, jak z przebiegu rozpraw, ze wszystkich mów aż do zbytku jest jasnem, sami wyobrażenia nie mają, jak wypadną i co ze sobą przyniosą.

WYPADKI W UGANDZIE. Zasłona, zakrywająca dotąd barbarzyńską rzeź katolików w Ugandzie, urządzoną i przeprowadzoną pod protekcyą angielskich protestantów, podniosła się już dzięki sprawozdaniom i listom katolickich misyonarzów, i odsłoniła widok tak wstrętny, tak oburzający, że wierzyćby mu się nie chciało, gdyby opowiadania najwiarogodniejszych, naocznych świadków do wiary nie zmuszały. Biskup Hirth w bardzo obszernem sprawozdaniu, przesłanem biskupowi Livinhac pod datą 10 lutego b. r., zdaje dokładną, szczegółową sprawę ze „strasznego tego dramatu“, jak się sam wyraża, „smutnego dzieła protestantów“, którym przyszli w pomoc ajenci angielskiej Kompanii. „Tam, gdzie dopiero co kwitnęło katolickie królestwo Mwangi, dziś wznosi się tryumfujący półksiężyc, a tryumf swój zawdzięcza Anglikom... Nasi katolicy rozproszeni, wielu z naczelników zamordowanych, a jeśli wierzyć zaręczeniom ministra anglikańskiego, p. Ashe, zamierzano wymordować wszystkich, aby tak lud mniej oświecony przeciągnąć bez trudności całą masą do protestantyzmu; z domów naszych nie pozostało śladu, kościoły spalone, tysiące kobiet i dzieci wzięte w jasyr. Nawet Muzułmanie nie uprowadzali nigdy tylu niewolników. Chrzty wstrzymane, a właśnie przeszło 5000 kończyło w tym roku czteroletnią próbę przed chrztem, razem mieliśmy około 50.000 katechumenów... Misyonarze nasi trzymani w niewoli; nie wiem, czy i w jaki sposób wyswobodzić ich potrafię“...

W prywatnym liście do swych rodziców biskup Hirth pisze: „Anglia postanowiła sobie doprowadzić do tryumfu protestantów ugandzkich; w ostatnich dniach dostarczyła im zdradziecko setki karabinów najnowszej konstrukcyi w celu zgniecenia katolików. Dopięli swego: król Mwanga uciekł, nasi chrześcijanie w rozsypce, stacye nasze zburzone, przeszło 60 kaplic spalonych".

„Biskup Hirth, — czytamy w liście innego misyonarza — zdołał z niezliczonemi trudnościami umknąć z rąk napastników i schronić się z paru innymi misyonarzami w Buddu i Kiziba, po 15 dniach żeglugi na słabej łódce, prawie że bez ubrania, głodem przymierając. Innych sześciu misyonarzów musiało, aby ujść śmierci, dać się uwięzić w forcie Kampala, wycierpiawszy przedtem wszelkiego rodzaju zniewagi od protestanckich Bangalów. Znaczna liczba katolików: dzieci, kobiety, potonęli w jeziorze, gdy ocalenia szukali w ucieczce. Innych schwytano i uwiedziono w niewolę... Tak zniweczono w paru dniach długoletnie prace katolickich misyonarzów; 50.000 katolików padło ofiarą śmierci, dostało się w niewolę, lub rozproszyło się na wszystkie strony. Kto temu winien? Angielscy misyonarze, którzy przez lat niemało szczepili i szerzyli nienawiść do ‚Papistów'; kapitan Lugard, co wysłany dla bronienia chrześcijan przeciw Arabom, użył na to jedynie swej władzy, aby zniszczyć katolików, a królem obwołać Mahometanina".

Wieść o strasznych tych wypadkach, głucha z początku, z pewnem niedowierzaniem przyjęta; stwierdzona następnie szczegółami i świadectwami, którym nie uwierzyć było niepodobieństwem, wywarła w Europie głębokie a przygnębiające wrażenie. Czyż więc to ma być ów kwiat, ów owoc cywilizacyi, który Europa Afryce przynosi; czyż na to zawiązują się w Anglii antyniewolnicze komitety, na to mówi się tyle i pisze o pozyskaniu Afryki dla zachodniej kultury, aby cywilizowani Anglicy niszczyli w jednym dniu, co zbudowała nadludzka praca i poświęcenie w latach kilkudziesięciu; aby tępili ucywilizowanych już, cywilizujących się właśnie murzynów i zaprzęgali ich w niewolnicze jarzmo? Pytania te postawiono jednocześnie w parlamencie francuskim i angielskim. Minister Ribot odpowiedział na inter-

pelacyę postawioną przez księcia d'Arenberg, że oczekuje na wyjaśnienia ze strony rządu angielskiego; wszakże dzisiaj już, opierając się na nadeszłych sprawozdaniach, zdecydowanym jest żądać od Anglii z całą stanowczością satysfakcyi za niedające słowami się określić i z dostateczną siłą potępić czyny Wschodnio-Afrykańskiej Kompanii. Londyński podsekretarz stanu, Lowther, nie zrażając się głośnemi wybuchami śmiechu w całym parlamencie, zasłonił się brakiem dostatecznych informacyj o przebiegu rzezi ugandzkiej i zapewnił, że rząd, otrzymawszy te informacye, nie omieszka uczynić odpowiednich kroków. Na ironiczne zapytania, jak i dlaczego sam tylko rząd angielski dowiedzieć się nie może o tem, o czem w całej Europie wróble na dachach śpiewają, odpowiedział p. Lowther nieco zirytowany, że należałoby nie zaskakiwać znienacka rządu tego rodzaju kwestyami... Późniejsze wyjaśnienia ministra Salisburego nie przyniosły również nic nowego: „Miejmy nadzieję, uspokajał minister, że dotychczasowe relacye są przesadzone. Niepodobna przecież sądzić, aby kapitan Lugard chciał bawić się w misyonarza i inicyując tego rodzaju propagandę, dopuścić się miał okrucieństw, które mu przypisują“... Z wszystkich tych wyjaśnień, które ostatecznie żadnemi wyjaśnieniami nie są, jedno tylko jasno przebija: rządowi angielskiemu bardzo nie na rękę jest cała ta smutna i zawstydzająca sprawa i radby najchętniej w jak najszybszem zapomnieniu ją pogrzebać.

LIST PREZESA RZECZYPOSPOL. LIBERYA DO PAPIEŻA.

Niedawno temu obrany prezydent „niezależnej murzyńskiej“ rzeczypospolitej Liberya: I. I. Cheeseman, wysłał do Ojca św. swego pełnomocnika, M. Mizzi, z prośbą o wysłanie katolickich misyonarzów do dwumilionowej tej rzeczypospolitej, do której dotychczas zaglądali tylko protestanccy pastorzy. Nowy prezes nie ma podobno do tych misyonarzów najmniejszego zaufania; owszem, wpływ ich uważa raczej za zgubny niż za pożyteczny dla swych murzynów i dlatego właśnie domaga się katolickich kapłanów, zaręczając im w urzędowem piśmie swem do Papieża: „gościnne przyjęcie, zupełne i niczem nienaruszone prawo posiadania, wolność i pokój“.

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Nowy ruch ziemi. — Nowy zmysł u zwierząt niższych. — Ciekawe odkrycia w dziedzinie elektryczności.

Już od czasów Kopernika wiemy o dwu ruchach ziemi: o dziennym około własnej osi, i rocznym około słońca. Po sławnych zaś spostrzeżeniach Bradley'a w drugiej połowie ostatniego stulecia (1784) przybyły jeszcze dwa nowe ruchy: precesya i nutacya ziemi.

Lecz niedosyć na tem. Od dłuższego już czasu nie byli astronomowie zadowoleni z zachowania się ziemi; niektórzy twierdzili nawet, że ten naturalny zegar astronomiczny coś niedobrze nakręcony; wszyscy prawie podejrzywali, że w ruchu ziemi musi zachodzić jakiś czynnik, którego jeszcze nie zbadano i nie wyjaśniono — jakieś wahania i kaprysy ziemi zaczęły niepokoić wszystkich.

British Association wybrało już w r. 1878 osobny komitet i poleciło mu urządzenie jakiegoś dokładnego przyrządu, a zarazem badanie tych rzekomo sporadycznych odruchów ziemskich. Podobne obserwacye zaczęto później robić w Paryżu, Francyi południowej, Ameryce i gdzieindziej.

Przed kilku laty włoski astronom Fergola wnosił ze swoich obserwacyj nad wysokością bieguna w Greenwich i Pułkowie, że biegun ziemski zmienił miejsce na kuli ziemskiej, a mianowicie przesunął się między rokiem 1843 a 1872 o 23 stóp.

Tym sposobem została zakwestyonowana stałość osi ziemskiej. Sprawą tą zajęła się przedewszystkiem „nieustająca Komisya międzynarodowa Pomiarów ziemi“, i jej to udało się przez równoczesne obserwacye w Berlinie, Poczdamie i Pradze skonstatować z wszelką pewnością fakt, że biegun północny nie znajduje się w rzeczy samej stale w jednem miejscu, ale odbywa pewien ruch wahadłowy stożkowy, mianowicie iż biegun północny opisuje w Lodowatem morzu koło o promieniu 30 stóp, w kierunku od zachodu na wschód. Obserwacye te zaczęto z początkiem roku 1889 i prowadzono je zgodnie do ostatnich czasów. Fakt sam, choć niewątpliwy, nie określał jeszcze ani nie opisywał dokładnie zjawiska. Mimo to wielu rzuciło się natychmiast do wymyślania teoryj, któreby mogły zjawisko wytłumaczyć. Próbki teoretyków musiały suponować określony czas wahania, tymczasem tego jeszcze dokładnie nie zbadano. Dopiero ostatniemi czasy p. Chandler

wystąpił w *Astronomical Journal* z wielkiem swojem odkryciem. Według niego, okres wahnienia wynosi obecnie 14 miesięcy, nadto amplituda wahnienia (tj. długość promienia koła) stoi w odwrotnym stosunku do okresu; w ubiegłym bowiem wieku okres był krótszym o dwa miesiące, amplituda za to była nieomal dwa razy większą.

Tak więc do znanych dawniej ruchów ziemi przyłącza się nowy, niewątpliwie już stwierdzony, który obecnie nazywają wahaniem wysokości bieguna.

Prawdopodobnie przyjdzie do skutku wniosek d-ra Albrechta, ażeby na czterech głównych stacyach, równomiernie na ziemi rozmieszczonych, miano pilną i ciągłą straż nad biegunem północnym. Wtedy może łatwiej da się poznać natura tego ruchu, konsekwentnie i właściwa jego przyczyna.

Nietylko ziemi przybywa nowych ruchów w tym wieku odkryć i wynalazków — także zwierzętom na jej powierzchni mieszkającym przybywają nowe zmysły.

Znana jest powszechnie rzecz, że w błędniku czyli labiryncie ucha ludzkiego i zwierząt wyższych, znajdują się tak zwane pęcherzyki słuchowe, zawierające wewnątrz drobne kamyczki, zwane także kamyczkami słuchowemi, albo z greckiego otolitami [1]. Takie pęcherzyki słuchowe czyli otocysty z otolitami można napotkać u bardzo wielu zwierząt, począwszy od jamochłonów (Coelenterata), tj. zwierząt, które typowo przedstawiają worek dwu- lub trójwarstwowy z wewnętrzną jamą, zwaną gastralną. Wszyscy zoologowie uważali zawsze pęcherzyki te za narządy słuchowe, choć opierali się po największej części jedynie na tem, że podobne narządy spotykamy w uchu człowieka i kręgowców. Mniemanie to zachwiało się nieco wskutek nowszych badań fizyologicznych.

Już przed kilku laty Yves Delage dowodził, że otocysta u głowonogów (Cephalopoda) i skorupiaków (Crustacea) jest narządem służącym do utrzymania równowagi. To samo przypuszczenie zrobił Engelmann dla pęcherzyków, które znajdujemy u żebropławów (Ctenophorae) na t. zw. biegunie zmysłowym. Przypuszczenie Engelmanna postanowił zbadać dokładnie Max Verworn, korzystając z dłuższego swego pobytu w stacyach zoologicznych w Villafranca i Neapolu. Kilka szcze-

[1] Max Verworn, *Gleichgewicht und Otolithenorgan. Experimentelle Untersuchungen.* (Pflüger, *Archiv für Physiologie*, Bd. 50).

gółów z ciekawych tych badań, jak również ostateczny ich wynik, chcieliśmy podać naszym czytelnikom.

Dla lepszego i łatwiejszego zrozumienia spostrzeżeń, zapoznajmy się pokrótce z wyglądem otocysty i tych zwierzątek, u których się nasamprzód pojawia. Uskutecznimy to najwygodniej na świętognicy (Beroë), należącej właśnie do typu jamochłonów, gromady żebropławów. Ciałko naszej świętognicy przedstawia wydłużony wór, na jednym końcu zaokrąglony i zamknięty (biegun zmysłowy), na drugim otwarty (biegun gębowy). Na powierzchni tego worka widzimy ośm jakby południków, są to szeregi blaszek czyli listków rzęskowych, tak zwane żebra, które stanowią narząd ruchomy żebropławów. Otocysta leży na samym biegunie zmysłowym, przedstawia się jako mały pęcherzyk, którego podstawę stanowią komórki rzęskowe. W samym środku podnoszą się cztery silniejsze blaszki, tak zwane piórka, na końcach których wisi sam otolit, okrągława grudka drobnych, okrągłych, współśrodkowo uwarstwowanych ziarnek. Z każdem piórkiem łączy się szereg komórek rzęskowych, który wychodząc z pod pęcherzyka, rozdziela się na dwie rynienki rzęskowe, a te zespalają się z odpowiedniemi dwoma żebrami. Tym sposobem każde żebro jest połączone z piórkiem otocysty.

Jakie jest zadanie otocysty i jaki jej stosunek do żeber? Świętognica porusza się albo w linii prostej, albo krzywej; w pierwszym razie wszystkie żebra uderzają jednakowo i jednocześnie, w drugim żebra jednej strony uderzają słabo tylko albo wcale nie. Pobudzenia do ruchu blaszek wychodzą od bieguna zmysłowego i przenoszą się falowo ku biegunowi gębowemu. Obserwując świętognicę w wielkich akwaryach, albo w dużych szklanych naczyniach, widać, jak przez jakiś czas pływa w najrozmaitszych prostych i krzywych kierunkach, później spada wolno na spód, gdzie zajmuje położenie pionowe, mając przytem biegun gębowy na dół zwrócony. Przez jakiś czas pozostaje w tem położeniu, robiąc ustawicznie i równocześnie blaszkami żeber; później zmienia stanowisko, krzywemi drogami dąży do drugiego położenia równowagi na powierzchni wody. I tu ustawia się pionowo, biegun jednak gębowy trzyma zwrócony do góry, tj. do powierzchni wody. W tych dwu położeniach równowagi pozostają zwierzęta godzinami, tylko niekiedy bujają sobie w wodzie, wysuwając zawsze biegun gębowy naprzód.

To są ruchy i położenia normalne; przypatrzmy się jeszcze kilku innym, nieregularnym wprawdzie, ale tem ciekawszym. Drażnimy świętognicę do tego stopnia, iżby blaszki żebrowe ukryła w galaretowatem

ciele, a tem samem iżby nie mogła przez jakiś czas wykonywać ruchów żebrowych. Tak podrażnioną beroe ustawiamy poziomo i zanurzamy na spód — ona powraca biernie na powierzchnię i tu zostaje w położeniu poziomem. A więc ciało świętognicy jest lżejsze od wody morskiej. Po krótkim czasie i spoczynku zarazem zaczyna się na nowo praca żeber — zwierzę przez jednostronne uderzanie blaszek ustawia się pionowo gębą na dół i spuszcza się na dno, aby zająć tam położenie równowagi. Po jakimś czasie zwierzę obraca się, wypływa na powierzchnię i zajmuje znowu drugie, sobie właściwe położenie równowagi.

Takie jest zachowanie się wszystkich nieskaleczonych świętognic. Idźmy cierpliwie dalej. Włoskowatą rureczką szklaną wysysajmy narząd otolitowy, albo wypalmy go rozżarzonym drutem. Cóż się dzieje? Te same zwierzątka, co pierwej jak najdokładniej i najregularniej zajmowały jedno lub drugie położenie równowagi, już nigdy same nie potrafią się ustawić w którekolwiek z owych położeń. Pojedyńcze żebra będą pracowały niezależnie od siebie, a wypadek z tego będzie: ruch zupełnie anormalny. P. Verworn wykonał bardzo wiele takich doświadczeń, modyfikował je najrozmaiciej, a wszystkie prowadziły do tych samych wypadków.

Na podstawie tych doświadczeń opisuje M. Verworn mechanizm, zapomocą którego żebropławy zajmują położenie równowagi. Kiedy zwierzę znajduje się w położeniu pionowem, otolit ciśnie jednakowo na wszystkie piórka, które go dźwigają, pochodzące stąd pobudzenie rozchodzi się równomiernie na wszystkie żebra. Przeciwnie, kiedy zwierzę znajduje się w położeniu poziomem albo ukośnem, otolit naciska nierównomiernie na pojedyńcze piórka, a po stronie, na której piórko zostaje wyciągnięte ze swego położenia normalnego, ruch żeber zupełnie ustaje. Regulowanie ruchu żeber, ich działalność albo spoczynek, zależy od ruchu piórek otolitowych. Na ruch zaś samych piórek wpływa pobudzenie, jakie wywiera na nie ciśnienie albo ciągnienie otolitu.

Stąd wnosi p. Verworn, że funkcyą właściwą tego narządu zmysłowego jest utrzymanie równowagi zwierzęcia; dlatego też dawne nazwy „otolit“ i „otocysta“, zastępuje odpowiedniejszemi: „statolit“ i „statocysta“.

Nie każdy może zgodzi się w całości na wnioskowanie p. Verworna; mógłby bowiem kto zupełnie słusznie powiedzieć, że swoją drogą narząd ten spełnia czynność utrzymania równowagi, a przytem pozostaje również narządem słuchowym. Przecież i u ryb pęcherz pławny, który z największem prawdopodobieństwem jest narządem hydro-

statycznym, łączy się z uchem. Nadto już dawniej niektórzy psychologowie wspominali o tak zwanym „zmyśle równowagi“ u człowieka i zwierząt wyższych, za narząd zaś tego zmysłu uważali właśnie trzy półkuliste przewody labiryntu usznego.

Kończymy tą razą kilku wiadomościami z dziedziny elektryczności. Dnia 19 lutego b. r., w Paryżu w wielkim amfiteatrze *Société d'encouragement,* wobec zgromadzonych członków fizycznego towarzystwa francuskiego, i elektrycznego towarzystwa międzynarodowego, p. Tesla miał konferencyę, którą można uważać za prawdziwie nadzwyczajne zjawisko. P. Tesla jest fizykiem Stanów Zjednoczonych; specyalność jego, której się od dłuższego czasu poświęca, są prądy elektryczne o bardzo prędkiej zmianie kierunku i bardzo wysokiem napięciu. Już zeszłego roku w Nowym Jorku w kolegium Columbia miał odczyt o swoich badaniach przed inżynierami amerykańskimi, którym zaciekawił umysły wszystkich. Na zaproszenie fizyków i inżynierów francuskich, p. Tesla ochoczo przepłynął Atlantyk, aby główniejsze swe doświadczenia przedstawić Europie. Zdajemy z nich sprawę podług naukowego sprawozdawcy *Correspondant'a* (10 marca 1892), który był na nich obecny.

Cały uczony Paryż nie mógł wyjść z podziwu i osłupienia; zdawało się wszystkim, że znaleźli się nagle na innej planecie, która daleko zostawiła ziemię za sobą w badaniach zjawisk elektrycznych. Chociaż bowiem p. Tesla przychodzi z Nowego Świata, trudno jednak było przypuścić, aby elektryczność mogła istnieć w formie tak nadzwyczajnej i do tego stopnia oddalonej od tego, co się wie o niej w starej Europie. Zjawiska, jakie p. Tesla przedstawił, są osobliwe i otwierają nam nieznane dotąd widnokręgi. Wszystko tu nowe, nowy cały przebieg rzeczy, nowe demonstracye. Prawdziwie, rzeczywista wiedza nasza o elektryczności jest bardzo mała, jesteśmy dopiero u progu nauki, której przeznaczono jest zająć panujące stanowisko na świecie. Postaramy się naszkicować w grubych rysach niektóre odkrycia p. Tesla. Są to wprawdzie na razie tylko doświadczenia z laboratoryum, atoli bez najmniejszej wątpliwości staną się w krótkim czasie punktem wyjścia bardzo ważnych zastosowań.

Wiadomo powszechnie, że nasze machiny dynamiczne wydają prądy albo o kierunku zawsze jednakowym, albo o kierunku ustawicznie się zmieniającym, krótko się wyrażając, dają albo prądy stałe, albo prądy przemienne. Cewka indukcyjna daje również prądy prze-

mienne. Dotychczas atoli częstość tych zmian kierunku w prądach była bardzo ograniczona. W zwykłych naszych machinach prąd zmienia kierunek 60, 100 razy na sekundę, najwyżej 160 razy. P. Tesla postanowił sobie zbadać własności prądów, któreby zmieniały kierunek niesłychanie prędzej. Doszedł do tego zapomocą szczególniejszych kombinacyj. Zdołał zaś osiągnąć zmiany prądów tak częste, iż to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Otrzymuje do 300.000, nawet 400.000 zmian na sekundę. Skutkiem zaś tej ogromnej ilości zmian, napięcia elektryczne prądów nabierają wartości niespodziewanej. Posługując się językiem naukowym, otrzymuje się prądy o potencyale pół miliona woltów. Obecnie, kiedy napięcie prądów w naszych machinach dochodzi 2000 do 3000 woltów, już krzyczymy na niebezpieczeństwo. Prądy, które zasilają lampy elektryczne naszych domów, nie dochodzą więcej nad 120 woltów. Co za ogromna różnica? Prawdziwie piorunem włada p. Tesla.

W jakiż sposób otrzymuje się prądy o tak bardzo częstej zmianie kierunku? P. Tesla posługuje się w tej mierze dwoma środkami. Najpierw zrobił machinę szczególną o prądzie przemiennym. Jest to krążek stalowy, którego średnica wynosi 80 cm.; na nim znajduje się osadzonych 384 cewek. Krążek ten obraca się wewnątrz stałego wieńca z 384 biegunów. Tym sposobem otrzymujemy na jeden obrót krążka 192 zmian, przy wartości zaś 3000 obrotów na minutę, czyli 50 na sekundę, otrzymamy 9600 zmian w jednej sekundzie. Tak wzbudzone prądy zasilają cewkę indukcyjną. W drugim sposobie, jeszcze skuteczniejszym, bierze się na pomoc zwyczajną machinę o prądzie przemiennym. Prądy tej machiny zasilają pierwszą cewkę indukcyjną. Prąd drugorzędnej cewki nabija kondensator, którego wyładowania dają iskierki, pryskające na obszerne pole magnetyczne, tj. między bieguny miąższego elektromagnesu. Kondensator sam połączony jest jednocześnie z biegunami drugiej cewki indukcyjnej. Drugorzędny obieg tej drugiej cewki kończy się biegunami, gdzie ostatecznie nagromadza się prąd o bardzo częstej zmianie kierunku i ogromnym potencyale. Prócz tego, między kondensatorem a cewkami umieszczono przyrząd, regulujący częstość przerywanych wyładowań, rzecz niezbędna, aby się udały doświadczenia. W Europie, aby podnieść potencyał czyli napięcie prądu cewek, używa się drutu bardzo długiego. P. Tesla, dzięki nadzwyczajnej prędkości zmian prądu, może użyć drutu krótkiego, bo ledwie 100 metrów długości. Stosunek drutów obwodu głównego do obwodu drugorzędnego równa się 1 : 6. Cała cewka, bez jądra żela-

znego, zanurza się w wanience napełnionej wygotowanym olejem lnianym, co zapewnia znakomite odosobnienie (izolacyę). Takie są przyrządy; przypatrzmy się teraz zjawiskom.

Obecnie, kiedy chcemy przeprowadzić prąd z machiny do lampy, używamy łącznika zamkniętego, tj. drutu tam i napowrót. Mając pana Tesla, możemy się zupełnie obejść bez drutu. Powietrze otaczające dopełnia obiegu. Zwyczajnie, kiedy się kto jednocześnie dotyka obiema rękoma końcowych drutów machiny o wysokim potencyale, może być przewróconym lub nawet zabitym. P. Tesla przeprowadza spokojnie na wskróś swego ciała wyładowania elektryczne kilkuset tysięcy woltów; i wcale nawet tego nie spostrzega. Wszystko to zresztą łatwo się tłumaczy.

Zapomocą prądów o nadzwyczaj częstej zmianie kierunku, fizyk amerykański może reprodukować w wolnem powietrzu doświadczenia, które się zwyczajnie wykonywa w próżni, w rurkach Geissler'a. Nagie druty umieszczone na biegunach promieniują światłem trzaskającem, pod warunkiem, że, aby uniknąć bezpośrednich wyładowań, oddziela się je płytą bardzo odosabniającą. Zdawałoby się może, że to oddzielenie powstrzyma wszelkie działanie: bynajmniej. Jeżeli na jednym z biegunów umieścimy płytę metaliczną, na biegunie przeciwnym zobaczymy tryskający prawdziwy płomień. Jeżeli na każdym biegunie umieścimy krążek, jeden pełny, drugi z siatki metalicznej, cała przestrzeń między niemi zawarta rozjaśnia się. To samo zjawisko otrzymujemy między dwiema obręczami ustawionemi współśrodkowo. Pierścień przestrzenny między obiema jaśnieje światłem.

Fizyk nasz bierze następnie małe kule szklane, zawierające albo grudki węgla, albo po dwa pręciki dobrego przewodnika. Zapomocą jedynego drutu łączy je z którymkolwiek biegunem cewki. Węgle zaczynają świecić. Atoli blask powiększa się znacznie, jeśli na drugim biegunie umieści się płytę metaliczną o wielkich rozmiarach. A nawet wystarczy nową tę lampę żarową nakryć umbrą metaliczną, ażeby wzmocnić natężenie światła. Oto znowu rurka o kilku rozgałęzieniach zespolonych, wewnątrz niej jest próżnia. Łączymy ją z biegunem: rurka przyświeca, lecz strona odwrócona od bieguna jest mniej jasna. Skoro zaś tylko przysunie się do bieguna przeciwnego jakąś powierzchnię z dobrego przewodnika, cała rurka świeci z jednakowem natężeniem. W ciągu wszystkich tych doświadczeń, p. Tesla nie obawia się wcale trzymać w ręku przyrządów, lub odbierać wyładowania. Prąd o bardzo wielkiem napięciu przeszywa ciało i uchodzi w ziemię. Tym sposobem p. Tesla

wytrzymuje, mając w ręku dwie kule miedziane połączone z biegunami, potencyał 70.000 woltów. Eksperymentator powiedział żartobliwie do swego audytoryum, że kiedy zdecydował się po raz pierwszy wykonać to doświadczenie, znajdował się nieomal w usposobieniu człowieka, który zamierza skoczyć z mostu Brooklyn.

W dalszym ciągu p. Tesla pokazał, do jakiego stopnia prądy nadzwyczaj prędko zmieniające kierunek wywołują fosforescencyę siarczku wapniowego (kolor jasno-żółty), itru (zielony), rubinów. Ciała te fosforyzując, wydają światło lśniące. Najciekawsze atoli doświadczenie, któremu wynalazca zapowiada pierwszeństwo i przodowanie w świetle przyszłości, jest następujące. Płyta metaliczna długości 3 metrów i 30 cm. szerokości, jest zawieszona $2^1/_2$ metra nad prelegentem i cewką, z którą jest w związku. Płyta ta wytwarza w całem swem otoczeniu pole elektrostatyczne do tego stopnia, iż wystarcza wziąć w rękę rurki z rozrzedzonem powietrzem, długie choćby na metr i więcej, aby się o tem przekonać. Rurki w oddaleniu poczynają świecić. Światło jest silne, bladawej barwy, przypominające promieniowanie księżyca. Powiedziałbyś miecz ognisty w ręku archanioła sprawiedliwości. W rzeczy samej, bardzo to piękne. Tak więc bez łączników przewodzących, bez zetknięcia z cewką indukcyjną, można rurki z rozrzedzonem powietrzem wprowadzić w stan świecący.

Mimowoli nasuwają się przeróżne zastosowania tego szczególnego zjawiska. Mając np. rozmieszczone płyty wzdłuż murów, któreby były w związku z prądami nadzwyczaj często zmieniającemi kierunek, możnaby oświetlić wszystkie lampy znajdujące się w zabudowaniu.

P. Tesla pokazał również mały motor elektryczny, który wprowadza się w ruch działaniem bardzo prostego pola elektrostatycznego, tj. dwu płyt metalicznych, z których jedna jest połączona z biegunem cewki. Uczony Fizyk mniema, że tym sposobem będzie można przeprowadzać energię na wielkie przestrzenie bez wszelkiego drutu łącznikowego. Energia przenosi się tak doskonale, że wystarczy panu Tesla trzymać w pewnej odległości lampę żarową, aby natychmiast zaczęła świecić.

Dotychczas są to wszystko jeszcze wprawdzie tylko doświadczenia, ale rokują one wiele na przyszłość.

J. N.

Druk ukończony 30 czerwca 1892 r.

KILKA DNI U KABILÓW[1].

Jedziemy dyliżansem francuskim w sześć koni z Tizi-Uzu, stolicy Kabilii, do Fort National, centralnego punktu, strategicznie nad całym krajem panującego.

— Co was w te góry prowadzi panowie? — pyta nas uprzejmie jadący z nami stary, opalony kolonista francuski.

— Jedziemy zobaczyć Kabilów w ich gniazdach.

— Ha! dobrze robicie. Kabilia to pewnie najciekawsza rzecz w Algeryi. Niech się Szwajcarya schowa! A rzadko kiedy jaki turysta tu zagląda.

Nic dziwnego — pomyślałem sobie — chcąc kupić Bedekera na drogę, dowiedziałem się, że jeszcze Bedeker o Kabilii nie napisał.

— To są prawdziwi autochtoni Północnej Afryki — wtrącił drugi podróżny, otyły, ale z bystrem wejrzeniem i energicznym wyrazem twarzy, jak się potem dowiedziałem, sędzia z Tizi-Uzu. — Stara to rasa maurytańska, którąśmy później berberyjską nazwali. Wszystkie najazdy i cywilizacye późniejszych zdobywców Afryki: Rzymian, Wandalów, Greków bizantyńskich, Arabów, rozbijały się u stóp tych niezdobytych gór. Nie obeszło się oczywiście bez tego, że w różnych czasach jednostki czy bandy żądne niepodległości, zbuntowane przeciwko cywilizacyi panującej w do-

[1] Tę wycieczkę do Afryki miałem sposobność zrobić w ciągu tej wiosny, w towarzystwie hr. Adolfa Oskierki.

linie, szukały schronienia w tych górach; i dlatego rasa kabilska nie jest wolną od przymieszek; można u niej najrozmaitsze spotkać typy. Przechowała ona jednak swą bardzo charakterystyczną odrębność, swe obyczaje, i obroniła swą niepodległość, nawet przeciwko Rzymianom [1]. Dlatego Rzymianie nazwali pasmo Dżurdżura, które główną część Kabilii okala, *Mons Ferratus*.

— A wy Francuzi, zapytałem, czyście ją zupełnie opanowali?

— O! my ich dzisiaj trzymamy w garści; ale drogo kosztowała ta zdobycz. Jeszcze w r. 1871 zbuntowali się Kabile i próbowali zdobyć Fort National, który im tkwi jak cierń w piersiach ich kraju. Ale żuawi się nie dali.

Opanowaliście ich militarnie, myślę sobie, ale czy i o ile wpływ cywilizacyi waszej ich dosięga, o tem się sam najlepiej przekonam. Już rozumiem jednak, że obserwacya takiego ludu musi być arcyciekawą... i serce mi skacze na myśl, że do jądra Kabilii dojeżdżamy — skąd wycieczki dokoła na mułach, bo już tam wszelkie drogi ustają.

Tymczasem droga, po której jedziemy — śliczna, gładka jak bulwar paryski droga — wije się wciąż zygzakami pod górę. Już wysoko jesteśmy; chłód zaczyna nas owiewać; a tu widok rozściela się przecudny! Struktura tego kraju arcyciekawa zaczyna się przed nami odrysowywać. Jak okiem sięgnąć, góry przy górach, bardzo strome, o wązkich a długich grzbietach, czyli grzebieniach (jak mówią nasi górale), głębokiemi poprzerzynane parowami, wypełniają przestrzeń. Z głównych grzbietów, które zdają się biegnąć prawie równolegle, wychodzą jeszcze poboczne, podobnie zbudowane, krzyżują się między sobą we wszystkich kierunkach, tak że ani piędzi płaszczyzny między sobą nie zostawiają; tylko w głębi parowów huczą wielkie potoki, do których strome pochyłości gór prosto wpadają... Zdawaćby się mogło, że to wyglądać musi bardzo dziko; a przecież tak nie jest — bo wszystko od góry do dołu zielone, kwieciste,

[1] Nazwa *Kabil* jest z arabskiego języka, i dawaną bywa przez Arabów w różnych stronach Afryki różnym plemionom górskim, nie arabskim. Sami zaś Kabile w własnym swoim języku nazywają siebie *Amzig*, tj. synowie wolności.

przystrojone bukietami drzew, które rosną wszędzie między polami i wśród pól, gdyż o brak słońca niema tu obawy. Przeważają drzewa oliwne, o liściu ciemnem, prawie brunatnem, ale mnóstwo jest też ogromnych drzew figowych z jasno-zielonym błyszczącym liściem; na tem tle występują z różnemi tonami zieloności aloesy, jasiony, których listkami karmią tu bydło; kasztany, z których owocu robią mąkę. Najciemniejsze, prawie czarne kreski rzucają na ten obraz tu i ówdzie wielkie, jak nasze topole, cyprysy. A nad tem wszystkiem żarzy się afrykańskie słońce, którego promienie aż do dna tych parowów, aż do fali potoków przenikają. Jakoś tu tak jasno, przeźroczysto, a tak ogrodem to wszystko pachnie, że niema tu wcale ponurości górskich krain. Dzikość kształtów ziemi przysłonięta jest wdziękiem kultury i światła. W dali tylko widać, jak tło amfiteatru, ogromne pasmo Dżurdżura, nagie, skaliste, wiecznemi śniegami centkowane, które cały widnokrąg zdaje się otaczać.

W rzeczy samej, Dżurdżura opasuje z trzech stron przestrzeń 100 kilometrów długą a 50 szeroką, na północno-wschodnim krańcu prowincyi algierskiej położoną, którą Wielką Kabilią nazywają. Jedynie od zachodu zostaje otwór w tym wale, gdzie stoi Tizi-Uzu, od wschodu zaś, koło Bougie, ledwo szczelina. A że przestrzeń w ten sposób obwarowana, zapełniona jest jeszcze wzgórzami z grzbietów Dżurdżury wychodzącemi, stąd Kabilia jest jedyną może na świecie tak wielką i tak obronną naturalną fortecą, wskazanem schronieniem niepodległości przeciw wszelkim najeźdźcom, i geografia jej tłumaczy jej historyę.

Pókiśmy byli nizko, kraj wydawał nam się wyludniony. Widzieliśmy wszędzie ślady pracy ludzkiej, ogromnej pracy — ale nigdzie ludzkich mieszkań. Dopiero gdy nas meandry drogi doprowadziły do znacznej wysokości, zobaczyliśmy nagle, że każdy szczyt uwieńczony jest wsią kabilską, albo raczej miasteczkiem: bo widać, że te osady są niemałe, murowane z kamienia, pokryte czerwoną dachówką. Szczyty, jak powiedziałem, są gęste, mają kształt wąziutkich grzebieni; otóż na samem ostrzu każdego takiego grzebienia rozłożona jest wieś w taki sposób, że

obu skłonów stromego wzgórza pilnuje. Widocznie wzgląd strategiczny kierował wyborem tych pozycyj.

— Mnóstwo wsi! — wołam z zadziwieniem — musi tu być ludność gęsta.

— Ba! moi panowie, — odpowiada poważny kolonista — dużo gęstsza niż we Francyi. Kiedy tam wypada 70 dusz na kilometr kwadratowy, to tutaj jest ich do 120. To też ziemia w tych wertepach kosztuje 20 do 50 razy drożej niż u Arabów w dolinie.

To ich ochrania, — pomyślałem sobie — od waszej kolonizacyi na długie lata.

— Pókiśmy porządku między nimi nie zrobili, — ciągnie dalej kolonista — bili się oni ustawicznie nietylko z postronnymi ale i między sobą, tworzyły się ciągle i rozwiązywały konfederacye klanów. Byle co, i samo znudzenie chwilowem pokojem starczyło za powód do wojny. I to upuszczało zbytek krwi. System, o jakim Malthus nie pomyślał. Teraz, co panuje przymusowy pokój, powstaje coraz większe przeludnienie. Obliczają dziś ludność tych gór na pół miliona. Radzą sobie Kabile, wywędrowując co roku w znacznej liczbie na zarobek, a jeszcze ochotniej na wojaczkę aż do Turcyi i do Maroku. Chętnie ich wszędzie zaciągają, i my z nich mamy najlepsze pułki afrykańskie; a powodzi im się także w handlu i rzemiosłach po miastach, ale szczególnie ich poszukujemy jako robotników do roli, bo Arab źle i leniwo pracuje.

Niema co mówić — myślę sobie — pokój, jaki tu zrobili Francuzi, *pax romana*, jest wielkiem dobrodziejstwem. Jednak i ta wojna wiekowa klanów przeciwko klanom, miała dla tego ludu swoją dodatnią stronę: ona zapewnie wyrobiła i utrzymała w nich tę bitność i wprawę wojenną, dzięki której potrafili tylu postronnych najeźdźców odeprzeć i przez tyle wieków swą wolność i swój typ etniczny zachować. A zestawiając te przymioty ludności z konfiguracyą kraju, na którą patrzę — z przerażeniem myślę o tem ile potrzeba było Francuzom trudów i krwi a wytrwałości niesłychanej, żeby taki kraj opanować. I homeryczne opowieści podboju Algeryi, które karmiły mą wyobraźnię w latach stu-

denckich, stają mi teraz w pamięci wcale nie umniejszone przez to zbliżenie do rzeczywistości.

Kiedy tak sobie marzę i przypatruję się tym orlim gniazdom, z których tak łatwo ruchy przybyszów śledzić i na wspinających się po kozich ścieżkach piorunem wpadać — tymczasem nasi dwaj towarzysze Francuzi zaczęli między sobą ożywioną rozmowę o swoich interesach sądowych i gospodarczych, z której wielu dowiaduję się ciekawych rzeczy. Czy Kabile są bogaci czy ubodzy, w tem się ci panowie nie zgadzają: jeden sądzi, że złoto kryją w swych garnkach, drugi temu przeczy. To pewna, że ubogo żyją, a dużo i dobrze pracują; dużo oliwy fabrykują, która przewozi się do Marsylii i upływa w handlu jako *Huile de Provence*. To też pewna, że ich Żydzi strasznie gnębią — choć nie tyle jeszcze co Arabów[1]. Francuzi, uważając swoje prawa za największe dobrodziejstwo jakie dać mogą ludom podbitym, narzucają je brutalnie ludności arabsko-kabilskiej, bez żadnego zastosowania do ich pojęć i obyczajów; przez co wielką im czynią krzywdę — sędzia miejscowy rozumiał to doskonale — i wywłaszczają ich powoli, na korzyść napływowych kolonistów i miejscowych Żydów; bo ci ostatni od razu pojęli wszystkie kruczki nowego prawa i z niego na szeroką skalę ciągną pożytki. Prawo francuskie np. nie zna innej własności, jak tylko osobistą i bezwzględną: Arab nie rozumie innej jak wspólną, albo raczej rozgałęzioną jak kaktus na najrozmaitsze częściowe prawa. Czyje to pole? — zapyta komisarz francuski. — Na to dziesięciu przynajmniej gospodarzy odpowie: to moje. Ale przy bliższem badaniu okaże się, że jeden ma tylko prawo siać na niem zboże,

[1] Wielu Żydów mieszkało od niepamiętnych czasów w Algeryi, ale ludność arabska obwarowywała się jako tako od nich pogardą i odrębnością praw. Zabór francuski zrównał już Żydów z Arabami w prawie; a wreszcie w r. 1871 po wojnie, izraelita Crémieux zostawszy ministrem, skorzystał z tej chwili, żeby Żydów algerskich obdarzyć prawem francuskiego obywatelstwa, którego nie przyznano Arabom. W ten sposób ludność arabska znalazła się w sytuacyi legalnie niższej od pogardzanych Żydów, i to spowodowało Kabilów do powstania — do którego rok przedtem nie mogli ich namówić emisaryusze pruscy, bo zdawało im się nieszlachetnem korzystać z nieszczęścia Francyi.

drugi ma prawo wśród zboża sadzić oliwne drzewa, trzeci między drzewami rozwieszać winograd. Co więcej, zdarza się często, że na jednem drzewie jedna familia ma prawo zbierać z dwóch dolnych gałęzi, druga z dwóch wyższych; i tak dalej bez końca. Francuz, nie rozróżniając tych subtelności wschodnich, intabuluje ich wszystkich ryczałtem jako współwłaścicieli. A Żyd, który zajrzał do tabuli i zrozumiał co to znaczy, szuka okazyi, by choć jednemu z tych biedaków pożyczyć. Gdy jednego omotał i wciągnął w dług niewypłacalny, zaraz domaga się likwidacyi jego majątku; a ponieważ realność jest legalnie nie podzielona, więc sprzedaje się cała, i dziesięciu nibyto współwłaścicieli, którzy nie wiedzieli o tym długu, ani Żyda na oczy nie widzieli, znajdują się od razu na bruku, ze stanu gospodarzy strąceni do stanu wyrobników, jeśli nie żebraków. Temi i wieloma podobnemi sposobami mała własność arabska, która mogłaby stanowić wielką siłę Algeryi i rękojmię pokoju i konserwatyzmu ludności — ta mała własność topnieje, ustępuje coraz bardziej przed wielką własnością kolonistów, przy niemałym obławianiu się maklerów żydowskich. W samej Kabilii to wywłaszczanie nie robi jeszcze takich postępów jak wogóle u Arabów, bo Kabil jest przezorniejszy, bardziej przywiązany do ziemi i więcej napędza strachu Żydowi niż Arab. Ale i tu już Żyd się podsuwa, i ten *mons ferratus*, który powstrzymał legiony rzymskie, nie zatrzyma osiołka obładowanego złotem — a choćby susami.

— Cóżeście zrobili na korzyść tego ludu? — pytam, wtrącając się w rozmowę naszych Francuzów.

— Zrobiliśmy drogi — odpowiadają bez wahania; bo też drogi doprawdy pysznie się przedstawiają.

— A kto te drogi zapłacił? czy skarb francuski?

— One prawie nic nie kosztowały, bo zrobiły się zapomocą prestacyj.

Prestacye są to szarwarki rozłożone na głowy, bez względu na majątek; więc ostatecznie drogi zrobione kosztem prawie samych krajowców; a korzystają z nich prawie sami Francuzi. Arab czy Kabil wozi wszystko po dawnemu na grzbietach mułów lub osłów, lub żony; więc mu obojętna czy jest bita droga,

czy kozia ścieżka. Właśnie spotykamy Kabila, który z konia pędzi przed sobą trzodę — jak się nam wydało z daleka — czarnych owiec; z bliska widzimy, że to stado maleńkich osiołków, tak nędznych i wyłysiałych, że ledwo gdzieniegdzie strzępy sierści zostały; a każdy z nich dźwiga na grzbiecie dwa kosze pełne pięknej ziemi. Wiezie sobie Kabil zapewne tę ziemię na swoje wertepy, żeby zasłać nią jakąś skałę deszczem spłukaną, zagrodzi ją kamieniami lub płotem z fig berberyjskich i stworzy sobie wyborny kawałeczek pola. Utrzymanie zaś takiej trzody osłów nie kosztuje go wiele: przy każdej drodze, w każdym rowie rośnie dosyć ostrych a tłustych kaktusów, aby zaspokoić ich skromne wymagania. Trudno się dziwić wobec tego, że piękności dróg francuskich krajowcy nie oceniają, i że mimo tych dróg chowają do Francuzów głęboką niechęć, osłoniętą całunem oryentalnej obojętności i okiełznaną strachem przed francuską potęgą. Zapewnia nas jeden z Francuzów, że dziś można jeździć po całej Kabilii bez towarzysza i bez broni, jak po ulicach Paryża. Swoją drogą — dodaje drugi — ostrożność nie zawadzi, i lepiej żeby spostrzegli w kieszeni rewolwer niż luidory.

Przecież Francuzi coś więcej Kabilom przynieśli niż bite drogi. Oto opodal jakiejś osady, już niedaleko od Fort National, zabiega nam drogę długi szereg chłopców, ładnie w białe płachty ubranych, idących w dwóch rzędach, w porządku podług wzrostu, jak w liceach francuskich. Na końcu idzie Francuz, widocznie nauczyciel. Witamy go; szereg staje; twarzyczki inteligentne i wesołe. Jest ich dwustu — mówi nam nauczyciel — od sześcioletnich dzieci począwszy. Na to profesorów czterech. Oby to widzieli francuscy gazeciarze, którzy przy zielonym stoliku piszą, że szkoły w Kabilii są kosztowną farsą, że nikt do nich nie uczęszcza. Aż trudno się opędzić — twierdzi nauczyciel — tak się garną do szkoły, a zdolni są i uczą się z zapałem. Bo też jest to szkoła przemysłowa, *École des arts et métiers*. Nie uczą ich kosmografii i historyi naturalnej o zwierzętach polskich, ale takich rzeczy, których praktyczność czują: czytać, pisać, rachować, rysunku i innych do rzemiosł potrzebnych rzeczy. Wszystkiego uczą po francusku. Jest to w tym przypadku o tyle uspra-

wiedliwione, że język kabilski, choć podobno identyczny ze starym berberyjskim, nie jest dzisiaj piśmiennym. Ale Francuzi tej samej metody się trzymają i w okolicach arabskich, co jest mniej usprawiedliwionem. Wątpię też, żeby Arabi z równą pilnością do szkół się garnęli.

Dzieci przeszły — a oto już w dali widnieje Fort National, prawdziwe orle gniazdo, osadzone na gołym, panującym nad okolicą szczycie, blizko 1000 metrów nad potokami huczącemi w dole.

Po czterogodzinnej jeździe pod górę, zbliżamy się do mety. Mury cienkie a wysokie, nie przeciwko armatom budowane, załamują się w zygzaki; mosty zwodzone, warta pod bronią... Wjeżdżamy. Wewnątrz zabudowania jeszcze nie liczne, ale już charakter miasteczka. Oprócz silnej załogi żuawów i wszystkiego co do niej należy, jest już z 80 prywatnych domów, kościół z plebanią, sklepiki rozmaite. A nawet — co za szczęście! — dwa hoteliki, *des touristes* i *de la poste*, gdzie można podobno nieźle zjeść i doskonale się wyspać.

Idziemy najprzód z wizytą do komendanta cywilnego, do którego mieliśmy kartkę polecającą. Przyjął nas grzecznie, ale się pokazało, że właściwie jego pomocy nie potrzebujemy. Radził nam tylko wziąść przewodnika z hotelu, a odwiedzić w szczególności plemię Beni Jenni, które wyrabia sławne w handlu klejnoty kabilskie.

— Dawniej — mówi nam komendant — łotrzyska żyli z fabrykacyi fałszywych pieniędzy; dziś kiedyśmy temu zapobiegli, zmienili swój przemysł na fabrykacyę klejnotów.

Pożegnawszy tego pana, obiegamy jeszcze miasto wewnątrz i zewnątrz; napawamy się rozkosznie świeżem powietrzem i widokiem tego roiska gór, rozpływającego się już w szafirowym mroku wieczornym, mówimy tym górom „dobranoc“, „do widzenia jutro“. — A tu gwiazdy już się iskrzyć zaczynają. Czas do hoteliku na obiad, który nawet w tak małem miasteczku nie podaje się wcześniej jak o 8-mej. Zimno tak było na tej wyżynie, że w jadalni zastaliśmy ogień na kominku, i czem prędzej kaza-

liśmy tak samo w naszych pokojach zapalić. Działo się to w Afryce 2 maja.

* * *

Spało się wyśmienicie, posilnie, jak się tylko w górskich wycieczkach sypia. Raniutko przed 6-tą wsiadamy na muły. Ale co za widok zachwycający, czarodziejski, którego w życiu nie zapomnę! Ocean mgły gęstej, srebrzystej, falującej, zapełnia przestrzeń pod nogami naszemi. Z tego oceanu wynurzają się niby gęste wyspy, same szczyty wzgórz, uwieńczone wsiami o czerwonych dachach; tu i ówdzie z tych wsi strzelają minarety. W głębi wysoko sterczy sine pasmo Dżurdżura; a z poza niego wypływa i wznosi się po czystym niebie tryumfalne słońce, które oblewa to wszystko strugami złotego światła.

Stoimy chwilę zaczarowani. Chłoniemy w piersi świeże, balsamiczne powietrze, które wiatr od północy niesie, z wonią morza blizkiego — i wonią niezliczonych kwiatów, róż, aloesów, fig, pomarańcz, bo teraz wszystkie drzewa kwitną... Ale trzeba się spieszyć. Ruszamy. Po wężykowatej a jednak bardzo stromej dróżce spuszczamy się w dół, aż tam, skąd nas wczoraj dolatywał huk potoku, gdzie teraz zalega ocean mgły; a stamtąd potem wspinać się będziemy równie stromo pod górę, aż do osady Beni Jenni. Ale dzieje się z tą mgłą co z wieloma innemi przeszkodami w życiu; jeszcześmy od niej daleko, a już ona pod promieniami słońca topnieje, zanika. Godzina upłynęła, a już śladu jej niema; słońce, które szybko, bo prawie prostopadle po niebie się wznosi, już oświeca aż do dna parowów. Okazuje się nam w całej swej urodzie, jeszcze nierównie piękniej niż wczoraj, ta dziwna natura, dzika swą architekturą, a śmiejąca się zielonością i kwieciem, w blaskach swego słońca. A powietrze tak przeźroczyste, barwy tak żywe, najdalsze widoki tak wyraźne i zbliżone, że memu polskiemu oku wszystko wydaje się jakoś nadnaturalnie piękne.

— Z czego wy żyjecie? — pytam się przewodnika Kabila, nieźle po francusku mówiącego, który ma nam także za tłumacza służyć.

— Ot, Kabil niewiele do życia potrzebuje — odpowiada mi. — Uprawia się pięknie ziemia, jak widzisz, sieje się pszenica, jęczmień, sadzi się groch i inne jarzyny, pielęgnuje się drzewa figowe, cytrynowe, oliwne. Te ostatnie jeszcze najwięcej przynoszą.

— Ale ja tu widzę winnice. Czy i wy się do wina bierzecie, mimo zakazu Koranu?

— My wina nie pijemy — odpowiada z lekkim uśmiechem Kabil — lecz niektórzy z naszych widząc, że Francuzi dobrze wino sprzedają, zaczęli je sadzić; i to się opłaca.

— A czemże — pytam — uprawiacie ziemię na takich spadzistościach?

— Jakto? czem ziemię uprawiamy? Łopatą oczywiście.

W istocie uprawa, której teraz przypatrywaliśmy się z bliska, przedstawiała się przepysznie. Od góry do dołu te stoki wyglądają jak pański warzywny ogród. Rzadko gdzie las, ale wszędzie dużo drzew pożytecznych. Jedna tylko rzecz razi tu me oko: to rodzaj kaktusu o dużych, tłustych liściach, wyrastających bezładnie jeden z drugiego, zwany tam figą berberyjską *(Apuntia ficus indica),* którego małe okazy miewamy w oranżeryach, ale tu dochodzi on wielkich rozmiarów i tworzy żywe płoty, otaczające drogi i małe pola Kabilów. Prawda, że mam przeciwko temu niby-kaktusowi rankor osobisty, bo kiedy raz do niego za blisko przystąpiłem, wbił mi zdradziecko do ręki kilkadziesiąt drobniutkich, prawie niewidzialnych igiełek, które potem przez dwa dni szczypczykami z palców wydobywałem, a po tygodniu jeszcze czułem bolączki. Ostatecznie od tego jest ten kaktus, żeby bronił przystępu — jak ten pies co kąsa. Trzeba mu darować. Ale co brzydki kaktus, to brzydki.

Drożyna, po której jedziemy, jest wciąż spadzista, ale widać, że pracowicie przez krajowców utrzymywana; miejscami wykuta w skale, miejscami jak gniazdo jaskółcze do zrębu przyklejona. W jednem miejscu woda ścieżkę wyszczerbiła tak, że potrzeba było małego skoku. Mój muł poczciwy, który szedł przodem i z podziwienia godną zgrabnością i pewnością siebie przezwyciężał niemałe trudności drogi, tym razem uznał przeszkodę za nie do przebycia, i stanął jak wryty. Najenergiczniej-

sze argumenta: i kij i pięty uzbrojone w ostre strzemiona, i targanie cugli przez przewodnika, który wybiegł naprzód, nic nie pomogły. Trzeba było zesiąść. Dopiero jakeśmy wszyscy pieszo przeszli zaklęte miejsce, muł rozglądnął się, zawstydził, że sam jeden pozostał w tyle — i przesadził urwisko z własnej woli. Swoją drogą wielki zachowałem respekt dla pewności nóg i zarazem przezorności tego muła, której niejeden raz życie zawdzięczałem.

Wsiadamy znowu na kulbaki. Trzeba wiedzieć, że wsiąść na siodło arabskie to nie to samo, co na angielskie. Jest to skrzynia prawie kwadratowa, miękko wysłana — to jej dobra strona przy całodziennych jazdach, jakie nas tu czekają; ale rozpiera bardzo kolana i nie pozwala ich spuścić. Strzemiona nie są przymocowane do siodła, ale tylko na rzemieniu przerzuconym przez kłąb konia, *respective* muła. Więc kiedy się oprzesz trochę mocniej na jednem strzemieniu, to wszystko się na tę stronę przesuwa. Same strzemiona szerokie i długie jak pantofle, zakończone w czterech rogach spiczasto, zastępują wybornie ostrogi. Ale trzeba umieć jeździć i zrośniętym być z koniem jak Arab, żeby nie zranić czasem konia takiem strzemieniem.

— Okropnie wysoko mieszkacie! — mówię do naszego Kabila, patrząc z dołu na wsie pnące się na szczytach. — Skądże wy wody dostajecie na tych wyżynach?

— Wody we wsi niema, — odpowiada — ale na to są kobiety, żeby ją przynosiły. Nie potrzebują zresztą schodzić aż do dna parowu, po stokach w różnych miejscach są piękne źródła.

— Czy i ty masz żonę? — zapytałem młodzieńca.

— Miałem — odpowiada — ale już mi się nie podobała i dałem jej kartkę rozwodową; a teraz zarabiam na drugą.

— Jakto: zarabiasz na drugą?

— Tak jest, u nas płaci się za żonę dużo: 200, 300, aż do 1000 franków. Ja za swoją zapłaciłem 300; ale mój teść zjadł wkrótce swoją córkę [1], i kiedy mu ją oddałem nie mógł mi pieniędzy zwrócić. Dlatego muszę znów teraz z biedą odrabiać.

---

[1] To znaczy, stracił pieniądze, które za córkę otrzymał.

— Miewacie wy czasem po kilka żon?

— Mają niektórzy u nas po dwie i po trzy; ale to tylko rzadcy bogacze.

— Powiedz mi jeszcze: czy nie bijecie wy bardzo swoich żon?

— Bić kobietę? Broń Boże! u nas tego nikt nie robi. Żona, jak wody naniesie, robi w domu co uważa za potrzebne, pilnuje dzieci; dom to jej, a Kabil w polu albo za zarobkiem.

Kiedy tak rozprawiamy, oto przedmiot naszej rozmowy sam się nam przedstawia. Po zakręcie drogi znajdujemy się nagle wobec grona Kabilek, czerpiących wodę. Źródło tryska z framugi wykutej w pionowej ścianie góry i otoczone basenem nieźle obmurowanym. Napełniają one duże dzbany o dwu uchach i wązkiej szyjce, jak greckie amfory, i to jeszcze czerwone, pokryte czarnemi i białemi deseniami. Twarze kobiet, rzecz szczególna, nie zasłonięte, jak u Arabek; płeć śniada od słońca, ale wcale nie przypominająca ras kolorowych; rysy wybitne, trochę nawet za silne, ale bardzo regularne; duże czarne oczy, brwi też czarne, może trochę przydłużone farbą. Czasem na czole, czasem na dolnej wardze lub na policzkach tatuowane małe czarne znaki, znamionujące klany, do których te kobiety należą. Wogóle Kabilki mają w Afryce reputacyę piękności. Ubranie też pełne wdzięku. Koszula długa, o króciutkich rękawach, z wełny podobno wielbłądziej, podciągnięta w pasie i opadająca trochę na przepaskę, zupełnie jak tunika, jaką widujemy na posągach rzymskich. Zwierzchnia odzież składa się z jednej lub dwóch sztuk materyi także białej, spiętej na piersiach lub na obu ramionach błyszczącemi sprzączkami. Głowa owiązana zgrabnie fularem kolorowym w formie kołpaczka, z pod którego spływają aż do ramion kruczе włosy i ślicznie twarz obramiają. Na tem wszystkiem mnóstwo rozmaitych klejnotów: wielkie kólczyki, bransoletki, naszyjniki z wisiorkami, przepaski także z wisiorkami na głowie. Wszystko to wygląda srebrne i emaliowane; szczególniej mieni się w świetle duża gwiazda emaliowana czerwono i szafirowo, którą dziewczyny noszą na piersiach — jak mi tłumaczy mój przewodnik — a mężatki

na czole. Za to nie stać te panie na obuwie. I żadnego wogóle obuwia w Kabilii nie widziałem.

Przybycie nasze wcale tych kobiet nie płoszy, jak to zwyczajem w krajach mahometańskich. Kończą swą robotę, jak gdyby nas nie było. Zatrzymujemy się, żeby zobaczyć, jak też swe urny poniosą. Otóż nie kładą ich na głowę, ale na plecy; prawą ręką, podniesioną ponad ramię, przytrzymują urnę za jedno ucho, tak że łokieć jest tuż przy twarzy, dno zaś naczynia trochę się opiera na pasie. Taki sposób noszenia ciężaru dla nieprzyzwyczajonego byłby nieznośny; one przecież czynią to z gracyą i swobodą, trzymając się dosyć prosto, nawet kiedy idą pod górę. W pobliżu pewnej wsi, przed kilkoma dniami, spotkałem rząd kilkunastu kobiet, idących po stromej ścieżce z dzbanami na plecach i rozmawiających wesoło; na końcu szeregu szła mała, może ośmioletnia dziewczynka, tak samo ładnie ubrana — z maleńkim garnuszkiem wody na plecach.

Kabilki znikły w zakrętach ścieżek, a przewodnik opowiada, że one prawdopobnie są pod okiem jakiegoś Kabila, który z wysoko położonej wsi na nie patrzy, i gdyby wdały się w dłuższą rozmowę z przechodniem, toby mogło się źle skończyć — nawet dla przechodnia. Nigdzie też nie spotkałem w Kabilii kobiet inaczej jak w większej liczbie razem.

Ale my tymczasem dochodzimy do dna doliny, a raczej parowu. Pod nogami naszemi górska rzeka Assif wije się i pieni jak wąż z srebrzystą łuską; rozmaite potoki z pobocznych parowów do niej wpadają. Uroczo to wygląda, ale jakże przedostaniemy się na drugą stronę? Oto, nad spodziewanie nasze, porządnie murowany most; a opodal bukiet drzew i pod ich cieniem murowany domek. Co to takiego?

— To mieszkanie marabu, świętego miejscowego.

W rzeczy samej miejsce na pustelnię śliczne, dzikie; żadnego ludzkiego mieszkania stąd nie widać. Ale czemuż tak blizko mostu? Wchodzimy; cztery puste ściany; świętego niema. Ofiarę jednak dla niego trzeba złożyć we framudze; tak każdy przechodzień czyni.

Nieobecność tego marabu już mię nie zadziwia. Przedwczoraj z Tizi-Uzu wspinałem się, również na mule, na dżabel czyli szczyt Bellua, żeby zobaczyć sławnego na cały kraj marabu, na którego Francuzi każą przysięgać Kabilom w ważnych okolicznościach, kiedy chcą być zupełnie pewni prawdy. Po drodze spotykałem bardzo ciekawe wsie, które mi trud tej ascenzyi hojnie nagrodziły. Ale ja pytałem ciągle o marabu.

— Jeszcze wyżej, jeszcze wyżej — mówiono mi.

Dochodzę do samego szczytu.

— Oto mieszkanie marabu.

Widzę zabudownie jak na Kabila obszerne; kilka izb; u wejścia siedzi poważny starzec z długą brodą.

— Czy to marabu?

— To stróż jego mieszkania.

Dają stróżowi bakczicz. Wewnątrz jeszcze paru ludzi znajduję. To znowu pomocnicy stróża mieszkania; im także bakczicz się daje.

— A gdzież marabu?

— Marabu? — odpowiadają mi — nikt nie wie gdzie on jest; on jest jak Mahomet, nie wiadomo gdzie.

Giaurowi, jak ja, dosyć było na tem, żeby sobie wyrobić zdanie o egzystencyi i potędze tego marabu; ale to nie przeszkadza jego wiernym znosić do jego domku ofiary pieniężne, kląć się na niego i w pewnych dniach uroczystych tłumnie na to miejsce pielgrzymować.

Po przebyciu rzeki Assif pniemy się teraz pod górę, tak stromo, jak dotąd spuszczaliśmy się na dół. Słońce południowe prześlicznie ozłaca tę bujną i oryginalną wegetacyę. Różnica cieniów i świateł występuje jakoś wybitniej niż u nas, i więcej plastyki daje krajobrazowi. I nam też słońce żywo przypomina, że jesteśmy w Afryce; aleśmy się też przeciw słońcu uzbroili: opięliśmy kapelusze chustkami, które kark i plecy zasłaniają, opatrzyliśmy oczy w ciemne konserwy, a oprócz tego mamy nad głowami białe parasole. Nic nadto.

Poczciwe muły wspinają się pod górę po skale, jak kozy.

Jużeśmy niedaleko osady Beni Jenni. Teraz spotykamy grono mężczyzn, wracających zapewnie od roboty w polu. I oni mają piękny wzrost i piękny typ kaukazki, ale prędko z wiekiem brzydnieją. Na młodych aż rozkosz patrzyć, tak są przystojni, a tak po prostu i szlachetnie ubrani. Ubranie Araba jest malownicze, pełne fantazyi, ale zanadto może skomplikowane, zbyt kobiece. Kabil to wszystko praktycznie i szlachetnie uproszcza — i trafia dziwnym sposobem na ubranie rzymskie — czy też może tradycyę rzymską w swych górach przechowuje? Nosi on także koszulę czyli tunikę, na pasie zwieszoną, tylko nieco krótszą niż u kobiety; a na to kawałek białego burnusa, czy byle jaką płachtę kwadratową przewiesza na sobie, zupełnie tak samo jak togę: jeden róg spuszcza z lewego ramienia, resztę przerzuca przez plecy pod prawe ramię, i przeciwległy róg znowu na lewem ramieniu uczepia; łydki i nogi odkryte; na głowie tylko fez. Nie mogłem się napatrzyć tym młodym ludziom w tym klasycznym stroju, z ich delikatnym wyrazem ust i sprytnem spojrzeniem, z ich godnością i wdziękiem w każdej pozie, w każdym ruchu. Zdawało mi się co chwila, że śnię, że przeniesiony jestem w czasy rzymskie i widzę młodych patrycyuszów w białych togach. A jak który powita mię: *Bonjour Monsieur* — to się odwracam, żeby zobaczyć czy to nie Paryżanin, tak te słowa z doskonałym akcentem wymówione. Tymczasem to biedny Kabil, który tylko te dwa słowa po francusku umie; ale tak delikatną ma wymowę, że łudząco Francuza naśladuje.

Wchodząc do wsi, mamy wrażenie, że wstępujemy do ruin starego zamczyska. Mury ciągną się bez przerwy, nie wiadomo gdzie jeden dom się kończy a drugi zaczyna; uliczki wyglądają jak korytarze, brukowane wielkiemi płytami, idą to w górę to na dół, często przemieniają się w schody, co chwila przechodzą pod sklepieniami, pod galeryami. Bardzo to wszystko podobne do górskich wsi, jakie się spotyka w północnych Włoszech. A po tych schodach i galeryach, jakkolwiek ciasnych, muły, osły, dzieci, kobiety, drób, roją się i przełażą jedne przez drugie—jak w mrowisku. Myślałby kto, że przy takiem zagęszczeniu ludności i przy niezbytniem staraniu mieszkańców o ochędóstwo, panować

tu musi zgniłe powietrze. Otóż nic z tego. Żar słońca to wszystko osusza, wiatr wielki przewiewa, nigdzie nie czuć złej woni.

Zaglądam pilnie do wnętrza chałup, postarawszy się o zaproszenie za pośrednictwem przewodnika. Wnętrze przedstawia się bardzo ubogo. Zwykle jedna tylko izba, ciemna, bo niema okien, tylko kilka małych otworów pod dachem, rozumie się bez szkła. Komina nigdzie niema, ognisko tli się na podmurowaniu z cegieł, albo też na środku izby, w dołku, nad którym wisi kociołek; a dym wychodzi którędy może, głównie przez szpary między dachówkami — i stąd starsze dachy są prawie czarne. Podłoga z ubitej gliny, w połowie izby o stopę niższa. W tej części mieszka parę owiec, parę kóz, rzadko krówka. W drugiej połowie, wyższej, mieszkają ludzie; ale rzutem oka tego odgadnąć nie można — bo mebli zgoła nic: ani łóżka, ani ławy, tylko w kącie rogoże, na których śpią Kabile, wcale się nie rozbierając, jak wogóle Arabi; a oprócz tego naczynia gliniane rozmaite, wielkie i małe, na ziemi i na wysoko przybitych półkach. W jednym, drugim domku zastajemy samą gospodynię przy kociołku, zajętą gotowaniem. Ona żadnej uwagi na nas nie zwraca; a my, pouczeni przez Francuzów o krajowych formach grzeczności, nie inaczej na nią patrzymy, jak na kozy i owce w tejże izbie będące. Gdybyśmy ją powitali i okazali jej jakiekolwiek zainteresowanie się, byłby to największy brak taktu i dowód złego wychowania.

Dzieci *notabene* nigdzie nie znalazłem nieubranych, albo, jak to bywa po naszych wsiach, odzianych tylko dziurami. Każde dziecko ma porządną koszulkę, przepasaną; na czem dziewczynka ma zwierzchnią zarzutkę, jak jej mama, i gwiazdę kolorową na piersiach i często kólczyki; a każdy chłopiec oprócz koszulki ma przynajmniej szmatę, którą się poważnie drapuje, tak samo jak tatuś. A jak te dzieci są śliczne! jak się im świecą oczka! Biegną za nami po ulicy wołając: *jette un sous! jette un sous!* I rzucamy susy, póki mamy w kieszeni. Dodać trzeba, że oprócz dzieci, które się tem oczywiście bawią, nikt tu nie żebrze. W gminach kabilskich taka istnieje od niepamiętnych czasów solidarność, że nie mogących pracować i nie mających z czego

żyć z wspólnej kasy utrzymują, a pauperyzmu w właściwem tego słowa znaczeniu wcale tu niema.

— Ale gdzież jest — pytam — ta fabryka waszych klejnotów, którą przyjechałem zobaczyć?

— Właśnie do niej dochodzimy.

Jest to mieszkanie jakiegoś zamożniejszego gospodarza. Najprzód ciemna sień, niby *atrium;* za nią podwórko wewnętrzne, przypominające rzymskie *impluvium*, z bocznemi komórkami; a jakby dla uzupełnienia podobieństwa z rozkładem domów rzymskich, w głębi za podwórkiem, jeszcze izba, niby *triclinium,* z większem niż zwykle oknem, tj. otworem, skąd przecudny widok *à vol d'oiseau* na zieloną przepaść, nad którą wisi ta wieś, i na sine góry, falujące w dali; — choć istotnie to okno nie dla widoku zrobione, tylko dla oświetlenia fabrykacyi. W tych wszystkich miejscowościach: i w sieni przy otwartych drzwiach na ulicę, i w podwórku, i w tym *triclinium,* siedzą mężczyźni, starzy i młodzi, na ziemi po arabsku, z podwiniętemi nogami, i pracują nad pojedyńczemi częściami wyrobów złotniczych. Jest widoczny podział pracy; jeden wykuwa na kowadełku tułów naczyńka, które ma być później ozdobione, lub dużą gwiazdę, która się pokryje kosztownościami; drugi rozżarza i rozwałkowuje srebrne druty, które mają służyć do filigranów, albo do przegródek między emaliami; inny zatapia w ogniu drobniutkie ogniwa łańcuszków, na których zawisną wisiorki; inny formy do odlewania w jakiejś czarnej ziemi odciska... A to wszystko robi się prawie bez narzędzi, ot tak na kolanach, na ręcznem kowadełku, przy garnku z węglami, które się rozdmuchuje workiem. W jednej tylko ciemnej komorze przy podwórku widziałem coś podobnego do piecyka, i to jeszcze bardzo prymitywnego.

Ci wszyscy ludzie są uwryerami; jedynym przedsiębiorcą, który wszystkich opłaca, jest gospodarz domu, człowiek może 30-letni, mówiący trochę po francusku, który nam się właśnie w tej chwili przedstawia. Kłaniamy się nawzajem nizko *salam! salam!* i wchodzimy na jego prośbę do owego tryklinium, cieszącego się jedynem w całej wsi oknem. Siadamy za stołem, który także w tej wyjątkowej izbie się znajduje; a ponieważ

objawiliśmy zamiar kupienia czegoś, w mig stół się pokrywa wyrobami ich fabrykacyi.

Myślałby kto, że jeżeli gdzie, to chyba w takiem niedostępnem, odciętem od bożego świata miejscu, przemysł będzie wolny od obcych wpływów i wyda kwiaty czysto rodzimej sztuki. Niestety, niezupełnie tak jest. Odbyt dość znaczny tych wyrobów w Algerze i nawet we Francyi, ściąga aż tu, odwrotnym ruchem, paryskie mody i pomysły. Komisanci, Żydkowie, którzy aż tu załażą, dają im zapewnie najfatalniejsze wskazówki, przynoszą im banalne wzory z naszych fabryk i psują im rodzimy ich gust i oryginalność ich pomysłów. Niektóre ich wyroby są tylko reprodukcyą cacek europejskich; inne — i takich najwięcej — są niedorzeczną mieszaniną: np. miseczka albo kubek pokryty barokowemi deseniami, wytłoczony hurtownie w jakiejś fabryce francuskiej, albo może odlany u Kabilów, ale w formie zdjętej z francuskiego wyrobu; a na tem wszystkiem uczepione bez wątku i sensu kabilskie filigrany i guzy emaliowane. Na szczęście, oprócz tych mieszanych płodów jest jeszcze wiele wyrobów czysto swojskich, do użytku samych Kabilów, a zwłaszcza Kabilek, przeznaczonych. Te są zwykle mniej delikatnie wyrabiane, ale oryginalne i piękne: kólczyki, spinki, bransoletki, naszyjniki rozmaite, bogate przepaski na głowę, duże gwiazdy, do noszenia na głowie lub na piersiach. Podstawą tych wszystkich wyrobów jest zwykle biały metal, ze stopu jakiegoś powstający, zwany „srebrem kabilskiem“. Prawdziwe srebro służy prawie tylko do ozdóbek pokrywających te przedmioty; złota wcale nie używają; a może wcale nie umieją złocić ani srebrzyć. Używają natomiast dużo korali, których często gałązki w naturalnych kształtach przywieszają gęsto jedną przy drugiej na srebrnych łańcuszkach, jako wisiorki do naszyjników i przepasek na głowę. Używają też perełek srebrnych, kamieni kolorowych w srebrnem obramieniu; także kawałków jakiejś brunatnej pachnącej substancyi, „piżmem kabilskiem“ zwanej, która się również w klejnoty wprawia. Lecz główną rolę w tej sztuce gra emalia z przegródkami *(cloisonnée)*. Z drucików srebrnych, najczęściej skręcanych jak w filigranach, robią na powierzchni klejno-

tów misternie rysowane przegródki, a między niemi zalewają (nie zawsze gładko) masę emaliową: czarną, czerwoną, szafirową, zieloną, wywołując śliczne kolorystyczne efekta.

Kabile wydziwić się nie mogli mojej zacofanej prostocie, że tylko temi grubszemi wyrobami się zajmowałem, a na tamte delikatniejsze i z francuska wyglądające patrzeć nie chciałem. Podsuwali mi również noże, kindżały, brzytwy własnej fabrykacyi, ale także bez rodzimego charakteru, robione pospiesznie i obstalunkiem żydowskiem trącące.

Wybrawszy sobie cośmy wziąść chcieli, zaczynamy targi. Kupcom arabskim przywykliśmy ofiarowywać z góry czwartą część tego co żądali, a za trzecią kupować; ale tu targowanie od razu się przecina; Kabile uśmiechają się, widząc, że nie znamy ich obyczajów. Kabil wcale się nie targuje. Próbujemy jeszcze coś uzyskać na ilości sprawunków; ale skończyło się na tem, żeśmy zapłacili do susa tyle, ile w pierwszej chwili od nas zażądano.

Wtedy zaprosił nas gospodarz na *kuskus*, potrawę tradycyjną, którą Kabile, jak i Arabi, traktują się w uroczystych okolicznościach i którą podejmują znacznych gości w dowód przyjaźni. Takiego zaproszenia się nie odmawia. Szczęściem nasze zgłodniałe żołądki nie potrzebowały liczyć na ten zagadkowy wyrób kulinarnej sztuki krajowej, gdyż przezorny nasz hotelista przywiązał nam do siodeł zawiniątka z porządnem francuskiem śniadaniem. Na tym punkcie okazaliśmy gust niezgodny z tem, co dotyczyło sztuki złotniczej; zaczęliśmy od smacznego spożycia potraw europejskich. Potem wniesiono *kuskus*, a równocześnie zjawiło się w izbie całe grono poważnych Kabilów, zapewnie sąsiadów i przyjaciół gospodarza. Ślicznie się witają między sobą Kabile: jeden drugiemu bierze rękę i przytula do ust, poczem drugi nawzajem pierwszemu; a czynią to jakoś zwinnie i z taką gracyą, że aż miło patrzeć. Nasze głupie kłaniania się i ściskania rąk, są o sto mil od wyrazu serdeczności i wdzięku tego gestu.

Ale co to jest *kuskus?* Jest to kaszka żółtawa leciutka, nie umiem powiedzieć z jakiego zboża, gotowana na wodzie

z jakiemiś korzeniami; osobno zaś gotuje się mięso baranie czy kozie, czy jakie się trafi. Na jednej misie podają tę kaszkę, na drugiej suche kawałki mięsa, a w osobnem naczyniu pozostały rosół. Tym rosołem w czasie jedzenia polewa się raz po raz kasza, którą wszyscy z jednej misy drewnianemi łyżkami jedzą; każdy przytem trzyma w lewem ręku kawałek mięsa, z którego po trosze odgryza. Jest to więc odwrotny system do naszego: kiedy z talerza jemy mięso, a chlebem zakąsamy z ręki. Mięso to było tak czarne i tak niepocześnie wyglądało, że się od niego brakiem apetytu wymówiłem, ale kaszkę jadłem bez wstrętu.

Nareszcie, aby niczego do szczęścia nie brakowało, zgotowano nam kabilską kawę — a zgotowano ją w pięciu minutach w naszych oczach. Jeden z Kabilów — bo kobiety wstępu nie mają do izby, gdzie mężczyźni zasiadają — wziął przy nas garść surowych ziarnek kawy, przypalił je cokolwiek na blaszanej tacce nad garnkiem z węglami, a po chwili, kiedy ziarnka syczeć poczęły, stłukł je na drobne kawałki w moździerzu, wsypał do filiżanek, zalał ukropem — i podał. — Ręczę, że w żadnej restauracyi w Europie nie piłem podobnej kawy, tak wykwintnie smacznej i tak pachnącej. Cały proceder jej przygotowania odbył się wprawdzie na powietrzu, bez zamknięcia, ale na poczekaniu w kilku minutach, — i dlatego kawa zachowała tyle olejku; fusów właściwych nie było, tylko drobne kawałki opadłe na dno filiżanki.

Przy czarnej kawie, którąśmy z rozkoszą degustowali, my za stołem a Kabile dokoła pod ścianą siedzący — zaczęła się nadzwyczaj interesująca polityczna rozmowa, przy pomocy dwóch teraz tłumaczy: naszego przewodnika i gospodarza domu.

— Jakże wy się rządzicie? — pytam ich po kilku słowach wstępnych.

— Płacimy Francuzom podatki — odpowiadają mi politycznie.

— To wiem, że podatki płacicie, ale ktoś tu musi porządek utrzymywać, sądzić, a Francuzi daleko.

— Porządek utrzymuje *Amin* (starszy gminy), którego wszyscy słuchają.

— A kto naznacza Amina?

— Wybiera go *Dżemaa* (zgromadzenie ludowe). Dżemaa zbiera się co tydzień, a kiedy trzeba to i częściej, i radzi o wszystkiem, a jak większa liczba uradzi, tak być musi.

— Kto należy do Dżemaa? czy starsi?

— Nie; starsi pouczają młodszych, ale każdy co może broń przyłożyć do ramienia, należy do Dżemaa.

Każda więc osada jest rzecząpospolitą, rządzącą się ciągle głosowaniem powszechnem, jak niegdyś greckie miasta. Dawniej zapewnie i polityczne sprawy, sojusze, wojny i pokoje decydowały się na tych małych agorach; ale ciekawy jestem, jak daleko dzisiaj sięga zakres tego samorządu.

— Jeśli kto zawini — pytam — kto go sądzi? czy Amin?

— Sądzi zawsze Dżamaa.

— A jakież kary wymierzacie winnym? czy ich zamykacie do więzienia?

— Nie; wolności człowiekowi odebrać nie godzi się.

— Czy ich każecie bić?

— Bicie upadla i tego co jest bity i tego co bije.

— Czemże więc karzecie?

— Zwykle nakładamy grzywny, na rzecz gminy: pięć susów, franka i więcej. A kiedy przestępstwo bardzo wielkie, to mówimy: pójdziesz precz z gminy, albo też z Kabilii.

— A jeśli kto zabije drugiego, jakże go karzecie?

— Jeśli kto zabije? to nas wcale nie obchodzi; familia zabitego szuka winowajcy i zabija go. U nas mówią, że morderstwo jest długiem, który trzeba oddać.

— A czy potem familia mordercy znowu się mści na tych, którzy go zabili?

— Nie; jak się zrobiła sprawiedliwość, to już koniec. I zabójstw u nas bardzo mało.

Nie jest to więc to samo, co *vendetta* europejska; tylko pewne powierzenie rodzinie zabitego prawa śledzenia i karania zabójcy. Skądinąd wiedziałem, że nierzadko zdarza się u nich ka-

ranie śmiercią kobiety za wiarołomstwo, według starego ich *kanunu*, ale nie chciałem poruszać tej drażliwej kwestyi, bo to się bardzo starannie przed Francuzami ukrywa. Zapytałem natomiast, czy w naradach dżemay nie ma żywych starć między większością i mniejszością, i czy mniejszość nie bywa gnębioną przez większość. Stał mi na myśli przykład rzeczypospolitej panującej nad Kabilią. Odpowiedź otrzymałem zadziwiającą:

— U nas — mówią mi — większość wybiera Amina, mniejszość wybiera *Ukil'a* (skarbnika); i nic nie można wydać ze wspólnej kasy bez zgody i pieczęci większości, i zgody i pieczęci mniejszości.

Co za rozum u tych górali! Cała Europa parlamentarna suszy sobie dotąd głowę, jak zabezpieczyć pewne poszanowanie dla mniejszości — marzy się nam dopiero o reprezentacyi proporcyonalnej — a oni od niepamiętnych czasów w życie wprowadzili najprostszy i najskuteczniejszy sposób obwarowania najważniejszych, bo budżetowych tej mniejszości interesów. Prawda, że u nich autonomiczne instytucye funkcyonują od lat — może już trzech tysięcy!

Pod wrażeniem naszej politycznej niższości, pożegnaliśmy tych niegłupich ludzi i kazaliśmy się zaprowadzić do meczetu.

Po drodze spotykamy znowu jakąś fabrykacyę. Kobiety siedzące na progu jakiegoś domu, wyrabiają dzbany — te amfory, które podziwiałem rano przy źródle. Zatrzymujemy się, żeby zobaczyć, jak to robią. Otóż trudno sobie wyobrazić prostszy proceder. Bez koła garncarskiego, bez modelu, bez niczego, Kabilka bierze garść po garści gliny, z dołka w ziemi wyżłobionego, spłaszcza w dłoni, i przylepia po prostu jeden kawałek na drugim wkoło denka, gładzi ręką — i z tego jakoś wychodzi kształt amfory, który artystka ma w głowie. Potem się ten dzban maluje, również z pamięci, czerwono, biało i czarno, w ciekawe figury, przeważnie geometryczne, w których uczeni jacyś upatrują stare bóstwa Berberów, ale ja tego w żaden sposób dopatrzyć się nie mogę. A kiedy takich amfor dosyć wiele się nalepi i namaluje, wypala się je razem w jakimś piecu za wsią.

Rozumie się, że taka fabrykacya nosi ślady swej niezawisłości, i że aby sobie wyobrazić, że te amfory mają powierzchnie bardzo gładkie i kształty geometrycznie doskonałe. trzeba je oglądać z daleka, na plecach zgrabnych Kabilek. Kiedym tę uwagę robił, powiedzieli mi Kabile jakoby ważny sekret, że te dzbany mają taką własność, iż kiedy są napełnione, pocą się na powierzchni, przez co zawsze zimną wodę zachowują. Dodali, co ważniejsza, że garncarstwo nie jest właściwie specyalnością ich osady, jak złotnictwo, ale jest fachem plemienia Zuaua (od których nazwa francuskich żuawów) — gdzie mogę znaleść, jeśli chcę, przepiękne garncarskie wyroby. Podobnie innego dnia, we wsi (której nazwiska wyczytać nie mogę w swem notesiku, zapisanym ołówkiem i zamazanym), oglądałem nadzwyczaj prymitywną fabrykacyę burnusów z wielbłądziej wełny. Stara Kabilka siedziała na ziemi, w głębi izby; przed sobą miała nitki podłużne, wyciągnięte nie na krośnie ale pionowo od stropu do podłogi; jakieś patyczki pod sufitem służyły do krzyżowania tych nitek, ale do przewlekania nici poprzecznej nie było wcale tkackiego czółenka; zastępowała je po prostu zwiędła ręka staruszki, a do przyciskania przewleczonej nici służył prosty grzebień.

Otóż dowiedziałem się tam, że i to jest tylko fuszerką, a piękne tkactwo kabilskie kwitnie dalej na wschód, u Bu-Szaib'ów i Ait-Idżer'ów. Podobnie plemiona Ililten i Ilula mają być specyalistami w rzeźbieniu drzewa, Ait-Fraucen sławnymi ślusarzami, Fenaia podobno znakomicie strzelby wyrabiają i t. d. W każdej zaś takiej osadzie odbywają się po kolei jarmarki, które ściągają krajowych konsumentów i obcych przekupniów, a ubogiej w ziemię Kabilii choć trochę zarobku przyczyniają.

Stajemy przed meczetem. Ktoby się tu spodziewał przepychu, maurytańskich okienek, arabesków, polichromii, ten doznałby wielkiego rozczarowania. Mały domek kwadratowy, trochę wyższy od innych, z okienkami kroju maurytańskiego ale zamurowanemi, bez żadnych ozdób, bez minaretu nawet — choć w niektórych wsiach minarety widziałem. Wewnątrz przestrzeń, jak średniej wielkości pokój, oświecona dziurą nade drzwiami — pusta zupełnie. Niczego oko odkryć nie może, coby religijny

charakter tego miejsca zdradzało. Pytam się, po której stronie jest Meka, ku której zwracać się mają przy modlitwie. Pokazują jeden z rogów tej izby, i tam znajduję — brudny, drewniany lichtarz we framudze.

Jeżeli meczet mały i zaniedbany, dowód to, mówię sobie, że nielicznie się do niego schodzą i mało o niego dbają.

— A umiecie wy dobrze Koran? — pytam ich.

— Koran — odpowiadają mi z lekką ironią — jest dla Arabów; my mamy swój *kanun:* tak nazywają swoje prawo zwyczajowe, podług którego się rządzą i wszelkie przepisy tak Koranu jak praw francuskich przystosowują sobie i łagodzą.

Na zagadnienie o post Ramadanu, który jest ich słabą stroną, odpowiadają, że zapytali się echa swoich gór: czy mają jeść? — a echo odpowiedziało im: „jeść".

Nie jest to, trzeba wiedzieć, naiwność, ale dowcip kabilski. Arab, ani na taką przestronność religijnego sumienia, ani na dowcip się nie zdobędzie. Zawsze poważny, milczący, zamknięty w sobie, ale w praktykach Koranu wierny, nie żałuje na nie czasu — którego zresztą nie ceni i spożytkować nie umie. Kabil, przy całej swej pracowitości, jest wesoły, rozmowny, chętnie się bawi, nawet dowcipami, do praktycznych jedynie rzeczy myślą zwrócony, na formalistyczne przepisy Koranu żałuje czasu, a może i wolności swojej.

Chociaż chrystyanizm jest tak szeroki i ogólno-ludzki, że niema na świecie narodu, któremuby on nie odpowiadał, jednakowoż są pewne stopnie naturalnego uzdolnienia ku niemu. Otóż Kabil, podług mego wrażenia, nie jest do Koranu, jak Arab, ale daleko łatwiej byłby do Ewangelii, gdyby mu ją w przystępny dla niego sposób przedłożono. Że nie jest on pozbawiony pierwiastku idealnego, tego dowodem nadzwyczajne jego dbanie o punkt honoru, zupełnie po naszemu pojętego — i także nadzwyczajne cenienie swej wolności osobistej.

Czy Kabile byli kiedyś chrześcijanami? Poszukiwania uczonych francuskich nad tą kwestyą nie doprowadziły podobno do pozytywnych rezultatów. Nie brak jednak poszlaków za tem przemawiających. Słyszałem od starego misyonarza, że religijne

obrzędy w niektórych kabilskich osadach przechowane, przypominają bardzo ceremonie chrześcijańskie, o jakich dają nam wyobrażenie Ojcowie Kościoła afrykańscy z III. i IV. wieku. To pewna, że Kabile nie tak boją się krzyża, nie tak unikają go w swych ornamentacyach, jak to czynią skrupulatnie Arabi. Między znakami tatuowanemi na twarzach Kabilek, widziałem krzyżyki; na paru klejnotach kobiecych, które przywiozłem od Beni Jenni, znajduję formę krzyża w rozkładzie głównego deseniu. Sama nazwa „kanun“, którą dają swym prawom obyczajowym, skądżeby się wzięła, jeżeli nie od kanonów kartagińskiego Kościoła? Wreszcie przy takiem zagęszczeniu i rozkwicie rzymsko-chrześcijańskiej cywilizacyi, jakim się cieszyła północna Afryka przed najazdem Wandalów (przeszło 600 biskupstw było), doprawdy trudno pojąć, żeby jedna Kabilia oparła się była tym wpływom. Dzisiaj, jeszcze nic większego dla duszy tego ludu nie podjęto. Snać godzina jego dotąd nie wybiła...

Tak sobie gwarzymy i marzymy — a tymczasem słońce już zachodzi. Prędko na kulbaki! bo do Fort National daleko, droga niebezpieczna, a z księżyca ledwo rąbek pokaże się tej nocy. Mniejsza o to — przyświecać nam będą rzęsiście gwiazdy.

Ks. Maryan Morawski.

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

V. Filozofia socyalizmu.

Dotychczas roztrząsaliśmy dzisiejszy system socyalistyczny w jego praktycznych wywodach i widzieliśmy, że jest czystą niemożliwością, przeto nie jest w stanie ziścić nadziei i obietnic, z jakiemi przed ludzkością występuje. Pozostaje nam jeszcze zbadać i ocenić wartość naukowych jego podstaw.

Jest ich nie więcej jak dwie. Jedna przedstawia nam ogólny filozoficzny pogląd na rozwój ludzkiego społeczeństwa, albo raczej jest właściwą filozofią socyalizmu, która znów niczem innem nie jest, jak przewróconym Hegelianizmem, jak to sam Marx wyznaje. Trafniej jednak możnaby ją określić jako materyalizm najczystszej wody, ujęty w formę Hegelianizmu. Drugą jest teorya wartości pracy. Za czasów Lassala zdawała się ona podtrzymywać cały gmach socyalizmu — przez dzisiejszych socyalistów usuniętą została, jako nie dająca się zrealizować, należy ona dzisiaj już tylko do historyi socyalizmu.

Kilka uwag wystarczy, ażeby okazać niedorzeczność obu tych zasadniczych myśli:

Zaczynamy od właściwej filozofii dzisiejszego socyalizmu.

Mistrze, którzy dzisiejszy socyalizm przyodziali w płaszcz filozofii, w który socyaliści wszystkich czasów się stroili, są bez

wątpienia Marx i Engels; materyał jednak, z którego ten płaszcz jest uszyty, należy po części do dawniejszych szkół, po części wzięty jest z filozofów nowszych czasów; krój zaś sam czyli formę wzięto z Hegla i jego następców. A więc filozofowie ze wszystkich stron tworzą podstawy socyalizmu!... Dlatego też Engels wypowiada na jego pochwałę, że „niemiecki ruch robotniczy jest spadkobiercą niemieckiej klasycznej filozofii“ [1]. Tę samą myśl gdzieindziej rozwija obszerniej: „Jak we Francyi w XVIII. stuleciu, tak w Niemczech w XIX. filozoficzna rewolucya wywołała polityczną katastrofę (ma tu na oku rewolucyę z r. 1848). Jakaż jednak kolosalna między niemi różnica. Francuzi znaleźli się w otwartej wojnie z całą oficyalną nauką, z Kościołem a często i z państwem; pisma ich poza granicami, w Holandyi lub Anglii się drukowały, sami zaś często wtrącani byli do więzień. Tymczasem profesorowie niemieccy, są to przez państwo naznaczani nauczyciele młodzieży, pisma ich uznane za książki naukowe, a szczyt całej tej nauki, system Hegla, podniesiony poniekąd do godności królewsko-pruskiej filozofii państwowej“. Niema może dosadniejszej krytyki dzisiejszej nauki socyalnej, nad dopiero co przytoczoną. Engels jest z pewnością niepodejrzanym świadkiem, a jednak królewską uprzywilejowaną filozofię Hegla czyni odpowiedzialną za rewolucyę. Nie będziemy tego bliżej roztrząsali; zwracamy tu tylko uwagę, jak wielki udział ma filozofia Hegla w systemie rewolucyjnego socyalizmu.

Powiedziałem wyżej, że płaszcz naukowy, w jaki socyalizm się przybiera, powstał z odpadków różnych szkół filozoficznych; i tak: złożył się nań przedewszystkiem materyalizm filozoficzny, z jakim podówczas wystąpił Feuerbach w swej „Istocie Chrystyanizmu“, później rozwinął go Büchner, Vogt i Moleschott, a ostatecznie wydoskonalił Darwin i Häckel. Jednem słowem, treścią naukowego socyalizmu jest materyalizm, formą zaś, według której tenże został obrobiony, zawdzięcza szkole Hegla.

Marx w szkole Hegla wykształcony, nie mógł w zupełności przejąć się nauką swojego mistrza; przypadła mu do smaku

[1] „Ludwik Feuerbach“, str. 1.

wprawdzie jego metoda; treść jednak, lub jak sam się wyraża system, wcale mu się nie podobał. Ta treść, według jego rewolucyjnego ducha, jeszcze za bardzo szła śladami dawnych przekonań o Bogu. Upatrywał w absolutnej idei Hegla — ponieważ ta na zewnątrz w naturze się ujawnia, a zatem istniała zanim był świat — szczątki wiary w pozaświatowego Stwórcę, ten zaś dla filozofów socyalizmu był straszydłem, które koniecznie trzeba było usunąć.

Według jego rewolucyjnych zapatrywań, Bóg nie może istnieć, bo nie może istnieć niemateryalna i nieśmiertelna dusza, ani żaden duchowy pierwiastek życia, różny i wyższy od materyi. W dualizmie, który dawna wiara ukazywała w rozróżnieniu ducha od materyi przezeń ujarzmionej, upatrywał on teoretyczne uzasadnienie dualizmu społecznego, między panami a poddanymi. Dopóki, myślał on, wiara w ten dualizm między panującym duchem a niewolnicą materyą istnieje, nie może być mowy o zupełnem zniszczeniu dotychczasowego rozdziału społeczeństwa na panujących i poddanych, ciemiężycieli i uciemiężonych. Musi więc pierwszy dualizm upaść, aby módz usunąć dualizm społeczny. Do tego dążył Marx; nic więc dziwnego, że Hegel zdawał mu się za mało jeszcze usuwać dualizm między duszą a materyą, a absolutna idea Hegla za wiele jeszcze miała dlań podobieństwa z dawnym Bogiem.

Do wyjścia z tej rozterki z systemem Heglowskim, dopomógł mu odnowiony materyalizm Feuerbacha; powitał go też z entuzyazmem, i mimo niektórych krytycznych zastrzeżeń, całkowicie wcielił w swój system i więcej jeszcze rozwinął. Feuerbach w przeciwstawieniu do Hegla, postawił twierdzenie: materya nie jest produktem ducha, lecz raczej duch jest wytworem materyi; jedna tylko istnieje rzeczywista istota, a tą jest materyalny i pod zmysły podpadający świat, do którego i my należymy; cały nasz proces myślenia, czyli krótko mówiąc, wszystko, co nazywamy duchową czynnością, jest tylko wytworem materyalnego, cielesnego organu — mózgu. To właśnie najwięcej odpowiadało zamiarom Marxa i Engelsa; znosiło bowiem wszelkie ślady stworzenia świata, tak według pojęcia Hegla jak

i według nauki wiary [1]. Miejsce idealnego panteizmu zajął najjaskrawszy materyalizm. Ulepszenie tego systemu dokonane przez Marxa polega na tem, że zniósł on nazwę religii i moralności, które Feuerbach jeszcze zatrzymał. Zresztą religia Feuerbacha bez Boga, która niczem innem nie była, jak kultem uczucia, objawiającego się we wzajemnej miłości ludzi ku sobie a przedewszystkiem w miłości płciowej — na co innego nie zasługiwała.

Nie lepiej rzecz się miała z etyką Feuerbacha. Cała moralność, według niego, polega na dążeniu do szczęścia, ujętego w dwie linie demarkacyjne: pierwsza nie pozwala zbyt popuszczać cugli zadawalnianiu samego siebie, ponieważ nadmiar użycia i zbytek mści się chorobą; druga nie dozwala, by zadawalnianie siebie sprzeciwiało się takiemuż samemu dążeniu do szczęścia innych, i nie stawało im na przeszkodzie. Racyonalne poskramianie swych namiętności tak ze względu na siebie samego jak na innych, ażeby bez przeszkody używać ile się tylko da, oto szczyt moralności Feuerbacha, mającej uszczęśliwiać wszystkich po wszystkie czasy ludzi. Według Marxa, właśnie w tem ogólnem zastosowaniu tej moralności, zawierała się cała jej niedostateczność. Tysiące bowiem jest ludzi, którym absolutnie schodzi na środkach zaspakajania żądzy szczęścia. Taka więc moralność musiała być odrzuconą.

Jak niegdyś Marx i Engels z największą radością przyjęli naukę Feuerbacha, tak z daleko większym jeszcze entuzyazmem ich następcy przyjęli teorye Darwina i Häckla. Ich twierdzenia okrzyczano za niewzruszone dogmata nowej wiedzy. Odwieczność i niespożytość materyi uważano odtąd za niedające się zbić fakta; niezliczone kształty materyi poprzedzały pierwotną mgławicę systemu Kantowsko-Laplace'owego; wszelki byt streszcza się w materyi, siła chemiczna białka, to życie, duch, to tylko zbiorowa nazwa różnych funkcyj mózgowych. Sposób, jakim materya objawia swe istnienie, jest ustawiczny, nieprzerwany ruch. Każdy moment wyraża tylko chwilową fazę w odwiecznym po-

[1] Porównaj Engelsa „Ludwik Feuerbach", str. 22.

stępie, od wieków poruszającej się materyi; w niej to dokonywa się ustawiczna zmiana zanikania i stawania się[1].

Czem materyaliści byli dla nauk przyrodniczych, tem Marx chciał być dla historyi rodu ludzkiego. Tamci starali się okazać stopniowy rozwój, jaki przechodzi materya w różne przemieniając się kształty i organizmy; Marx postawił sobie za zadanie Darwinizm zastosować do historyi czyli rozwoju organizmów społecznych. Dawny materyalizm, mający za przedmiot przyrodę, przekształca się u niego w materyalizm społeczny. Aby przeprowadzić i zastosować tę swoją ideę do historyi, zwrócił się znowu do Hegla i jego dyalektycznej metody. Ale trzeba było przedtem system Hegla nieco odmienić, lub, jak Marx się wyraża, trzeba było przedtem Hegla wziąć na wywrót, zanimby go można zużytkować. Dla Hegla absolutna idea, to Stwórca świata. Z niej wyłania się rzeczywistość, ujawniająca się w zewnętrznych objawach, z niej rozwija się wszystko, cokolwiek istnieje. Rozwój tej absolutnej idei na zewnątrz trwa ustawicznie, bez wszelkiego zastoju, jest to ciągłe stawanie się *(fieri)*. Filozofia Hegla nie jest niczem innem, jak właśnie przedstawieniem tego rozwoju.

U Marxa ma się rzecz wprost przeciwnie: nie idea rozwija się w widzialnym świecie zewnętrznym, ale materyalny świat zewnętrzny ze swym rozwojem wytwarza wszelkie idee i wyobrażenia, które nie są niczem innem, jak produktem czystej materyi. Pojęcia więc, to tylko przerobiona w głowie ludzkiej materya; pojęcia, to tylko odbicie obrazowe rzeczywistego ruchu świata. Wszystkie duchowe wyobrażenia, wszystkie tak zwane moralne, filozoficzne i religijne prawdy, są tylko odbiciem materyalnych stosunków świata. Jak u Hegla w rzeczywistości niema *bytu tylko ciągłe stawanie się*, tak i u Marxa — z tą jeno różnicą, że u Hegla stawanie się jest odmianą idei, u Marxa odmianą materyi. U Hegla jest tylko jedna absolutna rzeczywistość, to jest odwieczne stawanie się, odwieczne przechodzenie z zanikania do powstawania, dlatego też niema ani jednej chwili, w którejby trwała niezmienna, absolutna rzeczywistość; albowiem

[1] Engelsa „Dühring" str. 43 i nast.

forma bytu, który dziś rzeczywiście istnieje, jutro zanika, a więc jest po wszystkie czasy zmienną; dlatego też Hegel nie uznaje żadnej absolutnej prawdy; prawda u niego niczem innem nie jest, jak tylko formą myśli, odbijającą rzeczywistość. Co dziś rzeczywiście istnieje, to jest na dziś prawdziwem i rozumnem. Ponieważ zaś to samo jutro już nie istnieje, więc jutro już nie jest prawdziwem i rozumnem.

Ten sam dogmat przyswoił sobie Marx, z tą tylko różnicą, że gdy u Hegla odwieczne stawanie się jest formą myśli, to u Marxa jest ono formą materyi. Dlatego też Marx nie uznaje również żadnej absolutnej prawdy. Odmiana materyi dziś w pewien dany sposób się przedstawia, który się odbija w odpowiednich formach poznawania, jutro zmienna materya w inne przechodzi stadyum, a tem samem w innych odbija się pojęciach.

To właśnie twierdzenie jest kluczem do całego systemu. Marx nie zaprzecza względnej racyi bytu pojęciom socyalnym, religijnym, prawnym, które w jakimś czasie rzeczywiście istniały: są one bowiem według niego koniecznym duchowym o s a d e m owoczesnych materyalnych stosunków; zaprzecza tylko jednakową zawsze ich doniosłość, absolutną, niezależną od czasu i miejsca prawdę i znaczenie tychże pojęć. I jak każdy czas posiada pewne odrębne stadyum materyalnego rozwoju, tak też ma tem samem pewne szczególne, sobie tylko właściwe pojęcia, które jedynie w tym okresie czasu są prawdziwemi i rozumnemi.

Jak ten ustawiczny ruch materyi w naturze jest polem badań dla nauk przyrodniczych, tak ustawiczny jej pochód w ludzkiem społeczeństwie jest polem badań dla Marxa i Engelsa; jak naturaliści odkryli prawa materyi w przyrodzie, tak samo Marx szuka praw tejże materyi w dziejach ludzkości. Historya świata jest dla niego tylko historyą przyrody, historyą materyi, rozwijającej się w ludzkości według praw koniecznych.

Filozofia Hegla była nauką ewolucyi, filozofia Marxa jest również nauką ewolucyi. W tem schodzą się obadwaj; Marx jest pod tym względem tylko uczniem Hegla. Tak więc socyalna filozofia Marxa jest materyalizmem ujętym w metodę He-

gla i zastosowanym do socyologii. Rozwińmy nieco obszerniej to, cośmy powiedzieli.

Materyalizm w jakiejkolwiekbądź formie występuje, opiera się wyłącznie na indukcyi; lecz ogólne, transcendentalne prawdy, zapomocą których jedynie, z podpadających pod zmysły faktów, można wyprowadzać nowe prawdy, dla niego nie istnieją. Dawny empiryzm zadawalniał się szukaniem zawartych w naturze faktów i ich grupowaniem, nie troszcząc się bynajmniej o wewnętrzne ich znaczenie i prawa, któreby wszystkie te fakta między sobą wiązały. Marx idzie dalej: chce on odwieczny, zmienny proces stawania się, jaki widzimy w historyi świata, ująć w pewne prawa, sprowadzić do jedności, nietylko wyliczając i porządkując formy rozwoju, ale zarazem odkrywając prawo, według którego się odbywają.

Tego rodzaju uczeni nazywają umiejętność, zajmującą się ogólnemi prawami ruchu i ewolucyi, „dyalektyką", dlatego też metoda Marxa jest dyalektyczną, jak nią była metoda Hegla. Co zrobił Hegel dla idei absolutnej, stanowiąc prawa jej rozwoju, a Darwin dla rozwoju świata organicznego, oznaczając prawa, według których ten rozwój się dokonywa, to samo uczynić zamierza Marx dla świata socyalnego i historyi powszechnej; chce on mianowicie odkryć prawa ruchu, według których dokonał się rozwój ludzkości. Odkrycia, jakich na tem polu dokonał, przedstawia nam Marx w swem dziele „Kapitał".

Przypatrzmy się nieco bliżej tej pracy Marxa. Cały ród ludzki, to tylko materya. Jak w naturze cały proces ewolucyjny dokonywa się według praw koniecznych, tak i proces historyczny rozwoju ludzkiego społeczeństwa dokonywa się według nieprzepartych praw konieczności, którego żadna ludzka siła powstrzymać ani wywołać nie jest w stanie. Ta konieczność dziejowej ewolucyi, to konieczność dziejowa, zawarta w samej istocie tejże ewolucyi [1].

Ażeby ujść słusznego zarzutu, objaśniają nas zaraz ci autorowie, jak daleko sięga ta martwa konieczność. Można im bo-

[1] Bebel: „Nowe czasy", Rocznik x, tom i, zeszyt i, str. 10.

wiem powiedzieć: „dlaczego więc tyle agitacyi w sprawie socyalizmu, jeżeli on jest konieczną formą rozwoju ludzkiego społeczeństwa, której żadna siła powstrzymać nie jest w stanie?“ Odpowiadają na to: kierunek społecznego rozwoju zależy wprawdzie od stosunków materyalnych, ale sposób w jaki się dokonywa i szybkość z jaką się uiszcza, do pewnego stopnia zawisły od pojedyńczych czynności[1]. Innemi słowy, pojedyńcze formy społeczne powstają z wewnętrznej konieczności, a więc tak samo i socyalizm, szybkość zaś i sposób, w jaki jedna forma następuje po drugiej, zawisły od naszego udziału.

Wielkie więc ono prawo, które panuje nad tym procesem rozwoju, nazywa się negacyą negacyi. Prawo to, jak nas zapewnia Engels[2], obejmuje wszelki rozwój, objawiający się tak w geologii i królestwie zwierzęcem i roślinnem, jak też w matematyce, w historyi i filozofii. Ojcem tego prawa jest Hegel; Marx zastosowuje je do rozwoju ludzkiego społeczeństwa. Ażeby pojąć pochód myśli Hegla i jego zwolenników, musimy przedewszystkiem zrozumieć, co tu oznacza słowo negacya. Słowo to nie znaczy u niego przeczenia logicznego, ale zniszczenie, zaniknięcie, a tak prawo „negacya negacyi“ rozumieć trzeba w ten sposób, że każda forma bytu zawiera w sobie zaród formy następującej, a zatem zaród własnego swego zniszczenia, każda następująca zaś forma tak samo powstaje z zarodem własnego zniszczenia. Nasienie ginie wydając z siebie roślinę; roślinę, z powodu jej przymiotów, niszczy zwierzę i t. d. Każda faza bytu zawiera w sobie niebyt, i dlatego byt i niebyt są w ścisłem ze sobą połączeniu. Widzimy to tak samo w naturze jak i w historyi ludzkości. Każdy historyczny okres zawiera w sobie zaród następującego, a tem samem zniszczenia siebie. Dlatego też dzisiejszy okres społeczeństwa ludzkiego zawiera w sobie zaród śmierci, i przeto, według niezbędnego prawa konieczności, daje życie socyalizmowi. A socyalizm czy wiecznie trwać będzie?

---

[1] „Nowe czasy“, zeszyt 8.

[2] Dühring, str. 132.

Filozofowie socyalizmu są tego pewni, ponieważ jest on najwyższym szczeblem rozwoju społecznego. *Nous verrons!*

Socyaliści podnoszą ze szczególnym naciskiem wniosek z dopiero co wypowiedzianej zasady: w historyi ludzkości żaden okres, żadna faza rozwoju nie zanika bez walki, dlatego też ogólny historyczny rozwój rodu ludzkiego przedstawia się nam jako historya walk między klasami. Te nawzajem się zwalczające klasy nie są, jak nas Engels poucza[1], czem innem, jak koniecznym wytworem materyalnych stosunków produkcyi i sposobów komunikacyi owego czasu. W każdym okresie bowiem ludzie wchodzą w konieczne i od ich woli niezawisłe stosunki, mianowicie w stosunki produkcyjne, tj. w stosunki własności, zawisłe od materyalnych sił produkcyi swojego czasu. Suma tych stosunków składa się w każdym okresie na ekonomiczną strukturę społeczeństwa, ta zaś znowu jest źródłem wszelkiej duchowej samowiedzy, wszelkiej religii, wszelkich moralnych i prawnych pojęć, tak dalece, że te pojęcia nietylko nie kształtują społeczeństwa, lecz przeciwnie, same są materyalnym rezultatem tychże kształtów. I nic dziwnego, bo przecież pojęcia te nie są, według tych filozofów, czem innem, jak materyalnemi funkcyami mózgu, który wraz z człowiekiem i jego stosunkami odpowiednio się rozwija. Jeżeli zaś stosunki produkcyjne dojdą w swym rozwoju do tego stadyum, że opanują wszystkie siły produkcyi, następuje starcie między jednemi drugiemi, a wskutek tego przewrót dotychczasowej socyalnej struktury, a z nim wszelkich form ideologicznych, tj. wszelkich politycznych, religijnych i filozoficznych pojęć. Rzecz ta wypowiedziana po prostu, bez osłony filozoficznych frazesów, tak się nam przedstawia: stosunki produkcyjne, biorąc je konkretnie, to klasa posiadająca — siły produkcyjne, to klasa robocza. Sposób produkcyi rozwija się ustawicznie, jedna forma wypiera drugą; młot parowy wypiera młot ręczny, młyn ręczny wyparty jest przez młyn parowy. Staranie się o nowsze, doskonalsze sposoby produkcyi, jest rzeczą klasy posiadającej; klasa robocza

[1] W „Krytyce ekonomii politycznej".

staje się niewolnicą nowych form w obecnej epoce, niewolnicą maszyn, a tem samem niewolnicą klasy posiadającej. Dlatego klasa posiadaczy w swoim rozwoju dochodzi koniecznie do tego stadyum, w którem kompletnie opanowywa klasę roboczą i wkłada na nią więzy niewoli; te więzy muszą być zerwane, stąd walka, rewolucya wypierająca klasę posiadaczy. Naturalnem następstwem, z nowemi socyalnemi stosunkami powstają też zupełnie nowe polityczne, filozoficzne i moralne pojęcia. Wszystko to dzieje się według prawa konieczności, niezawisłego od wolnej woli ludzkiej, tem mniej od ponadświatowej Opatrzności; tak jedna jak i druga, to tylko figury krasomówcze, któremi wyrażamy nasze stosunki.

Istota więc historyi ludzkości, według socyalistycznej filozofii, da się w następujący sposób określić: charakterystyczna i zarazem rozgraniczająca cecha każdego okresu, zawiera się w produkcyi materyalnej, w narzędziach i sposobie, w jaki praca się dokonywa, a tem samem w stosunkach własności. Walka klas wywołuje postęp w tym historycznym procesie. Ponieważ formy produkcyi bezustannie dalej w swym pochodzie się posuwają, wytwarzają coraz to nowsze narzędzie pracy, coraz doskonalsze maszyny: więc w miarę tego wzrasta przewaga posiadaczy tych narzędzi nad robotnikami, którzy niemi pracują, a tem samem wyzyskiwanie klasy roboczej zwiększa się ustawicznie; stąd rozgoryczenie wzrasta z każdą chwilą i ostatecznie wynika walka, której celem jest uwolnienie uciśnionych od ciemiężycieli. Ponieważ zaś każde ekonomiczne ukształtowanie społeczeństwa odbija się w ukształtowaniu politycznem albo państwowem i w niem znajduje swój legalny wyraz, dlatego każda walka klas jest walką polityczną, której końcem przewrót politycznej formy państwowej.

W każdej epoce dziejowej jest zaród jej dalszego rozwoju i stąd zaród nieuniknionej walki, a więc i własnego jej zniszczenia, a przeto cała historya da się sformułować *mors immortalis* [1].

[1] Marx: „Nędza filozofii", str. 1.

Oparty na tych podstawach Marx, rozwija całą historyę ludzkości. W przedhistorycznej dobie produkcya była wspólną, konsumpcya zaś zawierała się w bezpośrednim rozdziale produktów na pojedyńczych członków rodziny. Punkt, ku któremu grawitowała ta epoka, było to społeczne rozszerzanie się ludzi. Po tej nastąpiła druga. W miarę rozmnażania się rodu ludzkiego niezbędnym stał się podział pracy; powstała hodowla bydła, rolnictwo, rzemiosła; znikła komunistyczna produkcya i konsumpcya. Wymiana różnych produktów prowadziła do własności prywatnej, prywatna zaś własność do różnicy majątkowej, a tem samem do różnicy i waśni klas. Wkrótce potem członkowie familii nie wystarczali do wykonywania pracy, aby w zamian za nią otrzymywać niezbędne produkty; zaczęto szukać nowych sił do pracy, których też dostarczyła wojna i idące za nią niewolnictwo. Niewolnictwo było więc formą produkcyjną w rozwoju społeczeństwa; na niem opiera się cała owoczesna cywilizacya. Spotykamy się też z niewolnictwem w trzech głównych epokach ucywilizowanego świata: niewolnictwo w ścisłem znaczeniu w starożytności, niewolnictwo z poddaństwem w wiekach średnich, niewolnictwo w postaci płatnej pracy w czasach najnowszych. Ludzkość rozpadła się na dwie wielkie klasy: wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, ciemiężycieli i ciemiężonych.

Stary świat wraz ze swem niewolnictwem upadł przez swe bogactwa i złączone z niemi zbrodnie zbytku i używania. Na jego miejsce wstąpiło feudalne panowanie szlachty ze swymi poddanymi — jest to zaiste postęp, ponieważ poddani używani byli tylko w pewnych czasach w roku, byli to niewolnicy tygodni i dni. Rozwój parł dalej. Podwładni zbiegli do miast, aby ujść przed swymi panami. Tak powstało mieszczaństwo ze swojem cechowem rzemiosłem, stanowiącem pierwszą formę rozwoju kapitalistycznego społeczeństwa. Wkrótce przemysł rękodzielniczy włożył więzy na cechy, ale i sam musiał ustąpić z pola przed wyrobami maszynowemi, gdyż przez nie kapitał kompletną uzyskał przewagę. Prócz tego rewolucya francuska rozkuła kajdany feudalizmu, nadając mieszczaństwu wszelką wolność akcyi, z którą pod wpływem kapitału rozwinęły się środki pracy, a z niemi

nowa niewola robotników. W tej niewoli zawiera się zaród śmierci dla dzisiejszej formy społecznej; uciemiężony proletaryat musi pokonać i odnieść zwycięstwo nad ciemiężącem go mieszczaństwem. Jest to ostatnia walka, ostatnie zwycięstwo, które wieczny przyniesie pokój. Poprzednia przewaga klasy była niezbędną, ponieważ według dawnego stanu produkcyi użyte do pracy siły były tak w swej pracy pogrążone, że zupełnie brakowało im czasu, aby się starać o interesa wspólne, tj. państwowe, prawnicze, tyczące się wykonania pracy i t. d., dlatego inna, odrębna klasa musiała się zająć temi sprawami; teraz zaś przez kolosalne udoskonalenie środków pracy, można ją na wszystkich członków równo rozdzielić, i każda jednostka będzie jeszcze miała czas, aby mogła brać udział w ogólnych i wspólnych pracach, jakich wymaga zarząd całego społeczeństwa. Różnica więc klas musi być zniesioną, wyzyskiwanie jednych przez drugich musi ustać, a tem samem skończy się walka. Polityczna przewaga jednej klasy ustanie; naród sam jako robotnik dzierżyć ją i sprawować będzie w przyszłości. Ostatnia walka klas będzie zarazem ostatnią polityczną rewolucyą.

Taką to powieść podają nam Marx i Engels o historyi ludzkości.

Cośmy o filozofii socyalizmu powiedzieli, to tylko ogólne zarysy. Lecz czyż to nazwać można filozofią, i to filozofią opartą na doświadczeniu, filozofią rozświecającą tajemnicze prawa historyi ludzkości?

Mimo ścisłej logiki, niema w tem wszystkiem ani jednego ziarna prawdziwej nauki. Logika dla filozofii jest tem, czem matematyka dla nauk ścisłych. Jak w nich najlepsze wyliczenia nie mogą fałszywej hipotezy lub fałszywej danej zrobić prawdziwą, tak i w filozofii sama logika nie potrafi fantastycznym ideom nadać przedmiotowej prawdy.

Szczytem filozofii socyalizmu jest: że z zasady nie uznaje żadnej absolutnej i bezwzględnej prawdy, bo i prawda sama według niej tak samo jak materya podlega zmianom i przejściom. Jednakże to, co sami ci autorowie nauczają, ma być niezbitą, po wieczne czasy znaczenie mającą prawdą; a kto o tem po-

wątpiewa, ten usłyszy grzeczności, jakie jedynie w słowniku socyalistów się znajdują.

Tak np. bezwzględnemi prawdami u nich są: „wszystko jest materyą, i wyłącznie materyą, poza którą nic nie istnieje — ewolucya natury i historya rodu ludzkiego urabia się pod naciskiem wewnętrznej niezmiennej konieczności“.... „Wszelkie religijne, filozoficzne i prawnicze pojęcia, to tylko mechaniczne odbicie chwilowych stosunków produkcyjnych“ i t. d. Jednę jeszcze zasadniczą prawdę uznają ci filozofowie za bezwzględną i najwyższą, tj. że niema żadnej absolutnej prawdy! Ludzie, którzy w tak jawnej są sprzeczności ze swą najwyższą zasadą, nie mogą doprawdy mieć pretensyi do naukowości. Historya ludzkości tak samo, jak i historya przyrody, jest według nich ciągłem, nieskończonem, z wewnętrznego pędu konieczności pochodzącem zanikaniem i powstawaniem — nieskończonem stawaniem się; a jednak to nieskończone stawanie się, dochodząc do socyalizmu, staje u kresu. Raz mówią, że z końcem stawania się nastąpić musi zakończenie historyi świata, to znów, że z końcem stawania się czyli z socyalizmem, dopiero historya ludzkości się rozpocznie i wejdzie w okres swego złotego wieku. Czy z takich sprzeczności może się składać nauka? Powołuje się ta nauka na obserwacyę, na fakta — ale jakież fakta?

Engels opowiada nam, że praojcowie rodu ludzkiego w zwrotnikowych lasach pierwotnie żyli na drzewach, karmili się orzechami i korzeniami, i starali się swe dzikie głosy przemienić w mowę. Jakież więc wiedza ma fakta na potwierdzenie tej prawdy? Pozytywnych dowodów o tym stanie pierwotnym nie mamy żadnych, ale skoro raz się przypuści, że człowiek od zwierzęcia pochodzi, natenczas i to przejście od jednego stanu do drugiego staje się niezbędnem [1]. O rodzinie pierwotnych ludzi opowiada nam z wszelką pewnością Engels, „że w każdym szczepie stosunki niczem nie były krępowane, że każda kobieta dla każdego była mężczyzny i każdy mężczyzna dla każdej kobiety“ [2].

---

[1] Engels, „Pochodzenie famili“.

[2] Tamże str. 17.

Jakież ma fakta na poparcie tego? Nie ma żadnych, lecz powołuje się na Lowe'go Morgana. I ten żadnych nie posiadał faktów, tylko postąpił tak, jak wielu wrzekomo uczonych: wyszukał sobie najdzikszе plemiona, jakie mógł znaleść, i stosunki, które między niemi zastał, przedstawił jako stosunki pierwotnych ludzi. Lecz czyż to wiedza na faktach się opierająca? Któż może dowieść, że stan, w jakim żyją barbarzyńskie ludy, był pierwotnem ich życiem a nie zdziczeniem? Virhoff nazwał tego rodzaju pierwotne dzieje uczonym wymysłem, nie ustępującym w niczem mistycznej poezyi [1].

Jeszcze słówko dla rozweselenia. Engels opowiada, że pochwycił moment, w którym małpa przedzierzgnęła się w człowieka: Pewnego dnia przyszło małpie do głowy (jednej czy więcej?), by dwa kawałki drzewa silnie trzeć jeden o drugi; po jakimś czasie rozgrzane drzewo poczęło się kurzyć; ta chwila właśnie roznieciła w niej iskrę rozumu i stała się powodem przemiany w człowieka. Jeżeli kto zapyta p. Engelsa, jak to być może, aby w późniejszych czasach żadna małpa nie zdobyła się na naśladowanie swoich towarzyszek, albo przynajmniej dlaczego istnieją jeszcze małpy zwyczajne, a nie zostały wytępione przez potomków owej tak dowcipnej? — ma i na to odpowiedź [2]: „Małpy te były hipotetycznemi zwierzo-ludźmi, które od innych zwierząt szczególną wyróżniały się właściwością, tj. zdolnością nietylko do doskonalania się w obrębie swego gatunku, ale i do nabywania przymiotów innemu gatunkowi właściwych". Tak socyalistyczna nauka uiszcza się z swych obietnic, i tak „zastępuje fantastyczne łączniki, wiążące przeskoki w naturze i historyi — rzeczywistemi!"

Treścią całej socyalistycznej teoryi jest materyalizm; materyalizm zaś, to nie wiedza ani historya, ale obłęd lub oszukaństwo. Obłęd, który urąga w przeprowadzeniu swych myśli najprostszym regułom logiki; oszukaństwo, najgorsze mające skutki.

Sławna historya rozwoju ludzkości taka, jak ją Marx na-

[1] Engelsa Dühring, str. 129 i nast.

[2] „Przeludnienie Europy".

szkicował, zasługuje jeszcze na niektóre uwagi. Że historya niczem innem nie jest, jak ustawicznem zanikaniem i powstawaniem, tego zaiste nowem odkryciem nazwać nie można. Że w każdej epoce, ba w każdej fazie, zawarty jest zaród przyszłej, jest to prawda, ale bynajmniej nie nowa. Lecz nie jest prawdą, tylko niedorzecznością, ta fatalistyczna konieczność, z jaką jedna faza z całym swym odrębnym charakterem ma następować po drugiej. W r. 1849 Marx przepowiadał początek europejskiej rzeczypospolitej, opierając swe proroctwo na prawach ślepej konieczności — tego dziejowego fatalizmu. Ludwik Napoleon nie troszczył się o Marxa, ani o ślepą konieczność rewolucyi, lecz sparaliżował dziejowy fatalizm założeniem Drugiego Cesarstwa. Istnieje bowiem obok materyi jeszcze inny żywioł, który wchodzi jako czynnik w rozwój dziejowy, tj. duch ludzki z całą skarbnicą swych idei, z całym labiryntem swoich żądz i pragnień, swej wolnej woli; a jeszcze ponad temi dwoma czynnikami stoi wszechmocna Opatrzność i rządzi ludźmi, mimo że ją negują. Socyaliści sami nie wierzą w nieunikniony wpływ tej konieczności. Gdyby bowiem według tych praw koniecznych do nich należała przyszłość, jakiżby cel mieć mogła tak gorliwie prowadzona przez nich agitacya? Jeżeli zwycięstwo socyalizmu z ekonomicznych stosunków koniecznie wyrasta, to jakiż cel mieć może głoszenie bezbożnych zasad, rozdmuchiwanie nienawiści klas, kłamliwe wychwalanie przyszłej szczęśliwości w państwie socyalnem, parcie ku rewolucyi. Kłamią, gdy mówią, że ich agitacya nie nadaje kierunku rozwojowi, lecz tylko ułatwia jego dziejowe zjawienie się. Tysiące robotników nie pogrążałyby się w słodkich snach o państwie socyalistycznem, gdyby ich do tego nie pchali agitatorzy przez kłamliwe obietnice. Niema tam ślepej konieczności, gdzie jest działanie świadome celu, a takiem jest agitacya socyalistyczna.

Jeszcze jedna niedorzeczność zawiera się w historyi jako ewolucyi. Cały ten rozwój opiera się jedynie na ekonomicznej strukturze społeczeństwa, tj. ostatecznie na sztucznych stosunkach produkcyi i środkach komunikacyi, czyli wogóle na stosunkach własności i wynikającej z nich walce tych klas, które właściwie pchają

społeczeństwo dalej po drodze rozwoju. Dobrobyt lub ubóstwo jakiegoś narodu z pewnością wielką odgrywają rolę w jego dziejowym rozwoju; temu nikt nie przeczy. Lecz trzeba być bardzo powierzchownym badaczem tej prawdy, aby ją uważać za jedyną i wyłączną przyczynę tego rozwoju. Jakże często pojedyńcze fakta, niezależne od ekonomicznej struktury, były punktem wyjścia dla nowej epoki, jak np. odkrycie Ameryki; jak wielki wpływ na historyczny rozwój narodów wywiera religia, i wzbudzona przez nią dobra wola — albo niereligijność i rozkiełznanie namiętności, jakie taż za sobą pociąga. Nikt też chyba wojnom krzyżowym nie odmówi ogromnego wpływu na rozwój dziejowy. Dalej niedorzecznością jest uważać wszelkie wojny za walki warstw społecznych, wynikające niechybnie z różnic majątkowych. Jakże wiele było wojen bez żadnych słusznych powodów, wywołanych tylko pychą chciwego zdobyczy króla — dość tu wspomnieć wojny Turków i Szwedów. Lecz na co tyle słów w rzeczy skądinąd tak jasnej.

Niedorzecznością jeszcze większą, a którą socyalizm podnosi do rzędu zasadniczej prawdy, jest twierdzenie, że wszelkie polityczne, moralne i religijne pojęcia, całe duchowe kształtowanie się społeczeństwa jest tylko wiernem, materyalnem odbiciem ekonomicznego tegoż społeczeństwa ukształtowania, i że dlatego te pojęcia w miarę zmian stosunków ekonomicznych i same całkowitej podlegają zmianie. Dlatego też niema żadnej absolutnej prawdy, żadnych absolutnych niezmiennych zasad moralności, żadnej po wsze czasy jednej i niezmiennej religii, żadnych stałych i niepodlegających zmianie zasad politycznych. Dziś cieszymy się jeszcze pojęciami, ogólnie uznanemi, ale zawdzięczamy je tradycyi dawnych stosunków własnościowych; lecz skoro te runą, to rozsypie się zarazem cały zbudowany na nich gmach pojęć tak spekulatywnych, jak i etycznych. W komunistycznym ustroju społecznym będzie można o tej samej rzeczy równocześnie wydawać twierdzący i przeczący sąd. Kłamstwo, niewierność, oszukaństwo, to wszystko mogą być czyny moralne; hołd oddawać Bogu jako Stwórcy i Kierownikowi świata było dobrem w czasach, w których istnieli ciemiężyciele i ciemiężeni, ale nie-

dorzecznością będzie w epoce, w której ciemięzców i ciemiężonych nie będzie.

Lecz kiedyż to następuje ten moment, w którym prawda we wręcz przeciwny przedzierzga się fałsz? Z chwilą zmiany środków pracy i komunikacyi — odpowiada Marx. A więc maszyny, koleje żelazne przeistoczyły w wierutny fałsz wszystkie prawdy, które od tysięcy lat były uznawane? Któż może się zgodzić na takie twierdzenie? Moralność podlega zmianom, więc niema żadnych stałych niezmiennych praw! A dlaczegóż socyaliści ustawicznie skarżą się na wyzyskiwanie ubogich przez bogatych, odwołując się na prawo moralne? Wszak to niedorzeczność według ich pojęć! Wszakże wyzyskiwanie, to odbicie wierne dzisiejszych stosunków własnościowych, i dlatego zupełnie z moralnością się zgadzające. Dekalog zaś, czyli zasadnicze prawo moralności, to odbicie dawnych stosunków własności! Takby oni rozumować powinni.

Że na aktualną moralność, tj. na przestrzeganie prawa moralnego, wpływa ekonomiczny stan narodu, owszem, że nawet sumienie, narzucające woli prawo moralności, jako normę wszelkich czynów, tymże wpływom mniej lub więcej podlega, temu nikt nie przeczy; żeby zaś prawo moralności miało być tylko wyrazem stanu ekonomicznego i wyłącznie jego odbiciem, to potworna niedorzeczność!

Że prawa i obowiązki tak jednostek jak i całych narodów mogą w szczegółach uledz zmianie z powodu ekonomicznych stosunków, równie wątpliwości nie podlega. Jestem sługą, to muszę słuchać; jestem panem, to mam prawo domagać się posłuszeństwa od podwładnego. Ale prawo i obowiązek nie są rezultatem ani ukształtowania się społeczeństwa, ani materyalnych stosunków jednostek. Niech podścielisko ekonomicznych stosunków będzie nie wiedzieć jakie, zawsze istnieć będą te same niewzruszone prawa i te same obowiązki, z pod których nie można się wyłamywać. Osoba, mająca pierwsze a podlegająca drugim, może się zmienić; prawo jednak nigdy nieprawością nie będzie, obowiązek obowiązkiem nigdy być nie przestanie.

Największym absurdem ze wszystkich, to określenie religii

jako rzeczy wyłącznie ekonomicznej natury. Państwo rzymskie, zabijające miliony chrześcijan i usiłujące w ich krwi utopić Kościół, to, mówią, konieczny wynik współczesnych ekonomicznych stosunków. Z współczesnych środków produkcyi i komunikacyi poganizmu miałaby wykwitnąć religia chrześcijańska, ze swoją wiarą, Sakramentami i moralnością, jako wyraz duchowy całego ekonomicznego położenia starego państwa rzymskiego! Co za niedorzeczność! A jednak socyaliści dogmata chrześcijańskie jako nierozumne odrzucają, a na swój, każą przysięgać tysiącom robotników jak na symbol wiary.

Oto jest filozofia, z którą występuje socyalizm, przedstawiający się jako naukowo uzasadniona forma ludzkiego społeczeństwa.

Jak praktyczne postulata socyalizmu nie zawierają w sobie zarodu trwałości, tak uzasadnienie jego naukowe ukazuje nam się jako system takich niedorzeczności, że trudno przypuszczać, aby jego twórcy ich nie postrzegali. Co znów każe nam wnosić, że ta cała frazeologia naukowa jest tylko tendencyjnem tumanieniem ludu, którego pomocy potrzebują.

Ks. Antoni Langer.

PIERWOTNA RELIGIA HINDÓW.

PRAWEDYZM.

(Ciąg dalszy).

Religia Hindów nie była naturalistyczną.

Dowód Pictet'a oparty na lingwistyce podaliśmy poprzednio, obecnie poprzemy go i uzupełnimy rozbiorem samych hymnów.

Przebiegając hymny Rigwedy, napotykamy często wspomnienia ciał niebieskich i objawów atmosferycznych: Riszi w swych pieniach uosobiają je, uwielbiają, dają przydomki bogów słońcu *Suria*, wiatrowi *Waju*, burzy *Rudra*, jutrzence *Uszas* i innym. Wobec tych danych zdawałoby się, iż trudno wymówić Hindów od naturalizmu, jednakże głębsze wniknięcie w teksty wedyjskie wykazuje powierzchowność tego zapatrywania.

„Rzeczywista nauka w całem piśmiennictwie hinduskiem — pisze Colebrooke [1] — tchnie jednością Bóstwa, w którem mieści się cały świat; pozorna zaś wielobożność, jaką głosi, przedstawia elementy, gwiazdy i planety za bogów".

Główne tło, jądro tych myśli, było właśnie tem, co Hindowie nazywają *Śruty* [2]; szata zaś zewnętrzna, w jaką je odziewali,

[1] *Essays*, p. 68.

[2] „The material upon which they worked consisted in part of the myths and legends which were rooted in the traditions of the people, and partly also of the rude physics and metaphysics of the more thoughtful. Wallis, *The cosmology of the R. V.*, p. 7.

była płodem ich umysłu i wyobraźni. Ażeby wyrazić atrybuty Najwyższej Istoty, Riszi uciekali się słusznie do zewnętrznych objawów Jej działalności. *Coeli enarrant gloriam Dei.* Chcąc podnieść wszechmocność, wszechwiedzę, wszechdobroć Boga, wysławiają wspaniałość i ogrom nieba, piękność jutrzenki, dobroczynny wpływ słońca, błogie skutki deszczu [1]; gorąca wyobraźnia dostarcza im porównań i przenośni, zapał poetyczny rodzi pochwały i przesadne tytuły, a stąd do identyfikacyi jeden krok tylko [2]. Suria i Waju, Rudra i Uszas nazywani są bogami, za bogów jednak nie są uznawani, i czci Bogu należnej nie odbierają. „W tych hymnach — pisze Barth [3] — nie uwydatnia się ani cześć bezpośrednia przedmiotów, nawet najwyższych, ani cześć przeźroczych uosobień objawów przyrody. I tak Jutrzenka jest wielką boginią: Riszi nie znajdują dość wymownych słów na jej pochwały, a jednakże nie składają jej ofiar. To samo

[1] „L'homme reconnait une suprématie céleste, et il croit qu'elle se manifeste dans les phénomènes qu'il observe; le feu lui parait une des forces les plus incontestables de la nature, et il s'adresse à lui sous le nom d'*Agni;* le soleil lui semble un des bienfaiteurs les plus manifestes de l'humanité et il l'invoque sous le nom de *Sourya;* l'atmosphère lui est favorable par ses pluies fécondes, et il la bénira sous le nom d'*Indra*... Ainsi fait-il de tous les phénomènes qui le frappent, que tantôt il individualise, que tantôt il résume sous le nom générique de *Dévas*, esprits lumineux. — Max. Grazia et Jules David, *Préface de Rigveda,* p. Langlois, p. 25.

[2] Mamy tu niepodejrzane świadectwo uczonego mitologisty: „Nous aurons en effet plus d'une fois l'occasion de constater que pour les poëtes védiques la comparaison n'est pas éloigné de l'assimilation". — Bergaigne, *La religion védique,* vol. I, p. 13.

Porównania idą w parze z identyfikacyami. I tak: w Jadżur-Weda (XXVII, § 45; Colebr. *Essays*, p. 33) Agni jest identyfikowany z różnymi cyklami czasu, które odpowiadają obrządkom: „Ty jesteś (Agni) *samwatsara* (pierwszy rok); ty jesteś *pariwatsara* (drugi rok); ty jesteś *idawatsara* (trzeci rok)" i t. d. Z tego powodu Colebrooke pisze: „Ta identyczność jest pozornie niedorzeczną, ale wykazuje, jak to komentatorowie objaśniają, ścisły stosunek między ofiarą i czasem przepisanym do jej sprawowania". Muir przyznaje, iż przymioty najwyższego panowania, jakie autorowie hymnów przypisują kolejno każdemu bogu, są tylko przenośniami i pochlebstwami. „The epithets denoting universal *dominion*, which are lavished upon them all in turn, may be sometimes hyperborical or complimentary". *Op. cit.* vol. V, p. 352.

[3] *Op. cit.*, pp. 7, 8.

można powiedzieć o Niebie i Ziemi; ta para schodzi całkiem na drugi plan, chociaż przyznają jej, że jest rodzicielką bogów i ludzi. Księżyc zajmuje rolę całkiem podrzędną. Samo nawet Słońce, tak wybitne w micie, nie utrzymuje się na tem stanowisku w uczuciach religijnych; kiedy idzie o oddawanie czci, wówczas wierni chętniej okazują hołdy osobistościom bardziej złożonym i więcej mglistym".

Mamy tedy ważne świadectwo Bartha, że ciała niebieskie nie były przedmiotem czci u Hindów, a jednak mógł był dodać, a raczej powinien był dodać, bo o tem dobrze wie, że one nie mogły być przedmiotem czci, albowiem tak Riszi wedyjscy jak i najbliżsi ich komentatorowie przyznają, że ciała te były stworzone. I tak: Jadżur-Weda, komentując widocznie hymn X., 121, Rigwedy, pisze:

„Jakiemu Bogu mamy składać ofiary, czy temu, który uczynił płynne niebo i twardą ziemię, który ustalił system słoneczny i firmament nieba, który utworzył krople deszczowe w powietrzu? Jakiemu Bogu mamy składać ofiary, czy temu, którego niebo i ziemia podziwiają kiedy są umocnione i upiększone ofiarami i oświecone słońcem nad nimi świecącym?" [1].

Większą trudność sprawiają słynne postacie bożków hinduskich *Agni* i *Soma.*

Agni, ogień ofiarny, *Soma,* napój ofiarny, zostały uosobione i były przedmiotem niezwykłej czci; wielka część hymnów poświęcona była tym bogom. Barth, który stanowi powagę w tym względzie, pisze:

„Jedyne bóstwa pierwszorzędne, Agni i Soma, — pisze on [2] — zachowały ostatecznie właściwe cechy naturalistyczne. Te przedmioty były zanadto widzialne i dotykalne, aby zdołały się ukryć pod osłoną uosobień. Jednakże i tutaj zacieniowano zbyt wydatne kształty bożka ognia i bożka napoju: otoczono je symbolizmem nader subtelnym i nadzwyczaj powikłanym, nasycono je całą energią ofiarnego mistycyzmu, potęgę ich i władzę umieszczono

[1] Colebrooke, *Essays,* p. 33.
[2] *Op. cit.,* p. 8.

poza granicami świata zmysłowego i utworzono z nich pojęcia czynników kosmicznych, powszechnych pierwiastków". Takie tłumaczenie niczego nie wyjaśnia, autor *se paye de mots,* i można mu zarzucić taki sam mistycyzm, jaki on zarzuca Riszim, a jeszcze większą chwiejność w wypowiedzeniu ostatniego słowa. I tak, z jednej strony usiłuje widocznie obronić Hindów od zarzutu naturalizmu, lecz tak niezręcznie, czy też umyślnie przeprowadza genezę Agni i Somy, iż ostatecznie wynika, że naturalizm był punktem wyjścia pojęć religijnych. Otóż rzecz ma się całkiem inaczej.

Klasyczni autorowie utrzymywali, iż niema na ziemi ludu, któryby nie posiadał pojęć o Bogu; nowoczesne badania stwierdziły ten fakt, a nadto wykazały, iż niema ludu, któryby tejże Istocie, różnie pojmowanej, nie oddawał hołdu i nie składał ofiar. Pomijamy samą genezę ofiary i jej istotę, stwierdzamy tylko, iż wszędzie ofiara polegała na zniszczeniu całkowitem lub częściowem: żertwy zwierzęce zabijano i palono, roślinne zwyczajnie palono tylko. Ogień przeto był przednim czynnikiem sprawczym ofiary. Wraz z ofiarą zanoszono modlitwy dziękczynne i błagalne, znakami zewnętrznemi wyrażano hołd i uwielbienie. Cały ten kult nie mógł zasadniczo odnosić się ani do samej żertwy, ani do czynnika sprawczego, jakim był ogień, ale musiał mieć na celu jakąś osobistość, od której ofiarujący czuł się zależnym, której składał hołd, od której oczekiwał dobrodziejstw. To samo działo się w Indyach.

Nie ulega wątpliwości, że Hindowie składali ofiary Bogu w celu otrzymania dobrodziejstw. Sam Bergaigne, który w pojęciach religijnych Hindów widzi jedynie meteorologię *(sic),* przyznaje, że „człowiek oczekiwał od bogów, a szczególniej od Indry, darów niebieskich i ziemskich" [1]. Barth zaś pisze [2]: „Ofiara jest oznaką miłości i wdzięczności względem bogów; przez ofiarę człowiek oddaje im hołd dziękczynny za ich dobrodziejstwa i spodziewa się otrzymać inne jeszcze na przyszłość, bądź w tem,

[1] *Op. cit.*, v. II, p. 225.
[2] *Op. cit.*, p. 26.

bądź w przyszłem życiu". Rozpatrując się w hymnach wedyjskich i pomijając przesadę i przenośnię poetyczną, dostrzegamy, że Agni jest właśnie taką ofiarą, zapomocą której Riszi spodziewają się dostąpić odpuszczenia grzechów i wyprosić u Boga różne błogosławieństwa. Czytamy mianowicie: „O Agni! uśmierz gniew Waruny przez ofiarę... Ty o Agni udajesz się do bogów jako posłaniec... Ciebie wybieramy za posłańca i ofiarnika" [1]. Najwybitniejszem znamieniem Agni w całej Rigwedzie jest jego pośrednictwo między bogami i ludźmi.

Zapewne, w czasach o których mowa, lud niewykształcony mógł często błądzić, brać znak za rzecz samą; Riszi również, uniesieni zapałem poetycznym, wysławiali nietylko świętość ofiary, lecz nawet narzędzi używanych do kultu [2], identyfikowali sam ogień z Istotą, której hołd oddawano, jednakże nie musieli do tego stopnia obniżyć swych pojęć religijnych, iżby je brali za jedno, skoro w hymnie już wyżej przytoczonym wyznają, że „Duch boży, który jawi się w niebie, nazywają go Indrą, Mitrą, Waruną, Agni; to co jednem jest jestestwem, nazywają mędrcy wielu imionami". Epoka późniejsza wyjaśniła rzeczywiste znaczenie bogów Rigwedy, w „Prawach Manu" Agni jest tylko objawem Najwyższej Duszy [3]. Zresztą ten Agni nie doszedł nigdy u Hindów do tego stanowiska, jakie zajął ogień u Eranów pod wpływem magizmu chaldejskiego, a nawet w czasach rozwielmożnionej wielobożności w Indyach, został całkowicie wykluczony z panteonu hinduskiego.

Rzecz ze Somą ma się podobnie, lecz niezupełnie tak samo. Dlaczego wśród różnorodnych żertw, jakie składali Hindowie,

---

[1] R.-W. IV, 1, 5; VII, 3, 3; I, 36, 3.

[2] „Dans l'appareil qui sert aux sacrifices, quelques pièces sont plus que des objets consacrés, ce sont des divinités; et le char de guerre, les armes offensives et défensives, la charvue, le sillon qui vient d'être tracé, sont l'objet non seulement de bénédictions, mais de prières". Barth, *Op. cit.* p. 7.

[3] „Wszyscy bogowie są w Duchu boskim; wszystkie światy są w Duchu boskim; a boski Duch wytwarza szeregi łańcuchowe, które spełniają dusze wcielone. Niektórzy oddają mu cześć jako obecnemu w Agni; inni jako obecnemu w Manu, panu stworzeń; niektórzy jako obecnemu w Indrze; inni jako obecnemu w Czystym Eterze; a inni jako Najwyższemu

sok wyciśnięty z rośliny dostąpił jedynie takiej godności, iż został uosobionym a nawet ubóstwionym? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, należy sobie przypomnieć, że Soma hinduska jest identyczną z Homą albo Haomą erańską. Tak Soma jak i Haoma były symbolami nieśmiertelności, a ponieważ Haoma, jak to już widzieliśmy, była pamiątką doniosłego zdarzenia dziejowego, mianowicie zaś przypominała rajskie „Drzewo żywota", prawdopodobną jest rzeczą, a jak zobaczymy niebawem, rzeczą jest nawet pewną, że Soma odnosiła się do tego samego zdarzenia. Uosobienie i ubóstwienie Somy jest płodem wyobraźni poetycznej, sami komentatorowie hinduscy nie zaliczali Somy w poczet bogów[1]. Zresztą wszyscy poważni autorzy[2], którzy się zajmowali badaniami religijnemi Hindów, nie zarzucają im naturalizmu.

Nakoniec ostatnią cechą wyróżniającą najdawniejszą religię Hindów od innych religij pogańskich jest brak antropomorfizmu.

---

odwiecznemu Duchowi. On to przenika wszystkie istoty w pięciu kształtach elementów, sprawia ich pojawianie, wzrost i rozkład, obraca niemi jak kołami u wozu. Stąd, człowiek, który uznaje w swej własnej duszy Najwyższą Duszę obecną we wszystkich stworzeniach, okazuje im wszystkim łaskawość i wkońcu będzie pochłonięty w najwyższej Esencyi, a nawet w samym Wszechmocnym". *Manu*, XII, 119, 123—126.

[1] Jaska, klasyczny pisarz hinduski z IV. w. przed Chr. w dziele pod tytułem *Nirukta*, zaznacza, że hymny wedyjskie odnoszą się właściwie do trojakiego tylko bóstwa, mianowicie do: „Agni, którego siedzibą jest ziemia: Waju albo Indra, którego siedzibą jest powietrze: Surya, którego siedzibą jest niebo... Każde z tych bóstw otrzymuje różne nazwy, stosownie do swej wielkości, albo stosownie do swej działalności... Przynależnie wielkości bóstwa, wysławia się jedną Duszę, jak gdyby było ich wiele. Różni bogowie są oddzielnymi członkami jednej Duszy. A niektórzy mówią, że wieszczowie zanoszą swe prośby stosownie do wielości natur w istnieniach niebieskich. Bogowie, z powodu powszechności swej istoty, pochodzą jeden od drugiego... pochodzą od Duszy". *Nirukta*, tłum. Aufrecht'a, VII, 4, 5.

[2] Mówimy poważni pisarze, a do tego pocztu nie zaliczamy tych, którzy nie uznają u Hindów pojęć religijnych, a w hymnach wedyjskich widzą tylko opisy astronomiczne albo meteorologiczne. Bergaigne, który do tych ostatnich pisarzy należy, przyznaje jednakże, że w dwustu hymnach, które są poświęcone Indrze, nie mógł dostrzedz żadnych dążeń naturalistycznych. „J'ai annoncé que nous abordions l'étude d'un dieu conçu comme distinct des éléments, soit naturels, soit liturgiques". *Op. cit.*, v. II, p. 166. Wyznanie to jest ważne.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że wśród licznych bogów, o jakich w hymnach mowa, nie znajdujemy całkiem bogiń, we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Hymny wspominają wprawdzie o Indrani, Warunani, Agnayi, które są nazywane małżonkami Indry, Waruny i Agni, lecz nic w tych hymnach nie upoważnia do sądzenia, że to były postacie rzeczywiste, tak iż ogólnie indolodzy biorą je w znaczeniu przenośnem, a Langlois [1] przyznaje, że te boginie „znaczą modlitwy zanoszone do odnośnych bogów". Sam Barth, który radby był widzieć w symbolach hinduskich boginie podobne do bogiń innych ludów pogańskich, wyznaje, że „byłoby trudno ułożyć według hymnów jakąś opowieść o miłostkach bogów... z wyjątkiem Jutrzenki (Uszas), boginie mają cechy niewyraźne" [2]. Lecz hymny do Uszas tak się przedstawiają, iż w nich, jak stwierdza tenże sam autor, wieszcz oddaje raczej cześć samemu Bogu, aniżeli przedmiotowi wzywanemu.

Już przez to samo, że w skład panteonu hinduskiego nie wchodzą boginie, wykluczone są „miłostki" bogów, a raczej, wykluczona jest wyuzdana rozpusta i rozpasane namiętności, jakiemi Chamici pierwsi, a w ślad za nimi Grecy i Rzymianie splamili charakter swych bogów. Co więcej, na bogach hinduskich nietylko niema żadnego cienia jakiejś plamy moralnej, ale przeciwnie odznaczają się oni wysokim nastrojem moralnym. „Hymny — pisze Barth [3] — określają ścisły stosunek między człowiekiem a bogami. W każdem miejscu i w każdym czasie człowiek czuje, iż znajduje się w ich ręku, w ich obliczu działa. Bogowie wymagają ciągłego hołdu. Człowiek musi być pokornym, albowiem jest słabym, a oni są mocni; musi być względem nich szczerym, nie można bowiem ich oszukać. Lecz wie zarazem, że i oni nie oszukują, i mają prawo domagać się od niego miłości

---

[1] *Rigveda*, p. 52. W hymnie x, 85. Indrani mówi wyraźnie, że jest małżonką Indry, w dalszym ciągu tegoż hymnu znajdują się odnośne przymówki, lecz indologowie uznają je za wtręty późniejsze. „Le passage est interpolé" — mówi Barth. *Op. cit.*, p. 20.

[2] *Op. cit.*, p. 20.

[3] Tamże, p. 23.

i ufności takiej, jaka się należy przyjacielowi, bratu, ojcu. Bez tej ufności, ofiary i modlitwy byłyby próżne... Hymny nie wdają się wprawdzie w przepisy szczegółowe, tyczące się obowiązków człowieka, lecz jakim sposobem człowiek miałby być złym, skoro bogowie są dobrzy, jakże miałby być niesprawiedliwym, skoro oni są sprawiedliwi, jakże miałby być kłamcą, skoro oni nigdy nie kłamią! Niema wątpliwości, iż wybitną cechą hymnów jest to, że nie przypuszczają bogów złych, nie przepisują obrzędów płaskich lub niecnych".

Jeżeli do tego wysoce moralnego charakteru bogów hinduskich, stwierdzonego również przez innych indologów [1], dodamy, że hymny nie wspominają nigdy, żeby ci bogowie rodzili się lub żyli na ziemi, żeby w czemkolwiek podobni byli do ludzi, wówczas słusznie zawnioskować możemy, że religia Hindów nie miała nic wspólnego z antropomorfizmem. Zresztą same imiona bogów o tem nas pouczają.

Jak już poprzednio widzieliśmy, wiele imion bogów, według znaczenia tak etymologicznego jak i rzeczowego, odnoszą się do objawów świata zewnętrznego; inne imiona mają znaczenie całkiem oderwane i wyrażają różne atrybuty Najwyższej Istoty [2];

[1] Le rôle moral du dieu se dessine avec une netteté parfaite lorsqu'il prend en main, non plus seulement sa propre cause, mais celle des semblables du suppliant offensés par lui.

Le caractère moral ressort encore de considérations d'un autre ordre. Les rapports conçus entre le suppliant et le dieu qu'il implore, peuvent, même quand ils sont le plus étroitement limités... prendre une dignité qui a droit à tous les respects de l'historien des idées morales... Le confiance dans la bonté divine par exemple, et le repentir fondé, non seulement sur la crainte du châtiment, mais sur le regret d'avoir trahi une amitié fidèle (car les Rishis donnent à leurs dieux le titre d'amis), sont des manifestations indiscutables de la conscience morale. Bergaigne, *Op. cit.*, v. I, pp. XXII i XXIII.

[2] „Nazwy bogów takie jak Wiśwa-Karman i Pradżapati nie odnoszą się całkiem do żadnych przedmiotów rzeczywistych, lecz są oderwanemi pojęciami, oznaczającemi potęgę boską, odnoszącą się do stworzenia świata i nim rządzenia". Muir, *Op. cit.*, vol. V, p. 352.

„Hymny wedyjskie przedstawiają się jako wielka poezya przyrody, bez żadnej jedności i systemu, jako religia, która jeszcze nie posiada teologii. Sfery działalności poszczególnych bogów wikłają się z sobą często.

wreszcie są imiona, które nie dadzą się zaliczyć do dwóch poprzednich kategoryj; jednakże z antropomorfizmem nie mają związku. O tych właśnie imionach, a wogóle o mnogości bogów hinduskich, pomówić nam obecnie wypada.

Czy rzeczywiście Hindowie w najdawniejszej dobie wyznawali wielobożność? Otóż, opierając się li tylko na piśmiennictwie hinduskiem, twierdzimy stanowczo, że pierwotna religia Hindów była jednobożną.

A najprzód, sama mnogość imion, jakiemi hymny mianują Boga, nie oznacza koniecznie mnogości bogów. Mamy świadectwa historyczne, że różne pokolenia należące do jednego i tego samego szczepu, mówiące tym samym językiem, dawały Bogu różne imiona, choć nie rozumiały przez to różności osób [1].

Ażeby różne imiona dawane Bogu oznaczały różne osobowości, każde z nich musiałoby być przywiązane do wybitnej in-

---

Każdy z bogów wzywanych jest Bogiem najwyższym wzywającego, a jeżeli wielu razem jest wzywanych pod nazwą *Wiswe Dewa*, to i wtenczas ta liczba mnoga, według Maxa Müllera, może być jeszcze wziętą w znaczeniu *pluralis majestatis*, jak *Elohim* w Piśmie św. Nie ulega wątpliwości, iż przebija się tu myśl Jedynej Istoty, której pojęcie zatarło się mnogością objawów. Najwydatniej okazuje się to w bóstwach, których osobowość była zamgloną, z powodu ich istoty oderwanej. Imiona takie jak *Pradżapati*, pan stworzeń, *Purusza*, dusza najwyższa, *Asura*, duch życiowy, *Daksza*, możny wolą i mądrością; *Mitra* albo *Aryaman*, dobroczynny, Bóg-przyjaciel, *Dhatar*, stworzyciel, *Sawitar*, tworzący, *Twaszczar*, urządzający i t. p. mogą być uważane, jako przymioty jednego Boga". Pictet, *Op. cit.*, v. III, p. 489.

[1] Tak się działo w Egipcie i Chaldei; ob. *Źródła historyczne Wschodu*, str. 54 i nast., str. 168 i nast. Tak się działo w Grecyi i Rzymie. „Dans les villes où il y avait plusieurs temples de Jupiter d'Apollon, chacun de ces temples contenait une statue portant un nom spécial. Il suffit, pour constater ce fait, de parcourir la description géographique de la Grèce, par Pausanias. Dans la mythologie poétique, il y a un seul Apollon, un seul Jupiter, un seul Bacchus, auxquels sont attribuées une série d'aventures. Dans le culte, on compte jusqu'à 55 Apollons, 18 Bacchus, 61 Jupiters distincts les uns des autres, désignés par un nom particulier et exigeant un culte spécial". Ks. de Broglie, *Histoire des Religions*, p. 106. — To samo dzieje się i dziś w Indyach. Jedna ze sekt hinduskich dzieli się na 1008 różnych gałęzi, każda czci bóstwo, któremu dają osobną nazwę, a jednakże wszystkie te imiona odnoszą się do jednej i tej samej osobistości — do Siwy.

dywidualności, posiadającej własne, odrębne od innych cechy: otóż tego warunku nie znajdujemy w panteonie Rigwedy. Dalej, ponieważ, jak widzieliśmy poprzednio, autorowie hymnów do każdego z imion bogów przywięzują atrybuty, które mogą przysługiwać tylko Najwyższej Istocie, ponieważ identyfikują postacie nazywane różnemi imionami, wreszcie ponieważ zapewniają kilkakrotnie [1], że jeden jest tylko Najwyższy Duch, więc możemy zawnioskować z Colebrooke'm:

„To pokazuje, (co zresztą wywodzi się z tekstów piśmiennictwa hinduskiego, znanych nam dzisiaj), że stara religia Hindów, oparta na piśmiennictwie hinduskiem, uznaje tylko jednego Boga, jakkolwiek nie rozróżnia dobrze stworzenia od Stwórcy“ [2].

Zresztą, stanowczym dowodem przeciw wielobożności pierwotnej jest zdanie samychże Hindów.

Przyznać należy, że uczeni Hindowie, którzy tak starannie przechowali „święte księgi“ przekazane sobie od przodków, są zarazem najwierzytelniejszymi piastunami i tłumaczami ducha religijnego, zawartego w tych księgach. Otóż, od czasu starych Upaniszad, tj. od czasu w którym Hindowie zaprzestali ubierać swe pojęcia religijne w przenośnie poetyczne, a zaczęli wyrażać się o nich językiem filozoficznym, aż po dziś dzień, uczeni hinduscy przyznawali i przyznają, że ich najdawniejsze pojęcia religijne były jednobożne.

Teologowie wedyjscy, wszyscy prawie, przyjmują Wedy, na nich się opierają i na nie się powołują w swych rozprawach, a pomimo że w tych Wedach jaskrawo występują różne postacie, które wydają się bogami, a w każdym razie bogami są nazywane, nigdy jednak nie przychodzi teologom na myśl brać w opiekę tych wrzekomych bogów, rzadko nawet uważają za potrzebne zaznaczyć, że ci bogowie są tylko objawami działal-

[1] Oprócz ustępu z R.-W. I, 164, poprzednio zamieszczonego, znajdują się tam inne jeszcze, przyznające jedność Istoty Duchowej, i tak R.-W. X, 114, 5: „Mędrzec w swych hymnach przedstawia pod wielu postaciami skrzydlate (duchowe) bóstwo, lecz ono jest jedno“.

[2] Colebrooke, *Essays*, p. 13; z powodu ustępu przytoczonego z *Anukramani*.

ności jednej, jedynej Najwyższej Istoty [1]. Teologowie wedyjscy bez żadnych zastrzeżeń byli wyznawcami jednobożności; toż samo widzimy i w czasach późniejszych.

W epoce Hinduizmu, Brahmani wyznają jednobożność; czytamy mianowicie w liście św. Franciszka Ksawerego: „Jednegom tylko w tym kraju nadmorskim znalazł Brahmana uczonego... Powiadał mi, że nauczyciele przysięgą ich zobowiązują, ażeby nikomu tajemnic nie wydawali... Wierzą oni, że jeden jest tylko Bóg, Stworzyciel nieba i ziemi, którego czcić powinni... Często w języku swym, który im wszystkim jest znany, jak u nas łaciński, powtarzają tę modlitwę: Kłaniam Ci się Boże i łasce się Twojej na wieki oddaję" [2].

Z początkiem dzisiejszego wieku myśliciele hinduscy: Dajananda Saraswati, Keszab Czandar Sen, Rammohun Roy i inni, usiłowali zwrócić swych ziomków z błędnej drogi wielobożnej i dowodzili w swych pismach, że najdawniejsza religia Hindów, przechowana w piśmiennictwie wedyjskiem, była właśnie jednobożną.

Wreszcie przytaczamy tu świadectwo indologa angielskiego. Sir Monier Williams pytał uczonego Hindusa z okolic Bombaju o istotę dzisiejszych pojęć religijnych Hindów i otrzymał następującą odpowiedź [3]: „Wszyscy prawowierni Hindowie wyznają jednego Ducha Powszechnego, który jest Najwyższym Panem wszechrzeczy. A zarazem wyznają, że tenże jedyny Bóg przyjął różne kształty, które z tego powodu mogą być czczone;

---

[1] Niektóre hymny wymieniają liczbę bogów, i tak R.-W. I, 45, 2 i 139, 11 liczą ich 33; hymn X, 55, 3 mówi o 35, a hymn III, 9, 9 podnosi ich liczbę do 3339. Lecz z poetami o liczbach niema mowy, przesada widoczna, choć i wtręty nie wykluczone. Jak komentatorowie zapatrują się na te liczby, poucza nas Colebrooke, *Essays*, p. 12:

„The deities invoked appear, on a cursory inspection of the Véda, to be as various as the authors of the prayers addressed to them; but, according to the most ancient annotations on the Indian scripture, those numerous names of persons and things are all resolvable into different titles of three deities, and ultimately of one God".

[2] *Listy św. Franciszka Ksawerego*, Kalisz 1777, str. 92.

[3] *Brahmanism and Hinduism*, p. 50, 51.

tak jak złoto, które wszędzie jest jednakowe, chociaż w różnych okolicach i krajach przybiera różne kształty i nazwy. Każdy człowiek wybiera sobie ulubionego boga lub przedmiot boski i takowemu oddaje cześć. Stąd Brahmani Agnihotry uważają ogień za upodobany kształt bóstwa i nazywają go Agni-narajana. Brahmani wedyjscy z Wedy robią boga i dają mu nazwę Wedanarajana. Każda dzielnica ma swoje opiekuńcze bóstwa. Benares uważa za swego opiekuna jeden z kształtów Śiwy, Pandharpur przyjmuje Krysznę. Tutaj w Thana mamy pagody poświęcone Wisznu, Ramie, Krysznie, Withthal, Hanuman'owi, Śiwie, Ganezie i Dewi. Najstarożytniejsza pagoda, uważana zarazem za najświętszą, poświęcona jest Śiwie pod nazwą Kaupineśwara. Każdego z nich czcimy stosownymi obrzędami i ofiarami, lecz Najwyższa Istota obecna w tych bogach jest rzeczywistym przedmiotem wszystkich naszych ofiar i obrzędów. W końcu każdej ceremonii mówimy: ‚Przez ten czyn niech Najwyższy Pan będzie uwielbiony'. Stąd, jakkolwiek wydajemy się wam czcicielami wielobożnymi, rzeczywiście wyznajemy jednobożność. Nie jesteśmy również wyznawcami wszechbożności w znaczeniu tem, jaki temu wyrażeniu przypisujecie. Nasi tylko najgłębsi myśliciele poza osobistym Bogiem szukają nieosobistego Ducha, któremu wszystko ma podlegać. Co się tyczy nas wykształconych Brahmanów, to my jesteśmy teistami".

Jakkolwiek jednobożne pojęcia zarysowywują się wybitnie na tle piśmiennictwa hinduskiego, niektórzy z indologów odrzucają je jako niemożliwe.

Racyonaliści przyznają, że pojęcia jednobożne są najwznioślejszym poglądem umysłu ludzkiego, lecz utrzymują zarazem, że człowiek mógł się wznieść na ten wysoki szczebel pojęć stopniowo tylko, z czasem, jak to miało miejsce w Grecyi, takich przeto pojęć nie należy szukać u pierwotnych Hindów. Zresztą, mówią oni, nie można przypuścić, żeby lud, który raz wzniósł się do pojęć jednobożnych, mógł się cofnąć na niższy szczebel i popaść w wielobożność; a że wielobożne pojęcia są dziś ogólne w Indyach, stąd Hindowie pierwotni nie mogli być wyznawcami jednobożności.

Te wywody i wnioski odrzucają z jednej strony objawienie pierwotne, z drugiej, przyjmując jako pewnik, hegelowski „postęp konieczny“, stoją w sprzeczności z faktami historycznemi.

Historya nie pokazuje nam nigdy, ani nigdzie, żeby lud jaki stopniowo wznosił się od prostych, najniższych pojęć o Bóstwie do wzniosłych pojęć jednobożnych. Wprawdzie w czasie rozkwitu cywilizacyi greckiej, w dziełach mędrców przejawiają się dążności jednobożne, jak to gruntownie wykazał Nägelsbach [1], jednakże te pojęcia nie były nabyte z czasem, wskutek rozwoju religijnego, lecz uporczywie niejako i bezwiednie narzucały się umysłom, w których roiły się zachcianki wielobożne [2]. Arystoteles wyprowadza przez rozumowanie dowody o Jedności Boga, lecz zarazem dodaje: „Według starego podania, przekazanego od przodków wszystkim ludziom, wszystko co istnieje z Boga i przez Boga uskutecznionem zostało; żadna natura sama sobie nie wystarcza i od Boga tylko jest podtrzymywaną“ [3]. Zresztą wzniosłym prawdom głoszonym przez filozofów greckich, brak był stanowczości; Platon, który się najwyżej wzniósł w idei o bóstwie, jednakże, jak trafnie zaznacza Nägelsbach, nie był w stanie zaszczepić swych głębokich poglądów

---

[1] „Man wird demzufolge nicht umhin können zuzugestehen, dass die griechische Weltanschauung vornehmlich bei Aeschylus in der Ausbildung ihrer Vorstellungen von Zeus eine mächtige Neigung zum Monotheismus an den Tag legt. Dieser Zug zum Monotheismus spricht sich auch in andern Erscheinungen aus. Die Geschichtschreiber sämmtlich, auch diejenigen, welche das göttliche Walten in der Weltgeschichte gläubig anerkennen, führen entscheidende Thaten der Weltregierung niemals oder gewiss höchst selten auf eine nahmhaft gemachte einzelne Gottheit zurück. Nach ihrer Ausdrucksweise handelt in der Geschichte nicht Zeus, nicht Apollon oder Athene, sondern entweder θεῶν τις, auch θεός, oder ὁ θεός, ὁ δαίμων, τὸ θεῖον, τὸ δαιμόνιον, oder οἱ θεοί, zuweilen auch in gleicher Bedeutung θεοί“. *Die nachhomerische Theologie des griechischen Volksglaubens*, str. 188.

[2] „Aber eben aus diesem Wechsel der monotheistischen und polytheistischen Ausdrucksweise geht zur Genüge hervor, dass die monotheistische Richtung eine fast unbewusste, naive, ein dunkler Trieb ist, ein Licht, das in die Finsterniss scheint, aber von dieser nicht begriffen wird“... *Op. cit.*, str. 140.

[3] *O świecie*, roz. VI.

w roztoczone pogaństwem społeczeństwo [1]. Najgenialniejszy nawet ze wszystkich starożytnych mędrców Arystoteles nie przekonał swych ziomków, ani ich nie nawrócił. Grecya nietylko pozostała pogańską w V. i IV. w. przed Chr., ale coraz nowych i to najsprośniejszych sprowadzała sobie bogów z Egiptu i Syryi. Rzym naśladował Ateny. W miarę wzrostu cywilizacyi rozwielmożniała się wielobożność; w epoce najświetniejszego jej rozkwitu Rzymianie nie mogli się już doliczyć swych bogów, a ci bogowie, azyatyccy i afrykańscy, którzy uzyskali obywatelstwo rzymskie, byli głównym bodźcem do najwyuzdańszej rozpusty.

Drugi zarzut racyonalistów nie jest również uzasadnionym. Hebrajczycy wyznawali jednobożność, lecz jak wiemy, nawróceni zostali bezpośredniem Objawieniem; historya tego ludu poucza nas, jak łatwo z jednobożności popaść można w wielobożność. Ileż to razy, począwszy od Mojżesza aż do Ezdrasza, Hebrajczycy, uwiedzeni rozwiązłym kultem Chamitów, odstępowali prawego Boga! Potrzeba było ciągłego czuwania Opatrzności boskiej, bezpośredniego jej wpływu, aby stanowczo ustalić wiarę tego ludu.

Wobec tych faktów, upadają apryorystyczne zapatrywania racyonalistów, i dlatego bezstronni i poważni indologowie nie dali się im uwieść; jedni bez żadnych zastrzeżeń piszą się za jednobożnością, inni, choć ubocznie, toż samo przyznają.

„W umyśle Hindów, pisze Colebrooke [2], przejawia się ciągle jednobożność jako myśl przewodnia, ona to zrodziła te różne sekty, jakie dziś istnieją. Wśród teologów hinduskich wznawiały się ciągle spory, któremu z bogów należy się pierwszeństwo i władza najwyższa. Śankara Aczarja uznawał Śiwę za Istotę Najwyższą i dał początek Śiwaitom, Madhawa Aczarja i Wallabha Aczarja, założyciele Wisznuitów, przyznawali naczelną władzę Wisznu. Tak samo co do innych sekt“.

---

[1] „Erst der Philosophie war es in Platon vorbehalten, in der Ausbildung der monotheischen Richtung wunderbar vorzuschreiten; aber sie war unvermögend hierin auf den Volksglauben irgendwie bildend und belehrend einzuwirken“. *Op. cit.*, str. 141.

[2] *Essays*, p. 123.

W przedmowie do Rigwedy [1] czytamy: „Ta intuicya (odnosi się to do R.-W. I, 164) Najwyższego ducha, który przebywa w niebie, panuje na ziemi i rządzi światem, jest nadzwyczaj ważnem orzeczeniem jednego z najszlachetniejszych i najdawniejszych Riszi; to orzeczenie podkopuje hipotezę utrzymującą, że wieszczowie wedyjscy nie posiadali poczucia jedności boskiej. Mieli oni niezawodnie nietylko wspomnienie, nietylko nadzieję, ale nawet pewność, i szukają jedynie dowodów przekonywających. Według nas przechowywali oni zawsze w duszy to pojęcie czyste i wzniosłe, a nawet zdołali je przelać w swych następców, Brahmanów".

Tak samo utrzymują: Weber, Lassen, Pictet, Muir, Colebrooke, Monier Williams [2].

Inni pisarze europejscy, a przynajmniej ci, którzy nie przyoblekają swej niewiadomości mglistą szatą henoteizmu, utrzymują, że w pierwotnej dobie Waruna uważany był za Najwyższą Istotę, a następnie ustąpił miejsca Indrze. Takie zapatrywania, wykluczające innych bogów, którym hymny przypisują te

---

[1] *Preface de Rigveda,* p. Langlois, p. 36.

[2] Weber, *Indisch. Stud.*, v, p. iv.

„Was nun die Muthmassung betrifft, dass der Monotheismus bei den Indern erst eine Frucht ihrer Bekanntschaft mit dem Christenthum sey, so bestimmen mich folgende Gründe ihr zu widersprechen... Besassen schon früher die Brahmanen einen höchsten Gott in ihrem *Brahma*"... Lassen, *Ind. Alterth.* II. B., str. 1105.

„C'est par suite de ces considérations que nous avons conjecturé *a priori* l'existence d'un monothéisme qui aurait précédé le polythéisme chez les anciens Aryas, et l'étude comparée des noms de Dieu en général est venue confirmer cette hypothèse. Ces noms, en effet, et surtout celuilà même de *Dieu*, qui a traversé tant de siècles et plusieurs religions pour arriver jusqu'à nous, ne sont point, comme ceux des divinités spéciales, des appellatifs désignant des êtres naturels; et cependant ils appartiennent aux formations les plus anciennes de la langue, ainsi que le prouve leur accord chez les divers peuples ariens". Pictet, *Op. cit.*, v. III, p. 483.

„...May be held to convey the more general idea that all the gods, though differently named and represented, are in reality orn". Muir, *Op. cit.*, v, p. 353.

„If the doctrines of the Veda, and even those of the Puranas, be closely examined, the Hindu theology will be found consistent with monotheism, though it contain the seeds of polytheism and idolatry. I shall

same atrybuty, w zasadzie jest niezawodnie jednobożne, chętnie je zaznaczamy, jakkolwiek nie godzimy się na sposób jego przeprowadzenia, mianowicie, nie możemy przystać, żeby Hindowie w pierwotnej już dobie zmienili nazwę swej Najwyższej Istoty.

I rzeczywiście, zmiana nazwy Najwyższej Istoty, musiałaby była pociągnąć za sobą i zmianę pojęć religijnych, tak się działo wszędzie; otóż, nie znajdujemy w hymnach nic takiego, coby zaznaczało lub usprawiedliwiało tę zmianę. Wprawdzie w pierwszych Mandalach znajdujemy hymny poświęcone Warunie, w ostatnich zaś wyłącznie Indrze, lecz układ obecny tych hymnów nie jest całkiem chronologiczny; prawda, że więcej jest hymnów do Indry aniżeli do Waruny, lecz to niczego nie dowodzi; wreszcie ustęp z hymnu, na który się powołują, a w którym Agni mówi, że „odtąd porzuca służbę Waruny a zaciąga się do służby Indry", niekoniecznie oznacza następstwo. Co się zaś tyczy zmiany pojęć religijnych, to żadną miarą nie można się ich dopatrzyć w hymnach: tak w hymnach do Waruny, jak i w hymnach do Indry te same są pojęcia religijne. Jakkolwiek Indra zdaje się wyróżniać od Waruny tem głównie, iż jest wojowniczy, jednakże inne przymioty właściwe Najwyższej Istocie, przypisywane są zarówno obydwom: każdy hymn do Waruny ze zmianą tylko nazwiska może być zastosowany do Indry i nawzajem, a co więcej, w słynnym hymnie IV, 142, czytamy: „Ja Indra jestem Waruną" [1]. Nakoniec, to zapatrywanie przypuszcza, że Aryowie

take some future occasion of enlarging on this topic: I have here only to remark that modern Hindus seem to misunderstand the numerous texts, which declare the unity of the godhead, and the identity of Vishnu, Śiva, the Sun etc." Colebrooke, *Essays*, p. 123.

„For it may be observed that all religious systems, even the most polytheistic, have generally grown out of some undefined original belief in a divine power or powers controlling and regulating the universe. And although innumerable gods and goddesses, gifted with a thousand shapes, now crowd the Hindu Pantheon, appealing to the instincts of the unthinking millions whose capacity for religious ideas is supposed to require the aid of external symbols, it is probable that there existed for the first Aryan worshippers a simpler theistic creed". Monier Williams, *Indian Wisdom*, p. 11.

[1] Barth stanowczo oświadcza się przeciw temu zapatrywaniu: „On a prétendu parfois que Varouna est dans les Hymnes un dieu en décadence. Nous ne saurions partager cette manière de voir". *Op. cit.*, p. 14.

hinduscy w początkach wtargnięcia swego do Indyj stanowili doskonałą całość społeczną, nie różnili się nawet pod względem imienia dawanego Najwyższej Istocie; dotychczasowe wyniki badań nie potwierdzają tego przypuszczenia.

Ludy aryjskie, które wkroczyły na półwysep, jak to już widzieliśmy, dzieliły się na liczne pokolenia, zostające pod zarządem oddzielnych Radżów; te pokolenia łączyła jedność wiary, mowy, obyczajów, lecz ta łączność nie wyklucza bynajmniej niejakich odrębności, nie wykluczała mianowicie tego, że jedne pokolenia mogły dawać Najwyższej Istocie nazwę Waruny a inne Indry [1]. To przypuszczenie jest nietylko możliwem, ale nawet wydaje się prawdopodobnem, tłumaczy bowiem dobrze, dlaczego w hymnach te same atrybuty przypisywane są Warunie co i Indrze; tłumaczy również, dlaczego niektóre wyrażają, że Waruna jest to samo co Indra; tłumaczy wreszcie orzeczenie hymnów, że jeden jest tylko Najwyższy Duch, Najwyższa Istota.

Jeżeli teraz zbierzemy razem wszystko cośmy dotychczas powiedzieli o religii Aryów hinduskich, jeżeli przypomnimy sobie, że ich religia nie była bałwochwalską, nie była naturalistyczną, nie była zakażoną antropomorfizmem, jeżeli nadto dodamy świadectwa, jakich nam dostarczyli Riszi, ich komentatorowie i pisarze europejscy, słusznie zawnioskować możemy, że religia Hindów była jednobożną; rozbiór zaś szczegółowy tak hymnów jak i najdawniejszych podań hinduskich, nie pozostawi żadnej wątpliwości pod tym względem. *Ks. W. Zaborski.*

(Dok. nast.).

[1] Barth godzi się widocznie na to zapatrywanie: „Cette Samhitâ (Rigveda) se compose, en effet, de plusieurs collections distinctes provenant *parfois de familles rivales et ayant appartenu à des clans souvent hostiles* les uns aux autres“. *Op. cit.*, p. 6.

KS. STANISŁAW SOKOŁOWSKI.

Studyum do dziejów kaznodziejstwa XVI. wieku.

(Ciąg dalszy).

Doprowadziliśmy żywot Sokołowskiego aż do śmierci króla Stefana. W „Dyalogu między Polakiem a cudzoziemcem“ obronił on pamięć Batorego od niesprawiedliwych zarzutów i pocisków, jakich nie szczędzili mu niechętni, a zarazem przedstawił postać zmarłego w rysach pięknych i wielkich, które mu podyktowała miłość i prawda. Rychło jednak po śmierci Batorego zwrócić się musiał Sokołowski w inną stronę, ku sprawom nowym a ważnym. Nadchodził czas elekcyi...

Trzecia ta elekcya wydała już smutne owoce wolności, spowodowała walkę domową między przeciwnemi obozami stronników dwu elektów. Sam sejm elekcyjny, groźny niezgodą dwu stronnictw, zasmucał trzeźwiejszych, a mających jedynie dobro ojczyzny na celu. Tracono czas na układach o rewizyę ustaw konwokacyjnych, niezgoda, swary i groźne zbrojenie się przeciwników zwiększały zamieszanie i odsuwały w coraz większą dal zgodę i pokój państwa. Choć z daleka patrzył na to Sokołowski, jednak dotykało go to boleśnie, a jak zwykł był zmarłemu królowi służyć radą, tak nie szczędził jej teraz Prymasowi w czasie *interregnum*. Popiera on widocznie plany Zamojskiego i królowej Anny. Już po sejmie konwokacyjnym, kiedy to Zamojski roztropnością i swą zręczną taktyką odbijał pociski przeciwników, pisze do niego Sokołowski 8 kwietnia 1587: *Victricem virtutem tuam saluto, adventum gratulor; utque Reipublicae, tibi, nobis-*

que omnibus saluti sit, Deum precor; plura per valetudinem interim praestare non possum. To *interim* oznacza, że on nie zamknie oczu ani uszu na to, co się dziać będzie, a pióro zawsze będzie miał gotowe. I w istocie, mamy kilka jego listów w tym przedmiocie. Ciekawy jest list wysłany do Karnkowskiego na pole elekcyjne; uważając to pismo za jedno z ważniejszych, częściowo przytaczamy je w tłumaczeniu. Jest to list pisany w czasie największego zamętu, bo 21 lipca 1587. Karnkowski nie połączył się jeszcze stanowczo z Zamojskim i popierał partyę Austryacką. Sokołowski widocznie, o ile to od niego zależało, stał po stronie kandydata Królowej wdowy i Zamojskiego: Zygmunta III. List ten pisany jest w tonie tak surowym, że trzeba stąd wnosić, jak wielką musiała być powaga Sokołowskiego, skoro tak się mógł odezwać do Prymasa. Oto co pisze:

„Utwierdzaj się i bądź silnym, oczekuj Pana, działaj mężnie, a niech się umocni serce Twoje i podtrzymuje sprawę Bożą. Znane tu są Twe znakomite usiłowania, które wielkodusznie podejmujesz dla dobra Rzpltej i Kościoła Bożego. Nie da się jednak ukryć nigdy wstęp do waszej elekcyi zbyt długi, gdy zbyt późno przystępujecie do wytłumaczenia samego tekstu. Co zaledwie w jak najgłębszym spokoju traktowaćby należało, to się wystawia tam wszystkim na oczy; posłowie i przedstawiciele zagraniczni widzą to i śmieją się, a nieprzyjaciel czyha tylko na każdą okazyę. Boję się, by ci niebaczni korrektorowie i lekarze nie zepsuli tego w tem ciele, co zostało jeszcze dobre i niezepsute, często się to bowiem zdarza, że niewczesną troską i leczeniem psują tylko. Już to trzecia recydywa tej choroby, tak zwykle niebezpiecznej. A przecież postępują tak, jakby to małej wagi i nie trudne było to główne pytanie, kto i jaki ma być obrany królem po królu tak wielkim, który zmarły leży. Gdy teraz będziemy chcieli załatwić to, czegośmy na tylu sejmach załatwić nie zdołali, to nigdy króla nie obierzemy; kiedy niema lekarza, nie czas zadawać lekarstwa. Bezkrólewie jest to czas na jednoczenie Rzpltej, nie na targanie jej, czas, byśmy króla obrali, a nie byśmy Rzpltą wtrącali w przepaść. Należy związać szalonych sterników, zwłaszcza, kiedy grozi burza i za-

tonięcie okrętu, a nie głaskać ich, aby, gdy się sami nawzajem chcą topić, nie zatopili i zaprzepaścili tych, którzy są z nimi na okręcie". Dopisuje jeszcze, że przyśle mu swe żale, które nazywa *Vaticinia* [1].

Wypada tu wspomnieć także o liście do Pawłowskiego, biskupa ołomunieckiego. Znów tu ta sama powaga i stanowczość. „Na waszej gorliwości i roztropności, pisze Sokołowski, zależy w tym czasie pokój wielkiej części Europy. Znasz bowiem naszych ludzi, że nawet własnymi rękami złe zwiększają. Łatwo to pożar rozniecić, trudno go ugasić, a nigdy się to nie da zrobić bez wielkiej straty. Ale zdaje mi się, że świat chrześcijański całkiem tych cnót w nas sobie nie życzy. Oszczędzaj Polaku zapału gorliwości".

Widać więc, jak bardzo się zajmował sprawą elekcyi. Pamięć na zmarłego króla, tak dlań łaskawego, dodawała mu sił

---

[1] Te *Vaticinia*, to zapewne nic innego, jak: „Querela zamku krak. y korony Polskiej przeciw złym synom", wpisane w manuskrypcie zaraz po tym liście i podpisane literami S. S. (zwykłe monogramy Sokołowskiego). Oto niektóre z tych żalów, których jest 30:

1. Czemu was w cudzym obozie widzę — Niescęśni Synowie.
2. Czemu na Święthe Patrony moje Sthurmujecie — Bezecni Synowie.
3. Czemu Pany a króle wasze, którzy wam the Rzecpospolithą zrodzili i wolności takie dali, w grobach budzicie.
4. Czemu niewoli Wrotha otwieracie, i onę grzbietami waszymi w dom ciągniecie.
5. Czemu ozdoby i zalety wasze burzycie.
6. Czemu żywot, który was nosił, thłoczycie.
7. Czemu matkę waszą odkrywacie, i t. d.
25. Jeździeliscie po thargu ze mną jako z nierządnicą.
26. Mury moje psujecie, kthórymiscie mieli sami być.
27. Klękaliście przed Dominum potentem, ut in viscera mea ingrediatur.

Kończy:

30. Niechże nadzieje wasze, pieniądze wasze, pomsthy wasze wam ku zgubieniu będą i hańbie wiecznej.

O vos omnes, qui transitis per viam videte et attendite, an sit dolor sicut dolor meus.

Filios enutrivi et ipsi me perdiderunt.

O tem *Vaticinium* pisze do autora Piotr Kostka, biskup chełmiński: „Przepowiednie W. Wielebn. są o wiele pewniejsze, jak były kiedykolwiek przepowiednie Apolina Pithyjskiego". (List z dnia 5 maja 1588[?]).

i otuchy do popierania tych, którzy byli temu królowi najbliżsi. Kandydat Królowej wdowy, którego pragnął Sokołowski, zasiadł nareszcie na tronie. Ale na tron ten wdzierał się przeciwnik, a Zamojski musiał pod murami Krakowa stoczyć z nim walkę, by go do tronu nie dopuścić.

W tych utarczkach spustoszono pola, a może i jaki folwark spalono, i zmarnowano zasiewy proboszcza św. Floryana. Zaraz też niesiono mu nietylko słowa pociechy, ale i pomoc materyalną. I tak Piotr Kostka, biskup chełmiński, pisze mu: „Któż nie boleje nad dobrami W. Wielebności, spustoszonymi i rozdrapanymi przez bezbożnego, chciwego łupu żołnierza? Lecz to się często dzieje w zamieszaniach domowych, iż niczyjego dobytku i dóbr się nie oszczędza". (List 5 maja 1588 r. [?]). Przysyła mu zarazem 30 złotych, z tem nadmienieniem, że jeśli mu to będzie miłem, przyśle mu później znów tyle, albo i więcej, jeśli zboże dobrze sprzeda. Prędzej jeszcze z pomocą i pociechą pospieszył biskup Kromer, bo 28 marca 1588 r. przysyła mu ze słowami pociechy 10 złotych węgierskich. Jeszcze prędzej, może dlatego, że tylko ze słowami pociechy, pospieszył Piotr Dunin Wolski, biskup płocki.

Odetchnął też Sokołowski, skoro wraz z nowym królem wreszcie jakiś zawitał do kraju pokój. List Zamojskiego z dnia 28 września 1588 r. uspokoił go jeszcze bardziej. „Bodajbyście się dobrze W. M. w Krakowie mieli, pisze kanclerz, a nie bali się".

Mógł się teraz Sokołowski swobodniej oddać swej pracy. Czuł on już niejakie prawo do odbywania ciągłej straży koło uczuć religijnych króla, i choć już dawno z dworu się usunął, jednak wraz z tytułem kaznodziei królewskiego zachował troskliwość o dobro jego. I teraz nie omieszkał odezwać się do młodego monarchy, przypomnieć mu pobożność przodków jego i zachęcić do wstępowania w ich ślady. Przyspieszyło to może wydanie nowego dzieła Sokołowskiego p. t. *Nuntius Salutis* [1]. Jest to pięć kazań o Matce Boskiej, charakteru homiletycznego, na Ewangelię św., która bywa czytana we Mszy św. *Rorate*. Ka-

[1] Wydane w Krakowie 1588.

zania te, jak widać z treści, powiedział Sokołowski przed królem Stefanem, a nawet apostrofa w kazaniu drugiem [1] wskazuje, że były powiedziane w pierwszych latach panowania Batorego. Teraz, napisawszy przedmowę do Zygmunta III., a może też i rozszerzywszy dawną pracę, wydał je razem.

Same kazania nie budzą wielkiego zajęcia. Są, jak sam kaznodzieja mówi, wieńcem splecionym ze zdań Pisma św. i Ojców Kościoła; choć co prawda nie może się czasem wstrzymać od uwag o heretykach. Warto jednak nieco wspomnieć o przedmowie. Mówi w niej, że nie chciał witać nowego króla z próżnymi rękami; więc dlatego niesie mu w darze te kazania. Chce mu przytem przypomnieć pobożność przodków. W tym Kościele Bożym, mówi, jest przy dziwnej jedności piękna rozmaitość; bo kiedy w całym Kościele w rzeczach istotnych panuje jedność najściślejsza, to każdy naród ma jakieś szczególne zwyczaje nabożne, sobie tylko właściwe. Polacy, nad którymi Pan Bóg jemu powierzył rządy, czczą szczególniej tajemnicę Wcielenia Syna Bożego, w której Najśw. Panna tak wysokie zajmuje miejsce. W tej bowiem tajemnicy ma fundament całe nasze zbawienie, a pewna rzecz, że szczególniejsza opieka Najświętszej Panny Maryi, jak to i obcy przyznają, ochrania to królestwo. Roraty są uczczeniem tej tajemnicy i Matki Najświętszej zarazem. Wyjaśnia następnie symbolikę tego nabożeństwa. Schodzimy się, mówi, przed wschodem słońca, wczas rano do kościoła, na oznaczenie, że ciemności błędu panowały przed przyjściem Chrystusa Pana na świat. Zapalamy w kościele wiele świateł, na znak, że ani światło przyrodzonego rozumu, ani filozofia starożytna, ani prawo pisane, tych ciemności rozpędzić nie zdołały. Potem, wśród śpiewu psalmów, czytania proroctw i innych miejsc Pisma św., w gorącej modlitwie oczekujemy przyjścia Zbawiciela, światła prawdziwego. A ponieważ się Msza św. zaczyna od słów, oczekiwanie nasze wyrażających: *Rorate coeli...*, nazywamy to nabożeń-

[1] „Utinam autem tibi itidem Rex Stephane *in hoc principio huius tui ad nos adventus* hoc idem contingat, quod Gedeoni aliquando precatus est Angelus". — *Opera omnia*, t. I., 558.

stwo Roratami. Przypomina dalej pobożność dawnych królów polskich. Hojnością Zygmunta I. stanęła ta wspaniała kaplica na zamku i tyle fundacyj, a mianowicie fundacya w tej kaplicy na Roraty. Skarby i ozdoby kościołów, ich to po większej części dary. A otóż i żyjąca jeszcze ciotka królewska, królowa Anna, jak hojna w pobożności swojej!... Wielką część dostatków swoich na ozdobę kościoła obróciła. Wiele jest aparatów jej ręką robionych, w których bogactwo materyi ubiega się o pierwszeństwo ze sztuką. Zachęca wreszcie króla, by na widok tych wzorów i sam też trwał w pobożności, która go dotąd tak zdobiła [1].

W następnym roku wyszło znów dziełko Sokołowskiego: *Partitiones Ecclesiasticae.* Jest to w formie dyalogu, między Andrzejem Schoneusem a autorem, teorya wymowy kaznodziejskiej, albo raczej zbiór uwag o kaznodziejstwie. W przedmowie do Piotra Kostki, biskupa, mówi, że ponieważ często udawano się do niego z zapytaniem co do kaznodziejstwa, więc postanowił już raz swoje uwagi w tym przedmiocie spisać, by nie potrzebował w tej swojej chorobie tak często na pytania zadawane dawać odpowiedzi. Przegląda z tych uwag nietylko doświadczony mistrz słowa, ale kapłan pełen gorliwości o chwałę Bożą. Zaczyna od celu, jaki sobie każdy kaznodzieja założyć powinien, a którym ma być nie chęć podobania się i bawienia słuchaczy, ale przedewszystkiem chwała Boża, wykorzenienie występków, a zaszczepienie cnoty. Dalej idzie uwaga, że nikt nie będzie dobrym kaznodzieją bez prawdziwego powołania, i jeśli się nie będzie odznaczał nieskazitelnością życia, a nie będzie się ciągle zasilał modlitwą i rozmyślaniem. Potem idą cenne wskazówki o użyciu materyału. Nie należy korzystać bez doboru ze wszystkich wiadomości, jakie się ma; kaznodzieja raczej nad tem zastanawiać się winien, czego nie powiedzieć, jak nad tem, co powiedzieć. Następują uwagi o ścisłem trzymaniu się założenia i o zręcznem użyciu argumentów. Nie należy okazywać, że one są głęboko naprzód obmyślane i wyciosane, ale raczej niech

[1] Na polskie tłumaczył te kazania J. Januszowski, p. t.: „Poseł wielki o Wcieleniu Syna Bożego", wydane w Krakowie 1590.

zrzeczny a dosadny argument sam z natury rzeczy przychodzi. Nadto dobrze jest mieć w odwodzie coś ciekawego i zajmującego. Za wzór w tym względzie stawia Skargę. Wspomina wreszcie innych kaznodziejów współczesnych, a o niektórych wyraża się z wielkim szacunkiem.

Dzieło to rozchwytywano chciwie i nie szczędzono za nie autorowi pochwał. Piotr Kostka spieszy z listem pełnym uznania, w którym przypuszcza, że *Partitiones* przewyższają same nawet teorye wymowy Cycerona. W pięknym wierszu łacińskim chwali je Szymon Szymonowicz i mówi wkońcu: „Nie myśl czytelniku, że na tych kilku kartkach odmalował się Sokołowski takim, jakim jest, gdyż mały to obrazek. I malarz w szczupłych ramach niedoskonały tylko odda obraz wielkiego świata". Schoneus napisał z powodu tego dziełka tetrastych:

Dixisti bene, scripsisti bene; nec satis — et nos
Dicere, scribere — dum deficis ipse — doces.
Haec tibi erant morbi solatia peste furente:
O pudeat sanos otia pigra sequi!

Pod koniec życia polubił jakoś Sokołowski formę dyalogu, a co dziwniejszem wydać się może, zaczął się zajmować kwestyami ekonomicznemi. W roku 1589 wyszedł jego *Quaestor sive de parsimonia atque frugalitate.* Jest to dyalog między Kwestorem czyli Szafarzem, a Mempsimoerus'em, o oszczędności; treść jego ekonomiczna, a przytem zabarwiona satyrą. Mempsimoerus wszystko w ojczyźnie swojej widzi w czarnych kolorach; jest zupełnie zniechęcony do swego kraju; nic mu się w nim nie podoba, żadnego tu bowiem niema porządku, żadnego poszanowania praw; skarb państwa pusty, zmarnowane dostatki prywatne — a nieprzyjaciel potężny dokoła; gdy zagrozi wojna, skąd wziąć pieniędzy?

— Mylisz się, — odpowiada mu Szafarz — bo to co wyliczasz, nie wina kraju i ojczyzny, lecz błędy ludzi i skutki niekarności; owszem, kraj nasz bogaty, bo że już pominę porty i rzeki, obfitość zboża, którem żywimy zagranicę, i bujne pastwiska, na których się pasą piękne stada koni i bydła, i t. d., mamy zasób sił i ludzi, którzy prawdziwem są bogactwem kraju.

Brak nam tylko umiejętności w używaniu tych bogactw i brak oszczędności, nieporadność panuje w gospodarstwie. Nic więc dziwnego, że dobra królewskie są tylko z imienia królewskiemi, a pożytek z nich ciągnie kto inny; tak samo dzieje się z dobrami wielkich panów...

Na żądanie Mempsimoerus'a wykazuje Szafarz, jako z temi rzeczami dobrze obeznany, przyczyny złego. Wylicza ich kilkanaście. Na pierwszem miejscu kładzie złe wychowanie: w młodzieńca ciągle wmawiają, że będzie biskupem, opatem, kanclerzem i t. d., więc poco mu się uczyć gospodarstwa i oszczędności? Tacy niedoszli biskupi i kanclerze wieszają się u klamki dworu lub możnych, nie myśląc wcale zabrać się do poważnej pracy. W dalszym toku wskazuje inne przyczyny ruiny majątkowej kraju, jak: życie nad stan, gonienie za cudzoziemszczyzną, przesadne upodobanie w pięknych koniach, wojsko najemne, które psuje żołnierzy naszych i skarb państwa wycieńcza, sadzenie się na zbyt wielkie posagi, które rujnują rodziców i psują młodzież, wreszcie pozbywanie się ojcowizny.

Jakże złemu zaradzić? — W odpowiedzi na to pytanie podaje następny projekt. Nie powinno być dozwolonem królowi rozdawać królewszczyzn w nagrodę ludziom zasłużonym, ale na to mają służyć dochody z tychże dóbr. Niech król i pierwsi dostojnicy w państwie świecą przykładem oszczędności, a prawo publiczne niech czuwa nad rozrzutnymi, marnotrawców oddaje w kuratelę, jak to bywało w dawnych czasach. — Oto krótka treść dziełka, które w swoim czasie wielkie wzbudziło zajęcie. W wielu szczegółach jest ono dobrą ilustracyą moralnego stanu społeczeństwa w wieku XVI. Więc niedziw, że tak się tą książką zainteresowano. Oto co pisze Mikołaj Krzysztof Radziwiłł do ks. Sokołowskiego:

„Ujrzawszy *Kwestora* W. M. u jednego powinnego mego przed kilkiem niedziel, rozłakomiłem się, żem wszędzie szukał, a dostaciem go nie mógł i na sławnym jarmarku Lubelskim, kędym też umyślnie posełał i gdyżeś mie W. M. dawną swą łaską tak śmiałego uczynił, żem też *expostulare* chciał, żeś mie przepomniał tą pracą swą, którąś mi zawsze przedtym posełał; aliści

dzisia i list od W. M. i przy tych książkach drugie: *Nuntius salutis et Officium militare.* Gniewam się, że *Quaestor* dawniej mnie *viam vivendi* nie ukazował, aczci i teraz go trzeba, bo jeśli wżdy z łaski bożej lata w jednym odmienieli, namacałem że i teraz *Quaestor* ma co *corrigere.* Że nas W. M. zawsze uczysz, Panie Boże zapłać! a racz też zrządzić, abyśmy wdzięczni będąc, polepszali się, alić prawie W. M. nas ukazał, cośmy za ludzie, byśmy jeno słuchać chcieli, nie trzebaby nam inszej *pragmatici*“ [1].

Karnkowski i Wolfgang Kowakowski niemniej się unoszą nad *Kwestorem.*

Powodem do napisania *Kwestora,* jak mówi autor w przedmowie do Marcina Leśniowolskiego, swego niegdyś ucznia, a teraz przyjaciela — były ciągłe narzekania na szerzące się w kraju zbytki i marnotrawstwo. Chcąc temu zaradzić, napisał swój dyalog. Praca ta była też zapewne rozrywką dla autora w chorobie i w smutnym czasie morowej zarazy [2].

---

[1] List z dnia 28 lutego 1590.

[2] Wydane w Krakowie: 1) 1589; 2) 1590; 3) *Opera omnia,* t. I., 1591. Na polski język tłumaczył *Kwestora* J. Januszowski, p. t.: „Szafarz, albo pohamowanie utrat niepotrzebnych“. Kraków 1589.

W ciągu tej pracy zdarzyło mi się czytać studyum p. Kraushara, napisane w celu oddania *suum cuique* w *Przewodniku Naukowym i Literackim* (marzec 1891) o Piotrze Wężyku Widawskim, satyryku XVI. wieku, którego *Exorbitancye* wyszły w r. 1603. Kilka ustępów z tej satyry przytoczonych wzbudziło we mnie podejrzenie pokrewieństwa jakiegoś z „Szafarzem“ ks. Sokołowskiego. Po porównaniu tych ustępów z odpowiedniemi miejscami „Szafarza“, przekonałem się, że autor *Exorbitancyj* korzystał z Sokołowskiego, i nieraz go wolno tłumaczył. Oto parę przykładów:

Sokołowski:

„Mitto illorum multitudinem: unam mulierculam, cum qua vel robustior musca avolaret, trinis bigis vehimus, in quibus sex egregii milites pro patria fortiter pugnare possent... Quid enim magis esse potest hominis stulti ac temerarii, sibique a Deo datis bobis abutentis: quam iumentum, quod eodem die extingui potest, mille aureis

Widawski:

„A jako to szacować, co jednę białogłówkę, z którąby dobra mucha uleciała, w karocy sześć woźników tureckich, każdy po kilku set i po tysiącu złotych kupiony, wozi? Azaż to dla Boga nie głupstwo, albo raczej nie szaleństwo, za konia, który może tej godziny zdechnąć, dać tysiąc złotych, a za człowieka, stwo-

Officium militare, o którem wspomina Radziwiłł w wyż przytoczonym liście, nie mogłem znikąd dostać. Estreicher

---

comparare? Quod si eam Rempublicam diu stare non posse, dicebat Cato, in qua piscis fit carior bove: quid de ea dices, ubi caput equi pluris censetur, quam equitis? Hoc certe est comparari iumentis insipientibus".

„Nam greges isti servitutis cuiusdam insigne sunt, quasi aut metuas, aut metui velis. Quid enim libertati magis repugnat, quam alium armatum sufferre, illi de via decedere, primum locum dare, fulmina bombardica, sine tonitru metuere?... pugnant enim potentia cum libertate. Quam tristis est Tullii querela, se inter armatos sententiam dicere?... Nam et fasces et secures magistratui praeferri, aliquando subtristius est, quid privato homini?"

„Nonum vitium illud est, ex quo haec mala nascuntur, quando exotica quaeruntur omnia, domesticum et patrium placet nihil: non victus, non vestis, non servus, non ensis, non equus. Plura ex pharmacopolis, quam ex macello in mensis apponuntur; interdum ea, quae neque conviva, neque convivator nominare possit, saepiusque ad Plinium et Dioscoridem, Athenaeum item recurrere oportet, antequam coena intelligatur: quam ad rem docto etiam interprete opus est. Nam quae apud eas nationes servorum aliquando sunt alimenta, quod istos, eo solum nomine, quod externa sunt, pro secundis mensis, bellariisque apponuntur et habentur. Neque item mihi placet illud quaerendum Emblema:

rzenie Boże, w obronie rzekomo, sześćdziesiąt grzywien. Cato powiedział, że to Królestwo, albo Rzplta, nie może długo stać, gdzie droższa ryba niż wół: a cóżby tu rzekł, gdyby tych czasów doczekał, w których droższa szkapa niż człowiek, stworzenie Boże, co na koniu jeździ i tą bestyą rządzi?"

„A to wszystko jest niewola, która z wolnością walczy. Bo ten, kto tego używa, zwłaszcza owych hajduków z pukawkami, abo chce, aby go się bano, abo sam się boi... Cycero nie chciał w senacie wotować, że kogoś z bronią ujrzał. Siekiery a rózgi jedno przed magistratem noszono... Co się zwierzchności na onczas tylko godziło, to się teraz wszystkim godzi".

„Tem się uboży Rzplta, gdy na tem nie przestawają ludzie, cóż mają, swymi rzeczami gardząc, cudzoziemskich szukają. Potraw, szat, sług, broni, koni... Ach niestetyż lepsze z apteki niż z jatki, których rzeczy sami nazwać nie umieją. A co tam świnie jadają, to my tu drogo kupujemy.

w swej Bibliografii XV. i XVI. wieku nic o niem nie wspomina[1]. To pewna, że wyszło z druku przed dniem 6 stycznia 1590 r., bo Zamojski w liście dnia tego datowanym dziękuje za nie autorowi. Z listu Reszki, pisanego do ks. Sokołowskiego z Rzymu dnia 6 stycznia 1590, wnoszę, że to był jakiś traktat albo traktaty o obowiązkach rycerzy chrześcijańskich, wraz z modlitwami dla żołnierzy.

„Czytałem Twoje *Officium militare* — pisze Reszka. — Pobożne Twoje usiłowania przedstawiłem wczoraj Ojcu św. Ofiarowałem mu książkę i prosiłem o błogosławieństwo apostolskie. Uśmiechnął się na to co mówiłem papież i powiedział: Cóż dziwnego, że zwyciężacie Moskwę, że pogromić zdołacie Scytów i odpierać Turków, że poskramiacie waszych współzawodników,

---

Pingi quasdam gentes nudas cum rudi panno, ex quo quivis vestitus esse possit. Quod etsi illud significare posset, quemvis Aristippo colorem convenire quod et ipsum non valde laudabile est; tamen et nudum pingi paupertatis signum est; et indigestum pannum gerere, inconstantiae servitutis".

„Sextus gradus praecipitii est, ubi *ad opinionem non ad naturam vivitur* Venter tuus est satur et hospites; lateri bene, tergo bene, iumento bene. Quid igitur vis? Oculi non saturi, aures non plenae, quid foris dicant, quid sentiant, quid de convivio opinentur, quam magnifice sint accepti".

Dobrze tedy Polaka inne narody malują nago, z postawem sukna i nożycami, aby sobie krajał jako chciał, gdyż na się jako chameleon rozmaite barwy, tak on stroje bierze: albo mu tem ubóstwo i niedostatek jakiś przypisują. Jako drugi napisał: że Polak jest wendetą wszystkiego świata".

„Najdują się też i tacy, co *ad opinionem, non ad naturam vivunt,* choć stołem dobrze, szatą, koniem, wedle potrzeby, przecie chcą wiedzieć i słyszeć, jeśli to ludzie widzą, to przyznawają. A tak ci oczy i uszy nie nasycone mają".

Inne rzeczy są podobne treścią, jeśli nie formą. Nie mając pod ręką całych *Exorbitancyj,* nie mogę dokładniej porównać tych dwóch dzieł i stanowczego coś orzec o stopniu ich pokrewieństwa. Z tego, co zestawiono, nasuwa się podejrzenie, czy Widawski nie urósł w części kosztem ks. Sokołowskiego. Dodam, że wiele innych miejsc *Exorbitancyj* dałoby się też zestawić z wyjątkami z Kochanowskiego i Reja.

[1] Cytuje je ks. Lipnicki w swych „Zasadach Kaznodziejstwa" (t. I., str. 216) między dziełami Sokołowskiego, podając tylko w nawiasie rok 1589, a nic nie mówi, skąd się o niem dowiedział.

Friesius (Peregrinus) twierdzi, że *Officium* wyszło *Cracoviae* 1859 in 12° z dedykacyą do Zamojskiego; liczy je *inter rarissima Socolovii scripta.*

jeśli macie tak pobożnych i oddanych modlitwie żołnierzy i wodzów. Niech Bóg będzie z wami. Co do łask i odpustów, to chętnie ich udzielimy. Żądanie zaś swoje przedłóż Kard. Gerwaldowi, ażeby on nam to wszystko potem jasno przedstawił. Autor jest zapewne ów kaznodzieja króla Stefana, o którym już dużo dobrego słyszeliśmy; udzielamy mu naszego błogosławieństwa. O odpustach będziemy mieli staranie".

Szkoda, że nie możemy się przekonać, czy *Officium militare* nie ma jakiego bliższego pokrewieństwa ze „Żołnierskiem nabożeństwem" Skargi (wydanem r. 1606) [1].

Synod Piotrkowski polecił Sokołowskiemu napisać pacierze kapłańskie do brewiarza na cześć św. Patronów polskich. Spełnieniem tego polecenia zajął się on gorliwie, jak wskazuje odnosząca się do tego korespondencya. W pacierzach kapłańskich na Jutrznię jest zwykle podany w kilku lekcyach żywot świętego. Praca nad temi żywotami zajmowała zdaje się najwięcej czasu, nieraz bowiem obszerniejsze studya i badania trzeba było przedsiębrać. W r. 1589 były napisane pacierze o św. Stanisławie i św. Floryanie, jak świadczy list biskupa Rozdrażewskiego do autora. „Officya o św. Stanisławie i Floryanie, patronach tego królestwa, pisze biskup, zdają mi się tchnąć starożytnością i pobożnością przodków. Życiorysy pięknym są napisane stylem, a te rzeczy, które potrzebowały większego rozmysłu, ostrożniej są dotknięte; św. Stanisław wyjedna swemu Stanisławowi za cześć sobie oddaną wiele koron i stokrotną zapłatę w mieszkaniu Błogosławionych. Nie wątpię też, że równie wiernie i pilnie Wielebność Wasza wywiąże się z reszty zadania powierzonego sobie przez synod. By zaś tem łatwiej Wielebn. Wasza mógł tego dokonać, przysyłam przez Regeliusza to, co w tym przed-

[1] Wszystkie pisma, o których dotąd wspomnieliśmy, oprócz *Officium militare*, znajdują się w I. tomie zbiorowego wydania pism ks. Sokołowskiego z r. 1591. Starał się autor od dawna o to wydanie. Już w r. 1587 korespondował w tym przedmiocie z Franc. Ferwardentius'em w Paryżu. Lecz zabiegi te spełzły na niczem. Dopiero w r. 1591 w Krakowie u Łazarza pięknie *in folio* wydany wyszedł tom pierwszy, p. t.: *Stanislai Socolovii Opera*.

miście odnośnie do mojej dyecezyi zrobiono". Korzystając ze wskazówek biskupa, pisał Sokołowski resztę officyów o śś. polskich Patronach, jużto o tych, którzy na polskiej urodzili się ziemi, jużteż o tych, którzy pracowali nad polskim narodem, żyli na polskiej ziemi, albo których relikwie w naszym kraju spoczywają. Tak powstały officya i żywoty: św. Kazimierza, Jacka, św. Jadwigi, Pięciu braci Polaków męczenników, św. Andrzeja, św. Benedykta męczennika, św. Wacława, św. Wojciecha, śś. Cyryla i Metodego i t. d. Po dziś dzień odmawiają polscy księża bez żadnych prawie zmian te pacierze kościelne, ułożone przez Sokołowskiego. Nietylko bowiem żywoty, ale też hymny i inne modlitwy w skład officyów wchodzące, niezawodnie Sokołowski napisać musiał. Nie długo przed śmiercią ukończył on tę pracę i posłał ją Jerzemu Radziwiłłowi, winszując mu zarazem biskupstwa Krakowskiego. Radziwiłł odpisał mu z Rzymu (1592). Dziękuje za tak miłą wiązankę, jaką mu złożył wraz z życzeniami; mówi, że przedłoży te officya Baroniuszowi i innym sławnym mężom, napisze mu jakie ich zdanie, ale pewien jest, że będzie przychylne, wszyscy bowiem uczeni jednogłośnie twierdzą, że Sokołowski celuje we wszystkich rodzajach pisania. I widać nie zawiódł się biskup w swoich nadziejach co do zdania Baroniusza i innych, gdyż w r. 1596 wychodzą (nakładem Radziwiłła) *Officia propria Patronorum Provinciae Poloniae per R. St. Socolovium.* Łatwo się domyślić, że to dzieło licznych doczekało się wydań.

Dziwne doprawdy, jak ten Sokołowski wszystkiem się zajmuje, jak szeroką i różnorodną jest jego działalność. Walczy z herezyą, prawi kazania, zajmuje się polityką, pisze dzieła apologetyczne, pobożne książki wydaje — przytem wie wszystko co się dzieje na dworze, królom przy każdej okazyi spieszy z radą i nauką, śledzi każdą myśl nową, każdy ważniejszy fakt w życiu społecznem czy religijnem. Ot nowy przykład: W tych właśnie czasach zaczynają w Polsce coraz głośniej występować Jezuici, nabierają znaczenia, wielu biskupów popiera ich gorliwie i buduje im kolegia. Wysokie pojęcie powołania; gorliwość o chwałę Bożą, czystość obyczajów i wysoka nauka zjednała im od razu przychylność i uznanie szerokich warstw na-

rodu. Sokołowski — rzecz charakterystyczna — nie chce od razu obdarzyć zakonu pełnem zaufaniem; z radością widzi on Jezuitów na ambonie, i tam ich wita jako współpracowników upragnionych w walce z herezyą; na katedrach jednak szkolnych, po szkołach nie radby widzieć profesorami Jezuitów. Połączenie tych dwóch celów, jakie sobie wytknął zakon: walka z herezyą i nauczanie młodzieży, budziło w ks. Sokołowskim jakąś nieufność. Miał jednak ten wielki rozsądek, że zostawiał czasowi wypróbowanie zakonu i jego działalności. Stanowisko jego do Jezuitów w czasach synodu Piotrkowskiego najlepiej ilustruje list do kujawskiego biskupa Rozdrażewskiego. Przytoczymy parę zdań charakterystycznych: „Co do tego ożenienia — pisze on — Collegiatów z Jezuitami, dobrzeby je wreszcie zawiesić do słusznego czasu, wszakoż to nie ostateczny synod... Nie wadziłoby się przypatrzyć y ludziom y rzeczy. Widzę ja, że tu oni wielkie *aedificium* u św. Szczepana budują, a cóż ja to wiem na co? Powiedział mi rzemieślnik, żeby tego za kilka lat nie zbudował... Nie chcianoć przedtem jedno św. Barbary, a już teraz i na św. Szczepanie mało. Poczekajmyż onego wielkiego *rerum interpretem* czasu i do czego się rzeczy powiodą. Jabymci nie rad dwu szkół widział w Krakowie *iuxta illud: Qui binos lepores una sectabitur hora, uno quandoque et quandoque carebit utroque*... radbym Jezuity do kościoła, a żaki do szkoły pognał, nietylko tu u nas, ale i wszędzie. Bo inaczej ani nauki, ani też *pietas* do swej perfekcyi nie przyjdą“... Konsekwentnie do tych zapatrywań postępował też Sokołowski. Kiedy np. rzucono myśl, by w konstytucye synodu Piotrkowskiego wtrącono artykuł tej treści, iż Synod uznał za potrzebne, by niektórzy profesorowie teologii i filozofii z Towarzystwa Jezusowego mogli mieć prelekcye w Akademii Krakowskiej i że Synod żąda, aby starano się doprowadzić to do skutku, Sokołowski stanął w szeregach opozycyi; a że głównie Akademia przeciwną była temu żądaniu i wszelkiemi siłami starała się zapobiedz uchwale, widząc w niej słusznie czy niesłusznie cios dla siebie — przeto ks. Sokołowski wystąpił w obronie rzekomo zagrożonej Akademii. Zachował się fragment jego listu pisanego w tym przedmiocie do Piotra Kostki

bisk. Chełmińskiego. Obawia on się — jak mówi w tym liście — sprowadzenia Jezuitów do Akademii, we współzawodnictwie takiem upatruje dążenie do wywrócenia Akademii i do ustanowienia na jej miejsce innej; zdaniem jego, cała sprawa miałaby ten koniec, że kiedy teraz ma kraj jedną akademię, potem nie miałby żadnej. Wkońcu jednak pogodził się Sokołowski z Jezuitami i zmienił niektóre swe trochę skrajne zapatrywania. Wielewicki, zapisując w Dyaryuszu datę jego, słusznie zalicza go do przyjaciół Zakonu.

Bądź co bądź, widać tu jasno, jak się Sokołowski gorliwie wszystkiem zajmuje, jak go interesują losy nauk i Akademii. Dodać należy, że nawet do Rzymu pisał w tej sprawie, wyzyskując tam wpływy dawnego nuncyusza życzliwego sobie, Caligari'ego, na co przychylną otrzymał odpowiedź 16 list. 1591. Zapewnia go ten dostojnik, że będzie się starał, o co tak napiera, bo i on pragnie, by miano tu takie względy na Akademię Krak., na jakie zasłużyła.

Przytem wszystkiem ks. Sokołowski przypomina się od czasu do czasu nowemu królowi. Przy wstąpieniu jego na tron złożył mu, jak widzieliśmy, wiązankę swych kazań; wydając pierwszy tom pism swoich, napisał znowu do niego długą przemowę dedykacyjną, stawiając mu przed oczy wspaniałe wzory panujących, którzy nietylko umieli berło chwalebnie dzierżyć, ale zarazem byli wielkimi protektorami nauk i sami się w nich kochali. Teraz wreszcie (1592), gdy król pojmuje w małżeństwo Annę Austryacką, pisze Sokołowski *Epithalamion sive Benedictiones nuptiales ad Sigismundum III. Poloniae regem et Annam Austriacam coniugem eius* (wydane w Krak. Łazarz 1592). Jest to traktacik o godności Sakramentu małżeństwa, zakończony słowami Genezy: *Crescatis in mille millia et possideat semen vestrum portas inimicorum suorum* [1]. Następuje błogosławieństwo dla małżonków, wyjęte ze Starego Testamentu; z obrzędów żydowskich, dalej błogosławieństwo Kościoła dla małżonków, wiersze łacińskie Seb. Felsztyna, polskie Szymonowicza, greckie znowu (zdaje

[1] Roz. XXIV. w. 60.

się) Felsztyna, wreszcie *Votum nuptiale* Szlachcińskiego Schoneusa. *Epithalamium* samo w sobie to rzecz drobna, mało też znane i prawie przez nikogo nie wspominane; dowodzi tylko, jak Sokołowski mimo licznych dolegliwości i skołatanego już zdrowia, wszystkiem się interesuje — a pamiętny wysokiego swego posłannictwa, wszędzie gdzie może dorzuca myśl religijną i piętno Boże wyciska.

Tymczasem zdrowie jego i siły podupadają coraz więcej. Choroba trzynastoletnia osłabiła jego organizm i szybkim groziła końcem. Coraz większe spostrzegamy zakłopotanie i trwogę w gronie jego przyjaciół. Biskup Maciejowski pisze do niego list *ea conditione*, aby go tenże nie na łóżku zastał; „bo mnie to ufrasowało, powiada, żeś mi W. M. odpisował z łóżka". Kiedy (w r. 1592) Zamojski wręczał Caligari'emu pisma Sokołowskiego zbiorowo właśnie wydane, wypytuje się dawny Nuncyusz bardzo troskliwie o zdrowie autora. Zamojski mu widać powiedział, że się ma lepiej, bo uradowany Caligari pisze do ks. Sokołowskiego list, wyrażający z tego powodu żywą swą radość, ale narzeka zarazem, że mu sam Sokołowski kilka przynajmniej słów o tem nie napisał. To jednak polepszenie było ułudnem; był to jak zwykle ostatni błysk życia przed śmiercią. Skorzystał jednak z tego Sokołowski i zaczął wykończać dzieło, nad którem od dawna pracował; był to Wykład Ewangelii, o którym już w *Partitiones ecclesiasticae* wspomina. Nie było mu jednak danem dokończyć tej pracy; wyłożył Ewangelię św. Mateusza, św. Marka, a przy św. Łukaszu nad objaśnieniem słów Symeona: „Teraz puszczasz sługę Twego Panie w pokoju", śmierć go zaskoczyła w 1593 r. 31 marca[1]. Pochowany w Krakowie w kościele św. Floryana.

Dzieło, przy którem śmierć zaskoczyła Sokołowskiego, wyszło w r. 1598 jako drugi tom jego pism. Tytuł brzmi: *Notae in evan-*

[1] Wielewicki zapisuje jego śmierć pod dniem 7 kwietnia, a za nim zdaje się powtarza to i Niesiecki. Birkowski tymczasem 31 marca (Pridie Cal. Apriles) 1594 jako *die anniversario* śmierci ks. Sokołowskiego miał mowę pochwalną (po łacinie) i wyraźnie mówi, że to jest rocznica śmierci. Przyjmuję datę Birkowskiego; mając mowę podczas nabożeństwa urządzo-

gelium S-ti Matthaei, Marci et Lucae. Jest to tom wielki in folio. Dowodzi wielkiej pracowitości, jak niemniej wielkiego obeznania w naukach teologicznych. Znajdują się tu adnotacye z archeologii, tłumaczenie Pisma św. wedle zasad hermeneutycznych, a przytem trafne nauki moralne, popierane cytatami z Ojców Kościoła.

Wreszcie pozostało po Sokołowskim jedno jeszcze dziełko wydane dopiero 1619 r. przez Jak. Janidłowskiego p. t.: *De ratione studii ad Nicolaum Wolscium*[1], a napisane jeszcze w r. 1572. Składa się z ośmiu rozdziałów, z których pierwszy bardzo ładny, o zacności i pożytku nauk; najdłuższy rozdział piąty traktuje o celu i metodzie nauki i o wyborze autorów. Nader ciekawym jest rozdział siódmy, w którym mowa o rozłożeniu czasu. Przypomina tu autor, żeby rano zaraz wznieść myśl do Boga, bo od niego idzie błogosławieństwo i pomyślność. Przed obiadem radzi pracować przynajmniej dwie godziny umysłowo, a potem użyć ćwiczeń fizycznych. Po obiedzie pracować umysłowo najmniej dwie, najwięcej cztery godziny; przed udaniem się na spoczynek nie pracować wiele, lepszą lektura lżejsza, a dobrze przeczytać to, czego się jutro uczyć mamy. W ostatnim rozdziale, o wyborze nauczyciela i szacunku mu należnym, mówi, że pierwszą nauczyciela zaletą ma być moralność. Wady nauczyciela, przechodzą na ucznia. Wogóle dziełko to krótkie, ale pełne zdrowych i pięknych uwag. Wszędzie ta myśl przebija, że nauka bez Boga niewiele warta, i że praca umysłowa przy życiu niemoralnem owoców wydać nie może. *Ks. Kasper Słomiński.*

(Dok. nast.).

nego za duszę Sokołowskiego do licznych słuchaczy i profesorów Akademii, którzy dobrze pamiętali dzień jego śmierci, nie mógł on przecie wyrażać się w ten sposób: „dziś obchodzimy rocznicę śmierci, dzień on dzień smutny“ i t. d., jeśliby do dnia onego jeszcze tygodnia całego brakowało.

[1] Odpis manuskryptu tego dziełka znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej (59).

KILKA UWAG

O RELIGIJNEM WYCHOWANIU MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Jedną z najważniejszych spraw społecznych w dobie współczesnej stała się sprawa wychowania młodzieży szkolnej. Sprawa ta nietylko idzie w parze z najpierwszemi zagadnieniami polityczno-socyalnemi, jakie ludzkość całą obecnie zajmują i o gorączkę przyprawiają, ale owszem ona poniekąd góruje nawet nad niemi przez to zwłaszcza, że skutecznie a należycie przeprowadzona, ona sama jedna posłużyć snadno zdoła do szczęśliwego rozwiązania owych palących kwestyj społecznych, a w dalszem następstwie stać się może również ożywczem źródłem ogólnego dobra i pokoju, więc powszechnej pomyślności wszystkich warstw społeczeństwa ludzkiego. Bliższe zajęcie i dokładniejsze zapoznanie się z istotą i duchem szkolnictwa w różnych krajach, szczegółowe wniknięcie w jego niedostatki i wady, wywołało ogólne prawie niezadowolenie i głośne narzekania na chybiony system nauczania, a w dalszem następstwie wyraźne życzenie, by szkoła stała się w przyszłości zakładem nietylko naukowym, ale i wychowawczym, by system i kierunek nauki uwzględniał należycie rozwój tak umysłu jak serca, by w równej mierze pielęgnowane były i kształcone tak wiedza jak charakter młodzieży. Prąd ten raz obudzony, w kierunku wychowawczym, ustać nie mógł, nie przybrawszy wyraźniejszych cech, nie sięgnąwszy do korzenia samego, tem więcej, że obudziły go i utrzymują dotąd

w naprężeniu groźne oznaki czasu. Złowrogie widmo socyalizmu radykalnego, straszniejszy nadto pomruk anarchii, jakby echo ryku dobywającego się z głębin morskich, a zapowiadającego zbliżającą się, w całej grozie potężnej, burzę morską; te zwiastuny niebezpieczeństw, grożących całej ludzkości w niedalekiej przyszłości, zniewoliły społeczeństwo całe do szukania środków zaradczych dla powstrzymania lub choćby osłabienia dzikiej siły szalonego żywiołu. Nie po raz pierwszy zresztą widziała historya ten zwrot w pojęciach, takie gwałtowne szukanie lekarstwa na choroby moralne społeczeństwa. Ile razy kataklizm okropny spotkał jakieś społeczeństwo, tyle razy głoszono program odrodzenia go przez gruntowniejsze i bardziej troskliwe wychowanie młodzieży pod względem religijnym. Niebezpieczeństwo jednak zażegnane lub z czasem zapomniane usuwało, niestety, zwykle poczucie potrzeby dokładnego wykonania tego programu na dalszy plan.

Podobny zupełnie proces dziejowy odbywa się za dni naszych. Wszędzie prawie, gdzie dojrzano rozkład nurtujący w społeczeństwie, gdzie jasno zdano sobie sprawę z wielkości niebezpieczeństwa, grożącego szkodą całemu ustrojowi społecznemu, zwrócono się do środka dobrze wypróbowanego w kolei wieków. Dziś ustala się już powszechnie głębokie przekonanie, że na zleczenie choroby w dobie współczesnej trzeba wcześnie stosować lekarstwo, że aby mieć zdrowem moralnie całe społeczeństwo, trzeba wprzód wszczepić zdrowie w młode pokolenie. Lecz że choroba wieku jest natury moralnej, nie fizycznej, przeto nie wystarczy na jej usunięcie jedynie rozgłośne dziś hasło fizycznego wzmocnienia i hartowania młodzieży. Tu nie wystarczy jeszcze ani najdosadniej zastosowana higiena, ani najwyborniejszy system gimnastyki, po których sobie dziś świat dużo obiecuje. Aby chorobę, której źródło tkwi w niedostatkach duchowych, należycie zleczyć, należy nietylko wychowaniu młodzieży nadać kierunek religijno-moralny, któryby stanowić mógł bezpieczną podstawę zdrowia duchowego dla starszych generacyj, ale nadto wychowanie to trzeba otoczyć taką troską i takiem bezpieczeństwem, iżby wszelkie ujemne i przewrotne wpływy żywiołów destruk-

cyjnych stały zawsze z dala od niego. Dążność w tym kierunku objawia się całym szeregiem zarządzeń i uchwał, powziętych w krajach przodujących na polu cywilizacyi, które w tem piśmie szczegółowo notowane były.

Wobec tego ruchu słuszna zapytać, co się czyni u nas, w państwie katolickiem, w dziedzinie wychowania religijnego młodzieży? Mówi się wprawdzie wiele o sprawach szkolnych, ale czynów ku naprawie wychowania religijno-moralnego prawie nie widać. Pod wpływem słusznej skądinąd, ale zbyt ciasno i lękliwie pojętej idei bronienia, a względnie rozszerzenia szkolnej autonomii naszej, zasłaniamy nietylko przed obcymi, ale i przed sobą niedostatki; słuchając rozpraw i mów w sejmie i w parlamencie, zdawałoby się, że wszystko u nas w tym kierunku odbywa się idealnie, że ustawy szkolne zabezpieczają należycie wychowaniu cel religijny, że udział Kościoła w wychowaniu religijnem młodzieży jest należycie zawarowany, że słowem nic nie zostaje do żądania, nic do życzenia.

Tymczasem w rzeczywistości sprawa przedstawia się inaczej. Szkoła wychowaniem religijnem nie zajmuje się z urzędu, kierunku tego nie uważa za swe istotne zadanie, wychodząc z tego zapatrywania, że to jest wyłącznem zadaniem domu rodzicielskiego, że zresztą od tego jest ustanowiony katecheta, aby baczył na stronę religijną wychowania młodzieży. Aż do przesytu władze szkolne zastawiają się ustawami i twierdzą, że biskupi mają przez nie dostatecznie zabezpieczony wpływ na kierunek wychowania młodzieży w duchu religijnym.

Gdy jednak zapytamy katechetów, jaki im przypada zakres działania w sprawie religijnego wychowania poruczonej im młodzieży, odpowiedzą nam jednym chórem: „Wcale nieznaczny, to bowiem co nam czynić wolno, nie może zaważyć na szali, gdy jest mowa o poważnym, jednolitym systemie wychowania; w tem zaś, cobyśmy czynić radzi, uważając za pożyteczne w kierunku wychowania religijnego, jesteśmy krępowani przeróżnemi rozporządzeniami i instrukcyami! To też od lat już kilku katecheci galicyjskich szkół średnich bądź w sprawozdaniach swoich, składanych odnośnym konsystorzom, bądź w głosach publicznych i rozpra-

wach fachowych dopraszają się u władz kościelnych i szkolnych pewnych zmian i urządzeń w zakresie czynności przypadających ich zawodowi. Biskupi austryaccy, zbierając się rok rocznie na wspólną konferencyę, wybrali specyalny komitet, którego jednym z głównych zadań jest wprowadzić w życie w szkołach średnich zarządzenia i zmiany, jakie poszczególne ordynaryaty uznają za stosowne i potrzebne, na podstawie wniosków wyrażonych przez katechetów. Nazwano to reformą nauki religii. Dzieło reformy, jak to się okazuje z dotychczasowych narad i uchwał komitetu biskupów, przygotowanych dla wspólnej konferencyi całego episkopatu, zajmuje się istotnie przedewszystkiem ulepszeniem nauki religii. Uwzględnia przeto plan tej nauki, przyjęty w szkołach austryackich, jakoteż podręczniki do nauki tej w szkołach przeznaczone. O jednem i drugiem pisano już u nas wiele od lat dziesiątka [1], a na chlubę katechetów galicyjskich podnieść tu należy, iż oni byli pierwsi, którzy na wady i niedostatki tak planu nauki religii, jakoteż podręczników dotąd używanych, zwrócili uwagę władz przełożonych; ich też staraniu należy przypisać, że się tą sprawą zajęła żywo ogólna konferencya biskupów austryackich, a w szczególności referent jej komitetu dla spraw szkolnych, Najprzewielebniejszy ks. biskup przemyski, Łukasz Solecki.

Jaki będzie wynik tych usiłowań, trudno jeszcze w tej chwili określić, tem mniej ściśle oznaczyć czas, kiedy się ostatecznie w czyn zamienią. Nietylko bowiem sprawa sama przez się jest zbyt doniosłą, by mogła być doraźnie i pospiesznie załatwioną, ale nadto zbyt liczne wchodzą w grę czynniki, by rzecz główna mogła rychło a jednomyślnie przyjść do skutku. Ze sprawozdania, jakie w tej sprawie ogłosił w październiku zeszłego roku [2] ks. K. Zoeller, przekonać się można, jak rozbieżne są zdania referentów, powołanych do oceny planu zmienić się mającego,

[1] W kwestyi tej niech mi wolno będzie odesłać czytelnika do poprzedniej mojej pracy: „W sprawie reformy nauki religii w naszych szkołach średnich". Lwów 1891 (str. 120), gdzie na str. 1618 podana jest odnośna literatura.

[2] *Die Reform des Religionsunterrichtes an unseren Mittelschulen.* Troppau 1891.

a zarazem jak odmienne muszą na plenarnem posiedzeniu biskupów wyłonić się zapatrywania na poszczególne działy przyszłego planu naukowego. Rzecz to zresztą wcale zrozumiała. Niepodobna bowiem ani oczekiwać, ani domagać się, by jeden i ten sam plan mógł odpowiedzieć potrzebom wszystkich dyecezyj różnolitych prowincyj państwa Austryackiego. Takiej jednolitości nawet w dotychczasowym planie nie było. Owszem, niech mi tu wolno będzie raz jeszcze powtórzyć, co już w poprzednio zacytowanej pracy[1] (str. 110 i nast.) zaznaczyłem, iż akcya cała w tak doniosłej sprawie rozpoczęta, nierównie rychlej dojdzie zamierzonego celu, jeżeli miasto planu, obejmującego wszystkie dyecezye austryackie, przyjmie się z niego tylko ogólne kontury, najważniejsze przewodnie zasady, zaś szczegóły pozostaną swobodne do wypełnienia wedle uznania księży biskupów pewnej prowincyi, w miarę potrzeb miejscowych i indywidualnych poszczególnych narodowości i krajów. A gdy raz nastąpi zgoda co do planu nauki i zapadnie stanowcza uchwała, to i druga część zadania, mianowicie: wprowadzenie odpowiednich do nauki i przyszłego planu podręczników, łatwiej dojdzie do skutku[2].

---

[1] „W sprawie reformy..." jak wyżej.

[2] Że ta uchwała już w niedalekiej przyszłości nastąpi, spodziewać się wolno przez wzgląd na to, że już na II. posiedzeniu komitetu księży Biskupów z dnia 10 marca 1891, przedstawił Najprz. ks. biskup Solecki sprawozdania z 28 ordynaryatów w sprawie reformy nauki religii i plan nauk w ogólnych zarysach został już przyjęty. Exposè tegoż ks. Biskupa, odczytane na II. posiedzeniu sesyi wiosennej komitetu dnia 7 marca 1892, posunęło rzecz dalej, a dzień 31 lipca b. r. został oznaczony jako ostatni termin do nadesłania sprawozdań niektórych ordynaryatów. W każdym razie już z tych uchwał, jakie powziął komitet księży Biskupów na posiedzeniu III. z dnia 11 marca 1891 r., okazuje się jasno, jak wielką wagę przywiązują Najprz. księża Biskupi do zamierzonej reformy nauki religii, skoro nietylko plan nauki i podręczniki mają na względzie, ale nadto dążą do tego, by poszczególne ordynaryaty wezwały swych katechetów gimnazyalnych do opracowania metodycznych przewodników do planu nauk, który ma z czasem wejść w życie. Na szczególniejszą wdzięczność katechetów zasługuje uchwała I. i II., powzięta na tem posiedzeniu, która stanowi, że, 1) „obok istniejących biskupich komisarzy lokalnych, należy ustanowić jednego lub więcej komisarzy dyecezalnych do nauki religii w szkołach średnich. 2) Obowiązkiem ich będzie nietylko poszczególnych katechetów szkół średnich wizytować i czuwać nad udzielaniem nauki religii, lecz

Skoro zatem dzieło reformy nauki religii dopiero jest w toku, skoro akcya, w tym kierunku rozpoczęta, dopiero w najbliższej przyszłości ma być szczęśliwie do końca doprowadzona, nie od rzeczy może będzie teraz jeszcze zabrać głos w sprawie ściśle związanej z podjętą akcyą. Rozliczni autorowie, piszący o potrzebie reformy nauki religii, zajmują się niemal wyłącznie stroną teoretyczną, tj. planem nauki i podręcznikami. Ale oprócz tego jest do uwzględnienia strona praktyczna, życiowa. Religia jest cnotą praktyczną. Wszelka przeto dążność do reformy nauki religii powinna konsekwentnie, z natury rzeczy, odnosić się nietylko do naprawy niedostatków udzielania jej pod względem teoretycznym, ale w równej mierze uwzględnić i udoskonalić jej stronę praktyczną, powinna ułatwić przynajmniej środki ku wykonywaniu religii, jako cnoty chrześcijańskiej. Sama formalna nauka religii zyska bez wątpienia wiele na ulepszonym planie i na odpowiedniejszych podręcznikach, lecz aby swój cel ostateczny osiągnęła, muszą jej przyjść w pomoc inne niemniej ważne czynniki. Jak zadanie szkoły średniej nie ogranicza się jedynie na wykształceniu umysłowem młodzieży, ale dążyć musi przez wpływ na wolę, przez oddziaływanie moralnej natury, przez wpojenie odpowiednich zasad do urobienia trwałych, dzielnych i moralnie silnych charakterów, tak tem pewniej zadanie kształcenia religijnego musi polegać nietylko na podawaniu potrzebnych wiadomości religijnych, ale w całem słowa znaczeniu musi być wychowawczem, więc wpływać zarówno na umysł, jak na serce i wolę.

---

nadto co trzy lata wszystkich katechetów zgromadzać na wspólną naradę, do czego mogą się wygodnie dołączyć trzydniowe ćwiczenia duchowne". Uchwała ta ma doniosłe znaczenie szczególnie dla szkół średnich na prowincyi; kiedy bowiem w siedzibach biskupich takie wizytacye rok rocznie dotąd regularnie się odbywają, to natomiast nikt chyba nie słyszał, by na prowincyi wizytował jaki komisarz biskupi odnośne zakłady naukowe. A jednak już wzgląd na katechetę, który czuje się dźwigniętym i wzmocnionym na duchu, gdy może owoce swej pracy okazać kompetentnej władzy duchownej, jużteż wzgląd na uczniów samych i stosunek zakładów naukowych do władzy kościelnej domaga się koniecznie takiego wyrazu opieki i czujności zwierzchników kościelnych dla spotęgowania czy choćby obudzenia życia religijnego w zakładzie naukowym i usunięcia trudności ku temu, gdzieby się nadarzały.

Kiedy więc w niedalekiej przyszłości ma być za inicyatywą katechetów, a za wspólną zgodą i współdziałaniem całego episkopatu, dokonane dzieło reformy nauki religii w szkołach średnich, skoro część tej nauki teoretyczna ma w tem dziele znaleść należyte uwzględnienie, słuszną wydaje się rzeczą zastanowić się na tem miejscu i nad drugą, praktyczną stroną religijnego kształcenia młodzieży; postawić sobie pytanie, czy pod tym względem *wszystko jest obecnie u nas tak urządzone, jak tego dobro młodzieży i zadanie religii w szkołach średnich się domaga.* Czy nie znalazłoby się w tym dziale wiele zarządzeń, któreby przy reformie już podjętej nie powinny być równocześnie zmienione lub udoskonalone dla uzyskania zupełnej całości? Z góry zaznaczam, że nie mam zamiaru, a nawet nie mogę, mówić na tem miejscu o wszystkich; radbym tylko na niektóre przynajmniej w tym dziale zachodzące niewłaściwości lub braki zwrócić uwagę społeczeństwa, a w szczególności władz kompetentnych. Czynię to zaś w tem przekonaniu, że spełniam tylko mój obowiązek kapłański i nauczycielski i przyczynić się tem mogę choćby w maluczkiej części do dobra duchowego młodzieży, a zatem do dobra ogólnego.

I. Przyjmowanie św. Sakramentów. Do środków najdzielniejszych i najważniejszych, stanowiących podstawę religijnego wychowania, należy bez wątpienia częste a godne przystępowanie do św. Sakramentów, a zwłaszcza Pokuty i Ołtarza. Skoro wychowanie religijne polega na wszczepieniu w wychowanków kierunku i ducha religii chrześcijańskiej, na pokierowaniu i urządzeniu ich życia wedle zasad Ewangelii Chrystusowej, na umiłowaniu i ścisłem wykonywaniu cnoty wszelakiej, tedy ostać się ono ani nawet zrozumianem być nie może bez zastosowania tych środków, które jedynie na mocy ustanowienia Chrystusa Pana zdolne są wlać w duszę życie nadprzyrodzone, wzmocnić ją do spełniania cnoty, a temi są właśnie św. Sakramenta. Każde wychowanie w duchu religii kierowane, na wierze oparte, ze środkami temi koniecznie a sumiennie liczyć się musi. Rozumieli

to starzy, doświadczeni pedagogowie i kierownicy szkolnictwa za dawnych lepszych czasów, to też nawet w szkołach austryackich w pierwszej połowie bieżącego stulecia na podstawie dekretu nadwor. Komisyi naukowej z dn. 28 września 1819, l. 6243 (Marenzeller, Zbiór Norm. l. 22), obowiązani byli uczniowie szkół średnich przystępować co 2 miesiące do Sakramentu Pokuty i Ołtarza. Później przepis ten wyszedł z użycia, liczbę obowiązkowego przystępowania do św. Sakramentów zmniejszono. Ale na jakiej podstawie i na mocy jakiego rozporządzenia? — nie wiadomo. To pewna, że dopiero za panowania w dziedzinie szkolnictwa najwyższego rozkwitu czy liberalizmu, w r. 1870 rozporządzeniem minister. z dn. 5 kwietnia, l. 2916 (Marenzeller, Zbiór Norm. l. 34), określono liczbę minimalną pod tym względem na 3 razy do roku, a więc na początek i koniec roku, i na okres wielkanocny. Zaznaczyć wypada, że w intencyi najliberalniejszego rozporządzenia, liczba ta była minimalną, co nie wykluczało wcale możliwości wprowadzenia, w miarę potrzeby, większej liczby, a zastrzegało tylko, by mniej niż 3 razy nie przystępowała młodzież do św. Sakramentów. Tymczasem zastrzeżenie wyraźne przyjęło się u nas jako stała norma.

Gdy się jednak zważy, jak wielką pomoc pod względem kierownictwa moralnego młodzieżą podaje dobrze odbyta spowiedź, dalej gdy się uwzględni, że przy obecnie przyjętym zwyczaju częstokroć między spowiedzią, odbytą na początku roku, a spowiedzią wielkanocną, upływa zbyt znaczny odstęp czasu, nie rzadko przeszło 7 miesięcy wynoszący, co samo przez się utrudnia młodzieży dobre odbycie spowiedzi, a nadto dotkliwą ujmę w jej postępie moralnym nieodbicie musi wytwarzać, — nie trudno będzie przyjść do wniosku, iż w dobrze zrozumianym interesie wychowania religijnego byłoby wielce pożądaną rzeczą, jeżeli już nie powrócić do praktykowanej niegdyś spowiedzi co 2 miesiące, to przynajmniej pomnożyć liczbę obecnie przyjętą o jednę spowiedź około uroczystości Bożego Narodzenia, lub przy końcu pierwszego półrocza odbyć się mającą. Stratę jednego dnia szkolnego na ten cel obróconego sowicie zdołają wyna-

grodzić korzyści duchowe, nieocenione a tak wielce młodzieży naszej w warunkach jej wychowania i otoczenia pożądane.

Jedna zachodzi jeszcze w obecnych stosunkach okoliczność, niefortunnie oddziaływająca na należyte dopełnienie tego aktu religijnego. Wobec wielkiej liczby młodzieży, garnącej się obecnie do szkół średnich, wydarza się często, że nietylko w mniejszych miastach, ale nawet i w większych, gdzie jest zazwyczaj większy zastęp duchowieństwa i pewna ilość klasztorów, nie ma młodzież odpowiedniej liczby spowiedników. W powody tego objawu wchodzić mi tu niepodobna. Najważniejszym jest zmniejszająca się z każdym rokiem liczba powołań do stanu kapłańskiego, a skutkiem tego niedostatku dzieje się, że każdy bez wyjątku obarczony jest równocześnie wielu zajęciami i obowiązkami. Dla celu tej pracy wystarcza obecnie skonstatowanie samego faktu, z czego wypływa, że nietylko katecheci pracujący w miastach prowincyonalnych w wielkim są zawsze kłopocie, gdy przyjdzie czas odbycia spowiedzi, ale nawet w miastach stołecznych i siedzibach dyecezyalnych, gdzie zwierzchność duchowna wyznacza urzędownie kapłanów do spowiedzi, by ułatwić trudne zadanie katechetów, bardzo często ledwo mała ich liczba a wcale nieodpowiednia liczbie penitentów zasiada w konfesyonale. Następstwa, jakie stąd wynikają, wpływają wcale ujemnie na kierunek wychowawczy, zwłaszcza religijny młodzieży szkolnej. Młodzież, przeznaczona do spowiedzi na pewien dzień, o pewnej porze, oblega konfesyonały przez kilka godzin — do późnego wieczora, a mimo to często odchodzi nie wyspowiadawszy się.

Jak ten proceder jest szkodliwym pod wielorakim względem, gdyż i karność rozluźnia i kontrolę potrzebną utrudnia, a nawet często pod względem higienicznym oddziaływa szkodliwie na zdrowie młodzieży, gdy nieprzyzwyczajona musi czas długi przebywać w zimnym kościele, o tem obszerniej nawet rozwodzić się nie potrzeba. Co jednak szczegółowo zasługuje na uwagę, to okoliczność w smutne następstwa brzemienna pod względem moralnym i wychowawczym. Przypuśćmy, co zresztą bardzo często się przydarza, że ledwie 10 spowiedników przy-

padnie przy spowiedzi uczniów na 300 penitentów. Zważywszy ten stosunek liczebny i krótkość czasu wyznaczonego do spowiedzi, do jakiegoż dojdzie się wniosku? Albo kapłani gorliwie pełniący zadanie spowiedników zamęczać się muszą nadmiarem pracy i z konieczności do późnej nocy spowiadać, ażeby wszystka młodzież mogła odejść należycie wyspowiadana, co tak dla spowiedników jak nawet dla samej młodzieży połączone jest z wielkim trudem i wielu niedogodnościami, albo też dla oszczędzenia czasu spowiedź sama odbywać się będzie pobieżnie, a tak wynikną znowu nieobliczone szkody natury moralnej. Taka bowiem dorywcza, pospieszna spowiedź nie może się zaliczać do aktów ułatwiających udzielanie Sakramentu Pokuty, ale raczej przyczyniać się musi do większego jeszcze osłabienia i obniżenia uczuć religijnych, które chyba i bez tego szkopułu nie sięgają nigdy wysokiego stopnia. A któż zdoła wszystkie szkody stąd idące wyliczyć? Wszak w dobrej spowiedzi najdzielniejszy mamy zawsze środek do moralnego kierownictwa młodzieżą, najsilniejszą rękojmię religijnego wychowania. Uczeń, często wielu względami wobec katechety skrępowany, ma jedynie u trybunału Pokuty dobrą sposobność wyjawienia swych wątpliwości, tam może najbezpieczniej szukać rady na swe błędy, sprostować mylne częstokroć zapatrywania. Może na tę sposobność czekał długo, spieszył z otuchą i wielkiem serca upragnieniem do konfesyonału, a gdy mu się przydarzy, że go dla braku czasu, dla natłoku penitentów spowiednik krótko zbędzie, jego ciemności zalegających umysł nie rozproszy, potrzeb serca nie zaspokoi, czy go to zachęci do ponownej spowiedzi, czy będzie lekarstwem tak potrzebnem na jego rany duchowe?

Sprawa lepszego urządzenia spowiedzi dla uczniów była już zresztą często poruszaną. Za inicyatywą katechetów lwowskich szkół średnich wydał lwowski Ordynaryat metropolitalny ob. łacińsk. w tym przedmiocie okólnik, wypełniony nader cennemi uwagami i zarządzeniami z dn. 20 września 1886, l. 3341, a treść jego cała, której tu powtarzać nie zdaje mi się rzeczą potrzebną, każdej chwili ma pełne znaczenie; oby tylko miała równie ścisłe zastosowanie! Skoro jednak trudności, wynikające

przy spowiedzi uczniów z niedostatecznej liczby spowiedników, nierychło jeszcze (dla braku liczniejszych powołań do stanu duchownego) będą mogły być stanowczo usunięte, a z drugiej strony nie można się spodziewać wobec jeszcze wzmagającej się z każdym rokiem frekwencyi młodzieży do szkół średnich znacznego pomnożenia tychże, nie pozostaje obecnie środek bardziej odpowiedni do należytego odbywania spowiedzi, jak *rozdzielenie całej liczby uczniów pewnego zakładu na tyle oddziałów, pewną liczbę klas obejmujących, ile ich w danym dniu zaproszeni spowiednicy swobodnie i należycie zdołają wyspowiadać.* Chodzi tylko o to, by dyrektorowie zakładów naukowych nie czynili w tem przeszkód katechetom. Ku temu celowi wystarczyłoby zupełnie, by kraj. Rada szkolna postarała się o wznowienie zarządzenia nadwor. Komisyi naukowej z dn. 24 kwietnia 1821, l. 2797 (Marenzeller, Zbiór Norm. l. 23), które obecnie poszło w zapomnienie, a które wyraźnie w sprawie urządzania spowiedzi mieści te słowa: *Ist die Jugend zahlreicher, so wird sie abgetheilt und für jede Abtheilung ein besonderer Tag bestimmt.* Co do wyznaczenia dnia wolnego, istnieje nadto nowsze rozporządzenie ministeryalne z dnia 8 listopada 1880, l. 15.905 (Marenzeller, l. c. l. 37).

Z końcem przeto uwag co do przyjmowania św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, gwoli bardziej religijnego wychowania młodzieży, okazują się pożądane, prócz tych zarządzeń, jakie zwierzchność duchowna pod względem doboru spowiedników i sposobu odbywania spowiedzi uzna za stosowne, podać jeszcze dwa następujące, do których potrzebne jest współdziałanie naczelnej władzy szkolnej:

1. *Prócz terminów dotąd przepisanych dla uczniów do odbywania spowiedzi, pożądane jest nadto wprowadzenie jej około uroczystości Bożego Narodzenia lub przy końcu I. półrocza.*

2. *Wielkiem byłoby przy spowiedzi ułatwieniem, gdyby wszystka młodzież była podzieloną na tyle oddziałów, by liczba uczniów spowiadających się była domierzoną do odpowiedniej liczby spowiedników.*

2. Rekolekcye. Równie prawidła ascetyki chrześcijańskiej, jak jednobrzmiące zdania kierowników życia duchownego i auto-

rów na ten temat piszących, godzą się na to, że potężną dźwignię na drodze doskonałości stanowią ćwiczenia duchowne czyli rekolekcye. One to z pośród wielu środków służących do osiągnienia i zachowania życia religijnego i cnoty chrześcijańskiej najznakomitszą zawsze podają rękojmię, najdzielniejszą niosą pomoc i najobfitsze owoce. To też uznając wartość tych ćwiczeń i przedziwną ich skuteczność, korzystają z nich wszystkie stany, znają je dobrze wszystkie instytucye, kierowane zasadami szczerze katolickiemi. Jedna tylko szkoła średnia dotąd nie zna należycie ich praktycznej dla życia religijnego doniosłości, tu tylko ich wartość i wielkie znaczenie dotąd jest zapoznane; jak gdyby można myśleć o wychowaniu, a zwłaszcza religijnem, bez odniesienia się i korzystania z tak znakomitego środka duchownego!

W galicyjskich szkołach średnich przyjął się zwyczaj, że w pierwszych dniach Wielkiego Tygodnia (włączając już Niedzielę Palmową) odbywają się tak zwane ćwiczenia pasyjne, polegające, jak już sama nazwa wskazuje, na tem, że obok Mszy św. porannej i błogosławieństwa Najśw. Sakramentem popołudniowego, młodzież słucha dnia każdego dwu nauk duchownych osnutych na tle Męki Pańskiej. Nikt nie zaprzeczy, że nauki takie nastręczają obfitą sposobność do wzniosłych myśli, że mówione z serca i trafiając do wrażliwych serc młodzieży, zdolne są obudzić w niej rzewne i tkliwe uczucia, zagrzać ją i pokrzepić na duchu. Wątpić też nie można, że gorliwy a zręczny katecheta potrafi, mówiąc o poszczególnych epizodach Męki Pańskiej, wyzyskać je tak skutecznie, by wszystka młodzież zdołała przyswoić sobie wszelkie zastosowania i wskazówki, odnoszące się do potrzeb jej duchowych, do wad i niedostatków w jej życiu religijnem. Pod tym względem niema dwu zdań różnych i nikt nie odważy się zaprzeczyć wielkiego znaczenia i doniosłej wartości nauk na temat Męki Pańskiej głoszonych. Owszem każdy przyzna, że ponieważ są nader cenne i pożyteczne, powinny być i nadal w szkołach średnich w całej mocy zbawiennego zwyczaju zachowane.

Nic jednakże nie przeszkadza, aby obok nauk pasyjnych nie miały być w szkołach średnich wprowadzone ćwiczenia du-

chowne w ścisłem znaczeniu, czyli rekolekcye. Jeżeli bowiem cenne są nauki pasyjne, nierównie większe znaczenie dla odnowienia i ożywienia życia religijnego wśród młodzieży mają rekolekcye, choćby już dlatego, że nauki rekolekcyjne nie potrzebują się jak tamte ograniczać do pewnych tylko luźnych z treścią nauki pasyjnej zgodnych zastosowań praktycznych, ale wszystkie łącznie tworzą pewną całość i głoszone bywają w ścisłym, systematycznym związku, co im właśnie w odniesieniu do naprawy życia duchownego daje wielką siłę i przewagę nad tamtemi. Bardziej jeszcze występuje różnica, między temi dwoma rodzajami nauk zachodząca, gdy się uwzględni cel ostateczny, do którego zmierzają. Kiedy bowiem nauki rekolekcyjne łącznie wzięte, mają słuchaczy przysposobić do odmiany i naprawy życia duchownego przez dobrą spowiedź i Komunię św., nauki pasyjne mają głównie na celu zapomocą przedstawienia Męki Pańskiej odświeżyć w umyśle wielki dogmat Odkupienia i doprowadzić słuchaczy do należytego korzystania z owoców tego Odkupienia.

A chociaż według zwyczaju, naukom pasyjnym w szkołach średnich zwykło towarzyszyć przyjmowanie św. Sakramentów, to jednak chwalebny ten zwyczaj nie może być, niestety, wszędzie przy najlepszych chęciach katechety równie ściśle stosowany. Kiedy bowiem po miastach prowincyonalnych nie bez wielkich zawsze trudności udać się jeszcze niekiedy może dobra spowiedź młodzieży w Wielkim Tygodniu (w poniedziałek lub wtorek), przy nadmiernym zazwyczaj natłoku penitentów ze wszystkich warstw, przy wielkiej liczbie samych uczniów a małej stosunkowo ilości spowiedników, to natomiast w miastach wielkich, jak Lwów i Kraków, praktyka ta jest wprost niewykonalną. Jakże się przeto zwykle odbywają te ćwiczenia? Oto najpierw spowiada się młodzież w różnych dniach Wielkiego Postu, wyznaczonych dla ułatwienia katechetom tej ważnej czynności przez Ordynaryaty, a następnie dopiero po pewnym czasie, a nawet wprost po Spowiedzi św., rozpoczynają się z początkiem Wielkiego Tygodnia nauki pasyjne. Dzieje się tak dlatego, że przy nadzwyczaj licznej frekwencyi młodzieży do szkół średnich byłoby czy-

stem niepodobieństwem doprowadzić do skutku w jednym dniu Wielkiego Tygodnia po skończeniu nauk pasyjnych spowiedź wszystkiej młodzieży. Co najwyżej jeden zakład mógłby skorzystać z takiego dnia, wszelako i to się z reguły nie dzieje, by nie przeszkadzać penitentom z innych warstw społecznych w odbywaniu swobodnem w tych dniach Spowiedzi św.

Jakież idą za tem następstwa? Te mianowicie, że podobnie urządzane ćwiczenia pasyjne nie przynoszą, bo wprost nie mogą przynieść, należytych a oczekiwanych korzyści; ograniczone do nauk duchownych i nabożeństwa, a nie zakończone Spowiedzią św., wypaczają właściwy cel wszelakich ćwiczeń duchownych; są one, proszę darować porównanie, jakby musztarda po obiedzie; nauki tuż po spowiedzi miane w zastosowaniach odnośnych muszą niepokoić sumienia młodzieży, świeżo odprawioną Spowiedzią św. uporządkowane, bez tych zaś zastosowań stają się jedynie szablonami i nie mogą zająć należycie młodzieży, a przynajmniej bezpośredniego interesu i korzyści duchownej jej nie przedstawiają. Gdy się nadto weźmie na uwagę tę okoliczność, że młodzież w tych dniach Wielkiego Tygodnia uwolniona od nauk szkolnych dla odbycia ćwiczeń uważa już te dni jako wolne, a w ćwiczeniach odbywających się widzi tylko przeszkodę do rozpoczęcia feryj świątecznych, że uwaga jej ciągle jest rozproszoną mnóstwem drobnostek odnoszących się do nadchodzących świąt i z trudnością tylko da się w karbach utrzymać, że dalej wszelkiemi sposobami bądź sama, bądź nawet przez rodziców molestuje katechetę o uwolnienie od części choćby tych ćwiczeń, łatwo dojść można do wniosku, że wedle dzisiejszego ich urządzenia są one dla pewnej choćby liczby uczniów *odiosum*, czem być nigdy nie powinny, czego stanowczo uniknąćby należało.

A czy jest to możebnem?

Owszem, bardzo łatwo. Nauki pasyjne mogłyby wygodnie być przedmiotem nauk duchownych głoszonych młodzieży kolejno w niedziele Wielkiego Postu, jak to w tych właśnie dniach po południu odbywa się we wszystkich kościołach parafialnych. Ich miejsce w dozwolonych rozporządzeniami władzy szkolnej

trzech dniach mogą bardzo dobrze zająć nauki i ćwiczenia rekolekcyjne, wszelako dla uniknięcia właśnie wszystkich tych niedogodności, jakie dotąd z ćwiczeniami pasyjnemi były połączone, należałoby postarać się o takie zarządzenie, by się te rekolekcye mogły odbywać w dowolnych trzech dniach Wielkiego Postu, niekoniecznie w pierwszych dniach Wielkiego Tygodnia; dalej, by wszędzie mogły być zakończone spowiedzią i Komunią św. W tych miastach, gdzie Ordynaryat biskupi sam oznacza termin spowiedzi, mogłyby snadno odbyć się tuż przed tym terminem, w innych zaś zależałby termin od dogodności miejscowych stosunków i uznania katechety. W każdym jednak razie, nie powinnoby to nigdzie przypaść na pierwsze dni W. Tygodnia, kiedy tyle nastręcza się trudności, skoro zwłaszcza w tych dniach może się odbywać wygodnie nauka szkolna.

Ku temu celowi, wyjąwszy chyba tylko czas naznaczony, zmierzają też rozporządzenia władzy szkolnej naczelnej. Rozporządzenie bowiem Ministerstwa wyznań i oświaty z d. 20 marca 1852 r., l. 2729, co do istoty swej przez późniejsze zarządzenia z r. 1870 wcale nie uchylone, przepisuje, iż w szkołach średnich mają się odbywać „ćwiczenia duchowne“ *(Andachtsübungen)*, więc niekoniecznie ćwiczenia „pasyjne“, zwłaszcza, że wyraźnie jest w niem dalej określony cel tych ćwiczeń, a mianowicie: *przez które młodzież ma być przysposobioną do godnego przyjęcia św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza.* Dla osiągnięcia tego celu pozostawia dalej powyższe rozporządzenie zupełną swobodę katechetom zasięgania rady i przyjmowania w tym kierunku pożądanych wskazówek od swej władzy kościelnej, a dyrektorom zakładów wspólnie z katechetami poleca staranie o troskliwe tychże wykonanie, wyraźnie zaznaczając, by te ćwiczenia odbywały się „z sumienną troskliwością o d p o w i e d n i o d o s w e g o c e l u“[1].

---

[1] Marenzeller, *Normaliensammlung,* nr. 30.... „dreitaegige Andachtsuebungen, durch welche die Jugend zum wuerdigen Empfange der h. Sakramente der Busse und des Altars vorbereitet werden soll... Dieselben sind an allen kath. Gymnasien *mit gewissenhafter Sorgfalt und ihrem Zwecke entsprechend abzuhalten*... Den Religionslehrern bleibt unbenommen diesfalls die entsprechenden Weisungen von ihrer kirchlichen Behoerde entgegen

Otóż w granicach tego nawet rozporządzenia dopuszczalne jest i możliwe odbywanie rekolekcyj, a chodziłoby tylko obecnie o przeniesienie terminu naznaczonego na trzy pierwsze dni W. Tygodnia, na czas dany W. Postu bardziej odpowiedni do zupełnego zdobycia celu.

Użyteczność i skutek takich rekolekcyj zależy jednak wiele od osobistości, która niemi kieruje i nauki rekolekcyjne wygłasza. Wiele tu bowiem znaczy nabyta długoletniem doświadczeniem wprawa, pewna rutyna do udzielania praktycznych nauk potrzebna, wielka znajomość serca ludzkiego, nabyta z życia i kierowania sumieniami w trybunale Pokuty, wreszcie dar gładkiej wymowy i w ogólności rozliczne przymioty osobiste mowcy. Przyjętym przeto powszechnie zwyczajem tak w zakładach duchownych jak we wszelkich instytucyach, gdzie się odbywają rekolekcye, zaprasza się do dawania rekolekcyj kogoś z doświadczonych w tym kierunku kapłanów świeckich lub zakonnych. *Zwyczaj ten powinien również w szkołach średnich znaleść zastosowanie, jeżeli rekolekcye mają być nietylko jakąś czynnością urzędową, ale w istocie przynieść mają oczekiwane owoce.* A to tem bardziej, gdy się zważy, że nawet na wrażliwy umysł młodzieży nierównie lepiej oddziaływa urok nowości, niż ciągłe przysłuchiwanie się naukom tego samego katechety, do którego się już młodzież z czasem przyzwyczaiła, a którego wymowa już dla samej jednostajności wielkiego wrażenia wywołać nie zdoła, przynajmniej nigdy takiego, jakie osiągnąć można przez wprowadzenie w tok powszedniego życia szkolnego pewnego urozmaicenia i zmiany. Naturalnie, że w takim razie musiałby wziąć katecheta na siebie odpowiedzialność za cały przebieg nauk rekolekcyjnych, wszelako nikt chyba obawiać się nie będzie, by ktokolwiek z zaproszonych rekolekcyonistów przekroczył granice roztropnością wskazane, i za temat swych nauk obrał cokolwiek innego, jak

---

zu nehmen, fuer deren Ausfuerung die Direktoren im Einvernehmen mit den Religionslehrern zu sorgen haben". Późniejsze rozporządzenie z dnia 5 kwietnia 1870, l. 2916, ograniczyło te ćwiczenia w następujący sposób: „In Faellen, wo sich ueber das Mass der bezeichneten Uebungen zwischen dem Lehrkoerper und der kirchlichen Behoerde Differenzen ergeben... hat die Landesschulbehoerde selbststaendig (?) zu entscheiden".

tylko przedmiot, wskazany potrzebą duchową i warunkami otoczenia młodzieży. Sam cel religijny takich rekolekcyj uchyla bezpiecznie wszelkie pod tym względem zastrzeżenia i obawy!

Streściwszy przeto rzecz o rekolekcyach, dochodzi się do następujących wniosków:

1. *W interesie religijnego wychowania młodzieży wiele na tem zależy, by w przyszłości wprowadzono w szkołach średnich obok nauk pasyjnych, także ćwiczenia ściśle duchowne czyli rekolekcye.*

2. *Nauki pasyjne mogą się odbywać kolejno w szeregu niedziel Wielkiego Postu, zaś ćwiczenia rekolekcyjne należy wprowadzić we Lwowie i Krakowie, w tych trzech dniach W. Postu, któreby bezpośrednio poprzedzały termin wyznaczony przez Ordynaryaty biskupie do odbycia spowiedzi wielkanocnej. W miastach prowincyonalnych zależeć powinno od stosunków miejscowych, czy one pozostaną nadal w pierwszych dniach W. Tygodnia, czy też wyprzedzać je będą stosownie do zarządzenia katechety.*

3. *Katechetom powinno przysługiwać pod osobistą odpowiedzialnością prawo zapraszania do nauk rekolekcyjnych kapłanów świeckich lub zakonnych.*

4. *Pierwsze dwa dni W. Tygodnia w tych zakładach, gdzie je wyprzedzą rekolekcye, pozostaną zwykłemi dniami szkolnemi* [1].

(Dok. nast.).

Ks. dr. Alojzy Jougan.

[1] Już po napisaniu tych spostrzeżeń, rozeszła się pogłoska, że na skutek prośby wniesionej przy końcu r. 1890 do łać. Ordynaryatu Metropolitalnego lwow. przez katechetów lwowskich szkół średnich, postanowiła kraj. Rada szkolna wydać okólnik, w którym ma się zgodzić na wprowadzenie rekolekcyj wedle powyżej skreślonego planu we Lwowie i Krakowie, nie zaś w miastach prowincyonalnych.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

O reformie t. zw. propedeutyki filozoficznej w naszych gimnazyach. Napisał ks. prof. gimn. dr. *Aleksander Pechnik*. W Tarnowie. Nakładem autora. 1892. (Odbitka ze sprawozdania gimnazyalnego).

Że filozofia a raczej t. zw. propedeutyka filozofii w naszych gimnazyach gorzej jest niż po macoszemu traktowana, nikt chyba nie zaprzeczy; że się za wiele o niej rozprawia, nikt również twierdzić nie będzie. Zajmujemy się niemało zatrzymaniem, względnie pominięciem filologii klasycznej, zaprowadzeniem kształcenia młodzieży na wzorach ojczystych i naukach przyrodniczych — lecz o filozofii rzadko kto kiedy i słówkiem potrąci. Czasy średniowiecza już przeszły, minął już okres dziecinnej scholastyki, minęła epoka filozofowania; nadszedł czas t. zw. nauk pozytywnych, okres doświadczeń i eksperymentów, epoka dotyku, wzroku, słuchu i innych zmysłów. Wśród i pomimo takich okoliczności, zjawia się powyższa praca d-ra Pechnika. Samo już wystąpienie świadczy o energii autora — dosadniej przekonywa nas o tem treść pracy.

Nie znajdujemy tu szumnych słów, wydeklamowanych z katedry głośnego filozofa, ani subtelnych spekulacyj głębokiego myśliciela, ale słowa człowieka trzeźwo na świat i ludzi patrzącego, pojmującego obowiązek wychowania młodzieży święcie i na seryo, który młodzież i szkołę kocha prawdziwie i prawdziwego pragnie jej dobra. Z takim człowiekiem można pomówić, takiego warto posłuchać, takiego zazwyczaj najlepiej o radę zapytać.

Zaczyna autor od wpływu skeptycyzmu na propedeutykę. Widzimy z tego rozdziału, że powątpiewania o najważniejszych zagadnieniach, o pra-

wdach zasadniczych przez filozofię zdobytych: jak istnienie P. Boga, istnienie duszy nieśmiertelnej, cel człowieka i t. p., wnikają nietylko w pewne warstwy społeczeństwa, ale wsiąkają głęboko w podręczniki szkolne a nawet w same instrukcye. Kwestyami temi nie wolno zajmować się w szkole średniej, bo są pewne szkoły filozoficzne, co wątpią o tem, szkoła zaś średnia ma podawać uczniom tylko to, co jest zupełnie pewne i nie jest zwalczane przez żadną szkołę. „Dziś, kiedy młodzieniec, zaczynający od 16-go (najpóźniej) roku rozumować, pragnie usłyszeć odpowiedź na pytania, które muszą mu się nasunąć, czy można dowieść nieśmiertelności duszy, jaki jest jej początek i cel, odpowiada mu się, że to należy do metafizyki i każe mu się poprzestać na poznaniu prawd daleko mniej ważnych, zaczerpniętych z samego doświadczenia, albo nawet budzi się wątpliwość, czy dusza ma byt istotny, substancyalny, czyli raczej jest tylko szeregiem zjawisk“ (str. 6). Przy tej sposobności zbiera autor główniejsze zarzuty sceptyków i daje im zasłużoną odprawę. Oczywiste niekonsekwencye i widoczna bezpodstawność we wnioskowaniu, to główne racye, przemawiające za skeptycyzmem.

W drugim rozdziale podaje autor niektóre uwagi nad zakresem i sposobem udzielania propedeutyki w gimnazyach. W ostatnich latach nauki gimnazyalnej nasuwa się mimowoli rozbiór niektórych najważniejszych zagadnień, i jest poniekąd konieczny: przy nauce religii, przy lekturze Platona, przy czytaniu nowszych autorów czy to polskich czy niemieckich, przy wielkich wypadkach dziejowych — a i przy naukach przyrodniczych niejedno pytanie wychodzi poza obręb doświadczenia. Wkracza się więc bardzo w dziedzinę filozofii; niema zaś żadnego powodu nie zajmować się nią systematycznie na najwyższym stopniu nauki. Atoli w takim razie trzebaby oprzeć propedeutykę o jakiś system filozoficzny. I w tem cała trudność, jaki w naszych czasach wypada obrać system. Autor i na to daje odpowiedź: „Ośmielamy się twierdzić stanowczo, że minęły już czasy, w których można było pomiatać Arystotelesem, nie tracąc sławy poważnego myśliciela, — że i dziś jeszcze wyniki jego badań powinny być podstawą wykształcenia filozoficznego“ (str. 18). Autor nie ma na myśli dokładnego i wyczerpującego wykładu całego systemu, ale żąda wykładu o prawdach każdemu zrozumiałych, każdego zajmujących i nieraz omawianych w ciągu nauki szkolnej: o istnieniu Boga, o nieśmiertelności duszy, o elementach logiki i psychologii. Nie twierdzi też autor, że nigdzie nie wolno od Arystotelesa odstąpić, lub coś do słów jego do-

dać, ale że propedeutyka powinna obrać sobie za podstawę nietylko logikę formalną Arystotelesa, jak dotąd robiła, lecz i jego metafizykę. Mianowicie zdaniem autora logika powinna wciągnąć w swój zakres zasadnicze prawdy, należące do teoryi poznania i do metafizyki, psychologia zaś winna też objąć uwagi, odnoszące się do zadań życia praktycznego i ostrzegające przed najbardziej rozpowszechnionemi błędami, przed owemi „sofizmatami serca“, które są częstsze i szkodliwsze od sofizmatów głowy (str. 25).

W następnych rozdziałach zastanawia się autor nad układem i osnową potrzebnych nam nowych podręczników. Zaczyna od psychologii, która powinna wyprzedzać logikę. Na wstępie tej nowej psychologii musi być zdaniem autora mowa o objawach duchowych z wyjaśnieniem różnicy między światem duchowym a cielesnym; po tym wstępie należy wytłumaczyć związek, jaki zachodzi między duszą a ciałem. Dalej trzeba wyłożyć treściwie rzecz o systemie nerwowym i jego znaczeniu dla życia duchowego, z czem wiąże się nauka o poznaniu zmysłowem. Obszerniej trzeba rozprowadzić rzecz o świadomości, o łączeniu się i odtwarzaniu wyobrażeń. Rozdział o myśleniu, o sądach i wnioskach powinien uwzględnić błędy najwięcej rozpowszechnione, odnoszące się do prawd metafizycznych i etycznych. Następny rozdział o mowie powinien wykazać znaczenie jej dla rozwoju myśli ludzkiej i ogromną różnicę, zachodzącą między słowem a znakami, któremi zwierzęta porozumiewają się między sobą. Z tym rozdziałem wiąże się nauka o fantazyi artystycznej, na którem to miejscu trzeba w krótkości młodzież pouczyć, ile prawdy jest w słynnem określeniu, że sztuka naśladuje naturę, co oznaczają w estetyce słowa: ideał, prawda i piękno. Następować winny rozdziały, które można bardzo zajmującemi i kształcącemi uczynić, o uczuciach, namiętnościach i dążeniach, o woli i charakterze, przyczem nie należy pomijać kwestyi, największego dla psychologii znaczenia: o wolności woli. Ostatni rozdział podręcznika może zawierać pewne wiadomości o chorobach umysłowych, całą zaś naukę psychologii powinien kończyć dowód nieśmiertelności duszy.

Taką miałaby być psychologia. Jak sobie autor wyobraża przyszły podręcznik logiki? Zacząć można od definicyi prawdy i zwrócić na samym wstępie uwagę na rozmaite sposoby, któremi dochodzi się do poznania wielu prawd szczegółowych i na rozliczne błędy, których przyczyną bywa złudzenie zmysłów, albo lekkomyślne wydawanie sądów, albo też używanie tych samych wyrazów w różnem znaczeniu.

Nauka o pojęciu winna uwzględnić ważniejsze pytania, które ściśle z nią się wiążą, przedewszystkiem gruntownie trzeba w tem miejscu zastanowić się nad pojęciem substancyi i przyczyny, wykazać, że rozum dąży i ma prawo dążyć do poznania przyczyny ostatecznej wszech rzeczy, odeprzeć zarzuty skeptyków i sposobem dla wszystkich zrozumiałym dowieść, że są pewniki, o których wątpić nie można. W nauce o sądach zawisł cały pożytek od wyboru i dobrego uzasadnienia przykładów, które mają wyświecić istotę i znaczenie tej najważniejszej czynności umysłowej. W nauce o wnioskowaniu nie tyle czasu tracić na pojedyńcze figury, jak raczej starać się przedewszystkiem o to, aby uczniowie dobrze zrozumieli istotę i znaczenie sylogizmu. Następnie trzeba znaczną część czasu logice wyznaczonego poświęcić indukcyi, dokładnie określić i wyłuszczyć pojęcie tejże.

W zakończeniu słusznie podnosi autor, że najlepiejby było, gdyby wszyscy nauczyciele klas najwyższych posiadali odpowiednie wykształcenie filozoficzne; żeby zaś propedeutyce zapewnić należne stanowisko w szkole średniej, trzebaby ją zaliczyć do przedmiotów egzaminu dojrzałości.

Jak z samego wyłożenia rzeczy widać, jest to cenny przyczynek do dzisiejszych pedagogicznych dyskusyj i to w jednym z ważniejszych przedmiotów. Za słuszne uważamy wymaganie takiego wykształcenia filozoficznego od abituryentów szkoły średniej, owszem wykształcenie w tem znaczeniu filozoficzne jest bardziej potrzebne aniżeli wszelkie kształcenia humanitarne, ostatnie bowiem bez pierwszego będą gmachem bez fundamentu, domem na piasku zbudowanym. Czy ktoś ma być teologiem czy medykiem, czy prawnikiem czy filologiem, czy literatem czy matematykiem lub przyrodnikiem — dla każdego pewne wykształcenie ogólno-filozoficzne jest nieodzowne. Jeśli zatem szkoła średnia nie ma dawać wykształcenia fachowego, ale tylko przygotowanie do jakiegokolwiek fachu, to przedewszystkiem obowiązkiem jej dać to, co dla każdego, na jakiemkolwiek on się znajduje stanowisku i w jakimkolwiek zawodzie, jest koniecznem. Takie zaś jest wykształcenie filozoficzne.

Za dodatnią stronę pracy autora musimy uważać to, że pragnie oprzeć propedeutykę całą na systemie Arystotelesa. Kształcenie się w każdym kierunku myśli powinniśmy oprzeć na podstawie klasycznej. Świat klasyczny jest i będzie po wsze czasy uniwersalną szkołą. Stosujemy się już do tego w gimnazyach pod względem kształcenia literackiego, to samo trzebaby uczynić pod względem filozofii. Otóż naj-

klasyczniejszym z filozofów greckich i najbardziej szkolnym jest niewątpliwie Arystoteles. Zdaje się więc nam, że nikt się gniewać nie będzie, jeśli się na nim oprze ważniejsze kwestye propedeutyki gimnazyalnej.

W drobniejsze szczegóły nie wchodzimy, bo choć w niektórych rzeczach bylibyśmy innego zapatrywania, to może jednak wolno jest niekiedy być innego zdania autorowi a innego recenzentowi. Ale kilka rzucimy ogólniejszych uwag. Autor ma widocznie na sercu niektóre szczegółowe kwestye, które pragnie słuchaczom wyłożyć, i wtrąca je gdzie się da a nawet gdzie się to nie bardzo nadaje. I tak np. w logice żąda zbijania darwinizmu. Bardzo pożyteczną rzeczą być może zbicie Darwina, ale dlaczegóż to ma mieć miejsce w logice? Takiem samem prawem wszelkie inne doktryny, które przeciwko logice zawiniły, miałyby się w logice wykładać i zbijać. Dodamy nawiasowo, na co może autor nie zwraca uwagi, że co innego darwinizm a co innego teorya ewolucyi. Od śmierci Darwina, i jego hipoteza zaczyna zamierać, ale teorya ewolucyi rozwija się dalej, i coraz to nowsze fazy przechodzi. Uwagi autora zbijają wprawdzie darwinizm jako taki, ale nie naruszają prawie teoryi ewolucyi. Naszem zdaniem najlepiejby było nie poruszać wcale tej kwestyi, zwłaszcza w logice, tem bardziej że ewolucyonizm w pewnych granicach może mieć racyę bytu. Wystarczy w tem miejscu dać dokładne pojęcie hipotezy, podać warunki, jakich się koniecznie wymaga, aby jakaś hipoteza była dobrą, kiedy hipoteza staje się teoryą a kiedy ostatnia pewnikiem naukowym. Za to w psychologii trzebaby uwydatnić widoczniej różnicę istotną, jaka zachodzi między poznaniem zmysłowem a rozumowem, że niemożebne jest przejście rozwojowe od czucia do rozumu, że zatem, choćby ewolucya miała miejsce w pewnych granicach, to niedorzeczną jest ewolucya istoty nierozumnej, tylko czującej, w istotę rozumną.

Daje się też często czuć w dyskusyi filozoficznej autora jakiś brak precyzyi, predylekcya dla dowodów ubocznych *(argumenta indirecta)*, które jądra rzeczy nie wyświetlają, rozwiązywanie trudności czasem powierzchowne; ale nie brak obok tego rzeczy bardzo gruntownych, i to o co właściwie autorowi idzie, tj. jego myśl reformy propedeutyki najzupełniej uzasadniona.

Kończąc, wyrażamy z autorem przekonanie, że „reforma propedeutyki w kierunku (przez autora) wskazanym należy do najbardziej żywotnych potrzeb naszego szkolnictwa, że dopóki nie będziemy zapoznawali młodzieży z filozofią, póty jej wykształcenie będzie zawsze

niezupełne, póty nie zakwitnie u nas piśmiennictwo i wymowa, dla których najobfitszem źródłem jest — po religii — filozofia".

J. N.

O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach. *Ulanowski Bolesław.* Z 5-ma tablicami litografowanemi. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1891. (Osobne odbicie z tomu XXVIII. Rozpraw Wydziału filozoficzno-historycznego Akad. Umiej. w Krakowie). Str. 131, wielka 8-ka.

Klasztory w średnich wiekach — to ogniska wyższej cywilizacyi pod każdym względem, czy to moralnym, czy intelektualnym, czy ekonomicznym. Ich historya — to historya kultury w naszym podówczas napół barbarzyńskim kraju. A jednak rzecz dziwna, chociaż klasztory nasze starożytne, pomijając kapituły i kościoły katedralne, tak wybitne zajmują miejsce w rozwoju naszej cywilizacyi, chociaż były i są głównemi skarbnicami źródeł i pomników dziejowych, jakie rzucają jedyne światło na owe zmierzchłe czasy, historyą klasztorów polskich dotychczas zbyt mało się zajmowano. Niewiele naliczyć w literaturze naszej monografij pojedyńczych klasztorów, a z całkiem krytycznie opracowanych bodaj czy nie drugą lub trzecią przynosi nam w wyż cytowanej pracy znany zaszczytnie na niwie historycznej autor.

Jest to wprawdzie, jak sam powiada, tylko pierwszy rozdział wyczerpujących dziejów starożytnej fundacyi rodu Gryfitów w Staniątkach, jednakże tem ważniejszy, iż pozwala nam nieco odsłonić mrokiem wieków pokryte dzieje jednego z tych rodów, które, jak trafnie powiada Łaguna, igrały książętami jak kraszankami i były pierwowzorem późniejszych królewiąt magnackich, tej chluby i zguby Rzeczypospolitej.

Autor dzieli rozprawę swą na dwie części: w pierwszej przechodzi po kolei dokumenty Staniąteckie z XIII. wieku, dochowane bądź to w oryginałach, bądź to w kopiach, i bada ich autentyczność; w drugiej stara się odpowiedzieć na pytania: Kto fundował klasztor Staniątecki i w jakim czasie? jakie włości stanowiły pierwotne uposażenie osadzonych w Staniątkach Benedyktynek? a wreszcie, o ile i kiedy mianowicie poszczególni dobrodzieje klasztoru przyczynili się do jego dotacyi?

W pierwszej części rozbiera autor krytycznie 23 dokumenty, odnoszące się do historyi pierwotnego uposażenia Staniątek, w tekscie, prócz tego 3 inne w notach. Z tych uznał autor 12 za podrobione, a mianowicie: Nr. I. z r. 1228 (Kod. dypl. Polski III. nr. 11); Nr. II.

z r. 1232 (Kod. dypl. Małop. II. nr. 402); Nr. IV. z r. 1238 (Kod. dypl. Pol. III. nr. 18); Nr. V. z r. 1239 (tamże nr. 19); Nr. VIII., IX., X. z r. 1243 (Kod. dypl. Pol. III. nr. 20 i 22, Kod. dypl. Małop. II. nr. 423); Nr. XVII. i XVIII. z r. 1262 (Kod. dypl. Pol. III. nr. 39 i 40); Nr. XX. z r. 1272 (tamże nr. 46); Nr. XX. z r. 1282 (tamże nr. 58); wreszcie w nocie 116-tej wspomniany dokument z r. 1278 (Kod. dypl. Pol. IV. nr. 53). Dokument Konrada Mazowieckiego z r. 1242 (Kod. dypl. Małop. nr. 419) osądził p. Ulanowski za podejrzany; inne, 11 dokumentów w tekscie i 2 w notach uważa za autentyczne. W przypisku 12-ym broni wreszcie autor całkiem słusznie autentyczności dokumentu Henryka Brodatego z r. 1229 (Kod. dypl. Tyniecki nr. 7) i przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1234 (tamże nr. 17).

Na wynik ten nie całkiem zgodzić się możemy, przynajmniej argumenta użyte przez p. Ulanowskiego przeciw autentyczności dokumentów z r. 1228 Nr. I., z r. 1232 Nr. II. i z r. 1242 Nr. VII. nie dosyć są przekonywające, by pójść za zdaniem autora.

Pierwszy z tych dokumentów zawiera ugodę Kazimierza Opolskiego z Klemensem, wojewodą opolskim, na mocy której oba mają wspólnym kosztem gród Opolski otoczyć wyższemi murami, wykonaniem zaś dzieła ma kierować brat Klemensa, Wierzbięta, Benedyktyn. W zamian za koszta poniesione daje książę wojewodzie cały szereg włości położonych jużto w ziemi Opolskiej, jużto w ziemi Krakowskiej.

P. Ulanowskiego uderza najpierw wojewodzińska godność Klemensa. Twierdzi, że Klemens, będący w r. 1234 *castellanus de Recen,* nie mógłby być 6 lat przedtem *palatinus de Opol,* a jeżeli był nim kiedykolwiek, to mógł być między rokiem 1234 a 1238, w którym jako kasztelan krakowski po pierwszy raz występuje.

Mniema zatem autor, że urzędnicy ówcześni późniejszym trybem postępowali tylko na coraz wyższe dostojeństwa. Jednakże, jeżeli kiedy, to właśnie w tych czasach niespokojnych takie degradacye dostojników, jeżeli wolno użyć tego wyrażenia na stosunki ówczesne, były zjawiskiem nierzadkiem.

Weźmy np. najwpływowszą osobistość w tych latach, Pakosława, starszego syna Lasoty. Jest on w latach 1222 i 1223 kasztelanem krakowskim, w r. 1223 wojewodą sandomirskim, 1227 wojewodą sandomirskim i krakowskim, 1228—29 znów tylko wojewodą sandomirskim, w roku 1231 jest kasztelanem wiślickim, 1232 nie piastuje zdaje się żadnego urzędu, w r. 1234 jest powtóre kasztelanem

krakowskim, w r. 1238 piastuje urząd wojewody krakowskiego, by w następnym roku znów powrócić na kasztelanię wiślicką.

Mściwój, również wybitna w tych czasach postać, był w r. 1224 kasztelanem sandomirskim, 1228—29 kasztelanem wiślickim, 1231 wojewodą wiślickim, 1234 i 35 kasztelanem oświęcimskim, 1239 jest wojewodą łęczyckim, 1241—43 wojewodą krakowskim, do roku 1247 znów wojewodą łęczyckim, poczem w latach 1248—50 kasztelanem wiślickim.

Przy tej sposobności pozwolimy sobie i Marka Gryfitę zacytować, który zdaniem naszem w grudniu roku 1227 (Kod. dypl. Małop. II. str. 37) dzierży także kasztelanię wiślicką. Był on już w r. 1217 wojewodą krakowskim i piastuje ten urząd do r. 1225, w którym wskutek rozterki Gryfitów z księciem Leszkiem opuszcza Krakowską ziemię i bawi na Szląsku do katastrofy Gąsawskiej. Na wieść o śmierci Leszka, udaje się bezzwłocznie do Krakowa i tu jako głowa potężnego rodu Gryfitów, z którym książęca wdowa bezwarunkowo liczyć się musi, otrzymał jeszcze wśród obrzędów pogrzebowych pierwszy ważniejszy urząd, jaki zawakował. Takim zaś była zdaniem naszem kasztelania wiślicka, zajmująca wybitne miejsce między kasztelaniami [1].

Przykłady przytoczone powyżej świadczą, iż premisy, na podstawie jakich odmawia p. Ulanowski godności wojewodzińskiej Klemensowi w r. 1228, znajdują zaprzeczenie we współczesnych dokumentach. Stosunki zaś polityczne w tymże roku, jak to niżej wykażemy, przemawiają za tem, iż Gryfita na dworze Opolskim najwyższą godność piastował.

---

[1] Pominąwszy *Mstiv palatinus Visliciae*, w dokumencie z r. 1231 (Kod. Mogilski nr. 12), coby wskazywało, iż Konrad Mazowiecki dla Mściwoja osobną otworzył palacyę w ziemi Wiślickiej; zachodzi bowiem kwestya, czy nie należałoby czytać zamiast „*Visliciae*“, *Lanciciae*; mamy dowód inny w doknmencie Pudyka z roku 1234 (Kod. dypl. Tyniecki nr. 39), iż kasztelania wiślicka stanowiła odrębną ziemię, gdyż książę ją zowie *dominium nostrum Visliciae*. Okoliczność dalej, że tak wpływowe osobistości jak Pakosław i Mściwój zadawalniają się nią po utracie wyższych dostojeństw, każe nam, wbrew twierdzeniom p. Ulanowskiego w przypisku 176, przypuszczać, iż ów Marek, kasztelan wiślicki z roku 1227, jest Gryfitą, który z objęciem władzy przez Władysława Laskonogiego otrzymuje dawną godność wojewodzińską, nie, jak twierdzi błędnie autor, 23 marca 1228, lecz już poprzednio, gdyż *in Ciena* w dokumencie z r. 1228 (Kod. dypl. Kat. Krak. nr. 19) nie oznacza czasu, lecz miejscowość Cienię (ob. Szkaradek, „Stosunki polskie“, dodatek II.).

Że przegląd świadków nie dostarczył żadnych pewnych wskazówek przeciw autentyczności dokumentu, stwierdza sam Autor. Szczegóły zawarte w nim znajdują potwierdzenie w niewątpliwie autentycznych dokumentach Władysława Opolskiego z r. 1260 (Kod. dypl. Małop. II. nr. 622) i Bolesława Wstydliwego z r. 1254 (Kod. dypl. Pol. III. nr. 28).

Te same włości, jakie daje Kazimierz Opolski Klemensowi w roku 1228, wchodzą później w skład Klemensowej fundacyi w Staniątkach. Pokrewieństwo przedmiotowe, jakie zachodzi między jednym a drugim faktem, nietylko nie budzi, jak mniema autor, wątpliwości co do dokumentu z r. 1228, lecz właśnie dokument ten popiera. Jeżeli Kazimierz Opolski uchodzi wedle dokumentu Władysława z roku 1260 za dobrodzieja klasztoru, nic w tem dziwnego. Jest on tak samo współfundatorem klasztoru Staniąteckiego, jak Henryk Brodaty Henrykowskiego, którego faktycznym założycielem był Mikołaj, kanclerz książęcy. Kazimierz zdaje się dlatego tak szczodrze obdarzył Klemensa różnemi włościami, mianowicie zaś posiadłościami w ziemi Krakowskiej, jakie wedle trafnego spostrzeżenia autora, otrzymał był od przyjaciela swego Laskonogiego, bo wiedział, na jaki cel właśnie chce obdarowany Klemens darowiznę obrócić. To właśnie, że obmurowaniem grodu opolskiego ma kierować brat Wierzbięta Benedyktyn, pierwszy proboszcz staniątecki, zdaje się być pewną wskazówką, że klasztor fundujący się miał wykonać wraz z księciem podwyższenie murów opolskich.

Potwierdza to wyraźnie dokument Władysława z r. 1260, mówiąc o darowiźnie: „quam bone memorie pater noster (dux Kazimirus) dicto monasterio fecerat de terra, que narok vulgariter vocatur in diocesi Cracoviensi, videlicet quadraginta mansis Flemingis“ etc. W dokumencie z roku 1228 brzmi odnośny ustęp: „Contuli (dux Kazimirus) insuper alias villas hominum meorum, qui lingua polonica narochnici dicuntur, circa Cracoviam respicientibus ad viginti aratra magna de bona terra“ etc.

P. Ulanowski, opierając się na obliczeniach d-ra Piekosińskiego („O łanach w Polsce wieków średnich“, Rozpr. i Sprawozd. Wydz. hist.-filoz. Akad. Umiej. XXI. str. 88), twierdzi, iż łan flamandzki równy jest *magnum aratrum* i dlatego rozróżnia dwie darowizny: jednę na rzecz Klemensa 20 łanów flamandzkich, drugą na rzecz klasztoru 40 łanów flamandzkich.

Szkoda tylko, że autor przeoczył to, co p. Piekosiński zaraz na stronie następnej w swej rozprawie o łanach powiada, tj. że role

polskie, zwane *aratrum*, radłem, dziedziną, już od pierwszej chwili nie były jednostajne, że różnica w rozmiarach pojedyńczych ról lub dziedzin wzrastała coraz bardziej, tak iż jedna dziedzina np. w roku 1368 obejmowała 3 wielkie łany frankońskie, tj. blizko 5 łanów flamandzkich.

Z tych powodów sądzimy, że w obu dokumentach o jeden i ten sam przedmiot chodzi, tylko w późniejszym dokumencie zamiast nieokreślonej miary *aratrum magnum*, użyto nowej ściślejszej miary *mansus Flemingus*. — Że tu o jednej i tej samej darowiźnie mowa, potwierdza miejsce, narożniki około Krakowa. — Łętkowice, Dziewięczyce, Makocice, wymienione w dokumencie z r. 1228, potwierdza w roku 1254 klasztorowi Bolesław Wstydliwy, zaliczając je do włości nadanych Staniątkom przez Klemensa i jego braci — a przedewszystkiem sposób wydzielenia tych łanów, tj. wydzielone ze wszystkich 13 wsi wymienionych w dokumencie 1228 pojedyńcze udziały mają razem wzięte wynosić 20 łanów większych, odpowiadających późniejszym 40 łanom flamandzkim w dokumencie z r. 1260.

Dlatego, że obdarowanym w dokumencie z r. 1228 był właściwie nie wojewoda Klemens, lecz mający się fundować klasztor, nie dziwi nas bynajmniej nadanie klasztorowi przez Kazimierza takich wolności *sicut privilegium habet Sverinciensis ecclesie*. Wolności jakieś klasztor Zwierzyniecki w roku 1228 niewątpliwie posiadał. Dziwnemby naprawdę było, gdyby aż do roku 1254 lub 1256, jak chce autor, na takie wolności czekał, i to w tych czasach, kiedy duchowieństwo zakonne i świeckie takie robi postępy w zdobywaniu sobie swobód i wolności. Powołano się w dokumencie Kazimierza dlatego na swobody Zwierzynieckie, bo to jedyny klasztor żeński w Krakowskiej okolicy, posiadający włości sąsiadujące z posiadłościami późniejszych Benedyktynek w Staniątkach, i jako taki służył pod względem urządzeń materyalnych za wzór nowo powstającej fundacyi. Jeżeli autor chciał przekonać czytelnika, iż w początku XIV. wieku fałszerz dokumentu naszego umieścił ową wzmiankę o przywilejach Zwierzynieckich, by uzyskać takie dla Staniątek, jakie otrzymał Zwierzyniecki w r. 1256, powinien był wykazać, że Staniątki były w XIV. wieku rzeczywiście wobec Zwierzynieckich Norbertanek upośledzone.

Tyle o kryteryach wewnętrznych — co zaś do zewnętrznych, trudno certować z tak poważnym znawcą dyplomatyki naszej średniowiecznej, jakim jest prof. Ulanowski. Może to tylko kopia sporządzona w XIV. wieku, dlatego pismo pokrewne pismu innych dokumentów

sfałszowanych, dlatego brak śladów opieczętowania. Jednakże i pod tym względem nie usunął nam autor wszystkich wątpliwości, przyznając sam w przypisku 84, iż na podstawie samych tylko cech paeograficznych nie jesteśmy nigdy prawie w możności oznaczyć z całą ścisłością, kiedy jakiś dokument spisany został.

Wewnętrzne bowiem kryterya wszystkie nie przeciw autentyczności, lecz, jakeśmy to wykazali, za nią przemawiają. Autor właściwie tylko owe przywileje Zwierzynieckie i ów tytuł wojewody przytoczył jako argumenta przeciw autentyczności, bo okoliczność, że późniejsze dokumenty Staniąteckie, a przedewszystkiem przywilej z r. 1254, uwzględniają przy wyliczaniu posiadłości klasztornych i te także wsie Narożników, które wymienia dyplomat z r. 1228, nie jest przecież argumentem przeciw, lecz za autentycznością.

Lecz przypuśćmy, że dokument jest, jak chce autor, w XIV. wieku podrobiony; w takim razie fałszerz musiał mieć autentyczne dokumenty przed sobą, bo wiele zawartych w nim szczegółów, jak to przyznaje autor, na wiarę zasługuje. Trudno zresztą było bez autentycznych dokumentów w XIV. wieku wyliczyć cały szereg niewątpliwie wiarogodnych świadków. Pocóż więc, zapytać się można, dawał fałszerz Klemensowi tytuł wojewody, którego, zdaniem p. Ulanowskiego, w oryginale posiadać nie mógł? Czy to może była kurtoazya względem fundatora?

Niezaprzeczona darowizna Laskonogiego na rzecz Kazimierza Opolskiego z posiadłości książęcych, jakiemi są Narożniki, nasuwa nam wniosek, iż Władysław mianował swego przyjaciela Opolczyka swym zastępcą i wykonawcą w ziemi Krakowskiej, którą dla wichrzeń Odonicza w Wielkopolsce zajmować się bardzo nie mógł.

Wśród takich okoliczności, Gryfita Klemens, zięć Zbrożka kasztelana opolskiego, krewny Marka wojewody krakowskiego, tak gorliwego stronnika Laskonogiego, był jakby wskazaną osobistością do piastowania najwyższej godności w księstwie Opolskiem. Skoro tylko jednak Laskonogi w drugiej połowie 1228 r. nietylko w Krakowskiem, ale i w Wielkopolsce władzę utracił, a Kazimierz Opolski w następnym roku umarł, rozchwiała się konstelacya polityczna, jaka Gryfitę do godności wojewody opolskiego wyniosła, a Klemens musi się pod rządami Henryka Brodatego podrzędniejszem stanowiskiem zadowolnić.

Rozwiódłszy się nieco szerzej nad dokumentem z r. 1228, gdyż jako pierwszy w szeregu przywilejów Staniąteckich rzuca niemało świa-

tła na powstanie tejże fundacyi, musimy się pokrótce zająć jeszcze dwoma innemi, przez autora zakwestyonowanemi.

W dokumencie z 12 kwietnia 1232 Nr. II. (Kod. dypl. Małop. III. nr. 402) potwierdza Konrad Mazowiecki darowiznę Laskonogiego na rzecz znanego nam Wierzbięty, a mianowicie darowiznę koryta soli w Wieliczce, Hudaczewa i Radogościc *apud Latkonem*. Uderza autora w potwierdzeniu tem wzmianka o arcybiskupie Gnieźnienskim: *confirmamus coram domino patre archiepiscopo Gneznensi*. Wincenty bowiem arcybiskup zmarł w początku 1232 r. (*M. P. H.* II. str. 837 i III. str. 167); konsekracya zaś nowego arcybiskupa Pełki odbyła się przed 7 czerwca tego roku, bo Wawrzyniec, biskup wrocławski, uczestnik konsekracyi, właśnie w tym dniu żywot swój zakończył. Ponieważ zaś 18 maja tegoż roku papież zwie Pełkę jeszcze *electus* (Kod. dypl. Wielkopol. nr. 135), sądzi autor, że konsekracya mogła się odbyć tylko w drugiej połowie kwietnia, bądź w ciągu maja, zatem nieprawdopodobnem jest, by Pełka już 12 kwietnia, jako konsekrowany arcybiskup, mógł spędzić Wielkanoc w Łowiczu, gdzie dokument nasz jest wystawiony.

Oto, zdaniem naszem, Pełka mógł być już 12 kwietnia konsekrowanym, a mimo to 18 maja mógł o tem papież jeszcze nic nie wiedzieć. Wątpić bowiem należy, by wiadomość o konsekracyi arcybiskupa mogła się dostać w ciągu 36 dni do Rzymu, zwłaszcza wiosną. Potwierdzenia papieskie innych dokumentów, nie cierpiące żadnej zwłoki, świadczą, że wiadomości z Polski potrzebowały przynajmniej 2 miesięcy czasu, by się dostać do Rzymu. (Ob. Perlbach, *Pr. Regesten*, nr. 73, 74, 75, 76). Zresztą dokument Konrada z r. 1232, mówiąc o arcybiskupie, nie specyfikuje dokładnie, czy był konsekrowanym, czy nominatem.

Konrad powiada dalej, iż potwierdza darowiznę *ad peticionem fratris nostri Vladislai ducis Cracoviae*. Władysław jednak umarł już 18 sierpnia 1231 r. „Wspominając o nim, zauważył słusznie autor, w kilka miesięcy po jego śmierci, musiałby Konrad zaznaczyć dodaniem słówka *olim* lub *beate memorie*, że mówi o nieboszczyku". Nadmienić jednak trzeba, iż dokument ten znamy tylko z kopii i to bardzo lichej, jak przyznaje sam autor, i że kopista łacno mógł opuścić owo słówko *olim*.

Wymienione w naszym dokumencie włości potwierdza klasztorowi przywilej Bolesława Wstydliwego z r. 1254. Podejrzliwość autora budzi jednak wzmianka w temże przywileju, że Gościradzice, iden-

tyczne z Radogościcami *apud Latkonem*, otrzymał klasztor nie z nadania Wierzbięty, lecz Konrada. Co do tego podnosimy raz jeszcze okoliczność, iż faktyczny ofiarodawca w XIII. wieku ustępuje czasami nazwisku księcia, który potwierdził posiadłość, ofiarowaną klasztorowi. (Ob. Stenzel, *Lib. fundat. claustri et Mariae V. in Heinrichow*, str. 2 ff.).

Ponieważ przegląd świadków nic przeciw autentyczności dokumentu nie mówi, więc harenga *Quoniam mundus caducus est. etc* ma być dowodem przeciw, a to dlatego, iż to ulubiona harenga Janusza, kanclerza Pełki, późniejszego jego następcy na stolicy arcybiskupiej, która pierwszy raz na dokumencie niepodejrzanym występuje dopiero w r. 1239 (Kod. dypl. Małopol., nr. 417). Ta okoliczność ma więc „nie przemawiać“ na korzyść dokumentu z roku 1232? Dlaczego? Przecież ten Janusz jest między świadkami wymieniony, przecież do niego odnosi się, jak to spostrzegł słusznie autor, tytuł kanclerza arcybiskupa, dlaczegóżby więc kanclerz nie miał już w r. 1232 użyć swej ulubionej harengi?

Argumenta więc przeciw autentyczności dokumentu użyte, nie mogą żadną miarą nas skłonić do uznania go za podrobiony.

O dokumencie z r. 1242 (Kod. dypl. Małop. II., nr. 419) nie potrzebujemy się dłużej rozwodzić, gdyż autor sam uznaje, iż tylko tytuł w nim użyty przez księcia Konrada czyni go podejrzanym, albowiem zresztą się nie powtarza. Brzmi on: *Conradus dux Cracovie et Lancicie, Cujavie et Mazovie.* Faktem jest, że książę wraz z synami był w posiadaniu tych księstw w r. 1242; dalej, że od r. 1231—1243 tytuł Konradowy ustawicznym podlega zmianom. Jeżeli tedy w roku 1231, kiedy się mu najlepiej powodzi, tytułuje się *dux Cracovie, Mazovie, Sandomirie et Lancicie*, nie uwzględniając *Cujavie*, jakkolwiek był rzeczywistym panem tej ziemi, dlaczegoby więc w drugim zenicie swego powodzenia, to jest w r. 1242, nie miał użyć poczwórnego tytułu i to poprawniej, odpowiednio do swych posiadłości, gdyż Sandomierz dzierży nienawistny jego bratanek w tym czasie?

Niewątpliwie przebija z tej pracy wielka sumienność, do skrupulatności posunięty krytycyzm autora, który woli z plewami kilka ziarn uronić, byle pozostały plon okazał się najczystszym wynikiem prawdy. To też druga część pracy, oparta na tak krytycznie obrobionym materyale, jest prawdziwą zdobyczą dla nauki.

A więc przyjmujemy bez zastrzeżeń wyjaśnienia co do rodu fundatora. Niewątpliwie sprostował nam p. Ulanowski i wyjaśnił to, co w genealogii rodu Gryfitów, sporządzonej przez zasłużonego autora

„Studyów heraldycznych“, słuszne budzi wątpliwości. Zdaniem naszem, Klemens swoją fundacyą chciał zmyć hańbę, jaka na ród jego spadła niedawno z powodu wyprawy pruskiej (ob. Długosz, *Hist. Polon.*, Lib. VI, str. 218), i uskutecznił swój zamiar niewątpliwie w r. 1228, stając tem samem w rzędzie owych postaci, które owiane duchem gregoryańskiej żarliwości, zasługują sobie na szacunek współczesnych, na cześć i podziwienie potomności.

Szczytem sumienności autora jest ustęp, zajmujący się historyą uposażenia klasztoru. W alfabetycznym porządku przechodzi autor 92 wsi, w dokumentach klasztornych XIII. wieku wyliczonych, i o każdej powiada to, co się na podstawie krytycznej analizy da powiedzieć.

Nie od razu jednak tak hojne uposażenie dostało się fundacyi Gryfitów w udziale. Autor rozróżnia kilka okresów w historyi uposażenia Staniąteckiego klasztoru. Zrazu tylko hojności Kazimierza Opolskiego i Laskonogiego dla fundatora zawdzięcza klasztor nader skromne pierwotne uposażenie; później, gdy ród Klemensa odzyskał swe dawne wpływy i dostojeństwa, a jednak dla świata był stracony, gdyż jedyna córka Klemensa, Wisieniega, została ksienią nowo fundowanego klasztoru, a jedyny syn brata Klemensowego, Janka, Sulisław księdzem, z dwóch zaś pozostałych braci, Andrzej był biskupem, Wierzbięta Benedyktynem, nie szczędzą bracia majątków rodowych, przywłaszczają w owych czasach przewrotu *vi aut clam* sporo gruntów książęcych. I książęta: Konrad i Bolesław Wstydliwy, przyczyniają się do wyposażenia to nadaniami, to uprawnieniem zaborów nieprawnych.

W ten sposób powstało rozległe wyposażenie klasztoru Benedyktynek w Staniątkach, którego późniejsze losy, oby nam autor zechciał dalszemi rozdziałami uzupełnić. *K. Krotoski.*

Historyczno-humorystyczne obrazki z roku 1863, napisał *W. Z.* (Odbitka z *Wielkopolanina).* Poznań Nakładem i drukiem Fr. Chociszewskiego. 1892. (Str. 129.)

Powiada staropolskie przysłowie: „Choć bieda, to hoc!“; trzymając się wiernie tego bądź co bądź rozumnego i zdrowego przysłowia, opowiada nam dawny powstaniec z żołnierskim humorem i pewnego rodzaju „Paskowskiem“ zacięciem liczne swe przygody, wesołe i częściej niewesołe awantury, na które patrzył w pamiętnym 1863 r., których sam *pars magna fuit.* Przeróżne tu się z kolei roztaczają obrazki: śmiałych napadów i rozumnych ucieczek; wojennych i dyplomatycznych wypraw; przeróżne, sympatyczne i oryginalnie sympatyczne postacie

przed oczami się przesuwają: improwizowanych wodzów, rycerskich kolegów; miłosiernych, z chlebem i serem do powstańczego obozu spieszących polskich wieśniaczek. Największą zaletą tej książeczki, to szczerość, z jaką została spisaną. O nauce moralnej, płynącej ze wszystkich tych szczerych, a tak dziwnie smutnych, choć, a może właśnie tem bardziej, że wesołą farbą polakierowanych obrazków, niema, zdaje mi się, racyi długo się rozwodzić; każdy czytający, chce czy nie chce, sam musi sobie koniecznie jednę i tę samą naukę wyciągnąć. *Z.*

Dziesięciolecie cenzury rosyjskiej w Królestwie Polskiem. (1880—1891). Przez *St. Wigurę*. Przedruk z *Nowej Reformy*. 1892.

Któż, jak Polska długa i szeroka, nie wie, nie słyszał o widmie, noszącem nazwę „Cenzura rosyjska?“ Smok to groźny, nielitościwy, tyran, nie podający, nie potrzebujący podawać racyi swego postępowania, chyba gdyby kiedy — co do królestwa mitów należy — zgrzeszył zbytnią łagodnością; lecz jak ten smok bliżej wygląda, jakie dotychczasowe dzieje, jakie już dziś skutki tej nieograniczonej samowładzy, tego jasno, w szczegółach nie wiemy; lamentujemy nad cenzurą, ale gdy nas kto — np. za granicą — o bliższe szczegóły i dowody pyta, bodaj czy wychodzimy kiedy poza zaklęte koło ogólników. Rzecz prosta, że wobec takiego stanu rzeczy ucieszyłem się niemało, ujrzawszy broszurę z pięknie, wielkiemi, czerwonemi literami wytłoczonym tytułem „Cenzura rosyjska“; kupiłem ją co prędzej i postanowiłem sobie w duchu zakupić następnie kilkanaście egzemplarzy, dla rozdania ich w myśl dedykacyi samegoż autora: „Braciom Słowianom, wierzącym w bezinteresowność polityczną Rosyi“, braciom Słowianom, którzy — miałem o tem sposobność nie raz i nie dwa się przekonać — opowiadań, co prawda, zazwyczaj ogólnikowych, o rosyjskiej cenzurze słuchać zwykli, jak bajeczek sfabrykowanych dla dzieci.

Nieszczęściem autor nie dał nam tego, co w tytule i przedmowie zapowiedział. Rozumiem doskonale, że ze względów ostrożności nie mógł cytować wszystkich znajomych sobie nazwisk i faktów; lecz z drugiej strony dla dania wyobrażenia o rosyjskiej cenzurze, dla skreślenia jej historyi, jej wpływu, wystarczyć w żaden sposób nie może kilkanaście mniej lub bardziej głośnych i wogóle znanych już skądinąd anegdotek, utopionych w morzu, nie przeczę że bardzo zrozumiałych, naturalnie z piersi wyrywających się, ale w tego rodzaju książce raczej szkodliwych, niż pożytecznych żalów, skarg, rekryminacyj... Jakichkolwiek cyfr, dokumentów, a choćby szeregu tytułów przez cenzurę odrzuco-

nych broszur i książek próżno tu szukać; a przecież jeśli co, to cyfry i dokumenty pierwsze miejsce w tego rodzaju pracy zajmowaćby powinny. Nawet nazwiska, osoby cenzorów, ich sylwetki ledwie mimochodem i jakby od niechcenia w całość wplecione; kto np. o Ryżowie nie wiedziałby nic więcej prócz tego, co u p. Wigury wyczytał, ten miałby o nim bardzo słabe i arcyniedokładne wyobrażenie. Można było o rosyjskiej cenzurze w Polsce nie pisać; można się nawet sprzeczać, czy roztropna to rzecz do obrobienia tego tematu się zabierać; lecz raz się zabrawszy, należało koniecznie obrobić go wszechstronniej, gruntowniej; należało mniej stawiać twierdzeń i wykrzykników, a więcej faktów i dokumentów; inaczej dziwić się nie będzie można, gdy i tak już uprzedzeni i niedowierzający nam cudzoziemcy i bracia Słowianie powiedzą i o tej książce, co mówią o tylu innych przez nas w świat puszczonych; co z niemałą naszą szkodą mówić przywykli o najsłuszniejszych skargach naszych: Frazesy, przesada, deklamacya!...

J. B.

Czas powstania historyi Florusa. *Dr. A. Miodoński.* Kraków. Nakł. Akad. Umiej. 1891. (Osobne odbicie z Tomu XVI. Rozpraw Wydziału filolog. Akad. Umiej. w Krak.). Str. 10.

W literaturze Rzymskiej zauważyć można ciekawy objaw, rozwój historyografii idzie tu ręka w rękę z wojnami i rozszerzaniem się granic państwa. Czasy burzliwe i niespokojne nietylko że mu nie przeszkadzają, ale prawie sprzyjają, tak iż epoki, najbardziej obfitujące w wojny, wydają najwięcej i największych historyków. Widzimy to już za czasów wojen punickich; epoka wojen domowych i potężnego w swych skutkach przekształcenia się republiki w monarchię wydaje Cezara, Salustyusza i Liwiusza. Pod pierwszymi następcami Augusta historya bardzo ma podrzędnych przedstawicieli; natomiast za najdzielniejszego z monarchów i najbardziej wojowniczego Trajana występuje największy z historyków rzymskich, Tacyt. Za Hadryana, Antoninusa Piusa i Marka Aureliusza wracają czasy pokojowe, a wraz z niemi nikną historycy. Złoty wiek Rzymu, czas największego dobrobytu, szczęścia, pokoju i bezpieczeństwa, nie na jednem atoli tylko polu historyi przedstawia się tak ubogo; wyjałowiały i opustoszały i inne niwy literatury: poezya, wymowa, filozofia nie wykazują ani jednego wybitniejszego talentu. Zamierający duch rzymski zdobył się na ostatnich wielkich przedstawicieli w Tacycie i Juwenalu; wszyscy ich późniejsi epigonowie nie mogą iść z nimi w porównanie. Równocześnie z bu-

dzącem trwogę we współczesnych zmniejszaniem się ludności, karłowacieją i umysły; epoki Antoninów nie można wprawdzie jeszcze nazwać epoką wyczerpania umysłowego, ale duch rzymski widocznie już znużony i osłabiony, traci samodzielność a zaczyna coraz częściej uciekać się do naśladowania epoki klasycznej. Na polu literatury panuje wprawdzie wielka ruchliwość, ale nie wydaje nic wielkiego, nic oryginalnego. Jedynie prawo rozwija się świetnie, ale ten rozkwit tłumaczy się praktyczną potrzebą regulowania zawikłanych stosunków prawnych w tak rozległem państwie, jakiem było wówczas Rzymskie. Zamiast wielkich mowców występują tłumy retorów i sofistów i podróżując z miasta do miasta, popisują się z czczą dyalektyczną wprawą i obfitującą w puste frazesy retoryką. Wchodzi w modę uczoność, mnożą się wyciągi i skrócenia dawniejszych autorów, ale ludzie, którzy się tem zajmują, robią wrażenie handlarzy starożytności.

W tej atmosferze powstaje, zachowany p. t. *Epitoma de T. Livio*, wyciąg historyi rzymskiej, dokonany przez niejakiego Florusa. Autor wyciągu korzystał głównie z Liwiusza, uwzględnił jednak prócz tego Salustyusza, Cezara i innych autorów. Przedstawienie, odpowiednio smakowi epoki, jest retoryczne, świadczy o wielkiej stylistycznej wprawie pisarza, odstręcza jednak napuszystością i przesadą. Celem, jaki sobie autor zakreślił, jest wsławienie narodu Rzymskiego, „pierwszego w świecie“ *(praef. 3: nonnihil, ut spero, ad admirationem principis populi collaturus, si pariter atque insemel universam magnitudinem eius ostendero)*; chciał on, jak to dobrze określił św. Augustyn, *non tam narrare bella romana quam romanum imperium laudare*. By ten cel osięgnąć, nie waha się przekręcać prawdy historycznej i tak rzeczy opisywać, że naród Rzymski zawsze w najkorzystniejszem przedstawia się świetle. Prócz umyślnych przekręceń roi się w dziełku od błędów, pomieszań, sprzeczności, pomyłek geograficznych i chronologicznych i t. p. Autor trzyma się w ogólności porządku historycznego.

Kiedy dziełko to powstało, kiedy żył jego autor, nic nam nie donosi tradycya. Starano się więc odpowiedzieć na to pytanie na podstawie samego dzieła. Florus powiada we wstępie, że od Augusta do jego czasów upłynęło „niewiele mniej od 200 lat“. Kombinując tę wskazówkę z innemi, kładziono powstanie dzieła Florusa na czasy Hadryana. Przeciwko temu upowszechnionemu zdaniu wystąpił Würzburski profesor historyi Unger, twierdząc, że Florus żył za czasów cesarza Marka Aureliusza. W tytule wymieniona praca usiłuje wykazać błędność tego zdania.

Unger oparł swoje twierdzenie na trzech dowodach. Pierwszy z nich wzięty jest z podziału historyi rzymskiej na okresy, zawartego we wstępie wyciągu. Florus porównywa rozwój narodu Rzymskiego z rozwojem jednego człowieka, i widzi w nim cztery epoki: epokę niemowlęcą, młodzieńczą, męską i zgrzybiałą. Epoka królów przedstawia czas niemowlęctwa, epoka republiki do ukończenia podboju Italii jest epoką młodzieńczą, czasy następne aż do Augusta przedstawiają wiek męski, a epoka cesarstwa da się porównać ze starością. We wstępie autor oznacza liczbami trwanie każdego okresu: na pierwszy przypadać ma 400 lat, na drugi i trzeci po 150. Liczby te jednak sprzeciwiają się faktycznemu stanowi rzeczy, z drugiej strony stoją w sprzeczności z liczbami, w innych miejscach dzieła podanemi. Unger usiłował usunąć tę sprzeczność, twierdząc, że Florus idzie za inną rachubą czasu we wstępie, a inną w samem dziele, popsute zaś cyfry chciał zastąpić cyframi: 220, 240, 240. Atoli autor taki jak Florus, który lubi rzeczy uogólniać, który historyę narodu dzieli na alegoryczne epoki, nie bywa nigdy tak ścisłym i drobnostkowym, by miał tak dokładnie rozgraniczać epoki; stąd z góry już jest nieprawdopodobnem, by Florus miał przyjmować epoki, jakie naznaczył Unger. Ale to jedno jeszczeby nie wystarczyło, by odrzucić zdanie uczonego historyka, gdyby nie przystępowały inne jeszcze powody. Daty Ungera, co jest rzeczą główną, zostają w sprzeczności z wyraźnemi świadectwami Florusa w innych miejscach dzieła. Uwzględniwszy te miejsca, p. M. dochodzi na podstawie ścisłej kombinacyi do rezultatu, że dwie pierwsze epoki obejmowały po 250 a trzecia 200 lat (w okrągłych liczbach możnaby wyrazić te daty cyframi: 750, 500, 250, 30 r.).

Gdy się zważy, że Rzymianie czy to na inskrypcyach, czy pisząc, liczby zawsze wyrażali cyframi, a nigdy ich nie wypisywali literami, że wskutek tego w rękopisach naszych, jak to nieraz dowiedziono, cyfry w wielu miejscach są popsute, niepodobna nie zgodzić się na to, że rzeczywiście cyfry we wstępie Florusa, wyrażające trwanie okresów, uległy zepsuciu, że zaś je należy poprawić tak, jak w wywodzie swym wykazuje autor — jest rzeczą jasną i nie podlegającą wątpliwości. Zwracamy uwagę, jak zręcznie p. M. dowodzi, że Florus uważał r. 264 za datę ostatecznego podboju Italii i że pomieszał dwu konsulów podobnego nazwiska (str. 3 n.).

Twierdzenie swoje opierał dalej Unger na słowach Florusa, że naród Rzymski za cesarstwa zestarzał się i popadł w ospałość, *nisi quod sub Traiano principe movit lacertos et praeter spem omnium sene-*

ctus imperii quasi reddita iuventute revirescit. W drugiej części przytoczonego zdania według Ungera Florus mówi o czasach Marka Aureliusza. Że interpretacya ta nie wytrzymuje krytyki, wykazuje autor w sposób bardzo przekonywający.

Trzeci argument, którym Unger dowodził swego zdania, opierał się na następujących słowach Florusa: *Idem tunc Faesulae quod Carrhae nuper, idem nemus Aricinum quod Hercynius saltus, Fregellae quod Caesoriacum, Tiberis quod Euphrates.* Mówi tu Florus o pierwszych czasach rzeczypospolitej; Unger tak tłumaczy początek tego miejsca: Jak etruskie Faesulae leżały poza obrębem powstającego państwa, tak niedawno temu Carrhae nie należały do posiadłości rzymskich. Wnosi stąd, że w czasie, kiedy Florus te słowa pisał, Carrhae musiały już być włączone do państwa Rzymskiego, a ponieważ zdobycie tego miasta przypada na rok 165 i 166, więc Epitoma powstała około r. 167. P. Miod. wykazuje najpierw słusznie, że Florus nie ma tu na myśli granic państwa, lecz że porównywa okolice walk dawnych z późniejszemi. Do dowodów jego dodaćby można, że gdyby Florus mówił o granicach państwa, to przecież za najdalej na zachód wysunięty punkt nie byłby wziął Caesoriacum, dzisiejszej Moguncyi, lecz jakieś miasto brytańskie, podobnież byłby z pewnością wspomniał o południowej granicy. Przyjąć więc musimy, że Florus ma tu na myśli walki. Powstaje jednak wtedy trudność: Faesulae nie były rzymskiem polem walki. Gdy imię to zestawimy z innemi, które Florus w tem miejscu wymienia, a które oznaczają miejscowości blizkie Rzymu, przekonamy się, że nie może tu być mowy o odległych Etruskich Faesulach, lecz o jakiejś innej miejscowości tego nazwiska (p. M. przypomina Salustyuszowe *ager Faesulanus*), albo musimy przyjąć, że imię jest popsute. Wzmianka o Carrhae u Florusa nie odnosi się do sromotnej klęski Crassusa, jak słusznie dowodzi autor, lecz do podboju Mezopotamii, dokonanego przez Trajana. Zdanie autora poprzećby można i tem, że Florus, który na każdym kroku pragnie wsławić naród Rzymski, mówiąc o zdobyczach i zwycięstwach Rzymian, nie byłby użył do porównania miasta Carrhae, o którem wzmianka była dla Rzymian nad wszelki wyraz upokarzającą, lecz byłby wspomniał o jakiemś mieście, pod którem Rzymianie odnieśli zwycięstwo.

Wykazawszy w sposób przekonywający (może tylko w części pierwszej gdzie mowa o okresach historyi, za zwięzły, a przez to niedosyć jasny) błędność twierdzenia Ungera, jakoby Florus żył za Marka Aureliusza, p. M. umieszcza go słusznie w czasach Hadryana,

uważając go zarazem za jednę osobę z poetą Anniusem Florusem, pochodzącym z Afryki, który za Domicyana pokonany na konkursie poetycznym w Rzymie, opuścił stolicę i po długich podróżach osiadł w Hiszpanii w mieście Tarraco, gdzie oddał się zajęciom nauczycielskim, a za Hadryana powrócił do Rzymu i zbliżył się do dworu cesarskiego.

Rozprawa p. M. zbija raz na zawsze twierdzenie Ungera, któremu się już dawno należała odprawa; ścisłe kombinacye i gruntowne wywody wyświetlają wiele kwestyj pierwszorzędnej wagi dla dzieła Florusa. *Stanisław Witkowski.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Nevenke. Spjevao *August Harambašić.* Zagreb 1892. — Naklada kr. sveuč. knjižare Fr. Suppana.

W młodej plejadzie chorwackich poetów, reprezentowanej przez Jovana Hranilovića, Tresić-Pavičića (Mosorskiego Guslara), Jovana Sundečića, Strahimira Silvije Kranjčevića — Hugona Badalića, Gjuro Arnolda i Augusta Harambašića, ostatni z nich nader zaszczytne zajmuje miejsce. Gdy w r. 1876 poeta jako piętnastoletni młodzian przesłał kilka swych utworów Augustowi Šenoa, ten powitał w nim z zapałem nowy i wiele obiecujący talent na niwie ojczystej poezyi. Od tej chwili Harambašić w przeciągu lat piętnastu pracował niezmordowanie na literackiem polu, puszczając kolejno w świat swoje patryotyczne *Slobodarke,* erotyczne *Ružmarinke* i wiele innych utworów przeważnie z dziedziny liryki. W poezyi epiczno-lirycznej zyskały mu największy rozgłos *Pesničke pripovijesti* (Powieści poetyczne), wydane nakładem Macierzy Chorwackiej, wogóle jednak Harambašić był i pozostał lirykiem czystej wody. Stał się on też nader gorliwym współpracownikiem chorwackiego *Vienca* [1], a nawet poezye młodego pieśniarza stanowiły dla wielu prenumeratorów *great attraction* tego czasopisma.

W ostatnich czasach muza Harambašića umilkła. Dotknięty jakimś bolesnym ciosem, poeta nie przypominał się dość długo swym rodakom najmniejszym choćby utworem. Niektórzy zaczęli nawet wątpić,

[1] Porów. *Przegląd Powszechny* z października 1891, str. 129.

aby kiedykolwiek jeszcze wziął lutnię do ręki, gdy niespodzianie w roku bieżącym wyszedł z pod prasy zbiorek jego poezyj pod tytułem *Nevenke.*

Publiczność chorwacka przyjęła je radośnie, jak prawdziwe pierwiosnki rozkwitłe po długiej zimie. Poeta ten bowiem zyskał już sobie tak wielką popularność w gronie swych rodaków, z których każdy niemal czyta go i rozumie, że z góry może być pewny serdecznego przyjęcia dla najskromniejszego nawet płodu swej twórczości.

Nevenke (Pierwiosnki) — to wiązanka wonnych kwiatów w poezyi. Niema tam utworów *de longue haleine,* ale tylko krótkie, ulotne piosnki, a raczej dumki pełne świeżości, wdzięku i uczucia. Oto jak sam poeta wyraża się o nich w wierszu służącym za przedmowę:

Nevenke mi nisu više
Vesele, ko Ružmarinke,
Već su manje, ili više
Same pjesme žalostinke;
Jer se nisu izpunile
Ni najmanje moje želje.
Ljudi su mi oduzeli
Vjeru, nadu i veselje...[1]

Nie sądźmy jednak z tego prologu, aby Harambašić był pesymistą. Nie, to człowiek, co wiele przebolał, niejedno pogrzebał złudzenie, lecz który umie cierpieć jak chrześcijanin i w niebie szukać pociechy. On sam wkrótce o tem nas przekona.

Pod względem treści piosnki powyższe dają się podzielić na trzy kategorye. Jedne z nich są erotycznej natury, drugie odzwierciedlają uczucie patryotyzmu w sercu poety, trzecie — jego miłość ku zmarłej matce. Te ostatnie, nacechowane niezwykłą rzewnością i prostotą, są może najpiękniejsze z całego zbioru. W jednej z nich poeta stęskniony za swą rodzicielką, spogląda w niebo i widzi dwie gwiazdki, migocące łagodnym blaskiem, jak niegdyś oczy jego matki. Lecz wkrótce gwiazdy gasną i tylko na kwiatach błyszczą krople rosy. Wówczas zdaje się poecie, że spostrzega dokoła siebie łzy matczyne, łzy bólu i żalu, że go tak wcześnie, tak młodo opuściła. W innej znowu piosnce Harambašić odzywa się temi słowy do drogiej swej zmarłej:

Majčice moja,
Mučenice sveta,
Ti si mi mrtva
Već toliko ljeta;
Pa i tvoj grob mi
Toli je daleko,

[1] Nie wesołą Ružmarynką
Są dzisiejsze me Nevenki,
Ale smutne i żałosne,
Z łez zrodzone to piosenki,
Bo dotychczas niespełniona
Żądza, co w mem sercu tleje,
Ludzie zaś wydarli z łona
Wiarę, szczęście i nadzieję.

A ja bi rado
Povrh njega kleko;
Al ne bih mogo
Molit s tuge same,
Za to ti, majko,
Moli Boga za me![1]

O religijnych uczuciach Harambašića wiemy skądinąd, a mianowicie z prześlicznego hymnu „Do Boga", drukowanego w *Vienacu*, gdzie poeta złamany nieszczęściem, chce targnąć się na własne życie, lecz myśl o Bogu powstrzymuje go od tego kroku i pokazuje mu wzniosłe cele bytu. Hymn ten z początku rozpaczliwy, potem coraz bardziej tchnący rezygnacyą, kończy się prośbą, aby Bóg odebrał mu wszystko, a zostawił tylko czystą duszę i serce pełne miłości ku bliźnim.

Lecz wracajmy do *Nevenek*. Parę urywków powyżej przytoczonych daje dostatecznie poznać główne ich cechy, to jest smutek i tęsknotę przebijającą się w treści, wraz z wdziękiem i lekkością formy. Tu i ówdzie wprawdzie znajdą się usterki, oklepane i mniej zręczne zwroty, lecz mnóstwo prawdziwie poetycznych ustępów każe niemal zupełnie o nich zapominać. Ze szczerą też sympatyą witamy ten nowy utwór pobratymczego pieśniarza, a poczytując go za zadatek przyszłych, bogatszych treścią kreacyj, życzymy, aby jak najrychlej młody chorwacki orzeł rozwinął skrzydła do szerszego lotu.

Tytus Sopodźko.

Einleitung in die heilige Schrift. *Dr. F. Kaulen.* Dritte Auflage. II. Theil (Altes Testament). Freiburg, Herder.

Nowe wydanie tego dzieła nie różni się w ogólnym swym układzie od poprzednich. Znajomość jednak Starego Testamentu dzięki najnowszym badaniom w Babilonie tak wielkie zrobiła postępy, że niemało sprostowań w twierdzeniach, wnioskach i wywodach stało się niemal niezbędnemi. Za przykład może służyć str. 238. „Jedynym faktem podanym przez Księgi Królewskie, którego inne wierzytelne dane dotychczas nie stwierdziły, jest wtargnięcie asyryjskiego króla Phula do Syryi i Palestyny. Imienia tego króla nie znaleziono dotąd na żadnym asyryjskim pomniku, braknie go również na liście monarchów, obejmującej okres od początku dziewiątego aż do połowy siódmego wieku

[1] O matko moja,
Męczennico święta,
Tyś od tak dawna
Została mi wzięta,
I grób twój w dali
Leży, ukochana,
A takbym pragnął
Zgiąć na nim kolana;
Lecz modły moje
Mąci boleść sroga,
Więc ty, o matko,
Błagaj za mnie Boga!

przed Chrystusem. Obecnie znaleziono zabytki pisma klinowego, które wyjaśniły tę zagadkę. Postać Phula jest identyczną z osobą króla asyryjskiego Tiglat-Pilazara III. (745—727). Na parę lat przed jego śmiercią, w ciągu których piastował naczelną władzę w Babilonie, kroniki babilońskie wraz z listą królów wymieniają właściwe miano tego monarchy. Odkrycie i odczytanie podobnych dokumentów położyło tamę wszelkim wątpliwościom i dostarczyło nowego dowodu wiarogodności Pisma Świętego".

Bardzo też zajmującem jest to, co Kaulen mówi o tekście proroka Ezechiela (str. 384 nr. 384). „Do tekstu Ezechiela prawdopodobnie z powodu jego niejasności wkradło się daleko więcej błędów, niż do innych ksiąg. Że tak się stało, to nie ulega wątpliwości, ponieważ już w Septuagincie pewną ich część odnajdujemy". Słowa te nie przynoszą nam nic nowego, zasługuje jednak na uwagę to, co po nich następuje: „Z krytycznego punktu widzenia księga ta stanowi wyjątek wśród innych ksiąg Starego Testamentu, ponieważ wreszcie znalazł się uczony, który księgę Ezechiela tak opracował jak prawdziwy filolog opracowałby dzieło jakiegokolwiek greckiego, lub łacińskiego autora". (Cornill: *Das Buch des Propheten Esechiel.* Leipzig 1866). Autor zaznacza, że najdawniejszy ze wszystkich znanych rękopisów hebrajskiego tekstu w porównaniu do pierwszych najlepszych przedruków przedstawia zaledwie 16 istotnych waryantów, jak również, że tłumaczenie Aleksandryjskie jest absolutnie wiernem nietylko w całości, ale nawet w najdrobniejszych szczegółach. Dlatego też w Septuagincie powinniśmy uznać z radością wiarogodny zabytek hebrajskiego tekstu Ezechiela, odczytywanego w Aleksandryi w trzecim wieku przed Chrystusem i tekst ten ze względu na wielką jego wartość cenić nader wysoko.

Po raz to pierwszy cała księga Kanonu została oswobodzoną od jarzma Masorahu i krytycznie opracowaną. Bądź co bądź Kaulen jest tego zdania, że Cornill niejednokrotnie zaufał zanadto swoim przypuszczeniom i nie doszedł do jądra kwestyi. Dlatego też na str. 385 podaje Kaulen pewną ilość rozmaitych poprawek, które odpowiedniejszemi mu się wydały.

Wybornie traktowane są pewne punkta, które inni w niedostateczny opracowali sposób. Tak naprzykład profesor A. Scholz z Würzburga utrzymywał, że księga Tobiasza jest alegoryą, dotyczącą przyszłego nawrócenia się Izraela na łono Kościoła. Zbytecznem byłoby przypominać, jak bardzo Scholz broni tej alegoryi w typowem jej

znaczeniu. Ale czy znaczenie historyczne identyfikuje się tu zupełnie z typowem? Genealogia (1, 1 i 2, 22), zawarta w rozdz. 13, jak również cofnięcie się do współczesnego tła historycznego (7, 2, 5, 18. 24, 13, 11, 14, 6) dowodzą, że autor poczytuje swe twierdzenia za oparte na historycznych pewnikach. W rzeczywistości niema żadnych wewnętrznych lub zewnętrznych przyczyn, któreby nasuwały wątpliwość co do historycznego charakteru tej księgi. Podobieństwo zaś historyi Tobiasza do historyi Hioba również się temu nie sprzeciwia.

Na str. 273 autor występuje w obronie księgi Estery i popiera dzielnie historyczną jej wiarogodność. I tu, jak w księdze Tobiasza, Kaulen musi walczyć z upodobaniem Scholz'a w upatrywaniu alegoryi. Zasługuje też na uznanie krótki przegląd treści Pentateuchu (str. 187) i krytyka nowoczesnej nauki o Hexateuchu. Zupełnie nowemi są §§ 319 a. 319 b. i 440 b. Hebrajski tekst Kohethu Daniela (przy którym pożądane byłyby przykłady) obszernie został omówionym. Nr. 440 b. tłumaczy gruntownie przepowiednię Malachiasza I, 11, podług tekstu hebrajskiego. Ciekawem jest między innemi tłumaczenie מִנְחָה przez *Oblatio*. Słowo to należy brać w liturgicznem, to jest specyficznem znaczeniu, podług prawa Mojżeszowego. Oznaczało ono wyłącznie ofiarę niekrwawą z mąki pszennej bez kwasu.

W wielu miejscach autor wykreślił niepotrzebne szczegóły, niejeden ustęp lepiej uporządkował, nieliczne zaś luki, jakie jeszcze pozostają do zapełnienia, nie ujmują wartości cennego tego dzieła.

Ks. Augustyn Arndt.

1) **Die Schulzen der deutschrechtlichen Dörfer Grosspolens im 13. u. 14 Jahrhundert.** *Dr. Emil Rummler* Th. I. Königl. Friedrich Wilhelms Gymnasium in Posen 1891. Programm Nr. 157, str. 3—16, 4°. Th. II. 1892. Programm Nr. 160, str. 3—16, 4°.

2) **Über den Gerichtsstand und die richterlichen Befugnisse der grosspolnischen Schulzen im 13. u. 14. Jahrhundert.** Odbitka z *Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen* 1891, Jahrgang VI. 5. 343—386, 8°.

Wszechstronne wyświetlenie stanowiska t. zw. *locator*'a w Wielkopolsce, który przy zakładaniu osad na prawie niemieckiem główną odgrywał rolę, zajmując się ich urządzeniem, a po założeniu stając się naczelnikiem nowo powstałej gminy — oto zadanie, jakie autor w obu cytowanych pracach rozwiązać usiłował. Głównie materyał dokumentalny, zawarty w Kodeksie dypl. wielkopolskim i w Księgach grodzkich, publikowanych przez Lekszyckiego, służył mu za podstawę. Dla

lepszego wyświetlenia przedmiotu, posługuje się analogicznemi stosunkami w Niemczech, na Szląsku, w Brandenburgii, w Prusiech i Małopolsce. Jakkolwiek w znacznej części opiera się na wynikach badań niemieckich uczonych, to i prace naszych uczonych nie są mu obce; korzystał z Hubego, z Helcla i Piekosińskiego. Widać stąd, że autor z całą sumiennością i ścisłością przedmiot swój wyczerpnąć usiłował. Przypatrzmy się zatem jego wynikom.

Przedstawiwszy na wstępie ogólnikowo przyczyny kolonizacyi i warunki, wśród których i na podstawie których się odbywała, przechodzi do najważniejszego czynnika tego procesu dziejowego, jakim był w rzeczy samej sołtys.

Ponieważ gminy wiejskie i miejskie z prawem niemieckiem na jednych i tych samych podstawach w zasadzie przynajmniej się rozwijały, nie było przeto między sołtysem *(scultetus, villicus)*, naczelnikiem gminy wiejskiej, a wójtem *(advocatus, Vogt)*, naczelnikiem gminy miejskiej, zasadniczej różnicy. Nazw wymienionych, jakoteż *prefectus* lub *iudex* używano w Wielkopolsce dowolnie, jako synonimów jednego i tego samego pojęcia w przeciwieństwie do Szląska, gdzie między *villicus* a *advocatus* rychło się wyrobiła różnica.

Ponieważ dalej w Wielkopolsce bardzo często wypróbowanych sołtysów wiejskich robiono wójtami miejskimi, przysługiwały podobne epiteta: *discretus, famosus, honestus, strenuus,* jednym i drugim. Mając zaś obowiązek i prawo służby wojennej, jeden i drugi pod tym względem stawał na równi ze szlachtą. Wobec tego nie dziw, że między sołtysami pierwszych wieków znajdujemy i *viros nobiles*, tj. szlachtę.

Sołtysi więc nie pochodzili, jak twierdzi Caro [1], wyłącznie ze stanu szlacheckiego, ani też Statut wiślicki § 107 [2], nie zakazuje szlachcicowi kupować sołectwa w ogólności, lecz tylko bez zezwolenia dziedzica. W każdym razie urząd sołtysa uchodził za nieodpowiedni dla szlachcica, a jeżeli mimo to widzimy szlachtę dzierżącą częstokroć sołectwa nietylko w Wielkopolsce, ale i w pogranicznych ziemiach, to powodem tego były wielkie korzyści z tym urzędem połączone.

Czasami i kmiecie wolni kupują sołectwa, lub otrzymują je w nagrodę wiernej służby służebnicy i włodzarze wielmożów świeckich i duchownych. Główna część sołtysów niewątpliwie jest mieszczańskiego pochodzenia.

---

[1] *Geschichte Polens* B. II. S. 515, Anm. 2.

[2] Helcel, „Starodawne prawa polskiego pomniki". T. I., str. 123.

Co zaś do narodowości, nie ulega kwestyi, iż w XIII. i XIV. w. przeważają wśród sołtysów Niemcy, jakkolwiek zaprzeczyć się nie da, że na prawie niemieckiem siedzieli po wsiach zarówno Niemcy i Polacy i że wśród sołtysów mamy wcale licznych przedstawicieli narodowości polskiej.

Pod względem ekonomicznym położenie sołtysów w Wielkopolsce ogółem biorąc było świetne. Otrzymywali oni zrazu warunki bardzo korzystne i daleko idące przywileje. Posiadali przedewszystkiem nieograniczone prawo własności swego urzędu, który był dziedzicznym i mógł być przez właściciela dowolnie sprzedany. Dopiero w drugiej połowie XIV. w. słyszymy pod tym względem o pewnych ograniczeniach, płynących z niedogodności, jakie nieograniczone prawo własności pociągało za sobą dla dziedzica. Sołectwo np. wolno sprzedawać tylko osobom dziedzicowi dogodnym, nie wolno go sprzedawać szlachcicowi; wdowa po sołtysie traci grunta jego w razie ponownego zamążpójścia. Sołectwo ma dzierżyć tylko jeden właściciel. Zdarzało się bowiem, iż nietylko synowie sołtysa dzielili się jego mieniem i urzędem, ale i kilka osób razem kupowało zbiorowemi siłami sołectwa. W początkach kolonizacyi po rok 1266 wprawdzie nie słychać nic o kupnie sołectwa. Lokator był zwiastunem kultury wśród puszcz leśnych i bagien, z założeniem osady nowe źródła dochodu otwierając właścicielowi. To też po rok 1291 jeszcze mają miejsce lokacye, przy których przedsiębiorca dziedzicowi nic nie płaci, przeciwnie otrzymuje nadania i przywileje od niego. Zbyt jednak wiele przedstawiały takowe korzyści, by nie wabić chętnych nabywców; sołectwo staje się drogocennym dobytkiem, którym i szlachcic nie gardzi, którym się wiernych sług wynagradza, za który się płaci pokaźne sumy od 2 grzywien począwszy do 105, nie licząc usług i danin z urzędem sołtysa połączonych.

Otrzymywał zwykle lokator co 6-ty lub 7-my łan z całego obszaru, przeznaczonego na kolonizacyę, czasami 6-ty i 7-my. Wprawdzie przeważnie dokumenty nie podają nam obszaru oddanego do parcelacyi, lecz w przybliżeniu można obszar 6—7 łanów przyjąć jako zwykłą miarę włości sołtysiej; były i mniejsze, czasami dwoma łananami, ba, nawet jednym sołtys się zadawalniał. Łany te lub huby (po dziś dzień wyrażenie to zachowało się w Wielkopolsce, jako nazwa pojedyńczych osad), były jednak wolne od czynszu, tylko dziesięcinę sołtys kościołowi opłacał. Również wolne od czynszu były ogrody sołtysie, dalej resztki całego obszaru, pozostałe po parcelacyi, jakoteż bagna i nieużytki, przydzielone do wyposażenia sołtysa.

Sołtysowi częstokroć przysługiwało prawo zadzierżawienia jednej lub też kilku hub gminnych, na tych samych warunkach, co i reszta kolonistów. Niekiedy pobierał część dochodów z barci, należących do gminy, zawsze posiadał wyszynk, wolno mu było otwierać jatkę, budę z chlebem lub obuwiem, rzadziej przyznawano mu prawo zakładania jednego lub więcej młynów. Wyjątkowo czasem pobierał trzecią część dochodów ze sprzedaży soli lub z kamieniołomów. Jeżeli dodamy do tego także i pastwiska i lasy, prawo łowów na drobną zwierzynę, wolny połów ryb, trzecią część kar sądowych, t. zw. przysiężne i t. d., a przyjdziemy do przekonania, że te poboczne dochody przynosiły sołtysowi drugie tyle, jeżeli nie więcej, co grunta.

W zamian za korzyści ma lokator-sołtys i obowiązki. Przedewszystkiem przy zakładaniu osady majątkiem swoim odpowiadał za przyjście jej do skutku, w razie nieobsadzenia całkowitego hub płacił czynsz pewien z pozostałych łanów. Sołtysa obowiązkiem było odbieranie czynszu od hubników, fantowanie opieszałych czynszowników, rozdzielanie kontraktem zawarowanych robót i danin pańszczyźnianych pomiędzy osadników. Jako zwierzchnik gminny wydaje przepisy policyjne, mające porządek i bezpieczeństwo gminy na oku. Osobiście sołtys winien towarzyszyć konno dziedzicowi w podróżach, obowiązany jest w interesie pańskim sprawować różne posyłki na koniu, którego wartość najskrupulatniej bywa w dokumentach zaznaczaną, gdyż w razie utraty konia winien był dziedzic sołtysa odszkodować. Wreszcie ciąży na nim służba wojenna, przyczem niekiedy zastępuje miejsce giermka lub orężnika swego pana. Ogółem biorąc, sołtysom w Wielkopolsce przysługiwały lepsze warunki pod względem ekonomicznym niż na Szląsku, w Brandenburgii, w Prusiech natomiast więcej byli pociągani do posług osobistych i pod tym względem stoją na równi ze sołtysami ziem krzyżackich, gdzie *villici* do równie nizkich posług byli używani.

Najwybitniejszym jednak obowiązkiem i przywilejem zarazem sołtysa jest jego władza sądownicza, dlatego czasami sołectwo nazwane jest po prostu w dokumentach *iudicium*. Z tych to powodów poświęca autor tej to prerogatywie sołtysów osobną rozprawkę wyżej pod nr. 2) zacytowaną.

Wszędzie w gminach, na prawie niemieckiem założonych, rozstrzygał sołtys sprawy drobniejsze. We wsiach książęcych, ewent. królewskich w XIV. w., otrzymywali sołtysi czasami i wyższe sądownictwo, tj. prawo sądzenia 4 głównych zbrodni: kradzieży, rabunku, podpalenia i zabójstwa. Zwykle jednak kryminalne sprawy rozsądzał tam książęcy

komisarz, zjeżdżający trzy razy do roku na sądy. I we włościach dziedziców świeckich czy duchownych wyższe sądownictwo sprawował książęcy komisarz, jeżeli książę nim dziedziców nie wyposażył. Dość wcześnie jednak książę i we włościach prywatnych wyzuwał się z swej władzy sądowniczej. Zrazu obdarzał nią na prośby dziedziców w całej pełni sołtysów; później samychże wielmożów świeckich czy duchownych, którzy zachowawszy dla siebie ważniejsze sprawy do rozstrzygania, niższe sądownictwo przelewali na sołtysów. W takim razie dziedzic lub jego zastępca zjeżdżał do osady trzy razy do roku na sądy.

Mimo tych daleko idących egzempcyj, z pod władzy sądowniczej księcia wiele spraw, mianowicie politycznej natury, jak zdrada kraju, fałszowanie monety, uchylenie się od pospolitego ruszenia, dalej wszelkie sprawy spadkowe, zastrzeżone w dokumentach pod nazwą *jura ducalia*, szły jak przedtem przed forum książęce. Zastrzegał sobie zawsze książę prawo apelacyi przed swój sąd, dalej wszystkie wypadki, w których uprzywilejowany dziedzic sprawiedliwości obżałowanemu wymierzyć nie chciał lub nie mógł.

Sołtys sprawował sądy w towarzystwie ławników we własnym domu, otrzymywał za to jednę trzecią część grzywien i t. zw. przysiężne. W domu sołtysa odbywały się owe trzykrotne roki pod przewodnictwem prokuratora książęcego lub dziedzica, jakkolwiek i wtedy właściwą czynność sądowniczą załatwiał sołtys. On też na wspólny koszt z gminą podejmował przewodniczącego roków.

Często owe roki odbywały się po miastach, zwłaszcza jeżeli miasto z przyległemi wsiami do jednego dziedzica należały. W tym wypadku sołtysi z ławnikami udawali się do miasta na roki, co było regułą we wsiach, należących do gmin wiejskich.

Zwyczajem niemieckim w sprawach zawiłych udawali się sołtysi o radę do innych sądów ławniczych. Jakkolwiek dokumenty wielkopolskie, wyjąwszy dwa wypadki, nic o tem nie wspominają, trzeba przyjąć za pewnik, iż sądy ławnicze poblizkiego miasta były tą wyższą instancyą, gdzie sołtysi wielkopolscy szukali porady. Od sądów sołtysich apelowano do owych trzykrotnych roków, od tychże do sądów książęcych, gdzie starosta przewodniczył; na ławie zasiadali zaś sołtysi wsi książęcych lub prywatnych właścicieli. Stałych sądów wyższych prawa niemieckiego, jak w Małopolsce, zdaje się, w Wielkopolsce nie było. Starosta tutaj w imieniu księcia zbierał wedle potrzeby sąd i rozstrzygał najważniejsze sprawy w asystencyi ławników, jakkolwiek i od

jego wyroku przysługiwało obżałowanemu prawo apelacyi do nadwornego sądu książęcego.

Sołtysów prawem niemieckiem sądzili sołtysi, jako ławnicy, pod przewodnictwem czy prokuratora książęcego, czy dziedzica, czy też jego zastępcy. Więksi bowiem właściciele dóbr posiadali osobnych urzędników *(procurator vel nuncius generalis)*, zastępujących ich osobę w sądach lennych dla sołtysów. Czy istniały stałe sądy tego rodzaju, na podstawie dokumentów niepodobna orzec. Zdaje się jednak, iż takie obszary, jakie dzierżył arcybiskup lub biskup Poznański, musiały tak samo, jak biskupstwo Kujawskie lub opactwo Tynieckie, mieć osobne stałe sądy lenne dla obu sołtysów. Od tych sądów szła apelacya do sądów książęcych, zwłaszcza jeżeli dziedzic odmawiał sołtysowi wymiaru sprawiedliwości, gdy chodziło o sprawy spadkowe, lub gdy się wszczął zatarg między dziedzicem a sołtysem. Z kilku zapisek sądowych wynika, że i starostom niekiedy przysługiwało prawo sądzenia sołtysów i wójtów. Stałych sądów wyższych instancyj i dla sołtysów nie było, jak wogóle żadnej jednolitej normy w całem sądownictwie. Dlatego całkiem słusznie wątpi autor, czy sąd wyższy prawa niemieckiego na zamku krakowskim, ustanowiony w r. 1361 przez Kazimierza Wielkiego dla całego królestwa, obowiązywał Wielkopolskę i był ostatnią instancyą także dla sołtysów wielkopolskich. W każdym razie przywilej dla miasta Kalisza, wydany w r. 1365, zdaje się przeciw temu przemawiać. Rzeczywiście ustawa Kazimierza co do urządzenia najwyższego trybunału prawa niemieckiego, obliczona z góry na całe państwo, nie uzyskała aprobaty wielkopolskich panów i pozostała tylko ustawą małopolską [1].

Ogółem biorąc, przychodzi autor do wniosków, iż dola sołtysów we wsiach królewskich coraz się polepszała, natomiast we wsiach szlacheckich z końcem XIV. wieku pogarsza się. Dążność szlachty do wyniesienia się kosztem stanów niższych, już przy schyłku XIV. stulecia się objawia i sołtysom szlacheckich włości dotkliwie uczuć się daje. Zrazu jednak, do r. 1423 mamy z pojedyńczemi wybrykami, opartemi na samowoli, z bezprawiami do czynienia. Dopiero na zjeździe Warckim zyskały samolubne zamiary szlachty sankcyę prawną w ustawie opiewającej, iż niezdatnego lub opornego sołtysa wolno posiadłości i urzędu pozbawić za odpowiedniem wynagrodzeniem.

---

[1] Piekosiński, „Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem". Str. 26.

Oto wyniki pracy d-ra Rummlera. Nie wchodząc bliżej we wnioski autora prawniczej natury, których piszący, jako nie rzeczoznawca, ocenić należycie nie może, należy zwrócić uwagę na kilka usterek i błędów, od jakich się autor w ciągu pracy, mimo niezaprzeczonej sumienności, nie uchronił.

Najpierw powołuje się on niejednokrotnie na dokumenty niewątpliwie sfałszowane. Takiemi są np. w Kod. dypl. Wielkopolsk. Nr. 148, 152, 153, 218 i t. d. Rozpoczynają się one niezwykłą naonczas intytulacyą: *Nos dei gracia Vladislaus dux Polonie*, podczas gdy niewątpliwie autentyczne dokumenty późniejsze tego księcia mają pierwotną: *Ego dei gracia* i t. d. [1]. Wprawdzie wnioski ogólne autora oparte na wymienionych dokumentach nie są pozbawione wartości, mając dostateczne potwierdzenie w innych dokumentach autentycznych, bądź co bądź jednak z materyałem w Kodeksie dyplomatycznym Wielkopolskim krytycznie postępować należy, i brak właśnie tego krytycyzmu w pracy autora osłabia wartość jego wniosków i ostatecznie wartość całej pracy.

Na str. 13 (Nr. 1, część I) autor rozróżniając wśród sołtysów szlachtę, kmieci wolnych i sług pańskich, zdaje się tych ostatnich do niższej warstwy społecznej zaliczać niż kmieci, a jednak już sam tytuł: *heres de Maskovicze*, takiego Piotra, który był *familiaris* arcybiskupa i któremu tenże daje sołectwo w Śladkowie (K. Wp. Nr. 1358) świadczy, iż ten Piotr był szlachcicem nietylko *bene natus* lecz i *possessionatus;* tacy *familiares* biskupów i magnatów byli już w XIII. wieku *milites* czystej krwi, byli dworzanami jak w czasach późniejszych, a trzymanie się pańskiej klamki już w tych czasach nietylko szlachcicowi chudopachołkowi lecz nawet z fortuną bynajmniej nie ubliżało. Na str. 5, Nr. 1, część I., wyrażenie *Mönche von Priment*, nie jest poprawne. Nic bowiem nie wiemy o Cystersach w Przemencie pod r. 1210. W dokumencie zacytowanym (Nr. 66), jest mowa o założyć się mającym klasztorze. Zakonnicy z Pforty w Turyngii, zdaje się, nie przybyli, bo zamierzona fundacya nie weszła w życie, i dopiero po zakupieniu miasta Przementu w r. 1408 przez Cystersów wileńskich i przesiedleniu się ich konwentu do tej miejscowości w 1418 r. 14 kwietnia, mamy prawo mówić o zakonnikach Przemenckich [2].

Najsłabszą stroną w pracy d-ra Rummlera jest niewątpliwie omówienie kwestyi, do jakiej narodowości należeli sołtysi (str. 14—16,

[1] Ob. *Przegląd krytyczny*, 1877, str. 455/56.

[2] Ob. Winter, *Cistercienser*, str. 371—373.

Nr. 1, cześć I). Kwestya ta, jak przyznaje autor, nie da się ściśle rozstrzygnąć, gdyż dokumenty prócz nazw, żadnych danych nie dają. Niezawodnie nazwy takie, jak: Nicolaus Doringus, Hermanus Saxo, dalej Bero, Bebo, Werner, Heinkin Berkmeister, Janussius Furmann, Scroeder Kunek, Rostusser, Kindermegger i t. d., i t. d., świadczą o niemieckiem pochodzeniu osób, które je nosiły, lecz żeby Nicolaus dictus *Długoss*, Nicolaus dictus *Baran*, Gothco Nicolaus dictus *Pontifex*, byli bez wątpienia Niemcami o rodowej nazwie: *Lange*, *Schöps* lub *Brückner*, w to niech w i e r z y kto chce lub może, naukowej podstawy takie zdanie nie ma tem więcej, iż sam autor zbija się, mówiąc o ostatnim, iż w innym dokumencie zwie się Nicolaus, *magister pontium*, gdzie oczywiście *magister pontium* jest *nomen appellativum* nie zaś *nomen proprium*. Popiera autor zdanie swe ogólnikiem, że wedle dokumentów, Polacy pochodzenia mieszczańskiego lub chłopskiego, nie mieli do połowy XIII. w. nazw rodowych. Zgoda na to, ale czy nie mieli przydomków, przezwisk tak pospolitych i dziś u ludu wiejskiego? Skąd zresztą autor wie, że dictus *Długoss*, dictus *Baran* jest nazwą rodową? Mamy w dokumentach chłopów polskich: Paulus dictus *Czirna*, Jacobus dictus *Rogosz*, mieszczanina: Janussius dictus *Baran de Komorow;* nazwy te pochodzą jednak z XIV. wieku, ale już w pierwszej połowie XIII. w. znamy chłopa polskiego *Kwietyka Kikę* [1]), a nawet w XII. w. pod r. 1178 znajdujemy *Sgimir Coqualiz, rusticus camerarius* [2]).

Częste powtarzanie się imienia „Mikołaj“ u sołtysów i osadników naprowadza autora na domysł licznej immigracyi Niemców z nad dolnego Renu, gdzie kult św. Mikołaja był rozpowszechniony. Gdyby autor był pierwszy lepszy kodeks dyplomatyczny polski ze spisem imion otworzył, byłby się zdumiał nad mnóstwem Mikołajów w XIII. wieku, niewątpliwie Polaków, którzy również św. Mikołaja znali i niemniej od Niemców nadreńskich czcili.

Czy nazwa *Kunek* w Nrze 722 świadczy niewątpliwie o dolnoniemieckiem pochodzeniu osoby, również wątpimy. Najpierw nazwy tej nie znamy w pierwotnem brzmieniu; znamy ją nie z oryginału lecz z kopiaryusza sporządzonego w XV. wieku. Prawdopodobnie brzmiała ona *Künek* albo *Kunec*, coby świadczyło o pochodzeniu górno-niemieckiem. Dolno-niemiecka forma brzmi nie Kunek lecz Kunig, Kunic, Kuning, Chuning lub Konig. Także i *Kruse* od *krûs*, kędzierzawy, może

[1] *Liber fund. claustri St. Mariae de Henrichów.*

[2] Kod. dypl. Małopolski, T. 1., str. 1.

być formą górno-niemiecką i nie może zatem świadczyć niewątpliwie o pochodzeniu osoby z północnych Niemiec.

Stąd wynika, iż na podstawie nazw, a tem więcej gołych imion absolutnie nic stanowczego orzec się nie da, i wszelkie usiłowania pod tym względem nie wyjdą poza sferę mniej lub więcej fantastycznych hipotez.

Mimo usterek, wyżej wytkniętych, autorowi należy się rzeczywiste uznanie za pracę bądź co bądź sumienną i metodyczną, wyniki jej są drobnym, ale pożądanym przyczynkiem do rozjaśnienia naszych dziejów średniowiecznych. *Dr. K. Krotoski.*

Z pism czasowych.

Časopis katolického duchovenstva českého. Vydává dr. Klemens Borový. Ročník 32 (r. 1891), str. 632, 8-vo. Cena 4 złr.

Pismo to zajmuje pierwsze miejsce w czeskiej teologicznej literaturze. Z początku wychodziło kwartalnie w 8-mio arkuszowych zeszytach; teraz, kiedy przybyło więcej apologetycznych czasopism, wychodzi co miesiąc w zeszytach 4-ro arkuszowych. Treść ostatniego rocznika, z którego można sądzić o dawniejszych, następująca:

Z prac apologetycznych trzeba wyróżnić: Podlaha, „Babylonská věž ve světle novějšich nálezů v Assyrii“ (Wieża babilońska w świetle najnowszych odkryć asyryjskich). Autor opowiada treściwie w kilku numerach wszystko, co asyryologowie odkryli w Egipcie i zapomocą czego dowiedli, iż opowiadanie biblijne o wieży Babilońskiej jest prawdziwe i zgadza się z historyą narodu Asyryjskiego. Na tej samej podstawie opracowany jest artykuł: „Kniha Jonášova v troskách Ninive“ (S. Werbergera, Księga Jonasza w gruzach Niniwy), w którym autor również dowodzi, iż opowiadanie Pisma św. o Jonaszu zgadza się z najnowszemi odkryciami, poczynionemi na miejscu, gdzie dawniej stało wielkie miasto Niniwa. Sławny filozof czeski dr. Kadeřávek napisał świetną rozprawę o możliwości cudu, w której argumentami filozoficznemi dowodzi, iż cuda są możebne i nie sprzeciwiają się ani rozumowi, ani porządkowi natury przez Stwórcę ustanowionemu. Żałować tylko należy, iż Szan. Autor nie uwzględnił najnowszych racyonalistycznych i materyalistycznych autorów.

Najwięcej miejsca czasopismo to poświęca historyi Kościoła katolickiego wogóle, a w szczególności czeskiego; dr. Mrštík i redaktor

kanonik dr. Borový podają opisy Kościoła katolickiego w Rosyi i mówią o Czechach Husytach rosyjskich. Prof. dr. Kryštůfek napisał dobrze krótką historyę Kościoła katolickiego na Węgrzech w XIX. w. Dr. Borový opowiada o stosunkach Kościoła grecko-schyzmatyckiego w Bośni. Ciekawą jest praca Fr. Špičky: „Komenskiego polemika przeciwko Kościołowi katolickiemu“, w której znakomity historyk ubolewa nad Komenskim, iż tak walczy przeciw Kościołowi, a nie ma o nim prawdziwego wyobrażenia. Osobiste przymioty papieża brał za cechy Kościoła; któżby się dziwił, iż przy takiej pomyłce, z taką złością i nienawiścią napadał na katolików z powodu ich nauki o Kościele. Piękny ten artykuł napisał autor na pamiątkę 300-letniego jubileuszu Komeniusza, dodając, iż w żaden sposób nie miał zamiaru ubliżyć zasługom jego w pedagogice, tam, gdzie nie dotyka Kościoła katolickiego.

Innych licznych artykułów, odnoszących się do liturgiki, prawa kościelnego, katechetyki i pastoralnej nie wymieniamy, boby nasze sprawozdanie przekroczyło granice mu przeznaczoną. Ale dodać należy, iż to czasopismo podaje trzy znakomicie opracowane rzeczy: *a)* „Pamětný spis rakoukého episkopatu o socialní otazce“ [3]; *b)* „Příspěvek ku porozumění socialní otazce“ [2] przez Skoědopole; *c)* „O socialní otazce“ [4] napisał Jos. Kousal. Oprócz tego prof. Konrad napisał żywot św. Jana z Kent, tchnący miłością ku temu wielkiemu Patronowi Polski. Kronika, która w każdym numerze zawiera kilka kwestyj, jużto z prawa kanonicznego, jużto z praktycznych kazusów w sprawach duszpasterskich, zasługuje też na uwagę. Nakoniec należy podnieść rubrykę „Literatura“. Podała ona referaty o 74 dziełach, zwłaszcza czeskich, z których zanotować warto: Syllabus Piusa IX., napisał Brázda Jan (wyd. 2); Šimanko, O Bogu jednym w istności i troistym w osobach; wykład Sumy św. Tomasza z Akw. I. p. g. 1—43; Vacék, Dzieje kościelne narodu czeskiego: Hlavinka, Kronika czesko-morawska, dzieło nader popularne, opowiadające krytycznie dzieje narodu czeskiego i morawskiego; Nováček, Dietrich z Portic, pierwszy radca cesarza Karola IV., najprzód wikaryusz generalny w Ołomuńcu, potem w Pradze, a wreszcie arcybiskup magdeburski; Prasek, „Vlastivěda Seezká“.

Nie wydajemy jeszcze ogólnego sądu o tem czasopiśmie, gdyż

[1] „Pismo pamiątkowe episkopatu austr. o kwestyi socyalnej“.
[2] „Przyczynek wyjaśniający kwestyę socyalną“.
[3] „O kwestyi socyalnej“.

pierwej chcemy się zastanowić nad drugiem jemu pokrewnem pod tytułem: *Pastýř duchovní* (Duszpasterz). Większa część tego pisma poświęcona jest praktycznym potrzebom duszpasterzy.

Mamy przed sobą rocznik XI. i XII. (1890 i 1891). Pierwsze i główne miejsce zajmują kazania; jest ich w każdym numerze 3—4, a w całym roczniku około 100, oprócz różnych mów okolicznościowych. Kazania są albo świąteczne albo niedzielne, są też postne i adwentowe. Niejedno się nam podobało jużto dla dobrej treści, jużto dla pięknego języka, chociaż niektóre — bo trudno tego w całym roczniku tego uniknąć — są słabe. Po kazaniach następują „listy katechetické"; są to różne rozbiory albo opracowania tematów z religii katolickiej, a mianowicie z dogmatyki, liturgiki i archeologii. Oprócz tych tematów znajdujemy sporo kwestyj bieżących, tyczących się katechetyki, jakoto: „O katechizmie bezwyznaniowym" (Dusil); „Castiglione della Stiviere, miejsce urodzenia św. Alojzego" (Sedláczek) i inne. Samą zaś nauką katechetyki kierują dobrzy znawcy, których imiona są czeskiemu literackiemu światu dobrze znane (Dostal, Dusil, Dvořák, Hasel, redaktor prof. Ježek i inni). Trzeci oddział zajmują „listy vědecké" (naukowe), odnoszące się też do praktycznych potrzeb duszpasterzy. Opracowań teoretycznych z dogmatyki lub moralnej tutaj nie znajdziesz, chyba wyjątkowo; wszystkie listy naukowe są obrobione praktycznie. Tak: o udzielaniu Sakramentów, szczególnie różne kazusy o małżeństwie, o spowiedzi, o przepisach św. Kongregacyi Obrzędów przy udzielaniu Komunii św. i wystawianiu Najśw. Sakramentu i t. d. Oddział ten niewiele ustępuje rozpowszechnionemu *Linzer Quartalschrift*. Nakoniec każdy numer miesięczny zawiera krytykę kilku dzieł z literatury czeskiej i zagranicznej.

Ogólny nasz sąd — bo szczegółowo każdej kwestyi rozbierać i krytykować nie chcieliśmy, — jest: iż czasopismo to bardzo dobrze spełnia swoje zadanie, a połączone z poprzedniem odpowiada zupełnie potrzebom czeskiego kleru. Kto z księży lub kleryków abonuje i czyta „Czasopismo katol. duchowieństwa" i „Pasterza duchownego", ma dosyć materyi do studyowania, ma dobrego doradcę, prawdziwe *Vademecum* w różnych okolicznościach duszpasterstwa. Czeskiej literaturze teologicznej możemy pod tym względem powinszować.

Fr. Sadok Werberger O. P.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rozprawy peszteńskie o „powtórnych chrztach". — Polityka papieska we Francyi. — Uchwały paryskiej komisyi budżetowej. — List Papieża do biskupa z Grenobli. — Smutne waśnie. — Pojednawcza polityka brazylijska. — Harmonia między państwem a Kościołem w Kolumbii. — Mowa Ojca św. do Kolegium polskiego.

ROZPRAWY O „POWTÓRNYCH CHRZTACH".

Na smutną sprawę t. zw. „powtórnych chrztów", wprowadzoną równie nieszczęśliwie jak niezręcznie na porządek dzienny przez ministra Csaky'ego i rozjątrzającą od dłuższego już czasu opinię publiczną we Węgrzech, rzucił wreszcie jaśniejszy promyk światła prymas Vassary w świetnej, programowej mowie, wypowiedzianej 4 lipca w Izbie magnatów. Wedle prawa z 1868 r. synowie z małżeństw mieszanych iść muszą za religią ojca, córki za religią matki; rząd dzisiejszy, ściśle litery tego prawa trzymając się i pragnąc mu zapewnić poszanowanie, miesza się w ściśle rodzinne stosunki, mąci pokój mnóstwa rodzin, występuje do walki — jak Prymas energicznie a słusznie się wyraził — równie z dogmatami katolickiego Kościoła, jak i z najprostszemi pojęciami o sprawiedliwości i prawdziwym liberalizmie. Rząd stoi przed następnym dylematem: zmienić musi lub wytłumaczyć odnośne prawo w sposób zaspokajający sumienia katolików; albo — jeśli uczynić tego nie

chce — wykreślić starodawny Kościół katolicki z rzędu wyznań przez państwo uznanych. Do tego ostatniego kroku posunąć się oczywiście nie może, jeżeli przemazać i zaprzeć się nie chce całego historycznego rozwoju i przeszłości Węgier. Jedna zatem tylko pozostaje możliwa droga: zmiana, lub jeśli kto woli, autentyczne wytłumaczenie odnośnego prawa. Mianowicie należy pozostawić wyłącznie woli i wzajemnej zgodzie rodziców, w jakiej religii chcą wychowywać swe dzieci; dopiero gdyby rodzice zgodzić się w tym względzie nie mogli i sami domagali się wmieszania się rządu, tenże zażąda, stosownie do prawa z 1868 r., wychowanie synów w religii ojca, córek w religii matki. Obywatele, należący do wyznań przez państwo urzędowo nie uznanych, jak Żydzi, Baptyści, Nazarejczycy, mogą wychowywać swe dzieci, w jakiej religii im się żywnie podoba; skądże i dlaczego wolność sumienia ma być przywilejem i udziałem tylko takich nie uznanych wyznań: dlaczego w tym właśnie tak ważnym punkcie brać mamy zupełny rozbrat z tak skądinąd cenionemi i wielbionemi liberalnemi zasadami?

Wywody Prymasa zbyt były logiczne, zbyt w prawdziwem i ścisłem słowa znaczeniu liberalne, aby znaleść nie miały głośnego oddźwięku. Biskup Schlauch, zgadzając się najzupełniej na wniosek postawiony przez Prymasa, napiętnował w dobitniejszych jeszcze wyrazach arcy-nieliberalne postępowanie państwa, które nadużywając imienia i hasła liberalizmu wkracza w najświętszą sferę ludzkiego życia, w rodzinne stosunki, i z Dantonem niemal powtarza: „Czas powrócić do dawnej, w przeciągu wieków zapomnianej zasady, wedle której dzieci na pierwszem miejscu należą do rzeczypospolitej, a na drugiem dopiero do rodziców“... Podobnie przemówili, stając jawnie jako rzecznicy wolności sumienia, jako przeciwnicy państwowej wszechwładzy i rządowego despotyzmu: hr. Maurycy Esterhazy, hr. Antoni Szecsen, Antoni Zichy, hr. Antoni Sztaray; protestanccy superintendenci, choć w gruncie nie godzili się na wywody Prymasa, nie szczędzili słodkich komplementów dla jego dobrych chęci i wyrozumiałości; jeden tylko Paweł Szontagh miał odwagę i czoło skruszyć kopię w obronie państwowego absolutyzmu:

„Duchowieństwo, wołał, ciska państwu w twarz gromkie *Non possumus*, nie dlatego, jakoby nie mogło przed państwem się ugiąć, ale ponieważ ugiąć się nie chce!...“

A jakiż ostateczny wynik dwudniowych tych nader ożywionych rozpraw?

Ani Prymas, ani żaden z innych mowców nie postawił jakiegobądź kategorycznego wniosku, ponieważ — jak stwierdza poważny *Budapesti Hirlap* — nie chcieli doprowadzić w tej chwili, pod sam koniec sesyi, do ministeryalnego przesilenia. Rząd otrzymał dostateczne ostrzeżenie; wie już, że ma przed sobą tamę, której mu przeskoczyć nie wolno. Prymas i jego stronnicy zostawili rządowi czas do rozejrzenia się i zastanowienia; do jesieni musi ministeryum koniecznie w tej sprawie ustąpić, jeśli stanowczo z widowni publicznej ustąpić nie zamierza.

POLITYKA PAPIESKA WE FRANCYI.

W przeobrażeniu, odbywającem się we Francyi pod wpływem pism i słów papieskich, każdy dzień niemal coś nowego przynosi; mimo że oba skrajne skrzydła, jak lewe tak prawe, usiłują złączonemi siłami powstrzymać rozpoczętą akcyę, posuwa się ona zwolna, nie bez chwilowych zboczeń i wahań, lecz ostatecznie posuwa się wciąż naprzód. Wydany w imieniu prawicy, ale podpisany tylko przez 27 jej członków manifest, w którym nieprzejednani monarchiści oświadczają, że nadal jak dotychczas trzymać się będą ściśle rojalistycznego *Credo;* nie znalazł nigdzie głośniejszego echa, przyczynił się może jedynie do nowego rozdziału wśród i tak już na atomy rozbitego stronnictwa. Oryginalna i dająca do myślenia rzecz, że manifest ten znalazł największe uznanie w radykalnej prasie. „Trzeba było widzieć, pisze redagowana przez Drumont'a *la Libre Parole*, rozradowane oblicze wolnomularzów, kiedy im wręczono w parlamencie, kiedy rozwinęli i odczytali papier podpisany przez księcia de Doudeauville... Kto chce się z nami założyć, że przy przyszłych powszechnych wyborach prefekci otrzymają od ministra spraw wewnętrznych sekretne instrukcye, nakazujące im wszędzie popierać — oczywiście w tajemnicy — właśnie tych schyzmatyckich kandydatów?.. Rozumie się samo

przez się, że cudzoziemcom wara się mieszać do naszych spraw wewnętrznych; ale, aby Głowie Kościoła zabronionem być miało wskazać i pouczyć wiernych, co w danej chwili najkorzystniejszem jest dla religii — to za wiele znów żądać... Wolnomularze, a tem samem Żydzi, a tem samem wszelkiego kalibru oportuniści, kpią sobie z monarchii i monarchistów; czego się boją, to Papieża-socyalisty, to Kościoła-rzeczypospolitej, bo to ich rozbraja, zabija, wyrzuca z serca i umysłu tłumów. Leon XIII. głosząc przymierze z rzecząpospolitą, wypłatał strasznego figla wszystkim tym dążącym tylko do używania, do wzbogacenia się mieszczuchom, którzy pod rzeczpospolitę się podszywają, w niej się rozsiadują, aby spokojnie ssać biedaków, odbierać im z kolei wszystkie illuzye i wyciągać z kieszeni ostatnie szelągi".

Malownicze to, i jak nieraz w organie Drumont'a, zbyt silną farbą aż rażące słowa, lecz zaprzeczyć trudno, że niejedną prawdę w sobie mieszczą. Skrajni monarchiści ogłosili manifest przeciw papieskiej polityce; skrajni radykali, zasiadający w komisyi budżetowej, przeprowadzili uchwałę domagającą się zniesienia dwudziestu dwóch w konkordacie nie wymienionych biskupstw i arcybiskupstw. Uchwale tej, a mówiąc dokładniej, całemu szeregowi uchwał „wymuszonych przez tyranię przesądów", udzielił urzędowy *le Temps* należytej odprawy:

„Komisya budżetowa domaga się ni mniej ni więcej, jak tylko następujących drobnostek: 1) Skasowania 22 biskupstw i arcybiskupstw, które jej zdaniem, nie są konkordatowe. 2) Zupełnego skasowania, począwszy od r. 1893, wikaryuszów generalnych. 3) Skasowania wikaryuszów po parafiach. — Bogiem a prawdą, nie bardzo rozumiemy, dlaczego na tym punkcie powstrzymała się w rozmachu; dlaczego nie zażądała wogóle skasowania proboszczów, lub raczej dla skrócenia tej nieco przydługiej procedury, nie ograniczyła się po prostu na wykreśleniu całego budżetu wyznań: dałaby bez wątpienia w ten sposób dowód większej logiczności, szczerości i lojalności. P. Ricard, któremu nikt, sądzimy, zarzucić nie może zbytniej czułości dla duchowieństwa, oświadczył się wprost przeciw tym konfiskatom i usiłował nakłonić komisyę budżetową do cofnięcia powziętych

postanowień. Dopiąłby też tego niezawodnie, gdyby komisya liczyła nieco więcej członków. Niestety! mamy tu zawsze do czynienia z tem samem niedbalstwem; najważniejsze postanowienia zależą od samowoli śmiesznie drobnej cyfry członków obecnych. Tak np. w dniu, o który nam chodzi, na 33 członków, brało udział w obradach dziesięciu: p. Ricard wyszedł, a komisya pięciu głosami przeciwko pięciu zadecydowała zniesienie 22 biskupstw wrzekomo nie-konkordatowych, tudzież wikaryatów generalnych. Trzeba było tylko w inny sposób sformułować pytanie, a nazywałoby się to, że komisya — ten sam stosunek głosów zatrzymując — oświadczyła się za zatrzymaniem owych biskupstw...“

„Lecz mniejsza o to! Ważniejsze pytanie, czy i jaką ma wagę i znaczenie owa różnica między konkordatowemi a niekonkordatowemi biskupstwami? Gotujemy niemałą a nad wyraz przyjemną siurpryzę radykalnym członkom komisyi budżetowej; odsłonimy im tajemnicę, która zadowoleniem głębokiem z pewnością ich napełni, dozwalając im skasować tyle biskupstw, ile im się żywnie spodoba, a tajemnicą tą jest, że właściwie niema ani jednego biskupstwa prawdziwie konkordatowego. Konkordat ani jednem słowem nie wymienia, ilu ma być biskupów i gdzie mieć mają swe rezydencye; dopiero w artykułach organicznych odnajdujemy nazwy i rozgraniczenia poszczególnych dyecezyj. Zatem, albo niema ani jednego biskupstwa konkordatowego, jeżeli zechcemy wyrazy naciągać i pytać o specyalne klauzule w konkordacie umieszczone; albo też wszystkie biskupstwa są zarówno i temże samem prawem konkordatowe, jeżeli uważamy konkordat lojalnie i prawdziwie za pokojową ugodę, mocą której rząd francuski zobowiązywał się do przeprowadzenia wespół z Papieżem, wszystkiego co dla katolickiej religii we Francyi koniecznem jest i potrzebnem. W razie gdyby konkordat nie miał mieć tego ostatniego znaczenia, to — powiedzmy bez ogródek — niema żadnego...“

LIST PAPIEŻA DO BISKUPA Z GRENOBLI.

Tymczasem Papież, ubolewając nad zaślepieniem obu skrajnych stronnictw, nie zważając niejako na stawiane przez nie przeszkody, idzie bez przerwy, bez chwili

wahania się raz obraną drogą. Obradujący w Grenobli kongres francuskiej młodzieży katolickiej, przesłał Ojcu św. zapewnienie swej wierności i chęci trzymania się drogi wytkniętej przez Stolicę apostolską; Leon XIII. odpowiedział na ten adres długim listem, wystosowanym na ręce biskupa z Grenobli, mgr. Fava — a w liście tym, „śmiałym, prawdziwie chrześcijańskim, iskrą geniusza natchnionym“ — jak na wyścigi go wysławiają paryskie dzienniki — raz jeszcze powtarza i w nowem świetle przedstawia dane już niejednokrotnie wskazówki i nauki.

„Z żalem stwierdzić musimy — czytamy w papieskiem piśmie — że znajdują się we Francyi ludzie, którzy dobrymi katolikami głośno się wyznawając, mniemają, że mają prawo sprzeciwiać się kierunkowi wytkniętemu przez Głowę Kościoła, a to pod pozorem, że idzie tu o kierunek polityczny. Wobec tych błędnych zapatrywań utrzymujemy i stwierdzamy w zupełności wszystkie poprzednie nasze akty i raz jeszcze powtarzamy: ‚Bez wątpienia, w politykę wdawać się nie chcemy, ale gdy polityka tak ścisłemi węzłami łączy się z interesami religijnemi, jak to ma miejsce obecnie we Francyi, natenczas nikt chyba bardziej i właściwiej od Papieża rzymskiego nie może się poczuwać do posłannictwa i obowiązku pouczenia, jakiej drogi trzymać się należy dla ochrony interesów religijnych, najważniejszych tu na ziemi‘... W zatwierdzaniu katolickich dogmatów trzeba być oczywiście stałym, niewzruszonym; nie wolno wdawać się z błędem w żaden kompromis; wszakże jednocześnie roztropność chrześcijańska nakazuje nie odrzucać, lub mówiąc wyraźniej, umieć sobie zjednywać w poszukiwaniu dobrego, bądź osobistego, bądź i tem bardziej społecznego, współudział wszystkich ludzi uczciwych. Znaczna większość Francuzów jest katolicką. Jednakże i wśród tych, którzy tego szczęścia nie mają, wielu wbrew wszelkim przeszkodom zachowuje pewien grunt dobry, pewnego rodzaju prawość, którą nazwaćby można uczuciem duszy naturalnie chrześcijańskiej. Podniosłe to uczucie udziela im wespół z pociągiem do dobrego, zdolności do wypełnienia dobrego, a wewnętrzne to usposobienie toruje im niejednokrotnie drogę do uznania i wyznania prawdy chrześcijańskiej. Dlatego to nie wahaliśmy

się zażądać w ostatnich naszych pismach pomocy tego rodzaju ludzi do walki z sekciarskiem prześladowaniem, które obecnie bez maski, niczem i przez nikogo nie powstrzymywane, sprowadza na Francyę religijną i moralną ruinę...“

SMUTNE WAŚNIE. Czemuż tak piękne i wzniosłe, prawdziwie i wyłącznie chrześcijańską myślą i miłością natchnione zamysły Papieża, nie znalazły wszędzie należytego ocenienia i zrozumienia, dały powód — zwłaszcza w krajach należących do potrójnego przymierza — do rozlicznego rodzaju wyrzutów, rekryminacyj, kwasów? Lwią część winy nosi na sobie nie zawsze taktownie i zręcznie występujący *le Moniteur de Rome*, nie będący zapewne urzędowym organem papieskim, nie będący też, jak sam zaręcza i jak wszelkie prawdopodobieństwo za tem przemawia, na francuskim żołdzie; lecz nie mający — co dla rzeczy niemal gorsze — ani jednego bodaj redaktora, zdolnego utrzymać spokój, miarę i pewną konieczną „godność“ w swych sympatyach i antypatyach, zdaniach i radach. Organ ten przed paru laty nadzwyczaj i aż do przesady serdeczny dla Niemiec, przerzucił się w ostatnim czasie stanowczo na stronę Francyi i zgrzeszył znowu w wycieczkach swych przeciw potrójnemu przymierzu, a w łudzeniu się i mamieniu, gdy o Francyi, a czasem gdy i o północnym jej sojuszniku pisać przyszło, brakiem wszelkiej miary. Irytowało to, może aż zanadto irytowało, niemiecką katolicką prasę; w ostatnich tygodniach już nietylko *Koelnische Volkszeitung*, ale i *Germania* uważała za stosowne wystąpić przeciw rzymskiemu organowi i narzucanej przezeń bądź co bądź za gwałtownie, a zatem niezręcznie, polityce; co więcej, dwaj bardzo poważni członkowie Centrum: sędziwy „król chłopów“, von Schorlemer-Alst i Lieber, wygłosili w Dortmundzie i Kolonii energiczne mowy przeciw niepowołanym agitatorom, przemawiającym wrzekomo w imieniu papiestwa, a w gruncie szkodzącym tylko jak papiestwu, tak całemu Kościołowi. Niemiła ta i niewdzięczna polemika wychodzi oczywiście w pierwszym rzędzie na korzyść wrogów Kościoła; daje powód do całego szeregu niechętnych, złośliwych komentarzy, dobrej sprawie bądź co bądź nie służą-

cych, których echo i w paru naszych dziennikach już się odezwało; czasby też był wielki, aby niebezpiecznej tej, jątrzącej i dzielącej katolików zabawce, koniec położyć.

POJEDNAWCZA POLITYKA BRAZYLIJSKA.

Z Brazylii dochodzą nieco pomyślniejsze wiadomości. W łonie rządu, a silniej może jeszcze w parlamencie, objawia się pewien pomyślny zwrot; coraz częściej i dobitniej słyszeć się dają głosy, że zainaugurowane przez rzeczpospolitą prześladowanie Kościoła, samej właśnie rzeczypospolitej największą szkodę wyrządza. Głównym zwolennikiem pojednawczej tej polityki jest wiceprezes rzeczypospolitej Brazylijskiej, Floryan Peixoto, który idzie zresztą w tym kierunku śladami i wedle wskazówek danych jeszcze w listopadzie r. z. przez marszałka Teodora da Fonseca. W Rio de Janeiro — jak zaręcza korespondent *l'Univers'a* — mówią głośno o konieczności zawarcia konkordatu ze Stolicą apostolską i nikt nie wątpi o szybkiem spełnieniu się tych nadziei.

HARMONIA MIĘDZY PAŃSTWEM A KOŚCIOŁEM W KOLUMBII.

Rzadki w dzisiejszych czasach przykład harmonii, panującej między świecką a kościelną władzą, dają nam dwa świeżo przez amerykańską prasę ogłoszone listy: pierwszy podpisany przez arcybiskupa z Bogota, drugi przez ministra spraw wewnętrznych w Kolumbii. Warto przytoczyć listy te w całości, zwłaszcza, że odnoszą się do kwestyi, która i u nas nie mniejsze jak w Kolumbii budzić musi zainteresowanie, nie mniejsze znajduje zastosowanie. Arcybiskup pisał p. d. 28 marca b. r.:

„Panie Ministrze Spraw Wewnętrznych!

„Dowiaduję się z wiarogodnych informacyj, że do naszego miasta i do całej rzeczypospolitej nadchodzą ustawicznie z zagranicy w znacznej liczbie książki, broszury, przeglądy, dzienniki i inne druki, które w części wprost z religią walczą, w części są niemoralnej, nieraz błotnistej treści. Cała fala tego rodzaju pism zalewa mianowicie lud, z wielką — rzecz oczywista — szkodą, równie moralną, jak i polityczną. Spełniając swój obowiązek, mam honor udać się do W. Ekscelencyi z prośbą, abyś

zechciał użyć wszelkich środków, które w mocy Twej stoją, w celu pohamowania i przeszkodzenia temu złemu; w szczególności zaś, aby poczta państwowa nie służyła do rozszerzania tej zarazy, trującej serca i umysły, zarazy tem straszniejszej, że jest niemal nie do uleczenia. Niechaj Bóg zachowa nam WE. na długie lata.

Bernard, arcybiskup Bogoty".

Na pismo to otrzymał arcybiskup następną odpowiedź:

„Do Najprzew. Księdza Arcybiskupa z Bogoty. 19 kwietnia 1892 roku.

„Mam zaszczyt zawiadomić W. Biskupią Mość o odebraniu wskazówek udzielonych mi łaskawie p. d. 28 marca. Cieszę się, że w odpowiedzi na to pismo zaręczyć mogę, że rząd ożywiony jest temi samemi uczuciami i pragnieniami, którym W. Biskupia Mość dałeś wyraz. Rząd uważać będzie za szczególny swój obowiązek użyć, i to w najbliższym czasie, wszystkich skutecznych a niezbędnych środków, na jakie tylko prawo mu dozwala, aby położyć tamę zgorszeniu, o którem W. Biskupia Mość w piśmie Swem wspominasz. Niechaj Bóg zachowuje nam W. Biskupią Mość przez długie lata.

Ewaryst Delgado".

MOWA OJCA ŚW. DO KOLEGIUM POLSKIEGO.

Ojciec św. dozwolił całemu Kolegium polskiemu obecnym być dnia 12 czerwca na swej Mszy św., a następnie przemówił do zgromadzonych w następnych wyrazach, które, jak pięknie i prawdziwie pisał *Czas* w osobnym artykule mowie tej poświęconym: „wzmocnią w społeczeństwie polskiem tradycyjną wierność i uległość, rozgłośnem odbijając się w niem echem".

„Prawda — mówił Papież — mało jest kleryków polskich w Rzymie stosunkowo do liczby Polaków, lecz nie tajne mi są tego przyczyny, pochodzące z trudnego Waszego położenia. Jabym pragnął, żeby liczba Wasza co najmniej się podwoiła, aby było alumnów z pięćdziesięciu, a choćby i stu, toby było wcale nie za wiele. Kościół polski bardzo potrzebuje dobrych kapłanów,

liczna bowiem jest ludność polska, a kapłanów niema dosyć. Wiem, że są okolice z ludnością polską, bardzo oddalone od kościoła i od kapłana, pozbawione pomocy duchownej. A przytem wolność niesienia pomocy duchownej jest bardzo ograniczona przez tych, którzyby powinni raczej wspierać kapłanów w ich świętej gorliwości. Wiem, że często się zdarza, iż kapłani polscy za swą chwalebną gorliwość muszą cierpieć prześladowania i kary. Lecz to wszystko Pan Bóg Wam policzy i lękać się nie potrzebujecie, jakoby było wszystko stracone. O nie, nic nie stracone, dopóki Polacy trzymają się wiary i Kościoła św. A wiem, że Polska jest wierna, że wszyscy stoją silnie przy wierze św. katolickiej i przy Kościele. To też mówię Wam, że nie zginiecie. Gdybyście Pana Boga i Kościół św. opuścili, o wtenczasbyście z pewnością zginęli, bo Pan Bóg widząc niewierność Waszą, powiedziałby: *Derelinquamus eam!* Lecz ufam, że za łaską Bożą wytrwacie do końca i odniesiecie tryumf. Co do Stolicy apostolskiej, to tutaj znajdziecie zawsze opiekę i obronę. O ile tylko będzie możebnem, Stolica św. zawsze będzie Was wspierała. Im większe bowiem są Wasze trudności i cierpienia, tem bardziej rośnie miłość i troskliwość Nasza dla Was. Udzielam więc Wam wszystkim apostolskiego błogosławieństwa".

Ks. Jan Badeni.

Z pod gór Kruszcowych.

Wrażenia z podróży.

I.

Na dworcu praskim liczny tłum się roi. W salach i na peronie coraz to nowe snują się osoby, wszędzie panuje zgiełk i wrzawa, zewsząd dolatują urywki rozmów, toczonych w rozmaitych językach, odgłosy śmiechów, pożegnań, powitań. Każdy biega jak w gorączce, troszcząc się o bilety lub pakunki, słowem istna wieża Babel. Wreszcie na tor kolejowy wtacza się długi pociąg, podobny do smoka syczącego i buchającego kłębami pary. Po chwili rozlega się stentorowy głos kolejowego odźwiernego: Aussig!... Bodenbach!... Dresden!... i do-

nośny przenikliwy dźwięk dzwonka. Wtedy dotychczasowy gwar zmienia się w chaos nie do opisania, każdy się tłoczy do przeznaczonej dlań *třídy* (klasy) i wkrótce *vlak* (pociąg) pochłania w swem wnętrzu tłum, który przed chwilą zalegał peron. Jeszcze kilka minut, parę odgłosów dzwonka, przeciągły świst lokomotywy i — ruszamy! Przed oczami naszemi przesuwają się szybko przedmiejskie domy Zlatej Prahy, tonące wśród zieleni ogrodów, lub wieńcem klombów opasane. Po chwili roztacza się żółta wstęga Wełtawy, która w roku ubiegłym tyle wyrządziła szkód, tak okropnej nabawiła trwogi, a teraz leniwie toczy mętne fale, świecąc tu i ówdzie piaszczystą łysiną. Dalej nieco, z lewej strony toru, migocą tysiące różnobarwnych chorągwi na pawilonach wystawy, którą z wagonu widać jak na dłoni. Wreszcie powoli cała Praga znika, jakby we mgle, tylko jeszcze na tle widnokręgu rysują się gotyckie wieżyce Tynieckiego kościoła i ciemna, poważna sylwetka królewskiego zamku Hradczyna. I te jednak po chwili kryją się poza górami, Wełtawa tylko towarzyszy nam jeszcze, wijąc się wężykowato wśród skalistych brzegów. Z drugiej strony toru piętrzą się porfirowe i bazaltowe skały, tu i ówdzie porośnięte krzewami lub sterczące dziwacznie wyszczerbionemi bokami. Porfir iskrzy się w słońcu barwą rozpalonego żelaza, ogromne zaś bryły bazaltu zdają się być ukute potężną dłonią Cyklopów.

I tak przez czas niejaki lecimy, gnani siłą pary, pomiędzy rzeką z jednej, a górami z drugiej strony. Gdzieniegdzie tylko urozmaicają ten krajobraz malutkie wille lub stacye, których prawidłowe kształty tworzą dziwaczny kontrast z dziką, otaczającą je przyrodą.

Zmęczony ciągłem migotaniem różnorodnych przedmiotów przed oczyma, usiadłem i zacząłem się przyglądać swoim sąsiadom. Uwagę moją zwrócił przedewszystkiem pewien pan siedzący w pobliżu, średniego wzrostu, okazałej tuszy, z poważnym i inteligentnym wyrazem twarzy. Przebiegał on łamy słowackiej gazety *Narodni Noviny*, z której poznałem, z kim mam do czynienia. Poprosiłem go po polsku o użyczenie mi na chwilę tego dziennika, na co mój sąsiad chętnie się zgodził. Niebawem zawiązała się rozmowa, toczona w rodowitym każdego z nas języku, ale wkrótce mój interlokutor zagadnął mię po rosyjsku.

— Gdzieżeś się pan nauczył tego języka? — zapytałem.

— W Petersburgu, tam bowiem ukończyłem uniwersytet, poczem jeszcze lat parę przepędziłem w Rosyi.

Rozmowa z początku obojętnej treści, zeszła niepostrzeżenie na tory polityczne. Towarzysz mój zaczął malować jaskrawemi barwami

stosunek Słowaków do Węgrów i ucisk, jakiego doznają ze strony swych władców.

— Zgoda na to zupełna — odparłem — że położenie wasze jest okropne, ale to smutne, iż, jak słyszałem, wielu z was chciałoby się dostać z deszczu pod rynnę, i pragnąc uniknąć uciemiężenia ze strony Madziarów, przechyla się ku panrusycyzmowi. Nietrafna to jednak polityka, gdyż byłoby jedno i to samo, czy naród Słowacki zostałby zmadziaryzowanym, czy też zmoskwiczonym.

— Tak, mój panie, rzeczywiście istnieje u nas stronnictwo, które ciąży ku Moskwie i wierzy święcie w zbawienie, zapomocą podania dłoni „braciom z ponad Newy". Jeden nawet z wybitniejszych naszych pisarzy, Ludovit Štur, wygłaszał przed kilkudziesięciu laty teoryę, że wszystkie słowiańskie plemiona powinny przyjąć rosyjski język w mowie i piśmie, oraz wzbogacać swemi literackiemi płodami rosyjskie tylko piśmiennictwo, któreby się wówczas stało wszechsłowiańskiem. Utopie te jednak nie znalazły echa w Słowackim narodzie, który kocha zanadto swoją, choć ubogą dotąd literaturę, a w głębi serca pielęgnuje zasadę, iż *len ta reč je sladka, co učila matka.* Cząstka naszych braci przesiąkłych ideami Aksakowa lub propagujących za ruble panslawizm rosyjski, wcale nie jest znaczną. Inni, choć głoszą niby podobne teorye, w głębi duszy wszakże nie podzielają ich wcale, a posługują się niemi tylko w obronie własnych interesów, przeciw bezprawiom madziaryzacyi. Pozorne przechylanie się na stronę panslawizmu, jak u nas, tak i u innych Słowian, posądzanych niesłusznie o rusofilskie mrzonki, jest tylko dyplomatycznym zwrotem. Było tak niegdyś i w Bułgaryi, a teraz co? Oto każdy Bułgar chce być Bułgarem, a o Moskwie mu nie gadaj. Toż samo dzieje się i u nas, chociaż warunki nasze są daleko trudniejsze, niżeli tych ostatnich.

Z dalszej rozmowy się okazało, że mój towarzysz jest przyjacielem p. Swetozora Hurbana, wydawcy i nakładcy *Slovenskich Pohladow*, o których już w *Przeglądzie Powszechnym* z roku ubiegłego była mowa [1]. Gdy się poczciwy Słowak o tem dowiedział, ścisnął mię serdecznie za rękę i zawołał ze wzruszeniem:

— Więc i wy chcecie wiedzieć coś o nas? To i w Polsce są przecie poważne organa prasy, śledzące umysłowy ruch u pobratymców? Dzięki wam za to! Wyście starsi nasi bracia, którzy nas wyprzedzili znacznie na drodze intelektualnego rozwoju, od was my, młodsza brać

[1] Por. zeszyt sierpniowy *Przeglądu Powszechnego* z r. 1891, str. 273.

wasza, czekamy przykładu zachęty, serdecznego współczucia. Kto wie, jak dalece dotychczasowa obojętność Polaków względem innych Słowian przyczyniła się do tego, że niektórzy z nas wyciągnęli dłoń ku Rosyi. Im więcej umysłowy nasz dorobek znajdzie u was uznania i sympatyi, tem rychlej może nawet nieliczna garstka zbłąkanych naszych rodaków weźmie rozbrat z rusofilską tendencyą.

Tak rozmawiając wjechaliśmy na rozległą nadelbiańską dolinę. Tu już krajobraz mniej malowniczy, bardziej jednostajny, ale wszędzie dokoła widać ślady dobrobytu i porządku. Piękne, bujne, starannie uprawne łany tworzą prawdziwą mozajkę zbóż, o rozmaitych odcieniach zieloności. Tu i ówdzie na tle łąk i pól bieleją miasteczka lub wioski o schludnych murowanych domkach, tulących się u podnóża kościoła z czerwonym dachem i smukłą wieżyczką, na szczycie której jaśnieje godło zbawienia. W oddali na horyzoncie szarzeją wysokie cyple, we mgle spowite. Są to szczyty wygasłych wulkanów, wśród pasma gór Středohoŕa (Mittelgebirge), w których długim, falistym łańcuchu króluje majestatyczna Milešovka (Milechäuerberg).

— Zapewne zbliżamy się do Aussig — zapytałem jednego z Niemców, siedzących w wagonie, i jak mi się zdawało lepiej obeznanych z miejscowością.

— O! jeszcze do Aussig spory kawał drogi — odparł zagadnięty. Góry te w piękny i pogodny dzień dają się dostrzedz nawet z Pragi. Dopiero za Lonosicami przejedziemy ponad Elbą przez łańcuch Středohorski.

Lovosice (Lobositz), ładna nadelbiańska mieścina z mnóstwem eleganckich domków, umajonych ogrodami lub ocienionych wyniosłemi kasztanami. W rynku wznosi się piękny kościół w stylu gotyckim, poza miastem zaś czernieją ruiny zamku Kamaik, zbudowanego na bazaltowej skale. Ruiny te, będące jakby echem dawnych ubiegłych epok, podnoszą jeszcze bardziej malowniczość krajobrazu. Tu obraz opustoszenia, osamotnienia i upadku, tam świeża, odmłodzona przyroda — co za uderzający kontrast.

Lovosice, to pierwszy posterunek niemiecki w północnych Czechach, pierwsze miasto zwane *Deutsch-Böhmen*, o żywiole przeważnie germańskim. Dotychczas jeszcze czuliśmy na każdym kroku, żeśmy w Czechach, odtąd zaś we wszystkich miastach aż do granicy saskiej napotykamy niemieckich wyłącznie urzędników, niemiecką inteligencyę, niemieckie szyldy i t. p., tak, że gdyby nie szereg miejscowości, któ-

rych nazwy noszą wyraźnie słowiańską cechę, oraz przywiązane do nich podania, to możnaby niemal zapomnieć, żeśmy na czeskiej ziemi.

Wygodna, cienista droga wiedzie z Lovosic do miasteczka Milešowa (Mileschau), zbudowanego u samego niemal podnóża góry Piorunowej czyli Milešowki, która zdaje się spoglądać pogardliwie na siedlisko ludzkie u swych stóp rozrzucone. W pośrodku miasta na stromej skale piętrzy się zamek hr. Ledebuz'a, okolony przepysznym ogrodem. Naprzeciw zamku na samotnem wzgórzu panuje ponad miastem bardzo piękny i starożytny kościół, sięgający, jak mówią niektórzy, początku XIII. wieku. Wiele uroku nadają ślicznemu temu miasteczku prawdziwe gaje drzew owocowych, opasujące je dokoła. Stąd też Milešowka, ta prawdziwa królowa Středohoře, imponująco się przedstawia; piękne jej stoki wznoszą się dumnie ku niebu, odbijając się malowniczo od czerwonych dachów i białych murów miasteczka.

Na drodze na górę tę wiodącej snują się roje turystów, niesionych w wygodnych palankinach, lub jadących na osłach albo mułach. Dla pieszych co kilka kroków stoją ławeczki i słupy z tablicami, na których napisy i różnokolorowe znaki wskazują kierunek. Na tablicach tych mieszczą się też często wiersze, któremi sentymentalni Niemcy opiewają piękność przyrody. Na jednej z nich naprzykład czytamy:

Die Kunst mag schön und edel sein,
Doch herrlich ist die Natur allein.

Im wyżej się wdrapujemy, tem rozleglejszy dokoła nas roztacza się krajobraz z uroczym widokiem gór, lasów, dolin, miast, wsi i zwalisk. Całemi też piersiami pochłaniamy czyste, świeże powietrze, przesycone zapachem górskich dzwonków. Oko błądzi od szczytów porośniętych lasem do zielonych pól i łąk, a cały ten wspaniały krajobraz oblewają promienie słońca, które zdaje się uśmiechać do okrytej kwieciem ziemi, jak gdyby w ciągu kilkuset-milowej swej wędrówki nie patrzało nigdy na łzy i niedolę.

Lecz oto nagle blask jego zaczyna blednąć, na lazurowem dotąd niebie przebiegają chmurki najprzód małe, potem coraz większe, zlewają się ze sobą w jakąś groźną masę, wierzchołki drzew poruszają się ze szmerem jakby wiodły ze sobą tajemniczą rozmowę, a przewodnicy przyspieszają kroku, blizką odgadując burzę... Niebawem coraz grubsza opona z chmur zasłania widnokrąg i zaczyna padać deszcz rzęsisty, ulewny, któremu towarzyszą migotliwe światełka błyskawic, oraz ponury huk grzmotów. Biedni turyści, zaskoczeni tak na poło-

wie drogi, nie wiedzą prawie, co począć ze sobą, mężczyźni zasłaniają się parasolami i otulają pledami swe panie, te zaś wydają okrzyki trwogi, lub dąsają się na skonfundowanych towarzyszy. I rzeczywiście jest czego się obawiać, burze bowiem w tych okolicach zwykle z daleko większą. niż gdzieindziej, szaleją gwałtownością, co nawet Mileszówce zyskało u tamtejszych Niemców nazwę Donnerbergu. Wreszcie po upływie kwadransa niebo zaczyna się wyjaśniać i wkrótce słońce wyziera nieśmiało z poza chmur na skropioną deszczem ziemię, wywołując tęczowe barwy w każdej kropelce rosy. Powoli humory się poprawiają i znowu w dalszą ruszamy drogę...

Nie!.. zanadto tu pięknie, abym w pięciu wierszach, które według obliczenia nielitościwego zecera do zapisania mi pozostają, mógł wszystko co uderzyło mię, zachwyciło, choć najgrubszemi rysami odmalować.... Zatem do widzenia w najbliższym numerze!...

Tytus Sopodźko.

Ryciny kolorowe na tegorocznej ich wystawie w Wiedniu,

tudzież pierwsze usiłowania polskie w tym kierunku.

I.

Już w najwcześniejszych rękopismach średniowiecznych spotykamy się z zastosowaniem powszechnem farby, celem ich przyozdobienia. Umysł ludzki łaknie za barwnem ożywieniem choćby najsuchszych treścią kodeksów, jakby znużony scholastycznem pogłębieniem zagadnień filozoficznych, pragnął co chwila odmiany i rozrywki dla zmęczonego oka. To też, obok najpoważniejszych traktatów, znajdziemy inicyały z miniaturami, które nic nie mają wspólnego z ich treścią, z których częstokroć tryska humor, przejawiają się w obrazach sceny z życia i zwyczajów ówczesnych lub przynajmniej bujną ornamentyką barwną otaczają brzegi i nagłówki kart pargaminowych.

Wynalazek druku zmienił sytuacyę, nie do tyla jednak, aby wyrzec się miano zupełnie nawyknień wieków. Następuje epoka przejściowa, albowiem drukarz zostawia w miejscu dawnych inicyałów, tak zwane o k i e n k a, które wypełnia następnie illuminator. Drukarz jednak XV-go i następnego stulecia dąży do tego, aby wyzwolić się z zależności od illuministy i czarną farbą odbitym drzeworytem zastąpić usiłuje dawną jego pracę. Nowość zwycięża, tem więcej i łatwiej, że równocze-

śnie rycina odgrywa w rozwoju humanizmu niezmiernie doniosłą rolę. Przez nią rozszerzają się, w przystępny i dla analfabetów sposób, nowe pojęcia społeczeństwa europejskiego, i ona również w historyi sztuki stanowi ważną dźwignię, która ruguje i łamie dawne poglądy i utarte formuły. Z drugiej strony należy dodać, że znaczna bardzo część inkunabułów z drzeworytami zostawała kolorowaną, bo szerokie warstwy łaknęły zawsze obrazu barwnego, przypominającego naturę. Stąd też wynikła potrzeba wywołała nowy rodzaj zatrudnienia, zawód kolorystów, *Briefmaler*. który zbiegał się z zawodem kartowników, w zupełnie podobny sposób już od dawna zarobkujących.

Niezależnie też od ryciny czarnej, książkowej, występuje, choć w odmiennem znaczeniu, ale nie bez wydatnego wpływu na genezę ryciny kolorowej, karta do gry, wprowadzona według wszelkiego prawdopodobieństwa przez Arabów do Europy. Już w XIV. wieku spotykamy w Niemczech ustawy, wzbraniające gry w karty; ustawy, które, wobec silnie zakorzenionego zwyczaju, stały się martwą literą prawa. Rozpowszechnienie gry w karty, popyt za niemi, były przyczyną, która wywołała potrzebę fabrycznego sposobu produkcyi; to też kartownicy i koloryści *(Briefmaler)* związani w cech osobny, wpadli na myśl, aby kartę odciskać naprzód klockiem drzeworytniczym, na papierze, czarno, a następnie, gdy praca ręczna kolorowania odciśnionej drzeworytem karty szła zbyt powoli, uskuteczniano kładzenie farby zapomocą patronów lub druku.

Że w stolicy dawnej Polski wyrabiano karty, świadczą o tem tak zabytki archeologiczne, jak i wzmianki rękopiśmienne. Okazem najdawniejszym są karty polskie robione na drzewie, które posiadał Jan hr. Tarnowski w Dzikowie [1]. Łukasz Gołębiowski w pracy swej Gry i zabawy podał rysunek kart polskich z r. 1500. Ależ bo i zwyczaj gry w karty rozpowszechnił się w Polsce nadmiernie. O Zygmuncie I., czy to jeszcze królewiczu [2], czy później, gdy zasiadł na tronie Polski, wiemy, że w wolnych od zajęć godzinach chętnie grywał w karty z dworzanami, zwłaszcza w francuskiego *fluxa*. Zresztą czy panowie jak: Krzysztof Szafraniec, którego gra w karty prowadzi pod miecz katowski (1484), czy mieszczanie, jak wysnuć się to daje z miniatury satyrycznie zabarwionej kodeksu pargaminowego Baltazara Be-

[1] J. Kołaczkowski, „Wiadomości tyczące się przemysłu i sztuki w dawnej Polsce", 239.

[2] A. Pawiński w *Ateneum* z r. 1892. „Młode lata Zygm. I."

hema, — wszystko gra namiętnie. I stanowi to charakterystyczną cechę chwili, gdy r. 1507 Franciszkanin Piotr Tomasz Murner drukuje u Hallera dzieło p. t. *Chartiludium Logicae seu Logica poetica, vel memorativa cum jucundo picturarum exercitamento,* w którem system swego wykładu o dyalektyce opiera na grze złożonej z kart 52, i za ten pomysł, ułatwiający naukę, płaci mu Akademia Krakowska 24 dukaty nagrody.

Wobec takiego stanu rzeczy znajdą się naturalnym sposobem w Krakowie kartownicy *(chartarii, cartarii),* zajmujący się wyrobem kart odciskanych na pargaminie lub papierze, i malowanych. Zapiski archiwalne wspominają pod r. 1485 kartownika, który posiada w Krakowie dom własny, kartownik *Paweł Cziser* wymieniony u Bandkiego pod r. 1506, dalej znani są kartownicy *Benedictus* z r. 1526, *Mathias Heinrich Priffmoler* z r. 1532, Piotr kartownik posiada dom własny za Nową Bramą r. 1546, w r. 1577 do cechu kartowników w Krakowie należeli Jan Bock, Sebastyan Nieszporek, Grzegorz Żak, Benedykt Makuła i Andrzej Przeorek; później bo r. 1586 Laurentius Popiołek, *chartarius,* płaci czynsz z domu za kościołem św. Szczepana, zaś Stanisław Grochowski, *chartarius,* za dom przed Nową Bramą nad Rudawą i t. p.[1] Również i po innych miastach polskich rozsiedlają się kartownicy, jak Michał Eldsner, Gdańszczanin, który r. 1559 osiada w pobliżu Poznania i zakłada warsztat tamże, albo Marcin, kartownik znany w Warszawie r. 1561[2].

Wizerunki kart polskich z czasów Zygmunta III. znajdą się w Kazaniach Gabryela Leopolity, gdzie kartownik zwie się Bartoszem, lub w księdze p. t. Pałasz duchowny, drukowanej r. 1619 u Jana Lwowczyka we Lwowie.

Kartownicy krakowscy połączeni byli z cechem iglarzy i zdaje się grzebieniarzy. Jakkolwiek różne to były zajęcia, niemniej jednak wynikł r. 1532 spór między kartownikami i iglarzami, którzy zaczęli się ze szkodą poprzednich zajmować sprzedażą kart. Na wniesioną „żałobę", wyrokiem z 23 września wymienionego roku rozstrzygnięto sprawę na korzyść kartowników.

Statut z r. 1577, wydany przez urząd rajecki dla cechu kartowników, zwrócił się przeciw obcym wyrobom, dopuszcza je tylko w cza-

[1] Por. dr. Piekosiński, „Prawa i przywileje", patrz indeks pod słowem „Chartarii".

[2] J. Kołaczkowski l. c.

sie jarmarków na rynek krakowski, i postanawia, że żaden mistrz rzemiosła tego nie powinien mieć więcej jak trzech uczniów, którym wyznacza 4 lata nauki, stanowi kary na świątkującą czeladź, tudzież reguluje ich płacę.

Cech krakowski liczy w r. 1560 dziewięciu mistrzów, którzy wyroby swoje sprzedają w s m a t r u ż u *(garrulatorium)* miejskim [1].

Tyle wiemy o autorach pierwszych usiłowań kolorowych rycin w Polsce; o ich czynności domyślać się tylko można, bo o dziełach ich brak wiadomości.

Odbicia *clair-obscur* były pierwszą udałą próbą właściwego druku kolorowego. Uskuteczniano go w dwojaki sposób: albo na papierze kolorowym wyciskano jednym klockiem drzeworytniczym, farbą czarną kontury i cienie, innym zaś, farbą białą, światła; lub na białym papierze dokonywano druku czernidłem, a drugim klockiem, kolorem, z wypuszczeniem świateł. Zasługa tego wynalazku zdaje się być własnością Josta Dineckera z Antwerpii, który w liście do cesarza Maksymiliana z 27 paźdz. 1512 mówi o tem, jak o własnym pomyśle. Później żyjący Vasari przysądza go Hugonowi da Carpi. Niemcy zaś, na tej podstawie, że najwcześniejsze znane drzeworyty wykonane *en clair-obscur* są robione podług rysunków Kranacha, Grüna, Burkmaiera i Dürera, pragną przenieść zasługę wynalazku do Niemiec [2].

Sztuka drzeworytnicza nie dosięgła malowidła drukarskiego na kształt obrazu, ale jedynie nadała drzeworytowi wygląd malowniczy. Drzeworyt odbity *en clair-obscur* jest zatem zjawiskiem wprawdzie pięknem, ale które właściwego celu nie dopięło, nie dało obrazu kolorowego zbliżonego do natury. Sztuka owa, o której rozkwicie świadczą jeszcze, prócz wymienionych, imiona Parmeggianina, Goltziusza lub Jeghera, ginie równocześnie z upadkiem drzeworytu.

Oprócz odosobnionych zresztą prób w drugiej połowie XVIII. wieku, które zmierzały do przywrócenia drzeworytniczego *clair-obscur*, dopiero w naszych czasach wzięto się, równocześnie z podniesieniem poziomu artystycznego drzeworytu, do przywrócenia w tym kierunku jego znaczenia w odtwarzaniu kolorystycznego efektu. Usiłowania, wobec trudności technicznych i ekonomicznych, nie mogły wyjść z ram do-

[1] Dr. Piekosiński l. c.

[2] Por. J. E. Wessely, *Anleitung zur Kenntniss und zum Sammeln der Werke des Kunstdruckes.*

świadczeń i prób, i naturalnym biegiem rzeczy, wobec świetnego postępu litografii, upaść musiały zupełnie.

Takim okazem próbnym można nazwać premię *Tygodnika illustrowanego* z roku 1873 „Zadumana“, podług rysunku F. Tegazzo z własnego obrazu olejnego, przedstawiającego krakowiankę, w stroju odświętnym. Piękny drzeworyt, wykonany pod kierunkiem A. Regulskiego, drukowany był na maszynie pospiesznej drukarskiej tyłoma specyalnie sporządzonemi kliszami, ile jest kolorów w tym chromodruku, tj. na każdy kolor była osobna klisza.

II.

Genialny Rubens z początkiem XVII. wieku traktowaniem odmiennem miedziorytu rylcem potrafił wlać weń czar malowidła i sprowadzić w miedziorytnictwie całkowite przeobrażenie, oraz wydobyć wrażenie obrazu. Stąd otrzymała jego metoda nazwę sztychu malarskiego, jej zaś znakomitego przedstawiciela miała sztuka polska w Jeremiaszu Falcku.

Miedziorytnictwo przyszło wówczas do prawdziwego rozkwitu, mistrz Gerard Edelinck († 1707) przeniósł się z Niederlandów do Paryża i założył szkołę o świetnej przeszłości, a odpowiadającej najzupełniej prądom, jakie tętniły w sercu Europy. Sztuka XVIII. wieku hołdująca chwili, jak powiada Falke, pożądała również blasku, subtelności i zewnętrznego wykończenia; na ideach jej nie zależało. Towarzystwo ówczesne układne, ugrzecznione, lubieżne, mniej dbałe o wielkość i podniosłość niż o ozdobność i pomysłowość, pragnęło sztuki odpowiadającej tym warunkom. I znaleźli się artyści, w których dziełach odbił się duch czasu, znaleźli się malarze, tworzący amoretty nadęte, damy szminkowane, sentymentalne sielanki, niebieskawe krajobrazy i nieba różowe, jak również w tym samym duchu odpowiedzieli im miedziorytnicy ze swą manierą błyszczącą i elegancką. Tak powstała oddana w miedziorycie cała pełnia obrazów towarzyskich: owych poufałych scen z sypialni i buduaru, owych pasterzy i pasterek z ich owcami i kozami, biesiady sielskie, owe alegorye i sceny mitologiczne, w których Wenus i Amor odgrywają zawsze rolę główną.

I to jest charakterystyczne, że właśnie ta rozpasana wyobraźnia nie zadowalniała się już ryciną odbitą czernidłem na papierze białym; ona pożądała więcej, chciała barwy, pragnęła prawdy, bodaj szmin-

kowanej, i towarzystwa upudrowanego. Nie dziw więc, że miedzioryt musiał poszukać dróg, któremi idąc, mógł był sprostać zadaniu.

Powtórzyło się też znowu to samo, co w czasach Odrodzenia tj. idąc za wzorem kartowników lub kolorystów *(Briefmaler)*, zaczęto kolorować odręcznie sztychy, następnie nakładać zapomocą wiszorów na płyty miedziorytów rozmaite farby, i odbijać. Był to już na razie ważny krok naprzód do celu, którym było dostarczać wielobarwnych rycin wprost zapomocą prasy, bez współudziału ręki artysty.

Takie odciski płyt malowanych stanowiły na tegorocznej specyalnej wystawie wiedeńskiej rycin kolorowych kolekcyę nader bogatą, podzieloną według rozmaitych metod wykonania na 5 działów: Z rytowanych na miedzi rylcem dzieł z tego rodzaju są piękne prace Piotra Schenka z Amsterdamu i Francuza Roberta Gaillarda.

W podobny sposób kolorowane były akwaforty Wyngaerda, Zenghersa lub Leopolda.

Między *mezzotintami (manière noire)* kolorowemi przeważają angielskie. Świetnym jest portret *lady* Karoliny Montagu, dzieło J. R. Smitha, albo kolorystyczny, miękki i jasny „Targ ptastwem“ Richarda Earlom, lub wreszcie z niezwykłem poczuciem światłocienia o pysznem tle „The Duchess of Devonshire and Lady Georgiana Cavendish“ przez Irlandczyka G. Keating. Nie bez wdzięku w kolorycie lekkim i przejrzystym są mezzotinty James Ward'a lub o delikatnej karnacyi i wilgotnym kolorycie Wiliama Barnard.

Między mezzotintami z płyt malowanych zajęła nas żywiej jeszcze jedna, mianowicie z podpisem „Paul I. donne la Liberté au General Kościuszko“, James'a Daniell'a, podług H. Singleton, z adresem J. Daniell, London 1798.

Dział rycin kolorowych, wykonanych metodą angielską kropkowania, był najliczniejszym. Wśród wielu imion angielskich pierwszeństwo należy się malarzowi i sztycharzowi *Francesco Bartolozzi* (ur. we Florencyi 1727, zm. w Lizbonie 1815), który w Anglii nabył techniki sztycharskiej, która mu zjednała imię i majątek. Wpływ jego talentu był bardzo znaczny, choć jednostronny, a to przez wyłączne protegowanie maniery, że tak powiemy, słodkiej, pozbawionej tej siły i charakterystyki, jaką odznaczały się inne metody. W zebranych na wystawie wiedeńskiej licznych jego kolorowanych pracach, przejawia się w kolorycie ta sama cecha, która go znamionuje w czarnych sztychach. Można powiedzieć, że jego paleta sztycharsko-malarska

pozostaje w tym stosunku do natury, jak marzenie do rzeczywistości; to też w pełnym poezyi i lekkości sztychu według Wiliama Petersa: „Anioł unoszący w rajskie dziedziny duszę dziecięcia“, w przedmiocie tak odpowiednim jego manierze, mimo skromnej skali barw, stworzył rzecz arcypiękną: Na przejrzystem i lekkiem tle *vert de mer* unoszą się postacie jasne i smętne, jakby chuchnięte w przestrzeń powietrzną, przy zestawieniu nadzwyczaj trafnem koloru szat białego, szarego i fioletowego, który stopniowo posuwa plany w głąb, i rozlewa zarazem na całości poezyę i smutek. Stąd to pochodzi, że w alegoryach można Bartolozziego podziwiać, w portretach zaś czuje się cały niedostatek i jednostronność wybitnego talentu.

Bartolozzi nie pozostał bez wpływu i to znacznego na rytownika, który przebywał w Polsce i rytował wiele rzeczy polskich, Fryderyka Johna, którego jednakowoż zraził do siebie cierpkiem obejściem. W zbiorach p. Wł. Bartynowskiego w Krakowie znajduje się piękny sztych kolorowy Johna z portretem owalnym Kościuszki podług Grassiego, znany z późniejszego odbicia u Stökla w Wiedniu, a zdaje się, że pierwotnie odbity jeszcze za pobytu Johna w Warszawie, tj. przed majem 1792 roku.

Bartolozzi wytworzył w Londynie szkołę, lecz żaden z jego uczniów i naśladowców, których widzieliśmy na wystawie, nie dorównywa swemu mistrzowi, są jednak między nimi tacy, którzy widocznie usiłują się otrząść z jego ujemnych stron i wpływów. Giovanni Vendramini swem „The Pover of Love“, podług Pellegriniego, stworzył rzecz prawdziwie piękną, odznaczającą się kolorytem ciepłym i delikatnym, jak i silnym modelunkiem. Thomas Gaugain silnemi retuszami na gotowym już oddruku wydobywa siłę kolorystyczną, której brakło mistrzowi. Zajmuje nas tem bardziej, że znane są jego dwa wielkie sztychy z r. 1801 z płyt kolorowanych, podług rysunku Aleksandra Orłowskiego (w zb. p. W. Bartynowskiego), z następującemi podpisami: *Kościuszko et les Nobles Polonois obtiennent leur liberté par la générosité de l'Empereur Paul I.*, a pod następnym: *Paul I. Empereur de toutes les Russies, honore Kościuszko d'une visite dans sa prison.* Wreszcie imiona Ch. Knight, T. Burke, Sigmund, Facius i John Condé budzą więcej interesu. Gdy Bartolozzi ma więcej w sobie kobiecości, niż siły męskiej, naturalnym tego będzie wpływem, że w sztycharce Karolinie Watson znajdziemy jego wierną naśladowczynię.

Na niższym stopniu, w porównaniu z angielskimi, stoją wykonawcy francuscy tejże metody. Zjawiają się jednak i tu artyści ze smakiem

wybrednym, że wspomnimy: śliczną „Psyche“ Rollanda, której nagie ciało fruwa na tęczowych skrzydełkach, jest ona jasną i lekką jak tchnienie, — lub przepięknego „Amorka śpiącego w szklannej czarze winnej“ z intytulacyą *A la Volupté*, którego leciuchno i wytwornie koloryzuje Joseph Mecou według Laurent.

Obowiązkiem jest naszym wymienić jeszcze imię Dawida Weissa, rytownika (ur. r. 1775 w Strigno, w południowym Tyrolu, † w Wiedniu 1846). Rastawiecki wylicza prace Weissa z czasu pobytu jego w Wilnie. Na wystawie wied. spotkaliśmy dwa egzemplarze sztychu kolorowego z r. 1800, zatytułowane: *A Tea Garden*, i *St. James Park*, podług G. Morlanda. Talent jego, choć odznaczający się precyzyą w wykonaniu, nie wzmógł się ponad zwykły poziom. Również interesuje nas Antoine Cardon, którego sztych znalazł się na wystawie z przedstawieniem Kościuszki, spoczywającego na otomanie, podług R. Coswaya z roku 1798, na którym jedynie karnacya jest zaznaczona.

Akwatinty, odciśnięte płytami malowanemi, robią wrażenie zupełne akwareli zwykłej. Takie sceny z polowania, z retuszami po odcisku, Antoniego Suntach, przypominają nam żywo utwory farbą wodną naszego Juliusza Kossaka. Niema na wystawie prac Fryderyka Johna, którego akwatinty z r. 1791 wiążą jego imię z upamiętnieniem dnia 3-go maja.

III.

Zasługa wynalazku druku kolorowego zapomocą kilku klisz, do tego umyślnie przygotowanych, przynależy malarzowi i sztycharzowi *Jakubowi Le Blon* (ur. r. 1667 we Frankfurcie n. M., zm. 1741 w Paryżu), który po odbytych studyach w Zurychu i Paryżu, pracował z kolei we Włoszech, Holandyi i Anglii, ale dla wynalazku nie znachodził uznania; dopiero za przybyciem do Paryża los mu się uśmiechnął, otrzymał przywilej wyłączności, ale niestety zmarł niedługo tamże w szpitalu. Sztychy Le Blona liczą się do rzadkich i stosunkowo niewiele ich było na wystawie wiedeńskiej; między nimi są rzeczy różnej wartości artystycznej. Wykonane sposobem mezzotinty, to znaczy nie kreskami, ale w tonach od ciemnego do białego, jakby wiszorkiem, o miękkości aksamitu. Le Blon nie użył jako podkładu ryciny, farbą czarną odbitej, lecz jedynie trzech płyt dla kolorów zasadniczych, tj. niebieskiego, czerwonego i żółtego, jednakowoż przez prawdziwie mistrzowski układ otrzymał mnogą liczbę tint najrozmaitszych, podobnie jak malarz,

mieszając farby na palecie, tworzy rozmaite odcienia kolorów. Stworzył więc obraz z wyłączną pomocą płyt miedziorytniczych, których koloryzacya odbywała się już pracą mechaniczną, — dopiął więc celu, do którego zmierzano od początku wieku XVI.

Najpiękniejszym na wystawie wiedeńskiej, bo niezrównanem dziełem Le Blon'a, była kolorowa mezzotinta, przedstawiająca w owalu popiersie mężczyzny, pancerzem okrytego, w kostiumie francuskim XVIII. w. i peruce. Obok zaś zawieszony portret Rubensa, wielkości naturalnej, według Van Dycka. Obydwa portrety są tak pyszne, tak efektowne, szeroko po malarsku traktowane, znakomicie się modelujące, w karnacyi pełne życia, że mogą iść śmiało w porównanie z najlepszemi pastellami.

Mimo rezultatu tak świetnego, chociaż Le Blon zyskał wielu naśladowców, nie miał między nimi takich, którzyby go wiernie naśladowali i dorównali jego mistrzowstwu. Edouard Dagoty i jego synowie, Ladmiral lub Lasinio, popularyzują wynalazek Le Blona, naturalnie sposobem, który trafiał w gust wieku, a więc przez sztychy, na których przeważają postacie Wenery, Io, Ledy lub Bethsabei w kąpieli. Tematów takich pożądała społeczność ówczesna, a karnacya w tonach różowych była głównem usiłowaniem i polem popisu artysty.

Wskazanym przez Le Blona sposobem, lecz inną drogą, a mianowicie przez zastosowanie go do sztychów metody kredkowej *(manière au crayon)*, wynalezionej przez rytownika François—kreski i ziarnka miały naśladować w zupełności roboty kredkowe i pastellowe, tak wówczas protegowane. Użyto do nich kolorów: czarnego, czerwonego i białego, przez co efekt malarski był mniejszy w porównaniu z dziełami Le Blona. Piękne kobiety, o ślicznych częstokroć, żywych, zalotnych, choć pustych główkach i o pełnych kształtach, według typu, jakiego wzór pozostawił Boucher w niezliczonych swych pracach, stanowią niewyczerpane źródło, z którego czerpią owocześni artyści. Wzór tej techniki pozostawił rozgłośnej sławy Gilles Demarteau, naśladujący wiernie manierę Bouchera; w te ślady poszli Amstel, Marin, wynalazca złotego druku na miedziorytach, Bonnet ceniony i znakomity naśladowca pastelli, za którego egzemplarz sztychu owalnego Maryi Antoinetty płacono r. 1879 550 franków i t. p.

Wkońcu i *akwatinta* została zastosowaną do Le Blon'owskiego wynalazku, w której powtarzają się nazwiska już wymienione w poprzedniej metodzie.

Tyle co do kolorowych druków z miedziorytów przyniosła nam wystawa wiedeńska i nigdy podobno dotąd nie były one zebrane w takim komplecie i nigdy nie stworzono tak pełnego i jasnego obrazu ich rozwoju historycznego. Wartoby doprawdy i u nas pomyśleć o peryodycznych wystawach specyalnych z dziedziny historyi sztuki polskiej. Nowość taka, wprowadzona czy to przez Muzeum narodowe, czy Muzeum przemysłowe im. Baranieckiego, miałaby niewątpliwe powodzenie, jak przed laty wystawa portretów, i mogłaby przynieść znakomite rezultaty dla nauki polskiej. Wystawa sztuki graficznej lub specyalna rycin i obrazków religijnych polskich, dostarczyłaby niewątpliwie wskazówek cennych do naszych roztrząsań.

Na zakończenie zastanówmy się w kilku słowach nad obecnym stanem rycin kolorowych. Wynalazek Le Blona rozwiązał wprawdzie zadanie, lecz sprawy nie pchnął tak dalece naprzód, aby rycina kolorowa mogła być szeroko rozpowszechnioną i mógł być spodziewany jej dalszy rozwój. Temu na przeszkodzie stanął bardzo kosztowny sposób reprodukcyi, powód ten jednakże usunięty został w naszych czasach wynalazkiem autotypij bądźto cynkowych, bądź też miedzianych. Tani sposób preparowania klisz dozwala na użycie licznych barw i rokuje świetną przyszłość chromotypii. Jak z góry przewidzieć można, stanie się ona w niedługim czasie rywalem chromolitografii i to rywalem niebezpiecznym, wytrąci jej z ręki prawo pierwszeństwa, a warunkami swego artyzmu ją przewyższy, czyli, że drukarz w tem współzawodnictwie odniesie palmę zwycięstwa nad litografem.

Próby w tym kierunku wykonane za granicą, jak: *Tunis et ses environs*, par Charles Lallemand, *150 aquarelles tirées en couleurs*, wydane w Paryżu w *Maison Quatin* 1890 r., lub w publikacyi wiedeńskiej: *Die österr. Monarchie in Wort und Bild* i t. p., wykazały już zadawalniające rezultaty. W redagowanym przez p. Sarneckiego *Świecie* już od lat 4-ch widzimy zaczątki tego kierunku w mono- i bichromowych odbiciach cynkotypowych, a pierwszego odbicia polichromicznego cynkotypu u nas dokonała drukarnia *Czasu,* która do pięknego treścią i formą dzieła dra Stanisława Tomkowicza „Zabytki budownictwa Krakowa, I. Szpital św. Ducha“ — odtłoczyła piękne cynkotypy polichromiczne.

Leonard Lepszy.

Druk ukończony 28 lipca 1892 r.

SEKCIARSTWO W ROSYI[1].

Masonia — baronowa J. Krüdener — E. F. Tatarinowa — popowcy i bezpopowcy — sekta Paszkowa.

Nie będziemy tutaj zastanawiać się nad powstaniem schyzmy w schyzmie, czyli t. zw. *razkołu* w łonie Cerkwi prawosławnej. Musielibyśmy cofnąć się do połowy wieku XVII., nakreślić obraz stosunków politycznych, kościelnych i społecznych carstwa na schyłku okresu staro-moskiewskiego, przed reformami Piotra Wielkiego, a na tem dopiero tle przedstawić reformy kościelne patryarchy Nikona (od r. 1652—1658), tego najznakomitszego przedstawiciela klerykalnych aspiracyj hierarchii prawosławnej. Reformy na polu kościelnem poprzedzały okres reform politycznych Piotra Wielkiego; i jedne i drugie były wynikiem wpływów zachodnich, cywilizacyjnych: pierwsze szły pośrednio, przez Polskę i Kijów, do Moskwy, a potrzebę drugich odczuł reformator Rosyi wskutek zetknięcia się z kolonią cudzoziemską w Moskwie i w następstwie swych podróży po Europie. Najgorliwszymi wykonawcami i reform kościelnych i reform politycznych byli Małorusini z Ukrainy zadnieprskiej, wychowańcy szkół polskich, albo wychodźcy z ziem ruskich, pozostałych po traktacie andruszowskim pod panowaniem Polski. Najpierw patryarcha Nikon, a potem i Piotr Wielki znaleźli w nich najgorliwszych stronników i najstosowniejsze narzędzia ku zrealizowa-

[1] Por. zeszyty styczniowy i lipcowy.

niu swych pomysłów reformatorskich, o ile zwłaszcza ten ostatni musiał szukać punktu oparcia w żywiołach pokrewnych wiarą i językiem.

Opozycya przeciwko reformom cerkiewnym Nikona przybrała nazwę *razkołu:* opozycya przeciwko reformom polityczno-społecznym Piotra Wielkiego znalazła w *razkolnikach* najgorętszych zwolenników. Obie te opozycye czerpały swą siłę i warunki istnienia w żywiole rdzennie rosyjskim, a nawet w tych częściach Rosyi, gdzie pierwiastek rosyjski zetknął się z pierwiastkami mongolskiemi i takowe zasymilował. Oba te prądy opozycyjne wkońcu się zlały i przybrały wogóle charakter zarówno anty-cerkiewny, jak i antypaństwowy. Naturalnie, że z tej fuzyi wytworzyło się z czasem tysiące nowych kombinacyj o nadzwyczaj różnym charakterze, zaczynając od tych, co się różnią od Kościoła urzędowego drobnemi zewnętrznemi odmianami kultu i pisownią ksiąg kościelnych, jak *jedynowiercy,* aż do negujących istnienie Kościoła i państwa, a odrzucających najgłówniejsze podstawy ustroju społecznego. Jeżeli dodamy jeszcze późniejszy wpływ osadników niemieckich na południu Rosyi, w guberniach nadwołżańskich i w samym Petersburgu, dalej wpływ Żydów w Rosyi południowej i na Kaukazie, a wkońcu różnorodne prądy cywilizacyjne idące z Zachodu, jakim ulegało i ulega społeczeństwo rosyjskie, to będziemy mieli wyobrażenie o częściach składowych tego rozczynu, który wytwarza i różniczkuje ruch sekciarski w Rosyi.

Nie może być naszem zadaniem rozwijanie zasad i podstaw, na jakich się opierają pojedyńcze sekty i herezye rosyjskie, zwłaszcza, że przedmiot ten nie jest jeszcze dotąd należycie zbadany. Z tego powodu wypadłoby nam zadawalniać się częstokroć suchą nomenklaturą nazw, nic zgoła nie mówiących i nie przedstawiających poważnego interesu dla czytelników polskich. Zamierzamy tutaj przedstawić tylko ogólny obraz sekciarstwa wielko-rosyjskiego, pochwycić jego rysy charakterystyczne, odtworzyć ten straszny obraz zamętu religijno-moralnego, do jakiego może dojść społeczeństwo, stojące na nizkim stopniu rozwoju umysłowego, o instynktach nawpół dzikich, a pożądające

i szukające prawdziwej wiary i powagi w rzeczach kościelnych, lecz nie mogące ich znaleść w swym Kościele urzędowym.

I Kościół prawosławny i państwo prowadzą już od dwóch wieków z górą zaciętą walkę z sekciarstwem. Chwytano się przeciwko niemu wszelkich możebnych środków, wyczerpano całą ich skalę: od najsurowszych, iście barbarzyńskich, za Aleksego Michajłowicza, carówny Zofii i cara Mikołaja I., aż do szerokiej tolerancyi czasów Aleksandra I. *Razkolnicy* cierpieli i znosili wszystko z biernością właściwą naturze rosyjskiej. Niekiedy, przy sposobności, nie gardzili i udziałem w buntach. Ich to wyłącznem dziełem był bunt monasteru Sołowieckiego w r. 1668, Nikity Pustoświata w r. 1685, a uczestniczyli w buncie Stienki Razina, Strzelców i Puhaczowa. Państwo rosyjskie w walce z sekciarstwem wyczerpało cały swój arsenał środków prześladowczych. Że celu swego nie osiągnęło w zupełności, pomimo swych potężnych zasobów i niezmiernej władzy, to tylko jeden więcej dowód, że ingerencya jego w tego rodzaju sprawy rzadko kiedy pożądane skutki przynosi. Ale czy Cerkiew prawosławna spełniła w tej walce swe zadanie i użyła wszystkich swych zasobów — to kwestya wcale inna.

O ciemnocie i grubych obyczajach duchowieństwa prawosławnego w Rosyi można naczytać się wielu rzeczy ciekawych w opisach podróży, wychodzących z pod pióra cudzoziemców zwiedzających Rosyę, a jeszcze więcej usłyszeć anegdot od tych, którym okoliczności lub burze żywota dały sposobność bliższego, bezpośredniego zetknięcia się ze społeczeństwem rosyjskiem. Mniej wprawdzie jaskrawych, mniej drastycznych historyjek znajdujemy we wspomnieniach z przeszłości i pamiętnikach samychże Rosyan, chociażby tylko ze względu na cenzurę świecką i duchowną, ale za to tem bardziej charakterystycznych, rzucających daleko więcej światła na stanowisko hierarchii prawosławnej wobec własnego społeczeństwa. Przytaczane tam fakta mają dla nas tem więcej znaczenia, że pochodzą od świadków niepodejrzanych o jakąś nienawiść lub uprzedzenia polityczno-narodowej lub religijnej natury.

Na jeden z takich rysów znamiennych, ilustrujących wy-

bornie powody braku poważania dla kleru własnego w samemże społeczeństwie rosyjskiem i bezsilność hierarchii Kościoła urzędowego w walce z *razkołem*, chcemy zwrócić uwagę naszego czytelnika, zanim przejdziemy do dalszego ciągu opowiadania o sekciarstwie rosyjskiem nowszego autoramentu. — Gabryel Dobrynin, zajmujący stanowisko sekretarza przy archijereju siewskim (Siewsk w gubernii orłowskiej) Florinskim, opowiada w swej „Prawdziwej opowieści“ [1], że razu pewnego jego archijerej do tego stopnia upoił protopopa z Brianska, iż tenże uciekł do stajni archijerejskiej i tam wołał: „Arcypasterzu Boży! zmiłuj się! ja pić już nie mogę!“ Pop Sokołow ze wsi Karaczewska, znalazłszy protopopa w stajni, sądził, iż ten zwaryował „za sprawą djabła“, więc zaczął nad nim odmawiać modlitwy, celem wypędzenia złego ducha; widząc jednak, że modlitwy skutku nie odnoszą, poszedł do archijereja i rzekł: „Oto do czego, władyko święty, nauka doprowadza człowieka! ojciec protopop brianski, nie mogąc jej w głowie swej pomieścić, rozum utracił, i nie wiedzieć co mówi, a wygląda jako szalony“. Archijerej okazał się rozumniejszym od popa i prędko odgadł powody owego opętania przez złego ducha; czyś ty sam — rzekł do niego — nie stracił rozumu; do protopopa zaś posłał swego lekarza. Lecz tenże archijerej w innym wypadku, przy nawracaniu *razkolników*, pomimo „swych przyrodzonych zdolności“, pomimo „daru krasomówstwa“, okazywał niewiele więcej inteligencyi od wyżej wspomnianego popa. Oto w mieście Orle wystąpił w sobornej cerkwi z kazaniem przeciwko *razkolnikom*, a dla dodania siły i krasy swym naukom moralnym — jak się wyraża Dobrynin — uważał za stosowne zwać ich *sukinsynami* i plwać na nich przez tak zwany *nałoj* (rodzaj pulpitu), na którym leżały psałterz i ewangelie.

Tak wyglądały najwyższe szczeble hierarchii schyzmatyckiej w Rosyi u schyłku wieku XVIII., wieku filozofii, kiedy pod wpływem antyreligijnych tendencyj przeważnej części pisarzy francu-

[1] *Istinnoje powiestwowanie ili żiźń Gawriła Dobrynina, im samim pisannaja.* W trzech częściach. Petersburg 1872. Wydanie 2-gie. Str. 40—41.

skich zaczął w wyższych warstwach społeczeństwa rosyjskiego budzić się duch niewiary. Wpływ Woltera stał się dominującym, zaczynając od samej „wielkiej“ Katarzyny II. i jej dworu, aż do sekretarza archijereja siewskiego, Gabryela Dobrynina, z którego ustępy cytowaliśmy powyżej.

Wiek niewiary i grubego materyalizmu był zarazem w owoczesnej Rosyi wiekiem mistycyzmu i przesądów. Do walki z wybujałym wolteryanizmem wystąpiła tam masonia już około 1780 r., a jej główną cechą stał się mistycyzm. Najwięcej adherentów liczyła masonia rosyjska początkowo w Petersburgu. Następnie, wskutek ożywionej działalności literata Nowikowa, głównem jej ogniskiem stała się czasowo Moskwa. Za Aleksandra I. środek ciężkości masonii rosyjskiej przesunął się znowu do Petersburga, gdzie daleko silniej działały różnorodne prądy zachodnie. Z ogólnej liczby 30 lóż, jakie istniały w Rosyi, w czasach rozkwitu masonii, w samym Petersburgu było ich 12. Petersburg był też siedzibą naczelnej władzy tego towarzystwa. Oprócz tego po dwie loże były jeszcze w Moskwie i Rewlu, a po jednej w większych miastach prowincyonalnych. Za panowania Katarzyny II. żywioł arystokratyczny odgrywał główną, kierowniczą rolę w rosyjskich lożach masońskich, który następnie, za Aleksandra I., zaczął tracić na wpływie i znaczeniu. Czynownicy, nauczyciele, lekarze, wojskowi, kupcy, a nawet właściciele warsztatów rzemieślniczych zaczęli dostarczać lożom głównego kontyngensu. Było w nich przytem dużo cudzoziemców: emigrantów francuskich, petersburskich Niemców i Polaków. Przewagę miał jednak zawsze żywioł czysto rosyjski [1].

Prąd mistyczny z lóż masońskich przedostał się na zewnątrz i ogarnął szersze warstwy społeczeństwa rosyjskiego. Stało się to o tyle łatwiej, że masonia rosyjska pozornie nie zrywała z Cerkwią prawosławną, owszem zdawała się szukać w niej punktu oparcia [2]. Tak np. mason Ełagin, wyliczając książki, które masoni

[1] *Istoriczeskije Oczerki. Obszczestwiennoje dwiżenie pri Aleksandrie I.* A. N. Pypina. Petersburg 1871. Str. 340—341.

[2] *Nikołaj Iwanowicz Nowikow.* Iźledowanie A. Niezielonowa. Petersburg 1875. Str. 92—94.

czytać powinni, kładzie na pierwszem miejscu: Stary i Nowy Testament, Ojców Kościoła, jak Orygenesa, Euzebiusza, Justyna, Cyryla Aleksandryjskiego, Bazylego Wielkiego, Jana Złotoustego i t. d. Loże masońskie pomiędzy swymi członkami liczyły nawet popów. Chrystusa Pana zwały one z pewnym naciskiem swym mistrzem. W zasadzie jednak masonia rosyjska nie uznawała Cerkwi prawosławnej w jej stanie dzisiejszym, a wzdychała do czasów pierwotnych, apostolskich. Loże szczyciły się tem, iż stanowią jakby kontynuacyę owego Kościoła apostolskiego. Masonia rosyjska naśladowała niektóre zwyczaje i obrzędy cerkiewne: mawiano kazania i odbywano spowiedź publiczną wobec braci „zakonnej". W każdej loży stał ołtarz ofiarny, a na nim leżała Ewangelia. W „Instrukcyi, wydanej dla dyrektoryum, założonego w Petersburgu" (r. 1780), wyraźnie powiedziano, iż prałat winien starać się o to, aby w kapitułach, zależnych od dyrektoryum, odbywało się nabożeństwo w pierwszy piątek każdego miesiąca, według przepisów zakonnych, a wszyscy duchowni *(ecclesiastique)* winni uznawać nad sobą władzę prałata i takowej ulegać. Na ten ostatni punkt instrukcyi odpowiedzieli masoni rosyjscy, że w danej chwili mają w loży tylko jednę osobę stanu duchownego, ale, zdaniem ich, godność prałata może piastować i osoba świecka dobrych obyczajów. Na posiedzeniach lóż bracia zakonni miewali zwykle kazania na teksty, wzięte z Nowego Testamentu. Zresztą masonia nie zadawalniała się spadkobierstwem czasów apostolskich: nietylko Abrahama, ale i praojca Adama zaliczała w poczet swych założycieli, a masonowie rosyjscy okoliczności powyższe podnosili z większym, niż gdzieindziej, naciskiem.

Wszystko to silny wpływ wywierało na ogół inteligentny rosyjski, niezbyt mocny w zasadach wiary, a mało okazujący przywiązania do swego Kościoła urzędowego. Zresztą do sporów treści teologicznej są Rosyanie nadzwyczaj pochopni, którą to skłonność odziedziczyć musieli po swych praojcach duchowych, Grekach bizantyjskich. Jeżeli nawet osoby stanu duchownego ulegały pozorom prawowierności lóż masońskich i do nich wstępowały, tem silniej prąd mistyczny działał z nich bezpośrednio

lub pośrednio na koła towarzyskie stolicy, a stamtąd szerzył się coraz dalej, zataczał coraz to szersze kręgi. Na podobnym gruncie tem łatwiej przyjmowała się i propaganda pietystów, i kwakrów, i wpływy katolickie hr. Józefa de Maistre'a, a petersburska filia Towarzystwa biblijnego mogła się pochlubić niemałem powodzeniem.

Około hr. Józefa de Maistre'a, posła sardyńskiego w Petersburgu (od r. 1803—1817), grupowało się kółko osób ze sfer arystokratycznych i wojskowych, na które głośny autor zaczął silny wpływ wywierać. Jego zasadnicza myśl, iż rządy, których obowiązkiem wychowywać narody dla zadosyć uczynienia za grzech pierworodny, powinne być surowemi i absolutnemi — znajdowała zwolenników przedewszystkiem wśród tych, którzy nie byli zadowoleni z inklinacyj liberalnych Aleksandra I. Równocześnie z propagandą idei absolutnych przyjmowały się jego zasady katolickie, które padały na glebę, przysposobioną należycie przez reakcyę przeciwko skeptycyzmowi Woltera i materyalizmowi encyklopedystów z jednej, a przez prąd mistyczny, idący od lóż masońskich, z drugiej strony. Posiew katolicki w stolicy nadnewskiej nie poszedł całkowicie na marne. Dosyć tutaj wspomnieć nazwiska głośniejszych katolików rosyjskich, jak generałowa Zofia Swieczina (nawrócona w r. 1815) i jej małżonek, dalej książę A. Golicyn, jeden z książąt Mieszczerskich, literat Kołoszyn, zresztą OO. Jezuici: ks. Jan Gagarin, ks. Józef Martynów i ks. P. Pierling, aby nie wątpić, iż plon ten, przy sprzyjających okolicznościach, mógłby być o wiele bujniejszym i trwalszym, jak o tem nie wątpił i czego gorąco pożądał autor dzieła: *La Russie sera-t-elle catholique?*

Niemały wpływ na wrażliwy umysł Aleksandra I. — skłonny do mistycyzmu, a wstrząśnięty do głębi wypadkami, jakie za jego czasów rozegrały się w Europie — i na najbliższe otoczenie tego monarchy wywierały dwie kobiety różnego pochodzenia i stopnia wykształcenia: baronowa Julianna Krüdener i podpułkownikowa E. F. Tatarinowa.

Bar. Julianna Krüdener, pochodząca z rodziny kurlandzkiej

Vietinghof[1], rozwiódłszy się ze swym małżonkiem, posłem rosyjskim w Wenecyi, zaglądała dosyć często do Petersburga w swem życiu wędrownem pomiędzy stolicami Francyi i Rosyi. W swych poglądach religijnych zbliżała się ona do *herrnhutów*, obcowała dosyć często ze znanym mistykiem Jung-Stillingiem, a czuła się powołaną do głoszenia ewangelii prostaczkom i ubogim. Podczas pobytu w Paryżu, w r. 1814, urządzała w swym domu zgromadzenia religijne, na które uczęszczał Aleksander I. i odbywał, wespół z innymi uczestnikami, medytacye. Wpływ baronowej Krüdener widoczny był nawet w treści i tonie aktu „świętego przymierza". Zamiar zorganizowania nowej sekty pietystów spowodował odstawienie przez władze pruskie bar. Krüdener do Rosyi (w r. 1818), której odtąd nie opuszczała już aż do śmierci. Aleksander I. uległ w tymże czasie wpływowi innej kobiety. Bar. Krüdener, nie otrzymawszy pozwolenia na pobyt w obu stolicach państwa, osiadła na stałe w Rydze. A gdy po pewnym czasie, ufna w swe dawniejsze stosunki, przybyła bez zezwolenia władzy do Petersburga, wydalono ją stamtąd bez ceremonii. Pozbawiona możności osobistego zetknięcia się z carem, bar. Krüdener, wraz z córką i zięciem, radcą stanu Berkheimem, osiadła ostatecznie w Krymie, w celu utworzenia tam gminy, na podstawie własnych zasad religijnych. Zanim jednak zamiar swój zdołała doprowadzić do skutku, zmarła w r. 1824, w miejscowości Karasabasar.

Daleko większym wpływem w najwyższych sferach petersburskich mogła się pochlubić podpułkownikowa E. F. Tatarinowa, twórczyni nowej sekty za panowania Aleksandra I.[2] Stan umysłów ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego i samegoż monarchy sprzyjał powstawaniu nowych sekt w stolicy państwa, chociaż pojąć niepodobna, dlaczego i w jaki sposób taka pani Tatarinowa mogła pozyskać tylu adeptów. Ani ona sama, ani jej apostoł Fiedorów, muzykant z profesyi, nie odznaczali się takiemi właściwościami umysłu lub serca, któreby mogły pociągać ludzi

[1] J. G. Eynard. *Vie de Madame de Krüdener.* Paryż 1849. 2 tomy.
[2] *Russkij Wiestnik* z r. 1892. Artykuł W. Fuchsa.

wykształconych, a szukających prawdy i nowej drogi zbawienia. Tłumaczyć objaw ten można chyba tylko podatnością gruntu, na którym bujniej, niż gdzieindziej, rosły chwasty sekciarskie.

Kwakrowie, a wśród nich przedewszystkiem Wening, założyciel towarzystwa opieki nad więzieniami, znajdowali wówczas w Rosyi powszechne uznanie i sympatyę, czego dowodem niech będzie powodzenie, jakiem się cieszyły zakładane przez nich szkoły lankasterskie. Ich prawość, miłość ludzkości, skromność i prostota w obejściu się, ubraniu i całym wogóle trybie życia, miały dla społeczeństwa, lubującego się w zbytkach i używaniu, urok nieprzeparty. Zwolennicy p. Tatarinowej zaczęli w nauce kwakrów upatrywać pewne podobieństwo z niektóremi formami kultu chłystów, sekty czysto rosyjskiego pochodzenia. Budzenie „ducha proroczego“ przy pomocy melodyj rosyjskich pieśni ludowych było dla skłonnych do mistycyzmu umysłów — połączeniem treści obcego pochodzenia z formami narodowemi, idei kwakrów z kultem chłystów. Wyznawcy tej nowej sekty, aczkolwiek chętnie podnosili swą zasługę zbliżenia się do narodu, zwłaszcza do ludu wiejskiego, to jednak niezbyt ochoczo uznawali swe pokrewieństwo ze skopcami lub chłystami, a natomiast szukali genezy swych doktryn u kwakrów angielskich i trembleró w francuskich wieku XVIII.; a wpływ Tatarinowej na pewne wysoko postawione i wpływowe w rządzie i na dworze figury porównywali z wpływami p. de la Mothe Guyon[1], tej arystokratycznej przedstawicielki mistycznego kwietyzmu z czasów L. dwika XV., pod której urokiem pozostawał przez czas pewien nawet znakomity Fenelon, jak tego dowodem jego *Explication des maximes des Saints sur la vie intérieure.* Nie ulega zatem wątpliwości, że kółko Tatarinowej było odbiciem mistycznych objawów zachodnich, przybranych w rodzime formy sekty chłystów. Pojęcia te i uczucia zapożyczono u illuminatów, martyni-

[1] Joanna Marya Bouvières de la Mothe Guyon była, podobnie jak Michał Molinos, krzewicielką kwietyzmu. Poznawszy się z Fenelonem w Paryżu, nabrała ochoty do pisania i wydała kilka dzieł treści teologicznej, które ściągnęły na nią liczne prześladowania. Więziona przez lat kilka w Bastylii, zmarła na wygnaniu w Blois.

stów i masonów. Różnica w tem się tylko objawiała, że chłysty układali i śpiewali swe hymny na modłę staro-rosyjskich pieśni ludowych, a zwolennicy Tatarinowej — trzymali się wersyfikacyi Łomonosowa i Dierżawina, albo tłumaczyli poetów religijnych angielskich, francuskich i niemieckich. Ale formy obrzędowe sekty p. Tatarinowej były chłystowskie: na zgromadzeniach swych rozbierali się, kręcili się w kółko, wzywali Ducha Św., a gdy to, w mniemaniu ich, nastąpiło, jeden z obecnych występował w roli proroka.

Porównaliśmy powyżej wpływ p. de la Mothe Guyon na wyższe warstwy społeczeństwa francuskiego z wpływem podpułkownikowej Tatarinowej. Ale zachodziły pomiędzy niemi i znaczne różnice. Jakkolwiek zarozumiałość pierwszej, iż jest powołaną do spełnienia ważnej misyi religijnej, Kościół nasz potępił, to jednak biskupi francuscy, zgromadzeni w r. 1700, wyrazili się z uznaniem dla jej cnoty i czystości obyczajów; wyznawcy zaś zasad rosyjskiej twórczyni sekty nie szli tak daleko, aby fizyczną czystość ciała uważać za ideał moralnej doskonałości.

Liczba osób, uczęszczających na zgromadzenia E. F. Tatarinowej, pomiędzy rokiem 1817 a 1821 była bardzo znaczną. Mieszkała ona wówczas w t. zw. zamku Michajłowskim, a cieszyła się wysoką protekcyą cara Aleksandra I. Z pośród możnych i wpływowych osób najwięcej względów okazywał Tatarinowej książę Al. Golicyn. W jej mieszkaniu zgromadzenia sekciarzy odbywały się zupełnie otwarcie, a zgromadzeni „skupiali ducha“ przy dźwiękach muzyki. W jednej ze sal tego zamku pozostał dotąd jeszcze na suficie wizerunek Ducha Św. w postaci gołębia. Przechował się również i zbiór pieśni, któremi wzywano na obecnych zstąpienia Ducha Św. Jedna z nich, używana dotąd w rytuale chłystów, zaczyna się od słów: „Daj nam, o Panie, daj Jezusa Chrystusa!“ Po roku zaś 1821 — kiedy Aleksander I. zaczął zwolna leczyć się z mistycyzmu religijnego, a ze swych inklinacyj liberalnych, po kongresach: w Opawie i Lublanie — liczba uczestników tych zgromadzeń zmniejszała się nieustannie, wkońcu zeszła na 15 osób, a udział w nich stawał się celem

żartów i szyderstw. Pomimo, że władze rządowe niechętnie spoglądały na te zgromadzenia, to jednak p. Tatarinowa nie utraciła od razu osobistych względów monarszych. Chociaż nakazano jej opuścić bezpłatne mieszkanie w zamku Michajłowskim, będącym własnością skarbu, przyznano natomiast dożywotnią pensyę. Tak pozostało do końca panowania Aleksandra I. Po wstąpieniu na tron Mikołaja I., policya zaczęła śledzić bacznie za temi zgromadzeniami, które odbywały się następnie w mieszkaniu najżarliwszego zwolennika p. Tatarinowej, muzykanta Fiedorowa. W roku zaś 1837 i samą p. Tatarinowę i jej adherentów wysłano z Petersburga do rozmaitych monasterów na pokutę. Dopiero w 1848 r. pozwolono jej zamieszkać w Moskwie, bez prawa odwiedzania drugiej stolicy państwa.

Sekta przez nią utworzona nie zaginęła jednak całkowicie. W r. 1849 odkryto w Petersburgu schadzki t. zw. „adamitów“, pomiędzy którymi znaleziono wielu takich, co w latach 1817 i 1837 bywali na zgromadzeniach u p. Tatarinowej [1].

Przechodząc do przeglądu sekt czysto rosyjskiego pochodzenia, wyrosłych z głębin ducha narodowego, bez obcego potrącenia i wpływu, winienem zaznaczyć, że pod słowem razkoł i razkolnicy rozumieć należy tych wszystkich, którzy w ciągu

---

[1] Liprandi. „Krótki przegląd istniejących w Rosyi razkołów, herezyj i sekt, ze względu na ich znaczenie religijne i polityczne“. Lipsk 1883. Na str. 41. *(Kratkoje obozrenie suszczestwujuszczich w Rossii razkołow, jeresiej i sekt kak w religioznom tak i w politiczeskom ich znaczenii).*

Liprandi był urzędnikiem do spraw sekciarskich przy ministeryum spraw wewnętrznych, kiedy ministrem był hr. Leon Perowskij (1841—1852). Po wielu staraniach udało się ministrowi uzyskać pozwolenie na zbadanie tajnych archiwów dla spraw sekciarskich. Czynność tę powierzono Liprandiemu. Zbadał on — jak sam powiada na str. 73 — więcej niż 10.000 spraw, odnoszących się do razkołu, od początków jego istnienia do wstąpienia na tron Katarzyny II., przechowywanych dotąd w tajnem archiwum państwa przy senacie w Moskwie lub pozostałych po t. zw. Prikazie (urzędzie) Preobrażeńskim. Dalsze zaś dzieje razkołu badał: z tajnego archiwum moskiewskiego generał-gubernatora i innych tamecznych urzędów; z tajnego archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu i wszystkich innych tamecznych archiwów rządowych. Cytowana powyżej praca tego autora ma zatem niepoślednią wartość do dziejów razkołu.

ostatnich dwóch wieków odpadli od Cerkwi urzędowej, a więc jej dysydentów. Historycy Kościoła prawosławnego dzielą ich na dwie grupy: popowców i bezpopowców, a ukaz carski z dnia 3 maja 1883 r. — na nieszkodliwych i szkodliwych. Oczywiście, iż tylko popowców zaliczono do sekt nieszkodliwych. Każda zaś z tych grup dzieli się na różnorodne, nadzwyczaj liczne kierunki *(tołki)*.

Cechę charakterystyczną grupy pierwszej, mającej popów bądź z ramienia prawosławnej władzy duchownej *(jedynowiercy)*, bądź z ramienia władzy administracyjnej, stanowi to, iż należący do niej sekciarze oczekują zbawienia w życiu przyszłem od ścisłego przestrzegania przepisów, zwyczajów i obrzędów swej wiary; od trzymania się starych ksiąg, ikon i naczyń kościelnych. Szukając tylko zbawienia dusznego, nie zajmują się wcale teraźniejszością i nie marzą bynajmniej o doczesnych tryumfach zasad swej wiary. Dla tej to okoliczności sekty grupy popowskiej doznawały szerokiej tolerancyi za Aleksandra I., większej *de facto*, niż *de jure* za Aleksandra II., a nawet korzystają z niej i za obecnego panowania w takiej mierze, jak katolicy w ziemiach litewsko-ruskich. Punktem środkowym, jakby metropolią wszystkich sekt popowskich, jest cmentarz Rohożski w Moskwie *(Rogożskoje kładbiszcze)* i cerkiew przy nim. O tyle tylko rząd dzisiejszy zalicza niektóre kierunki tej grupy do szkodliwych dla państwa, o ile popi ich otrzymują święcenia od hierarchów, mieszkających poza granicami Rosyi: w Austryi lub Turcyi. Nadzwyczaj bacznie śledzą władze administracyjno-policyjne za stosunkami popowców z metropolitą, rezydującym w Białejkiernicy *(Fontina Alba)* na Bukowinie. Archimandrytę Gieroncyusza, wyświęconego na Bukowinie, aresztowano w Moskwie w r. 1848, a sprawę metropolii białokiernickiej uczyniono wówczas przedmiotem korespondencyi dyplomatycznej z Wiedniem. Popowcy mieszkają najgęściej w Besarabii, a z gubernij polskich: w kijowskiej, podolskiej i mohilewskiej, gdzie się jednak nie mogą poszczycić zbyt pochlebną reputacyą, zajmując się przedewszystkiem kradzieżą koni. Zjazdy sekciarzy popowskich odbywają się dosyć często w Besarabii i na Podolu rosyjskiem. Dla zja-

zdów ze swymi współwyznawcami z Rumunii, Bułgaryi, Turcyi i Austryi obierają zwykle rumuński Gałacz.

Najskrajniejszą w grupie popowskiej jest sekta *fieodosiejewców*, stanowiąca jakby ogniwo pomiędzy nią a grupą bezpopowców i najczęściej zaliczana do sekt szkodliwych. Głównem jej ogniskiem jest cmentarz Preobrażeńskij w Moskwie, przy którym zbudowano zakład dobroczynny i cerkiew *Uspenia (Dormitio)*. Cerkiew stoi na tem miejscu, gdzie podczas dżumy w Moskwie, za panowania Katarzyny II., zamordowano metropolitę moskiewskiego Ambrożego. Ognisko to życia religijnego nazywają *fieodosiejewcy* swym Syonem, swą Jerozolimą.

O sekcie tej dowiedziano się bliższych szczegółów z wykładu jej wiary, kazań i innych papierów, które metropolita moskiewski Filaret przesłał św. Synodowi w piątem dziesięcioleciu naszego wieku. Była tam notatka następująca[1]: Popów — niema; spowiedzi i śś. Sakramentów — niema; chrzest odbywać i słuchać spowiedzi winni przełożeni gmin; małżeństw — niema, wzbroniony tylko jawny nierząd; przy wyniesieniu na tron dzisiejszych carów obecni są szatani; modlić się za cara jest „tradycyą wstrętną Bogu“ i „obrzydliwym obłędem“, albowiem „gdy wiara prawdziwa, to i car prawdziwy, a gdy wiara nieprawdziwa, to i car nieprawdziwy“.

Fieodosiejewcy dosyć zręcznie unikali i dotąd unikają prześladowań ze strony rządu, dzięki swej giętkości, zręczności, znajomości praw i szczególniejszego daru pozyskiwania protekcyj, przy pomocy oczywiście dobrze znanych w Rosyi środków. W razie zaś dostania się w ręce policyi i poniesienia kary, zwykli przed swymi współwyznawcami powtarzać w pokorze: „dźwigamy krzyż nasz“, lub „zdobywamy wieniec męczeński“.

Sekta *fieodosiejewców* należy do najwpływowszych, najbogatszych i najliczniejszych. Według obliczenia Liprandiego, już przed 40 laty było ich około miliona. Aby dać wyobrażenie, jak się różniczkują sekty rosyjskie, wymienię tutaj odmiany samej tylko sekty *fieodosiejewców:* 1) morelszczyki, z których wy-

[1] Liprandi, str. 51.

tworzyła się najpierw sekta 2) palących się własnowolnie *(samosożigatieli)*, a potem 3) łączących się z Chrystusem czyli samobójców, którzy albo sami sobie odbierają życie, albo proszą o to innych słowami rytualnemi: „połącz, ojczeńku, z Chrystusem!“; inni, a mianowicie 4) filipowcy, wymawiają w takich razach słowa: „pozwól upodobnić się Filipowi (założycielowi sekty), aby uniknąć niewoli Antychrysta!“ i z największym spokojem kładą głowy pod topór [1].

Ogólna ilość wyznawców grupy popowskiej wynosiła w roku 1853 — według zapewnień samychże popowców — więcej niż 4 miliony, a w tej liczbie $^1/_4$ *fieodosiejewców*. Według Liprandiego, który stosunki sekciarskie w Rosyi badał z ramienia i upoważnienia rządu, cyfry, podawane przez sekciarzy, są zwykle wiarogodniejsze, niż daty statystyczne władz cerkiewnych i administracyjnych. Na dowód przytacza następującą okoliczność [2]. Hr. Leon Perowskij, minister spraw wewnętrznych od r. 1841—1853, postanowił obliczyć, bez względu na koszta, ilość sekciarzy w trzech tylko guberniach: jarosławskiej, kostromskiej i niżegorodzkiej, gdzie ich stosunkowo najwięcej. W tym celu wydelegował do tych gubernij trzech urzędników z jak najszerszemi pełnomocnictwami. Z ich obliczeń okazało się, że liczba sekciarzy była tam dziesięć razy większą od cyfr, podawanych w sprawozdaniach władz gubernialnych i konsystorzy archijerejskich.

Przejdźmy teraz do grupy bezpopowskiej, uważanej dotąd za szkodliwą, a doznającej, zwłaszcza za rządów Mikołaja, srogiego prześladowania, którego pełnej grozy obraz nakreślił ś. p. Melnikow, literat piszący pod pseudonimem Pieczarskiego. Sekt w tej grupie, a w każdej z nich odcieni — moc wielka; liczbę należących do niej podaje Liprandi w r. 1853 na pięć milionów. Wszystkie one są wytworem dowolnego pojmowania i komentowania nietylko Pisma św., ale tradycyj i nauk przełożonych i nauczycieli swych gmin wyznaniowych. Każde kółko, każda gmina ma swego proroka, któremu okazuje cześć niezwykłą i święcie wierzy jego słowom. Każdy wędrujący współwyznawca,

[1] Tamże, str. 17. [2] Tamże, str. 25.

jeżeli tylko nie zbywa mu na ochocie i uzdolnieniu do przemawiania, może przemawiać. Proroctwa ich wypływają z dowolnego tłumaczenia pewnych ustępów Pisma św., a zwłaszcza ksiąg Apokalipsy. Wszyscy oni oczekują przyjścia „prawdziwego proroka“, „Boga żywego“, ze Wschodu (niektórzy oczekują go z Irkucka w Syberyi), który zburzy Cerkiew prawosławną i wypędzi Antychrysta. Że tym Antychrystem jest nie kto inny, tylko car, to rzecz powszechnie znana.

Przeważna część sekt bezpopowskich za cara wcale się nie modli[1]. Niektóre z nich żadnej władzy nie uznają: „ani cara, ani kniazia“; dla nich „Cerkiew nie jest matką, a car głową państwa“. Według ich twierdzenia, Cerkiew prawosławna jest „gniazdem wężowem“, „istną szatańską, albo biesową najobrzydliwszą bramą“; prawosławni carowie rosyjscy są „rogami żmii“, „kontynuatorami królestwa Antychrysta“, który zdobył sobie panowanie nad światem w osobie Piotra Wielkiego. Urzędnicy państwowi noszą nazwę „czarnych kruków“. Duchowieństwu i wyznawcom Kościoła panującego nie skąpią epitetów w rodzaju następujących: „Żydzi i faryzeusze“, „niegodziwi złoczyńcy“, „dzikie zwierzęta“. Na nich wszystkich wzywają sądu Bożego, a o ich zniszczenie modlą się nieustannie. W przekonaniu niektórych sekt bezpopowskich, niezależnie od obecnie panującego, nieprawowitego monarchy, istnieje drugi prawowity, ale doznający ucisku i prześladowania. Z tego widzimy, jak głęboko, w pewnych warstwach społeczeństwa rosyjskiego, tkwią sympatye dla samozwańców przyszłości. Puhaczew, uchodzący za Piotra III., znalazł w razkolnikach najgorętszych stronników, a jeżeli niektórzy popi prawosławni nie chcieli się modlić za jego małżonkę, Justynę Niceforównę, „prawowierną monarchinię“, to li tylko dlatego, że „jeszcze nie było na to ukazu św. Synodu“. Gdy za panowania Mikołaja I. rozeszła się była pogłoska, że poddani z dóbr pańskich mogą się przesiedlić nad Syr Daryą, do Turkiestanu, masy chłopów nadwołżańskich mniemały, iż mają przejść pod berło w. ks. Konstantego, chociaż ten

[1] Tamże, str. 57 i 58.

już od lat wielu nie żył. Jakim jest stosunek sekt tej grupy do dzisiejszego państwa, najlepiej wyjaśnić może następująca okoliczność. Wysłańcy niektórych sekt bezpopowskich, przybywszy na synod do Moskwy w r. 1847, czynili wobec delegatów innych sekt wyrzuty *fieodosiejewcom,* że się sprzeniewierzyli nauce Chrystusowej, okazując posłuszeństwo władzy, chociaż *fieodosiejewcy* wcale nie należą do jej żarliwych stronników [1]. W bezpopowcach widzimy przeto objaw szlachetniejszej strony ducha narodowego rosyjskiego, protest poczucia godności ludzkiej przeciwko samodzierżawiu i apoteozie władców Rosyi.

(Dok. nast.).

A. Szarłowski.

[1] Tamże, str. 18 i 19.

KILKA UWAG

O RELIGIJNEM WYCHOWANIU MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

(Dokończenie).

3. Stowarzyszenia czyli bractwa religijne. Przez bractwa religijne rozumiemy stowarzyszenia powstałe na łonie Kościoła katolickiego, mające na względzie szczególny jakiś cel religijny, więc np. bądź wykonywanie pewnej cnoty chrześcijańskiej, bądź wspólne przez członków stowarzyszenia odmawianie modlitwy, lub wspólny udział w pewnem nabożeństwie. Kościół te stowarzyszenia zatwierdza i obdarza odnośnie do celu rozmaitemi dobrodziejstwami i przywilejami duchownemi, w szczególności pewnemi odpustami. Przez nie słudzy Kościoła wykonywają łatwiej swój urząd pasterski, wierni uwydatniają wybitniej swoje należenie do Kościoła. Liczba tych bractw i ścisłość w wykonywaniu przez członków bractwa przyjętych dobrowolnie zobowiązań, świadczy wymownie bądź o rozbudzonem już życiu religijnem, bądź staje się potężną dźwignią do obudzenia takiego życia. Bractwa religijne są przeto ściśle związane z celem i istotą Kościoła, w historyi Kościoła miały zawsze swą piękną kartę i wielkie znaczenie, a wspaniałe dzieła miłości chrześcijańskiej i rozlicznych cnót przez nie w kolei wieków, łącznemi siłami stowarzyszonych dokonane, nie dadzą się nawet wyliczyć. One stanowiły zawsze i stanowić będą najpiękniejszy kwiat na drzewie Kościoła katolickiego, jego najprzedniejszą ozdobę i chwałę.

Katecheta, który pod pewnym względem urząd pasterski odnośnie do najmłodszej latorośli Kościoła, a przyszłej jego chluby sprawuje, nie może w gorliwem spełnianiu swego urzędu obojętnie się zachować wobec tak potężnego środka, ku obudzeniu życia religijnego wybornie przydatnego. On, który ma młodzież do życia religijnego zaprawiać, na którego barkach przeważnie słodki ciężar wychowania religijnego spoczywa, musi koniecznie zaznajomić i wdrożyć poruczoną sobie młodzież do tego życia nie inną drogą, jedno tą, jaką zawsze kroczył Kościół, a więc obok innych środków, także przez zalecanie i zakładanie stowarzyszeń o celach wyłącznie religijnych wśród młodzieży szkolnej.

Wszak ucząc katechizmu, musi już mówić młodzieży o bractwach, ich istocie i zadaniu, a jak wszędzie, tak i w tej materyi, zastosowanie czyniąc praktyczne, wskazać winien, jakiego rodzaju bractwa są dla młodzieży, jego duchownej pieczy poruczonej, odpowiednie, i najwięcej rokować mogą pożytku. Jego więc obowiązkiem będzie bądź takie bractwa zakładać, bądź wskazywać młodzieży, gdzie je najsnadniej może znaleść, w każdym razie świętym będzie jego obowiązkiem kapłańskim zachęcić do nich, wezwać i pouczyć o korzyściach duchowych z nich płynących. W tem wykonywaniu swego urzędu nie może doznać uszczuplenia ani skrępowania; owszem wszelka zwierzchność, której tylko szczerze zależeć będzie na religijnem prawdziwie wychowaniu młodzieży, powinna go usilnie wspierać w dokonaniu tego zadania, jakie właśnie w bractwach religijnych, jako w środku najbardziej wypróbowanym, zawsze Kościół upatrywał. To też biskupi austryaccy w rzędzie uchwał, zmierzających do podźwignienia wśród młodzieży szkolnej życia religijnego, tę także powzięli na wspólnej konferencyi komitetu, odbytej dnia 4 marca 1891 w Wiedniu, iż *należy dążyć do zaprowadzenia w szkołach stowarzyszeń kościelnych i konfraternij*[1]. Jakoż w istocie, niepodobna nawet doszukać się powodu, dlaczegoby tego rodzaju stowarzyszenia miały być dla młodzieży szkolnej niedopuszczalne,

[1] Zoeller, l. c. str. 58. „Die Einführung kirchlicher Vereine und Confraternitäten wäre anzustreben".

dlaczegoby katecheta w tym dziale swej pracy duchownej miał być krępowanym. Ustaw żadnych, wydanych przeciw nim ze strony naczelnych władz szkolnych, w ścisłem tego słowa znaczeniu, niema wcale. Te, na które się przeciwnicy tego rodzaju konfraternij powołują, wydane zostały w dawnych czasach i odnosiły się wyłącznie do stowarzyszeń o celach politycznych. Takich przecież nie mają bractwa religijne, nieufności do nich żywić pod tym względem nie można. Nikt też rozumny nie będzie podejrzywał kapłana, kierującego kongregacyą, by się w politykę bawił, hasła socyalistyczne głosił. Że kilku gazeciarzy, zabarwionych liberalizmem a nawet propagujących głośno socyalizm i anarchię, nie zawaha się bezpodstawnie rzucić na nie podejrzenia, jadem złości i niechęci dotknąć te instytucye od Kościoła zależne a ich mrzonkom i tendencyom wrogie, któż się temu, znając rzecz jasno, dziwić będzie? Przeciwnie, kto choćby jedną taką religijną kongregacyę pozna dobrze, — bez uprzedzenia jej działalności się przypatrzy — ten tylko przyklasnąć musi zdrowej dążności, ten chyba szczerze życzyć sobie będzie, by młodzież do nich jak najliczniej wcześnie była zaprawianą. Zresztą, jeżeli młodzież i dziś należeć może do towarzystw łyżwiarskich, pływackich, gimnastycznych i t. p. służących do rozwoju sił fizycznych: dlaczego, pytam, miałby jej być przystęp tamowany do stowarzyszeń, mających na względzie rozwój sił duchowych, kształcących i wzmacniających władze duszy do wykonywania cnót chrześcijańskich?

To też słuszną odprawę otrzymał poseł Pernerstorfer z ust hr. Stadnickiego i prof. Straszewskiego i Kathreina, kiedy podżegany przez socyalistyczne, a Kościołowi wrogie niektóre pisma lwowskie, powstał w sesyi jesiennej zeszłorocznej Rady państwa przeciw działalności kongregacyi Maryańskiej. Wobec tego niezwykłe zdziwienie wywołało polecenie Rady szk. kraj. Lwowskiej poufnie ogłoszone dyrektorom niektórych zakładów naukowych, by się postarali o wykreślenie uczniów swoich z wyż wspomnianych kongregacyj. Miałożby tego rodzaju polecenie świadczyć o rozgłośnie powtarzanej wolności Kościoła, o deklamowanej nawet z trybuny poselskiej swobodzie duchowieństwa i dosta

tecznym wpływie biskupów na tok wychowania religijnego młodzieży? Zapewne, że krajowa Rada szkolna, ciesząc się pełną autonomią co do szkolnictwa ludowego, skrępowaną jest natomiast szeregiem całym ustaw i zastrzeżeń ministerstwa wyznań i oświaty co do szkół średnich, i rozporządzenia swe do ducha ustaw państwowych stosować musi. Wszelako spodziewaćby się należało, że i ustawy państwowe w państwie katolickiem powinny być zgodne z duchem i urządzeniami Kościoła katolickiego. Albo, albo. Albo ten Kościół cieszy się głoszoną powszechnie wolnością, natenczas należy mu zostawić swobodę co do sposobu kierowania religijnego młodzieżą, spełnianego przez katechetę, jako sługę Kościoła, w myśl zarządzeń przełożonej władzy biskupiej i w duchu Kościoła; albo nie trzeba deklamować o rzekomej wolności, jeżeli jej dostatecznie rozwinąć nawet w tak drobnych, podrzędnego znaczenia zarządzeniach, wzbraniają jakieś przestarzałe, dziś zastosowania nie mające, ustawy i rozporządzenia państwowe. Albo kongregacya dana jest złą, w takim razie zakaz będzie słuszny, ale wykazaćby należało, na czem właściwie zła jej strona polega; albo jest dobrą, wówczas wstąpienia do niej nietylko wzbraniać się nie godzi, ale owszem w dobrze zrozumianym interesie moralnym młodzieży życzyć sobie należy najliczniejszego jej przystępowania. Tytuł ten, że młodzieży w ogólności należenie do jakichkolwiek stowarzyszeń jest wzbronione, nietylko ze stanowiska kościelnego i moralnego nie wytrzyma krytyki, ale nadto znajdzie odparcie w powszechnie notorycznym fakcie, wyżej już przytoczonym, że młodzież należy do stowarzyszeń różnych, mających na celu fizyczny rozwój. Czyżby tylko religijne miały być zakazane?

Zresztą duch czasu doradza, a nawet domaga się zakładania takich stowarzyszeń. Żyjemy w czasach, kiedy stowarzyszenia o tysiącznych celach ustawicznie powstają. Wszystkie warstwy szukają w nich oparcia. Pocóż zamykać młodzieży przystęp do religijnych, jeżeli słuszna powstaje obawa, by porwana wirem czasu, nie dała się natomiast wciągnąć w odmęt stowarzyszeń socyalnych, co ledwie nie dzień każdy ze sobą przynosi?

Rzeczą tedy ze wszech miar jest pożądaną, by dla religijnego

wychowania młodzieży władze szkolne ułatwiły katechecie możność wdrażania młodzieży szkolnej do praktyk duchownych zapomocą zakładania dla niej i zalecania jej takich bractw religijnych i stowarzyszeń, które jej potrzebom duchowym i warunkom otoczenia odpowiadają, naturalnie bez wywierania jakiegokolwiek przymusu lub nacisku, lecz jedynie wedle wskazówek roztropności i zdrowej pedagogii.

4. Wspólne nabożeństwo. Wedle obowiązujących przepisów kościelnych i szkolnych biorą wszyscy uczniowie katoliccy udział we wspólnem nabożeństwie, które się odbywa każdej niedzieli, tudzież w święta uroczyste całego roku. Polega ono na wysłuchaniu Mszy św. i nauki treści religijnej, zastosowanej do tekstu przypadającej Ewangelii św., a uwzględniającej przedewszystkiem potrzeby duchowe uczniów. Miejscem nabożeństwa wspólnego jest zazwyczaj kościół miejscowy; niektóre tylko zakłady mają oddzielne ku temu celowi kaplice. Ze względu jednak, że kościoły, zwykle parafialne, w czasie nabożeństwa tego nader bywają przepełnione, byłoby rzeczą wielce pożądaną, by każdy zakład naukowy miał oddzielne miejsca ku temu celowi, gdzieby uczniowie wolni od natłoku i roztargnienia oddawać się mogli wyłącznie tylko modlitwie i żywy brać mogli udział w odprawianem nabożeństwie. Już dekret nadwornej Komisyi naukowej z dnia 3 maja 1828 r., uwzględniając tę potrzebę, zawiera zarządzenie, by młodzież szkolna miała „własne kościoły, a w nich oddzielne dla siebie przeznaczone pomieszczenie“ (Marenzeller, l. c. 25). Później wydane rozporządzenie ministeryalne z dnia 17 listopada 1851 r. l. 11095 (tamże nr. 29), odstępuje już od tego żądania i oświadcza, „że co do odwiedzania kościoła nie może być zastosowaną pewna ogólna norma, ale muszą być wzięte w rachubę względy miejscowe“. To też względy te dotąd wyradzają różnorodne niedogodności. Nietylko w miastach prowincyonalnych, ale i w stołecznych, gdzie zazwyczaj większa jest ilość kościołów, niema obecnie, przy wzmagającym się rokrocznie napływie młodzieży do szkół średnich, w istniejących kościołach dość wolnego miejsca dla należytego pomieszczenia

młodzieży. Pominąć nie można tej okoliczności, że często dość znaczną przestrzeń przebywać musi młodzież, narażona na przypadłości atmosferyczne, śniegi i mrozy zimowe, nim się z zakładu naukowego po wysłuchaniu nauki dostanie do kościoła dla udziału w dalszem nabożeństwie. Prawdziwe utrapienie mają przeto niektórzy katecheci, jeśli im zależy na tem, by wszystka młodzież została w kościele należycie rozmieszczona, by każdy uczeń był uczestnikiem Mszy św., by nad każdym rozciągnąć można w kościele potrzebną kontrolę i uchylić wszelakie powody roztargnienia w nabożeństwie, jakoteż wykroczenia przeciw uszanowaniu miejsca św. lub zaniedbania obowiązków religijnych.

Bez wątpienia, że najważniejszem miejscem dla wspólnego nabożeństwa chrześcijańskiego jest zawsze kościół, jako dom Boży, szczególnie ku temu celowi przeznaczony, gdzie szczegół każdy i całe wnętrzne urządzenie zdoła wywołać w roztargnionym zazwyczaj umyśle młodzieńca potrzebny nastrój religijny i podnieść duszę na skrzydłach modlitwy w sfery niebiańskie. Nie ulega przeto wątpliwości, że każdy katecheta, mający wybór między kościołem a kaplicą prywatną, da pierwszeństwo kościołowi. Lecz z drugiej strony niepodobna również spuścić z oka tej uwagi, że jeżeli kościół ma odpowiedzieć powyższemu celowi, należy koniecznie dążyć do tego, by w czasie przeznaczonym na nabożeństwo dla młodzieży, wyłącznie do tej młodzieży należał, tak by ona bez jakiejkolwiek przeszkody mogła się rzetelnie oddawać jedynie tylko nabożeństwu. I pod tym względem najpożądańszem byłoby wykonanie starego dekretu, „o własnych kościołach dla młodzieży szkolnej".

Gdy jednak o budowaniu nowych kościołów dziś myśleć nie można, a przeszkody w używanych dotąd są tej natury, iż unikać ich koniecznie wypada, przeto jest rzeczą wskazaną, aby jużto przy istniejących zakładach naukowych, jużteż przy budowie nowych stawiano kaplice, do nabożeństwa wspólnego młodzieży przeznaczone. Za granicą ma je każdy prawie zakład naukowy. Zależy jednak wiele na tem, aby to były kaplice w ścisłem słowa tego znaczeniu, gdzieby całe wnętrzne urządzenie odpowiadało nazwie i celowi swemu, nie jak to obecnie

przy budowie nowszych zakładów naukowych powszechnie się praktykuje, sale przestronne, puste i nagie, dobre może na miejsce dla nauki duchownej, ale nieodpowiednie do odprawiania Mszy św. i innych nabożeństw. Tem usilniej zastrzedz się należy przeciw używaniu takich sal, ku celom nabożeństwa służących, równocześnie ku innym *celom niedomierzonym wcale do poprzednich*, ani nie licującym z nimi, jak to gdzieniegdzie się zdarza, że ta sama aula, w której krótko przedtem katecheta przemawiał, a nawet Mszę św. odprawiał, następnie służy za miejsce popisów dla „maszyny gadającej“, dla wszelkiego rodzaju deklamatorów, magików i wynalazców, do przeróżnych wieczorków, a nawet do ćwiczeń gimnastycznych.

Do podniesienia uroku nabożeństwa służy dzielnie śpiew kościelny. Śpiew ten jednakże jest dotąd powszechnie, a, niestety, i w szkołach średnich jeszcze w kolebce, jakkolwiek przyznać trzeba, iż stanowiąc naukę nadobowiązkową, głównie do towarzyszenia nabożeństwu kościelnemu bywa zastosowanym. Możeby przeto było rzeczą wskazaną, zamiast śpiewu chóralnego, dla uczniów, teoretycznie słabo przygotowanych, przytrudnego, a często również wnoszącego w tok nabożeństwa roztargnienie, wprowadzić śpiew jednogłosowy (unisono), w którymby wszyscy bez wyjątku uczniowie mogli brać udział, a tem samem zdołali przyswoić sobie tekst naszych podniosłych a bogatych treścią pieśni kościelnych, których nieznajomość niemałą stanowi obecnie ujmę w religijnem wychowaniu.

Dzień niedzielny i świąteczny powinien być wedle myśli i przepisów Kościoła przeznaczony wybitnie do nabożeństwa i aktów zgodnych z cechą i przeznaczeniem tego dnia. Usilnem staraniem Kościoła, uwzględnionem nawet w ustawodawstwie austryackiem, jest wprowadzenie poważnego święcenia niedzieli i dni uroczystych. Jeżeli szkoła przyczyniać się ma do wychowania religijnego młodzieży, tedy powinna zgodnie z duchem Kościoła, a nawet świeckiego ustawodawstwa, wdrażać w młodzież poszanowanie dni świętych i wedle sił przyczyniać się do ich należytego święcenia. Niechże więc sama nie stawia przynajmniej młodzieży ku temu celowi przeszkody, niechby nie wy-

pełniano dni niedzielnych szeregiem godzin, przeznaczonych na zajmowanie się przedmiotami nadobowiązkowemi, co sprowadza za sobą konieczne przyspieszanie nabożeństwa; a nadewszystko usunąćby koniecznie należało zwyczaj dotąd powszechnie praktykowany, iż właśnie niedziela, jakby wyłącznie, bywa przeznaczona na wymierzanie uczniom kar dyscyplinarnych, a zwłaszcza na zamykanie ich przez czas pewien w karcerze. Ten tryb postępowania nie wyrobi z pewnością w uczniu poszanowania dnia świętego, nie przyczyni się wcale do wytworzenia uczuć religijnych.

Odnośnie przeto do udziału młodzieży we wspólnem nabożeństwie byłoby pożądane wprowadzenie następujących zarządzeń:

1. *Młodzież powinna mieć dla wspólnego nabożeństwa oddzielne dla siebie wyłącznie przeznaczone kościoły lub kaplice w obrębie zakładu naukowego.*

2. *Kaplice takie powinny być należycie urządzone i ozdobione, a jeżeli w nich jest odprawianą Msza św., powinny z niej być wykluczone wszelkie inne produkcye, niezgodne z jej właściwym celem.*

3. *Dążyć należy do wprowadzenia w czasie Mszy św. śpiewu jednobrzmiącego, jeżeli śpiew chóralny nie może być skutecznie uprawiany.*

4. *Niedziela powinna być w zakładzie szkolnym odpowiednio święconą, a przeto nauka przedmiotów nadobowiązkowych, zwłaszcza zaś zamykanie w tym dniu uczniów do karceru, powinno stanowczo ustąpić.*

5. Patron szkolny. Dodatnią cechą wychowania młodzieży religijnego jest oddanie zakładu całego i młodzieży, czerpiącej w nim naukę, pod opiekę świętego Patrona. Jest to odwieczna katolicka praktyka, wynikła z nauki Kościoła o czci Świętych, iż wszelkie zakłady naukowe i korporacye, w duchu chrześcijańskim kierowane, mają swoich świętych przed Bogiem Opiekunów i obrońców. Dotąd w Galicyi szkoły średnie mają ich tylko wyjątkowo. *W przyszłości należałoby wprowadzić to, jako stałą zasadę.* Korzyści religijne dla młodzieży stąd idące, są nader cenne. Młodzież oswaja się z zamiarem Kościoła, zaprawia do życia religijnego za przykładem cnót swego św. Patrona, z życia jego czerpie zasób nauk do przezwyciężania trudności na drodze cnoty, obraz Świętego otacza ona szczególniejszą czcią,

ozdabia z zapałem wedle możności, dnia św. Patrona oczekuje z upragnieniem, przysposabia się do godnego obchodzenia go przez Spowiedź i Komunię św.; ma jednem słowem dobrą sposobność do wykonywania licznych a nieocenionych praktyk religijnych.

Aby jednak dzień ten uczynić młodzieży szkolnej szczerze pożądanym, należałoby nietylko obchodzić go na równi z innemi dniami uroczystemi, a więc zaprawić ją do religijnego nastroju przez odpowiednią na tle życia św. Patrona naukę i uroczystą Mszę św., ale nadto umożliwić młodzieży przystąpienie do św. Sakramentów. Już tedy z tego względu musiałby dzień cały być wolny od nauki szkolnej. *Rozporządzenie przeto, jakie krajowa Rada szkolna wydała do okręgowych Rad w sprawie święcenia dnia św. Patrona szkolnego w szkołach ludowych, powinnoby znaleść dosłowne zastosowanie także w odniesieniu do szkół średnich.* Zwyczaj naczelnej władzy szkolnej dotychczasowy, przeznaczania na uczczenie dnia Patrona św. jednego z dwóch dni, które przysługują dyrektorowi zakładu do zwalniania młodzieży wedle własnego uznania od nauki szkolnej, wygląda na świadczenie dobrodziejstw z cudzej kieszeni, i już choćby dla tego samego powinien dzień Patrona zakładu być samodzielnie wolnym od nauki szkolnej; że przecież owe dwa dni dyrektorskie nie wystarczają nawet w przybliżeniu do zamiaru władz szkolnych, by młodzież ze samych względów higienicznych miała sposobność jak najczęstszą do odbywania dalszych wycieczek. Wprawdzie posiada krajowa Rada szkolna odnośnie do szkół ludowych zupełną autonomię i rozporządzenia w tym kierunku wydawać może samodzielnie, zaś do szkół średnich potrzebuje zatwierdzenia ministerstwa wyznań i oświaty: wszelako wątpić nie można, że państwowa naczelna władza szkolna w tym kierunku zezwolenia swego nigdy odmówić nie zechce po odpowiedniem przedstawieniu rzeczy i gorącem jej zaleceniu przez wzgląd na obfite korzyści duchowe.

6. Udział zakładu w religijnem wychowaniu młodzieży. Zarys organizacyjny dla szkół średnich dotąd obowiązujący, mówi

w § 66 o zadaniu tych szkół i karności szkolnej, przyczem wyraźnie zaznacza: „...że to jest rzeczą szczególniejszą, by się one uważały nietylko za zakłady do udzielania różnorodnej nauki, ale by za istotną część swego zadania poczytywały współudział w religijnem i moralnem wychowaniu młodzieży... by dalej starały się w jej życie wprowadzać moralnie czystą atmosferę duchowego zajęcia i t. d.“.

„Prawdziwa pobożność..., która się na pokorze serca opiera, ma być pielęgnowana przez naukę religii i odpowiednie ćwiczenia religijne; wszyscy jednak nauczyciele szkoły mają w nauce i w zachowaniu swem sumiennie na to uważać, by korzeni prawdziwej religijności nigdy nie osłabiali, lecz, ile to w ich mocy, wzmacniali i zasilali...“

Z tych słów jasno wynika, że nietylko katecheta przez naukę religii i ćwiczenia religijne, ale cały zakład, wszyscy społem nauczyciele współdziałać winni w utrzymaniu wśród młodzieży szkolnej zasad i życia prawdziwie religijnego. *Qui tenetur ad finem, tenetur etiam ad media.* Jakich środków ku temu celowi używać trzeba, niesposób na tem miejscu wyliczać, zwłaszcza, że nietyle leży ich siła w przepisach, ile raczej w duchu i dobrej woli. By jednak duch ten i ta dobra wola objawić się zdołały, byłyby pożądane choćby następujące środki:

1. Przepisy karności dla uczniów powinny zawierać na miejscu naczelnem obowiązki ucznia religijne, choćby najtreściwiej zebrane. Jeżeli wojskowi i uczniowie w szkołach kadeckich zaraz na wstępie regulaminu służbowego mają je wyraźnie podane, dlaczegóżby uczeń miał dopiero po całym szeregu różnorodnych przepisów, gdzieś dopiero w § 15 dowiedzieć się, że „uczniowie katoliccy obowiązani są brać udział we wszystkich przepisanych ćwiczeniach religijnych“, i że „w wypadkach wyjątkowych uwalnia od stałego udziału w nabożeństwie ks. katecheta w porozumieniu z dyrektorem“? I na tem koniec. Tożby miała być cała suma obowiązków religijnych? Czyż nie jest rzeczą godziwą, by w tych przepisach, obok szeregu całego wzbronionych uczniom czynności, zarazem wywodnie i pozytywnie były przedstawione najważniejsze choćby obowiązki reli-

gijne względem Boga i bliźniego, by uczeń, mając je jasno i treściwie nakreślone, miał w nich zarazem silną podstawę postępowania, krótki niejako program czynności zawsze przed oczyma duszy i w ten sposób krzepił się na duchu wśród pokus i okazyj do ominięcia i przekroczenia takowych.

2. Wszystkie sale szkolne powinny być ozdobione udatnemi obrazami treści religijnej. Jeżeli uczeń ogląda na nich mapy geograficzne, obrazy ze wszelkich działów nauk przyrodniczych, wzory z dawnego klasycznego świata i dzieł sztuki, wogóle środki uzmysławiające i ułatwiające każdy dział nauki szkolnej, to dlaczegóżby równem prawem nie miała mieć młodzież chrześcijańska przed oczyma wzniosłych ideałów z życia Świętych Pańskich, ku ułatwieniu i umożliwieniu życia prawdziwie religijnego?

3. Modlitwa codzienna, rozpoczynająca i kończąca naukę szkolną, powinna być szczególniejszym przedmiotem uwagi każdego nauczyciela obecnego natenczas w klasie, by nietylko żaden uczeń nie usuwał się od kolejnego wypełniania tego obowiązku religijnego, ale by nadto spełniał go poważnie, jak przystało na akt religijny. Silnym bodźcem ku temu będzie zawsze osobisty przykład nauczyciela: kiedy mianowicie zachowanie się nauczyciela w czasie modlitwy okazuje, że sam w niej bierze udział; a jeszcze bardziej, kiedy uczniowie przystępując do Sakramentów św., znajdują obok siebie przystępujących swych nauczycieli i przełożonych. *Verba movent, exempla trahunt.* Ta reguła, jeżeli gdzie, to na polu pedagogii szczególniejsze ma uwierzytelnienie. Bogu chwała, nie brak już dzisiaj takich ożywczych przykładów, wzgląd ludzki i obawa posądzenia o przesadną dewocyę znika z kół nauczycielskich, a objawy obojętności religijnej, czy też rzekomej wyższości duchowej, na unikaniu praktyk religijnych polegać mającej, dziś należą już może do wyjątków.

4. Dekret nadwornej Komisyi naukowej z d. 14 kwietnia 1827 r., l. 1735 i wszystkie późniejsze, mówiące o wspólnem nabożeństwie młodzieży szkolnej w niedziele i święta uroczyste, żądają wyraźnie, by wszyscy uczniowie brali bez wyjątku w tem nabożeństwie udział, gdyby się zaś znaleść mieli w tym kierunku opieszali, by „przy klasyfikacyi obyczajów okoliczność

ta ujemna należycie była uwzględnioną". *Byłoby wielce do życzenia, by odnośne przepisy wszędzie były skrupulatnie wykonywane*, Zwyczaj obecnie istniejący, że o cenzurze z obyczajów, w razie niezgodności oceny ze strony uczących w klasie nauczycieli. rozstrzyga się większością głosów, w tych przynajmniej wypadkach, gdy chodzi o zaniedbanie obowiązków religijnych, powinien ustąpić miejsca innemu, bardziej właściwemu. A mianowicie, powinien wtedy zaważyć głównie na szali głos katechety. Bez wątpienia, że dzielny katecheta potrafi sobie w gronie wyrobić należyte a potrzebne stanowisko, tak, że jego wnioski nie będą ściśle biurokratycznie traktowane i do istniejących przepisów w każdej drobnostce, a zwłaszcza przy ocenie obyczajów w podobnych wypadkach domierzane; wszelako w interesie samej religii, stanowiska, jakie przedstawia, i wpływu, jaki na młodzież w sprawie wychowania już z istoty samego zakładu mieć powinien — *pożądaną jest rzeczą, by w podobnych wypadkach nie był katecheta zostawiony na łaskę lub niełaskę grona i nie zależał od jego uznania, ale samodzielnie, a choćby i w pierwszym rzędzie, mógł rozstrzygać*, i w tem rozstrzygnięciu nie zależał od zwyczaju lub zmiennych miejscowych stosunków, ale miał za sobą zawsze poparcie ustaw szkolnych.

7. Religia przy egzaminie dojrzałości. Do rzędu niewłaściwości, zachodzących dotąd w przepisach szkolnych, a stanowiących również tamę w należytem wychowaniu religijnem młodzieży, należy i ta, jaka spotyka naukę religii przy egzaminie dojrzałości. Rozporządzenie ministeryalne z d. 1 lutego 1852 r. l. 1373, zawierające przepisy o odbywaniu egzaminu dojrzałości, podaje w punkcie 5-tym jako przedmiot obowiązkowy naukę religii. Z czasem jednak rozporządzenie to zostało zniesione i zastąpione odmiennem.

Najpierw rozporządzeniem ministeryalnem z d. 21 grudnia 1870 r. l. 11788, zmniejszono w VIII. klasie gimnazyalnej liczbę godzin, poświęconych nauce historyi kościelnej, z 3 na 2 tygodniowo, następnie rozporządzeniem z 18 czerwca 1878, l. 9645, punkt 5., została religia usuniętą z egzaminu dojrzałości, cen-

zura zaś w świadectwie dojrzałości miała być takim sposobem wymierzaną, jak z propedeutyki filozoficznej; później dodatkowem rozporządzeniem z dnia 10 czerwca 1881 określono bliżej, że wpisywać się mająca w świadectwo dojrzałości cenzura z religii ma być wzięta przeciętnie z 4 wyższych klas gimnazyalnych. To ostatnie administracyjną drogą dane rozporządzenie zachowuje się aż dotąd z największą szkodą dla sprawy samej, tj. dla nauki religii.

Jest w niem pewna sprzeczność. Jeżeli bowiem świadectwo dojrzałości ma być wyrazem wiedzy ucznia i przysposobienia do pobierania nauk dalszych na wszechnicy, to niewłaściwie figuruje na niem cenzura z religii, skoro dojrzałość ucznia w tym przedmiocie nie podlega badaniu. Albo więc, skoro jest rubryka w świadectwie dojrzałości z nauki religii, powinien konsekwentnie uczeń w znajomości tego przedmiotu okazać swą dojrzałość, albo, skoro jej nie wykazuje wcale, nie potrzebuje ta rubryka zdobic daremnie tego świadectwa.

Atoli pomijając już stronę formalną świadectwa, zaprzeczyć się nie da, że zwolnienie uczniów od obowiązku wykazania wiadomości religijnych, potrzebnych każdemu, zwłaszcza tytuł do wykształcenia mającemu człowiekowi, czyni sam egzamin dojrzałości tylko złudnym, a co gorsza, pociąga za sobą szereg szkodliwych następstw.

Jest to pewne upośledzenie religii wobec innych przedmiotów naukowych w oczach ucznia i w ciasnem jego rozumieniu, i co za tem idzie, lekceważenie samego katechety. Wszak katecheta, który ucznia przez 8 lat, więc najdłużej, uczył, nie podpisuje nawet, nie należąc do komisyi egzaminacyjnej, świadectwa dojrzałości, a jednak podpisywać powinien choćby już dlatego, że religia jest w świadectwie uwidoczniona.

Jest tedy rzeczą pod względem pedagogicznym pożądaną, *aby w przyszłości odbywał się egzamin dojrzałości także z religii przynajmniej z tymi uczniami, którzy nie wykażą się z czterech klas wyższych przeciętną notą:* „bardzo dobry“, jak to ma w nauce historyi i fizyki wedle obowiązujących obecnie przepisów stałe zastosowanie. Wprowadzenie pożądanej zmiany choćby z tem

zastrzeżeniem, obudzi przynajmniej większy szacunek i pilność uczniów dziś obojętnych i co najwięcej złej cenzury się chroniących, — dających zaś rękojmię znajomości przedmiotu, i w poszczególnych klasach pilnych uczniów zwolni ta zmiana od powtarzania do egzaminu dojrzałości całego przedmiotu; będzie to przynajmniej odpowiednią nagrodą ich wypróbowanej pilności a bodźcem dla drugich do sumiennego uczenia się. Do tego celu zmierza też uchwała komitetu Biskupów austryackich, a ujęta co do obecnego przedmiotu w dwa punkty: *a)* „Przedmiot nauki religii ma być wciągnięty w egzamin dojrzałości... *b)* Wskutek tego ma nauczyciel religii cenzurę ze swego przedmiotu do świadectwa dojrzałości podać i takowe podpisać".

Takie to spostrzeżenia i wnioski w dobie obecnej pod względem wychowania religijnego młodzieży z dokładnej znajomości ustroju szkół naszych średnich same się nasuwają i dopraszają skutecznego załatwienia. Ze samego przedstawienia sprawy łatwo można przyjść do przekonania, że pożądane zmiany i uzupełnienia nie naruszają w niczem obecnej organizacyi szkół średnich, łatwe są do wykonania, nie sięgają dalekich horyzontów, nie żądają wcale usunięcia istniejącego systemu, a przeprowadzone rychło i w całości, przyczynić się znacznie mogą do obudzenia żywszego życia religijnego wśród młodzieży szkolnej. Cała ich dążność skierowana też jest ku temu celowi, by młodzież miała częstą sposobność wśród zajęć obowiązkowych życia codziennego, zdania sobie sprawy z ostatecznego celu życia, do którego ma dążyć, by katechecie umożliwioną była większa swoboda w spełnianiu ważnego tego a trudnego zadania, jakie mu przypada w szkołach średnich w stosunku do młodzieży, by się stał, jak to już stanowisko jego kapłańskie wskazuje, nietylko nauczycielem religii, ale też stałym kierownikiem młodzieży w całem jej życiu. Przewodnią myślą wskazanych ulepszeń jest więc tylko życzenie, by każdy zakład naukowy obok kształcenia umysłowego młodzieży, przyczyniał się zarazem do jej wychowania religijnego, by, jak tego żądają nawet obowiązujące przepisy władzy szkolnej każdy zakład naukowy, dostarczając mło-

dzieży różnorodnej wiedzy, dążył równocześnie „do utrwalenia we wrażliwym umyśle młodzieńca podstawy moralnej, iżby, gdy dojrzeje, nie zginął w burzach życia“ [1].

Zestawienie tych życzeń, to jakby zbieranie cegiełek do wspaniałej budowy wychowania młodzieży, zastosowanej do potrzeb jej wieku młodzieńczego, dalej do przyszłego jej zadania społecznego, wreszcie do stanowiska, jakie jej kiedyś zająć wypadnie w szczególności. Niechby ta budowa przy łącznej pracy wielu robotników, a pod kierownictwem doświadczonych i najlepszą wolą obdarzonych przewodników, stanęła z czasem potężna i trwała, a pięknością swą, doskonałością formy i dzielnością dobranego materyału mówiła wszystkim rozgłośnie, że celem jej pierwszym i ostatnim jest chwała Boga i dobro Ojczyzny.

Ks. dr. Alojzy Jougan.

[1] Rozporządzenie austryackiego ministra stanu z dnia 24 marca 1865, l. 989. (Marenzeller l. c. l. 33. str. 67).

LIPICZANY.

SPRAWY DOMU SZLACHECKIEGO NA LITWIE.

(Ze źródeł archiwalnych).

Znikły już z powierzchni Litwy owe nieprzebyte puszcze, które nadawały jej tak charakterystyczne a pełne dzikiego wdzięku znamię. Na próżno szukamy dziś owych drzew, których cień padał na Wielkich Kniaziów głowy; zwierz, spłoszony uderzeniem kupieckiej siekiery, nie znajduje mateczników, bo człowiek, uganiając się za zyskiem lub znaglony potrzebą, wdarł się w najgłębsze lasów tajniki, tak że nawet fantazya ludu nie zdoła już niedostępnych miejsc odszukać. Wędrowiec długo błądzić musi, zanim dokoła niego zaszumi puszcza w dawnej swej krasie — a wtedy pyta owych drzew, czy mu nie wyszepczą tajemnicy przeszłości, czy nie powiedzą czegoś więcej o tych Litwinach, którzy walcząc z Zakonem z całą zaciętością bronili pogańskich swych bogów, a zarazem oswabadzali Ruś chrześcijańską od najazdu tatarskiej dziczy; a skoro skutkiem ofiary z własnego szczęścia młodziutkiej królowej, światło prawdziwej wiary na upartych czcicieli Peruna spłynęło, jedną ręką chwycili się Krzyża, a drugą tak silnie objęli nowych swych braci, że uścisku tego ani wylanej krwi morze, ani zgliszcza starych siedzib rozerwać nie mogą. Drzewa jakąś niewyraźną pieśń śpiewają, której wiek dzisiejszy zrozumieć już nie może, ale w starych domach przechowują się jeszcze zżółkłe i zbutwiałe papiery; trudno

je nieraz odczytać, ale kto kocha przeszłość, komu drogie jest jej wspomnienie, ten nie pożałuje trudu, a przed oczyma jego wysnuje się wątek prawdziwej powieści. Wstaną z grobów ojców postacie ze wszystkiemi ich cnotami i wadami, a tak nieraz do nas podobni — wstaną poważne matrony, których słaba dłoń niewieścia podnosi z gruzów upadłą fortunę. Zasiądzie on z nimi na drewnianej w świetlicy ich ławie, przez szklane w ołów oprawne błony przedrze się promień światła i pozwoli bliżej się przyjrzeć domowym ich sprawom.

Nad brzegami Niemna i Szczary szumi Lipiczańska puszcza, dotąd siekierą prawie nie tknięta, a w sąsiednim Żołudku broni się jeszcze ludziom i czasom drewniany, niegdyś karmelitański klasztor, przez Radzimińskich Frąckiewiczów przy końcu XVII. wieku założony. Przebywał w nim czas jakiś bohater Północy Karol XII., i stąd właśnie, kiedy raz wyjechał nad Niemen, niedaleko Lipiczańskiego dworu, spotkał go znany na lodzie wypadek. W starym dworze wszakże dawniejsze jeszcze przechowują się pamiątki — stare archiwum tutejsze XV. jeszcze sięga wieku. Zanim zdolniejsze pióro do naukowych wyzyska je celów, niech mi będzie wolno tymczasem skromny z niego wysnuć obrazek, przedstawiający domowe życie szlachty litewskiej w XVI. stuleciu.

Dobra Lipiczańskie[1], o cztery mile od Lidy położone, rozciągają się po obu brzegach Niemna i aż za Szczarę sięgają; na samym schyłku XV. stulecia posiadali je dwaj bracia Marcin i Maciej Michajłowicze Pietkowicze, których trzeci brat Stanisław był namiestnikiem brzeskim.

[1] Lipiczany stanowią oddzielne dobra, obejmujące ogólnej przestrzeni 1500 włók; w składzie swoim od XVI. wieku bardzo nieznacznym uległy zmianom. Część po prawej stronie Niemna, obejmująca samą wieś Lipiczany, dzisiejsze miasteczko Orla, parę wiosek i dawny folwark Poniemnoje, należała tak jak i obecnie należy do Lidzkiego powiatu; część zaś Zaniemeńska z obszerną puszczą i kilkunastu wioskami aż za Szczarę sięgając, już w Horodeńskim powiecie była położoną. Lipiczany, Żołudek, Dziembrów i Kamionka w zeszłym stuleciu przeszły do Tyzenhauzów, i do najnowszych czasów były własnością ostatniej z polskiej gałęzi rodu Tyzenhauzów hrabiny Hermancyi Uruskiej.

Niesiecki powiada, że Ostyk na sejmie Horodelskim przyjął polski herb Trąby i był on ojcem Pietka, Iwaszka i Narbutta, od których poszły rody: Pietkowiczów, Iwaszkiewiczów i Narbuttów; do nich możemy jeszcze dodać i Radziwiłłów, jako niewątpliwie od Ostyka pochodzących.

Legendę heraldyka naszego stwierdza podana w Bonickiego „Poczcie Rodów“ wiadomość o procesie pomiędzy Jurim i Hrehorym z jednej a Bartoszem Pietkowiczami z drugiej strony, o spuściznę po ich dziadzie Wojciechu Iwaszkiewiczu. W papierach zaś naszych kilka razy spotkaliśmy się z wyciśniętą pieczęcią Pietkowiczów, na której obok poziomo leżącego topora wiją się trzy trąby.

W r. 1497 *feria V. in octava Corporis Christi* Marcin Pietkowicz *haeres de Lipiczany* nabył od *Stecka Ondroschewicza* za zezwoleniem brata jego Laurena majętność Cosborowo [1], za którą zapłacił 25 kóp szerokich groszy praskich [2].

W r. 1511 widzimy pana Marcina Pietkowicza hospodarskim koniuszym wileńskim, a we dwa lata później był już mężem Oleny, córki Wacława Syrutiewicza [3] i Swiętochny, która mu wniosła w gotowiźnie i ochędóstwie 400 kóp groszy litewskich. Wiano to wraz z dodaniem od siebie 100 kóp groszy p. Koniuszy *feria IV. ante festum S-ti Leonardi, seu infra octavas omnium Sanctorum* 1513 r. ubezpieczył na majętności swej Lipiczanach i zobowiązał się, że bez zezwolenia żony swej majętności tej żadnym nie obciąży długiem. W razie zaś jego śmierci, pani Olena obejmie w posiadanie cały ten majątek i trzymać go będzie, ciągnąc z niego wszelakie pożytki, aż spadko-

---

[1] Nadpis na przytoczonym dokumencie z XVII. pochodzący wieku nazywa Cosoborowo „Kuczborem“ — miejscowości tej wszakże nie znaleźliśmy w Słowniku geograficznym i nic o niej od okolicznych mieszkańców dowiedzieć się nie mogliśmy.

[2] Na liście sprzedawczym, pisanym na pargaminie, jako świadkowie występują: Piotr Kysiel, *Tomco et Marco Colaschevic, Cosborovic Laurin,* Mikołaj *de Masoschevo* i *Silvanus Notarius.* Na amarantowym jedwabnym sznurku wisi pieczęć wyciśnięta na ciemno-zielonym wosku — herb przypomina Mogiłę Andrusiewiczów.

[3] Syruciowie herbu Leliwa.

biercy całkowitych 500 kóp groszy litewskich jej nie wypłacą[1]. Czternaście lat upłynęło, zanim zapewne za staraniem pani Koniuszyny król Zygmunt I. listu powyższego nie zatwierdził, i wtedy stosowny dokument z podpisem królewskim i zaopatrzony pieczęcią królewską wydany został.

Państwo Pietkowiczowie mieli jednę tylko córkę Hannę. Pan Koniuszy, lubo oprócz znanych nam majętności posiadał jeszcze dobra Swojatyckie w Nowogrodzkim powiecie, znajdował się wszakże w ciągłej potrzebie pieniędzy, pożyczał na wszystkie strony pod bardzo niekorzystnemi warunkami, ciągle oddawał w zastaw ludzi i ziemie; prawda, że i na sprawy krajowe nie był obojętnym, kiedy w r. 1528 szesnastu żołnierzy uzbrojonych swoim kosztem dostarczył[2]. Długi w przerażającym rosły postępie; najprzód u brata Macieja pożyczył 40 kóp groszy litewskich, licząc po 10 *pieniaziej* na grosz i zobowiązał się należność zwrócić na przyszłe Boże Narodzenie, gdyby zaś w terminie wskazanym z długu się nie uiścił, pan Maciej ma prawo bez żadnego dokładu wwiązać się[3] w jego ludzi we

[1] Jako świadkowie podpisali się: Jan Skinder, znany z poselstwa do Moskwy *cum filio suo Nicolao;* Gasper Abramowicz herbu Łabędź, i Simon Vixilifer Barthniczki; trzy wiszące pieczęcie starte już zupełnie.

[2] Boniecki, „Poczet rodów".

[3] Wwiązanie była to zastawa powinności włościańskich lub ziemi za pożyczone pieniądze. Statut Lit. tak określa wysokość wwiązania: „Za każde 20 kop groszy litewskich w służbę albo włokę ludźmi osiadłą; a za 10 kop pół służby albo pół włoki. Po temuż w ziemię pustowską albo włokę pustą za 10 kop groszy. A gdzieby ludzi osiadłych i pustowszczyzn nie stało, wtedy w bojary pancerne i putne. W pancernego bojarzyna i jego ziemię za 40 kop groszy, w putnego za 30 kop. A gdyby i tych nie stało, tedy w ludzie i grunty bojar szlachty, którzyby osiadłościami swymi ku temuż imieniu na którym odprawa czyniona będzie należeli, a nie mieliby pierwej dania wyzwolenia od Pana swego, słusznego według tego statutu. Jednakże ten kto w imiona jakie szlacheckie wwiąże się, nie ma u tej szlachty imion odejmować, tylko ma patrzeć służby i powinności taką jaką powinni byli Panu swojemu, także szacunku niżej i wyżej opisanym. A morg ziemi pognoju na kopę groszy. Pola prostego morg za 50 groszy. Sianożęci morg za 50 groszy. Ziemi leśnej, którąby się godziła na pasznię, morg za 40 groszy. Borów, lasów, puszcz każdy morg po groszy 20. Jeżeliby i takich gruntów wwiązanie nie dostawało, tedy i w zasianie na gruntach dwornych żytem i jarzynami wwiązanie dawane być

wsiach Ostrowczycach i Krukowiczach, bez żadnego dokładu *derżaty ich zo służbami,* danią miodową i pieniężną, *z diakły, z łowy bobrowymi i zwerynnymi,* tak jakby to jego własni ludzie byli, a zatem ma prawo sądy nad nimi wykonywać, *derżaty ich, używaty i serebszczyźnu poberaty* [1]. Dług ten po dokonanem wwiązaniu się może być zapłaconym tylko w czasie Bożego Narodzenia. W razie niespełnienia zobowiązania lub stawiania jakich przeszkód, p. Marcin zobowiązuje się zapłacić Królowi Jegomości *zaruki* sto kóp groszy, wojewodom trockiemu i wileńskiemu 50, a *Panu Matieju* dług zapłacić *sowito,* to jest *hrosz na hrosz położyty.*

Sąsiadem Lipiczan w Rożance był Mikołaj Juriewicz Pacowicza (Pac), podkomorzy i łowczy hospodarski, dzierżawca merecki a późniejszy wojewoda podlaski. Rodzina Paców bardzo niedawno wypłynęła; znana legenda o włoskiem pochodzeniu od Pazzich, krytyki nie wytrzymuje. Za króla Kazimierza bojar Pac Dowszewicz otrzymał kilka służb w Grodzieńskiem, syn jego Jurij Pacowicz Dowkszewicza był już namiestnikiem kijowskim i wsławił się obroną Smoleńska. Pierwszą żoną jego była, jak się zdaje, Hlebowiczówna, po śmierci której ożenił się z Zofią Rohatyńską, wdową po kniaziu Iwanie Kobryńskim, która wyszła trzeci raz za Mikołaja Radziwiłła; tak wszakże przywiązaną była do pasierba swego Mikołaja Juriewicza Pacowicza, że testamentem zatwierdzonym przez króla i papieża cały majątek mu zapisała. Pan Podkomorzy podniósł świetność rodu, żeniąc się z kniaziówną Aleksandrą Holszańską, siostrą Pawła, biskupa wileńskiego, która nietylko, że znaczne wiano wniosła w dom męża, ale jeszcze dom jego niezwykłym otoczyła blaskiem. Ród Holszańskich kilkakrotnie łączył się z Ja-

ma, to jest z każdego morga pognoju rachując żyta po 5 kop, a na morgu pustego pola po 3 kopy, a na morgu jarzynami zasianego pszenicy po 6 kop, jęczmienia 6, prosa 4, soczewicy 4, a inne rzeczy ogrodowe zasiane według uważania woźnego i szlachty z nim na tymże wwiązaniu będącej".

[1] Świadkami byli: Szymko Machowicz, podkomorzy wileński: bojarzy hospodarscy: Wasylewskiej włości — Matiej Aramowicz, Żołudzkiej — Marko Kostiukiewicz, i Bielskiej — Kolada Fedorowicz, służebnyk p. Szymka.

giellonami, a babka króla Zygmunta I., Zofia, z domu była Holszańska; a kiedy kniaź Zasławski nie wahał się wyznać, że niemały spadł na niego zaszczyt skutkiem połączenia się z Holszańskimi, to cóż dopiero mógł powiedzieć taki Pacowicz, którego ojciec dopiero na szerszą widownię wypłynął. Pan Podkomorzy był to człowiek niespokojny [1], ciągłe miewał procesy, przegrywał je i skutkiem tego znaczne ponosił straty. Nasz p. Marcin, przyciśnięty potrzebą, udał się do sąsiada, który jej nie odmówił i razem z żoną swoją Hanną i córką Hanną *spolnoju rukoju* pożyczył u pana Podkomorzego 180 kóp groszy litewskich, których jeżeliby nie zwrócił na Boże Narodzenie IX. Indyhla, to dług podwaja się i p. Pac bez żadnego dokładu w 360 kopach wwiązać się ma prawo w dwór Szczarześki z ludźmi, *z paszneju i z bornoju zemleju, z łowy Szczareńskimi i Lipiczańskimi i 12 służb ludej Lipiczańskich, a gdyby kotoryj z nich procz piszow, to inszoho.* Gdyby właściciel w jakikolwiek sposób przeszkadzał wierzycielowi wwiązać się do majątku, to winien będzie zapłacić Królowi Jegomości *zaruki* 1000 kóp groszy, a na panów Rady 500.

Należność ta opartą została na dobrach Lipiczańskich, na których zapewnione było wiano żony; pomimo wyrażenia *spolnoju rukoju,* pani Olena o długu tym nic nie wiedziała lub przynajmniej wiedzieć nie chciała. Chociaż pożyczka pod tak uciążliwemi warunkami udzieloną była, p. Pietkowicz w czasie nie uiścił się z długu. Pac udał się do samego króla, który wysłał zaraz dworzanina swego Wasyla Kurowskiego z ostrym upominalnym listem, pisanym w Wilnie dnia 2 czerwca 1536 r., zaopatrzonym pieczęcią królewską i podpisanym przez Hornostaja, w którym powiada, że chociaż pan Podkomorzy miał wszelkie prawo objąć bez żadnego dokładu oddane zastawy i trzymać je aż do odbioru całkowitego długu, chciał jednak *wradowne postupyty* i udał się do najwyższej władzy. Król, rozebrawszy skargę, osądził, że każde zobowiązanie według statutu powinno być spełnione, dlatego poleca p. Koniuszemu, aby w przytomności

[1] Wolff, „Pacowie".

przysłanego dworzanina p. Pacowi 360 kóp groszy litewskich wypłacił, a gdyby nie mógł tego spełnić, to p. Podkomorzy ma się zaraz wwiązać we wskazane pożytki. W razie zaś stawiania jakichkolwiek przeszkód, nakazuje *zaruki* dla króla i panów Rady *mocno sprawyty*. Koniuszy nie sprzeciwił się rozkazowi królewskiemu i Podkomorzy objął w posiadanie dworzec Szczarzeński z ośmiu służbami, *kotoryje do Lipiczan tiahnut*, a w samych Lipiczanach służb jedenaście.

Pan Pac świetny zrobił interes; wysokość procentu tak była wielką, że nawet dzisiejsze żydowskie procenta umiarkowanemi zdawać się mogą. Po roku dług się podwoił; według Statutu Litewskiego, za 40 kóp groszy wierzyciel mógł się wwiązać w jednę włokę czyli służbę [1], zatem licząc już od 360 kóp groszy prawo dozwalało się wwiązać w 9 służb, tu zaś oprócz innych pożytków, pan Pac otrzymał w zastaw sług dziewiętnaście.

P. Koniuszy coraz dalej brnął w długi; na wydanych wierzytelnych listach najczęściej nawet daty nie stawiał; i tak: Piotrowi Hrynkiewiczowi pozwala wwiązać się w dwóch ludzi w Michałowicach za Niemnem, a w trzech w Dietianowiczach; Mikołajowi Wojciechowiczowi Narbuttowi, jeszcze namiestnikowi żmudzkiemu Radziwiłła, a później wojewodzie podlaskiemu, w przytomności Juria Jakubowicza Syrutiewicza, Łukasza i Andrzeja Narkiewiczów oddaje dwóch ludzi w Damianowiczach i trzech w Widohorcach. U Grzegorza Michajłowicza, wojskiego i namiestnika słonimskiego, pożycza 10 kóp groszy, których, jeżeli na Boże Narodzenie nie zapłaci, to dług zobowiązuje się zwrócić *sowito*. Wkrótce potem u tegoż Michajłowicza w obecności Iwana Rezana, Iwana Andrejewicza, Michała Michałowicza Kraszowicza i Iwana Okołowicza dopożycza jeszcze 300 kóp groszy litewskich i służby w zastaw oddaje.

Nie brakło i żydowskich długów. Mordas z Grodna za sukno otrzymuje kwit na 30 kóp groszy, a prócz tego zobowiązanie się na dostawę 30 beczek żyta; a gdyby cała ta należność

[1] Patrz przypis 3-ci na str. 339.

na Boże Narodzenie uiszczoną nie została, to Mordas wybierze sobie jakiego szlachcica, w którego imieniu kupiec wwiąże w czterech ludzi i trzymać ich będzie aż do odebrania całkowitej należności. Udicz z Wilna za sobola, za szarłat, za szare i błękitne sukno otrzymał dwa kwity na $5^1/_2$ kóp groszy.

Z późniejszych rachunków i pokwitowań dowiadujemy się, że należało się jeszcze Jermoliczowi 12 kóp groszy, Bilikowiczowi 3, Szymkowiczowej 10, Wojskiej Hryhorownie 10, Mordasiewiczom 2, Narbuttowi oprócz wyżej wymienionej należytości jeszcze 2 kopy, plebanowi Nabodorowskiemu 2, Czeczotowi 14, a jakiemuś Isuzinowi 60 grzywien; tak więc długi i ciężary wraz z wianem żony doszły do 1370 kóp groszy litewskich, co jak na tamte czasy znaczną przedstawiało sumę.

Około 1540 r. umiera pan Koniuszy; p a n i jego Olena, dotąd prawie zupełnie w cieniu ukryta, po śmierci męża dopiero występuje na widownię, bierze w swe ręce zawikłane interesa i w krótkim czasie do kwitnącego doprowadza je stanu. Najprzód zanosi skargę do króla, że p. Pac nie miał prawa wwiązać się w 11 służb Lipiczańskich i dworzec Szczarzeński ze służbami, bo właśnie na tych majętnościach za zatwierdzeniem królewskiem wiano jej oparte zostało. Z polecenia Zygmunta I. w dniu 31 marca 1541 r. zebrani w Wilnie panowie Rady: kniaź Wacław Wierzbicki *(sic)*, biskup Żemojski, Jan Juriewicz Hlebowicz wojewoda połocki, Matwij Wojtiechowicz Janowicz (Kłoczkowicz), wojewoda witebski, dzierżawca wołkowyski, i Iwan Bohdanowicz Sapieha wojewoda podlaski, przystąpili do rozsądzenia tej sprawy. Ze strony Paca stanął rzecznik Kościuszko Fedorowicz [1], sędzia kamieniecki, a pani Olena sama się broniła. Kościuszko złożył dowody, że ś. p. nieboszczyk pan Koniuszy z panią swą Oleną i córką Hanną *społuju rukoju* pożyczył od p. Podkomorzego pie-

[1] Z nazwiskiem Kościuszki kilka razy spotkaliśmy się w badanych przez nas papierach. Sędzia kamieniecki, Kościuszko Fedorowicz, znaną jest osobistością; nie można wszakże twierdzić, czy Tadeusz od nich pochodził. Nazwiska rusko-litewskie od imion się wytwarzały. Kościuszko pochodne jest od Kost' — Konstanty; taki więc mógł być niejeden; herb dopiero lub połączenie genealogiczne ze znaną osobistością może dopiero dowód stanowić.

niądze, których gdy na terminie nie wypłacił, p. Pac z rozkazu samego króla wwiązanie otrzymał, zatem żąda, aby do wypłaty należności utrzymał się przy zastawie. Na to pani Olena złożyła zapis mężowski, świadczący, że żadnemi ciężarami Lipiczan obciążać nie może, następnie zatwierdzenie królewskie, a wkońcu odwołała się do obecnego Juria Jakubowicza, że przy zeznaniu długu p. Pacowi obecną nie była i pieczęci swojej nie przyłożyła. Panowie Rady, po należytem rozpatrzeniu sprawy, przyznali słuszność pani Pietkiewiczowej, rozkazali oczyścić z wwiązania się Lipiczany, a p. Pacowi pozwolili poszukiwać pretensyj swoich na innych posiadłościach nieboszczyka Koniuszego. Wykonanie wyroku powierzonem zostało Mikołajowi Stanisławowiczowi Skinderowi.

Zapewniwszy w ten sposób swój wniosek, pani Koniuszyna spłacać zaczęła inne długi mężowskie, a zastawy na siebie odbierać. W pierwszej chwili potrzebowała jeszcze kredytu, spotykamy się bowiem z zeznaniem Jana Szymkowicza, w którem oświadcza, że nieboszczyk p. Marcin zastąwił mu w majątku Lipiczańskim dwie służby w 10 kopach groszy, pani Olena po śmierci męża dopożyczyła u niego jeszcze pięć kóp i już w 1542 r. całą należność wypłaciła i zastawione pożytki w swoje posiadanie objęła. Jednocześnie Iwan Jermolicz, mytnik wileński, kwituje z odebrania 7 kóp, a pozostałe jeszcze 5 kóp ma na św. Piotr odebrać; napis na kwicie świadczy, że we wskazanym czasie dług spłacony został. Jan Bilikowicz Semenowicza po odebraniu 3 kóp zwraca zastawione łąki. Maryna Hrynkówna wobec świadków Hryhorego Wołłowicza i Hryszka Bołdaszewicza Szołuszyca ustępuje ze wsi Mołczad, w którą się w 100 kopach uprzednio wwiązała. Hryśko i Matwij Mordaszewiczowie oświadczają, że odebrali 2 kopy groszy, w których trzymali łąki w Lipiczanach; Mikołaj Narbutt kwituje z 14 kóp groszy i ustępuje z zastawów w Lipiczanach, Damianowiczach i Widohorcach. Łukasz Stanisławowicz odbiera 2 kopy należne plebanowi Nabodorowskiemu, a wkońcu Piotr Hrynkiewicz, Michajłowicz, Czeczot, Isuzin, Mordas i Udicz po odebraniu należności kwity pani Olenie pozwracali.

Skrzętna pani Olena po nabyciu na swoje imię wszystkich długów, zaczęła skupować bojarskie posiadłości. Przy końcu 1543 r. bojarzyn hospodarski Horodeńskiego powiatu, Szymko Narhiłowicz z żoną Petruchą i synem Marcinem sprzedaje dziedziczną swą ziemię, mającą wysiewu 40 beczek, za 30 kóp groszy litewskich pani koniuszynie wileńskiej, Olenie Wencesławownie Pietkiewiczowej i córce jej Hannie ze wszystkiemi przynależytościami, *so wsim na wse*. Pozostać na sprzedanej ziemi ma prawo do *Matki Bożeje Oposznoje*, a wtedy zebrawszy zboże, *tuju zemlu wsiu w celosti podaty a Jej Miłosti czołom udarywszy procz pojty*. Gdyby warunkowi ostatniemu nie uczynił zadość, to obowiązuje się zapłacić kary *12 rublów hroszy*. Świadkami sprzedaży byli: *Dworanin hospodarski Prokop Hryhorowicz, a wradownyk p. Stanisława Andrejewicza Dowojna Lipiczańskij, p. Iwan Borejsza; bojare hospodarskie Horodeńskoho powetu p. Wencław Wołczkiewicz, a p. Paweł Hryhorowicz*.

Pomimo, że pani Olena nie bardzo młodą wdową była, kiedy w r. 1513 już poślubioną była pierwszemu mężowi, zatem biorąc na uwagę, że w owych czasach kobiety wcześnie zamąż wychodziły, musiała co najmniej z początkiem XVI. wieku urodzić się, jednak ciężył jej czepiec wdowi i około 1544 r. w powtórne wstąpiła związki małżeńskie i poślubiła p. Augusta Denisowicza Fursa, który wówczas był marszałkiem dworu biskupa wileńskiego, kniazia Pawła Holszańskiego [1], wkrótce potem został dzierżawcą żyżmorskim, a w r. 1546 otrzymał starostwo raduńskie. Z małżeństwa tego urodził się syn Stanisław, późniejszy poborca oszmiański [2]. Co się zaś stało z córką Hanną Pietkiewiczówną, nie wiemy zgoła; ostatni raz wspomnianą została przy kupnie ziemi od Narhiłowiczów.

W Lipiczanach zaszły już także pewne zmiany. Maciej Pietkowicz, brat Marcina, już nie żył, majętność po nim odziedziczyła córka Hanna, żona Mikołaja Mikołajewicza Andruszewicza, koniuszego nadwornego i pisarza królewskiego w Wilnie, dzier-

[1] Boniecki, „Poczet rodów".
[2] Niesiecki.

żawcy oskiego i przełomskiego. W r. 1548 straciła męża i uznaną była jąko opiekunka małoletnich dzieci. Matka jej Katarzyna Wojciechówna Narbuttówna żyła jeszcze i z mocy testamentu męża stała się właścicielką sumy należnej jeszcze od brata i trzymała na siebie oddane w zastaw służby. W tym czasie spotykamy się z trzecim posiadaczem Lipiczan; był nim Stanisław Dowojna, dzierżawca merecki, chociaż dopiero w 11 lat później otrzymał od Zygmunta Augusta potwierdzenie królewskie na posiadanie tej majętności [1].

W r. 1549 znowu zaczęły się spory z Pacami; było to już po śmierci wojewody podlaskiego; pozostała wdowa, ufna zapewne w ród swój i wysokie koligacye, chciała zemścić się za straty, jakie z powodu pani Oleny mąż jej poniósł. Na początku wzmiankowanego wyżej roku, Wasyli, *wradnyk* panów z Rożanki, *z bojary, prystawy i so wsiju wołostiju*, zebrawszy 800 ludzi, *mocno hwałtom* najechał wspólną puszczę Lipiczańską i niemałą w niej szkodę wyrządził. Dziedzic Lipiczan: państwo Fursowie, p. Dowojna i *koniuszyna dwornaja*, Hanna Andruszewiczowa, zanieśli we wrześniu skargę do sądu, sprawa wszakże do następnych roków odłożoną została [2]. Poszkodowani udali się wtedy do rodziny, której członkowie: Paweł biskup wileński i Janusz Jurewicz [3], wojewoda trocki, dzierżawca sołkiniski i mohylewski, książęta Holszańscy, tudzież Jan Jurewicz Hlebowicz, wojewoda wileński, kanclerz w. lit., zebrani w Wiazownie w dniu 31 grudnia 1549 r., wysłali list upominalny: *Sestre naszej wojewodiny*

[1] Boniecki.

[2] Wolff w dziele „Pacowie“ wspomina, że skutkiem najazdu na las wynikł proces sądowy, którego wyrok do następnych roków odłożony został.

[3] Tu znowu występuje ów tajemniczy co do pochodzenia Janusz kniaź Holszański. — Nad genealogią Holszańskich pracowali: Bartoszewicz, Stypułkowski, Stecki i Puławski, jednakże dotąd trudności nie zostały rozgmatwane. Wyrażenie *sestre naszej*, stawia go w nowym stopniu genealogicznym z biskupem Pawłem i Aleksandrą Pacową, imię Janusz naprowadza na myśl, że łacińskiego był obrządku, a Dubrowniccy wschodniego trzymali się Kościoła. Materyały nasze pochodzenia nie rozstrzygają: jeden tylko pewny fakt do życia wojewody w nich znajdujemy. Nie mógł on umrzeć, jak powszechnie twierdzą, w 1549 r., kiedy w ostatnim dniu tego roku należał do upominalnego listu członków rodziny.

Podlaskoj, podkomoryny i łowczyny hospodarskoj Korola Jeho Miłosti pani Oleksandre y synom jeje panu Mikołaju, panu Stanisławu, panu Pawłu, panu Dominiku Mikołajewiczam Juriewicza Pacowicza, w którym opowiedziawszy dokonany napad, dodali, że właściciele Lipiczan, zachowując sobie prawo dochodzenia szkody, prosili, abyśmy upomnieli was o to, *ażeby istie do rozprawy, w tuju puszczu poddanym swoim wieżdżaty i szkody czerez to czynyty ne weleli, aby oni sobi w toj puszczy bolsze ne szkodowali — koneczno.*

Ciążył jeszcze na Lipiczanach dług p. Macieja, wwiązanie w ludzi Ostrowczyc i Kruhowicz trzymała pani Maciejowa, jako właścicielka tej sumy, i widocznie nie bardzo życzyła sobie wykupu tej zastawy. Pani Fursowa wszakże chciała dług spłacić i musiała aż zanieść skargę. Marszałek nadworny Iwan Hornostaj listem upominalnym z dnia 5 lutego 1550 r. poleca pani Maciejowej, aby *pieniezi prynieła i ludej ustupyła koneczno.* W dniu 4 grudnia tegoż roku sprawa załatwioną została. W danem pokwitowaniu pani Maciejowa powiada, że *listów zapisnych dziewira mojcho, danych panu małżonkowi,* nie posiada, od tej pory nie mają one już żadnego znaczenia, a gdyby się znalazły, to zwrócić je jest obowiązaną. Świadkami byli: Walenty Czerkawski, wradnyk Zarubkowski Jego Królewskiej Mości, wójt Bohdan Nowicki i jakiś Stanisław Poniatowski swego Ciołka wycisnął.

Oboje państwo Starostowie Raduńscy pilnie około interesów chodzili. Majątek przez dokupywanie posiadłości ciągle wzrastał; i tak: Stanisław Hryhorowicz Dorkiewicz z żoną Olżbietą, z córkami Hanną i Zofią, za zezwoleniem brata Hryhora sprzedaje ojczystą swą ziemię panu staroście Awhusztynowi Fursowi i pani jego, pani Olenie, za 10 kóp groszy litewskich, zobowiązuje się oczyścić ją ze wszystkich ciężarów, a gdyby jakie długi się pokazały, to przyjmuje na siebie obowiązek je zaspokoić. *Swidkow pry tom dobrych ludej bulo ne mało, a meżdu nimi p. Prokop Hryhorowicz, dworanin hospodarski, a pan Mikołaj Konopacki wradnyk Lipiczański Jejo Miłosti pani Mikołajewoje Ondroszewiczowoje koniuszyny Wileńskoje a p. Szymko Narhiłowicz, bojaryn Lipiczański Jeho Miłosti pana Dowojny i brat Hryhory a dla lepszoje*

twerdosti i mocznosti ja prosył jeśm tych dobrych ludej o peczati i Ich Miłosti na prożbu moju to uczynyli i peczati pryłożyli.

Bojar Iwan Mokłakow w obrębie puszczy Lipiczańskiej naprzeciw dworu Poniemnońskiego, w którym państwo Fursowie mieszkali, posiadał jezioro Suszkowo i otaczające je łąki; potrzebując pieniędzy, udaje się do państwa Fursów, którzy dogadzają sąsiadowi, ale w 6 kopach groszy wwiązują się we wspomniane pożytki. Mokłakow zobowiązał się, że gdyby *Ich Miłosti* z tego powodu jakie szkody ponieśli, to on *wse powynen sprawyty.* Jako świadkowie występują: Prokop Hryhorowicz i Ancuta Bohdanowicz Haraburda.

Odpadnięcie Smoleńska do Moskwy stało się powodem, że wielu tamtejszych ziemian, wiernych Rzeczypospolitej, opuszczało ojczyste zagrody i na Litwę się przenosili. W liczbie ich był Iwan Wasylewicz Ladski; król Zygmunt Stary, *protiw otczyzny jeho, kotoruju na Moskwe meł dwa dwora: Żełudek i Wysoki Dwor, z mesty, korczmami, z kupczynoju, z daniu hroszowoju i medowoju do oczyszczenia otczyzny,* czasowo mu w r. 1536 wypuścił. Zygmunt August majętności te 1559 r. najprzód jako lenność w linii męskiej zostawać mającą, a zaraz w następnym roku na wieczność Iwanowi Ladskiemu, leśniczemu pińskiemu, podarował [1].

Żołudek o kilka tylko kilometrów oddalony jest od Lipiczan i od przeszłego wieku obie te majętności jednę masę dóbr stanowią. Ladski w r. 1552 dnia 2 lutego nabywa w obrębie już dóbr Lipiczańskich za 60 kóp groszy litewskich od Jana, Jasia, Andreja Matiejowiczów, tudzież Bartłomieja Janowicza Narhiłowiczów: *imienieje ich otczyznoje, nikomu niczem ne peniajemoje w Horodeńskom powiete, nedałeko Nemna, blisko dwora pana Awhusztyna Fursa i pani jeho, pani Oleny Wencesławowny Surutiewicza Poniemunskoho Lipiczanskoho z paszniju dwornoju, z sonożatniju, pohonami, z hai, z lesy, z dubrawami, z łuhami i z zaroslami i zo wsim na wse jak se toje imenije z dawna samo w sobi maje.* Świadkami byli: *p. Matij Mikołajewicz, Martin Recemberski, Mitho Chodyński, dworanin hospodarski,*

[1] Wyciągi urzędowe z Metryki Litewskiej do tego nadania znajdują się w Archiwum Żołudzkiem.

Jeronim Romanowicz, ziemianin hospodarski powetu Trockoho. Widzieliśmy już, jak chętnie państwo Fursowie nabywali ziemię, a tu posiadacz Żołudka wśród ich majętności nabył takową. Musieli dołożyć wszelkich starań, aby stać się mająteczku tego właścicielami; jakoż zaraz w następnym 1553 r. dnia 20 lipca Ladski za tę samą cenę, 60 kóp groszy litewskich, ziemię tę Fursom odprzedał, a obok przyłożonych na akcie sprzedawczym pieczęci świadków: Mikołaja Stanisławowicza Skindera, sędziego, Martina Mikołajewicza Recemberskiego, pan Matij Mikołajewicz, dworzanin królewski, jeszcze *ruku prilożył.* W całej paczce dokumentów, zawierającej przeszło 50 sztuk, pierwszy raz spotykamy się z własnoręcznym podpisem. Osoby działające są tylko wymienione, a obecność ich, i to nie zawsze, stwierdzają wyciśnięte suche pieczęcie. Zaraz następnego dnia Iwan Ladski przez dworzanina swego Lewona Ławrynowicza wniósł tę sprzedaż do ksiąg sądowych Mikołaja Juriewicza Radziwiłła, wojewody trockiego, a jednocześnie i bojarzyn hospodarski Stanisław Hryhorowicz Dorysewicz o sprzedaży ziemi swojej Fursom w urzędzie opowiedział.

Zdarzały się jednak i kłopotliwe sprawy. Dług brata Macieja był już zapłacony, wwiązanie zdjęte, pokazało się wszakże, że pod trzema wykupionemi włościami mniej było ziemi. Pani Maciejowa Pietkiewiczowa już nie żyła, a oprócz znanej już nam Heleny Andruszewiczowej była jeszcze i druga sukcesorka Zofia Kaznowska, która przyrzekła nawet wobec Prokopa Hryhorowicza i innych dobrych ludzi dodać ziemi pani Fursowej; rzecz jednak poszła w odwłokę i dopiero w lat kilka później spotykamy się z wypisem z ksiąg sądowych Mikołaja Radziwiłła, dzierżawcy lidzkiego, wasyliskiego i somiliskiego, z którego dowiadujemy się, że przed sędziami: Jurim Wołczkowiczem[1], koniuszym wileńskim, dzierżawcą wołkińskim i lipuńskim, tudzież Jurim Zenowiczem, starostą czeczerskim i propej-

[1] Wołczko lub Wołczkowicz kilkakrotnie jest wspomniany w papierach naszych. Z rodziną Olizarów-Wołczkowiczów nic nie ma wspólnego: używali herbu zupełnie odmiennego — z półpierścienia wychodzą jakby dwie gałęzie. Zapewne od nich otrzymał nazwę folwark Wołczki, niedaleko Lipiczan, obecnie do Jodków należący.

skim, stanął osobiście Augustyn Furs w swojem i żony swojej Oleny imieniu, i żądał wynagrodzenia za oddaną z wwiązania się w mniejszej ilości ziemię; jako dowód złożył zeznanie Prokopa Hryhorowicza. Kapusta, prokurator przeciwnej strony, opierał się na tem, że przez pięć lat nikt pretensyj nie rościł, a zeznanie Hryhorowicza nie jest dowodem sądowym. Sąd po naradzie uznał, że to co oddała Kaznowska, jest wystarczającem i pretensye Fursów oddalił.

Po wydaniu wyroku Furs drugą zaraz wniósł skargę, że pani Kaznowska trzech ludzi, pomimo całkowitej wypłaty, dotąd nie zwróciła, przez co właściciele niemałą ponoszą stratę. Kapusta na to odpowiedział, że ludzi tych królowa Bona do Mostów zabrała, na co pani Kaznowska list może złożyć, do skarbu więc z pretensyą p. Furs zgłosić się winien, a teraz prosi o rok dla okazania listu. P. Furs zgodził się, a sąd rok naznaczył: *treťioho dnia w poneďiłok w neszpornuju hodynu.* W dzień oznaczony p. Starosta *od 18 hodyny do 21 pilnost czynył u prawa a pani Kaznowska sama nestała ani onoho listu ne położyła.* Sąd za ludzi kazał zapłacić.

Pani Starościna w r. 1556 i drugiego pochowała męża; majątek był czysty i znaczny, interesa uregulowane, trochę tylko kłopotu sprawił mająteczek po Narhiłowiczach, nabyty od Ladskiego; ale z panią Starościną nie łatwa była sprawa, znała ona drogę i do samego króla; jakoż dnia 7 kwietnia 1557 r. w imieniu Zygmunta Augusta, z podpisem pisarza Hałki i opatrzony pieczęcią W. Ks. Litewskiego wydany został list upominalny do Iwana Ladskiego, w którym czytamy: „Listem sprzedażnym zobowiązałeś się kupioną od Narhiłowiczów ziemię oczyścić i w spokojne oddać Fursom posiadanie; tymczasem bojarzy ci nie ustępują, służą u ciebie a ty ustąpić im nie każesz, a prócz tego jeszcze *wstupajet w tuju zemlu p. Stanisław Andrejewicz Dowojna i do, imienicja swojeho Lipiczanskoho pryworoczywajet;* rozkazuję więc, aby tę ziemię oczyścił i w spokojne władanie pani Fursowej oddał, tak aby ona *w tom na własnosti swojej bezwinno ne szkodowała i nam o tom bolsze toho ne żałowała*".

Przy regulacyi majątków królewskich zesłany rewizor Hryhory Delnicki w dniu 7 czerwca 1561 r. zajął z Widohorzec

ziemi włók 2, morgów 23, prętów 10, pręcików $8^1/_2$, za co z Borciańskiej włości oddał odpowiednią ilość ziemi; ze względu wszakże, że ziemia Widohorska jest lepsza, pani Fursowa otrzymała więcej ziemi o 6 morgów, 23 prętów i $1^1/_2$ pręcika.

W dziesięć lat później znowu podobna zamiana Widohorzec z włością Borską miała miejsce. Zesłani od rewizora Delnickiego geometrzy, Dymitr Delnicki i Janowicz, dokonali pomiaru, na którym pani Fursowa 15 morgów zyskała.

Pani Starościna Raduńska spokojnie w Poniemnie dni swych dożywała. W pięknej okolicy nad Niemnem stał jej dom na wzgórzu, u stóp jego poważnie główna rzeka litewska toczyła swe fale, na lewym jej brzegu ciągnęły się obszerne puszcze wiankiem wsi i folwarków otoczone, po prawej znowu stronie kraj lekko falisty, szeroki roztaczał widnokrąg; wśród drzew zieleni widniały rozrzucone wioski litewskie, gaje i laski na wzgórzach jakby klomby zataczały koła i mile w oko wpadały. Dzięki ocalonemu inwentarzowi, sporządzonemu w roku śmierci pani Starościny, możemy nietylko bliżej poznać stan tej części majątku, który sobie zostawiła, ale nadto przypatrzyć się bliżej wszystkiemu co ją z bliska otaczało. Sądzę, że te kilka szczegółów rzucą pewne światło na tamte czasy i dadzą poznać potrzeby ówczesnych ludzi.

Majątek nieruchomy, będący wyłączną własnością pani Fursowej, w chwili jej śmierci, według urzędownie w dniu 21 października 1574 r. sporządzonego inwentarza przez woźnego królewskiego Lidzkiego powiatu, Michała Hrehorowicza Jodki, w przytomności panów Tyta Wasylewicza Czubara, Hawryła Pawłowicza Wołczka i Fedora Nestorowicza Romanowskiego, składały następujące posiadłości: dwór z zabudowaniami folwarcznemi i należącemi do niego bojarami i ogrodnikami, folwark Poniemnoje i folwark Szczarzeński — tudzież wsie: Dołhe, Osmaliszki, Honczary i Szczara. Przestrzeń ta, porównywając z obecnym stanem majątku, wynosić mogła około 500 włók. Główną siedzibę stanowił folwark Poniemnoje. Przez kryte drewniane wrota wjeżdżało się przed dom z gankiem; sień z po-

długą dzieliła go na dwie połowy, po obu stronach znajdowały się obszerne dwie świetlice, w każdej było po pięć błon szklanych w ołów oprawnych, drzwi i okiennice miały żelazne zaszczepki i zawiasy, w świetlicach stały dokoła ławy i stoły; piece były polewane. Z sieni wchodziło się do miejsca potrzebnego *(komorka potrebnaja)*. Obok domu stał gołębnik, a pod spodem sernica. Spiżarnia stanowiła osobny budynek, wchodziło się do niej wprost z podwórza, dach pokryty był słomą. W chwili spisywania inwentarza znajdowało się w niej 10 kadzi niekwaszonej kapusty. W piwnicy murowanej pobitej dranicami, stała kufa niepełna syconego miodu trojniaku, którego mogło być około 20 uszaków.

Pod sienią mieszkalnego domu stały wielkie skrzynie na słupach z okuciem żelaznem i zamkami; przeznaczone one były na garderobę i bieliznę. Wymieniamy je szczegółowo: szubka z uterfinu[1] czarnego lisami podszyta; krótki jednoradek[2] czarny uterfinowy; sajan[3] z czarnego frustatu[4] zającami podszyty; drugi podobny uterfinowy; czapka czarna z uterfinu, podszyta kunami, suknia z czarnego murawskiego[5] sukna; szubka zajęcza bez wierzchu, kołdra z kitajki zielonej i wielki koc do przykrycia wozu.

Z bielizny miała pani Starościna: koszul koleńskich[6] 2,

[1] Uterfin — sukno cienkie. (Gołębiowski, „Ubiory").

[2] Odnoradok, jednorodek, rodzaj sukni. — Gołębiowski o jednorodku przytacza wiersz następujący:

„Trzeba sobie sprawić jednorodek jaki
„Coby był za kolana, albo giermek taki,
„Jakiś na wojnie zgubił".

[3] Sajan, sajanik, saya, suknia którą Górnicki, Rej, Kochanowski wspominają. „Kto we Włoszczyźnie się kocha, niechaj sobie krótką sukienkę, sajan przed sobą nie zawarty, zarzuci". (Dworzanin Górnicki). W sajanikach dworzanie chodzili. (Gołębiowski, „Ubiory").

[4] Frustat, frusztat, fursztat — materya jednobarwna wzorzysta; bywał i pół-frustat. Robiły je kobiety dziełem tkackiem na krosnach, wyobrażając jakiś przedmiot dobrany. (Gołębiowski).

[5] Sukna murawskie, to jest morawskie.

[6] Płótna koleńskie to samo co kolońskie. Sukna murawskie, płótna koleńskie i frusztat przy wprowadzeniu do kraju podlegały na mocy Instruktarza z r. 1643 opłacie cła po kopie od sta złotych miasto czwartego grosza.

długich koleńskich 2, zwyczajnych koszul 2, zwyczajnych długich 4, spodnich koszul 2, czepków haftowanych (tkanych) 4, czepek koleński 1, obrus niemiecki 1, prostych obrusów 5.

Pościel stanowiły: dwie pierzyny, dwie wielkie i dwie małe poduszki, skórzanych 9, poszewek koleńskich na poduszki 2, na pierzynę poszewka 1, kotar zwyczajnych do łóżka 2.

W osobnej wielkiej czarnej skrzyni znajdowało się grubego zgrzebnego płótna dwa postawy, obrusów grubych również dwa postawy.

Osobno złożone było płótno z linami i wszelkiemi potrzebami do żagla, tudzież dwa czerwone sukna z terlicami na dwa draby.

Z zapasów spiżarnianych znajdowało się starych wieprzowych połci 6, świeżych 2, kiełbas 12, serów 59, masła dwie kadki, pół jesiotra wędzonego, szczupaków suszonych 8, soli z pud, rzepy dwie beczki. W małej szkatułce przechowywane były korzenie i przyprawy, a mianowicie: pieprzu może pół funta, imbieru sześć korzeni, cytwaru 4, cynamonu 4.

Ze sprzętów kuchennych: opanwi 2, trzynóżek, kielia, druszlak, boronka i rożen.

Cyny stołowej: mis wielkich 4, półmisków 9, talerzy 10, konew wielka i mała, łyżek srebrnych pozłocistych 9, lichtarzów pojedyńczych 2, miednica, konew miedziana, nalewek 3; oprócz tego w tej samej skrzyni było: kobierców pstrokatych 4, zapon wielkich 4.

Znajdujemy jeszcze: medwedno (?), oszczep, szleje rzemienne z chomątem i siodłem na parę koni, piła poprzeczna, dwie uzdy, lichtarz żelazny, obraz i dokoteła (?).

Koło Niemna zaczęty był drugi dom, połowa dachu była dopiero dranicami pokryta; mieścił w sobie: izbę piekarnianą i czeladnią, sienie izby te przegradzały; obok znajdowały się dwa swirenki: jeden mały, drugi nieco większy.

Domek mały z gankiem; z sieni, oprócz zwyczajnych naprzeciw siebie położonych dwóch świetlic, w których było po cztery błony szklane w drzewo wpuszczone, a drzwi i okienice z okuciem żelaznem, znajdował się mały składzik i znowu *komorka potrebnaja*. W domu tym było miodu przaśnego około sześciu miednic, i dwa dzwony: jeden większy, drugi mały.

Brawar stał nad Niemnem; dwa znajdowały się w nim kotły: jeden piwny, a drugi gorzałczany.

Stajnia stara na nowo przestawiona, pokryta dranicami, sionki z boku prowadziły do świetliczki z piecem, a za nią jeszcze *komorka potrebnaja,* zapewne już dla służby przeznaczona.

W oborze stało krów dojnych 9, cieląt 9, wołów *oromych* 4, cielic 8, byków 2, owiec 14, świń dworskich 11, wieprzów karmnych 4, gęsi 52, kaczek 15, kur 4.

Stodoła słomą kryta; uradnik Iwan Makarowicz podał do inwentarza: żyta zapole jedno całe, jęczmienia dwa, prosa bardzo lichego kop 10, gryki kop 30, siana dwa zapola.

Wysiew żyta w 1574 r. wynosił razem 79 beczek; na jednem polu wysiano 55, a na drugiem 24 beczki.

Zabudowania otaczał parkan z tynu, a około *toho tynu ostawleno kołyjem szybszowatym.*

Na folwarku Lipiczańskim dwór podobny miał rozkład jak w Poniemnoje; obok stały dwa swirnie, stara piwnica i *hrydnia* słomą kryta. Wszystkie te budowle w bardzo smutnym znajdowały się stanie. Stodoła słomą poszyta mieściła w sobie użątku żyta dwa zapola pełne, gryki kop 50, jęczmienia 10, owsa 50, prosa 6, siana wozów 100.

Folwark Szczarzeński w najsmutniejszym znajdował się stanie, sprzętów żadnych zgoła nie było, *odna tolko pustowszczyna,* jak się p. Jodka wyraził.

W majątku znajdowało się trzech parobków, a czwarty był razem ogrodnikiem i rybakiem; posiadali chałupy a zapewne i ogrody: *oseleny buły chałupami swoimi*; w ciągu tygodnia mieli dwa dni wolne: niedzielę i poniedziałek, *a w tyje dni powinny służyty czym każut.*

Osad bojarów pancernych było 10; z tych jedna, Koczalewszczyzna, leżała pustką; wymieniamy je szczegółowo: Jan Makarowicz na Bychowszczyźnie, Mikołaj Hrychowicz na Juszkielewszczyźnie i Kościuszko Fedorowicz, obowiązani byli do całkowitej powinności ciągłej *(służba tiahłaja zupołnaja);* Matys Strombasz z bratem Józefem, Wojciech Karijkielewicz Buttal i Andrej Sunihajło na Heknewszczyźnie, z ziemi bojarów pan-

cernych po pół służby odbywali. Jan Borowik i Jan Jaroszewicz oprócz wyżej wymienionej powinności, trzymali jeszcze po połowie Jewtikowszczyznę, należącą do bojarów putnych, za którą płacili czynszu po 30 groszy. Wkońcu wymieniony jest Michno Iwanowicz Korsak, który z Mikancowszczyzny obowiązany był na równi z innymi poddanymi odbywać „ciągłą powinność". Pamiątką po Korsakach zostało uroczysko Korsakowszczyzna i wieś Korsaki.

Z putnych bojarów wymieniony jest jeden Marcin, który płacił kopę groszy czynszu i obowiązany był odbywać latem tłoki dni jedenaście.

We wsi Osmaliszkach znajdowało się 13 ciągłych gospodarzy i jedna pustka, z tych Osmulnik miał dwie sochy wołów, dwie klacze i odbywał dwie służby, wszyscy inni jednę służbę, każdy posiadał jednę sochę wołów, jednę lub dwie klacze. Ławrynowicz był także prystawem.

W Honczarach pięciu gospodarzy taki sam jak w Osmaliszkach posiadali dobytek, ale prócz odbywania całkowitej służby odbywali jeszcze tłoki dni 12 i opłacali dziakła po kopie groszy.

Wieś Dołhe skutkiem powietrza uległa niemal zupełnemu opustoszeniu; pozostało tylko trzech gospodarzy, którzy po pół służby odbywali, a jeden trzy dni na tydzień odrabiał; zresztą, *zemli mużyckie sut' pusty.*

Ogrodników w Lipiczanach było jedenastu; odbywali po trzy dni na tydzień. Szczara w najsmutniejszym znajdowała się stanie: z pięciu gospodarzy dwóch całkowitą odbywało powinność, a trzech po połowie.

Inwentarz wspomina, że całą opisaną wyżej spuściznę po pani Starościnie Raduńskiej, na mocy zapisu testamentowego, odziedziczył syn jej Stanisław Awhustynowicz Furs. Dowojna wkrótce umarł także, część jego w Lipiczanach spadła na jakiegoś krewnego i p o w i n o w a t e g o Stanisława Szczęsnowicza Fursa i siostry jego: Rainę, Zofię, Hannę, Halszkę i Felicyę; nowy dziedzic wszakże niedługo posiadał tę spuściznę, znajdujemy bowiem akt starannie spisany, bez daty wszakże, podpisu i pieczęci,

zawsze jednak przed końcem XVI. wieku, w którym p. Stanisław Szczęsnowicz Furs, w swojem i sióstr imieniu, sprzedaje spadek swój w Lipiczanach za 300 kóp groszy litewskich *Jaśnie Wielmożnemu kniażati na Dubinkach i Birżach Radziwiłłu Juriu Mikołajewiczu, wojewodzicu Nowogrodzkomu, starostie Mozyrskomu.*

Następnie Radziwiłłowie nabyli całe Lipiczany, które zostawały w ich ręku aż do przejścia tej majętności w dom Tyzenhauzów, co miało miejsce w drugiej połowie zeszłego stulecia.

Stan. Adam.

KS. STANISŁAW SOKOŁOWSKI.

Studyum do dziejów kaznodziejstwa XVI. wieku.

(Dokończenie).

Przeszliśmy dotąd w ogólnych zarysach żywot i pisma ks. Sokołowskiego; pozostaje nam jeszcze rozpatrzyć się w jego kazaniach, któreśmy pominęli.

Nuntius salutis, jak to już wyżej wspomniano, jest zbiorkiem pięciu kazań. Nie mają one jednak głębszego znaczenia pod względem wymowy i dlatego nie zapuszczaliśmy się w szczegółową ich analizę.

O wiele charakterystyczniejsze są kazania Sokołowskiego, wydane pod tytułem: *Orationes ecclesiasticae* [1]. Kazań tych jest siedm; pisane są po łacinie [2].

Niestety i tu doznajemy zawodu. Kazania te nie przechowały się w pierwszej swej formie krasomowczej; autor, ogłaszając je drukiem, przerobił je całkowicie, zlał w jednę całość, i z kaznodziejskich przemówień, pełnych życia i zapału, zrobił dzieło teologiczno-apologetyczne, w którem wykazuje błędy herezyi, zarażające nietylko dusze, ale też grożące zgubą Rzpltej; jest to raczej szereg traktatów, w których czasami tylko z poza teologicznych wywodzeń i argumentacyj wychyla swe oblicze

[1] *Coloniae apud Cholinum* 1587; *Cracoviae opera omnia*, t. I., 1591.

[2] A więc oprócz dwóch czy trzech listów nic niestety po polsku nie zostawił po sobie ks. Sokołowski; dotychczas przynajmniej nic takiego nie znamy.

gorący mowca. Wielka to szkoda dla naszej kaznodziejskiej literatury.

Mimo to warto nieco dokładniej wglądnąć w te siedm kazań. Rozpatrzmy je w tym porządku, w jakim zostały razem wydane w ogólnym zbiorze dzieł Sokołowskiego.

Oratio pro religione catholica, to pierwsze kazanie, jakie spotykamy w tym zbiorze. Jest ono długie i obszerne, bo zajmuje aż 40 stron *in folio.* Wykazuje w niem Sokołowski złość i zgubność herezyi, która burzy wszystko — niczego nie buduje. Dosadnie i obrazowo przedstawia błędy reformatorów XVI. wieku we wszystkich odcieniach, wreszcie dowodzi, że wszyscy heretycy kończą na tem, iż nie mając powagi nauczycielskiej Kościoła, schodzą do pogańskiej bezbożności, a odrzuciwszy zasady moralności w religii katolickiej podane, nurzają się w występkach, wyłamują się nakoniec z pod władzy świeckiej tak, jak już duchownej posłuszeństwa odmówili. Niebezpieczni więc stają się państwu i całemu społeczeństwu. A mimo to — woła z oburzeniem, zwrotem zapożyczonym od Cycerona: *isti amantur, coluntur ac in manibus quasi feruntur* [1]. I to wyrywa z piersi jego okrzyk boleści i groźby: „Zatrzymaj się Polsko na tej złej drodze, — woła raz po raz — zatrzymajcie się Węgry i Niemcy, zatrzymaj się Francyo, bo jeżeli krok jeszcze zrobicie naprzód, padniecie i nie powstaniecie więcej!“

Dawniej umiano szanować i opieką otaczać religię katolicką, matkę cnót wszystkich — i lepiej się działo. Jagiełło nie przyjął tronu czeskiego, bo patrzyćby z niego musiał, jak religia katolicka jest poniewieraną. Dawniej strzegli monarchowie krajów swoich od heretyckiej zarazy i surowe przeciwko heretykom stanowili prawa... — Tu następują długie cytaty z praw przeciwko heretykom w różnych czasach wydanych, sięgając aż do Konstantyna, Teodozyusza, Walentyniana i innych.

W drugiej części zastanawia się Sokołowski nad przyczynami, które powodują wzrost herezyi, i nad symptomami, które tę chorobę od dawna zapowiadały.

[1] Str. 338.

Grzechy i występki ludzkie, to ogólna przyczyna; w szczególności zuchwalstwo i pycha, rzucająca się do badania praw Bożych i praw Kościoła, a zapominająca, że osobny na to od Chrystusa jest ustanowiony urząd. Smutnym tego objawem była u nas książka Jana Ostroroga, napisana w r. 1447 *(sic)* dla króla Kazimierza Jag.; już w niej rzucone są nasiona złego, jakie teraz widzimy.

Niemniej ważną przyczyną, to nieprawne postępowanie przy nadawaniu beneficyów. Należało to dawniej do władzy duchownej, teraz niestety wszystko prawie przeszło w ręce królewskie. U władzy świeckiej ubiegają się o beneficya, a jakiemi sposobami, to aż wstyd mówić. Dostają się na urzędy kościelne ludzie niegodni, a nieraz całkiem źli i Kościołowi nieprzyjaźni. Co więcej, dochodzi do tej poligamii duchownej, iż jeden różnemi sztuczkami gromadzi wiele beneficyów dla siebie, a to tylko na to, by brać dochody i z dala od swej owczarni, od swego urzędu żyć wygodnie i używać. Z boleścią zaznacza to kaznodzieja, że *lupis committuntur oves, haereditas dilecta Christi praedae haereticorum exponitur.*

Niedbalstwo króla dla czci Bożej naśladują panowie. Od pijatyki, nie wezwawszy Boga na pomoc, idą do rady; jak się przygotowali, tak też radzą. Za panami idzie lud.

Dalszą przyczyną złego, to pogarda władzy, szczególnie duchownej. Ależ ta władza jakże się sama poniża! Jaki brak u duchownych poczucia swej godności! Ledwie że się nie rzucają pod nogi królom i panom, by po nich na konia wsiadali. Stąd pogarda dla wszystkiego, co duchowni popierają i co od nich pochodzi. Przedmiotem śmiechu są pobożne praktyki i wierne zachowywanie przykazań Bożych; kary kościelne nie wywierają żadnego wpływu. Doszło do tego, *ut neque lex, neque rex in Israel esset; vires cuiusque lex iniustitiae, libido norma temperantiae, avaritia et cupiditas regula parsimoniae* [1].

Inną złego przyczyną jest pogarda przeszłości, gonienie za nowością. Każdy błąd, byle tylko występował przeciw odwiecznym

[1] Str. 363.

prawdom wiary, znajduje zwolenników w imię tejże nowości i postępu. A nadto przestawanie z heretykami, łączenie się z nimi, jakżeż ułatwia przeciskanie się złego do wszystkich warstw społeczeństwa. A przecież ostrzega Chrystus, by za faryzeusza i celnika mieć tego, kto upornie trwa w złem. Ale to napróżno. Szkoły w kraju słynne ze swej prawowierności pustkami stanęły, bo wszystko spieszyło do obcych, gdzie za wielką cenę nic się nie nauczyli, tylko przejęli się mrzonkami heretyckiemi; z zagranicy, jakby z jarmarku, naprzywozili nowostek religijnych. Unikać trzeba heretyków, jak zarazy, a cóż dopiero z nimi się bratać!

A nietylko przez zetknięcie się, — mówi dalej — ale i przez książki rozszerzają heretycy zarazę. Książki pełne jadu rozchodzą się swobodnie bez cenzury, bez zbadania ich pierwej przez władze. Nie tak było pierwej.

Wreszcie filozofia starożytna — i to miecz obosieczny. Sam kaznodzieja pełen jest uwielbienia dla rzymskich i greckich pisarzy, ale nie waha się stwierdzić z św. Grzegorzem Naz., że „podstępna sztuka rozprawiania Arystotelesa i czar wymowy Platona spadły na Kościół, jak owe plagi na Egipt". A z drugiej znów strony zaniedbanie tej filozofii sprowadza drugie niemniejsze zło: brak logiki, nieznajomość dystynkcyj i argumentacyj i zupełną niemoc umysłową wobec subtelnych zarzutów przeciwników. Sam przecież wróg Kościoła, Juljan Apostata, zakazał dzieciom chrześcijańskim czytać autorów starożytnych, by, jak mówił, wyćwiczone w subtelnem władaniu argumentacyami, nie mogły się później oprzeć z łatwością fałszywym wywodom.

Przy tej okazyi cytuje kaznodzieja z Sokratesa i Sozomena całe ustępy, wyliczając aż 21 różnych podstępnych sztuczek Juljana w walce z Kościołem, by wykazać, że teraz wielu jest takich Juljanów, którym nienawiść do Kościoła dyktuje te same środki. Z temi cytatami w ręku wygląda ks. Sokołowski bardzo wspaniale, ale znudziłyby nas nie pomału, gdyby tak stanął na ambonie.

Przedstawiwszy zło całe i zbadawszy jego przyczyny, pła-

cze kaznodzieja słowy Jeremiasza nad poniżeniem wiary w Polsce, nad ruiną wspaniałej budowy Bożej, i nawołuje króla, panów, kapłanów i lud cały do wiernego spełniania obowiązków, i woła z zapałem po trzeci już czy czwarty raz: *Siste gradum Polonia, siste Hungaria, siste Germania, siste Gallia; non enim amplius progredi poteris: rues — si porro vel uno gradu processeris.*

Jeżeli gdzie, to w tem kazaniu wydaje się Sokołowski na ambonie „Senatorem radzącym o dobru Rzpltej na zasadzie instrukcyj wziętych od samego Boga, i nigdy niespuszczającym Ojczyzny z swej myśli, Obywatelem-Kapłanem“ [1].

Zapał niepospolity bije z tego kazania. Są tu i piękne obrazy, jak np. ten ustęp o heretykach, co odrzuciwszy wszystkie po kolei sakramenta, sprawili między ludźmi straszny chaos i zamęt, a potem jako Tytani nagromadzili góry błędów, by się wspiąć do nieba i strącić z tronu Chrystusa; to znowu rzucili się na czyściec, aby jego ogień zagasić — wreszcie na siebie samych targnęli się w zaciekłym szale i odejmują sobie wolną wolę, odzierają się z dobrych uczynków. Jest w tem kazaniu gorliwość wielka o chwałę Bożą; w każdym niemal ustępie widać propagatora idei i reform soboru Trydenckiego, przytem wszędzie przebija śmiałość i odwaga apostolska. Osłona prawna dana herezyi w konfederacyi w r. 1573, przestawanie i bratanie się z heretykami, frymarki beneficyami, niegodne często zachowanie się duchownych, a przedewszystkiem zuchwalstwo heretyków, zgubne dla Rzpltej — wszystko to podnosi, wszystko wytyka śmiało i odważnie, nie oszczędzając ani możnych, ani prałatów, ani samego króla. Szczerą tylko prawdę wypowiedział o sobie, kiedy w dedykacyi do biskupa Myszkowskiego napisał: „Nic nie opuściliśmy prawie, co zdawało się służyć do przywrócenia dobra pospolitego i do utwierdzenia wiary ojców“.

Osłabiają to kazanie, jak już wspomniałem, zbyt długie cytaty z ustaw prawnych, z historyi i Ojców Kościoła. Nie było oczywista tych cytat na ambonie, a przynajmniej nie tyle. Kazania były pisane wówczas, kiedy iść miały do druku, jak mówi

[1] Sołtykowicz, „O stanie Akademii Krak.“.

sam autor w liście do króla Stefana, przedtem robił tylko dorywcze notatki. Gdyby poodcinać to wszystko, co prawdopodobnie w druku dopiero przyrosło, otrzymalibyśmy kazanie wielce zajmujące i pełne zapału, któreby mogło może stanąć obok kazań Skargi. Gdzie i kiedy powiedział Sokołowski to kazanie, nie wiadomo. W druku pojawiło się dwukrotnie [1].

W związku z tem kazaniem jest drugie p. t.: *Oratio pro cognoscendis et fugiendis falsis prophetis et corum doctrina,* albo jak brzmi tytuł innego wydania: *De vestitu et fructu haereseon.* Jest to jakby dalszy ciąg mowy poprzedniej. Tam napiętnował kaznodzieja złość błędów heretyckich wogóle, — tutaj demaskuje tych, co źródła dawnych herezyj na nowo otwierają, co wznawiają zapomniane innowiercze doktryny i sieją kąkol na roli Chrystusowej. Są to wilcy drapieżni, których strzedz się każe Chrystus; przychodzą bowiem w owczem odzieniu.

Cóż to za owcze odzienie? Są to pozory prawowierności, któremi zdrożne swe tendencye i doktryny pokrywać zwykli heretycy.

Jednym z takich pozorów, których wiele wylicza kaznodzieja, to Pismo św. Przyobleczeni Pismem św., niby piękną a delikatną wełną baranków, wydają się sekciarze prawdziwymi prorokami; głoszą przecież i podają to, czego wrzekomo naucza Pismo św.! Taki heretyk w rzeczywistości wilkiem jest, bo nie pości, nie modli się, nie uznaje władzy nad sobą, naucza, że Syn Boży mniejszy jest od Ojca i t. d.; tymczasem na zewnątrz zdaje się być owcą, gdy woła: „Nie to, co wchodzi w usta plami człowieka“, albo to: „Modląc się, nie bądźcie wielomówni, jak poganie“, lub znowu: „Słuchać trzeba raczej Boga niż ludzi“, lub też nareszcie: „Ojciec mój większy jest, niźli ja“ i t. p.

Jakżeż odróżnić tych proroków fałszywych od prawdziwych? „Z owoców ich poznacie je“. A któreż to są owoce herezyi? Odpowiada kaznodzieja, że chciwość, pycha, świętokupstwo, rozpusta, opilstwo nie są owocami wyłącznie proroków

[1] W r. 1587 *Orationes Ecclesiasticae,* i w r. 1591 *Opera omnia Coloniae,* t. I., Kraków.

fałszywych, bo i u prawdziwych proroków, u kapłanów i sług Bożych, takie same owoce, niestety, spostrzegać się dają. Ale zuchwałe miotanie się na wszelką powagę, na wszelkie prawa, i obrzucanie błotem wszystkiego co stare katolickie, oto pierwszy wyłączny owoc herezyi. Od pierwszej herezyi pysznego szatana, który postanowił tron swój wynieść ponad Boga, taki owoc wydawały wszystkie herezye aż do ostatnich czasów. Nigdy Luter, Kalwin i im podobni nie nazwali papieża inaczej, jak Antychrystem, biskupów potworami, kapłanów narzędziami szatana, książąt i królów katolickich faraonami, tyranami i t. p. Dowodzą tego ich pisma.

Owoc herezyi, to nieposłuszeństwo powszechne. Dowodem tego czasy teraźniejsze. Nigdzie niema posłuszeństwa, gdzie jest herezya. Dzieci, uczniowie, żony, słudzy i poddani, wszyscy jednym chórem wołają: „nie będę służył!“ W ten sposób jasno i zręcznie okazuje opłakane owoce herezyi. Nieład, zamieszanie, niezgoda, zawziętość Kaimowa ku katolikom, bluźnienie na dogmata wiary, uprawnienie najgorszych występków, chylenie się ku coraz większej bezbożności, powszechne rozdrażnienie i niepokój, wreszcie ruina wiary i moralności — oto owoce, oto dzieła owych proroków.

A więc ci prorocy szkodliwi są; nietyle szkodzą oni Kościołowi, bo on jest opoką, której piekło nie zwycięży, ile raczej państwom i całym społeczeństwom. Przez nich niezgoda i zamęt; a przez tę niezgodę naszą rośnie w potęgę barbarzyniec, wzmaga się nasz nieprzyjaciel. Choćbyśmy tysiące sojuszów i przymierzy zawarli, nigdy między nami pokoju nie będzie; niepodobna byśmy te ziarnka piasku ze sobą spoili, niepodobna, by się uspokoiło to wrzące morze. Niech się nie spodziewa wewnątrz siebie spokoju ta Rzplta, która niezgodnych heretyków w łono swoje przyjęła. — Pięknie i wyraziście opisuje dalsze owoce herezyi: w silnych rysach przedstawia uprawnienie przez ich religię najstraszniejszych występków. Po mistrzowsku kreśli ten gorączkowy ich niepokój, to rzucanie się na wszystkie strony i ten zupełny ich rozstrój, w przeciwstawieniu do poważnego spokoju ducha i trzeźwości przodków, wiernych nauce Kościoła.

Pod koniec wreszcie tak się odzywa: „A gdyż wszyscy baczycie, że się we wszystkiem prawda pokazała, czegóż wam nie dostawa? Tego podobno, że się obaczyć nie możecie, w jakimeście wszyscy upadku. Widzicie i słyszycie, że te owoce heretyckiej nauki żywot wszystkich zasmucają, sumienie ich zarażają, królestwa i państwa niszczą, pobożność i uczciwość *tłumią*; a przedsię obaczyć się nie możecie, nauczyciele takich nauk przyjmujecie, chowacie, a prawie na rękach swych nosicie; ich fortunę, zdrowie, żywot takeście opatrzyli, prawem umocowali, spiskami utwierdzili i konfederacyami, iż też swojej wszetecznej nauki, swoich spraw nietyle przed prostym urzędem, ale też i przed królewskim majestatem śmieją bronić, i wolnościami sobie przez was uczynionymi wszystkiej swej nieprawości mają oswobodzenie. Takie tedy złe owoce czemu przypisujemy? czy słowu Bożemu? czy prawdzie? O! Boże zachowaj... Nie komu inszemu, jedno królom, książętom, przełożonym i rzeczompospolitym chrześcijańskim: ci tego broniąc, tych fałszywych nauk i ich nauczycielów namnożyli: i jako tego złego nadrobili, tak zasię z swem niedobrem musieli to jeść“ [1].

Wreszcie ponieważ więcej zwodniczą od innych miało postać wyznanie augsburskie, wykazuje kaznodzieja zręcznie, że i to wilk, tylko piękniejszą od innych wełną pokryty. Ostrzega więc szczególnie przed tym wilkiem-syreną.

W tem kazaniu okazuje się Sokołowski prawdziwym filozofem chrześcijańskim, jak go lubią nazywać ci, którzy o nim piszą. Bezwzględna i ostra logika, jasne a głębokie zrozumienie rzeczy, a przytem podziwienia godny spokój i miara: oto co szczególnie uderza w tem kazaniu, które często nastrojem swym przypomina Wujka. Powiedziane było we Lwowie, gdzie w roku 1578 był Sokołowski wraz z królem [2].

---

[1] Z tłum. Marc. Białobrzeskiego.

[2] Wydane we Lwowie 1578; tamże razem z kazaniem o upadku Jerozolimy tegoż roku; w Nissie (na Szląsku) w tymże roku; 1580 jako dodatek do Prelekcyj Płockich Górskiego; 1583 w Kolonii z trzema innemi kazaniami; 1587 tamże *Orationes Eccl. septem;* 1591 w Krakowie *Opera omnia* t. I. Tłumaczył je Marc. Białobrzeski.

Trzecie z rzędu kazanie nosi tytuł: *De causis supremi excidii Hierosolymitani.* Jest to może najświetniejsze z kazań Sokołowskiego i możeby mu nawet pierwszeństwo przyznać należało przed kazaniem pierwszem. Jest to jakby jedno z kazań sejmowych Skargi.

Skreśliwszy świetny stan miasta Jeruzalem, jego chwałę, bogactwa i potęgę, zastanawia się kaznodzieja nad przyczynami jego upadku. Główną przyczyną — rzecz charakterystyczna — to niezgoda w pojęciach religijnych, h e r e z y e. Opisuje ten cały zamęt, jaki z różnych nowostek religijnych powstał w Jerozolimie i wykazuje, że to koniecznie do zguby prowadzić musiało. Druga przyczyna, to zuchwałość i zarozumiałość, do której doszli Żydzi. Wzgardzili ludźmi od Boga zesłanymi, prorokami i królami, a wreszcie Mesyasza zniewagami okryli i do krzyża przybili. Dalej ambicya i pycha arcykapłanów, książąt i przewodników narodu, dążąca do wyniesienia siebie i szukająca w tym celu pomocy u obcych. Stąd przyszło do zamieszek i niezgody domowej; wreszcie kiedy obce wojska wpuścili do domu, powstał ostateczny zamęt i nieład, który przyprawił o zgubę ową świetną niegdyś stolicę. Wszystkie przyczyny skoncentrowały się w jednej ich zbrodni: umęczeniu Zbawiciela.

Po mistrzowsku kreśli kaznodzieja opłakany stan miasta świętego podczas oblężenia. Szczegóły najstraszliwsze, z Hegesypa i Józefa Żyda zaczerpnięte a zręcznie opowiedziane, dają uczuć całą grozę najstraszniejszej ruiny, jaką zna historya.

Te same przyczyny, te same wywołują skutki. Zastosowując obraz Jerozolimy do Polski, tak mniej więcej mówi Sokołowski:

„Z takich to przyczyn potężny gród upadł, runęło miasto święte, lud wybrany, kapłaństwo królewskie, gniazdo ludów mnogich, głośna królami, ulubiona Bogu, jego łaskami słynna stolica. Upadł gród, co to bez oręża zwycięstwa zwykł był odnosić; naród upadł, któremu słońce bieg swój wstrzymało, morze rozwarło przejście, a Jordan ustąpił się. Albowiem Boga swojego, który go zbudował, opuścił on lud; zapomniał Pana, Stwórcę swojego, upoliczkował sędziego Izraelskiego i nie wspomniał na przeszłe rzeczy swoje. Przeto odwrócił Pan odeń oblicze swoje

i rozważył przyszłe losy jego. Dlatego stał się jak nieprzyjaciel, strącił Izraela, wywrócił wszystkie mury jego, rozproszył szaniec, zadał mu ranę w serce, której nikt zleczyć nie zdoła. I jakież lekarstwo, jakaż się znajdzie rękojmia ratunku, gdy sprawca życia, zbawienia, nieubłagalnym gniewem się sroży?... Przestroga to i przykład wszystkim królestwom i rzeczompospolitym; radać to, czego się imać, i czego strzedz się mają, jeżeli długo chcą przestawać szczęśliwe, nieuszkodzone. A naprzód tobie, ojczyzno miła, stawiam zwierciadło, w którem się pilnie przeglądaj, poznaj twarz swoją i oblicze. Może podobną, albo kacerstwa, albo zuchwalstwa, albo pychy, albo zbrodniczych stronnictw skalanaś zmazą; możeś, co obce i obłędliwe nad własne przeniosła? Jeśliś wolna, niepokalana żadną z tych skaz, błogosławionaś, szczęśliwaś! Lecz, jeśli od stopy nogi aż do wierzchu głowy niema w tobie miejsca zdrowego, wyrzuć te męty, obmyj brudy swoje wprzód, nim usłyszysz wyrok sędziego: ‚Przyjdą na ciebie dni, kiedy powalą cię nieprzyjaciele twoi o ziemię i syny twoje, i nie pozostanie kamień na kamieniu w tobie, bo nie poznałaś czasu nawiedzenia swego...' Podobno rzeczesz, żeś nie sprzedała Chrystusa w cenie obuwia: lecz sprawę jego Kościoła św., ołtarze nawet, świątynie, a bardziej jeszcze prawo i sprawiedliwość, jakżeś często sprzedała za lichą cenę, a częściej darmo może. Odpowiesz może: w Ogrojcu pojmanemu rąk nie skrępowałam łańcuchami; ale podobno ramię wszechmocności jego wielokrotnie odpierasz, kiedy bezczelnie i nierozumnie wyrokujesz, że jego bóstwo wszechwładne nie sięga wyżej nad twe pojęcie i ciasny zakres rozumu... Zbawcy swojego do krzyża nie przybiłaś, lecz z tronu od prawicy Ojca niebieskiego bezbożnie i zbrodniczo zepchnąć go śmiałaś... Obyś więc i ty poznała dzień nawiedzenia twego wprzód, nim przyjdą na cię klęski wszystkie, któreś własnemi rękami ściągnęła na się i którym drogi przestronnej uścielać nie przestajesz. Nie tak z ochoty, jak obowiązkiem zmuszony, com był winien dla ciebie, spełniłem dzisiaj; wyrzekłem... ty zaś patrz i rozważ co masz czynić na przyszłość, nim nastąpi dzień ów Pański wielki i straszny bardzo, dzień

ciemności i skwaru i błyskawic i piorunów, a któż go wytrzyma? Jeruzalem! Jeruzalem! nawróć się do Pana Boga twego“ [1].

Hozyusz, przeczytawszy to kazanie, zdrętwiał ze strachu, jak pisze do króla, pełen obawy, by się nie spełniła groźba Sokołowskiego, który mówi często jak Izajasz, i by ta Rzplta osłabiona zamętem herezyi nie upadła jak Jerozolima. Nie słyszał on Sokołowskiego z ambony, ale z pisanych jego kazań czuje, jak powiada, bijące życie i siłę. To też pisze do autora list pełen zachęty i prosi go, aby wołał na króla, aby się starał przebłagać Boga i powyrzucać bogi obce. Zazdrości mu, że tak otwarcie prawdę wypowiada: „nie mówisz, by się podobać, jak robi wielu, ale nagą prawdę jasno wskazujesz“.

Mimo wielkich zalet tego kazania, spotykamy i w niem czasami za długie cytaty, jakoteż niektóre zbyt naukowe i zimne wywody, których zapewne Sokołowski nie rozwijał na ambonie [2].

Czwarte z kolei miejsce między kazaniami Sokołowskiego zajmuje mowa powiedziana w Warszawie podczas konsekracyi nuncyusza Caligari'ego na biskupa (1578) i jemu też dedykowana w r. 1580, pod tytułem: *Epithalamion sive de consecratione Episcopi.* Kazanie to w druku uledz musiało bardzo wielkiej przemianie; przypuścić można na pewne, że w czasie samej uroczystości nie męczył Sokołowski nowo konsekrowanego biskupa i jego konsekrantów wieloma ustępami i cytatami, które dziś w tem kazaniu czytamy.

Przypatrzmy się nieco treści. Zwraca najprzód Sokołowski uwagę słuchaczy, że konsekracya biskupa, to wielkie gody kościelne, to zaślubiny nowego pasterza z jego oblubienicą — Kościołem, i wypowiedziawszy wzniosłą pochwałę stanu kapłańskiego, którego biskupstwo jest uzupełnieniem, poczyna wykładać znaczenie ceremonii konsekracyi. Wyjaśnianie ceremonii — pomyśli czytelnik — to rzecz, która tylko znudzić może słuchaczów. Takby się mogło nieraz wydawać, ale nie tak jest z wykła-

[1] Ustęp tłumaczony w Lipnickiego: „Zasady kaznodziejstwa“, t. I., 217.

[2] Wydane we Lwowie razem z poprzedniem 1578; w Krakowie 1580 *Excidium Hierosolymitanum*; z trzema innemi 1583: *Orationes Eccl. sept.* 1587; *Opera omnia* t. I., 1591.

dem ks. Sokołowskiego. On wyjaśnia ceremonie tylko dlatego, by mieć sposobność zwrócić uwagę na złe, które się dzieje, by okazać, jak straszne to świętokradztwo, rzecz tak wzniosłą i świętą jak stan biskupi hańbić i deptać, dopuszczając się czy to przy obsadzaniu biskupstw, czy przy sprawowaniu funkcyj biskupich, podstępów, niedbalstw i niezbożności. Dlatego też niejednej ceremonii poddaje znaczenie, które chyba on pierwszy dostrzegł, a nie można zaprzeczyć, że trafne. Posłuchajmy np. jak mówi: „Otrzymawszy nowy biskup od konsekratora pocałunek pokoju, przynosi mu, jakoby swemu ojcu duchownemu, dary, a mianowicie chleb i wino, jak to postanowił papież Melchiades, a przed temi darami niosą dwie świece. Chleb i wino przynosi jużto dlatego, by oznaczyć, że wstępuje w urząd tego, o którym powiedział Duch Św.: ‚Tyś jest kapłanem według obrządku Melchizedecha', jużteż, jak ja sądzę, dlatego, by okazać to ubóstwo, jakiem się odznaczali biskupi w pierwszych wiekach Kościoła, u których największem bogactwem był chleb i wino. Podaje się zaś te dary wśród światła, by między te dary liche nie dostało się, ani nie podrzucono czego większej wartości (wiecie, co przez to rozumiem). Źle się bowiem dzieje, gdy to co się należy zasłudze i cnocie, dostaje się osłowi złotem obciążonemu“...

Tłumaczenia tak dosadnego napróżnobyśmy szukali po wszystkich ceremoniałach i wykładach. U ks. Sokołowskiego znajdujemy takie szczegóły co krok. To też kto chce poznać stan duchowieństwa polskiego owych czasów, czyta to kazanie z niezmiernem zajęciem i ciekawością.

Nie szczędzi Sokołowski w tem kazaniu wskazówek i nauk moralnych nikomu. I król i nowo konsekrowany nuncyusz i inni biskupi otrzymują swój obrok duchowny. A czyni to wszystko z niezwykłą powagą i wielką zręcznością. Tłumacząc naprzykład ceremonię oddania konsekrowanemu księgi Ewangelii, przypomina mu, że Kościół oddając mu tę księgę, żąda od niego, by on uczył wiernych, a uczył tak, jak uczy sam Kościół. Narzeka z Jeremiaszem, że potwory odsłoniły piersi swe, by karmić swe młode, a córka ludu Bożego okrutna jak struś na pustyni po-

rzuca je. Heretycy pilni są w karmieniu jadem wyznawców swoich, a biskupi katoliccy, niedbali i okrutni jak one strusie, tak daleko idą w swej złości, że nawet komu innemu zgłodniałych nakarmić nie dozwalają, gdy obsadzają probostwa takimi, którzy nie rozumieją obowiązków swoich. A przecież św. Paweł Ap. woła: *Vae mihi, si non evangelizavero.* Kiedy zaś przypomina, że mitra, to zbroja na głowę, by się bezpiecznie mógł biskup potykać z samemi mocami piekła, woła: „O spokój i odpoczynek dla siebie się staramy; sądzimy, że niebo się zerwie, jeżeli hojniejszymi będziemy dla Kościoła w słowach i czynach. Zbyt bojaźliwi jesteśmy; w bezczynności i odrętwiałości zbyt gnuśniejemy. Niegdyś był na to czas, kiedy spokój był w Kościele Bożym, kiedy była cisza i pomyślność wszelka,... teraz jest burza, pioruny biją w szczyty najwyższe; wszędzie grozi rozbicie, ciężka wojna i utarczki nadchodzą, — inne teraz okoliczności. Otrząść się więc trzeba z tego ospalstwa, zaniechać rozkoszy, za broń i za ster chwycić, zanim burza w rozbiciu pochłonie was i trzodę waszą".

Ale ks. Sokołowski jest przedewszystkiem kaznodzieją króla. Jakaż nauka, jaki owoc z tego kazania dla króla? Król niech na to przedewszystkiem pamięta, że kiedy wybiera i przedstawia kandydata na biskupstwo, powinien zważać, by to był mąż odpowiedni tak wysokiej godności i urzędowi. Jakaż to odpowiedzialność, jeżeli z winy królewskiej dostanie się na ten urząd „najemnik zamiast kapłana, wilk zamiast biskupa, złodziej i rozbójnik zamiast pasterza". Opłakany jest stan nasz pod tym względem; rozdarcie i zamęt wewnętrzny, pogarda dla władzy, rozluźnienie wszystkich węzłów karności i posłuszeństwa — oto stan, który widzimy, który nas przestrasza, aleśmy sobie sami winni, kiedy dajemy władzę tym, co są niegodni.

Sumienia poddanych roztrząsa na ostatek kaznodzieja. Czy byli posłuszni swym pasterzom? czy ich czcili należycie? czy dziesięciny z ochotą wnosili do ich gumien?

Nie byłby Sokołowski Sokołowskim, gdyby w którym kazaniu o heretykach zapomniał; zwraca się więc do nich i tutaj, i pyta ich czemu zarzucili te wzniosłe i piękne ceremonie; czemu

chcą mieć nauczycieli bez zbadania ich, biskupów bez włożenia rąk, kapłanów bez namaszczenia...

Wreszcie kilka uwag i upomnień dla nowo konsekrowanego. Zaleca mu szczególnie umiarkowanie i łagodność. „Poskramiać będziesz wilki, ale nad owcami panować nie będziesz; podjąłeś się bowiem paść je a nie uciskać; trzymaj się środka, jeśli nie chcesz przebrać miary“... Kończy wreszcie, obdarzając go na tę nową drogę licznemi błogosławieństwami z Pisma św.

Kazanie to było chciwie czytane przez dostojników Kościoła polskiego. Marcin biskup wrocławski pisze do ks. Sokołowskiego, że każe to kazanie wydrukować w Nissie, by wszyscy kapłani mogli je czytać i przekonać się o wielkiej godności swojej[1].

Piąte kazanie jest dogmatyczno-apologetyczne: *Pro cultu et adoratione Jesu Christi in Eucharistiae sacramento.* Powiedział je kiedyś Sokołowski w uroczystość Bożego Ciała, a ogłaszając drukiem, poświęcił biskupowi sufraganowi płockiemu Jakubowi Bielińskiemu. Są w tem kazaniu ustępy odznaczające się wielką siłą uczucia i wysłowienia.

Poczyna od zarzutów, jakie Tajemnicy Ołtarza czynili niedowiarkowie i odszczepieńcy wszystkich wieków i czasów — każdy z tych błędów i herezyj określa z wielką precyzyą i zbija wszystkie, zacząwszy od pogan z pierwszych wieków chrześcijaństwa, którzy w czci Najśw. Sakramentu upatrywali cześć Bachusa i Cerery, aż do najrozmaitszych wymysłów i bluźnierstw herezyi wieku XVI. Wszystkie prawie te herezye zarzucały katolikom mniej więcej jednozgodnie bałwochwalstwo.

Z całą więc ścisłością dogmatysty udowadnia Sokołowski, że Bogu cześć się należy i kult najwyższy, że Chrystus Pan jest Bogiem-człowiekiem, że osoby Jego nie można dzielić na samego tylko Boga, ani też na samego tylko człowieka; że więc Chrystusowi, Bogu-człowiekowi należy się cześć boska w Najśw. Sakramencie. Cały ten wywód poparty jest argumentami z Pisma św., Ojców Kościoła i rozumu. Syllogizm przeprowadzony jest

[1] Wydane w Krakowie 1580 i 1583; w Nissie 1580; w Kolonii z trzema innemi 1583; *Orationes Eccl. sept.* 1587; *Opera omnia* 1591.

z całą ścisłością biegłego w swym przedmiocie teologa i dyalektyka. Błędne twierdzenia i podstępne wywody heretyków sobie współczesnych zbija równie zwycięsko argumentami po największej części *ad hominem*, w czem nie ustępuje Wujkowi, który w tego rodzaju argumentacyi celuje.

A po tych wszystkich wywodach, podstawiwszy dosadnie złość i zuchwalstwo herezyi miotającej się na rzeczy tak święte, zwraca się z wielkim zapałem i uczuciem do Boga i pyta się Go, czemu się nie mści krzywdy swojej; czy może niema tu na ziemi kary na tych zuchwalców odpowiedniej? czy czeka Bóg, aż zupełnie przebiorą miarę w złości swej? czy też chce może, by król Stefan wraz z książętami chrześcijańskimi ukarał ich jak zasługują?

Napomina wreszcie heretyków, by porzucili błędy, a króla zachęca, by na wzór Dawida nie zważał na śmiechy i szyderstwa, ale by i nadal skromnością i pobożnością budował wszystkich, bo to go więcej zdobi niż purpura, korona i świetne orszaki [1].

Szóste z rzędu kazanie: *Pro dote Ecclesiae et hereditate Christi*, traktuje drażliwą sprawę dziesięcin, która w tym czasie zajmowała właśnie umysły i była powodem namiętnych sporów i walk między stanem świeckim a duchownym. Szlachta uchylała się coraz więcej od obowiązku składania dziesięcin. Chciano datek w naturze zamienić na pieniężny; duchowieństwo opierało się temu, skarżyło się, że mu się krzywda dzieje; wybuchły

[1] Wydane w Krakowie 1582 i 1584; w Kolonii: *Orationes quatuor* 1583 i *Orationes septem* 1587; *Opera* t. I. Tłumaczone przez Daniela Sigoniusza ze Lwowa, wyd. w Krak. 1590.

Dziwną się zdaje wzmianka w tem kazaniu o Grzegorzu z Sanoka, a raczej o jego stanowczem wystąpieniu w obronie czci Najśw. Sakr. po bitwie pod Warną. Rzecz znana z Kallimacha historyi Wład. Warneńczyka. Z tego co mówi ks. Sokołowski zdawałoby się, że nic nie wiedział o słynnym swym poprzedniku na katedrze w Akad. Krak., coby było dziwnem. Oto co mówi (t. I., str. 466): „Continere hoc loco me non possum Stephane Rex, quin apud te Imperatorem maximum, hosque tuos milites, inusitato quidem exemplo, sed huic loco maxime accomodato, *cuiusdam militis Gregorii Sanocei* brevem dehortationem recitem“ — i cytuje ustęp wspomniany z Kallimacha.

więc spory i wzajemne rozgoryczenie, w czasie którego nie płacono dziesięcin prawie zupełnie. Książęta kościelni, klasztory i niektóre probostwa w Polsce były bogato uposażone, ale większa część proboszczów żyła tylko z dziesięcin. Nie oddać im tej dziesięciny, znaczyło pozbawić ich środków do życia. Taki więc biedny proboszcz, jeśli się czuł pokrzywdzonym, szukał sprawiedliwości w sądach biskupich. Powaga juryzdykcyi sądowniczej biskupów słabła co prawda coraz bardziej w Polsce — mimo to jednak wyroki ich sądów w sprawach dochodów kościelnych znajdowały jeszcze sankcyę w egzekucyi władzy świeckiej; proboszcz więc uciśniony wydostawał nieraz swe dziesięciny. Kiedy jednak za Zygmunta Augusta weszli do senatu kaznodzieje luterscy (Małecki, Solitaryusz, Trepka), podniosły się zaraz głosy stanowcze przeciw dziesięcinom, popierane przez predykantów tem usilniej, że sami nie pobierali dziesięcin; wkrótce też uchwały sejmowe odmówiły biskupim wyrokom poparcia ze strony ramienia świeckiego. Kwestyę dziesięcin miano uregulować później.

Na razie ważniejsze spory religijne zajmowały wszystkich i odwracały chwilowo umysły od kwestyj drugorzędnych. Kiedy jednak konfederacya z 1573 r. uregulowała po swojemu sprawy religijne, a duchowieństwo po bezskutecznych protestach fakt ten uznać musiało, sprawa dziesięcin wyszła znowu na pierwszy plan. Spór się zaostrzył, rozpoczęła się zacięta walka na pióra, klątwom duchownych odpowiadały łajania i pogróżki świeckich, rozgoryczenie wzrosło do najwyższego stopnia. Szlachta gwałtem uwolnić się chciała od niemiłego ciężaru, a masom biedniejszego duchowieństwa groziła nędza. Wyjście było trudne — załatwienie więc całego sporu, „kompozycyę“ — jak nazywano wówczas tę sprawę — odkładano od sejmu do sejmu, nie zwracając na to uwagi, że im bardziej ją odkładano, tem się ona stawała trudniejszą. Król Stefan robił co mógł; z królewszczyzn musiano oddawać dziesięciny wiernie. Ugoda 1578 nie przyszła do skutku. Sejm na początku r. 1581 okazywał wielką niechęć do wojny, a z trudnością uchwalił pobory, zastrzegłszy sobie, by nie tykać sprawy dziesięcin, ale odłożyć ją do przyszłego sejmu.

Widzimy więc, że była to chwila dla duchowieństwa ważna. Ks. Sokołowski nie mógł milczeć. Troska o dobro Kościoła nie dała mu spocząć, a przyzwyczajenie samo nie pozwalało odłożyć pióra. „W żaden sposób nie przystoi, by duchowny podczas tej burzy pozostał bezczynnym“ — mówi w dedykacyi do prymasa Karnkowskiego. Napisał więc traktat w formie kazania, wydał go tuż przed sejmem r. 1582, dedykując go prymasowi. Że kazania tego nigdy nie wypowiedział z ambony, wskazują własne jego słowa w dedykacyi. Mówi, że napisał dopiero co kilka ksiąg dla króla o Kościele, których jeszcze nie wydał[1]. Kazanie więc to o „Uposażeniu Kościoła Bożego“ musiało być napisane przynajmniej na początku r. 1582, a w takim razie nie było wypowiedziane nigdy, bo wtedy już ks. Sokołowski chorobą przygnębiony, z ambony się nie odzywał, a napisane było jako dodatek do ksiąg o Kościele.

Dedykuje ten traktat, czy to kazanie, Karnkowskiemu, bo on jest pierwszym w tej Rzpltej stróżem i opiekunem Kościoła, on naczelnym wodzem w tej utarczce. Zresztą skłaniają autora do tego i obowiązki wdzięczności; Karnkowski wspierał go w pracy, był mu życzliwym i wraz z Zamojskim polecił go niegdyś królowi Stefanowi.

Tekst: *Reddite quae sunt Caesaris Caesari et quae sunt Dei Deo,* bardzo trafnie dobrany. Jeszcze trafniej i zręczniej ułożony wstęp. Przedstawia sobie Sokołowski, że widzi już tłumne i gwarne zebranie sejmowe; cieszy się, oglądając tak licznie zgromadzonych obywateli, którymi powoduje jedna myśl dobra Kościoła i Rzpltej i chęć ułagodzenia i zakończenia sporów wzajemnych. Myśl to wielka, chęci chwalebne; Bóg im błogosławi. Ale gdyby to wszystko niczem innem nie było, tylko obłudą, gdyby pokój mieli na ustach, a przekleństwo i niezgodę w sercu, to gromadzą złość na złości swoje — to ściągną na siebie przekleństwo Boże, i smutne będą owoce ich działania. Pocóż jednak i na jakiej podstawie rzucać takie podejrzenia?! Oni

[1] Wydane w r. 1583, o czem wyżej.

przecież są z tego narodu, u którego kłamstwo jest zbrodnią, a udawanie występkiem...

Zgrabne to *exordium* i prawdziwa sztuczka Cyceroniańska!

Przechodząc do rzeczy samej, zaczyna Sokołowski nie od dziesięcin, ale ogólnie od praw stanu duchownego.

Biskupi i kapłani, to przełożeni nasi, więc posłuszeństwo im się należy i szacunek. Oni są kapłanami, by ofiary składali Bogu, więc oddajmy im kościoły i ołtarze. Oni są pasterzami, oddajmy im trzodę i pastwiska. Oni nauczycielami, oddajmy im katedry, na których zasiedli zbiegowie, szewcy i pastuchy. Biskupi mają sądzić lud Boży, więc przywrócić im należy juryzdykcyę. Oni są wreszcie z dziedzictwa Chrystusowego, i przyjmując święcenia kapłańskie, mówią: *Tu es, qui restitues haereditatem meam mihi;* oddajcie im więc, woła, to dziedzictwo, z któregoście ich wyzuli, składajcie im dziesięciny, któreście im zabrali.

Udowadnia prawa duchownych do dziesięcin, prawem natury, prawem Mojżeszowem; cytuje liczne a długie nieraz ustępy z Pisma św., konstytucyj apostolskich i praw cesarzy chrześcijańskich. Przedstawia, jak ciężka jest dola ludu bez kapłanów. „Pamiętam, mówi, jak wracałem z królem z wojny z Płocka, widziałem w tej okolicy jednego tylko kapłana i to exkomunikowanego". Grozi słowami proroków strasznym głodem duchownym i t. d.

Zbija potem zarzuty. Powie kto: nie było dziesięcin w pierwszych czasach Kościoła. Długie cytaty z Ojców Kościoła zaprzeczają temu. Ale wtedy byli lepsi kapłani. „Jakimikolwiek — odpowiada — są ci kapłani, których oskarżacie, są oni wasi; to potomstwo wasze, krew wasza, od was pochodzą. Wyście ich polecili Kościołowi i biskupom i to natrętnie, gwałtownie, przemocą... A dlaczego ich tak polecacie? Dla zysku i własnej korzyści. A gdyby was nie posłuchano, wołacie w niebogłosy. Ale za to straszny kiedyś zdać musicie rachunek". Inne jeszcze zbija zarzuty i udowadnia, że dziesięciny należą się nie z łaski, ale z ścisłej sprawiedliwości. Na kapłanów woła, aby i oni oddali Bogu, co się Bogu od nich należy: „Porzućcie żołnierkę, klamki możnych, polowania, zbyteczne gospodarstwo, a tem więcej opil-

stwo i wszeteczeństwo". Oświadcza wreszcie, że nie przemawia tu za sobą, bo z łaski Boga i dobroci króla, sam jest w stanie dawać drugim; nie przemawia nawet tak bardzo za biskupami i dygnitarzami, ale głównie za tymi, „którzy w pośród was w pocie czoła chleb swój pożywają, a którym nie dać tego, co im się należy, znaczy ich zabić"; kończy wreszcie słowami zachęty do wspólnej miłości i zgody.

Rzecz ta cała o dziesięcinach stanowczo nie jest kazaniem. Jest to rozprawa napisana jasno i dosadnie, bez namiętności, z pewną tylko przymieszką oratorską. Nie można też jej zaliczać do literatury kaznodziejskiej, ale raczej do literatury polemicznej. W sprawie dziesięcin zajmuje ten traktat czy rozprawa miejsce pierwszorzędne; to też słusznie ks. Stephanides w zbiorze dzieł tej treści umieszcza na czele tę rozprawę ks. Sokołowskiego [1].

Choć tak doskonale napisane, skutku to dziełko nie odniosło. Burzliwy sejm w r. 1582 kompozycyi nie dokonał, a tem mniej następne. Sprawa dziesięcin nigdy załatwioną nie została.

Ostatnie kazanie: *Oratio pro vera et catholica libertate,* najmniej ma prawa do nazwy kazania. Jest to raczej traktat filozoficzny, w którym nie stara się nawet ks. Sokołowski o formę kazania; mógłby je tylko przypominać chyba ten piękny tekst z Pisma św., umieszczony na początku: *Semen Abrahae sumus et nemini servivimus unquam.* Rzecz cała napisana, oczywiście, w charakterze ściśle kościelnym; ale obok cytat z Pisma św., spotyka się tu także raz po raz zdania filozofów starożytnych; wogóle cała ta praca robi wrażenie dziełka filozoficznego o tendencyi politycznej. Powodem do niego było zapewne owo trąbienie szlachty na gwałt, z powodu „ginącej wolności", kiedy Zamojski przy boku króla bezwzględnie wykonywał prawo, którego „ofiarą" padł zuchwały Zborowski. Rozbujała w swawoli szlachta widziała w królu tyrana, w Zamojskim jego podżegacza i podporę

[1] *Opuscula tam ecclesiastici, quam equestris Ordinis nobilium virorum compositionis inter status negotio servientia,* wydane 1632.

Wyszła w Krakowie u Łazarza 1582 p. t.: *Compositio sive pro dote Ecclesiae et haereditate Christi ad Ordines Poloniae Regni,* 4° o 96 str., i w r. 1632 *Orationes septem, Opera omnia.*

a straszne widmo *absoluti dominii* w szlachetnych usiłowaniach obydwóch. Słowa pociechy niesie w przedmowie ks. Sokołowski wielkiemu kanclerzowi tak pokrzywdzonemu, a trzeźwe określenie wolności zaślepionej i niepotrzebnie strwożonej szlachcie. Przyczem rozszerza się niemało nad sławą rodu Zamojskiego, nad jego wielkiemi zasługami i nad złośliwą radością jego nieprzyjaciół, którzy takie przeciw niemu podnoszą krzyki.

Jakżeż się przedstawia sam traktat o wolności? Świat chrześcijański — mówi autor — znękany jest wojnami i nieszczęśliwemi burzami; szukamy nieraz przyczyn złego... jako główną przyczynę nieszczęść wskazują niektórzy dążenie do wolności. Całkiem fałszywie — bo wolność, to skarb najdroższy natury ludzkiej, owszem bez wolności żadnej nie będzie cnoty, żadnego postępu nauk, rozwoju sztuk pięknych, a ludzie sami przygnębieni niewolą, połowę piękności ducha utracą. Dowodem tego niewola turecka, a w niej Grecya, Węgry i t. d. Ale skądże tak fałszywe wyobrażenie o wolności? Ludzie przewrotni, a mianowicie h e r e t y c y, jak wszystko, tak i to pojęcie wolności krzywią i fałszują.

Nad wolność nic piękniejszego, ale kiedy przejdzie miarę, staje się karykaturą wolności i wtedy nic nad swawolę gorszego. Jakaż granica wolności prawdziwej? Jako ideał narodów wolnych, stawia autor wolność Żydów w Starym Zakonie, dalej wolność Spartan i Rzymian. Wspólne cechy wolności tych narodów muszą być ogólnemi i prawdziwemi cechami wolności.

Pierwszym warunkiem wolności jest to, by się zgadzała ze zdrowym rozumem. Co jest przeciwne zdrowemu rozumowi, przeciwne jest wolności. Nie jest to wolność módz hołdować namiętnościom, uciskać drugich i t. p. Rozum jednak często błądzi, należy się więc od jego zboczeń zabezpieczyć, biorąc za normę wolności rozum zbiorowy, który nam podyktował prawa. Co więc zgodne z prawem, to zgodne z wolnością. Jak to strzegły owe trzy prawdziwie wolne narody praw swoich! Martwa jednak litera prawa, nie mając względu na miejsce, czas i okoliczności, jest normą niedostateczną: potrzeba tłumaczy i stróżów praw, urzędników. Ich należy słuchać, jak prawa sa-

mego. Tak robiły owe trzy wolne narody. Wielu jednak jest takich, którzy dobrowolnie prawom poddać się nie chcą, a przecież one są granicą i normą wolności wszystkich; by więc wolność była zachowaną, trzeba nieraz przymusu, stąd kary. Kary należy szanować, jako konieczny dodatek do praw, całkiem zaś one nie ograniczają wolności. Przywodzi tu autor ową długą cytatę z Krytona, gdzie prawa przekonywają Sokratesa, by się nie uchylał od nich wtedy, kiedy one mu karę wymierzyć mają. Surowe były kary u onych trzech wyżej wspomnianych narodów.

Wolność jednak nie jest dobrem państwa jedynem. Nie może więc być tak dalece popieraną, by inne dobra przytłumiała. Jest to śliczna perła w ozdobie Rzpltej, która jednak dopiero wtedy prawdziwie piękną się przedstawia, kiedy jest w odpowiedniej oprawie. Złota lub purpurowa barwa, gdy jest nadmiernie użytą, psuje piękność obrazu. Nie powinna więc i wolność przytłumiać, owszem popierać winna rozwój religii, cnoty, moralności, dostatku, sztuk, nauk, handlu i t. d.

Niema także wolności tam, gdzie ona jest udziałem niektórych tylko wybrańców. U Żydów, Spartan i Rzymian tak strzegł wolności swej obywatel, żeby nie uwłaczał powadze kapłanów, królów i urzędników; rycerz tak czuwał nad swemi prawami, by nie był ciężarem dla ludu (?). Tak też być powinno, gdzie jest wolność prawdziwa. Uderza szczególnie na fałszywe pojęcie wolności tam, gdzie wojsko pustoszy pola obywatelskie, rozkłada się w domach prywatnych na zimę, żąda dowozu żywności i trybutów ile zechce. Tyranem jest ten, co tak postępuje.

Wreszcie ostatni warunek wolności: by złym nic nie było wolno, tylko być dobrymi, a dobrym było wolno wszystko, prócz być złymi. Nędzna tam wolność, gdzie złym wolno wszystko, a dobrym nic nie wolno.

Oto norma prawdziwej wolności. Państwa, które taką mają wolność, są wolnemi prawdziwie. Zachęca wkońcu do strzeżenia wszelkiemi siłami prawdziwej wolności, a unikania nadewszystko jej karykatury, tj. swawoli.

W tem wrzekomem kazaniu, właściwie rozprawce filozo-

ficznej, uderza nas nadzwyczaj ścisłe i logiczne przeprowadzenie rzeczy, czego nieraz w traktatach filozoficznych Cycerona napróżno szukamy. Trudno tylko zgodzić się na to zbyt idealne pojęcie, jakie ma autor o Żydach, Rzymianach i Spartanach. Taka absorbcya jednostek przez państwo, jaka była w Sparcie i Rzymie, wcale nie odpowiada ideałowi wolnego narodu. Również nie widzimy u tych dwóch narodów wszystkich warunków wolności, jakich sam ks. Sokołowski słusznie domaga się. Niema, mówi on, wolności tam, gdzie jej używają pewne tylko klasy ze szkodą reszty. A właśnie w Rzymie i Sparcie tylko klasy uprzywilejowane używały owoców wolności, a w dole pod ich nogami jęczał gmin, poniżony w ciężkiem jarzmie niewoli[1].

Przeszliśmy mniej więcej szczegółowo całą kaznodziejską spuściznę ks. Stanisława Sokołowskiego. I jakiż ostatecznie sąd wydać trzeba o kaznodziei? Gdybyśmy się opierali wyłącznie na samych tylko kazaniach, które nas w druku doszły — wyznać trzeba, że sąd ten wypadłby mniej może korzystnie; w każdym razie nie dorównałby tej opinii, jaką o Sokołowskim mieli współcześni, a która zdobyła sobie już obywatelstwo w naszej literaturze. Pamiętać trzeba jednak, — o czem już kilka razy wspominaliśmy — że żadne z drukowanych kazań ks. Sokołowskiego nie było powiedziane z ambony w tej formie, w jakiej je dziś znamy. Do kazań przygowywał się ks. Sokołowski robiąc tylko krótkie notatki, a resztę „zapał dyktował", jak sam pisze do króla. Zapał ten, jak z wielu danych wnioskować można, musiał być wielki, zwłaszcza, że ks. Sokołowski, o ile się zdaje, brał sobie za wzór kaznodziejów włoskich, którzy jak wiadomo odznaczają się akcyą wielce ożywioną, nieraz nawet gwałtowną i niespokojną. W swoich *Partitiones* powołuje się od czasu do czasu na kaznodziejów włoskich i stawia ich za wzór. Nie bez podstawy też pewnie pisał do niego Rzeszka z Rzymu: „Twoich

[1] Wydane to „kazanie" w r. 1587 *Orationes septem, Coloniae;* i 1591 *Opera omnia, Cracoviae.*

min i postrachu, jaki rzucasz nawet na królów, mniej się tu boimy my, co dalej jesteśmy od ciebie“ [1].

Ustępy z niektórych kazań, przytoczone przez nas powyżej — pełne ognia i siły, a wyjęte zapewne wprost z owych notatek, które robił Sokołowski przed wejściem na ambonę — to samo potwierdzają. Słów takim ogniem tchnących nie można było wypowiedzieć obojętnie. Kazania o fałszywych prorokach i upadku Jerozolimy, które były powiedziane we Lwowie r. 1578 i zaraz w tymże roku pod świeżem jeszcze wrażeniem drukiem ogłoszone, więcej zachowały siły pierwowzoru, mniejszym bowiem uległy zmianom; lepsze też są od innych kazania o religii katolickiej i o czci Najśw. Sakr., bo napisane były również niedługo po wypowiedzeniu, a przynajmniej w tych czasach, kiedy ks. Sokołowski często jeszcze z ambony przemawiał.

Szkoda wielka, że nie posiadamy tych kazań i mów Sokołowskiego, któremi on porywał żołnierzy i dworzan Stefana Batorego, a które mówił po polsku. Wtedy moglibyśmy go może porównywać ze Skargą, albo przynajmniej z Birkowskim — dziś i mówić o tem niepodobna. To pewna, że powodem tej wzięłości i uroku, jaki na współczesnych wywierał Sokołowski, było obok prawdziwego talentu wymowy, jeszcze i to, że poruszał z ambony kwestye aktualne, których żywotności i siły przyciągającej my nie jesteśmy dziś w stanie zrozumieć i odczuć tak żywo, jak społeczeństwo nasze w XVI. wieku. Stąd mniejsze nasze zajęcie względem tych kwestyj, które Sokołowski porusza [2].

Na szczególne podniesienie zasługuje ta wielka biegłość i zręczność, jaką okazuje Sokołowski w używaniu Pisma św.

---

[1] List VI. *Non. Januar.* 1581.

[2] Ciekawą byłoby rzeczą dojść, czy i jaki wpływ ks. Sokołowski wywarł na Skargę. Najpierw trzebaby zbadać, czy w późniejszem życiu były między nimi jakie stosunki. Wzmianka w *Partitiones* o Skardze o niczem jeszcze nie świadczy, a to, co mówi Skarga w żywocie św. Jana Kantego o Sokołowskim, zdaje się odnosić do znajomości w młodości. Innych śladów stosunków między nimi nie znam. Punkta, w które godzi jeden i drugi, są te same; u ks. Sokołowskiego nie widziałem tylko starań o Unię. Czy jednak punkta te wskazał jeden drugiemu, czy też je obydwaj sami dostrzegli, odpowiedzieć nie umiem.

Biskup wrocławski Marcin pisał do niego, że te drogie kamienie umie on w tak wspaniałą a odpowiednią włożyć oprawę, iż wtedy dopiero błyszczą w całym blasku, kiedy on je pokazuje. I rzeczywiście, jego cytaty z Pisma św. są zwyczajnie bardzo trafnie i szczęśliwie użyte. Tak sobie przyswoił Pismo św., że wplata je raz po raz do kazań, często prawie bezwiednie przemawia najwznioślejszemi słowami proroków, zwłaszcza w zakończeniach. Cenne też są jego uwagi w *Partitiones* o użyciu Pisma św.

Jakiż był skutek działalności kaznodziejskiej Sokołowskiego na dworze królewskim? Królowi — jak to widzieliśmy — wytykał on szczególnie osłanianie herezyi prawem, pewną pobłażliwość względem heretyków, trzymanie niektórych w swem otoczeniu, nieodpowiednie szafowanie, o ile to od króla zależało, godnościami kościelnemi. Czy słusznie? Jużeśmy o tem mówili. A czy skutecznie? Przeciw konfederacyi nie wystąpił wprawdzie król nigdy, ale pod koniec swego panowania zmienił nieco taktykę w postępowaniu z heretykami, zmienił też nieco swą politykę na niekorzyść heretyków, czego dowodem jest działalność w Inflantach. W otoczeniu swojem zaczął też król pomału apostołować, choć nie bardzo skutecznie. Prawem patronatu przyrzekł szafować oględnie, i rzeczywiście dbał później o to. Że na to wszystko wpłynąć musiały kazania i rady Sokołowskiego — wydaje się rzeczą pewną. Historyk Stefana Batorego będzie się musiał bliżej obeznać z Sokołowskim.

Sokołowski należy do tych mężów politycznych, co wskazywali zbliżający się upadek ojczyzny. Ten zamęt, jaki za jego czasów panował w kraju, groził całkowitem rozprzężeniem organizmu Rzpltej; przyczyną zaś główną tego zamętu — wedle Sokołowskiego przyczyną prawie jedyną, była herezya. Wszystkie więc siły przeciw niej zwraca, niebo i ziemię poruszyć gotów, by usunąć z ojczyzny herezyę. Kazanie o upadku Jerozolimy jest pod tym względem najbardziej charakterystycznem. Z powagą i godnością posłannika Bożego, z namaszczeniem proroka, wstrząsa jak Skarga sumieniem narodu i grozi zgubą. Jest on tu prawdziwie „heroldem, który wołając, kroczy przed sędzią straszliwym, co się zbliża".

Patrząc na ks. Sokołowskiego, jako na uczonego, widzimy w nim biegłego znawcę języków starożytnych, filozofa i teologa; w dwóch pierwszych przedmiotach doskonałego profesora, w trzecim praktycznego szermierza, a zawsze gorliwego mecenasa nauk. Językami starożytnemi zajmował się z zamiłowaniem, a szczególnie językiem łacińskim. Świadczą o tem jego wykłady i jego pisma. Cycero przeszedł mu prawie w krew, to też go często stylem i sposobem pisania przypomina. Że niemałą posiadał znajomość języka greckiego, dowodzą liczne cytaty i definicye z greckich autorów wyjęte i po grecku przytaczane, a nadto listy mężów uczonych, proszących go o rady i wskazówki co do tego języka. Wielkiego mowcę i miłośnika autorów klasycznych znamionuje rozdział piąty dziełka *De ratione studii*, w którym mówi o wyborze autorów.

Filozof przegląda w nim wszędzie, a niektóre pisma, jak widzieliśmy, są ściśle filozoficzne. Do takich mianowicie zaliczyłbym kazanie o wolności, dziełko: *De ratione studii*, w niektórych przynajmniej częściach, i wiele miejsc z Szafarza, w którym obok filozofa i ekonomisty przegląda także satyryk. Jako filozof przejęty on Arystotelesem, którym się tyle zajmował będąc profesorem. Biegłość wielkiego dyalektyka okazuje się we wszystkich jego pismach. Z lubością przytacza długie ustępy z filozofów starożytnych i pewną rozkosz znajduje w wyliczaniu ich nazwisk. Szczególniejszymi jego przyjaciółmi, to Arystoteles i Plato: *duo illa praestantissima sapientiae lumina*. Wielkiej doznaje satysfakcyi, kiedy może schwycić przeciwnika na fałszywym dowodzie, albo wykazać mu brak logiki i nieznajomość filozofii wogóle. To zamiłowanie jednak nie zaślepia go i nie odbiera trzeźwości sądu. Rozumie on dobrze, że filozofia starożytna źle traktowana i jednostronnie pojęta, wiele złego sprowadzić może.

Mieliśmy już nieraz sposobność przypatrzyć się biegłości Sokołowskiego w naukach teologicznych. „Teolog“ — jak się zawsze podpisywał — to najodpowiedniejsze jego określenie. Wszystkie jego pisma są głęboko teologiczne; znajomość pisarzy kościelnych olbrzymia, a jego objaśnienia Ewangelii są niezmiernej nauki i niestrudzonej pracy dowodem. To też jako teolog

zyskał sobie wielkie imię, nietylko w kraju ale i w całej Europie, głównie przez znaną nam już „Cenzurę".

Jako profesor był bardzo ceniony i lubiany. Akademia chlubiła się zawsze dawnym swym profesorem, a kiedy później w walce z Jezuitami powoływać się musiała na powagi i na wielkich mężów, którzy na jej katedrach zasiadali, zawsze między pierwszymi spotkamy tam na pewno Sokołowskiego, i to jeszcze z przydomkiem *divinus noster Socolovius,* lub podobnym [1]. Fontanus w swej mowie *in capessendo rectoratu habita* z żalem wspomina, że niema już w Akademii Krakowskiej takich ludzi, jak: *innocentissimus St. Socolovius,* i zaraz niżej dodaje, trochę, swoją drogą, niedelikatnie: *Divinus Socolovius... nodos corporis probro sibi obiectos virtute solvebat.* Ozdobą więc i chlubą Akademii był królewski kaznodzieja.

Jako mecenas nauk, nie szczędził nigdzie poparcia, gdzie widział dla nauki pożytek. Ody Schoneusa przedstawiają go pod tym względem w najlepszem świetle.

Jako kapłan liczy się ks. Sokołowski do owych mężów, którzy wysoko podnieśli sztandar odrodzenia się Kościoła w Polsce. Godność swoją wysoko pojmował i ubolewał nad poniżaniem godności kapłańskiej przez wielu duchownych. A nietylko ubolewał nad tem, ale też śmiało i odważnie przeciwko temu występował, wykazując, że jeżeli kiedy, to teraz szczególnie duchowieństwo wszystkie powinno wytężyć siły, by sprostać wielkiemu swemu powołaniu w walce z herezyą. Nic więc dziwnego, że duchowieństwo patrzyło na niego jak na wielki swój drogoskaz, i chyliło czoło przed tym kapłanem.

Często sądzimy człowieka z jego przyjaciół. Sąd taki dla ks. Sokołowskiego wypadłby bardzo korzystnie. Wszystko, co było najgodniejszego w Kościele polskim, starało się o jego przyjaźń. Hozyusz, Karnkowski, kardynał Radziwiłł, Rozdrażewski, surowy Baranowski, Myszkowski, Solikowski, Piotr Kostka, Kromer i t. d. — oto ludzie, z którymi żył i przestawał Soko-

[1] Por. dla przykładu list Jana Brosciusza z Kurzelowa (Curzelovius) do kardynała de Torres (1625), w którym skarży się na Jezuitów.

łowski. Nuncyusze Stolicy apost. wielkiem obdarzali go zaufaniem, książę Bawarski za zaszczyt sobie poczytywał mieć z nim stosunki, Szymonowicz pisał do niego ody — nie mówiąc już nic o królu Stefanie, o Zamojskim i innych. Skromny i pokorny kaznodzieja doznawał między tymi dostojnikami wielkiego szacunku i poważania. Otaczano go miłością serdeczną i niekłamaną. Schoneus, szczególnie mu obowiązany, chciał po jego zgonie iść za nim w świat zagrobowy, jak Orfeusz za swą Eurydyką, bo ukochał go niewątpliwie więcej, niźli ów pieśniarz swoją małżonkę [1].

Wdzięczną i pożyteczną byłoby pracą, głębiej i bardziej szczegółowo zbadać to czynne życie i tę rozległą działalność kaznodziei wielkiego Stefana; nietylko polskiej ambonie przysporzył on blasku, ale też w życiu publicznem odznaczył się jako sumienny doradca króla, niestrudzony pracownik i stróż sumienia narodowego; był on też chlubą Kościoła polskiego i zaszczyt przynosił polskiej nauce.

Ks. Kasper Słomiński.

---

[1] Oprócz źródeł w ciągu tej pracy cytowanych, wymieniam jeszcze inne, których nie cytowałem na miejscu, a z których czerpałem niejednokrotnie. Są to rękopisy Biblioteki Jagiellońskiej, przedewszystkiem:

MSS. 41. CC. IX. Listy: Grzegorza XIII. (jeden), Stefana Batorego, Nuncyuszów, Biskupów, Zamojskiego i t. d., pisane do ks. Sokołowskiego.

MSS. 59. EE. II. 7. Zdanie ks. Sokołowskiego o Jezuitach i szkołach, jakoteż odpis *De ratione studii.*

MSS. 2363. AA. XIII. 20. Mowa Fontana i listy odnoszące się do sporów Uniwersytetu z Jezuitami.

MSS. 2528. FF. VI. i t. d.

Panu Kustoszowi D-rowi Wisłockiemu za szczególną łaskawość i pomoc wyrażam na tem miejscu uprzejme dzięki.

PIERWOTNA RELIGIA HINDÓW.

PRAWEDYZM.

(Dokończenie).

„Opisy, jakie znajdujemy w Hymnach o Warunie, pisze Barth [1], są niezrównane. Słońce jest jego okiem, niebo jego szatą, wicher jego tchnieniem. On to osadził niebo i ziemię na niewzruszonych podstawach i utrzymuje ich stateczność, umieścił gwiazdy na przeźroczu niebieskiem, słońcu uczynił odpowiednie nogi do biegu, zakreślił drogi jutrzenkom i łożyska rzekom. Wszystko uczynił i wszystko utrzymuje; nic nie może stawić tamy jego dziełom. Nikt nie może go pojąć; on sam wie wszystko i wszystko widzi, to co jest i co będzie. Ze szczytów nieba, gdzie przemieszkuje w pałacu o tysiącznych bramach, rozpoznaje ślady ptaków w powietrzu i smugi okrętu na wodach. Z wysokości swego tronu, kutego ze złota, na podstawach bronzowych, czuwa nad spełnianiem swych rozporządzeń, kieruje sprawami świata i nieznużonym nigdy wzrokiem przypatruje się działalności ludzkiej. Utrzymuje przedewszystkiem porządek we wszechświecie i wśród społeczeństwa; najwyższym wyrazem jego wszechwładzy są prawa fizyczne i prawa moralne. W jego ręku spoczywają straszne kary, mściwe choroby zsyła na grzesznika niepoprawnego; lecz jego sprawiedliwość rozróżnia przekroczenie

[1] Barth, *Op. cit.*, p. 13.

od występku, miłosiernym jest dla człowieka, który się kaje. Ku niemu wznoszą się głosy sumienia zaniepokojonego; przed jego obliczem wyznaje grzesznik swe przestępstwa".

Takim jest Waruna w ogólnych zarysach; postać Indry przedstawia się również wzniośle, jak to Barth w krótkiem streszczeniu zaznacza [1], a to samo można powiedzieć o innych bogach. Jeżeli teraz wejdziemy w szczegóły, jeżeli, pomijając różnice imion, uwydatnimy poszczególne atrybuty, jakie Riszi przypisują Najwyższej Istocie, wówczas pojęcia Hindów o Bogu wystąpią w całej pełni, i okażą się tak wzniosłemi, że jedynie w religii chrześcijańskiej mogą napotkać podobieństwo.

Bóg Hindów jest Stworzycielem nieba i ziemi.

Przedewszystkiem należy sobie przypomnieć słynne hymny do Stworzyciela i Paramatmy, których tłumaczenie zamieściliśmy w „Starem piśmiennictwie hinduskiem".

Hymn do Paramatmy można nazwać hinduską genezą świata na małą skalę. Geneza hinduska nie dorównywa Mojżeszowej: nie przedstawia ona kolejnych przemian w rozwoju świata nieorganicznego, nie wspomina o powstaniu świata roślinnego i zwierzęcego, nic o stworzeniu człowieka, jednakże, w tem co mówi o początku świata, tyle jest punktów stycznych z opowieścią Pisma św., iż wprowadza w zadumę pisarzy racyonalistycznych.

Wieszcz wedyjski zaznacza, „że na początku nie było ani bytu ani niebytu", a był tylko „Samoistny brzemienny wszystkiem". On to „wolą swoją" przeistoczył „niebyt w byt", a wówczas „przyszła ciemność ukryta w ciemnościach, wszystko było wodą, wszystko w bezładzie, a tam spoczywał Jedyny". Pismo św. mówi: „A ziemia była pusta i próżna i ciemności były nad głębokościami, a Duch Boży unaszał się nad wodami". Podobieństwo treści i wyrażeń nawet jest uderzające, lecz na tem

[1] „Indra, comme dieu du ciel, est aussi le dispensateur de tous les biens, l'auteur et le conservateur de toute vie. De la même main il met le lait tout cuit dans le pis de la vache et il retient la roue du soleil sur la pente du firmament, il trace leurs cours aux rivières et il affermit sans poutres la voûte des cieux. Il est immense, la terre tient dans la creux de sa main: il est souverain et demiurge". Barth, *Op. cit.*, p. 11.

urywa się podanie hinduskie; Aryowie przechowali widocznie cząstkę tylko z Objawienia pierwotnego [1].

Hymn do Pradżapati jest uwielbieniem Stworzyciela świata. Bóg, którego wieszcz wzywa, jest jedynym Panem świata, napełnia niebo i ziemię; daje życie, daje siłę; nieśmiertelność należy do jego istoty, śmierć jest cieniem; wszystkie twory podlegają jego prawom. Jest królem całego świata, panem zwierząt. Góry pokryte lodami, oceany wód, przestrzenie niebieskie głoszą jego potęgę. On dał podstawy niebu, ziemi, przestrzeni; on oblewa światłem powietrze. Niebo i ziemia drżą z bojaźni w jego obliczu. Indologowie jednogłośnie prawie [2] przyznają tym opisom siłę przekonywającą dowodu odnośnie do pierwotnej jedno-

---

[1] *Aitareya Aranya* (B. 2, § 4), Colebrooke, *Essays*, p. 26, w ten sposób komentuje ten hymn:

„Na początku ten (wszechświat) był tylko duchem; nic innego nie istniało. On pomyślał: ‚Chcę stworzyć światy', i tym sposobem stworzył te światy: wodę, światło, śmiertelnych i wody. Ta woda jest nad niebiosami i ona niebiosa podtrzymuje; atmosfera zawiera światło, ziemia jest śmiertelna, a okolice niższe są wodami. On pomyślał: ‚są rzeczywiście światy, chcę stworzyć stróży tych światów'. Wtenczas wydobył z wód, utworzył istotę cielesną i dał jej życie".

W „Prawach Manu" (I, 1—69) znajduje się opis stworzenia świata. Wheeler podaje tłumaczenie tekstu w swem dziele i zaznacza uderzające podobieństwo z tekstem Mojżesza. „It will now be seen that the first four stages in the cosmogony of Manu, namely, darkness, light, water, and the Spirit moving on the water, present a remarkable similarity to those which appear in the Mosaic account". *History of India*, vol. II, p. 455.

[2] „These descriptions no doubt indicate enlarged and sublime conceptions of divine power, and an advance towards the idea of one sovereign deity". Muir, *Op. cit.*, vol. V, p. 352.

„L'idée d'un Être suprême surgit parfois dans l'hymne de quelque poète inspiré avec une clarté et une grandeur qui frappent d'étonnement. Qu'on lise, par exemple, l'hymne à *Prajapati*, et l'on verra qu'il serait à peine déplacé dans notre poésie sacrée... On se croirait ici en plein monothéisme". Pictet, *Op. cit.*, vol. III, p. 490.

„The first (Mandala X, 129) may be compared with some parts of the 38 th. chap. of Job. The next is from the first Mandala of the Rigveda (121). Like the preceding, it furnishes a good argument for those who maintain that the purer faith of the Hindus is properly monotheistic". Monier Williams, *Indian Wisdom*, p. 22, 23.

bożności Hindów. Ustępy, przypisujące stworzenie świata Najwyższej Istocie, znajdują się we wszystkich Mandalach.

Indra utworzył niebo i ziemię, on jest Panem stworzeń [1]. Indra jest twórcą tego świata [2]. Indra kazał świecić słońcu [3]; ustawił słońce na niebiosach [4]; podtrzymuje słońce [5]; zrodził słońce [6]. Ja Indra jestem Waruną... ja to uczyniłem ten świat [7]. Rodzic tego (wielkiego ciała które) podziwiają nasze oczy, uczynił naprzód te głębie a następnie niebo i ziemię i utwierdził je na ich posadach... On jest ojcem naszym, on stworzył i utrzymuje wszystkie stworzenia, zna wszystkie światy. (Bóg) jedyny tworzy inne bogi. Wszystko co istnieje, uznaje w nim pana... Głębie nosiły w swem łonie tego, który jest ponad niebem i ziemią, ponad bogami i Asura, który daje światło wszystkim istotom boskim... Znacie tego, który uczynił wszystkie te rzeczy, jest to ten sam, który znajduje się wewnątrz was samych. Lecz dla naszych oczu wszystko jest pokryte jakby zasłoną ze śniegu. Nasze pojęcia są przyćmione...[8]

W tem stworzeniu ród ludzki zajmuje wybitne stanowisko, hymny mianowicie przyznają ludziom początek boski: dawniejsi Riszi nazywani są *dewa-dża*, „zrodzeni z Boga". Bergaigne przyznaje [9], że „nazwy tej nie można uważać za przenośną, zawiera ona rzeczywiste pojęcie niebiańskiego początku rodu ludzkiego".

Bóg Hindów jest odwiecznym i nieśmiertelnym.

W hymnie do Paramatmy wyraźne jest oświadczenie, że „na początku był tylko Samoistny, brzemienny wszystkiem"; w wielu miejscach Rigwedy Waruna i Indra noszą przydomek *Adża*, „niezrodzony" [10]. Nieśmiertelność jest udziałem bogów, którzy nazywani są „nieśmiertelni", „Synowie nieśmiertelności" [11]; nadto bogowie obdarzają ludzi śmiertelnych nieśmiertelnością,

[1] R.-W. I, 101. [2] VI, 30, 5; VII, 106, 34; VIII, 36, 4.
[3] VIII, 3, 6; 87, 2. [4] I, 7, 3; VIII, 78, 7. [5] VIII, 12, 30.
[6] II, 12, 7; III, 31, 15; 32, 8; 49, 4. [7] IV, 142.
[8] R.-W., X, 82. [9] *Op. cit.*, vol. I, p. 37.
[10] R.-W., I, 164; VIII, 41; X, 82. Czasami wraz z przydomkiem *Adża* złączony jest wyraz *Ekapad*, dosłownie „jedno-nożny"; są spory między indologami co do znaczenia tego wyrazu, znaczenie „Jedyny" nie jest wykluczone.
[11] R.-W., VI, 52, 9; VII, 57, 6; X, 13, 1.

bogowie są „źródłem, zawiązkiem“, czyli rodzicielami nieśmiertelności [1].

Bóg Hindów jest wszechmocny.

Ten, który stworzył niebo i ziemię, musi być najbieglejszym artystą ze wszystkich bogów [2]. Utworzył je swą mocą i umiejętnością [3]. Tyś kazał świecić słońcu, Tyś wszystko stworzył, jesteś Bogiem powszechnym, jesteś wielkim, jesteś panem nieba [4]. Ja Indra jestem Waruną... nikt nie może się oprzeć mej sile boskiej i niezwyciężonej [5]. Indra jest wszechmocny, nieskończony, niezależny, nieporównany co do siły, jest królem ludzi, zachowuje cały świat [6].

Bóg Hindów jest nieskończenie wielkim.

Obejmuje całą przyrodę [7], niebo i ziemię [8], jest większy od nieba i ziemi [9]. Przed wielkością Indry niebo i ziemia się korzy [10]. Całą ziemię utworzył on dziesięciu palcami a sam poza nią istnieje [11].

Bóg Hindów jest wszystko-widzącym i wszystko-wiedzącym.

On zna drogi ptaków szybujących w powietrzu, zna smugi okrętu prującego wały morskie; zna on ciała niebieskie, zna kierunki wiatrów i mieszkania bogów [12]. Zna on skrytości serca ludzkiego, a przeto nikt go oszukać nie może, jest nieomylnym [13].

Bóg Hindów rządzi światem w porządku fizycznym i moralnym; jest świętym i sprawiedliwym.

W Rigwedzie przychodzi bardzo często wyraz *rita* w znaczeniu „prawa, porządku i prawdy“. Riszi zaznaczają, że Najwyższa Istota ustanowiła *rita* w świecie fizycznym [14] i moralnym:

---

[1] R.-W., II, 40, 1; III, 17, 4; IV, 58, 1; VIII, 90, 15.
[2] R.-W., I, 160, 4. [3] X, 29, 6. [4] VIII, 87, 2, 5. [5] IV, 142.
[6] I, 102, 6, 8. [7] I, 7. [8] I, 33, 9; IV, 16, 5. [9] VI, 30, 1.
[10] IV, 17. [11] Hymn do Puruszy. [12] I, 25.
[13] I, 155, 1; VI, 51, 1; VII, 104, 20; VIII, 50, 12; 67, 6; X, 54, 4.
[14] „Varuna der Herr und der Erste... So sehr auch die vedischen Sänger in allen ihren Bildern von Varuna eine heilige Scheu vor seinem unerforschlichen Wesen beobachten und sich hüten, ihn durch Vermenschlichung seiner göttlichen Majestät zu entkleiden und in den Umtrieb des natürlichen, irdischen Lebens hereinzuziehen, so sind uns doch einzelne Bilder aufbehalten, welche den Gott zu schildern suchen... Im Naturleben ist er der Urheber der ewigen Gesetze, nach welchen die Welt lebt und welche kein Gott und kein Sterblicher anzutasten wagt...

„Die Bewunderung der nie wankenden unverletzlichen Ordnung im

w pierwszym nic od niej uchylić się nie może, w drugim nikt jej przestępować nie powinien.

Niebo i ziemia są mu podległe [1]; on je podtrzymuje [2]; podtrzymywałem niebo według *rita* [3]; ani obadwa światy, ani góry nie mogą wzruszyć *rita* [4]; *wrata* Waruny są niewzruszalne [5]; niewzruszalne *wrata* na tobie (Waruno) są utwierdzone [6].

Rita w porządku moralnym polegała na obowiązku człowieka względem Boga i bliźniego. Wszelkie wykroczenie przeciw *rita* nazywali Hindowie grzechem, *mala*, skąd łacińskie „malum", a również *Kalka, Kałusza*, „błoto, nieczystość", skąd w polskim języku „kał, kałuża, skalanie". O obowiązkach względem Boga, tak mówi Barth: „W każdym czasie i w każdem miejscu człowiek czuje, że jest w ręku bogów i w ich obliczu postępuje. Oni są panami wymagającymi, im się należy hołd nieustanny. Człowiek musi być pokornym, albowiem jest słaby a oni są mocni; musi być szczerym względem nich, albowiem oni oszukanymi być nie mogą. Lecz wie również, że oni też nie oszukują, że mają prawo domagać się od niego miłości i ufności, jakiej domaga się przyjaciel, brat, ojciec. Te obowiązki człowieka względem bogów wyrażone są w nieprzeliczonych ustępach hymnów" [7]. Co się tyczy obowiązków człowieka względem bliźniego, jakkolwiek „nie ulega wątpliwości, że starożytni Aryowie znali i wykonywali zasady moralności, wyrażone na sercach wszystkich ludzi" [8], jednakże nie znajdujemy w hymnach szczegółowego ich wymieniania, choć niejednokrotnie spotkać się tam można z odnośnemi zasadami ogólnemi. Czuwanie nad spełnianiem tych obowiązków ściśle jest przestrzegane przez bogów.

Leben der Natur wie des Geistes hat die alten Frommen zur Verherrlichung des Gottes geführt, dessen Weisheit sie diese Gesetze zuschreiben, und sie können nicht satt werden, diese Unantastbarkeit, Ewigkeit und innere Wahrheit seiner Satzungen, die unerschütterlich sind, als wären sie auf einem Gebirge gegründet, zu preisen". — R. Roth, in der *Zeitschrift der Deutschen Morgenländischen Gesellschaft*, VI, 70.

[1] R.-W., X, 89, 10. [2] III, 32, 8; 44, 3; VI, 17, 7; X, 55, 1.
[3] IV, 142. [4] III, 56. [5] I, 24. [6] II, 28.
[7] *Op. cit.*, p. 23. [8] Pictet, *Op. cit.*, vol. III, p. 299.

„Bogowie najwyżsi, pisze Bergaigne [1], nietylko utrzymują porządek w świecie fizycznym, ale nadto rozciągają swoją baczność na porządek moralny... nic nie może ujść ich uwagi odnośnie do ludzi, albowiem obowiązani są wymierzać im sprawiedliwość".

(Bogowie) opiekują się ludźmi, jak pasterze stadami [2]; ich oczy są ciągle na nas zwrócone [3]; mają tysiące oczu i widzą w sercach dobre i złe [4]; poznajcie moje rita [5]; (Indra) nienawidzi kłamstwa i oszukaństwa, dosięga i karze tych, którzy się ich dopuszczają [6]; niech modlitwa nasza zgładzi wszelki grzech popełniony przeciw bogom, przeciw przyjacielowi, przeciw ojcu rodziny [7]; (Waruno) zmaż wszelki grzech popełniony przeciw towarzyszowi, przeciw przyjacielowi, przeciw bratu i innym członkom naszej rodziny a także przeciw członkom innej rodziny [8].

Bóg Hindów jest n a d e w s z y s t k o d o b r y.

Bergaigne pisze [9]: „Oprócz kilku ustępów, w których Indra okazuje swój gniew, nieprzeliczone znajdują się miejsca w hymnach, które wskazują, że wierny pokłada zupełną ufność w jego dobroci i wspaniałomyślności". Bardzo często spotykają się ustępy, w których Riszi zowią bogów swoimi przyjaciółmi i to jest pobudką dla nich do skruchy doskonałej [10].

Bóg Hindów jest przedewszystkiem m i ł o s i e r n y.

Bardzo liczne ustępy w hymnach odnoszą się do tego przedmiotu [11], całe hymny poświęcone są wysławianiu miłosierdzia i prośbom o miłosierdzie. „Nigdy tak, pisze Barth [12], nigdzie z taką siłą nie przejawia się Majestat boski, i zależność stwo-

---

[1] *Op. cit.*, vol. III, pp. 151, 165.
[2] R.-W., VIII, 25, 7. [3] Tamże. [4] VIII, 90, 6. [5] I, 165, 13.
[6] III, 30, 15; 34, 6; VI, 22, 2; X, 27, 1. [7] I, 185, 8. [8] V, 85, 7.
[9] *Op. cit.*, vol. II, p. 168.
[10] „La confiance dans la bonté divine par exemple, et le repentir fondé, non seulement sur la crainte du châtiment, mais sur le regret d'avoir trahi une amitié fidèle (car les rishis donnent à leurs dieux le titre d'amis), sont des manifestations indiscutables de la conscience morale". Bergaigne, *Op. cit.*, vol. I, p. XXIII.
[11] R.-W. I, 84, 19; 139, 6; II, 41, 11; IV, 17, 17; VI, 35, 5; VIII, 6, 25; X, 33, 3. [12] *Op. cit.*, p. 14.

rzenia, w psalmach tylko można odnaleść tę siłę, z jaką wyrażony jest tam hołd i prośba".

1. Obym mógł, o Waruno, nie być skazanym do domu ziemnego. Miłosierdzia, Boże wszechmocny, miłosierdzia.

2. Jeżeli zbaczam (z drogi prawej), miłosierdzia, Boże wszechmocny, miłosierdzia.

3. Upadamy z powodu słabości naszej, Boże niepokalany, miłosierdzia.

4. Pragnienie dokucza twemu piewcy, który niedawno był jeszcze wśród wód. Miłosierdzia, Boże wszechmocny, miłosierdzia.

5. Jakąkolwiek obrazę, o Waruno, popełniliśmy przeciw bóstwu, jesteśmy ludźmi słabymi, nie karz nas za ten grzech [1].

1. Jeżeli, będąc ludźmi, przestępujemy codziennie twe przykazania, o Waruno,

2. Nie wydawaj nas pod miecz gniewu, gotowy uderzyć w groźnym szale.

3. Naszemi pieniami, Waruno, chcemy odczepić twój gniew, jak woźnica odczepia konia zaprzężonego, abyś był względem nas miłosierny.

4. Moje (modły) mające łagodzić twój gniew, mające wybłagać lepszy los, niech się wznoszą jak ptaki ku swym gniazdom.

5. W jaki sposób możemy skłonić ku miłosierdziu bohatera, przyodzianego władzą królewską, którego wzrok przenika daleko [2].

Wzniosłym pojęciom o Bogu odpowiadało szczytne zadanie człowieka na ziemi.

Prośby Hindów o miłosierdzie mają na celu oswobodzenie od kar nietylko doczesnych ale i wiecznych, wyproszenie sobie szczęśliwego losu tu na ziemi, lecz przedewszystkiem na tamtym świecie [3]. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Hindowie wierzyli w nieśmiertelność duszy, w nagrody i kary pośmiertne.

---

[1] R.-W., VII, 89. [2] R.-W., I, 25.

[3] Zła wiara racyonalistów występuje często jaskrawo w ich pismach. Bergaigne poświęcił trzechtomowe dzieło szczegółowemu rozbiorowi hymnów wedyjskich, nagina wyrażenia Riszich do swych zapatrywań, pomija milczeniem teksty, które nie są mu na rękę, a wobec nader licznych tekstów, odnoszących się do życia pozagrobowego, nie mogąc ich ukryć, daje tłumaczenie, które jest miarą jego złej woli i stronniczości. Przytaczamy cały ten ustęp dosłownie:

A najprzód, życie samoistne pozagrobowe stwierdzone jest w Mantrach, znajdują się tam hymny poświęcone Ojcom, *Pitris* (Patres), tj. duchom przodków zmarłych. Głową wszystkich Pitrisów jest Jama. Najdawniejsze podania przedstawiają go jako pierwszego człowieka, lub jako pierwszego umarłego; w późniejszych czasach Jama został bożkiem umarłych. Pitrisowie nie zażywają wszyscy jednakowego szczęścia: jedni zamieszkują wysokie niebo, inni przebywają w górnej atmosferze, inni wreszcie zajmują najniższe części atmosfery, w pobliżu ziemi. Wynika stąd, iż w prastarej dobie Hindusowie wierzyli w samoistność dusz; o zlaniu się ich w jedną całość z „duszą świata" niema w Wedach żadnej wzmianki; pojęcie to wyrobiło się dopiero w późniejszych czasach. Co więcej, w czasach nawet, kiedy szkoły filozoficzne hinduskie przyjęły to pojęcie, kiedy powstały komentarze i podręczniki zwane *Smarta Sutra*, autorowie ich zamieścili w modlitwach obrzędowych wyraźne wspomnienia o samoistności dusz. Księga czwarta dzieła *Aśwalajana Grihja Sutra*[1] zawiera obrzędy pogrzebowe; podczas palenia zwłok przepisana jest następująca modlitwa, na którą składają się, w znacznej części, wyjątki z hymnów Rigwedy:

Otwórz swe ramiona ziemio, przyjmij umarłego uprzejmym uściskiem, miłościwem pozdrowieniem, obejmij go czule, jak matka otulająca miękką szatą swe kochane dziecię. Duszo zmarłego odchodź! idź tą samą drogą, jaką poszli nasi przodkowie przed tobą; będziesz oglądała oblicza dwu królów, możnego Warunę i Jamę; spotkasz Ojców a przedewszystkiem odbierzesz nagrodę za nagromadzone tu ofiary (dobre uczynki). Pozostaw tu swe grzechy i niedoskonałości... Podążaj na spotkanie Ojców, którzy wraz z Jamą mieszkają w niebie (błogości). A ty, o możny Boże, oddaj ją (duszę) twym strażom, by ją do ciebie doprowadziły, a udziel jej zdrowia i szczęścia wiecznego.

„On pourra s'étonner, surtout si l'on songe *á la grande place que tiennent dans la religion védique les croyances relatives à l'autre vie*, de n'avoir trouvé dans l'exposé qui précède aucune allusion à ces croyances. C'est qu'en effet ces textes... intéressent plutôt la conception purement liturgique, que la conception morale du culte". *Op. cit.*, vol. III, p. 208.

[1] Wydanie Stenzler'a. Lipsk 1864, 1865.

Widzimy, iż niema tu żadnej wzmianki o przechodzeniu dusz, a nadto samoistne ich istnienie po rozłączeniu z ciałem wyraźnie jest stwierdzone. Sir Monier Williams taki sam wniosek stąd wyciąga [1].

Dalej, liczne ustępy z hymnów dowodzą, że Hindowie uznawali duszę nieśmiertelną, i życie pozagrobowe.

(Agni) podnosi śmiertelnego do nieśmiertelności... (on jest) stróżem nieśmiertelności [2]. Pod twoją opieką (o Somo) nasi bogobojni przodkowie otrzymali dziedzictwo w niebie [3]. Człowiek dobry umieszczony jest na szczycie nieba, idzie do bogów... Dostępują oni (ludzie) nieśmiertelności, przedłużają sobie życie [4]. Obym mógł dostać się do jego (Wisznu) błogosławionego przybytku, w którym ludzie pobożni opływają w szczęście [5]. Jaki jest Bóg, który mnie doprowadzi do wielkiej Aditi i pozwoli mi oglądać ojca mego i matkę [6].

Muir przytacza niektóre z tych ustępów i sądzi [7], że „one niezawodnie wyrażają wiarę w błogosławione życie przyszłe". Tak samo pisze Roth [8]: „Znajdujemy tutaj nie bez podziwu wzniosłe pojęcie nieśmiertelności, wyrażone z całą prostotą i naiwnością dziecięcą. Jeżeliby było potrzeba, znaleźlibyśmy tutaj silną broń przeciw mniemaniom, niedawno na nowo podjętym a uważanym za nowe zdobycze, że Persya była kolebką pojęć o nieśmiertelności, i że ludy nawet europejskie stamtąd to pojęcie zaczerpnęły".

Dusza po rozłączeniu z ciałem idzie na drugi świat i żyć tam będzie wiecznie; los jej będzie tam szczęśliwy lub nieszczęśliwy, stosownie do tego, jak sobie zasłużyła na ziemi. Dostępują szczęścia mianowicie: „ludzie bogobojni" [9], którzy „znają

---

[1] „We notice, too, even at that early epoch an evident belief in the soul's eternal existence and the permanence of its personality hereafter, which notably contrasts with the later ideas of transmigration, absorption into the divine essence, and pantheistic identification with the supreme Soul of the universe". *Indian Wisdom*, 3 ed., p. 209.

[2] R.-W., I, 317. [3] I, 91, 1. [4] I, 125, 5, 6. [5] I, 154, 5.

[6] I, 24. [7] *Orig. sanskr. texts*, vol. V, p. 284.

[8] *Journal of the German Oriental Soc.*, p. 427; autor przytacza ustępy z R.-W. X, 14, 12 i z Atharwa-weda XVIII, 1, 49, 50; 3, 13.

[9] R.-W., I, 154, 5.

i wypełniają obowiązki“ [1], którzy „dają jałmużnę“ [2]. W Śatapata Brahmana znajdujemy ustęp, w którym wyraźnie jest zaznaczono, że kary i nagrody w życiu przyszłem zależne są od złych lub dobrych uczynków: „Na tamtym świecie położone będą dobre i złe uczynki na wagę. Zależnie od tego, które przeważą, dobre-li czy złe, nastąpi nagroda lub kara“ [3].

Rigweda zawiera kilka ustępów odnoszących się do piekła:

Ta głęboka otchłań (Narakastanan, piekło) była utworzona dla grzeszników, niesprawiedliwych, bezbożnych [4]. (O Indro i Somo) wrzućcie bezbożnych do ciemnej otchłani, aby żaden z nich nie mógł się z niej wydostać... Niech bezbożny Rakszasa, który jak sowa ukrywa się w nocy, wtrącony zostanie do bezdennej ciemnicy [5].

W jednym z hymnów [6] wyraźnie jest powiedziano, że bezbożni są wypędzeni z nieba i ziemi i g o r z e ć b ę d ą. Barth pisze [7]: „(Bezbożni) giną, albo idą w głąb ziemi, do ciemnych przepaści, dokąd są zepchnięci wraz z szatanami, duchami kłamstwa i spustoszenia“.

Częstsze są ustępy odnoszące się do nieba, czasem nawet całe hymny; oto jeden z nich [8]:

7. Umieść mnie (o Somo) w tym wiecznym i niezmiennym świecie, w którym znajduje się wieczne światło i chwała. 8. Uczyń mnie nieśmiertelnym tam, gdzie król Jama przebywa, gdzie istnieje przybytek niebieski i źródła żywej wody. 9. Uczyń mnie nieśmiertelnym w trzeciem niebie, gdzie czynność (przyjemność) jest nieograniczona a przebywanie świetlne. 10. Uczyń mnie nieśmiertelnym w świecie, który jest przybytkiem Świetlnego, gdzie jest ambrozya i zadowolnienie. 11. Uczyń mnie nieśmiertelnym w świecie, gdzie znajduje się radość, uciechy, przyjemności; w którym życzenie dostępuje swego celu.

Opisy tego błogosławionego przybytku i wzmianka o sądzie pośmiertnym wyrażone są w hymnie do Jamy, który tak streszcza Barth [9]: „Jama pierwszy przebył drogę bezpowrotną i przekazał ją przyszłym pokoleniom. Tam, na kończynach odległego

---

[1] R.-W., I, 164, 3. [2] R.-W., I, 125, 5, 6; X, 107, 2.
[3] Muir, *Op. cit.*, vol. V, p. 314.
[4] R.-W., IV, 5, 5. [5] VII, 104, 3, 7. [6] R.-W., IX, 73.
[7] *Op. cit.*, p. 18. [8] IX, 113. [9] *Op. cit.*, p. 17.

nieba, w siedzibie światła i wód wiekuistych, króluje w pokoju połączony z Waruną. Tam przy dźwięku swego fletu, pod osłoną drzewa mitycznego zgromadza około siebie umarłych, którzy prawy żywot wiedli. Przybywają tam gromadnie w towarzystwie Agni, prowadzeni przez Puszana, po uprzedniem ścisłem badaniu przez dwóch strasznych psów, którzy są stróżami drogi. Przyodziani w świetne ciała, karmieni niebiańską somą, która je czyni nieśmiertelnymi, używają tam niedającego się opisać szczęścia bez końca wraz z bogami, co więcej, oni sami są bogami i czczeni są na ziemi pod nazwą *Pitri* (Patres), Ojców".

Indologowie przyznają, że pojęcia Hindów o niebie były wzniosłe, duchowe [1].

Kult Hindów stał na wysokości ich pojęć religijnych o Najwyższej Istocie: ani ofiary krwawe z ludzi, ani żadne magie i inkantacye, które bardzo wcześnie spotykają się u Chamitów, nie splamiły religii aryjskiej. „Hymny wedyjskie, pisze Barth [2], nie znają bogów złych, nie przepisują żadnych praktyk płaskich i wstrętnych, i to jest ich charakterystyczną cechą".

Kult wedyjski polegał na ofierze i modlitwie, był nadzwyczaj prosty i wzniosły zarazem.

Żertwy były roślinne i zwierzęce. Do pierwszych należało: masło, kwaśne mleko, placki ryżowe, soma roztworzona mlekiem; ze zwierząt ofiarowywano: byki, krowy, bawoły, kozły i konie.

---

[1] „The place where these glorified ones are to live in heaven. In order to show that non merely an outer court of the divine dwellings is set apart for them, the hightest heaven, the midst or innermost part of heaven, is expressly spoken of as their seat. This is their place of rest; and its divine splendour is not disfigured by any specification of particular beauties or enjoyments, such as those with which other religions have been wont to adorn the mansions of the blest... There they are happy: the language used to describe their condition in the same with which is denoted the most exalted felicity". Roth, *Journ. Amer. Orient. Soc.*, III, 343.

Sam nawet Bergaigne zmuszony jest do wyznania, że: „Les Aryas védiques croyaient à une autre vie après la mort, et plaçaient dans le ciel le théâtre de cette nouvelle existence qu'ils appelaient même *immortalité*". *Op. cit.*, vol. I, p. 74.

[2] *Op. cit.*, p. 23.

Ofiary były palone na stosie. Każdy wierny składa w ofierze to co może, bogaty ofiary hojne, ubogi na co go stać. „Nie mam krów, mówi naiwnie ofiarujący [1], w mojem ubóstwie przynoszę ci ofiarę". Skutek ofiary nie jest zależny od jej wielkości, lecz od „dobrej intencyi, szczerości i miłości" [2]. Bóg „pogardza ofiarą podstępnego" [3].

Wraz z ofiarą ma być połączona modlitwa, i dlatego przy tym obrządku śpiewano lub odmawiano hymny wedyjskie. Riszi wielki kładą nacisk na ważność modlitwy [4]. Modlitwa miłą jest Bogu, często jest nazywana „Oblubienicą" Bożą, modlitwa oddaje cześć Bogu, zadość czyni za grzechy popełnione, uprasza dobrodziejstwa doczesne i wieczne [5].

Według Riszich, kult nakazany był od Boga, przepisy pochodzą „z nieba". Bergaigne przyznaje, że „pierwotni przodkowie rasy ludzkiej przekazali podaniem obrządki ofiarne swym następcom" [6].

Na tem kończymy rozbiór hymnów wedyjskich, odnośnie do pojęć religijnych Hindów. Religia pierwotna Hindów była jednobożna. Duch Samoistny, bez początku, nieśmiertelny, był Stworzycielem nieba i ziemi, Panem wszystkich istot, był wszechmocny, nieskończony i wszystko-widzący, przedewszystkiem zaś był dobrym i miłosiernym. Celem człowieka było osiągnąć szczę-

[1] R.-W., VIII, 91, 19. [2] X, 160, 3. [3] VIII, 11, 4.

[4] Bergaigne, który stara się sprowadzić całą religię Hindów do meteorologii, zmuszony jest wyznać, iż nie może wytłumaczyć w swej hipotezie tego głębokiego przekonania, jakie mieli Hindowie w skuteczność modlitwy. „Mais ces explications, bien qu'elles renferment sans doute une part de vérité, paraissent insuffisantes pour rendre compte d'une conception aussi essentielle, aussi profondément enracinée dans l'esprit des Aryas védiques, que celle de la toute-puissance de la prière en général, et particulièrement de son action sur le dieu guerrier". *Op. cit.*, vol. II, p. 275.

[5] „Il faut reconnaître que les Hymnes temoignent d'une moralité élevée et compréhensive et que, en s'efforçant d'être ,sans reproche devant Aditi et les Adityas' (R.-W., I, 24, 15), les chantres védiques s'imposent d'autres devoirs encore que de multiplier les offrandes et d'observer ponctuellement les rites". Barth, *Op. cit.*, p. 24.

[6] *Op. cit.*, vol. I, p. 107.

ście wiekuiste w niebie, środkiem zaś prowadzącym do tego celu, spełnianie przepisów, przykazań wskazanych przez Boga.

Takie pojęcie Boga w najdawniejszej dobie i takie rozwiązanie zagadnień odnoszących się do człowieka, jakkolwiek w zasadzie mogło być, częściowo przynajmniej, płodem rozumu ludzkiego, jednakże opierając się na świadectwie samych Hindów, mianowicie że religia ich jest *Śruty*, tj. objawioną, szczególniej zaś, zestawiając niektóre podania hinduskie z odnośnemi opowieściami Biblii, przychodzimy do przekonania, że tak te podania jak i istota religii miały wspólne źródło w pierwotnem Objawieniu.

W piśmiennictwie wedyjskiem, tj. w Hymnach i Brahmanach, znajdujemy wiele wspomnień, co do treści identycznych, co do formy zewnętrznej nader podobnych do zdarzeń podanych w naszem Piśmie św.

Hymn do Paramatmy, zawierający główne rysy początku świata, zdumiewa pisarzy europejskich głębokością swych poglądów, tłumaczy się jednak łatwo, a nawet jedynie, pierwotnem Objawieniem.

O stworzeniu człowieka i pierwszych naszych Rodziców bardzo mało znajdujemy szczegółów w hymnach, to jednak co z nich wydobyć można, zgadza się tak z podaniami erańskiemi w Aweście, jak i z hebrajskiemi, pomieszczonemi w Biblii.

Protoplastą rodu ludzkiego był *Jama*. Jakkolwiek Jama nazywany jest synem *Wiwaswaty*, nazwa ta jednak jest przenośnią.

Według znaczenia etymologicznego, *Wiwaswat* znaczy „świetlny“; według atrybutów, jakie mu hymny przypisują, jest on „ojcem modlitwy“ [1], Agni jest „jego posłańcem“ [2], jest „osobą boską“ [3], niema nigdzie wzmianki, żeby był człowiekiem, a stąd nie mógł być ojcem Jamy w znaczeniu zwykłem.

Siostrą i małżonką Jamy jest *Jami; jama* i *jami*, dosłownie znaczą „bliźnięta“. Roth pisze [4]: „Oni (Jama i Jami) są, jak

---

[1] R.-W., I, 139, 1. [2] X, 21, 5; VIII, 39, 3. [3] X, 65, 6.
[4] *Journal of the American Oriental Society*, vol. III, p. 335.

świadczą ich nazwiska, bliźniakami, brat i siostra, a stanowią pierwszą parę rodu ludzkiego. Hebrajczycy ściśle jednoczyli pierwszą parę, wyprowadzając niewiastę z ciała męża; Hindowie, według swych podań, jednoczyli ją, przyznając jej bliźnięctwo. To pojęcie wyrażone jest w hymnie (Rigweda X, 10, 5), gdy Jami mówi: ‚Boski Twasztri, Stwórca, Ożywiający, Nadający wszystkie kształty, uczynił nas mężem i żoną jeszcze w żywocie'".

Hymny Rigwedy wspominają często, że Jama był „pierwszym" który umarł, pierwszy dostał się do nieba i tam przebywa ze swymi potomkami. „Wysokie niebo" jest „przybytkiem Jamy", tam zgromadza koło siebie tych wszystkich „Ojców", którzy wiedli sprawiedliwy żywot na ziemi [1].

Jeden hymn [2] zawiera ustęp nader charakterystyczny, jak zauważył Barth [3]: „Jama mógł nie umierać, lecz wybrał, a raczej zasłużył na śmierć, albowiem pod tym wyborem ukrywa się u p a d e k".

O tym upadku, tj. o grzechu pierworodnym, niema więcej szczegółów w hymnach; jednak pamięć tego zdarzenia głęboko została wyryta w umysłach Hindów, czego dowodem są ich modlitwy i nienawiść, jaką tchną hymny ku istocie, która była sprawcą upadku.

Gajatri, którą każdy pobożny Hindus odmawia, jest następująca:

Jestem grzesznikiem, grzeszę, natura moja jest grzeszną, poczęty jestem w grzechu. Zbaw mnie, o Hari, gładzicielu grzechu.

Williams sądzi, że ta modlitwa ma związek z grzechem pierworodnym [4].

W znacznej części Rigwedy występuje Indra jako pogromca *Writry* albo *Ahi*, tj. „Węża"; Riszi nie znajdują dosyć słów dla wyrażenia nienawiści ku temu „Wężowi" i ku całej „rasie Węży"; kto był ten Wąż?

---

[1] R.-W., x, 14, 8; 58, 1. [2] R.-W., x, 14.

[3] *Op. cit.*, p. 17.

[4] „A sense of original corruption seems to be felt by all classes of Hindus, as indicated by the following prayer". *Indian Wisdom*, p. 146.

Hindowie w bardzo dawnej dobie wierzyli w istoty duchowe, dzielili je na hufce, którym dawali różne nazwy: *Aditia, Rudra, Ribhu, Marut, Aswin* i wiele innych. Wszystkie te hufce duchów miały znamiona wspólne, były mianowicie stworzone, spełniały czynności wyznaczone im przez bogów, walczyły z bezbożnymi, opiekowały się ludźmi i wreszcie zasłużyły sobie na nieśmiertelność. Hufce tych duchów występują w hymnach czasami osobno, często jedne obok drugich, nierzadko jedne po drugich, a w swych ogólnych zarysach wyglądają na naszych Aniołów, tem bardziej iż zwykle nazywani są „posłańcami". Przypuszczenie nasze potwierdza się tem, że wśród tych Aniołów znaleźli się *Dasyu* [1], Aniołowie niewierni.

Dasyu albo *Dasa* byli z początku dobrymi Aniołami, mianowicie „byli panami i oblubieńcami wód niebieskich" [2], co znaczy byli w stanie łaski [3]; lecz skoro zbuntowali się przeciw niebu, skoro „chcieli się wedrzeć do nieba" [4], zostali „strąceni z nieba" [5] przez Indrę, a nawet „spaleni", jak się wyraża jeden hymn [6], co może się odnosić do otchłani piekielnej.

Dasa nazywani są „zwodzicielami" [7], „zbrodniarzami" [8], „bezbożnymi" *(avrata)* [9], „istotami ciemności" [10], wrogami światła, światło jest dla nich zabójcze [11].

Pomiędzy tymi Dasami wyszczególnione są niektóre osobistości, mające nazwiska własne, jak *Namuczi, Writra, Ahi.* Ahi w liczbie pojedyńczej znaczy „Wąż", w liczbie mnogiej „rasę szatańską".

---

[1] Wyraz wedyjski *Dasyu, Dasa,* znaczy nieprzyjaciela; początkowo odnosił się do złych Aniołów, następnie zaś do ludów barbarzyńskich, z którymi Hindowie prowadzili boje podczas zdobywania sobie nowych siedzib na półwyspie. Bergaigne potwierdza to zapatrywanie: „Il est en effet hors de doute que les mots *dâsa* et *dasyu* désignent dans les hymnes védiques, non seulement des races ennemies, mais aussi des démons". *Op. cit.*, vol. II, pag. 210.

[2] R.-W., I, 185, 5; 32, 11; V, 30, 5; VIII, 85, 18.

[3] „Wody niebieskie" są symbolem łaski i dobrodziejstw Boga, jak sam Bergaigne przyznaje: „Elles pourraient même n'être qu'un *symbole des faveurs du dieu*". *Op. cit.*, vol. II, p. 184.

[4] R.-W., VIII, 14, 14. [5] X, 55, 8. [6] I, 33, 4, 7, 9. [7] III, 34, 6.
[8] IX, 47, 2. [9] VI, 14, 3. [10] X, 73, 5. [11] X, 170, 2.

Rzecz godna zastanowienia: hymny, opisując walki z tymi wrogami, wyrażają się, że Indra „rozpłatał głowę“ Namuczi, Węża [1], a w kilku miejscach nawet używają wyrażenia, iż starł jego głowę [2].

Hindowie wedyjscy, równie jak Eranowie z Awesty, mieli w wielkiej nienawiści „Węża“; w późniejszym dopiero czasie, w epoce hinduizmu, Aryowie zrobili ustępstwo pokoleniom turyjskim pod tym względem.

W *Aitareya-brahmana* [3] znajduje się wspomnienie o walce bogów z szatanami. Aby zwyciężyć tych ostatnich, bogowie złożyli potrójną ofiarę:

Po pierwszej zaraz ofierze wypędzili oni szatanów z ich twierdz ziemskich, po drugiej z powietrza, a po trzeciej ofierze wypędzili ich z nieba. Tym sposobem szatani zostali wypędzeni ze świata przez bogów.

Podanie o „Drzewie Żywota“ przechowało się głęboko w pamięci tak Eranów jak i Hindów: mityczna postać *Haomy* albo *Homy* u pierwszych, a identyczna co do nazwy i znaczenia *Soma* u drugich, odnosiły się do tego samego historycznego przedmiotu.

W Rigwedzie Soma jest to *amrita*, grecka ἀμβροσία, „źródło wód żywych“, „woda niebiańska“ — symbol nieśmiertelności; ta ostatnia cecha jest charakterystyką Somy i we wszystkich hymnach jej poświęconych, a jest ich bardzo wiele, wyraźnie jest zaznaczone, że udziela nieśmiertelności [4].

Dalej, hymny przyznają Somie, iż jest lekarstwem na choroby:

Choroby bezsilne odstąpiły, zadrżały i ulękły się, które przedtem dręczyły; potężna Soma zstąpiła na nas i dostąpiliśmy przedłużenia życia [5]. Soma uzdrawia co jest chorem, przez Somę ślepy widzi, kulawy chodzi [6].

---

[1] R.-W., I, 52, 10; V, 30, 8; VI, 20, 6; VIII, 6, 6; 65, 2.
[2] V, 30, 7; VIII, 14, 13. [3] Edycya Hauga, I, 23.
[4] III, 62, 15; VIII, 68, 6; IX, 91, 2; 94, 4; cały 113; X, 57, 3, 6; 59, 4, 7.
[5] VIII, 48, 11. [6] VIII, 68, 2.

Co więcej, Soma była przyniesiona na ziemię przez sokoła [1], „z nieba“ [2], „z góry“ [3], gdzie została pomieszczoną przez Warunę [4]. Soma ta jednak nie znajduje się obecnie na ziemi; z powodu grzechów ludzkich [5] przeniesioną została do nieba [6]; jest strzeżona przez duchy zwane Gandharwa [7].

Wreszcie Soma była owocem „lśniącego drzewa“ [8]. W Mandali I., hymnie 164, znajdujemy wzmiankę o „bliźniakach“, siedzących pod drzewem *Pipala*, z którego pożywają „słodki owoc nieśmiertelności“. Przez tych „bliźniaków“ należy prawdopodobnie rozumieć Jamę i Jami, Jama bowiem w innem miejscu Rigwedy przedstawiony jest pod „drzewem niebiańskiem“ [9]. Langlois przyznaje [10], że ten ustęp „jest odbłyskiem początku Genezy“.

Soma hinduska tak jest podobna w swych szczegółach do Homy erańskiej, a obiedwie tyle mają punktów stycznych z biblijnem Drzewem Żywota [11], że sam Bergaigne zmuszony jest

---

[1] I, 80, 2. [2] IV, 26, 6. [3] I, 93, 6. [4] V, 85, 2.

[5] Sir Monier pisze: „Prosiłem Brahmanów w północnych Indyach, ażeby mi dali rzeczywisty okaz rośliny, z której wyrabiała się Soma; odpowiedzieli, że, w dzisiejszym grzesznym stanie świata, święta roślina przestała rosnąć na ziemi i może być tylko znalezioną w niebie“. *Brahm. and Hind.*, p. 13.

[6] IX, 36, 6; 85, 9; X, 85, 1.

[7] *Śatapatha Brahmana* III, 4, 3, 13; III, 6, 2—18; III, 9, 3, 18; *Taitt. Sanh.* VI, 1, 6, 1, 5.

[8] R.-W., X, 94, 3. [9] R.-W., X, 135, 1. [10] *Rigveda*, p. 148.

[11] W późniejszem piśmiennictwie hinduskiem, mianowicie w Puranach, znajdują się podania, które wiele mają podobieństwa z „Drzewem Żywota“. Autorowie hinduscy dają temu drzewu różne nazwy: *Kalpadruma*, *Kalpawriksza*, *Lakszmi-wriksza*, *Pari-dżatamu*, a opowiadają różne dziwy:

Kryszna za namową swej żony Satya Bhama wykradł był Paridżatę z nieba i przeniósł je do swej stolicy Dwaraka; po jego śmierci drzewo powróciło do nieba.

W innej opowieści, bogowie, (wyraz ten należy tu brać w znaczeniu „przodków“) idąc za wskazówkami Wisznu, odszukali w morzu święte drzewo Paridżaty, które im miało przywrócić pierwotną siłę.

Podania hinduskie mieszają często „Drzewo Żywota“ z „Drzewem wiadomości złego i dobrego“. I tak, bohaterowi purańskiemu Pariksiti przepowiedział był święty pustelnik, iż zginie od ukąszenia węża. Aby uniknąć śmierci, przeniósł się Pariksiti na odludną wyspę, na której nie było wężów.

wyznać, iż „rzeczą jest pewną, że mit drzewa niebiańskiego odnosi się do Somy“ [1].

Pozostaje nam przytoczyć jeszcze jedno podanie hinduskie, które przypomina opowieść biblijną. Osobistość, która pierwszorzędną odgrywa w niem rolę, zowie się *Manu*.

Wyraz *manu* używa się w sanskrycie w podwójnem znaczeniu: jako imię zbiorowe „człowiek“ i jako imię własne przedstawiciela rasy ludzkiej; w pierwszem znaczeniu przychodzi jedynie w piśmiennictwie wedyjskiem, w drugiem zaś tak w wedyjskiem jak i w późniejszem piśmiennictwie sanskryckiem.

Rzeczą zdaje się pewną, że pierwotnie wyraz *manu* oznaczał imię własne.

Manu musiał być osobistością historyczną, albowiem nazywany jest „bohaterem“ [2], „Ojcem“, *Manusz pita* [3], którym opiekowali się bogowie [4]. We wszystkich hymnach, odnoszących się do ofiary, wspominany jest Manu, on ustanowił obrządek ofiarny, „pierwszy“ złożył ofiarę Bogu [5]. Indologowie europejscy prawie jednozgodnie przyznają, że Manu był Noe'm biblijnym, albo jednym z jego synów [6]; podanie, o którem wyżej wspomnieliśmy, odnosi się właśnie do Potopu.

Podanie o Potopie rozpowszechnione jest wśród ludów tak starego jak i nowego świata. Pomijamy tu podania Aryów Zachodnich, Greków i Litwinów, o podaniach erańskich mówiliśmy

---

Przebiegły wąż przyjął na się postać cytryny, przepłynął morze, które go wyrzuciło na brzeg wyspy. Pariksiti ujrzał cytrynę, pociągnięty jej widokiem, chciał ją skosztować i wtenczas zdradziecki wąż ukąsił go w nos; ukąszenie to przyprawiło go o śmierć. Po dziś dzień w wielu miejscowościach niewiasty hinduskie nie pozwalają dzieciom dotykać się cytryn.

Podania wyżej przytoczone są czysto aryjskie, lecz w Indyach jest wiele innych, odnoszących się szczegółowo do „Drzewa wiadomości złego i dobrego“; pochodzą one od tubylców różnych szczepów nie-aryjskich — pomówimy o nich obszerniej w swoim czasie.

[1] „Il est certain que le mythe de l'abre céleste se rattache à celui de Soma“. *Op. cit.*, vol. I, p. 199.

[2] I, 112, 18. [3] I, 68, 7; 80, 16; 96, 2; 114, 2; II, 33, 13; VIII, 52, 1; X, 46, 10. [4] I, 31, 4; VII, 91, 1; VIII, 27, 4. [5] I, 36, 19; X, 63, 7.

[6] Weber, *Ind. Stud.*, I, 165, 194, 195; Burnouf, Introd. to *Bhag. Pur.* LIX; Wilson, *Rig-veda*, II, 292; Neve, *Essais sur le mythe des Ribhavas*, p. 68.

już w swojem miejscu; obecnie zajmiemy się podaniami o tym wypadku ludów hinduskich.

Opowiadanie o Potopie znajduje się w rozmaitych częściach piśmiennictwa hinduskiego, mianowicie w *Mahabharata*, w *Bhagawata Purana* i w *Matsya Purana:* główne rysy są te same, lecz szczegóły różne; stosowane są widocznie do odpowiednich wymagań każdego z tych poematów. Ponieważ te poematy należą do czasów późniejszych, szczególniej zaś, ponieważ ryba, która ocaliła człowieka od zagłady, a która miała być wcieleniem Brahmy lub Wisznu, przypomina Oannes'a, bożka chaldejskiego, stąd Burnouf sądził, iż podanie hinduskie o potopie zaczerpnięte zostało z Chaldei. Otóż mniemanie uczonego Francuza nie ostało się wobec nowszych poszukiwań i nabytków. Weber wynalazł opowiadanie o potopie wśród piśmiennictwa wedyjskiego, mianowicie w *Śatapatha Brahmana.*

Podanie hinduskie nie zawiera tylu szczegółów, jak nam daje Biblia, ani nie jest do niej tak zbliżone, jak opowieść chaldejska, jednakże ze wszystkich podań innych ludów o tem zdarzeniu zajmuje bezsprzecznie pierwszorzędne miejsce, dlatego podajemy je tutaj w dosłownem tłumaczeniu [1]:

W dawnych czasach żył święty mąż imieniem Manu, który przez pokutę i modlitwę pozyskał względy Pana niebios. Pewnego dnia przyniesiono mu wody do umycia; skoro począł umywać w niej ręce, ukazała się mała rybka i odezwała się do niego głosem ludzkim w te słowa: „Miej o mnie pieczę a ja cię ochronię". „Od czego mnie ochronisz", spytał Manu. Rybka odpowie: „Potop zaleje wszystkie stworzenia, ja cię od niego ochronię". „Lecz jakąż pieczę mam mieć o tobie?" rzecze Manu. Rybka odpowiedziała: „Dopóki jesteśmy małe, wystawione jesteśmy ciągle na zniszczenie; ryba zjada rybę, — włóż mnie do dzbana; kiedy podrosnę, wykop dół i tam mnie wpuść; skoro już dół będzie dla mnie za mały, ponieś mnie do morza, które wówczas już dla mnie niebezpiecznem nie będzie". Powiedziawszy to, rybka zaczęła rozrastać się nagle, poczem odezwała się znowu: „W tym a tym roku przyjdzie potop; wtenczas zbuduj korab. Skoro tylko zacznie się potop, wsiądź na okręt a ja cię ochronię". Manu uczynił jak mu było powiedziano:

[1] Weber, *Ind. Stud.*, I, 161. Muir, *Sanskr. texts*, II, 324.

przeniósł rybę do morza. W czasie wyznaczonym zbudował okręt, i schronił się doń jak tylko zaczął się potop. Niebawem nadpłynęła ryba, a do jej rogów przywiązał Manu linę okrętową. Tym sposobem ciągniony wśród wód Manu, przebył góry północne. Wówczas ryba odzywając się do Manu, rzecze: „Wybawiłam cię, przytwierdź prędko okręt do tamtego drzewa, lecz tak, aby wody były pod tobą. Jak zaczną opadać, wówczas i ty z niemi zniżać się będziesz". Tym sposobem zstąpił on z północnych gór. Potop zatopił wszystkie istoty żyjące, Manu sam tylko został przy życiu. Ponieważ chciał mieć potomstwo, złożył błagalną ofiarę. W ciągu roku stworzona została niewiasta. Skoro przyszła do Manu, spytał jej: „Kto ty jesteś?" Ona odrzekła: „Jestem twoją córką". On odpowiedział: „Jakim sposobem, kochana pani, być to może?" „Wyłoniłam się z wód wskutek twej ofiary, rzekła, znajdziesz we mnie szczęście, złóż wraz ze mną ofiarę dziękczynną". Modlił się z nią i sprawował religijne obrzędy, w celu pozyskania potomstwa. Tym sposobem stworzeni byli ludzie, nazwani synami Manu. O jakiekolwiek dobrodziejstwo prosił wraz z nią, wszystko mu w pełności było dane.

Porównywając opowiadanie tej Brahmany z innemi wersyami, Weber sądzi, że wszystkie one czerpały z jakiegoś dawnego pisma, które rąk naszych nie doszło: każda z nich prawie podaje szczegóły, które „nie znajdują się w innych, a które jednak nadają całości szczególny koloryt". Bhagawata mówi wyraźnie: „Za siedm dni światy będą zalane", co jest jakby powtórzeniem Księgi Rodzaju: „Po siedmiu dniach spuszczę deszcz na ziemię".

Wyżej wspomniany indolog robi uwagę, iż według podań hinduskich, potop był karą za grzechy: przytacza ustęp z *Kathaka,* gdzie jest wzmianka, że wody oczyściły ziemię. Wyraz sanskrycki *niramrdżant,* złożony z *mrdż* poprzedzone przez *nis,* oznacza oczyszczenie w znaczeniu kary za grzechy.

Wielu uczonych oryentalistów starało się ściślej powiązać opowiadanie Księgi Rodzaju o Potopie z podaniami hinduskiemi. Windischmann upatrywał podobieństwo nazwisk Noe i Jafet z nazwą *Nahusza,* hinduskiego Riszi, i syna jego *Jajati.* Pictet w swem cennem dziele przebiega różne podania ludów aryjskich o Potopie, porównywa je i wykazuje nietylko zupełną ich zgo-

dność między sobą, ale zarazem zgodność z opowiadaniem biblijnem, a kończy temi słowy: „Według tego jak wykazałem, Aryowie przed swojem rozproszeniem, a zatem przed Mojżeszem jeszcze, posiadali podanie o Potopie, które było niezawodnie zaczerpnięte z tego samego źródła, z którego pochodziło podanie w Księdze Rodzaju“ [1].

Lassen twierdzi również, że podania o czasach pierwotnych, jakie się przechowały u Aryów Wschodnich, nie były zaczerpnięte od innych ludów w czasach późniejszych, lecz pochodzą z epoki, w której tak Aryowie jak i Semici żyli razem, w krajach oblanych rzekami Tygrem i Eufratem, Oksusem i Indusem, a zatem nieprzerwanym łańcuchem pokoleń przekazane były przez wspólnych przodków następcom, tak Semitom jak i Aryom [2].

---

[1] „Si l'on compare les diverses légendes, soit entre elles, soit avec le récit de la Genèse, on les trouve trop divergentes pour admettre le fait d'un emprunt de peuple à peuple, si ce n'est que pour quelques détails, et, d'un autre côté, trop concordantes pour les rattacher à l'hypothèse de plusieurs déluges locaux. Dans toutes, le lieu de l'événement est changé et les noms de l'homme sauvé des eaux varient, ou ne désignent plus que des anciens rénovateurs mythiques de chaque race particulière; mais, dans toutes aussi, la destruction est universelle, et un seul homme ou un seul couple s'échappe dans un navire, avec ou sans animaux, pour recommencer la vie sur la terre...

„L'ensemble de ces traditions, comme le montre Ewald, ne forme un tout complet que dans les récits de la Genèse, et c'est bien là qu'il faut chercher sous leur forme la plus ancienne: mais les fragments dispersés que l'on en trouve chez les Aryas et d'autres races, sont des restes détachés d'un système primitif, et non des emprunts faits directement à la Genèse“. — *Les Origines Indo-Européennes*, p. A. Pictet, vol. III, pp. 361, 386, 387.

[2] „Auf dieses gemeinsame Stammland, auf diese vorgeschichtliche Berührung der Semiten und Indogermanen, welche durch den über die grammatische Bildung hinaus zurückgehenden Zusammenhang ihrer Sprachen bezeugt wird, müssen wohl solche Ursagen dieser Völker bezogen werden, welche nicht einer spätern Mittheilung zugeschrieben werden dürfen und zu weit verbreitet, zu eigenthümlich umgestaltet sind, um einer Entlehnung in historischer Zeit entsprossen seyn zu können, wie die von den vier Weltaltern, den zehn Urvätern und der Sündfluth“. *Ind. Alterth.* I. B., S. 528.

Przyszliśmy do kresu naszych poszukiwań o pierwotnej religii Hindów. Na podstawie podań, zamieszczonych w najdawniejszem piśmiennictwie hinduskiem, oparci na świadectwie uczonych europejskich, tych nawet, którzy są wrogo usposobieni względem wszelkiej religii, stwierdziliśmy, że pierwotne pojęcia religijne Hindów były jednobożne, wzniosłe, zgodne z pojęciami zawartemi w Biblii, i miały z niemi wspólne źródło w pierwotnem Objawieniu.

Ks. W. Zaborski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego. *Dr. Fr. Piekosiński.* Kraków 1891. (Osobne odbicie z tomu XVIII. Rozpraw Wydz. filoz.-histor. Akad. Umiej. w Krakowie).

Ustawodawcza działalność Kazimierza streszcza się zdaniem utartem w wydaniu słynnego Statutu Wiślickiego. Obowiązujące w tych czasach prawa i zwyczaje i inicyatywy króla, zebrane przez światłych mężów, jak: Jarosława Bogoryę Skotnickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego; Jana Suchywilka Strzeleckiego, kanclerza krakowskiego; Jana Grota, biskupa krakowskiego; Spytka, kasztelana krakowskiego, i przyjęte na zwyczajnym wiecu w Wiślicy r. 1347, miały pod nazwą Statutu Wiślickiego obowiązywać odtąd całą Polskę. Ze względu na pewne odrębności w Wielkopolsce uzupełniono je osobnym statutem w Piotrkowie dla Wielkopolan. Tak mniej więcej przedstawiają nam podręczniki historyczną genezę pierwszego statutu polskiego.

A jednak począwszy od Lelewela, jest to ustawodawstwo Kazimierzowe po dziś dzień jeszcze przedmiotem głębokich studyów oraz zaciętych sporów naukowych. Głównymi szermierzami w tej walce byli do niedawna Hube i Helcel, najdzielniejsi prawnicy polscy; obaj zmarli, nie wyjaśniwszy ostatecznie sprawy. Podejmują takową na nowo krakowscy profesorowie prawa: dr. Piekosiński i dr. Ulanowski. Ostatni dotąd podał tylko wyniki swych badań na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie z dnia 12 czerwca r. 1891. Wyniki te jednak o tyle są odmienne od

rezultatów cytowanej pracy p. Piekosińskiego, iż zdaje się nieprędko spór naukowy zostanie załatwiony, zwłaszcza, że i inni uczeni w tej sprawie arcyważnej niewątpliwie głos zabiorą.

Na razie mamy z tej na pewno wszczętej dysputy naukowej przed sobą pierwszą bardzo poważną opinię najwytrawniejszego znawcy naszych pomników średniowiecznych, d-ra Piekosińskiego.

Postępując metodycznie, bada autor najpierw krytycznie wyniki swych poprzedników. Zdaniem Helcla, zbiór lub zwód ustaw Kazimierza Wielkiego, w Statucie Łaskiego i w *Volumina legum* jako Statut Wiślicki umieszczony, nie jest jednolitym statutem, pochodzącym z roku 1347, lecz złożony z 4 statutów: *a)* Małopolskiego, uchwalonego w Wiślicy r. 1347, *b)* Wielkopolskiego, w Piotrkowie współcześnie, *c)* drugiego Małopolskiego, znowu w Wiślicy r. 1356 przyjętego, i *d)* powszechnego, również tamże w 12 lat później uchwalonego.

Hube zaś przyjmuje tylko dwa statuty, Wiślicki i późniejszy Piotrkowski. Jako dodatek autentyczny przyczepiono zdaniem jego do Statutu Wiślickiego t. zw. prejudykaty, powstałe z wyroków sądowych (25 artykułów) i ekstrawaganty (24 małopolskich i 5 wielkopolskich), tj. luźne konstytucye, wydane później na różnych wiecach, w każdym razie za życia Kazimierza.

Obaj jednak zgadzają się, idąc za Długoszem, co do daty pierwszego Statutu Małopolskiego, uchwalonego w Wiślicy zdaniem ich 11 marca *(dominica Laetare)* r. 1347. Zdaniem jednak d-ra Piekosińskiego, w dniu tym odbył się wiec Piotrkowski, data zaś wiecu Wiślickiego jest nam wcale nieznana. Podaje ją Długosz na podstawie własnych kombinacyj. Znał bowiem współczesne rękopisy statutów, dochowane po dziś dzień, zawierające zwody wiślicko-piotrkowskie bez dat tychże statutów. Otóż w pierwszym zaraz artykule znalazł *colloquium generale in Vislicia,* w innym (143-im zwodu Helcla) rok 1347 i *dominica Laetare,* a łącząc jedną wzmiankę z drugą, wykombinował znaną datę. Jednakże pierwszy artykuł należy do zwodu małopolskiego, 143-ci zaś do wielkopolskiego; kombinacya Długosza w tym wypadku zatem nie jest trafna, a niedziela środopostna odnieść się może tylko do wiecu Piotrkowskiego.

Helcel przyjmuje 4 wiece ustawodawcze, Hube tylko dwa, twierdząc, że *colloquium generale* nie jest, jak chce Helcel, wiecem ustawodawczym, lecz prostym wiecem sądowym, na których zbierano prejudykaty i ekstrawaganty. Czy jednak mogły na wiecach sądowych powstać postanowienia prawodawcze powszechnie obowiązujące?

Autor twierdzi, że nie, i dlatego zastanawia się nad znaczeniem wyrazów *colloquium, colloquium generale.*

Przychodzi do przekonania, iż w dziejach kolokwiów należy trzy doby rozróżniać. W pierwszej dobie, obejmującej wieki XII. i XIII. do roku 1306, kolokwia noszą charakter zjazdów książęcych; w drugiej do r. 1361, charakter wielkich wieców ustawodawczych, odbywanych w obecności monarchy; w trzeciej do r. 1370, charakter sądów wiecowych, rozstrzygających głównie sprawy dziedziczne bez współudziału króla.

Ze względu na pierwotny charakter kolokwiów, początków ich szukać należy w rozporządzeniach testamentarnych Krzywoustego. Ustanowienie senioratu zmuszało książąt dziedzicznych w ważniejszych sprawach odnosić się do seniora. Stąd zjazdy książąt pod przewodnictwem wielkiego księcia, a charakter ich do zjazdu Gąsawskiego, gdzie wraz ze śmiercią Leszka i seniorat idzie do grobu, nazywa autor wielkoksiążęcym. Zjazdy książąt przez cały wiek XIII. odbywają się w sprawach ważniejszych, a za przykładem zjazdów książęcych, także i zjazdy z arcybiskupem i biskupami przybrały charakter takich samych kolokwiów. Ostatnim takim zjazdem jest kolokwium, odbyte w r. 1306, między Łokietkiem a mistrzem krzyżackim.

Połączenie dzielnic Wielkopolskiej i Małopolskiej pod berłem Łokietka i Kazimierza uczyniło zbytecznem zjeżdżanie się drobnych książąt do wspólnych obrad, a kolokwia noszą stale nazwę *colloquium generale,* i odbywają się zawsze przy współudziale króla oraz dostojników głównie świeckich, ale i duchownych. Odbywają się one nader rzadko; z czasów Łokietka znamy ich zaledwo 4, a z 28 pierwszych lat panowania Kazimierza tylko 6. Ze składu i rzadkości ich przypuścić należy, iż rozpatrywane na nich były tylko najważniejsze sprawy państwa, a przedewszystkiem prace ustawodawcze.

Z rokiem 1362 rozpoczyna się trzecia epoka kolokwiów. Różnią się one tem od poprzednich, że odbywają się bez króla, przy współudziale samych tylko dostojników ziemskich, a jedyną czynnością tych kolokwiów jest rozsądzanie spraw najważniejszych, zwłaszcza dziedzicznych. Są to zatem wiece sądowe i odbywają się trzy razy do roku. Ustanowił je, jak z 11 artykułu zwodu Helcla wynika, Kazimierz, jako najwyższy trybunał, który z 6 dostojników ziemskich złożony, wydawał wyroki i w nieobecności króla. Ponieważ na tych wiecach sądowych brakło niezbędnego czynnika ustawodawczego, tj. króla, nie można ich, jak chce Hube, uważać także za wiece ustawodawcze.

Hipoteza Helcla, przyjmująca tylko 4 wiece ustawodawcze, jest bliższa prawdy. Zdaniem bowiem autora odbyło się za panowania Kazimierza 6 wieców ustawodawczych. Z tych dwa, tj. Pyzdrski z r. 1346 był przygotowawczy dla Piotrkowskiego, i Sulejowski z r. 1350 był przeznaczony dla dzielnicy Sieradzko-Łęczyckiej. Pozostają więc: 1 wiec Piotrkowski z r. 1347 dla Wielkopolski, i 3 wiece dla Małopolski: Wiślicki z r. 1347, Wiślicki z r. 1356 i prawdopodobnie Krakowski z r. 1361.

Wynikiem pracy ustawodawczej tych 4 wieców, jest zwód zawarty w rękopisie B IV., który obejmuje tylko 59 artykułów i jest, jakkolwiek z XV. wieku pochodzi, wierną kopią rękopismu, jeszcze za życia Kazimierza W. powstałego.

Prejudykaty i reszta artykułów małopolskich, jakie posiada najkompletniejszy zbiór tychże, tj. rękopis Oss. I. (113 pierwszych artykułów i 166-ty zwodu Helcla), pochodzący z r. 1400, musiały zdaniem autora powstać na jakimś wiecu między rokiem 1362 a 1370, i to na podstawie materyału zebranego po r. 1362 na owych wiecach sądowych. Był to prawdopodobnie wiec z r. 1368, za czem przemawiają różne poszlaki, lecz nie powszechny, jak chce Helcel — brak bowiem artykułów na nim uchwalonych w Statucie Wielkopolskim — ale partykularny. Nie wiemy również, czy wiec ten się odbył w Wiślicy, jak twierdzi Helcel na podstawie pierwszego artykułu, który zdaniem jego, jak reszta artykułów zawartych w rękopisie B IV., miał powstać na tym ostatnim wiecu.

Zdaniem p. Piekosińskiego artykuły te, zawierające różne przepisy przeciw nadużyciom, były najpilniejsze, i dlatego odnieść je trzeba nie na koniec ustawodawczej działalności króla, lecz raczej na początek. Co do chronologicznej kolejności więc powstawania pojedyńczych statutów czyli grup artykułów, przyznaje autor hipotezie Hubego większą trafność.

Nakoniec bada p. Piekosiński stosunek czynności sejmu Warckiego do ustawodawstwa wiślickiego Kazimierza W. Wbrew zdaniu przyjętemu przez uczonych, przeczy, iżby sejm Warcki zajmował się tekstem ustawodawstwa wiślicko-piotrkowskiego. Wprawdzie na 31 artykułów Statutu Warckiego, 18 obejmuje zmiany, utwierdzenia, lub uzupełnienia artykułów wiślicko-piotrkowskich, mimo to tekstu statutów Kazimierzowych sejm wcale nie ruszał, nie mamy na to żadnego aktu królewskiego, choć statuta Warckie w tylu rękopisach się znachodzą; powtóre rękopisy ustawodawstwa wiślicko-piotrkowskiego, po-

wstałe po r. 1423, tj. po sejmie Warckim, podają ten sam niezmieniony tekst artykułów, jaki zawarty jest w rękopisie Oss. I. z 1400 r. Sejm Warcki również nie ułożył zwodu wiślicko-piotrkowskiego.

Idea zwodów nie powstała dopiero na sejmie Warckim, lecz sięga czasów Kazimierza Wielkiego. Zwody nam znane przedstawiają co do układu swego największą rozmaitość, co ich pozbawia cechy urzędowej i dowodzi, iż są prywatną pracą kompilatorów.

Na tem przerywa autor swe uwagi nad ustawodawstwem Kazimierzowem, zapowiadając jednak dalszy ciąg onychże w najbliższym czasie. Umieszczone na końcu pracy dodatki zawierają przegląd wszystkich kolokwiów znanych po rok 1370, oraz schemat artykułów w rękopisie Oss. I. zawartych, z odniesieniem ich do pojedyńczych wieców ustawodawczych.

O ile wyniki badań d-ra Piekosińskiego znajdą uznanie areopagu rzeczoznawców, trudno nam dziś już przesądzać, niewątpliwem jest jednakże, iż gruntownem swem i metodycznem postępowaniem usunął niejedną wątpliwość i niejedną niejasność, utrudniającą dotychczas poznanie prawdy dziejowej.

Nie możemy się atoli całkiem z nim zgodzić na znaczenie kolokwium w XIII. w. Interpretacya autora jest zbyt ogólnikową, nie odpowiadającą rzeczywistemu stanowi rzeczy. Że kolokwia w XII. w. do 1227 noszą charakter wielkoksiążęcy, na to zgoda; czy jednak od roku 1227 po rok 1306 można przyznać kolokwiom ten sam jednolity charakter zjazdów książęcych? Na 54 kolokwia, jakie się w tym czasie odbyły, przy 30-tu nie mamy dowodów, by to były zjazdy książęce. Są to zjazdy księcia dzielnicowego z dostojnikami swojej ziemi, duchownymi i świeckimi, w 10 wypadkach nawet bez współudziału książąt Kościoła, zatem nie mają charakteru takich samych kolokwiów, jakie się odbywały pomiędzy książętami. Że to są po części zgromadzenia ustawodawcze, na to wskazuje już pierwszy wiec tuż po śmierci Leszka Białego w pierwszych tygodniach r. 1228 zebrany w Cieni, gdzie wielmoże krakowscy uznają Laskonogiego swym panem, w zamian za co tenże Kościołowi całemu i świeckim panom różne ustępstwa przyznaje. Słowa dokumentu na tym wiecu spisanego: *Jura justa et honesta secundum episcopi et baronum consilium tenebo et faciam ea firmiter ab aliis tenere,* świadczą niechybnie o współudziale najwyższych dostojników duchownych i świeckich w rządach. Niewątpliwie owe kolokwia, owe wiece zbierają się po to, by barones swe *consilia* księciu wypowiedzieć mogli, by wspólnie z nim rozstrzygali najważniejsze

sprawy polityczne czy sądowe. Potwierdza to dokument Konrada Mazowieckiego dla biskupstwa Płockiego z roku mniej więcej 1230 (Kętrzyński, 30 dokumentów katedry Płockiej. Nr. 2. — Sprawozdanie Zakładu narod. im. Ossolińskich za r. 1888, str. 77). Powiada w nim książę: *habito consilio cum meis baronibus, communi consensu in colloquio laudavimus et statuimus, ut omnes plebei in ducatu meo communi modo solverent decimas manipulatus* etc.

Że na tych wiecach książę dzielnicowy przy współudziale baronów swych rozstrzygał najważniejsze sprawy sądowe, potwierdza nam dokument z r. 1238 30 czerwca (Kod. dypl. Wielkopol. Nr. 211). Zawiera on wyrok Kazimierza Kujawskiego, który *in colloquio de Danków* przy współudziale Konrada Mazowieckiego, Bolesława brata swego, biskupa Kujawskiego, i baronów, rozstrzyga spór między klasztorem w Strzelnie a Szymonem z Ludzisk o pewne włości.

Wiece takie dzielnicowe, będące najwyższem ciałem prawodawczem i sądowniczem pewnej ziemi, powstały niewątpliwie w Małopolsce, gdzie duchowieństwo i magnaci rychło wpływ wywierają na książąt takich, jak Kazimierz Sprawiedliwy, a przedewszystkiem na rządy Heleny i Leszka. Pierwszym nam znanym wiecem dzielnicowym jest kolokwium z r. 1222 nad rzeką Szreniawą, drugim wiec w Korytnicy w ziemi Krakowskiej z r. 1224, *in quo colloquio fuerunt plurimi nobiles tam de Cracovia, quam de Sandomiria.* W tym samym roku mamy w ziemi Sandomierskiej takie samo kolokwium w Suchedniówku. Są to jedyne nam znane wiece dzielnicowe za życia Leszka Białego. Co było przedmiotem ich obrad, tak samo nie wiemy, jak o niektórych wiecach Kazimierza Wielkiego. Skład jednakże tych zebrań, jakoteż przykłady wyżej zacytowane, każą nam wnioskować, że kolokwia już w pierwszej połowie XIII. wieku noszą na sobie charakter wieców ustawodawczych i sądów wiecowych.

Ale i zjazdy książęce nie noszą od 1227 r. jednolitego charakteru, choć noszą jednę i tę samą nazwę *colloquium*. Inne cechy mają np. zjazdy Grzymisławy z Konradem Mazowieckim, lub Henryka z tymże księciem, a inny charakter w roku 1228 zjazd Grzymisławy z księciem Romanem, księciem obcym, nie Piastowiczem; cóż dopiero mówić o zjeździe Władysława Łokietka z mistrzem krzyżackim z r. 1306. Wynika stąd, że wyraz *colloquium* w XIII. w. nie oznaczał jakiejś pewnej określonej instytucyi, lecz wogóle zjazd w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Na str. 50 pod n-rem 33 uderzył nas wreszcie między świadkami tytuł Pakosława: „wojewoda wiślicki“. Jest to widoczna pomyłka, pochodząca z błędnego oddruku w Kod. dypl. Polskim, tom I. nr. 28, ponieważ z oryginału w Kod. dypl. Małop., tom II. pod n-rem 417 wydany ponownie dokument ma wyraźnie: *Pacoslaus castellanus Vislicie.*

Dr. K. Krotoski.

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. wieku. Przez *W. Bogusławskiego.* Tom I.

Dzieła tego, na konkursie Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu uwieńczonego, wyszły już 2 tomy, a ma ich być wszystkiego 4.

Powoli zaznajomimy czytelników naszych z niemi, bo i dzieło na to zasługuje i oprócz krótkiej krytyki w *Kwartalniku Towarzystwa Historycznego,* o ile wiemy, nikt inny z niem szerszej publiczności nie zaznajomił. Zaczynamy więc od tomu I.

Zaraz na samym wstępie musimy jasno określić stanowisko, które zająć chcemy w ocenianiu tego dzieła. Nie według tego myślimy sądzić o doskonałości jego, o ile odpowiedziało wymaganiom konkursowym, bo to już zresztą samo Towarzystwo uczyniło, przyznając autorowi nagrodę, ale ze stanowiska ogólno-naukowego chcemy wypowiedzieć nasze skromne zdanie o jego wartości dla dziejów całej Słowiańszczyzny.

I pod tym względem, bez wahania się możemy orzec, że p. Bogusławski wielce się przysłużył sprawie słowiańskiej w naszych czasach, i ułatwił zwycięski pochód swoim następcom do dobicia się prawdy zupełnej.

Od pojawienia się pomnikowego dzieła Szafarzyka: „Starożytności Słowiańskie“, jeszcze się nie zjawiło dzieło bardziej posuwające naprzód poznanie pierwotnych dziejów Słowiańszczyzny, jak „Dzieje“ Bogusławskiego.

Podczas gdy Szafarzyk dowiódł istnienia Słowian w Europie nie dopiero od V. w. po Chr., jak chcieli Niemcy, ale przynajmniej o 1000 lat wcześniej, to p. B. nietylko, że nowe nagromadził dowody odwieczności bytu naszych przodków na ziemiach, które obecnie zajmują, ale posunął zarazem ich dawniejsze siedziby aż po Wezerę przynajmniej. Szafarzyk Wisły przekroczyć nie śmiał, bo tu stały słupy graniczne starej Germanii, którą on całkiem odstąpił Niemcom, a jeśli nie mógł zaprzeczyć, że według zupełnie pewnych świadectw w VI. w. Germania

po Łabę była słowiańską, jeśli Holandya w VIII. w. jeszcze zwała się *terra slavinica*, to widział on w tem zgodnie z uczonymi niemieckimi późniejsze tylko osiedlenie się Słowian w krajach odwiecznie niemieckich.

Pan Bogusławski podał niezbite dowody, że i za Wisłę, ba aż do Renu dochodziły granice plemienia słowiańskiego, i to nie dopiero w VI. w., ale znacznie dawniej, że więc niedorzeczna hipoteza o wciśnięciu się Słowian do Europy zachodniej pod zasłoną Awarów, raz na zawsze z historyi wyrzuconą być powinna [1].

Mając dać pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową, szukał autor najdawniejszego świadectwa historycznego, któreby bezsprzecznie i z wszelką jasnością zawierało w sobie wiadomość o pobycie w Europie Słowian zachodnio-północnych. Takiem świadectwem wydał mu się być tekst Jornandesa, biskupa z Rawenny, żyjącego w VI. w. Ten wyraźnie mówi o Słowianach (Slavini) i o szerokiem ich rozsiedleniu na północy Europy, lecz kiedyby oni tam przybyli, nic nie wspomina. Z pewnością musieli już tam zostawać od bardzo dawna, kiedy żadnej pamięci, żadnego napomknienia o ich do Europy przywędrowaniu nigdzie niema ani u Greków ani u Rzymian.

Wytłumaczeniem należytem owego tekstu (§ 4) udało się autorowi uzyskać podstawę pod dowód, że owi Słowianie są odwiecznymi właścicielami siedzib, w których ich biskup Raweński za swego życia zastał. Albowiem na tym samym obszarze, na którym on ich znalazł, dawniejsi historycy znają Swewów. Aeticus i Orosius († 417) tak się wyrażają: *Germania, ubi plurimam partem Suevi tenent, quorum omnium gentes sunt 54.* Pobyt zaś Swewów odwieczny w Germanii zaświadczają Ptolomeusz i Tacyt, którego znowu te są słowa: *Suevi majorem partem Germaniae obtinent.* Któż więc nie widzi, że jeśli się dowiedzie, że Suevi a Slavini jednym i tym samym są narodem, pobyt w Europie odwieczny Słowian północno-zachodnich tem samem jest dowiedziony.

[1] A bardzo te dowody są potrzebne w naszych czasach, w których przesądy niemieckich uczonych nawet w zakres polityki wchodzą, jak to mogliśmy się przekonać niedawno temu, gdy minister wielkiego państwa europejskiego w mowie swojej parlamentarnej wyjechał z zarzutem, że nie bardzo słusznie upierają się Czesi przy swoich ideałach politycznych, kiedy prawdopodobnie Niemcy dawniejsze mają prawo do Czech jak sami Czesi. Otóż z dziełem p. B. w ręku, możnaby panu ministrowi wykazać, iż teorya jego jest co najmniej przestarzałą i pozbawioną wszelkiej podstawy rzetelnej.

I dlatego, jak pisze autor w przedmowie, uznał on za konieczne dowiedzieć się: „kim byli znakomici Swewy". Odpowiedź na to stanowi dział I. tego tomu, w dziale zaś drugim dzieje ich pierwotne przechodzi aż do r. 513 po Chr.

Identyczność siedlisk Slawinów Jornandesa i Swewów starożytnych jeszcze sama przez się tożsamości etnograficznej nie dowodzi, i dlatego autor inne jeszcze nagromadził dowody, przemawiające za słowiańskością Swewów. Nie trudno mu było o to, bo i niektórzy Niemcy już przed nim to uczynili, jak Dawid Popp (r. 1821), o którym autor pisze (str. 31), że „zwróciwszy uwagę na to, że w krajach zasiedlonych niegdyś przez Swewów mówiono po słowiańsku, a wszystkie nazwy miejscowe i pamiątki noszą cechy słowiańskie, nie wahał się Swewów przyjąć za Słowian". W kilka lat później (1826) Wersebe wystąpił z tem samem zdaniem, „przyszedłszy do przekonania, że nazwy Swawi i Slawi są identyczne". I sławny Jakub Grimm zapomocą etymologii tej samej identyczności silił się dowieść, a z nim się zgodził w r. 1878 Teodor Poesche. O słowiańskich pisarzach niema co wspominać, którzy wiele nowych szczegółów w tej sprawie nagromadzili.

Wszystkie te dowody, i językowe i rzeczowe, tak Niemców jak Słowian, autor uzupełnił i nowe jeszcze dodał, najbardziej przez swój „Przegląd ludów pod nazwą Swewów słynących" (§ 8, str. 43), chociaż wprawdzie już i na tem polu miał poprzedników; zawsze jednak ten „Przegląd" jest najświetniejszą częścią jego pracy. Głównie przez należyte uwzględnienie topografii, a nietylko etymologii (jak dotychczas czyniono), jako źródła dziejowego, i słowiańskość owych ludów dowiódł i prawdziwe (z małemi jednak wyjątkami) siedziby im oznaczył.

Lecz po tem wszystkiem czy sprawa słowiańskości Swewów już skończona? czy już stanowczo została załatwioną po ukazaniu się dzieła pana Bogusławskiego?

Musimy odpowiedzieć przecząco.

Sam autor przyznaje, że kwestya to zawiła, i dlatego nic w tem dziwnego, jeśli jeszcze nie udało się jemu rozwikłać ją zupełnie. Wiele, bardzo wiele uczynił dla jej wyświecenia, ale jednak nie tyle, aby przekonać umysł nawet uprzedzony, a właśnie o to chodzi jak najbardziej w powyższej sprawie. Wiekami całemi nagromadzone przesądy nie tak łatwo rozwiać i obalić, tem bardziej, że przedmiotowe i źródłowe badanie dziejów dopiero od nie tak dawna się zaczęło.

Ażeby kwestya narodowości Swewów raz na zawsze zakończoną i stanowczo rozstrzygniętą została, i to na podstawie starożytnych

pisarzy, potrzeba wziąć na uwagę: 1) różność pisowni i różność znaczenia tego słowa *Suevi;* 2) stosunek narodowościowy Swewów do Germanów. Oba te postulata autor wprawdzie porusza, ale zbywa je lekko; i tem właśnie bardzo sobie zaszkodził.

Nie można zaprzeczyć, że formy Suevi, Suebi, Suabi, Suavi u starożytnych się znajdują, skąd zatem pewność, że wszędzie ma być Suevi, kiedy np. Mommsen uważa formę Suebi *als die allein richtige Lesart.* A jednak autor wszystkie swe dowody na formie Suevi buduje; jeśli więc podstawa niepewna, i budowanie na niej chwiejne jest.

Nie obojętna też rzecz, czy ta nazwa Suevi, choćby jedynie prawdziwa, zawsze miała to samo znaczenie. Otóż autor sam przytacza dowody (str. 29), że nie zawsze te same narody rozumiano pod nazwą Swewów, a nawet można powiedzieć, że niema dwóch pisarzy, którzyby się zgadzali zupełnie między sobą pod tym względem. Suevi Cezara nie są ci sami co Suevi Tacyta, co innego rozumie pod tą nazwą Pliniusz, a co innego Juljusz Capitolinus. Raz Swewi są ogromnym narodem, to znowu jakimś drobnym tylko ludkiem. Nie wiadomo zatem jest, którym Swewom autor przyznaje zaszczyt naszych protoplastów.

Ale największe trudności wynikają ze stosunku Swewów do Germanów.

Że Swewi są Germanami, na to się zgadzają wszyscy pisarze, autor zaś dodaje (str. 29), że „w IV. wieku nazwisko Swewów traci wziętość, tonąc w ogólnej nazwie Germanów". Jakiem więc prawem autor robi Swewów Słowianami, jeśli Germanie są Niemcy? Wprawdzie radzi on sobie i na to, ale w sposób nieodpowiedni dla poważnego badacza dziejów, jak to niżej zobaczymy.

Na usunięcie obu tych źródeł zawikłań i niejasności podamy teraz sposoby, jakie się nam najodpowiedniejsze wydają.

Twierdzimy zatem, że dla rozwikłania sprzeczności i niejasności, jakie się znajdują w starożytnych pisarzach co do narodowości germańskich ludów, których oni raz Suevi, raz Suebi lub Suabi nazywają, potrzeba koniecznie ustalić formy pisania, podobnie jak to autor uczynił z tekstem Jornandesa, a której to właśnie poprawce cały swój sukces zawdzięcza. Podobnej metody potrzeba i tutaj użyć. Przyjąwszy jako pewnik, na co zresztą są niezbite dowody, że w Germanii starożytnych bytowali Słowianie od czasów niepamiętnych, musimy przypuścić, że Rzymianie znali i to ich ogólne nazwisko Słowian, a i nazwy plemion poszczególnych, przynajmniej ważniejszych. Jak dotychczas po łacinie Słowianie nazywają się Slavi, tak przyjąć potrzeba, że nazwa

Suevi i lingwistycznie i realnie jest ta sama co Slavi, że więc u autorów tylko tam powinna się znaleść, gdzie jest mowa o Słowianach wogóle, nie zaś o jakiemś szczegółowem plemieniu.

Oprócz imienia Słowian, znachodzimy w średnich wiekach szeroko na północy rozpostarte imię Serbów. Cesarz Konstanty zna w X. w. Wielką Serbię obok Wielkiej Chorwacyi; Łużyczanie aż dotychczas zwą się Serbami. Czy więc podobna, żeby nazwa Serbów (i to na północy) starożytnym nie była znana? Zdaje się nam, że jest to niemożebne i że właśnie ta nazwa pierwotnie dobrze pisana Serbi, z czasem z winy przepisywaczy zmieniła się w Suebi, a jeszcze później w Suevi, wskutek czego ogromne w autorach nastało zamieszanie, co nam właśnie teraz poznanie prawdy utrudnia. Nie darmo w greckich pisarzach stoi β, tj. Σοηβοι. Z pewnością Strabo zapisał nazwę Σερβοι, przepisywacze zaś czytali lub umyślnie z wielką łatwością zrobili Σοηβοι. Autografów nie mamy, przepisywacze zaś albo źle przeczytali, albo nie rozumiejąc sami umyślnie wiele zmieniali. Jesteśmy mocno przekonani, że Cezar nie pisze o Słowianach, tylko o Serbach, tak więc powinien być poprawiony. Nie nazwa Suevi ani Suebi, ale Serbi u niego pierwotnie się znajdowała, np. B. G. I. 51, gdzie wylicza pojedyńcze rody, jak je ustawił Ariowist do boju: Harudes, Marcomanos... Serbos. Tak samo u Tacyta w tem miejscu: *Nunc de Serbis* (nie Suevis) *dicendum est.* Niema zaś w tem żadnej trudności, że jego Serbowie większym są narodem, niż u Cezara. Serby bowiem stali na czele związku kilku ludów słowiańskich, jak to i Cezar zaświadcza (B. G. VI. 10: *cum omnibus suis sociorumq, copiis*), i jak widać z dziejów Ariowista czy Jarowita. Nieszczęśliwe wojny z Rzymianami i za Cezara i za Augusta spowodowały zwiększenie tego związku dla wspólnej obrony [1] i w takim stanie zastał go Tacyt. Jego Serbia ciągnie się aż do gór Czeskich: *dividit enim Serbiam continuum montium jugum, ultra quod plurimae gentes agunt,* rozumie się, już nie serbskie, ale słowiańskie. Że Ligii nie należeli za Tacyta do związku Serbskiego, wynika i z tego, co mówi o Marbodzie, że ich podbijał.

Zna jednak Tacyt i nazwę Słowian czyli Swewów, jak to wynika z niektórych miejsc jego *Germanii,* rozdz. 2: *plures gentis appellationes... Suevos...* rozdz. 15: *quibus sc. Aestiorum gentibus ritus habitusq Suevorum,*

[1] Jako odznaka wojenna związkowych było noszenie chochoła, o którym Tacyt wspomina. Czy taka drobnostka może oznaczać odrębność narodową?

tamże wzmianka o *mare suevicum;* i rozdz. 46: *hic Sueviae finis,* tyle co *Germaniae finis.* Widocznie uznawał Tacyt, że nazwa Suevi jest tak ogólna jak nazwa Germanii, i słuszniejsza jako *nomen verum et antiquum,* gdy *Germaniae vocabulum recens et nuper additum.* Takie poprawianie tekstu starożytnych zapomocą późniejszych a pewnych wiadomości jest zupełnie w porządku, a jeśli służy do wyjaśnienia skądinąd niezrozumiałych szczegółów, jest świetnem zatwierdzeniem podstawowego założenia.

Zostaje jeszcze trzecia forma: Suabi, która z pewnością odpowiada późniejszym Szwabom i z nazwą Swewów ani językowego ani rzeczowego związku nie ma. Ponieważ wiadomo, gdzie Suabi mieszkali, więc o tym tylko narodzie ta forma ma być użyta i nie prędzej jak od III. wieku. Przedtem bowiem Suabi nie istnieli, nie jest to bowiem jakiś pojedyńczy naród, ale zlewek różnorakich. Późniejsi zaporożcy Kozacy wiernym jego obrazem. Wkońcu forma Suavi mogła powstać ze Suabi lub ze Suevi, a według podanej materyi łatwo da się wyrozumieć i odpowiednio poprawić. Te poprawki w tekstach, gdy będą dokonane, wielce ułatwią badaczowi nie tyle etnograficzną, ile ściśle historyczną część pracy o starożytnych Słowianach.

Lecz daleko ważniejsza rzecz o stosunku Swewów do Germanów według starożytnych pisarzy.

Gdyby autor uważniej był czytał Tacyta, a zwłaszcza te miejsca w *Germanii,* rozdz. 2: *Ipsos Germanos indigenas crediderim* (gdy o Niemcach sam pan B. przytacza dowody, że wszyscy ze Skandynawii przyszli), *minimeq aliarum gentium adventibus mixtos,* i z rozdz. 4: *Ipse eorum opinioni accedo, qui Germaniae populos nullis aliarum gentium connubiis infectos propriam et sinceram et tantum sui similem gentem exstitisse arbitrantur,* — toby powinien swoje badania o Swewach rozszerzyć i wziąć pod uwagę cały szczep Germanów. Według Tacyta, ta sama krew we wszystkich Germanach, te same wszędzie zwyczaje i obyczaje z małemi bardzo wyjątkami, i te same urządzenia społeczne, i dlatego od rozdz. 6—28 pisze wspólnie o wszystkich: *de moribus Germanorum.* Nawet język jeden i ten sam wszędzie, wyjąwszy Aestiów, których *lingua Britanicae proprior,* niejako inne narzecze, gdy przeciwnie *Cotinos gallica, Osos pannonica lingua coarguit non esse Germanos* (rozdz. 43); tak dalece jedność języka jest u niego warunkiem należenia do Germanów.

Pomimo tak jasnych i wyraźnych świadectw, p. Bogusławski rozpłatał Germanię na dwie etnograficznie różne części: na Swewów i nie-

Swewów, „których my, pisze on, Teutonami nazywać będziemy“ (str. 9). I na jakiej podstawie, pytamy? Albo wszyscy Germanie Tacyta i starożytnych są Niemcy, albo wszyscy Słowianie. Loiczniej zatem postępują niemieccy uczeni, zaliczając wszystkich do Niemców, których obejmowano niegdyś nazwą Germanów; i darmo sili się autor oderwać Swewów od reszty Germanów, z którymi oni są związani, jak widzieliśmy, i jednością krwi i temiż samemi obyczajami i jedną i tąż samą mową. Albo może nie byłby wiedział Tacyt, że Serbi *qui majorem partem obtinent Germaniae* mieli inną bo słowiańską mowę, odmienną od mowy swoich sąsiadów Cherusków, którzy według pana B. po niemiecku mówili?

Rzecz widoczna, że inaczej jak Tacyt pojmując Germanów i Swewów, autor tych ostatnich przez to należycie nie ocenił. Lecz niedość na tem, że im krzywdę wyrządził, odrywając od współplemieników, których oddał na pastwę Niemcom, ale nawet wszystkich Swewów w całości utrzymać nie zdołał; musiał jeszcze z pomiędzy nich wykroić część dla niemieckich Szwabów (zob. § 7). Że na tem historya pierwotna Słowian północno-zachodnich nic nie zyskała, to każdy przyzna; i słuszna wątpić, czy wogóle według tej teoryi tłumaczeni pisarze starożytni mogą się w czemś przydać do dziejów słowiańskich.

Skąd to może pochodzić, że pan B. przyswoił sobie zapatrywanie tak niezgodne z prawdą, a do tego tak szkodliwe jego sprawie?

Nic tak nie zaciemnia bystry skądinąd wzrok badacza, jak jakieś mniemanie przyjęte na ślepo lub na podstawie czyjejś powagi, a bez dowodów rzeczowych lub tylko z bardzo słabemi. Tak i autor ulega jeszcze przesądowi, z którym walkę rozpoczął, biorąc się do napisania dzieła, które właśnie oceniamy.

Dziwna rzecz, tyle odgłosu nazw i zwyczajów i urządzeń słowiańskich [1] znajdujemy w dziełku Tacyta: *De moribus Germanorum*, a jednak przez długie wieki nikt nie poważył się wykładać je w duchu słowiańskim. Niemcy nietylko, że żadnych takich odgłosów swojskich w niem nie znajdują, i owszem wiele rzeczy sprzecznych z ich

[1] Dla przykładu weźmiemy na uwagę jednę drobnostkę, której Niemcy nie wytłumaczą a Polakowi całkiem ona jest zrozumiała. W rozdz. 6, pisząc o urządzeniu Germanów wojskowem, tak się wyraża: *definitur et numerus: centeni ex singulis pagis, idq ipsum inter suos vocantur, et quod primo numerus fuit, jam nomen et honor est.* Któż nie widzi, że Tacyt zachował nam tu zrozumienie owego wyrażenia: setny to chłopak — *quod primo numerus* (setny) *fuit, jam nomen et honor est.*

podaniami skandynawskiemi, z ich charakterem narodowym, a jednak sobie je przyswoili. Hasło: *beati possidentes* widać, że i w historyi jeszcze wiele znaczy. Ponieważ kraj, zwany przez starożytnych Germania, posiadają już dość dawno Niemcy, więc wynika z tego co? że posiadają go od samego początku, czyli że są jego pierwotnymi mieszkańcami — a więc, jako dalszy wynik, że co Tacyt i inni o Germanach napisali, to wszystko stanowi inwentarz i niejako kronikę rodzinną przesławnego rodu Teutońskiego.

Któż nie przyzna, że wniosek ten nie jest loiczny — a jednak jest on dogmatem historycznym, o którym nie można wątpić bez narażenia się na wyśmianie. Przed tym bałwanem czy dogmatem bił czołem nawet taki Szafarzyk; cóż więc dziwnego, jeśli uczeni, którym się poważne przeciw temu nasuwały powątpiewania, tylko bardzo oględnie i nieśmiało ze zdaniem swem występują. Chcąc przygotować czytelnika, że mniemanie przeciwne jest możebne choć w części przynajmniej, czyli że niema w tem żadnej herezyi, jeśli ktoś choć niektóre ludy zaliczane do Germanów za Niemców nie uważa, wysilano się na dowody, że nazwa Germanii nie jest ściśle narodową, tylko geograficzną, czyli że nazwą tą już sami starożytni obejmowali ludy różnych narodowości. W taki sposób postępuje p. Kętrzyński, aby Ligiów, o których pisze Tacyt: *latissime patet Lygiorum nomen*, wyrwać z objęcia domniemanej matki i zrobić przodkami Polaków. Tegoż samego sposobu trzyma się i pan B. odnośnie do swoich Swewów. Uważając za rzecz niewątpliwą, że nazwa Germanów właściwie i pierwszorzędnie Niemcom się należy, twierdzi wbrew Tacytowi, że tylko nie-Swewi byli Niemcami, Swewi zaś, chociaż Germanami, ale niewłaściwie nazywani, Niemcami nie byli, tylko Słowianami. Po części ma i słuszność gwałcić tak świadectwo poważnego pisarza. Jeśli bowiem od najdawniejszych czasów byli w Germanii Niemcy — na co się wszyscy uczeni obecnie zgadzają — więc kiedy Swewi nimi nie byli, jak pan B. myśli że ma prawo twierdzić, nie-Swewi koniecznie za Niemców uchodzić muszą.

Ale skąd ta konieczność widzenia Niemców w starożytnych Germanach? [1]

[1] Rzecz o niemieckości Germanów można uważać za zupełnie taką samą, jak twierdzenie o niemieckości Prusaków. Obecni Prusacy z pewnością Niemcy, starożytni z pewnością nie. Za czasów Tacyta ani na lekarstwo Niemca w Germanii nie było; prawdopodobnie dopiero podczas wojen

Twierdzimy, że niema żadnej, i owszem jest wiele powodów do przeciwnego zdania. Nie wolno zatem trzymać się zdania, i to jako dogmatu historycznego, które rzeczowo i to bardzo silnie poparte nie jest. Nikt tej konieczności jeszcze dotychczas nie dowiódł, a przeciwnie bardzo łatwo z samego dziełka Tacytowego wykazać, że wszystkie znamiona i właściwości owych Germanów do Słowian jak najzupełniej przypadają.

Czują to i sami Niemcy, którzy gruntowniej i bezstronniej przeszłość swego narodu badali. Nie mogąc nie uznać śladu Słowian w Germanii Tacytowej, niektórzy z nich, jak Schloezer i F. H. Müller, przypuszczają już *ein eigentliches und uneigentliches Germanien*, czyli przystają na to, że w kraju od Łaby do Wisły mogli Słowianie być razem z Niemcami od najdawniejszych czasów. Myśleli zapewne, że przez to ustępstwo uratują twierdzę zagrożonej niemieckości. Pan B. przyjął je wdzięcznie, ale przeszedł Rubikon, a nawet wszystkich Niemców z przed Elby wyprosił; lecz jak gdyby przeląkłszy się swojej odwagi, zatrzymał się nagle w swym pochodzie na zachód, chociaż go nikt do tego nie przymuszał, a cienie Jaromira i ludu jego (Armin wódz Cherusków) z radością go jako wybawcę powitać chciały.

Tuszymy sobie, że w drugiem wydaniu I. tomu autor zastanowi się nad temi uwagami naszemi i piękną pracę swoją przerobić zechce. Słowiańskość Swewów i ich dzieje pierwotne wtedy w nowem zajaśnieją świetle.

Rusin z Pokucia.

Polski socyalizm a cudzoziemszczyzna. Napisał *ks. Bronisław Stysiński*. Kraków. Nakładem *Kurjera Polskiego*. 1892. (Str. 92).

Niewielka broszura, pisana i przeznaczona specyalnie do codziennego pisma, nie mająca przeto pretensyi do wszechstronnego i aż do samego dna zbadania podjętej kwestyi; ale widocznie bardzo na czasie, bardzo zgrabnie i rozumnie wywodami swemi w sam środek nieprzyjacielskiego obozu wkraczająca, kiedy — sądząc przynajmniej po socyalistycznych polskich pisemkach — tyle w nim wywołała zamętu i hałasu, tyle przeciw jego autorowi najrozmaitszego kalibru pocisków. Ks. Stysiński pyta po prostu: Czem t. zw. „polski socyalizm“ był w prze-

---

markomańskich ściągnięto ich do pomocy przeciw Rzymianom ze Skandynawii i Danii, i od tego czasu drobne drużyny zaczęły ciągle napływać na ziemie słowiańskie.

szłości: z jakiego źródła wypłynął? czem dziś jest, jaka jego i skąd znowu płynąca, na czem opierająca się teraźniejsza działalność; dokąd wreszcie płynie, do jakiego portu ufających sobie ślepo pasażerów swych prowadzi? Źródło nie swojskie, nie polskie; działalność wręcz wroga religii, Kościołowi, narodowym ideałom, wszystkiemu co w człowieku boże i wyższe, co stanowi w nim podstawę moralności i cnoty; ostateczny cel, do którego dąży, lub udaje że dąży, chimerą do spełnienia niepodobną. — Twierdzeń tych dowodzi autor na podstawie samychże najgłośniejszych socyalistycznych pisarzów; dowodzi zwłaszcza hojnie cytowanemi ustępami z polskich gazetek socyalistycznych. Zasady te i idee, rozrzucone w licznych artykułach, w powiastkach, w pisanych *ad usum Delphini*, tj. *ad usum* łatwowiernego robotnika, wierszykach, mniej rażą, a gorętsze, do głębszego zastanowienia się nie przyzwyczajone umysły mogą i oszołomić pięknemi frazesami, odurzyć cząstką prawdy w każdem kłamstwie zawartej; razem dopiero zebrane i uszykowane w odpowiednie szeregi, przerażają brutalnością i cynizmem. Nie dziwimy się też wcale gniewom polskich socyalistów na autora pożytecznej tej, gorąco napisanej broszurki; użył on przeciw nim najstraszniejszej i najniebezpieczniejszej, przez nich samych — co ból zadanej rany jeszcze pomnaża — ukutej broni: własnych ich słów, własnoręcznie przez nich podpisanych zeznań.

Ks. J. B.

Św. Kinga, Jej klasztor, i miasto Stary Sącz. Przez *St. Rosoła*. N. Sącz. 1892.

Sześćsetletnia rocznica śmierci bł. Kingi wywołała całą literaturę poświęconą czci Świętej i pamiątkom po niej pozostałym. Autor wymienionej w tytule broszury, zaproszony przez Komitet obchodu tej uroczystości, oparty na faktach już wogóle znanych skądinąd i na notatkach miejskiego archiwum, nakreślił przystępnie opis Sącza i jego okolic, rzucił następnie pogląd na ówczesne dzieje, opowiedział pokrótce żywot św. Kingi, dzieje klasztoru po jej śmierci, wkońcu zaznaczył ważność obchodzić się mającej uroczystości. Do prac poprzednich o tym temacie dorzuca niniejszy szkic kilka wiadomości o samem mieście Starym Sączu i o jego klasztorze. Obecnie rozchodzi się ta broszurka już w drugiem wydaniu.

I. P.

Zbiorek nabożeństwa domowego dla ochronek Sióstr Zgromadzenia Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanego Poczęcia. W Tarnowie. Nakładem Zgromadzenia Sióstr Służebniczek. (Str. XXVIII, 112).

„Cisi posiędą ziemię“: tę obietnicę stawia na myśl książeczka ks. Brzezińskiego. We wstępie szanowny autor przebiega okiem początek i rozwój zgromadzenia polskich wieśniaczek, zwanych Służebniczkami Matki Boskiej, które po naszych wsiach pracują bez rozgłosu po wielkim świecie, a cicha ich praca posiada coraz większy wpływ na lud wiejski, zdobywa im uznanie w coraz wyższych kołach, przysparza im domków i ochronek, i tak rozmnaża ich liczbę, że dziś odłam tego zgromadzenia zyskał już urzędowe zatwierdzenie w polskich dzielnicach państwa pruskiego; część wprowadzona do Anglii przez znaną Miss Fullerton rozwija tam pomyślnie pożyteczną działalność, w Irlandyi i w Rzymie mają domy, a o pożytku ich pracy w Galicyi świadczy zgodnie szlachta i duchowieństwo, kiedy w coraz nowych miejscowościach powierzają ich pieczy naukę dzieci i prostaczków w swoich włościach i parafiach. Ks. B. pokazuje we wstępie, że tego rozwoju przypisać nie może zgromadzenie ludzkim środkom, tylko zawdzięcza je szczególnej Opatrzności Boskiej. Potem zebrał i uporządkował autor różne nabożeństwa, używane po ochronkach. Tę także zaletę posiada praca ks. Brzezińskiego, że ma rachunek sumienia rozwinięty daleko praktyczniej i z większą znajomością codziennych stosunków, aniżeli wiele książek do nabożeństwa. Dlatego słusznie zwraca autor uwagę na to, że „przyda się ten zbiorek na użytek inszych zgromadzeń zakonnych, jakoteż dusz i rodzin pobożnych“.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die zusammengesetzten Nester und gemischten Kolonien der Ameisen. Ein Beitrag zur Biologie, Psychologie und Entwicklungsgeschichte der Ameisengesellschaften. Mit 2 Tafeln und 16 Figuren im Texte. Von *E. Wasmann S. J.* Münster i. W. 1891. Aschendorff.

Nie od dzisiaj mrówki zwracają na siebie uwagę człowieka. W naszym atoli dopiero wieku nadzwyczaj ciekawe zjawiska życiowe mrówek zajęły w szczególniejszy sposób przyrodników, stały się przedmiotem specyalnych studyów, a szczegółami swemi dostarczyły materyału na

spore tomy szkiców i opowiadań. Do znanych już dawniej badaczy życia mrówek, jak Huber'a, Forel'a, McCook'a, Lubbock'a, E. André'go, Adlerz'a, Blochmanna i innych, przybywa ostatniemi czasy głośny już teraz E. Wasmann T. J. Znakomite jego spostrzeżenia nad rozmaitemi zjawiskami życiowemi różnych owadów znane są specyalistom z czasopism jużto holenderskich, jużteż niemieckich. Obszerniejsza praca, którą niedawno temu E. Wasmann wydał: „O mrowiskach złożonych i koloniach mieszanych mrówek", zająć może nietylko przyrodnika i filozofa, ale też każdego wykształconego człowieka.

Der kleine Pater, jak niemieckie czasopisma zwykły się o Wasmannie wyrażać, śledził bardzo sumiennie i skrzętnie dzieje rozmaitych mrowisk od roku 1884 do 1890 w Limburgu holenderskim, niektóre obserwacye robił jeszcze ostatniemi czasy w Czechach i Vorarlbergu, badając drobne te stworzeńka bądźto w wolnej przyrodzie, bądźteż w gniazdach sztucznych według metody Lubbock'a zbudowanych. Zebrawszy mozolną a zmudną pracą obfity materyał doświadczalny, mając przytem głębokie wykształcenie filozoficzne, mógł postawić sobie Wasmann za zadanie: rzucić na podstawie rzeczywistych faktów pewne światło i podać głębsze zrozumienie socyalnych instynktów mrówczych.

Zadanie to podaje jednocześnie treść dzieła. Całość rozpada się na trzy działy. Pierwszy zajmuje się mrowiskami złożonemi, drugi omawia kolonie mieszane mrówek, w trzecim znajdujemy wytłumaczenie psychologiczne i rozwojowe opisanych zjawisk. Gniazdem (mrowiskiem) złożonem nazywa autor takie gniazdo, które mieści w sobie dwie lub więcej kolonij różnych gatunków mrówek; kolonią zaś mieszaną, takie gospodarstwo mrówcze, które się składa z mrówek różnego gatunku. Tak w gniazdach złożonych, jak w koloniach mieszanych rozróżnia autor formy przypadkowe i formy normalne.

Niezmiernie ciekawe zjawiska socyalnego życia mrówek roztaczają się przed nami w pierwszych dwu częściach. Tu schwytany na gorącym uczynku figlarny złodziej kieszonkowy (*Solenopsis fugax* u innych mrówek), tam kształcący się już na zbójnika z powołania (*Tetramorium caespitum* u *Formica sanguinea* etc.), tu znowu zaprasza się zubożała rodzina w gościnę i szuka ciepłego przytułku, a państwo właściwi nie bardzo temu radzi, lecz ich z domostwa nie wypędzają (*Formicoxenus nitidulus* u *Formica rufa* albo *pratensis*). Jakieś państewko mrówcze zapragnęło mieć u siebie prócz swoich robotnic, niewolników z mrówek innego gatunku, choć może się bez nich obejść (*Formica sanguinea*

⌓ *Formica fusca* etc.) [1]. Inni panowie przyzwyczaili się tak do niewolnic, że nie mogą się bez nich obejść, nietylko że nie chcą sobie jedzenia wyszukać, ale niewolnica musi im przygotowane wprost do pyszczka podać *(Polyergus rufescens* ⌓ *Formica fusca* i *rufibarbis)*. Ciekawa to mrówka Polyergus, „amazonką“ zwana albo też „zaborą“. Najpiękniejsza może z mrówek, smukła i zwinna, w wyprawach łupieskich na oślep zajadła i wściekle straszliwa, odznacza się jeszcze jednym „pięknym“ rysem w prywatnem zakulisowem życiu. Wielka ta pani, prócz kilku wypraw na obce mrowiska, oddaje się w domu *dolce far niente* — a że jest bardzo sanguinicznego temperamentu, więc przez największą część życia robi — toaletę. Czy siedzi w domu, czy jest w marszu, nawet w najbardziej zażartym boju nie zapomina od czasu do czasu o tej najważniejszej sprawie.

Spotykamy się również z takimi patrycyuszami, co już przeszli pod każdym względem w zupełną zależność od swoich plebejuszów. Forma panująca nietylko że nigdy samodzielnie pokarmu brać nie może, ale nawet nie ma własnych robotnic *(Anergates caespitum* ⌓ *Tetramorium caespitum)* i t. d., i t. d.

W tych zaś ogromnych ramach zjawiają się od czasu do czasu mniejsze płótna, jakieś pejzaże, obrazki rodzajowe, sceny historyczne ze świata mrówczego; więc labirynty mrówcze, więc wyjazd przedślubny, wyprawa wojenna, strachy paniczne i tryumfy z łupami.

Niemniej ciekawą a najbardziej pouczającą jest ostatnia część dzieła. Ustaliwszy dokładnie i ściśle, co trzeba przez poznanie zmysłowe a co przez umysłowe rozumieć, co przez instynkt a co przez inteligencyę, przechodzi autor kolejno wszystkie stowarzyszenia mrówek, z któremi poprzednio czytelnika zaznajomił, i wykazuje spokojnie a dosadnie, że powyższe zjawiska dadzą się w całości wytłumaczyć samem poznaniem zmysłowem i instynktem, że za inteligencyą nietylko nie przemawiają, ale owszem widocznie ją wykluczają. Czytelnika pragnącego dokładniej zapoznać się z tą rzeczą, musimy odesłać do samego dzieła. Przytoczymy tylko jeden przykład. Robotnica mrówcza sama nie może mieć dzieci, pielęgnuje jednak i hoduje jak najstaranniej młode pokolenie jakiejś kolonii. Z punktu widzenia moralności zwierzęcej, co za bezinteresowna i pełna poświęcenia miłość siostrzana i kuzynowska u mrówek! Cóż na ten fakt Wasmann odpowiada? Oto

[1] Gatunki przed znaczkiem ⌓ stojące oznaczają mrówki panujące, po znaczku mrówki pomocnicze, t. zw. niewolnice.

jego słowa: „Cóż dopiero musi się dziać w szlachetnem sercu mrówki (a raczej naczyniu grzbietnem), jeśli kiedyś przyjdzie wyjątkowo do rzeczywistego macierzyństwa! Zdarza się to w tych przypadkach, kiedy robotnice składają jaja partenogenetycznie. Atoli co robi mrówka w tak szczęśliwem położeniu? Czy pokazuje rzeczywiście Brehm'owską miłość matczyną? Gdzież tam; pożera z apetytem natychmiast przez się zniesione jaja, choć ma poddostatkiem innego pożywienia — podczas gdy przy swojej miłości siostrzanej i ciotecznej nie popełnia nigdy takich zbrodni, albo przynajmniej o wiele rzadziej... miasto kochającą matką, staje się mrówka kanibalistką!“ (Str. 199 sq.).

Nakoniec zastanawia się autor nad rozwojem stowarzyszeń mrówczych. Znowu rzeczy bardzo ciekawe i bardzo zajmujące. I z pewnością tak jasnych idej, tak sprawiedliwej krytyki, takiego uzasadnienia każdej hipotezy rozwojowej, nie znajdziemy u żadnego darwinisty ani ewolucyonisty. Trudno znowu wchodzić w szczegóły, ale wypada słówkiem potrącić o stosunku Wasmanna do ewolucyi. E. Wasmann nie potępia ryczałtowo wszelkiej ewolucyi i uznaje chętnie prawdopodobieństwo umiarkowanej ewolucyi wśród pewnego szeregu form (str. 252), ale dodaje, że najrzetelniejsza odpowiedź na pytanie, czy ewolucya instynktów zwierzęcych miała miejsce, jest: nie wiemy tego (str. 248).

Sądzimy, że wystarczy tych kilka rzuconych myśli, aby przekonać każdego, jak interesującem jest i jakiego znaczenia dzieło Wasmanna. W pierwszych dwu częściach uderza nas mnogość faktów, szczegółowość i dokładność wielka w spostrzeżeniach, łączenie tychże i podporządkowanie, słowem występuje tu Wasmann jako prawdziwy przyrodnik XIX. wieku; w ostatniej części przebija się jeszcze coś, czego zazwyczaj tegocześni przyrodnicy nie mają, a tem jest: trzeźwa filozofia, i co za tem idzie, proste a zdrowe wnioskowania i dedukcye z faktów, bez koszlawych naciągań, wypowiedzenie zawsze całej prawdy bez tajenia trudności, potępienie fałszu z poszanowaniem przeciwnika. W całem zaś dziele podziwiać musimy lekkość i humor opowiadania, jasność i ścisłość filozoficzną w wyrażaniu się, zajęcie czytelnika w zawilszych nawet kwestyach — wszystko, czego my Polacy, słusznie czy niesłusznie, pospolicie w dziełach niemieckich nie znajdujemy. *J. N.*

Josephi Fessler, quondam episcopi S. Hippolyti, institutiones patrologiae quas denuo recensuit, auxit *Bernardus Jungmann.* Lovanii 1891.

Podręczniki patrologii — dziś jeszcze bardzo rzadkie — są prawie wszystkie już bardzo stare. Z liczby najlepszych wymienić należy

Institutiones biskupa Fesslera. Dzieło to więcej niż lat 40 temu zostało wydane. Ks. dr. B. Jungmann, profesor na uniwersytecie Lowańskim, autor dzieła p. t. *Dissertationes selectae in historiam ecclesiasticam*, zaszczytnie znany w areopagu uczonych europejskich, daje nam dziś nową jego edycyę, znacznie poprawioną i rozszerzoną nowemi zdobyczami w dziedzinie patrologii.

Na wstępie dr. Jungmann poświęca kilkanaście kart ogólnemu studyum patrologii, szeroko traktując *praelegomena*, powagę Ojców Kościoła, krytykę i inne dzieła pomocnicze, niezbędne dla tłumaczenia dzieł starożytnych. W pierwszej części znajdujemy jeden rozdział, zupełnie oryginalnie napisany przez d-ra Jungmanna: o wpływie literatury greckiej i łacińskiej na literaturę patrystyczną. Szkoda, że dr. Jungmann przy traktowaniu krytyki nie miał względu na znakomitą pracę Sedt'a: *Principes de la critique historique.*

Po tym wstępie następuje część specyalna, obejmująca Ojców Apostolskich, apologetów drugiego wieku, oraz Ojców III. i IV. wieku aż do św. Ambrożego włącznie. Ażeby dać miarę, jak dr. Jungmann skrupulatnie, a nawet drobiazgowo traktuje dzieła Ojców Kościoła, zwracamy uwagę czytelnika na życiorys św. Hipolita. — Najpierw autor wylicza źródła: Euzebiusza, św. Hieronima, św. Izydora i t. p. z najdokładniejszem wskazaniem dzieła, rozdziału i wiersza; następnie podaje wiadomości pomocnicze, zaczerpnięte z dzieł autorów, którzy pisali o św. Hipolicie, jakoto: Galland, Ruinart, Ceiller, de Rossi i t. d. aż do *répertoire bio-bibliografique* Chevalier'a; wszystko to razem reasumuje i kompletuje, podając w ten sposób wszystkie wiadomości, jakie o życiu św. Hipolita mieć można. Nakoniec wyliczone są wszystkie dzieła Świętego, pewne jakoteż i wątpliwe. Przechodząc do osobistości znakomitszych, studyum Fesslera rozszerza się, paragrafy się mnożą, podając wiadomości o życiu autorów, o ich dziełach, apologiach, traktatach, które pisali, lub herezyach i schyzmach, które zbijać musieli. Zaznaczamy w szczególniejszy sposób studyum nad życiem i dziełami pseudo-Dyonizyusza Areopagity. Autor zbija hipotezy Nirschla i Hiplera, bardzo zresztą poważne, ale bądź co bądź niedość silnie uzasadnione. Sam jednak decydującego sądu nie wydaje, bo — jak twierdzi — oczekuje na publikacyę traktatu Frotinghama p. t. *Liber Hierothei*, które to dzieło przypisane jest jednemu z uczniów Stefana Bar Sudaïli, powszechnie mianego za sławnego Dyonizyusza. Autor osobiście jest tego samego zdania, co kardynał Bona, a mianowicie: że Dyonizyusz był zakonnikiem z Aleksandryi w V. wieku; pracował

wiele, aby prawdziwą katolicką naukę przeciwstawić pseudomistycyzmowi neoplatończyków.

Jednem słowem dzieło to przedstawia bardzo sumiennie wszystkich Ojców Kościoła i podaje o ich życiu i pracy tyle szczegółów, jak mało które tego rodzaju. *Institutiones Patrologiae* znaleść mogą poczesne miejsce w każdej bibliotece kapłańskiej.

Ks. A. Marczewski.

Die Unsterblichkeit der menschlichen Seele, philosophisch beleuchtet von *Georg Fell S. J.* Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagsbuchhandlung. 1892 (IV, 136).

Niezłą broszurę wydał poczynający pisarz J. Fell. Praca jego ze spokojną powagą broni najprzód rzeczywistej i istotnej różnicy między duszą człowieka a jego ciałem, stąd wykazuje, że dusza ludzka zdoła samoistnie żyć bez ciała po śmierci człowieka, a nawet potrzebuje takiego życia. Potem wyjaśnia autor, że dusza ludzka z istoty swojej jest duchową, więc nieśmiertelną; dalej wyłuszcza, jak nieśmiertelnej duszy wymaga wrodzone nam pragnienie szczęścia, jak bez tej nieśmiertelności zabrakłoby podstaw dla porządku moralnego i zostaną bez odpowiedzi pytania najważniejsze dla jednostek i społeczeństw. Nakoniec popiera autor swoje wnioski świadectwem całej ludzkości i dodaje parę słów z nauki objawionej o przyszłem życiu.

Taka treść jego pracy stanowi jej główną zaletę; na pochwałę zasługuje także dobór dedukcyj ścisłych, język dość przystępny, choć może nie zupełnie zastosowany do ogółu czytelników nie obeznanych z filozofią, nakoniec gdzieniegdzie zwrot świeży i nawet dowcipny.

Ale nie należy do zalet tej broszury sposób, w jaki autor rozwija myśli. Popada w błąd dość zwykły po dziś dzień u wielu nawet dobrych filozofów: nie przeprowadza indukcyi dokładnie.

Jak średniowieczni scholastycy zapominali w metafizyce o zasadzie własnej logiki, że: *impossibile est universalia contemplari nisi per inductionem* [1], i mimo tej zasady nieraz prawa ogólne stawiali i wprowadzali pojęcia apryoryczne: tak i dziś rzadko która rozprawa filozoficzna czerpie siły zasad ogólnych z przebiegu ścisłej indukcyi. Także J. Fell nie przykłada dosyć sił do tego, żeby własne zasady opierać na szczegółowych wypadkach doświadczenia i za mało zadaje sobie pracy do tego, żeby wykazywać materyalistom, jak na los szczęścia przy-

[1] Arystoteles ks. 1, *Posterior.*, rozdział i komentarz św. Tomasza lect. 30.

pinają ogólne wnioski do szczegółowych spostrzeżeń. Do zwycięstwa nad materyalizmem nie wystarczy lekko rzucone twierdzenie, że z doświadczeń ich zasada nie płynie logicznie, ani niedość wykryć błędy w ich dedukcyach. Oczywiście do przyrodnika a nie do filozofa nieraz należy rozwijać indukcye, na których filozof opiera dowody; w tych wypadkach mógł niezawodnie autor przyjąć za pewnik prawo odkryte indukcyjnie przez poważnych badaczy przyrody; ale wypadało autorowi samemu odbyć drogę indukcyi w tych zasadach psychologicznych, które właśnie stanowią tło jego dowodów: niedość pożyczać te zasady u psychologów własnego obozu, których powagi nie przyjmie materyalista, a kiedy nie widzi przebiegu indukcyi, wzruszy ramionami na całą zasadę ogólną.

Możnaby zarzucić niektórym ustępom tej rozprawy jakąś rozwlekłość i brak literackich zalet; ale takie braki niewiele uwłaczają naukowej pracy, której zadaniem było: dać wskazówkę, jak można na podstawach rozumowych oprzeć chrześcijańską prawdę o nieśmiertelności duszy. To zadanie wytknął sobie autor i wywiązał się z niego szczęśliwie. *Ks. K. C.*

Les Fêtes chretiennes, par *l'abbé Pradier*. Lille. Societé St. Augustin. (In 4^0 de 476 p. — 5 fr.).

Wiekopomne dzieła liturgiczne, jak Dom Guéranger'a, de Walsh'a, nie wyczerpały do szczętu tego bogatego materyału, jaki przedstawia *liturgika katolicka*. W tym przedmiocie wiele jeszcze napisać można, wiele rozjaśnić i rozwinąć potrzeba. Dzieło księdza Pradier jest tego wymownym dowodem.

Wprawdzie ks. Pradier uznaje się za ucznia wyżej wymienionych mistrzów, i w istocie bardzo wiele posługuje się ich dziełami, ale, niezależnie od tego, jego praca ma wiele cech oryginalności, któremi się wyróżnia od wszystkich innych dzieł liturgice poświęconych.

Pracę swą rozpoczyna autor zajmującym i pełnym erudycyi wstępem o początku świąt chrześcijańskich, które, jak mówi, zaczynają się od ofiar Kaina i Abla. Ten sam kult patryarchalny wszedł później w skład legaliów Mojżeszowych, będących figurą i symbolem najdoskonalszej ofiary spełnionej na Kalwaryi. Prawdziwie zajmująco przesuwa się nam przed oczami stopniowe powstawanie wszystkich świąt i uroczystości, składających cykl naszej liturgiki katolickiej.

Zdawaćby się mogło, mówi autor, że obchodzenie rokrocznie jednych i tych samych uroczystości, i to w tych samych epokach roku

kościelnego, wyradzać się musi w ckliwą monotonność, która odbierałaby cały urok i żywość świętom katolickim; tak wszakże nie jest. Rok za rokiem mija, a doświadczenie wskazuje, że święta katolickie nic nie tracą ze swej świeżości, siły i znaczenia. Adwent zawsze nacechowanym będzie cichem i tęsknem oczekiwaniem przyjścia na świat Zbawiciela naszego. Boże Narodzenie co rok napełnia ludzi dobrej woli świętem weselem i spokojem przy żłóbku Boskiej Dzieciny. Wielki Post wzbudza w sercu katolika współczucie nad męką Zbawiciela i wdzięcznością napełnia każdą duszę za odkupienie dokonane na kalwaryjskim ołtarzu. Co rok z upragnieniem i niecierpliwością oczekujemy świąt Zmartwychwstania Pańskiego; radosne Alleluja, które się rozlega w naszych świątyniach i kółkach domowych, daje wyraz naszej radości z tryumfu Chrystusa, odniesionego nad śmiercią.

Ten piękny i rzewny wstęp pełen prawdziwej poezyi, to piękny portyk przed wspaniałym pomnikiem, jaki ks. Pradier wzniósł katolickiej liturgice w swem dziele, dając dokładny, jasny i barwny obraz świąt katolickich.

Samo dzieło dzieli się na cztery części. W pierwszej mówi autor o główniejszych epokach roku liturgicznego, jakoto: Adwent, Suchednie, Wigilie, Siedemdziesiętnica, Popielec, Wielki Post i t. d. Część druga obejmuje święta ustanowione dla uczczenia Chrystusa Pana, Trójcy Przenajświętszej i Ducha Świętego. Trzecia część jest poświęcona wykładowi znaczenia poszczególnych świąt N. M. Panny; ostatnia nakoniec podaje wykład główniejszych uroczystości Świętych Pańskich.

W każdej z tych czterech części autor podaje historyę powstania danej uroczystości, tłumaczy jej cel i znaczenie, oraz objaśnia ceremonie, jakiemi jedno święto odróżnia się od drugiego. A w tym wykładzie wszystko jasne, treściwe i zajmujące, wszędzie przebija duch jakiejś rzewności i poezyi, która całą tę pracę charakteryzuje. Liczne i piękne ryciny, zdobiące dzieło, podnoszą jeszcze jego wartość.

Ks. A. Marczewski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika o Krzysztofie Kolumbie. — Rzymskie burdy. — Krucyata wolnomularska we Włoszech przeciw Kościołowi. — „Nowy plan papieski". — Leon XIII. a Francya. — Trzeci wiec katolików austryackich w Lincu.

ENCYKLIKA O KOLUMBIE. Czterechsetletnią rocznicę odkrycia Ameryki przez wielkiego chrześcijanina Krzysztofa Kolumba, uczcił Papież; w nadchodzących uroczystościach jubileuszowych, do których gotują się obecnie oba światy: stary i nowy, pierwszorzędny wziął udział osobną encykliką: *Quarto abeunte saeculo*, skierowaną do arcybiskupów i biskupów hiszpańskich, włoskich i amerykańskich. „Trudno, — mówi Ojciec św. na początku swego pisma ogłoszonego pod datą 16 lipca b. r. — trudno znaleść rocznicę, która mogłaby słuszniej umysły poruszyć, serca zapalić. Dzięki Kolumbowi, wyłonił się z niezbadanej toni oceanu drugi świat; miliony ludzi ze stanu dzikości wyrwane dostąpiły dobrodziejstwa cywilizacyi, a co najważniejsza, miliony dusz stały się uczestnikami skarbów wysłużonych nam przez Chrystusa; od wiecznej zguby do wiecznego życia zostały przeprowadzone. Wobec takiej rocznicy, i Kościołowi milczeć nie przystoi. Kościół szczególne oznaki czci oddaje mężom, wiarą, cnotą słynnym, bliźnich swych wprost do szczęścia wiekuistego prowadzącym; lecz

dobrze też pamięta, że Bóg dziwnym jest w Świętych swoich i że ślady Bożej potęgi widnieją wszędzie, gdzie jaśnieje światło geniusza, hart i podniosłość ducha, bo nie skądinąd one płyną, jedno od twórcy swojego — Boga...

„Zresztą Kolumb do nas należy. Wiara jego, wiara katolicka wzbudziła w nim na pierwszem miejscu silny zamiar zbadania morskich tajemnic; wiara kierowała nim w dopełnieniu tego przedsięwzięcia. Pragnął on bez wątpienia powiększyć zakres ludzkiej wiedzy, nie pogardzał sławą; lecz nad wiedzę, sławę i wszelkie inne korzyści, przeważał inny, wyższy cel, wznioślejsza myśl: pragnął otworzyć drogę Ewangelii przez nowe ziemie, przez nowe morza. Na ten punkt kładzie główną wagę w prośbie podanej królowi Ferdynandowi i Izabelli hiszpańskiej; przedkłada, że imię ich nieśmiertelną sławę osiągnie, jeśli przyczynią się do przeniesienia nauki Chrystusowej w tak odległe kraje. Ta sama myśl przewodnia występuje w listach pisanych już po odkryciu nowego świata. Od Aleksandra VI. domaga się przysłania misyonarzów i wyraża nadzieję: Ufam, że z pomocą Bożą uda mi się jak najdalej rozszerzyć najświętsze Imię Zbawiciela naszego i Jego Ewangelię. Powróciwszy do Lizbony, pisze do Rafała Sancheza: Bogu nieustannie dziękować należy, że tak zamysłom moim raczył pobłogosławić; bez wątpienia sam Chrystus cieszy się i tryumfuje w niebie i na ziemi, że zbliża się chwila zbawienia dla niezliczonych ludów, idących dotąd na zatratę. Radząc Ferdynandowi i Izabelli, aby nie udzielali pozwolenia na podróż do nowego świata i prowadzenie handlu z Indyanami, jak wyłącznie katolikom, dodaje przyczynę tego żądania: ‚Ponieważ o nic innego w podjętej wyprawie mi nie chodziło, jedno o rozszerzenie i wzmocnienie chrześcijańskiej wiary'.

„Nie skądinąd też czerpał Kolumb wytrwałość i męstwo, tak niezbędne mu wśród mnogich przeciwności, które do końca życia go ścigały i odwodziły od przeprowadzenia powziętych zamysłów. Silny przekonaniem, że toruje drogę Ewangelii, miał na każdym swym kroku za przewodnika religię, za towarzysza modlitwę. W murach hiszpańskiego klasztoru dojrzał

w myślach jego zamiar zdobycia nieznanego świata, w czem doradcą i pomocnikiem był mu zakonnik, uczeń Franciszka z Assyżu. Przed wypłynięciem na Ocean, duszę z grzechów oczyszcza, niebieską Królowę o pomoc błaga, korne modły do Przenajświętszej Trójcy zanosi. Jakim celem się kierował, to wskazują nazwiska, odkrytym wyspom przezeń nadawane; wskazują krzyże zatykane w pierwszej zaraz chwili po wylądowaniu na brzegach nieznanych krajów... Słuszną przeto jest z każdego względu rzeczą, aby nadchodząca rocznica obchodzoną i uczczoną była nietylko świeckiemi, lecz i religijnemi uroczystościami. Jak niegdyś, na pierwszą wiadomość o szczęśliwym wypadku, Papież rzymski, a za nim świat cały wznosił dziękczynne modły i hołdy składał Bożej Opatrzności; tak i obecnie to samo należy nam uczynić. Rozporządzamy zatem, aby w kościołach katedralnych i kolegiatach w Hiszpanii, Włoszech i Ameryce, tak północnej jak południowej, odprawioną była, za poprzednią zgodą miejscowego biskupa, dnia 12 października lub w najbliższą niedzielę, uroczysta Msza św. o Przenajśw. Trójcy. Spodziewamy się zaś, że uroczystość ta odbędzie się za inicyatywą biskupów nietylko w krajach powyżej wymienionych, ale i w innych, albowiem rocznicę dnia, który wszystkim korzyść przyniósł, należy wszędzie pobożnie i z wdzięcznością obchodzić".

Ameryka przyjęła pismo papieskie ze szczególną czcią i wdzięcznością; Prezydent Stanów Zjednoczonych, jakby odpowiadając żądaniom, podkreślając przewodnią myśl Ojca św., zakończył odezwę do amerykańskiego ludu, wydaną z powodu jubileuszu Kolumbowego, następującemi wyrazami: „Niechaj lud dziękuje po kościołach Opatrzności Boskiej za tak silną wiarę, która ożywiała Kolumba; niech dziękuje za natchnienie i opiekę Bożą, kierującą naszemi dziejami i obsypującą tylu dobrodziejstwami nasz naród".

RZYMSKIE BURDY. Tak wyraża się Prezes wolnej amerykańskiej rzeczypospolitej, pewny, że słowa jego znajdą wszędzie żywy oddźwięk i uznanie. Inaczej w liberalnych Włoszech; innego rodzaju tryumfy zgotowała katolickiemu Kolumbowi wolno-

mularska sekta, panująca dziś w Rzymie. Kilkuset szczerze katolickich młodzieńców, należących do różnych pobożnych stowarzyszeń rzymskich, postanowiło, aby i w ten sposób odpowiedzieć zamiarom i napomnieniom Papieża: złożyć wspólnie wieniec na biuście Kolumba, stojącym wśród mnogiego zastępu innych pomników na górze Pincio. Stosownie do powziętego planu, ruszyły 7 sierpnia w popołudniowych godzinach katolickie stowarzyszenia z czterema sztandarami i muzyką na czele na *Monte Pincio*, sądząc naiwnie, że co wolno najczerwieńszym i najskrajniejszym stronnictwom, to wolno i katolikom. Jak wielką była to naiwność, o tem mogli się katoliccy manifestanci przekonać od pierwszego zaraz kroku; zewsząd zebrana i przekupiona hałastra zabiegła już po paru chwilach pochodowi drogę i przywitała go wrogiemi okrzykami: „Precz z Watykanem! Precz z klechami! Precz z Papieżem! Niech żyje Giordano Bruno!“... Niedługo trzeba było czekać, a do okrzyków dołączyły się wyraźniejsze oznaki „oburzenia napełniającego pierś szlachetnych Rzymian“, jak „liberalne“ dzienniki miały czoło pisać. Przed samym pomnikiem Kolumba odbyła się krótka walka, w której o wiele przeważające siły „obrońców wolności“ odniosły oczywiście zwycięstwo. Katolicy ustąpić musieli przed siłą pięści i pałek; zresztą i walczyć nie mieli o co, bo przezorni manifestanci unieśli, niewiedzieć dokąd, już przedtem biust odkrywcy nowego świata, „aby go przypadkiem — jak *Tribuna* z trwogą wyrażała się — nie skalali swym wieńcem wrogowie ojczyzny“. Wreszcie okryte chwałą powróciły tryumfujące szeregi na ulice Rzymu i tu głośnemi okrzykami uwiadomiły współobywatelów o bohaterskiej swej wyprawie.

KRUCYATA WOLNOMULARSKA.

Dziwićby się należało i pytać: skąd w Rzymie taka nietolerancka zaciekłość, skąd wypływają te Kościołowi wrogie hordy i jaka ręka do boju je prowadzi? — pytaćby tak należało, gdyby mowy i okólniki hersztów loży wolnomularskiej we Włoszech nie dawały z góry na te pytania jasnej, powiedzieć można, bezczelnej odpowiedzi. Wielki Mistrz, Adryan Lemmi, objeżdża z kolei większe miasta włoskie, i przy ucztach na cześć swą

wydanych wygłasza bez ogródek i bez zasłon właściwy program masoński, ogłasza krucyatę przeciw papiestwu, przeciw Kościołowi. Najdłuższą i najbardziej charakterystyczną była mowa wypowiedziana we Florencyi 31 lipca, a mająca na celu zapalić zgromadzonych do energiczniejszej walki „z wewnętrznymi wrogami państwa". Loża wolnomularska, oświadczył Lemmi, dąży i dążyć będzie do zniesienia praw gwarancyjnych, usunięcia nauki religii ze szkół, zaprowadzenia rozwodów i ślubów cywilnych na szerszą niż dotąd skalę, do usunięcia ministeryum wyznań. Nowy minister oświaty Martini — zaręczał W. Mistrz — równie jak Giolitti, zasługują wprawdzie na wszelką pochwałę, a usiłowaniom ich udało się już przeprowadzić niejedną w wolnomularskim duchu powziętą reformę; lecz to niedość, lecz koniecznie o szybsze tempo w reformach tych należy się postarać, a staranie to jest właśnie w obecnej chwili głównem zadaniem loży.

Dla dopięcia w jak najszerszym zakresie swych planów, loża agituje już dzisiaj i przygotowuje teren do przyszłych wyborów parlamentarnych. Jaka to agitacya i co ma na celu, to widać jasno z odkrytej świeżo przez katolickie dzienniki instrukcyi W. Wschodu Rzymskiego, rozesłanej do lóż przed ostatniemi wyborami, w październiku 1890 r.:

Budynek stawiany obecnie przez Braci w świecie całym nie dosięgnie należytych rozmiarów, dopokąd Bracia włoscy nie złożą w darze ludzkości ostatnich łupów zabranych głównemu naszemu wrogowi, dopóki stanowczej klęski mu nie zadadzą. Podjęte dzieło zmierza we Włoszech szybkim krokiem do urzeczywistnienia. Przyłożyliśmy rękę do ostatniego przytułku przesądu, a wierność Brata 33 stopnia, który stoi obecnie na czele władzy politycznej (Crispiego), zaręcza nam, że Watykan padnie pod razami naszego życiodajnego młota. Niezbędną jest wszakże rzeczą, aby przy najbliższych wyborach politycznych czterystu przynajmniej Braci otrzymało mandat poselski... Musimy na to być przygotowani, że w tych naszych, doprowadzających już nas niemal do pożądanego kresu wysiłkach, napotkamy na najsilniejsze przeszkody ze strony przewódcy księży i jego podłych niewolników... Wielki Wschód wzywa geniusza ludzkości na pomoc i spodziewa się, że wszyscy Bracia z całych sił swych pracować będą nad zburzeniem

Watykanu, aby z jego kamieni zbudować „świątynię wyzwolonemu narodowi".

»NOWY PLAN PAPIESKI«.

Dużo hałasu — możnaby słusznie powiedzieć: „dużo hałasu o nic" — wywołał umieszczony przed kilku tygodniami w *Kreuzzeitung* artykuł p. t. „Nowy plan papieski". Nowym tym planem miało być, wedle informacyj berlińskiego dziennika, połączenie wszystkich katolików zostających w granicach państwa Ottomańskiego, mniejsza o to, jakiejby byli narodowości i jakiego obrządku, pod jednym wspólnym patryarchą rezydującym w Konstantynopolu. *Kreuzzeitung* nie zawahała się nawet wymienić nazwiska owego przyszłego „generalnego patryarchy"; miał nim zostać dzisiejszy patryarcha katolickich Ormian: Azarjan, i to z władzą tak wielką i szeroką, iżby przez samo jego zamianowanie ustać musiał protektorat nad katolikami, wykonywany w Turcyi przez Francyę i Austryę; z władzą sięgającą nawet poza granice tureckie, bo rozciągającą się też „prawdopodobnie na wszystkich rosyjskich Unitów". Już ostatni ten szczegół — o całości oryginalnego pomysłu nie mówiąc — brzmiał tak dziwacznie i taką zdradzał nieświadomość rzeczy i stosunków, że od pierwszej chwili niepodobna było, pomimo wszelkich zaklęć i zapewnień protestanckiego organu, wziąć jego rewelacyi na seryo. Jakoż niedługo czekać trzeba było na kategoryczne zaprzeczenie. *Osservatore Romano* napiętnował wrzekomy plan nazwą „niedorzeczności", i wyraził zdziwienie, jak poważne dzienniki państw należących do *trójprzymierza* pójść mogły na lep bajeczki zdradzającej „tak niesłychanie grubą nieświadomość istniejącej dzisiaj kościelnej dyscypliny, przepisanej różnicy między uznanemi w Kościele obrzędami, stosunków panujących na Wschodzie". Krócej, lecz niemniej dobitnie, określił *le Moniteur de Rome* stan całej tej z takim hukiem i szumem, ciekawa rzecz, z jakiego właściwie źródła płynącej, z czyjego natchnienia poruszonej sprawy: „Zaręczyć możemy, że w Watykanie nie zastanawiano się nigdy nad kwestyą utworzenia jakiegoś generalnego patryarchatu".

Po piętnastowiekowem istnieniu niknie obecnie z powierzchni ziemi jedna z herezyj, która przez długi czas na całym Wschodzie wielkie szerzyła spustoszenie. Patryarcha Nestoryanów, których liczba w ostatnich czasach stopniała do mniej więcej trzystu tysięcy, przeszedł uroczyście na łono Kościoła katolickiego, a za jego przykładem poszedł już inny biskup nestoryański rezydujący w Persyi, idą całe wsie przez Nestoryanów zamieszkałe. „Nie długo już czekać, czytamy w pięknym liście świeżo nawróconego biskupa, a wszyscy będziemy dziećmi jednego ojca“. Misyonarze wyrażają błogą nadzieję, że za Nestoryanami pójdą Jakobici, schyzmatyccy Ormianie, pójdą mnogie inne sekty na Wschodzie wegetujące, tem chętniej i tem prędzej, że jak teraz naocznie mogą się przekonać, Rzym, ciesząc się z powrotu zbłąkanych owieczek do jedności wiary i dogmatu, nie nagli ich bynajmniej do zmienienia starożytnych swych a drogich sercu obrządków. Istotnie wprowadzeni w ostatnich tygodniach do katolickiej owczarni Nestoryanie przyjęli, a raczej w znacznej części zatrzymali, obrządek chaldejsko-unicki.

LEON XIII. A FRANCYA.

Olbrzymi wpływ akcyi podjętej przez Papieża we Francyi, a jednocześnie roztropne zrozumienie sytuacyi, które do akcyi tej przystąpić mu nakazały, okazały się najdosadniej w wyborach do rad okręgowych. Na 167 okręgów, w których wybory miały obecnie miejsce, wyszło z urn 150 republikanów, a tylko 17 legitymistów dawnego kroju. Wobec takiego stanu rzeczy i usposobienia kraju, wprost śmiesznemi są gniewy niektórych skrajnych członków prawicy, rzucających się w bezsilnej irytacyi na encyklikę papieską i jej twórcę. Do najzapamiętalszych należy Cassagnac; w manifeście, wydanym przeciw swemu przeciwnikowi, niejakiemu p. Laudet, który stanąwszy na gruncie encykliki, pobił go w ostatnich wyborach, przechodzi wszelkie możliwe i niemożliwe granice. Natomiast Don Carlos, uważający się, jak wiadomo, za najbardziej prawowitego pretendenta do tronu francuskiego, skorzystał rozumnie z dobrej, nadarzającej się sposobności, i uchylając głowę przed papieskim programem, odwołał w osobnym, publicznym liście swego reprezentanta we Francyi.

Gazety francuskie żartują sobie wprawdzie nieco i z owego reprezentanta i z jego odwołania; w każdym razie chętnie przyznają, że Don Carlos bez porównania praktyczniej i rozumniej zastosował się do konieczności i daną sytuacyę wyzyskał, niż w oczach topniejący, coraz drobniejszy hufiec nieprzejednanych szermierzów „za dawnym porządkiem“.

TRZECI WIEC KATOLIKÓW AUSTRYACKICH.

Trzeci wiec katolików austryackich, obradujący tym razem w Lincu od 8-go do 11-go sierpnia, ziścił najśmielsze nadzieje swych organizatorów, nie usprawiedliwił, dzięki Bogu, pewnych, niezupełnie co prawda bez podstawy powziętych obaw. Wiadomem było powszechnie, że od dłuższego już czasu dwa główne prądy, nurtujące między austryackimi, mówiąc ściśle, wiedeńskimi katolikami, wystąpiły naprzeciw siebie wprost i otwarcie; że przyszło do głośnych a niemiłych starć między zwolennikami t. zw. „ostrzejszego tonu“, których głównym przedstawicielem, jeśli nie wodzem, jest antysemita Lueger — a spokojniejszym, więcej z okolicznościami i osobami rachującym się obozem, do którego należy zwłaszcza wyższe duchowieństwo, ogół katolicko-konserwatywnych posłów, czesko-niemieccy panowie. Czy gorętsi członkowie obu obozów, spotkawszy się ze sobą oko w oko na wiecu, nie przemienią go w przykrą i bądź co bądź dla sprawy niekorzystną walkę domową? Wielu nie bez trwogi zadawało sobie to pytanie; na szczęście pierwszy Lueger zrozumiał, jak smutne następstwa z tego rodzaju jawnej walki musiałyby wyniknąć, i sam na wiec nie przybył, zadawalniając się tylko wysłaniem telegramu z przywitaniem i życzeniami. W ten sposób, prawdopodobnie też wskutek obustronnie z góry wydanych haseł, niebezpieczeństwo zostało zażegnane; jedynie na sekcyi prasowej przyszło do żwawszej utarczki, do niekoniecznie taktownych i potrzebnych wycieczek przeciw głównemu organowi katolików austryackich: *Vaterland*'owi. Organowi temu niejedno bez wątpienia zarzucić możnaby; w niejednym punkcie i w niejednym kierunku życzyćby sobie należało szerszego jego rozwoju, większej wszechstronności; większego — jeśli tak wolno się wyrazić — redak-

cyjnego sprytu. Wszystko to prawda; prawda też, że *Vaterland* nie wzniósł się na stanowisko, na jakiem widzieć go pragnął drugi wiec katolików austryackich: wielkiego światowego dziennika. Lecz mimo wszystkich tych, z bardzo różnych źródeł płynących braków, jedyny to, jeśli nie „wielki", to przynajmniej „większy" niemiecki katolicki dziennik w Austryi; wydawać nań wyrok śmierci, nie mając żadnej pewności, czy i co na miejscu jego powstanie, złą i arcyniepolityczną byłoby zabawką. Sekcya prasowa nie przyłożyła ostatecznie ręki do tej zabawki; lepiejby podobno było, wiele dałoby się uniknąć kwasów, rozgoryczenia i zawsze szkodliwych polemik, gdyby ją była od razu skreśliła z porządku obrad.

Zresztą, wśród długich i ożywionych rozpraw nie odezwał się żaden inny mniej dźwięczny ton. W przeciwieństwie do wiecu w Wiedniu, gdzie nie ukazał się żaden przedstawiciel ani rządu, ani miasta, w Lincu witał zgromadzonych katolików marszałek krajowy, opat Achleuthner; witał w następnej przemowie burmistrz Lincu, Wimhoelzel; brał udział w uroczystych zebraniach namiestnik, br. Pouthon. Szczególnej wagi były i szczególną uwagę słusznie na siebie zwróciły kilkakrotne przemówienia prezesa kongresu, hr. Sylva-Tarouca, w których główny akcent kładł na konieczną potrzebę zgody między wszystkimi katolikami; na uważanie religii, katolicyzmu nie za rzecz czysto prywatną, ale za sprawę istotnie i w najszerszem słowa znaczeniu publiczną. Mowa księcia Alojzego Liechtensteina o kwestyi socyalnej, a w szczególności o kwestyi rzemieślniczej; mowa d-ra Schindlera o prasie; hr. Stolberga o katolickich związkach w Austryi; br. Morseya o encyklice *Immortale Dei;* kanonika Jeglica o położeniu Kościoła katolickiego w Bośni; ks. rektora Chotkowskiego o święceniu niedzieli, — poruszały kolejno najważniejsze i najaktualniejsze pytania, wywoływały u zgromadzonych nieopisany entuzyazm; będą z pewnością, po samymże entuzyazmie tym sądząc, dobrem owem ewangelicznem nasieniem, przynoszącem stokrotne owoce.

Ograniczamy się na tem miejscu na krótkiej tej wzmiance o trzecim wiecu katolików austryackich, gdyż nie tracimy na-

dziei, że jeszcze przed zamknięciem niniejszego zeszytu dojdzie nas obszerniejsze sprawozdanie od jednego z polskich uczestników linckiego kongresu. Kiedyż — nie pierwszy i nie drugi raz powtarzamy z całą polsko-katolicką prasą niewesołe to pytanie — przyjdzie kolej na relacyę z obrad katolickiego wiecu nie w Lincu już, nie w Toruniu lub Poznaniu, lecz we Lwowie lub Krakowie?

Ks. Jan Badeni.

Kilka słów o monometalizmie złota

ze stanowiska bimetalistów amerykańskich [1].

U Was w Austryi zamierzają zaprowadzić walutę złotą, tj. monopol złota, albo monometalizm złota, i to w chwili, kiedy na całym świecie okazują się już najzgubniejsze tegoż monometalizmu skutki, zaprowadzonego w Anglii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Odebrać srebru wartość jego pieniężną — to znaczy oddać monopol pieniężnej wartości złotu wyłącznie, ograniczyć i tak już szczupły zapas wszechświatowy monety kruszcowej bardziej jeszcze, podnieść wartość skoncentrowanych w ręku niewielu jednostek kapitałów do maksymum, a obniżyć wartość pracy i produktów pracy do minimum. Jeśli kraje tak bogate, jak Stany Zjednoczone Północnej Ameryki i Anglia, cierpią wskutek demonetyzacyi srebra, czegóż dopiero w Austryi, a szczególnie w biednej Galicyi, spodziewać się można, skoro tam walutę złotą zaprowadzą? Kraj nasz bardzo zadłużony padnie ofiarą lichwy, gdy pieniądz droższym się tam jeszcze stanie. Wielka to szkoda dla tej dzielnicy kraju naszego, że znakomity obrońca bimetalizmu na ankiecie monetarnej w Wiedniu, profesor wszechnicy Jagiellońskiej p. dr. Józef Milewski, nie wyszedł z urny wyborczej w Stanisławowie, choć na kandydata przez komitet centralny wyborczy postawiony. Geolog austryacki p. Suess stanął także w opozycyi przeciw zaprowadzeniu waluty złotej, i to ze względów geologicznych. Cześć temu mężowi nauki, że używa docieczeń nauki ku obronie ojczyzny

[1] Korespondencyę tę podajemy ze względu na zebrane w niej bardzo ciekawe szczegóły, które i dziś, jeśli nieco może na aktualności, to w każdym razie na wadze nie straciły. *(Przyp. Redakcyi).*

od najazdu złota. Złota niema dosyć na świecie, aby mogło samo jedno wypełniać funkcyę miary i wymiany wartości. Żyły kwarcowe złotodajne albo wikliniają się w niewielkiej głębokości, albo też, co się bardzo często zdarza, z większą głębokością ruda ich złota w srebrną przechodzi. Z kopalnictwem złota łączy się wiele hazardu i dzikiej spekulacyi, i niewątpliwą jest rzeczą, że przeciętnie biorąc, zyski z kopalń złota kosztów eksploatacyi nie pokrywają. Nie można też mierzyć górnictwa złotego miarą górnictwa zwykłego. Czar pewien otacza złoto, zaślepiając ludzi zresztą zimnych i rozważnych. Najdziksze plany znajdowały do niedawna jeszcze chętnych zwolenników i obrońców, i pieniądz płynął obficie na otwieranie i wyzysk najuboższych nawet kopalń złota. Olbrzymie fortuny zrobiło w kopalnictwie złotem kilku szczęśliwych spekulantów, ale na każdego takiego szczęśliwca przypadają dziesiątki i setki takich, którzy wszystko stracili. Jeżeli ustawiczna i niezmniejszona produkcya złota potrzebną jest dla dobra świata, to jednej rzeczy przedewszystkiem obawiać się trzeba, mianowicie tego, że publiczność, łożąca dotąd pieniądze na otwieranie kopalń złota, pouczona doświadczeniem, zaczyna być roztropniejszą i przezorniejszą, a to może naraz pociągnąć za sobą zamknięcie wielu kopalń i zmniejszyć znacznie produkcyę światową złota.

Od zarania cywilizacyi złoto i srebro uchodziły za kruszce szlachetne (drogie) i wypełniały jako takie funkcye miary i wymiany wartości.

Bimetalizm starym jest, jak starą cywilizacya. Niema takiego okresu w historyi społeczeństwa ludzkiego, w którymby złoto i srebro równocześnie nie było uważane jako pieniądz; stosunek wartości tych dwóch kruszców do siebie regulowały albo układy, albo też ustawy. Że ten stosunek ich wartości do siebie wielkim zmianom nie ulegał, dowodem tego fakt, że za czasów Daryusza, a więc na 521 lat przed narodzeniem Chrystusa Pana, $13^1/_2$ części srebra odpowiadało wartości jednej części złota. Stosunek ten wartości jednego kruszcu do drugiego prawem był przepisany. W dwadzieścia cztery wieki później, stosunek ten przedstawia się jak $15^1/_2$ do jednego. Nie da się zaprzeczyć, że w międzyczasie zachodziły nieraz poważne fluktuacye. Co je spowodowało i czy Rzymianie kiedykolwiek na seryo usiłowali równowagę między temi dwoma kruszcami zachować, o tem tutaj mówić nie będziemy. Jedna rzecz jest pewna, a mianowicie, że w czasie ery chrześcijańskiej o żadnym cywilizowanym narodzie nie wiadomo,

żeby na seryo dążył do tego, aby odebrać srebru funkcyę miary i wymiany wartości, tj. aby odebrać srebru wartość jego pieniężną.

Pierwsze usiłowania około zaprowadzenia monometalizmu wyszły od Anglików, a celem ich było podniesienie wartości olbrzymich ich kapitałów, zaangażowanych w rozmaite przedsiębiorstwa w kraju i poza jego granicami. I. Thorold Rogers, jedna z najpierwszych powag w tej kwestyi, zapewnia, że „10 (dziesięć) miliardów dolarów, ulokowanych w giełdowych papierach, własnością jest Anglików", ale dodaje, że „suma ta nie wyczerpuje bynajmniej jeszcze całej sumy zobowiązań zaciągniętych u narodu, który żyje w Zjednoczonem Królestwie. Kapitał angielski zaangażowany znajdziecie po całym świecie. Domy handlowe angielskie prawie we wszystkich znajdujemy krajach, a zyski, które stamtąd przychodzić powinny, haraczem są długu, który rocznej wymaga daniny". I potem, idąc dalej, tak przemawia w interesie swoich czytelników angielskich: „Widzicie więc tedy, że corocznie wielka ilość gotówki musi być importowana do Anglii, ażeby zapłacić roczny haracz od długu zaciągniętego przez obcych u nas".

Przyjąwszy, że obliczenia Rogersa są poprawne, że więc dochód pobierany przez Anglików od kapitałów, które ulokowali w papierach giełdowych, w przedsiębiorstwach krajowych lub zagranicznych, wynosi rocznie 500 milionów dolarów, to będziemy w stanie wyobrazić sobie olbrzymie korzyści, jakie Wielka Brytania odnosi chwilowo ze zdyskredytowania srebra. Ponieważ skutkiem uszczuplenia zapasu wszechświatowego monety kruszcowej nastać musiał wzrost wartości pieniędzy, a z nim zniżka (spadek) cen wszelkich innych produktów, przeto tym sposobem wierzyciele angielscy uzyskali (osiągnęli) *plus* we wzroście siły kupującej dochodów swoich, równające się spadkowi cen innych towarów. A gdy zniżkę wartości towarów od czasu demonetyzacyi srebra przez Stany Zjednoczone w r. 1873 obliczono na około 40%, to o angielskich wierzycielach da się bez przesady powiedzieć, że zysk ich skutkiem tej operacyi podniósł się rocznie co najmniej o jakie 200 milionów dolarów. Ale podczas gdy wierzyciele pomnażają swój majątek zapomocą bardzo prostego i wygodnego procederu, tj. wpływu jaki wywierają na ustawodawców, ażeby ci ograniczyli legalny środek wypłaty jedynie do kruszcu złota, kruszcu, którego produkcya coraz to szczuplejszą się staje: to położenie producenta i dłużnika — wyrazy te w nowszych czasach oznaczają prawie jedno i to samo — staje się coraz to rozpaczliwsze. Ograniczenie i uszczuplenie legalnego środka wypłaty odbija się od razu na producencie, ponieważ producent prawie

zawsze jest dłużnikiem, a gdy ceny za jego produkta upadają, praca około zadośćuczynienia zobowiązaniom zaciągniętym staje się coraz to uciążliwszą, aż wkońcu pod tym ciężarem upada. Jeśli chlebodawca w takiem znajduje się położeniu, to położenie jego rozpaczliwe odbija się od razu na wszystkich jego robotnikach.

Jeśli kto wątpi o tem, niechaj się przypatrzy stosunkom przemysłowym, jakie zapanowały w Anglii po roku 1883. Cały ten okres jest jednym ciągiem depresyj i ucisku dla ciężko pracujących, a przeciętna skala ich zarobku w ciągu całego wieku nie była jeszcze nigdy tak nizką. Nasamprzód nominalna zapłata za pracę nie pozostała niezmienioną, ale spadła i ciągle spada jeszcze. Ale daleko ważniejszą jest ta okoliczność, że dzięki sparaliżowaniu handlu miliony ludzi na świecie ucywilizowanym nie mogą znaleść zajęcia, i nie są w stanie zarobić pieniędzy na zakupienie potrzeb do życia. Jakąż korzyść przedstawia taniość artykułów do życia dla miliona ludności Londynu, której wedle angielskich statystyków śmierć głodowa zagraża?! Choćby funt wołowiny kosztował tylko grosz jeden, gdy biedny robotnik nie posiada tego grosza, umrzeć musi śmiercią głodową, jeśli mu miłosierdzie z pomocą nie przyjdzie. Ewangelię taniości głoszą i w jej błogie dla ludzkości skutki wierzą ci jedynie, którzy stałe posiadają dochody. Ci mają najzupełniejszą racyę chwalić ją sobie, bo za dolary, które stale pobierają, będą w możności zakupić towarów więcej, gdy te będą tanie, aniżeli gdy będą drogie. Ekonomiści polityczni z rodzaju tych, co szkołę wolnego handlu reprezentują, chociaż starają się udowodnić, że taniość jest dobroczynną w skutkach swoich dla całego rodzaju ludzkiego, zgadzają się jednak na to, że najlepszym znakiem pomyślności jest tendencya zwyżkowa na targach świata i że złych czasów zwiastunem są nizkie ceny i taniość. Ale choćby nawet zwolennicy wolnego handlu nie uznawali tego faktu, że dobre czasy i wysokie ceny są synonimem, i że taniość i depresya w tak ścisłym przyczynowym do siebie pozostają stosunku, jak zbrodniarz i kula galernika, to historya handlu na to pełno daje dowodów. Dlaczegóżby tedy mieli prawodawcy nie uczynić tego, czego zdrowy rozum się domaga, a rządzić się praktyką, której rozmyślnym celem byłoby obniżenie w cenie wszystkich produktów? Jeśli nizkie ceny muszą konsekwentnie prowadzić do depresyi i nędzy, dlaczegóż narzucać światu system monetarny, który jeśli się przeprowadzić powiedzie, wywoła stosunki podobne do tych, które egzystowały w Europie przed odkryciem Ameryki? Że zamiarem monometalistów złota jest uczynić drogim pieniądz, a płody

ziemi i przemysłu rąk ludzkich w cenie obniżyć, jest to rzeczą nie ulegającą najmniejszej wątpliwości. Ani subtelne sofizmaty, ani też wyniki prawdziwej nauki nie są w stanie temu skutecznie zaprzeczyć. Fałszem jest także, jak zaraz dowiedziemy, twierdzenie, jakoby uciekczono się do demonetyzacyi srebra z powodu, że nadprodukcya białego metalu stosunek srebra do złota nadwyrężyła.

Wedle sprawozdania p. E. O. Leech'a, dyrektora mennic Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, produkcya światowa złota i srebra w latach 1889, 1890 i 1891 przedstawia się jak następuje:

Lata	**Złoto.** Jego wartość w dolarach	**Srebro.** Uncyj czystych	Wartość komercyalna srebra w dolarach	Wartość menniczna z powodu wybicia stempla, w dol.
1889	123,398.000	123,205.000	115,197.000	159,295.000
1890	119,464.000	132,833.000	139,475.000	171,744.000
1891	124,229.000	140,865.000	139,175.000	182,129.000

Czemżeż jest ta produkcya szlachetnych kruszców w porównaniu z tysiącami miliardów długów państw europejskich, które żadnego prawie kruszcowego zapasu na pokrycie tych długów nie posiadają, albo zapas ich kruszcowy jest niewystarczający? Niedawno temu bankructwo braci Baaringów w Londynie wykazało, jak szczupłym jest wszechświatowy zapas złota, gdy dla zażegnania katastrofy zapasy złota sprowadzać trzeba było ze Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, z Francyi, ba nawet z Rosyi. Czemżeż jest ta produkcya wszechświatowa kruszców szlachetnych, jeśli się zważy, że same Stany Zjednoczone Północnej Ameryki skonsumowały w roku 1891 do sztuk i przemysłu złota za dol. 19,700.000, a srebra za dol. 9,630.000, razem szlachetnych kruszców za dol. 29,330.000? Fałsz ten jeszcze łatwiej da się udowodnić zapomocą tablicy statystycznej, która wykazuje, że gdy Niemcy zdemonetyzowały srebro po wojnie francuskiej, srebro przy unormowanym stosunku $15^1/_2$ części srebra do 1 części złota, stało ponad *al pari*, i że gdy Stany Zjednoczone Ameryki za wpływem Anglii w dwa lata później poszły za przykładem Niemiec, podobnie i w Ameryce srebro w stosunku do złota stało ponad *al pari*.

Wartość uncyi czystego metalicznego srebra w dolarach:

Lata	Cena przeciętna	Lata	Cena przeciętna
1833	1.297	1861	1.333
1834	1.313	1862	1.346
1835	1.308	1863	1.345
1836	1.315	1864	1.345
1837	1.305	1865	1.338
1838	1.304	1866	1.339
1839	1.323	1867	1.328
1840	1.323	1868	1.326
1841	1.316	1869	1.325
1842	1.306	1870	1.328
1843	1.297	1871	1.326
1844	1.304	1872	1.322
1845	1.298	1873	1.298
1846	1.30	1874	1.278
1847	1.308	1875	1.246
1848	1.304	1876	1.156
1849	1.309	1877	1.201
1850	1.316	1878	1.152
1851	1.337	1879	1.123
1852	1.326	1880	1.145
1853	1.348	1881	1.138
1854	1.348	1882	1.136
1855	1.344	1883	1.11
1856	1.344	1884	1.113
1857	1.353	1885	1.0645
1858	1.344	1886	0.9946
1859	1.36	1887	0.97823
1860	1.352	1888	0.93987

Z powyższej tablicy, publikowanej przez dyrektora mennicy Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, widzimy, że wartość uncyi czystego srebra *(of 1000 fine)* była w roku 1872 na trzy miesiące przed zdemonetyzowaniem srebra przez Stany Zjednoczone dol. 1.322. W stosunku 15.998 srebra do 1 części złota, przepisanym ustawą amerykańską, srebro stało ponad *al pari* 3 centy (amerykańskie) za uncyę, podczas gdy wartość uncyi czystego srebra *(of 1000 fine)* w stosunku do złota powinna była być tylko dol. 1.29.

Jakżeż więc wobec takiego dowodu może jeszcze kto twierdzić, że celem demonetyzacyi było usunięcie niebezpieczeństw, jakie powstać mogły z hiperprodukcyi srebra?! Faktem jest, że podówczas gdy w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki demonetyzacyę przeprowadzano, nikt podobnym nie posługiwał się argumentem. Sprawa demonetyzacyi dokonała się w Ameryce, wedle zdania Amerykanów:

„w sposób tajemniczy; ci, którzy w operacyi tej udział brali, pracowali jak złodzieje kieszonkowi i w chwili popełnienia infamii zaręczali, że zaprowadzają tylko kilka nieznacznych zmian w ustawach, któremi się mennica ma rządzić".

Zaledwie ustawa demonetyzująca srebro stała się prawomocną, a już skutki jej odczuwać zaczęto. Srebro, którego wartość za uncyę przy końcu roku 1872 notowano na dol. 1.322, spadło w roku 1873 na dol. 1.298. Odtąd cena srebra spadała coraz to bardziej, aż doszła do 84 centów amerykańskich za uncyę w roku 1891.

Nikt nie słyszał o nieuczciwym srebrnym dolarze, dopóki nieuczciwi monometaliści złota z pomocą demonetyzacyi srebra nie sprowadzili jego spadku. Ale gdy w roku 1876 rozpoczęto agitacyę za remonetyzacyą srebra, bo spadek cen zwrócił uwagę wszystkich na nieuczciwą robotę i jej skutki, wtedy *to monometaliści złota* użyli argumentu, że zwolennicy bimetalizmu pragną z pomocą ustawodawstwa podnieść wartość uncyi srebra na dol. 1.29, podczas gdy cena targowa srebra za uncyę wynosi tylko dol. 1.15. Nieuczciwi ci krytycy ignorowali fakt, że srebro podobnie jak złoto zawdzięcza główną swą wartość użytkowi, jaki oddaje jako pieniądz. Gdyby się były Stany Zjednoczone Północnej Ameryki oświadczyły w roku 1873 na drodze ustawodawczej za srebrem, jako za jedyną legalną walutą, to uchwała ta byłaby pociągnęła bezzwłocznie za sobą spadek wartości złota w porównaniu ze srebrem, i gdyby cały świat w tymże samym czasie się zgodził jedynie na używanie srebra, to wnetby to zdarzyć się mogło, że za uncyę złota mniejby można było nabyć towarów, aniżeli za uncyę kruszcu białego.

Żaden człowiek ze zdrowemi zmysłami nie zaprzeczy temu, że wartość tych dwóch drogich kruszców polega przedewszystkiem na użytku, jaki oddają jako pieniądz. Wprawdzie Edward Atkinson postawił teoryę, że złoto posiada stałą wartość *(that gold has a fixed value)*, ale teorya ta zbyt jest śmieszną, aby się nad jej zwalczaniem zbyt długo zatrzymywać. Nic nie może posiadać wartości bezwzględnej, wartości jako takiej, ale wartość jednej rzeczy powstaje i mierzy się przez porównanie jej z rzeczą drugą. Stanley Jevons w dziele swem: *Theory of Political Economy*, zwięzłą podaje definicyę wartości w tych słowach: „Wartość w wymianie jest jedynie stosunkiem (proporcyą) i wyraz ten nie powinien nigdy być używany w innem znaczeniu. Mówić o wartości uncyi złota jest takim samym absurdem, jak mówić o stosunku liczby 17! Jakimże jest stosunek liczby 17? Na pytanie to niema

odpowiedzi, bo trzeba jeszcze drugą liczbę obok niej postawić, aby mógł powstać stosunek, a stosunek ten zmieniać się będzie ustawicznie, w miarę jak liczba obok postawiona zmieniać się będzie. Jaką jest wartość żelaza w stosunku do złota, jest kwestyą rozumnie postawioną. Odpowiedź polegać będzie na oznaczeniu stosunku ilości jednego metalu w razie wymiany za drugi". Takim jedynie może być sposób oznaczania wartości złota. Wiele żelaza, stali, bawełny albo innych towarów złoto jest w stanie zakupić? Jeżeli jest w stanie zakupić dzisiaj towarów dwa razy tyle co wczoraj, tedy rzecz jasna, że wartość złota się podniosła, a nie pozostała nieruchomą, stałą. Weźmy kilka przykładów z ostatniego sprawozdania biura statystycznego Stanów Zjednoczonych i przekonajmy się, azali złoto posiada własności wartości stałej.

W r. 1872 tona żelaza lanego kosztowała dolarów 48; w r. 1891 zaś dol. 17.25. W r. 1872 tona żelaza sztabowego wartą była dol. 97.63; w r. 1891 zaś można ją było dostać za dol. 42.56. Szyny stalowe, których tona kosztowała w roku 1872 dol. 85, można mieć teraz za dol. 30. Baryłka gwoździ kosztowała w r. 1872 dol. 5.46, w r. 1891 zaś cena ich spadła na dol. 1.86. Węgiel bitumiczny, którego tona kosztowała w r. 1872 dol. 4.84, kosztował w r. 1891 dol. 2.60. Pszenica, której *buszel* kosztował w r. 1872 dol. 1.47, spadła w r. 1890 na dol. 0.83. Skóra podeszwowa spadła na funcie z 25 centów na 16; jaja za tuzin z 26 centów na 17 i t. d.

Wobec takich faktów któż będzie śmiał twierdzić jeszcze, że złoto posiada wartość stałą i że dolar złoty zawsze jednę i tę samą wartość przedstawiać będzie? Jedynie uczciwym dolarem byłby taki, któryby w stosunku do innych towarów wartości swej na ich niekorzyść nie zmieniał. Statystyka dowodzi, że dolar srebrny, albo raczej srebro jako takie, w wyższym stopniu tę własność posiada, aniżeli inne dolary albo kruszce. Ku poparciu tego zdania niechaj posłuży świadectwo takiej nowojorskiej *Trybuny*, organu ultra-monometalicznego. Na dniu 11 kwietnia r. b. *Trybuna* pisała: „Wiele skarg na ciężkie czasy przypisać należy tej okoliczności, że ceny są nizkie, i że cena około 200 rodzajów towarów niższą jest tego roku o jakie 13%, aniżeli nią była roku zeszłego".

W kwietniu r. 1891 uncya czystego srebra była warta o 15% więcej, aniżeli w kwietniu r. 1892. Pytamy na seryo, który dolar jest nieuczciwym, i czyli dolar złoty, który jest w stanie zakupywać w r. 1892 o 13% więcej aniżeli w r. 1891, na miano uczciwego zasługuje!?

Złota waluta nie jest walutą uczciwą i niepodobna o jej zwolennikach wyrobić sobie przekonania, jakoby ich pragnieniem był pieniądz uczciwy. Tego oni nie pragną — ich życzeniom odpowiada jedynie taki rodzaj pieniędzy, któryby ustawicznie w cenie się podnosił, wtedy nawet, kiedy spokojnie zasypiają. Cel ich jest tenże sam co cel wytknięty przez I. T. Rogersa, z tą tylko różnicą, że nie zabarwiony patryotyzmem. Ich myślą przewodnią, ich patryotyzmem, ich religią, to bezwzględne pomnażanie bogactw własnych; a jakież środki są w stanie dopomódz im lepiej do osiągnięcia tak wytkniętego celu, jak nie waluta, której wartość (siła zakupcza) wzrasta z dnia na dzień? Weźmy np. wierzyciela, który w roku 1872 pożyczył farmerowi 5000 dolarów na podniesienie i zagospodarowanie swej farmy. Jeśli stopa procentowa, na którą się zgodzono, wynosiła 6%, a ceny zboża pozostałyby te same, to farmer byłby w stanie opłacać odsetki od pożyczonego kapitału, sprzedając rocznie 204 buszli pszenicy, po 1.47 dol. buszel. Wkońcu, gdyby przyszło do spłacenia długu, mógłby to uczynić sprzedając 3400 buszli pszenicy. Ale przypatrzmyż się położeniu farmera od chwili, gdy uczciwy złoty dolar uzyskał monopol w spełnianiu funkcyi miary i wymiany wartości. Pszenica spada na 90 centów, i ażeby zebrać 300 dol., potrzebnych na opłacenie odsetek od pożyczonego kapitału, sprzedać musi 333 buszli zamiast 204, i wkońcu, gdy mimo wszelkich przeciwności jest w stanie dług spłacić, sprzedać musi na ten cel zamiast 3400, 5555 buszli pszenicy. Zwykłą jednak rzeczy koleją nie jest w stanie podołać przyjętym zobowiązaniom i pożyczający pieniądze staje się właścicielem farmy.

To nie obrazki fantazyi, które tu przytaczamy: tego dowodzą księgi gruntowe wielkich obszarów rolniczych w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Ale nietylko amerykański rolnik odczuł smutne następstwa zniżki cen; klęska ta stała się wszechświatową. Ona to w Anglii sprawiła, że cena ziemi spadła o całe 25%, i pomimo odpowiedniego zredukowania cen dzierżawnych, angielscy rolnicy, nie mogąc wyjść na swoje, muszą oddalać robotników, zajętych dotąd przy uprawie ziemi, a ci muszą albo emigrować, albo szukać schronienia w domach przytułku dla ubogich, albo też umierać śmiercią głodową. Klęski tej nie sprowadził ani system protekcyjny, ani też ceny wysokie — wywołały ją ceny nizkie, i klęska ta wzmagać się będzie, dopóki narody nie powrócą do bimetalizmu.

Pierwszym to obowiązkiem mężów prawa stanowiących jest taki dać pieniądz, któryby dawał gwarancyę, że dłużnik nie będzie zmu-

szony płacić więcej nad to, co się płacić zobowiązał, i któryby równocześnie wierzycielowi dawał pewność, że każdy cent, który wypożyczył, odbierze. Złoto, jak to powyżej widzieliśmy, nie odpowiada tym wymaganiom i jedynie bimetalizm zaradzić wszelkim potrzebom jest w stanie.

San Francisco w Kalifornii, w maju r. 1892.

Modest Maryański.

Z pod gór Kruszcowych.

Wrażenia z podróży.

II.

Oto nareszcie szczyt Mileszówki, wznoszący się stożkowato o 2571 stóp nad powierzchnią morza. W oddali na krańcu horyzontu szarzeje we mgle łańcuch Karkonoszów (Riesengebirge), na lewo piętrzą się rozłożyste stoki gór Kruszcowych (Erzgebirge), u spodu się zaś rozściela jak przepyszny kobierzec najpiękniejsza i najbogatsza w Czechach dolina Bilska. Przepyszny, wspaniały widok!

Mówiono mi, że niektórzy podróżnicy, dotarłszy po raz pierwszy na wierzchołek góry, żegnają się z zachwytem i zaczynają modlić. Nie dziwi mię to, bo każdemu, kto umie odczuć piękno przyrody, zdaje się tam, że się znajduje w najpiękniejszej świątyni. Na lazurowem jej sklepieniu wisi lampa, wiecznem płonąca światłem, a tu na ziemi każde drzewo, kwiat, trawka świąteczną przywdziewa szatę i składa cichy hołd swemu Stwórcy.

Mileszówka, podobnie jak inne szczyty Středohorskie, składa się wyłącznie niemal z szarego lub zielonego fonolitu. Okolice jej obfitują w kopalnie granatów, z których najgłówniejsze leżą w pobliżu wsi Roszulki, Podsedicy, Seczenu, Tryblicy, Starej, Trzemszycy, Dlankowicy i Chodolicy. Jak wiadomo, w Czechach istnieją dwa gatunki granatów: granat pospolity i pirop, czyli właściwy granat czeski. Pierwszy znajduje się w gnejsie lub wapieniu, a napotyka się go przeważnie w górach Kruszcowych, niekiedy w pięknych kryształach. Granat pirop leży zwykle w łyszczyku, łupku chlorytowym, wapieniu, a najwięcej w iskrzyku. Obfituje weń przedewszystkiem pasmo Středohorskie, eksploatacya zaś jego w następujący odbywa się sposób. Najprzód robotnicy zdejmują warstwę humusu, grubą na pół metra lub więcej, na-

stępnie kopią doły niezbyt odległe jedne od drugich, mające około pięciu metrów średnicy, aż dopóki nie natrafią na warstwę, w której granaty spoczywają. Wówczas wydobywają bryły minerału, zawierającego pirop, opłukują je z piasku lub gliny i zaczynają ostrożnie odrywać granaty, aby je oddać następnie do szlifierni. Pozostałe bryły bywają złożone do dołów i przykryte humusem, grunt zaś poruszony w taki sposób staje się bardzo żyznym.

Ilość granatów, zawartych w wapieniu lub iskrzyku, nader bywa rozmaitą, cena zaś ich zależy od wagi. Najmniejsze kosztują na miejscu 60 centów, większe nieco, dochodzące do wielkości ziarnka grochu, 1 złr. Oszlifowanie daleko większą nadaje im wartość. Skutkiem łamania się światła okrągłe granaty mają zawsze jaśniejszą barwę od spiczastych. W latach nieurodzajnych całe rodziny spieszą do kopalń, które wówczas dać mogą przybliżone pojęcie o trudach, nadziejach i rozczarowaniach poszukiwaczy złota w amerykańskim Farweście. W Podsedicy znajduje się dość dobra szlifiernia, w Turnawie zaś istnieje od lat kilku fachowa szkoła, w której szlifowanie drogich kamieni nic już do życzenia nie pozostawia i która też każdego roku ogromne otrzymuje obstalunki.

Pomiędzy Podsedicą a Mileszówką leży niewielka osada Skalica, złożona z kapliczki stojącej na skale i kilku ubogich chatek. Z jednej strony opasuje ją las, z drugiej zaś skały z piaskowca. Na początku ubiegłego stulecia osada ta należała do pustelników czeskich, zwanych Iwanitami, którzy wiedli życie takim samym trybem, jak eremici w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, reguła ich nawet otrzymała sankcyę Ojca św. Oprócz Skalicy mieli oni pustelnie w Burgsteinie, Strohance, w okolicach Lutomierzyc, oraz na dolinie Św. Jana pod Pragą. Cesarz Józef II. zniósł około roku 1773 Świętojańskich pustelników, odbierając im wszystkie posiadłości, i odtąd Skalica przeszła na własność Wyszehradzkiego probostwa [1].

Ruszamy dalej. Na drodze ku Bilinowi roją się wózki z mlekiem, ciągnione przez psy, które kroczą poważnie, poszczekując niekiedy, tu i ówdzie zaś widać gromadki pieszych, idących do miasta lub z miasta. Między innymi podąża jakiś chłopak z koszem napełnionym butelkami rozmaitej wielkości. Pytam go o drogę do Kostomlatów, które pragnąłem zwiedzić przed przybyciem do Bilina. Chłopak, pozdrowiwszy mię zwykłem ludowem: *Grüsch Gout!* wskazuje kierunek i zapytuje nawzajem w miejscowem narzeczu:

---

[1] Jos. Grunert, *Aus dem Einsiedler-Leben* (1889), str. 133.

— *Ihr seid halt a su e Stodtharr, gelt's?*

— Być może, a ty skąd mały?

— *Vun dem Gebine.*

— Co niesiesz tam w tych butelkach, może atrament do szkoły?

— *Nee, Medezin, Voda is krank derheme* — odpowiada rezolutny malec.

Po półgodzinnej wędrówce w cienistym świerkowym lesie, wychodzimy na polankę i spostrzegamy przed sobą na skale zwaliska starego zamku, uwieńczone wieżycą. To Kostomlaty (Kostenblatt), dawna rycerska siedziba rodziny tegoż nazwiska. Najpierwsze dokumenta, dotyczące tego zamku, sięgają początku XIII. w. Jest to jeden z najlepiej dotąd zachowanych zabytków minionej doby w Czechach i najbardziej malownicza miejscowość w całem Středohoří. Mozolne wdrapanie się na górę opłaca sowicie przepyszny widok z jej szczytu na dolinę Bilską, pokrytą mnóstwem miast i wiosek, którą z przeciwnej strony zamyka łańcuch gór Kruszcowych. U podnóża skały leży wieś Kostomlaty z ładnym pałacykiem i skromnym, lecz pełnym wdzięku oraz powagi kościołem. Na południo-wschodzie piętrzy się nagi szczyt bilińskiego Bořenu, w przeciwnym zaś kierunku nasza znajoma Mileszówka.

Godnym też widzenia jest gabinet starożytności, umieszczony w zamkowej wieży, a zawierający mnóstwo starych monet czeskich, strzał, ostrzów od włóczni, łańcuchów i szczątków różnorodnych naczyń z epoki bronzowej, a nawet kamiennej, które znaleziono na tem miejscu przy kopaniu fundamentów, lub torowaniu ścieżek.

Zamek kostomlacki wiele smutnych przechodził kolei. W r. 1434 zdobyli go Taboryci i odtąd stał się własnością ich wodza, Jakuba Wřesowica, którego imię w okresie wojen husyckich krwawemi zapisało się zgłoskami. W posiadaniu Wřesowiców Kostomlaty coraz bardziej chyliły się ku upadkowi, a wreszcie podczas wojny trzydziestoletniej część zamku uległa zniszczeniu [1]. Obecni właściciele, hr. Ledeburowie, nie myślą o jej odnowieniu; szare i wyszczerbione mury dawnego rycerskiego gniazda sterczą, jakby na świadectwo znikomości rzeczy ludzkich. *Tempora mutantur!*

Kostomlaty są niby oazą na połowie monotonnej drogi do Bilinu, najbliższego celu mej podróży. Ładne to miasteczko słynie przede-

[1] W. Krondorf, *Bilder aus dem nördlichen Böhmen:* XXVIII. Die Burgruine Kostenblatt. 1888, str. 13.

wszystkiem ze swych mineralnych źródeł, czyli tak zwanych Sauerbrunn'ów. Zostały one odkryte w roku 1712, w którym księżna Eleonora Lobkowicowa kazała je ocembrować i oddała do publicznego użytku. Niejednokrotnie źródłom tym groziło zupełne zniszczenie skutkiem przedzierania się do nich podziemnej wody słodkiej, ale w r. 1886 natrafiono w skale na nowe źródło, nasycone daleko bardziej od poprzednich kwasem węglowym i dostarczające dziennie 15.000 litrów wody. Odtąd Bilin zaczął szybko kroczyć na drodze swego rozwoju. Roczny eksport wody mineralnej, stanowiącej główne źródło jego zamożności, wynosi przeszło 3,000.000 litrów, oprócz tej, która zostaje zużytkowaną na miejscu przez gości kąpielowych, lub użytą do wyrobu magnezyi.

Podług podania założycielką Bilinu była Bila, córka księżniczki czeskiej Kasi, a wnuczka legendowego Kroka. Tradycya głosi, że pewnego razu Bila ze swemi dworskiemi dziewczętami wyjechała konno na spacer do lasu. Nagle w pobliżu rozległ się ryk niedźwiedzi i dwoje strasznych tych zwierząt rzuciło się na spłoszone konie. Wówczas odważne amazonki zeskoczyły na ziemię, poczem przepaskami swemi związały w okamgnieniu obu napastników. Na pamiątkę tak bohaterskiego czynu skóry tych zwierząt wisiały przez lat kilkadziesiąt na bilińskiej bramie, potomstwo zaś Bili otrzymało nazwę łowców niedźwiedzi *(Bärenfänger)* [1].

Przebiegłszy czyste ulice i ładny park Bilinu, oraz przypatrzywszy się nieco starożytnemu jego zamkowi, wstąpiłem do hotelu, aby się posilić i rozlokować na nocleg. W sali restauracyjnej znalazłem kilku Niemców, ożywioną ze sobą toczących rozmowę. Po niejakim czasie jeden z nich zbliżył się ku mnie, zmierzył mnie oczyma od stóp do głowy i zapytał:

— Pan zapewne pierwszy raz w Bilinie?

— Tak.

— I na Bořenie pan nie byłeś?

— Jutro się tam wybieram.

— Ale co to jutro, dlaczego nie dzisiaj? Widzisz pan, myśmy właśnie ułożyli ze sobą wyruszyć dziś wieczorem i stanąć na Bořenie *au clair de la lune*. Tymczasem jeden z nas się nie stawił, radzę więc panu przyłączyć się do nas, bo im większe grono, tem się raźniej po-

[1] Dr. J. L., *Ein Spaziergang in's Modelthal*. Aussig 1889. *Nordböhm. Tour.-Zeitung*, str. 5.

dróżuje. Jako członek teplickiego górskiego stowarzyszenia *(Gebirgsverein)* chciałbym, aby jak najwięcej turystów poznało śliczne nasze góry. Chodź pan z nami, a nie pożałujesz tego. Może już na niejednej górze byłeś pan we dnie, ale nie masz chyba wyobrażenia o tem, co się widzi w nocy z takiego Bořenu. Zaręczam panu, *eine herrliche, prachtvolle Rundsicht!*

Rozśmieszony żywą gestykulacyą i zapałem członka *Gebirgsvereinu*, zgodziłem się na jego awanturniczą nieco propozycyę, on zaś zaczął mnie zaznajamiać z resztą towarzystwa.

— Oto masz pan przed sobą p. X., naszego publicystę, a to p. Y., mineralog, entomolog, antropolog, poeta i kto wie co jeszcze! A teraz żegnam panów i za chwilę będę do usług.

Po wyjściu naszego towarzysza, p. Y. jakby chcąc usprawiedliwić swoją rekomendacyę jako poety, odezwał się z sentymentalnym uśmiechem, biorąc mię widocznie za Niemca:

— Zdaje mi się, żeś pan z Prus. U nas każdego roku dużo bywa *unserer Brüder aus Preussen*. Chcesz pan może wiedzieć, po co przyjeżdżają? Otóż powiem panu — dodał stając na środku pokoju i poprawiwszy z fantazyą włosy, zadeklamował:

Um die Nerven neu zu stählen,
Um von Reisen zu erzählen,
Um die Berge zu besteigen,
Um sich vor der Welt zu zeigen,
Um den Hausarzt zu erproben,
Um die Tochter zu verloben,
Um sich gründlich abzukühlen,
Um den grossen Herrn zu spielen,
Um am Krankenbett zu wachen,
Und die Mode mitzumachen.

— A pan do jakiej kategoryi przybyszów należysz? — zapytał.

Zaledwie zdołałem odpowiedzieć na to pytanie, gdy na progu ukazał się członek *Vereinu* w kostiumie turysty *ex professo*, którego integralną część stanowiły wysokie buty, najeżone u spodu ostremi gwoździami. W ręku trzymał ogromną laskę także ostro zakończoną, przez plecy zaś miał przewieszoną sporą torbę podróżną, o której zawartości dopiero na Bořenie mieliśmy się przekonać.

— No, panowie, komu w drogę temu czas — zakomenderował nasz przywódca.

Na to hasło wychodzimy żwawo i znajdujemy się niebawem poza obrębem Bilinu. Zegar wieżowy wydzwania dziesiątą wieczorem,

na niebie ukazuje się tarcza księżyca i rzuca blade światło na łany, przez które kroczymy, i na wznoszącą się przed nami Lwią górę — tak bowiem z powodu jego kształtu niektórzy Bořen nazywają.

— Jaką drogą pójdziemy? — pyta nasz *cicerone* — czy przez *Ochsensteg*, czy przez *Fürstenstuhl?*

— Naturalnie przez Fürstenstuhl, bo sama nazwa wskazuje, że ta droga wygodniejszą być musi.

— Obie są również strome i trudne do przebycia, — dorzuca trzeci Niemiec — głosuję więc za tem, abyśmy jedną z nich wdrapali się na górę, drugą zaś wybrali za powrotem.

Wniosek ten jednogłośnie przyjęto. Zaczynamy więc piąć się pod górę, czepiając się nielicznych krzaków dla utrzymania równowagi. Ścieżka ślizka jest okropnie, gdyż Bořen całkowicie niemal składa się z łupku i fonolitu, wygładzonego jak posadzka nogami przechodniów. Jest to góra pozostawiona dotąd w stanie natury, że się tak wyrazimy, bez porządnych dróg i ławek na stokach, oraz bez restauracyi lub *Aussichtsthurmu* na szczycie, spotykanych na innych tamtejszych górach.

O północy stajemy na Bořenie. Rzeczywiście zapowiedź naszego przewodnika zupełnie się sprawdziła. Jeżeli widok z tej góry w dzień jest bardzo malowniczy, to w nocy nieokreślone, czarodziejskie niemal wywiera wrażenie. U dołu uśpiony Bilin, nad którym panuje zamek i parę wież kościelnych, a wszystko to wygląda jakby domki z kart. Dalej nieco rzeka Bila płynie wśród nagich skał i pod światłem księżycowych promieni przybiera barwę roztopionego srebra. Jeszcze dalej widać rozległą Bilską dolinę, opasaną szańcem gór Kruszcowych i Středohoře, których kontury niknące we mgle zlewają się tak łagodnie z niebieskiem sklepieniem, że trudnoby oznaczyć, gdzie się jedne kończą, a drugie zaczyna. A nad tem wszystkiem panuje spokój i niczem niezakłócona cisza, tak uroczysta, tak poważna, że mimowoli dusza ludzka się podnosi i dostraja do akordu czci i uwielbienia, jakim cała przyroda zdaje się dźwięczyć dla Stwórcy.

Nigdy nie zdołam zapomnieć tej wycieczki na Lwią górę i tej czarownej, a tak rzadkiej w życiu chwili, gdy myśl odrywa się od wszystkiego co ziemskie, by w wyższe ulecieć sfery. Towarzysze moi ulegli również niepohamowanemu wrażeniu, siedzieliśmy więc w milczeniu obok siebie, napawając się pięknością tej nocy. Nagle ciszę przerwał świst lokomotywy i u podnóża góry prześlizgnął się jak wąż długi, czarny pociąg. Syczeniu jego zawtórowały niespodzianie odgłosy korków wylatujących z butelek. To szanowny członek *Gebirgsvereinu*

raczył się nektarem Gambrynusa, zachęcając, abyśmy poszli za jego przykładem. Powoli tajemnicza torba zaczęła się wypróżniać i nasz przewodnik rozesławszy na ziemi serwetę, z prawdziwie niemiecką systematycznością ułożył na niej kilka *butterbrodów*, *würstlów*, oraz wyborne *pflaumenkuchen*, które, jak zaręczał z dumą, najstarsza jego córka Gretchen własnoręcznie mu upiekła.

Po improwizowanej tej uczcie uprzejmy gospodarz się odezwał:

— Wiecie panowie, dlaczego wziąłem cztery butelki piwa, a nie trzy albo pięć? Oto dlatego, że każdy z nas powinien skreślić na bilecie wizytowym swoje *curriculum vitae* i włożywszy je do butelki, wrzucić do przepaści, którą widzimy przed sobą. Może za lat kilkadziesiąt, albo kilkaset, znajdzie je jaki turysta, a imiona nasze przynajmniej w ten sposób przejdą do potomności.

Dictum — factum. Po chwili cztery butelki z głuchym łoskotem stoczyły się w przepaść.

— Obyśmy także nie poszli za niemi! — odzywa się melancholicznie jeden z towarzyszy — bo zdaje mi się, że za powrotem księżyc nie będzie nam przyświecał.

Miła perspektywa! Bądź co bądź i na Bořenie pozostać dłużej niepodobna, bo chłód nocny zaczyna przejmować nas do szpiku. Wstajemy więc i puszczamy się w drogę, ale nie tak ochoczo, jak poprzednio. Na przodzie kroczy nasz Wirgiliusz, trzymając mię za rękę jak swego Dantego i kijem próbując ziemię o parę kroków przed sobą. Za nami drobniutkim krokiem stąpa krępy p. X., chwytając mię co chwila za połę od ubrania i wołając: *O Herrje! ich stürze schon hinab!* Orszak nasz zamyka wreszcie czwarty towarzysz wycieczki, który dla dodania sobie animuszu śpiewa tubalnym głosem:

O, du mein holdes Vaterland!

Tak rzeczywiście, ten zakątek ziemi czeskiej uważanym jest, chociaż niewłaściwie, za ojczyznę przez niemiecką inteligencyę, przeważnie z Prus przesiedloną, a hołdującą zasadzie: *ubi bene, ibi patria.* Nigdzie może nie nurtują tak zacięte, chociaż potajemne antagonizmy rasowe, z obu stron żywione. Ta tylko istnieje różnica, że gdy Czesi ukrywają swą niechęć do Niemców i w rzadkich tylko okolicznościach ją zdradzają, Niemcy głoszą otwarcie, że całe północne Czechy to ich dziedzina, że wszystkie miasta w tej dzielnicy kraju przez nich zostały założone, oraz że Czesi chcieliby je tylko nieprawnie *tschechisiren*. Szowinizm niemiecki przebija się jaskrawo we wszystkich organach miejscowej prasy, z których każda mieścina przynajmniej jeden posiada

i które, będąc redagowanemi przez przybyszów z różnych zakątków Niemiec, lub przez Żydów, protestanckim albo liberalno-bezwyznaniowym tchną duchem.

Dolina Bilska, to jakby kolebka historyi czeskiej, osnuta mnóstwem prastarych podań i tradycyj. Była ona jedną z pierwszych dzielnic, które niegdyś potomkom Czecha dostały się w posiadanie. Na straży jej stoi góra Hradysztańska (Radelstein), będąca jedną z kończyn Středohorskiego łańcucha. Stoki tej góry od północy strome, od wschodu zaś i zachodu tu i ówdzie porośnięte lasem, a szczyt wieńczy starożytny wał (horodyszcze) w kształcie półksiężyca, dochodzący w niektórych miejscach do trzech metrów wysokości. Otacza go drugi wał nieco mniejszy, który ma dwa wejścia od strony południowowschodniej i zachodniej. Przestrzeń objęta zewnętrznym wałem jest tak rozległą, że nader liczny tłum ludu mógłby się tam pomieścić.

Pod względem celu i pochodzenia wału Hradysztańskiego uczeni najrozmaitsze stawiają hipotezy. Jedni głoszą, że ponieważ każdy lud pierwotny ma pewne przesądne pojęcia o rozmaitych górskich szczytach, jak naprzykład starożytni Hellenowie o Olimpie, prawdopodobnie więc i autochtonowie czescy mogli wybrać tę górę za miejsce swego kultu. Twierdzenie to popierają faktem, że wał Hradysztański właśnie w najprzystępniejszych miejscach jest otwarty, odległość zaś od wody czyniła go niezdatnym do tego, aby w czasie wojny mógł służyć za warownię w epoce, w której cystern jeszcze nie znano. Inni znowu upatrują w nim dawne przytulisko mieszkańców Czech podczas wojen nieszczęść publicznych. Pogląd ten opiera się głównie na opowiadaniach starożytnych pisarzy, jak naprzykład Liwiusza i Juljusza Cezara, którzy, opisując wojny toczone przez Rzymian z barbarzyńcami, mówią o wałach, za jakiemi ścigani nieprzyjaciele szukali schronienia [1]. Jak jedni zaś, tak i drudzy za założycieli podobnych wałów poczytują celtyckie plemię Bojów, które w 253 lata po założeniu Rzymu, a zatem o kilka wieków przed erą chrześcijańską, wtargnęło do tej krainy i nazwę jej swą nadało (Boer-heim, Bohemia) [2]. Mnie się jednak ten wniosek wydaje bardzo problematycznym, sam bowiem widziałem takież same horodyszcza nad Dnieprem i Berezyną na Białej Rusi, gdzie o Bojach czyli Bojerach mowy być nie może.

[1] Theodor Hutter, *Der Radelstein. Historische Studie.* 1886. Aussig. *Nordböhm. Tour.-Zeitung,* str. 183.

[2] *Bilder aus Böhmens heidnischer Vorzeit.* Prag 1865, str. 9—13.

Za Hradysztanem droga kolei żelaznej wije się kręto wśród malowniczej okolicy, urozmaiconej tu i ówdzie miasteczkami lub zwaliskami starych zamków. Na lewo ukazuje się miasteczko Krzemusz ze starożytnym kościołem i okazałym pałacem, na prawo Racz i Poracz z ruinami zamczyska. W parafialnym kościele w Raczu stoi piękny pomnik ks. Andrzeja Aumayer'a, który w r. 1680 podczas morowej zarazy z największem zaparciem się siebie pielęgnował chorych, udzielał im religijnej pomocy i padł ofiarą swego poświęcenia. Na grobowcu jego wyrzeźbiona jest świeca z napisem u spodu: *Lucendo aliis consumor.* Dalej nieco na wysokiej górze, oblanej z trzech stron rzeką Bilą, pomiędzy wsiami Dolanką i Liśnicą, leży drugi wał pogański, zwany przez Niemców *Feuermauer* albo *Teufelsmauer,* bo czeskiej nazwy nie zdołałem doszperać. Następnie mijamy ładną osadę Hertiny, rzucamy przelotnie okiem na kilka dość gęsto rozsianych wiosek, a wreszcie stajemy w Stadicy.

Stadica, to skromna, uboga wiosczyna, niczem się obecnie nie odznaczająca, lecz nazwa jej miłe w sercu każdego Czecha wywołuje drżenie, bo lud czeski następującą otoczył ją legendą.

Gdy po śmierci dzielnego Kroka objęła rządy za wolą ludu najstarsza córka jego Libusza, przyszli do niej pewnego razu dwaj bracia, Chrudosz i Stahlaw, potomkowie Popiela Tetwy, który jeszcze z drużyną Czecha przeprawił się przez trzy rzeki do żyznej tej krainy. Bracia ci toczyli spór ze sobą o spuściznę po rodzicach; Chrudosz chciał całą ojcowiznę zagarnąć dla siebie, Stahlaw zaś równego domagał się podziału. Wówczas Libusza zwołała na naradę wszystkich swych poddanych i usiadłszy na tronie, rzekła:

— Kmiecie i władycy! Oto stoją przed wami dwaj bracia, których prawa do ojcowskiej spuścizny powinniśmy rozstrzygnąć. Podług dawnego zwyczaju, mają oni władać nią wspólnie, lub sprawiedliwie się podzielić. Ja tego żądam, wy zaś kmiecie i władycy osądźcie sami, czy wyrok mój jest słusznym, jeżeli zaś nie, to wydajcie inny, któryby pojednał zwaśnionych braci.

Wszyscy obecni przyznali słuszność ukochanej księżniczce, jeden tylko Chrudosz, niezadowolony z wyroku, zawołał:

— Biada ptakowi, do którego gniazda wślizgnie się żmija, biada mężczyznom, którymi rządzi niewiasta! Ja zaś powiadam wam, bracia, żeście się stali pośmiewiskiem wszystkich innych narodów dlatego, że kobiecym ulegacie rozkazom.

Na to Libusza z łagodnym odparła uśmiechem:

— Tak, to prawda, bracia, że jestem kobietą, wam zaś żelaznej nad sobą trzeba dłoni. Odtąd wy kmiecie i władycy, którzyście byli świadkami wyrządzonej mi zniewagi, sądźcie się sami, ja was sądzić nie będę. Wybierzcie sobie z pomiędzy waszego grona takiego, któryby potrafił nakazać wam posłuszeństwo, bo siły niewieście potemu są za słabe.

Wówczas z pomiędzy tłumu powstał starzec Ratibor i odezwał się poważnie:

— Sąd twój sprawiedliwy jest, księżniczko, i Chrudosz musi mu uledz. Aby zaś nie posądzano nas o gnuśność dlatego, że rządzą nami kobiety, przeto, Libuszo, wybierz sobie męża i daj nam w nim pana!

— Dobrze więc, — rzecze księżniczka — tam za górami płynie rzeka, a nad nią leży niewielka wieś Stadica. We wsi tej jest kawał pola, długi i szeroki na dwanaście stajów, gdzie orze przyszły wasz książę. Imię tego człowieka jest Przemysław (Proûmysl), ród zaś jego będzie długo rządził tą krainą. Weźcie mego białego konia, on was tam zaprowadzi.

Uradowani Czesi puścili się natychmiast w drogę, a znalazłszy wszystko podług wskazówek Libuszy, zbliżyli się do Przemysława, podali mu książęce szaty i powitali okrzykiem:

— Witaj nam, szczęśliwy człeku! Księżniczka pragnie cię mieć za męża, a cały kraj za księcia.

— Szkoda, żeście tak wcześnie przybyli, — odrzekł spokojnie Przemysław — bo gdybym dokończył tego zagonu, wówczas wieśniak nie potrzebowałby nigdy kupować sobie chleba. Ponieważ zaś przerwaliście mi pracę, często więc głód i nędza nawiedzą tę ziemię.

Wkrótce potem Przemysław, ubrany w książęce szaty, siadł na konia Libuszy i wyruszył do stołecznego grodu, rozkazawszy wprzód nowym swoim podwładnym zabrać swe chodaki i torbę płócienną, aby potomkowie zawsze pamiętali, że ich prǫtoplasta od pługa doszedł do tronu. Przedmioty te przechowywały się długo na zamku książęcym w Wyszehradzie, używano ich zawsze przy koronacyi każdego nowego księcia, i dopiero w roku 1420, po zburzeniu Wyszehradu, w okresie wojen husyckich, zginęły bez wieści.

Na polu, z którego Przemysław został na tron wezwany, wzrastało aż do roku 1701 ogromne orzechowe drzewo, zasadzone przez tego księcia. Cesarz Karol IV. kazał otoczyć je murem, mieszkańców zaś Stadicy uwolnił od podatków pod warunkiem, aby pielęgnowali to drzewo, a owoce z niego odnosili corocznie do królewskiego zamku

w Pradze. Zwyczaj ten utrzymał się aż do czasów Ferdynanda III. [1]. Dziś na tem miejscu wznosi się kamienny pomnik, postawiony w r. 1841 kosztem hrabiego Nostica. Na szczycie jego stoi pług żelazny, boki zaś zdobią odpowiednie napisy i płaskorzeźby, przedstawiające obiór Przemysława.

Widok pomnika przenosi mimowoli o kilka wieków wstecz, myśl cofa się do odległej przeszłości tego kraju, a postacie Przemysława i Libuszy zdają się zmartwychpowstawać przed oczyma wyobraźni. Niedługo jednak trwa to oderwanie się od rzeczywistości; wkrótce przeciągły świst lokomotywy i odgłos elektrycznego dzwonka przywołuje rozbujałą fantazyę do porządku, przypominając, że żyjemy w wieku pary i elektryczności, a donośny głos konduktora zapowiada, żeśmy stanęli w Ůstiu (Aussig).

Miasto to, będące jednem z największych, najzamożniejszych i najbardziej ożywionych miast w północnych Czechach, otrzymało swą nazwę od ujścia rzeki Bili, która w pobliżu niego wpada do Elby (Łaby). Zostało ono założone w XIII. w.; wojna trzydziestoletnia zamieniła je w gruzy, wkrótce jednak powstało z upadku jak feniks z popiołów, dziś zaś jest siedliskiem znacznego przemysłu i handlu. Podwójna komunikacya: lądowa i wodna, przyczynia się dość znacznie do jego rozwoju. Ůsti posiada parę pięknych świątyń, wiele eleganckich gmachów i leży w bardzo ładnej miejscowości. Pod samemi niemal murami snuje się kręta, niebieska wstęga Elby, wśród nagich skał z fonolitu lub bazaltu, mających kształt obelisków i piramid. Krajobraz w pobliżu Ůstia jest jedyny w swoim rodzaju. Trudno rzeczywiście znaleść gdzieindziej taką rozmaitość widoków, taką różnorodność form, odcieni i tonów kolorytu. Tu sterczą nagie, jałowe szczyty Ziegenbergu, Wostrej, Matrai, Lerchenbergu i Aarhorstu, będące dalszym ciągiem Středohoře, tam najpiękniejsza roślinność, tu wsie rozrzucone nad brzegiem rzeki, tam miasteczka przyczepione do górskich stoków, lub rozsiadłe u ich podnóża. A wszystko to oblane promieniami słońca, złocącemi przecudownie fale majestatycznej Elby. Gdy wzrok po raz pierwszy spocznie na tym krajobrazie, z piersi mimowoli wydobywa się okrzyk: Jakże to piękne!

Najwspanialszą jednak ozdobę tego miejsca stanowi zamczysko Schreckenstein, wznoszące się ponad samą Elbą na olbrzymiej, groźnej, prostopadłej skale. Posępne, zczerniałe jego mury, najeżone wieżycz-

[1] *Bilder aus Böhmens heidnischer Vorzeit.* Prag 1865, str. 76—86.

kami, rysują się jak nagie szkielety na lazurowem tle niebios. Na pierwszy rzut oka zamek ten robi wrażenie jakby ogromnej, ciemnej plamy, zawieszonej w przestworzu pomiędzy dwoma odrębnemi błękitami nieba i rzeki.

Pociąg mknie dalej i w parę godzin potem zatrzymuje się w Bohusudowie (Mariaschein), zwanym przez niektórych czeskiem Lourdes. Mieścina ta, leżąca u samego podnóża gór Kruszcowych, już z daleka nader sympatycznie się przedstawia. Białe, poważne mury kościoła i klasztoru, pokryte czerwonym dachem, tworzą malowniczy kontrast z różnorodnemi odcieniami zieloności na falistych górskich stokach. Kościół zbudowany w stylu włoskim z dwiema ładnemi wieżami, przypomina mocno swą architekturą dawne po-jezuickie świątynie w Połocku i Mińsku litewskim. Otacza go dokoła rozległe ambulatoryum, zawierające czternaście kaplic stacyjnych. Na zewnętrznej ścianie ambulatoryum od strony kościelnego dziedzińca domorosły jakiś artysta wykończał właśnie freski niezbyt ukształconego pendzla, których treść zaczerpniętą była przeważnie z historyi Bohusudowa. Ambulatoryum to, chociaż dość piękne, ujmuje jednak znacznie wspaniałości samej świątyni, która daleko majestatyczniejby wyglądała, gdyby fronton jej bezpośrednio wychodził na miasto. Bardziej jeszcze szpeci ją cały szereg szkaradnych straganów, stojących na ulicy przed ambulatoryum, w których się sprzedają obrazki, statuetki, książki do nabożeństwa i t. p. Sprzedaż takich przedmiotów jest niemal niezbędną, każdy bowiem zwiedzający cudowne to miejsce pragnie zabrać ze sobą jakąś pamiątkę, ale sklepiki, w których się dokonywa, powinnyby mniej rażący stanowić kontrast z sąsiednim domem Bożym.

Lecz wejdźmy do wnętrza świątyni. Uwagę naszą zwraca przedewszystkiem piękny ołtarz główny, zawierający cudowną statuetkę Najświętszej Panny. W ołtarzu tym ponad cyboryum, obok którego stoją bardzo ładne, chociaż niewielkie, figury czterech Ewangelistów, mieści się pewien rodzaj oszklonej szafeczki, oplecionej zawsze świeżemi kwiatami. W szafeczce tej przechowuje się wysoka na kilka cali statuetka Matki Boskiej, trzymającej na ręku ciało swego Syna, zdjęte z krzyża. Ołtarz, wysunięty nieco ku środkowi kościoła, otacza ośm wyniosłych kolumn, podtrzymujących dużą kopułę, na podstawach zaś ich umieszczone są niemieckie napisy, które tworzą całą prawie litanię Loretańską. Po obu stronach bocznych ołtarzy, ozdobionych kilkoma pięknemi obrazami starej włoskiej szkoły, stoją prześliczne statuy Świę-

tych, odpowiada zaś im chór, również ładnie rzeźbiony. Całe wnętrze świątyni tchnie harmonią i powagą, przedewszystkiem zaś zostaje się tam ciągle pod wrażeniem myśli, iż się jest w jednem z miejsc wybranych, w których Niebieska nasza Matka hojniej niż gdzieindziej zlewa łaski na swe dzieci.

Z kościoła udałem się do klasztoru OO. Jezuitów. Pierwsze wrażenie, jakie stamtąd odniosłem, mile zapisało się w pamięci. Oto w przedsionku znalazłem kilkudziesięciu biedaków obojej płci i wszelkiego wieku, z miseczkami w rękach, którym oddźwierny klasztorny rozdawał właśnie jadło. Po chwili wprowadzono mnie do rozmównicy, gdzie też niebawem nadszedł ks. K., bibliotekarz miejscowy.

Porozumiawszy się z zacnym tym kapłanem co do rękopisów, których potrzebowałem, zacząłem się go dopytywać o dzieje bohusudowskiej świątyni.

„Statuetka Najświętszej Panny — rzecze ks. K. — została prawdopodobnie przywiezioną do Europy z Ziemi Świętej i mieściła się początkowo w kościele w Schwatz pod Bilinem, który należał do klasztoru Sióstr Grobu Świętego. W XV. wieku kościół wraz z klasztorem zburzony został przez husytów, zakonnice zaś ucieczką ratować się musiały. Na pierwszą wieść o rozruchach w kraju, Siostry nie chcąc, aby figurka Matki Boskiej wpadła w ręce heretyków, ukryły ją w lipie, która rosła na polu należącem do miasteczka Krupki (Graupen), gdzie pozostawała przez lat kilka. Tradycya głosi, że między rokiem 1420 a 1430 pewna służąca zbierała raz trawę pod lipą, gdy nagle wąż obwinął się dokoła jej ręki. Przerażona dziewczyna wzniosła wzrok ku górze, błagając Niebo o pomoc, i ujrzała na drzewie statuetkę N. Panny. Wówczas wąż zniknął, nie uczyniwszy jej nic złego, dziewczę zaś zaniosło statuetkę do swego pana, który ją oddał proboszczowi w Krupce. Ale gdy ten ostatni umieścił ją w swoim kościele, statuetka znikła niebawem i powtórnie ukazała się na lipie. Trzykrotnie próbowano przenieść ją do Krupki i za każdym razem, widocznem zrządzeniem Opatrzności, wracała na lipę. Wreszcie wpadnięto na domysł, że Matka Boska wybrała dla siebie to miejsce i żąda, aby na cześć Jej wzniesiono na niem świątynię. Rzeczywiście w r. 1443 ścięto lipę i zbudowano drewnianą kapliczkę. Następnie w r. 1507 za staraniem księcia Lobkowica i Alberta Kolowrata, ówczesnego właściciela Krupki, stanął piękny kościół, którego zarząd w pierw-

szej połowie XVII. wieku objęli Ojcowie Jezuici[1]. W r. 1706 kościół się spalił, lecz Ojcowie niezwłocznie go odnowili, powiększyli i przyprowadzili do takiego niemal stanu, w jakim obecnie go widzimy. Gdy w r. 1773 Towarzystwo Jezusowe musiało opuścić Bohusudow, cesarz Józef II. chciał jednocześnie zamknąć tutejszy kościół pod pozorem, że wówczas uchwalono prawo, aby istniały tylko parafialne świątynie, parafia zaś znajdowała się w Krupce. Ludność jednak dołożyła wszelkich możliwych starań, aby kościół bohusudowski zamieniono na parafialny, co wreszcie doszło do skutku. W r. 1853 — ciągnął dalej ks. K. — Ojcowie Jezuici wrócili tu znowu, ale niestety wiele się rzeczy już zmieniło. Kościół przez nas niegdyś zbudowany, nie pod naszym obecnie zostaje już zarządem, i to właśnie najwięcej nas boli. Wprawdzie biskup lutomierzycki zaproponował, abyśmy powtórnie go objęli, ale zarazem postawił takie warunki, na jakie nie mogliśmy się zgodzić. Bądź co bądź, chociaż nie mamy tu już własnej świątyni, w którejbyśmy mogli spełniać na szerszą skalę obowiązki naszego powołania, na pracy jednak nam nie zbywa. Mamy gimnazyum, liczące kilkuset uczniów; młodzież garnie się do nas z ufnością, rodzice zaś chętnie powierzają nam swe dzieci".

Wkrótce potem pożegnałem czcigodnego kapłana i puściłem się na wędrówkę w najbliższe okolice. Miejscowość ta była w przeciągu wieków placem niejednego boju, o czem świadczą nawet trzy pomniki postawione pod Chlumcem (Kulm) przez skoalizowane mocarstwa na cześć poległych w walce z Napoleonem I. d. 30 sierpnia 1813. Miejsce to widać jak na dłoni z góry zwanej Kyszperkiem albo Supą-horą (Geiersberg), na której sterczą zwaliska starego rycerskiego grodu. Nie wspominałbym tu o tym zamku, tak podobnym do tylu innych, gdyby nie to, że dzieje jego chociaż pośrednio z historyą Polski się łączą. Już w r. 800 po Chrystusie Supahora, dzięki swemu położeniu, uważaną była za ważny punkt strategiczny. W r. 1039 komendantem tej twierdzy był żupan biliński Prokop. Wówczas właśnie Bardo, arcybiskup moguncki, i Ekkehard, margrabia Miśnii, przedarli się przez góry Kruszcowe, spiesząc z pomocą cesarzowi Henrykowi III., ten ostatni bowiem na prośby Polaków wtargnął do Czech, aby króla czeskiego Brzetysława I., który wtedy zdobył Kraków, powstrzymać

[1] O statuetce cudownej wspomina też ks. Mikołaj Łęczycki (Lancicius) T. J., w liście pisanym z Pragi d. 5 marca 1641 roku do ks. Alojzego Bendy z tegoż Towarzystwa.

od dalszego na Polskę najazdu. Wojska cesarskie bez trudności zmusiły załogę supahorską do poddania się, a w roku następnym Ekkehard stanął pod murami Pragi. Brzetysław musiał prosić o pokój, a po zawarciu przymierza wywarł cały swój gniew na żupanie Prokopie, którego kazał oślepić, a następnie utopić w rzece Bili [1].

Odtąd zamek supahorski przechodził kolejno z rąk do rąk, przez czas niejaki należał do dominium arcybiskupów praskich, a wreszcie jeden z nich sprzedał go za 30.000 kóp groszy jakiemuś magnatowi czeskiemu. Ostatnim jego władcą był rycerz niemiecki, Wolfgang von Sahlhausen, za którego rządów zamek miał zamienić się w kupę gruzów, by już nigdy nie powstać z ruiny. Pewnego dnia na Supahorę przybyło wiele gości i właśnie wybierano się na łowy, gdy nagle olbrzymi orzeł spuścił się na starą lipę, której gałęzie rozpościerały się na jakimś drewnianym budynku. Po chwili jeden z obecnych dał ognia, orzeł rozwinął skrzydła i odleciał, a z budynku stojącego pod lipą wydobył się szary słup dymu. W parę godzin już cały zamek znajdował się w płomieniach i stał się pastwą strasznego żywiołu [2]. Właściciel jego przeniósł się do innych dóbr, i wkrótce mchy, oraz dzikie krzewy pokryły mury rycerskiego gniazda, które niegdyś jak odważny sęp spoglądało dumnie na dolinę. Dziś na tem miejscu głucha panuje cisza, czasami tylko jakiś kamyk odrywa się od zwietrzałego muru i z hałasem stacza się na dół, a wystraszone sowy i nietoperze wylatują ze swych kryjówek.

Tytus Sopodźko.

---

[1] Sedlaček, *Hrady a Zamky.* Praga. — Th. Hutter, *Ruine Geiersburg.* Aussig 1890. *N. T.-Z.*, str. 17 i 18.

[2] Tamże, str. 34, 35.

Korespondencya Redakcyi.

Małe wyjaśnienie. W sierpniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* (str. 228) w żywocie ks. Stanisława Sokołowskiego podaje autor dzień **31 marca 1593** jako datę jego śmierci, a to opierając się na okoliczności, że dnia 31 marca 1594 jako w rocznicę śmierci odbyło się żałobne nabożeństwo, na którem mowę pochwalną miał ks. Fabian Birkowski. Autor przytacza w przypisie i inną datę, to jest dzień 7 kwietnia 1593, podaną przez księży Wielewickiego i Niesieckiego. Jakoż istotnie ks. Wielewicki w swoich *Historici diarii Domus Professae Cracoviensis Soc. Jesu* pod rokiem 1593 wyraźnie pisze: „R. D. Stanislaus Socolovius Regis Stephani quondam Theologus et Canonicus Cracoviensis, vir pius et doctus nostraeque Societatis amicus **7 Aprilis** vitam hanc mortalem cum illa immortali commutavit".

Skądże więc u Birkowskiego ma być data śmierci Sokołowskiego o tydzień wcześniejsza?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, dosyć spojrzyć do kalendarza z r. **1594.** W roku tym przypadał **Wielki Czwartek d. 7 kwietnia** i oczywiście dnia tego żałobnego nabożeństwa za duszę zmarłego przed rokiem ks. Sokołowskiego odprawiać nie było można. Aby więc takowego nie odkładać poza Przewodnią Niedzielę, wzięto rocznicę wcześniej i odprawiono nabożeństwo we czwartek przed Kwietnią Niedzielą, to jest 31 marca. Słusznie więc mógł na tem nabożeństwie mówić ks. Birkowski: „dziś obchodzimy rocznicę śmierci, dzień on, dzień smutny" i t. d., bo obchód ten, o tydzień wcześniejszy, był wywołany koniecznością kościelną, a raczej zejściem się prawdziwej daty śmierci (d. 7 kwietnia), jak ją zanotował ks. Wielewicki, z uroczystościami Wielkiego Czwartku w r. 1594.

Że się tu ks. Wielewicki nie pomylił, łatwo sprawdzi szanowny autor rzetelnej o ks. Sokołowskim pracy, przejrzawszy skrzętnie współczesne zapiski.

Prof. dr. Karliński.

Druk ukończony 30 sierpnia 1892 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronnica.

Dziewice Bogu poświęcone w pierwszych wiekach Kościoła. Przez *ks. Józefa Bilczewskiego* 1

Ks. Stanisław Sokołowski. Studyum do dziejów kaznodziejstwa XVI. wieku. Przez *ks. Kaspra Słomińskiego* 38 213 357

W Czerniowcach. Wrażenia z kilkudniowej wycieczki. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 56

Listy z podróży po Azyi (Syam — dok.). Przez *księcia Pawła Sapiehę* 86

Sekciarstwo w Rosyi. Przez *A. Szarłowskiego* 105 305

Kilka dni u Kabilów. Przez *ks. M. Morawskiego T. J.* 153

Dzisiejszy socyalizm wobec światła rozumu. V. Filozofia socyalizmu. Przez *ks. Antoniego Langera T. J.* . . 178

Pierwotna religia Hindów. Prawedyzm. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.* 196 384

Kilka uwag o religijnem wychowaniu młodzieży szkolnej. Przez *ks. d-ra Alojzego Jougana* 230 321

Lipiczany. Sprawy domu szlacheckiego na Litwie. (Ze źródeł archiwalnych). Przez *Stan. Adama* 336

Stronnica.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Nauka wiary i obyczajów Kościoła katolickiego, wyłożona przez d-ra Hermana Rolfusa plebana, i F. L. Braendlego rektora. *(K. R.)* 118

Ołtarzyk codziennego i całorocznego nabożeństwa. Przez ks. Jana Brzozowskiego S. P. *(B. S.)* 120

Parę książek dla młodzieży. *(Ks. A. B.)* 120

O reformie t. zw. propedeutyki filozoficznej w naszych gimnazyach. Napisał ks. prof. gimn. dr. Aleksander Pechnik. *(J. N.)* 247

O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach. Ulanowski Bolesław. Z 5-ma tablicami litografowanemi. *(K. Krotoski)* 252

Historyczno-humorystyczne obrazki z roku 1863. Napisał W. Z. *(Z.)* 260

Dziesięciolecie cenzury rosyjskiej w Królestwie Polskiem. (1880—1891). Przez St. Wigurę. *(J. B.)* 261

Czas powstania historyi Florusa. Dr. A. Miodoński. *(Stanisław Witkowski)* 262

Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego. Dr. Fr. Piekosiński. *(Dr. K. Krotoski)* 407

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. wieku. Przez W. Bogusławskiego. Tom I. *(Rusin z Pokucia)* 413

Polski socyalizm a cudzoziemszczyzna. Napisał ks. Bronisław Stysiński. *(Ks. J. B.)* 421

Św. Kinga, Jej klasztor, i miasto Stary Sącz. Przez St. Rosoła. *(I. P.)* 422

Zbiorek nabożeństwa domowego dla ochronek Sióstr Zgromadzenia Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanego Poczęcia. W Tarnowie. Nakładem Zgromadzenia Sióstr Służebniczek 423

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Mémoires du général baron du Marbot. *(M.)* 123

Lebensblaetter. Erinnerungen aus der Schulwelt, von Dr. L. Kellner. *(J.)* 127

Nevenke. Spjevao August Harambašić. *(Tytus Sopodźko)* . . . 266

Einleitung in die heilige Schrift. Dr. F. Kaulen. Dritte Auflage — II. Theil (Altes Testament). *(Ks. Augustyn Arndt T. J.)* 268

1. Die Schulzen der deutschrechtlichen Dörfer Grosspolens im 13. u. 14. Jahrhundert. — 2. Über den Gerichtsstand und die richterlichen Befugnisse der grosspolnischen Schulzen im 13. u. 14. Jahrhundert. Dr. Emil Rummler. *(Dr. K. Krotoski)* 270

Stronnica.

Die zusammengesetzten Nester und gemischten Kolonien der Ameisen. Ein Beitrag zur Biologie, Psychologie und Entwicklungsgeschichte der Ameisengesellschaften. Von E. Wasmann S. J. *(J. N.)* 423

Josephi Fessler, quondam episcopi S. Hippolyti, institutiones patrologiae quas denuo recensuit, auxit Bernardus Jungmann. *(Ks. A. Marczewski)* 426

Die Unsterblichkeit der menschlichen Seele, philosophisch beleuchtet von Georg Fell S. J. *(Ks. K. C.)* 428

Les Fêtes chretiennes, par l'abbé Pradier. *(Ks. A. Marczewski)* 429

Z pism czasowych:

Crvena Hrvatska u Dubrovniku 1891. Godina I. *(Tytus Sopodźko)* 129

Časopis katolického duchovenstva českéjho. Vydává dr. Klemens Borový. Roćník 32 (r. 1891). *(Ks. Sadok Werberger O. P.)* 278

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Telegram kardynała Rampolli do kongresu katolików francuskich. — Rozwiązanie „Związku Francyi chrześcijańskiej". — Dodatnie następstwa akcyi papieskiej. — Kościelne walki w Węgrzech. — Wypadki w Ugandzie. — Interpelacye w Paryżu i Londynie. — List Prezesa rzeczypospolitej Liberya do Papieża. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 137

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków: Nowy ruch ziemi. — Nowy zmysł u zwierząt niższych. — Ciekawe odkrycia w dziedzinie elektryczności. Przez *J. N.* 145

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Rozprawy peszteńskie o „powtórnych chrztach". — Polityka papieska we Francyi. — Uchwały paryskiej komisyi budżetowej. — List Papieża do biskupa z Grenobli. — Smutne waśnie. — Pojednawcza polityka brazylijska. — Harmonia między państwem a Kościołem w Kolumbii. — Mowa Ojca św. do Kolegium polskiego. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 281

Z pod gór Kruszcowych. Wrażenia z podróży. I. Przez *Tytusa Sopodźkę* 290

Ryciny kolorowe na tegorocznej ich wystawie w Wiedniu, tudzież pierwsze usiłowania polskie w tym kierunku. Przez *Leonarda Lepszego* 295

WRZESIEŃ.

Stronnica.

Sprawy Kościoła: Encyklika o Krzysztofie Kolumbie. — Rzymskie burdy. — Krucyata wolnomularska we Włoszech przeciw Kościołowi. — „Nowy plan papieski". — Leon XIII. a Francya. — Trzeci wiec katolików austryackich w Lincu. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 431

Kilka słów o monometalizmie złota ze stanowiska bimetalistów amerykańskich. Przez *Modesta Maryańskiego* . . . 440

Z pod gór Kruszcowych. Wrażenia z podróży. II. Przez *Tytusa Sopodźkę* 449

Korespondencya Redakcyi 464

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.